

ГУЛАГ

Anne Applebaum



Gulag
Anne Applebaum

Z angielskiego przełożył

Jakub Urbański

Świat Książki

Tytuł oryginału

GULAG. A HISTORY

Książka ta jest dedykowana tym wszystkim, którzy opisali to, co się wydarzyło

„W strasznych latach jeżowszczyzny spędziłam siedemnaście miesięcy w więziennych

kolejkach Leningradu. Pewnego razu ktoś "rozpoznał" mnie. Wtedy stojąca za mną

kobieta o sinych wargach, która oczywiście nigdy nie słyszała mego nazwiska, ocknęła się z odrętwienia, w jakim trwaliśmy wszyscy, i zapytała mnie na ucho (wszyscy tam mówili szeptem):

- A to może pani opisać?

I powiedziałam:

- Mogę.

Wtedy coś w rodzaju uśmiechu przemknęło przez to, co niegdyś było jej twarzą”.

Anna Achmatowa Requiem - Zamiast przedmowy (tłum. E.

Siemaszkiewicz)

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

9

WSTĘP

11

CZEŚĆ PIERWSZA

Początki Gulagu - lata 1917-1939

33

Rozdział 1. Początki bolszewizmu

35

Rozdział 2. Pierwszy obóz Gułagu

47

Rozdział 3. 1929 - wielki punkt zwrotny

67

Rozdział 4. Kanał Białomorski

81

Rozdział 5. Ekspansja obozów

94

Rozdział 6. Wielki Terror i jego następstwa

111

CZEŚĆ DRUGA

Życie i praca w obozach

135

Rozdział 7. Aresztowanie

137

Rozdział 8. Więzienie

158

Rozdział 9. Transport, przybycie, selekcja

169

Rozdział 10. Życie w obozach

189

Rozdział 11. Praca w obozach

217

Rozdział 12. Kary i nagrody

239

Rozdział 13. Strażnicy

251

Rozdział 14. Więźniowie

272

Rozdział 15. Kobiety i dzieci

296

Rozdział 16. Umrzyki

318

Rozdział 17. Strategie przetrwania

327

Rozdział 18. Bunt i ucieczka

366

CZEŚĆ TRZECIA

Apogeum i zmierzch obozowego kompleksu przemysłowego 1940-1986

.

383

Rozdział 19. Początek wojny

385

Rozdział 20. "Obcy"

392

Rozdział 21. Amnestia i jej konsekwencje

411

Rozdział 22. Apogeum obozowego kompleksu przemysłowego 423

Rozdział 23. Śmierć Stalina

437

Rozdział 24. Rewolucja zeków

444

Rozdział 25. Odwilż i zwolnienia

462

Rozdział 26. Epoka dysydentów

480

Rozdział 27. Lata osiemdziesiąte: burzenie pomników 502

EPILOG

Pamięć

513

ANEKS

Ilustracje

525

PRZYPISY

533

BIBLIOGRAFIA

579

SŁOWNICZEK TERMINOLOGII ŁAGIERNEJ I JĘZYKA

WIĘZIENNEGO

603

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

605

INDEKS OSÓB

606

CZEŚĆ PIERWSZA

Początki Gułagu

lata 1917-1939

ROZDZIAŁ 1

Początki bolszewizmu

„Lecz, mój piękny, biedny wieku,

Twój kręgosłup przetracony.

Teraz z uśmiechem bezmyślnym

Patrzysz wstecz, okrutny, słaby,

Niby zwierz niegdyś sprężysty Na

łap swoich stare ślady”.

Osip Mandelsztam Wiek1

„Jednym z moich celów jest zniszczenie mitu, że najbardziej okrutna fala represji miała miejsce w latach 1936-1937.

Myślę, że kiedyś statystyki wykażą, że fala aresztowań, wyroków i zsyłek ruszyła już na początku roku 1918, zanim jeszcze jesienią ogłoszono oficjalnie nastanie Czerwonego Terroru. Od tego czasu fala ta po prostu systematycznie wzbierała, aż do samej śmierci Stalina...”

Dmitrij Lichaczow Wspomnienia

W ROKU 1917 dwie rewolucje przeszły przez Rosję, niczym lawina zgarniając

wszystko na swej drodze. W lutym, po abdykacji cara Mikołaja II, bieg wypadków

wymknął się spod czyjejkolwiek kontroli. Aleksandr Kieriński, premier Rządu

Tymczasowego, napisał później, że w próżni, która nastąpiła po upadku starego reżimu, "wszystkie dotychczasowe programy polityczne i taktyczne zamierzenia,

nawet śmiałe i dobrze obmyślane, okazały się iluzoryczne, bezcelowe i zbędne".

Ale chociaż Rząd Tymczasowy był słaby, chociaż szerzyło się powszechne niezadowolenie, chociaż rósł gniew ludu z powodu rzezi, w jaką przemieniła się wojna, tylko nieliczni przewidywali, że władza wpadnie w ręce bolszewików, jednej z kilku radykalnych partii socjalistycznych, agitującej za jeszcze szybszymi zmianami. Za granicą bolszewicy byli prawie zupełnie nieznani. Znakomicie ilustruje to apokryficzna opowieść: historia dzieje się w roku 1917. Do austriackiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych wpada urzędnik, krzyżąc: "Wasza Ekszelencjo, w Rosji wybuchła rewolucja!". Minister prycha: "Któż mógłby zrobić rewolucję w Rosji? Z pewnością nie ten nieszkodliwy Herr Trocki, przesiadujący w Cafe Central?". Jeżeli bolszewicy stanowili dla świata niewiadomą, to ich przywódca, Władimir Iljicz Uljanow (znany pod rewolucyjnym pseudonimem Lenin), był zagadkowy jeszcze bardziej.

Przez wiele lat, które spędził jako rewolucyjny emigrant, ceniono go za błyskotliwość, a zarazem nie lubiano za brak cierpliwości, egoizm i wicherzycielstwo. Często wyklócał się z innymi przywódcami socjalistycznymi i miał skłonność do przedstawiania niewielkich nawet rozbieżności w nieistotnych pozornie sprawach ideologicznych jako zasadniczych różnic. W pierwszych miesiącach po rewolucji lutowej Lenin nawet w kręgu własnej partii nie posiadał niekwestionowanego autorytetu. Jeszcze w połowie października 1917 roku grupa bolszewickich przywódców przeciwstawiała się jego planom przeprowadzenia zbrojnego przewrotu, argumentując to nieprzygotowaniem do przejęcia władzy i niewystarczającym poparciem społecznym. Niemniej postawił na swoim i 25 października zamach stanu przeprowadził. Bolszewicy aresztowali ministrów Rządu Tymczasowego, a tłum splądrował Pałac Zimowy. W ciągu kilku godzin Lenin stał się wodzem państwa, które ochrzcił mianem Rosji Sowieckiej. Chociaż Leninowi udało się zdobyć władzę, jego oponenti całkowicie się nie mylili. W rzeczywistości bolszewicy byli zupełnie nieprzygotowani do rządzenia. W efekcie większość kluczowych decyzji, włącznie z ideą utworzenia monopartyjnego państwa, została podjęta zgodnie z potrzebą chwili. Społeczne poparcie było bardzo słabe i prawie natychmiast bolszewicy wszczęli krwawą wojnę domową, aby tylko utrzymać się przy władzy. Od roku 1918, gdy kontrrewolucyjna Biała Armia zorganizowała się, aby podjąć walkę z Armią Czerwoną dowodzoną przez współtowarzysza Lenina - "Herr Trockiego" - w Rosji rozszalały się walki tak brutalne, jakich dotąd nie znała Europa. Przemoc nie ograniczała się do pól bitewnych. Bolszewicy tłumili intelektualną oraz polityczną opozycję, jakąkolwiek formę by przyjęła. Zwalczali nie tylko przedstawiciele dawnego ustroju, lecz również innych socjalistów: mienszewików, anarchistów, socjalrewolucjonistów. Nowe państwo sowieckie zaznało względnego spokoju dopiero po roku 1921. W tych okolicznościach narodziły się pierwsze sowieckie obozy pracy. Tak jak wiele innych bolszewickich instytucji powstawały w ogniu wojny domowej, ad hoc, w pośpiechu, jako paliatyw, co nie znaczy, że samej ich koncepcji nie rozważano wcześniej. Trzy tygodnie przed rewolucją październikową Lenin osobiście nakreślił, co prawda jeszcze mglisty, projekt organizacji "obowiązku pracy przymusowej" dla kapitalistów. W

styczniu 1918 roku rozwścieczony zaciętością oporu antybolszewickiego był już bardziej zapiękły; pisał, że z radością powita "areszt milionerów sabotażystów, przeprowadzony w wagonach I i II

klasy. Radzę posłać ich na pół roku do kopalni, do pracy poprawczej". Ta wizja obozów pracy jako specyficznej formy karania szczególnego rodzaju "burżuazyjnych wrogów" świetnie współgrała z jego opiniami o przestępstwie i kryminalistach. Złodziei, kieszonkowców, a nawet morderców postrzegał

jako potencjalnych sprzymierzeńców, albowiem w jego pojęciu podstawową przyczyną "społecznego występku" (zbrodni) był "wyzysk mas". Lenin wierzył, że usunięcie przyczyny doprowadzi do marginalizacji występku jako takiego. Dlatego żadne konkretne kary nie były potrzebne do odstraszenia kryminalistów, gdyż z czasem miała ich wyeliminować sama rewolucja. Język pierwszego bolszewickiego kodeksu karnego mógłby rozpałić nawet najbardziej radykalnych i postępowych reformatorów prawa na Zachodzie. Wśród różnych artykułów kodeks dekretował, że "nie istnieje coś takiego jak wina indywidualna" i że kara "nie powinna być postrzegana jako zadośćuczynienie". Z drugiej strony Lenin - tak jak bolszewiccy teoretycy prawa, którzy podążali jego śladem - jednocześnie uważał, że stworzenie państwa sowieckiego narodzi

nowego przestępcę: "wroga klasowego". Wróg klasowy przeciwstawiał się rewolucji i jawnie, a znacznie częściej w ukryciu, pracował nad jej zniszczeniem. Wróg

klasowy był znacznie trudniejszy do zdemaskowania niż typowy kryminalista,

również znacznie trudniejsza była jego resocjalizacja. W przeciwieństwie do zwykłego przestępcy wróg klasowy z założenia nigdy nie zdobędzie zaufania, które

pozwoiłoby mu na pracę na rzecz sowieckiego reżimu, zasługuje zatem na surowszą karę niż zwykły morderca bądź złodziej. W ten sposób w maju 1918 roku

pierwszy bolszewicki "dekret o łapówkach" obwieszczał, że "jeżeli osoba winna

brania bądź oferowania łapówki należy do klas posiadających i wykorzystuje łapówkę, aby zachować lub osiągnąć korzyści związane z prawem własności, powinna być skazana na najsurowszą i najcięższą pracę przymusową, a cała jej własność powinna zostać skonfiskowana". Innymi słowy już od zarania państwa

sowieckiego ludzi skazywano nie za popełnione czyny, lecz za to, kim byli.

Niestety nigdy nie przedstawiono jasnej definicji "wroga klasowego". W

rezultacie liczba wszelkiego rodzaju aresztowań dramatycznie rosła. Od listopada 1917 roku trybunały rewolucyjne składające się z przypadkowych "zwolenników rewolucji" zaczęły skazywać równie przypadkowych "wrogów rewolucji". Okresowa praca przymusowa, osadzanie w więzieniach, a nawet kara śmierci były arbitralnie

wymierzone bankierom, żonom kupców, spekulantom - tzn. osobom zaangażowanym w jakąkolwiek niezależną działalność gospodarczą, nadzorcom więziennym

z poprzedniej, carskiej epoki oraz każdemu, kogo uznano za podejrzanego.

A zatem definicja "wroga klasowego" była płynna, niekiedy pokrywała się z definicją "jeńca wojennego". Armia Czerwona Trockiego, zajmując nowe terytoria, brała często jako zakładników "elementy klasowo obce".

Mieli być oni rozstrzelani na wypadek powrotu Białej Armii, jak to zdarzało się na niestabilnych frontach. Do tego czasu byli oni zmuszani do pracy przy budowie okopów i barykad. Różnice między więźniami politycznymi i zwykłymi przestępcami miały równie arbitralny charakter.

Często ledwo piśmienni członkowie doraźnych komisji tymczasowych i trybunałów rewolucyjnych mogli nagle postanowić, że człowiek przyłapany w tramwaju najeździe bez biletu wykroczył

przeciwko normom społecznym, i skazać go tym samym za przestępstwo polityczne. Pod koniec wojny domowej wiele podobnych decyzji podejmowali milicjanci lub żołnierze dokonujący aresztowań.

Feliks Dzierżyński, założyciel CzeKa - tajnej policji

Lenina, poprzedniczki KGB - osobiście prowadził mały czarny notatnik.

Zapisywał w nim nazwiska i adresy tych, którzy sprawiali na nim wrażenie mimowolnych "wrogów".

Na dobrą sprawę powyższa kwestia pozostawała niejednoznaczna aż do upadku Związku Sowieckiego osiemdziesiąt lat później. Mimo to występowanie dwóch kategorii więźniów - "politycznych" i "kryminalnych" - wywarło głęboki wpływ

na uformowanie sowieckiego systemu penitencjarnego. Przez pierwszą dekadę rządów bolszewickich nawet sowieckie więzienia dzieliły się na dwie kategorie, stosownie dla każdego rodzaju więźniów.

Podział wyrósł

spontanicznie, jako reakcja na chaos w istniejącym systemie. W

pierwszych dniach rewolucji wszyscy więźniowie znaleźli się pod jurysdykcją tradycyjnych resortów - sprawiedliwości, a następnie spraw wewnętrznych. Kierowano ich zazwyczaj do brudnych, przygnębiających więzień, pozostałości po carskim reżimie, które były położone w centrum każdego większego miasta. Podczas rewolucyjnych lat 1917-1920

instytucje te znalazły się w stanie rozkładu. Tłumy szturmowały więzienia, samozwańczy komisarze zwalniali nadzorców, więźniowie zwalniani byli na podstawie amnestii bądź po prostu odchodzili. Zanim bolszewicy przejęli pełną kontrolę nad systemem penitencjarnym, kilka działających jeszcze więzień było na tyle przepełnionych, że nie mogło sprostać swej funkcji. Kilka tygodni po rewolucji Lenin zażądał, aby

"podjąć nadzwyczajne kroki, mające na celu natychmiastową poprawę zaopatrzenia w środki żywnościowe piotrogrodzkich więzień". Kilka miesięcy później członek moskiewskiego CzeKa wizytował miejskie więzienie na Tagance i opisał panujące tam "przenikliwe zimno i okropny brud", doskwierające na równi z tyfusem i głodem. Większość więźniów nie mogła wykonywać robót przymusowych, ponieważ nie posiadała ubrań. W prasie ogłoszono, że więzienie Butyrki w Moskwie, przeznaczone na 1000 osób, mieściło ich 2500. Inna gazeta pisała, że Czerwona Gwardia "aresztuje codziennie setki osób, a potem nie wie, co z nimi zrobić". Przeludnienie doprowadziło do

twórczych rozwiązań. Z

braku czegokolwiek

lepszego aresztowanych umieszczano w piwnicach, na poddaszach, w opustoszałych pałacach i starych cerkwiach. Jeden z ocalałych wspominał

później, że został

zamknięty w piwnicy opuszczonego domu, gdzie przebywało 50 osób, bez jakichkolwiek sprzętów i ze znikomą ilością jedzenia; ci, którzy nie otrzymywali paczek z domu, zwyczajnie głodowali. W grudniu 1917 roku komisja CzeKa obradowała nad losem 56 więźniów rozmaitych kategorii -

"złodziei, pijaków i różnych "politycznych" - którzy byli przetrzymywani w piwnicy Instytutu Smolnego, kwaterze głównej Lenina w Piotrogradzie". Nie każdy cierpiał z powodu chaosu. Robert Bruce Lockhart, brytyjski dyplomata oskarżony o szpiegostwo, w 1918 roku więziony był w komnacie Kremla. Spędzał czas, stawiając pasjansy i oddając się lekturze Tukidydesa i Carlyle'a. Od czasu do czasu dawny carski lokaj przynosił mu gorącą herbatę i gazety. Ale nawet w dotychczasowych więzieniach regulaminowych różnie bywało z dyscypliną, a więzienni naczelnicy byli niedoświadczeni. Więzień z Wyborga odkrył, że w tym postawionym na głowie porewolucyjnym świecie jego dawny szofer został funkcjonariuszem więziennym. Do tego czuł się zaszczycony, mogąc pomóc swemu panu w przeniesieniu do lepszej, suchszej celi, a później... w ucieczce. Z kolei jeden z pułkowników Białej Armii relacjonował, że w piotrogrodzkim więzieniu, w grudniu 1917 roku, więźniowie mogli sami wychodzić na zewnątrz, jeśli mieli takie życzenie, i tylko bezdomni spali nocą w celach. Patrząc wstecz na tę epokę, jeden z urzędników stwierdził, że tylko zbyt leniwi nie uciekali. Powszechny bezład zmusił CzeKa do szukania nowych rozwiązań: bolszewicy ociągali się z umieszczeniem swych prawdziwych wrogów w zwyczajnych więzieniach. Te - niedbale prowadzone przez leniwych funkcjonariuszy - były odpowiednie dla kieszonkowców i młodocianych przestępców, ale nie dla sabotażystów, pasożytów, spekulantów, oficerów Białej Armii, kapłanów, kapitalistów i innych.

Potrzebne były znacznie bardziej nowatorskie rozwiązania. Znalaziono je już 4 czerwca 1918 roku, kiedy Trocki rozkazał rozbroić i umieścić w obozie koncentracyjnym buntujących się czeskich jeńców wojennych.

Dwadzieścia dwa dni później w memorandum skierowanym do Rady Komisarzy Ludowych Trocki ponownie wspomina o obozach koncentracyjnych - więzieniach pod gołym niebem dla "elementów pasożytniczych", do których zaliczył przedstawicieli miejskiej i wiejskiej burżuazji. Poleciał zorganizować ich w bataliony pomocnicze na zapleczu frontu i przeznaczyć do wykonywania "najprzykrzejszych rodzajów prac"

(sprzątanie ulic, obozów, baraków, budowa okopów). Tych, którzy odmówią, miała spotkać kara w postaci grzywny i aresztu, dopóki jej nie zapłacą. W sierpniu Lenin spełnił groźby. W telegramie do komisarzy w Penzie, w której doszło do antybolszewickich rozruchów, ogłosił

"masowy terror wobec kulaków, popów i białogwardzistów" i zażądał, aby

"elementy podejrzane zamknąć w obozie koncentracyjnym za miastem".

Infrastruktura już istniała. W lecie 1918 roku w następstwie traktatu z Brześcia Litewskiego, który zakończył udział Rosji w pierwszej wojnie światowej, reżim uwolnił dwa miliony jeńców wojennych. Puste obozy natychmiast przeszły w ręce CzeKa.

W tym czasie CzeKa sprawiała wrażenie idealnego instrumentu do realizacji

tego zadania. Została powołana jako "tarcza i miecz" rewolucji i nie podlegała rządowi. Nie miała tradycji legalności, obowiązku przestrzegania przepisów prawa, nie musiała współpracować z milicją, sądami, komisariatem sprawiedliwości. Sama jej nazwa mówiła o specjalnym statusie: Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (Wsierossijska Czeriezwyczajna Komissija po Bor'bie s Kontrriewolucyjej i Sabotażom). CzeKa lub Czeriezwyczajka była "nadzwyczajna" właśnie dlatego, że egzystowała poza prawem.

Niemal natychmiast powierzono jej też nadzwyczajnie zadania. Piątego września 1918 roku Dzierżyński nakazał zaprowadzenie Czerwonego Terroru, co było

skutkiem próby zamachu na Lenina. Jego fala - aresztowania, uwięzienia, morderstwa - znacznie lepiej zorganizowana niż przypadkowy terror poprzednich miesięcy, była w rzeczywistości istotnym czynnikiem wojny domowej, skierowanym

przeciwko podejrzany o działalność antyrewolucyjną na froncie wewnętrznym.

Terror był krwawy, bezlitosny i okrutny - tak jak chcieli jego twórcy.

"Krasnaja

Gazeta", organ Armii Czerwonej, pisała o tym: "Bez miłosierdzia, bez litości

likwidujemy setki naszych wrogów. Niech będą ich tysiące, niech utoną we własnej

krwi. Za krew Lenina [...] niech płyną strumienie krwi burżujów - więcej krwi, tyle, ile się da".

Czerwony Terror stanowił przełomowy moment w walce Lenina o władzę, a obozy koncentracyjne, zwane "obozami specjalnymi", były przełomem dla

Czerwonego Terroru. Zostały wymienione w jednym z pierwszych dekretów

o Czerwonym Terrorze, który nakazywał nie tylko aresztowanie przedstawicieli

burżuazji, obszarników, przemysłowców, kupców oraz popów i oficerów podejrzewanych o działalność antysowiecką, ale także ich "izolację w obozach koncentracyjnych". Chociaż brakowało na razie więźniów, przed końcem 1919 roku istniało w Rosji już 21 obozów. Pod koniec 1920 roku było ich ponad pięć razy

więcej - 107. Mimo to samo przeznaczenie obozów było niejasne.

Więźniowie mieli podejmować pracę przymusową. Pytanie tylko po co?

Czy praca miała ich resocjalizować? Upokarzać? Czy może dać szansę udziału w budowie nowego państwa sowieckiego? Każdy z sowieckich przywódców i każda z instytucji miały na ten temat inny pogląd. W lutym 1919 roku Dzierżyński bronił roli obozów jako miejsc ideologicznej reedukacji burżujów. Stwierdził wówczas, że nowe obozy będą miejscem:

„...gdzie praca aresztantów znajdzie zastosowanie, gdzie będą się trudzić panowie żyjący z powietrza albo ci, co nie potrafią pracować bez pewnego przymusu. Albo - weźmy na przykład nasze sowieckie instytucje -

kontynuował swą myśl - ten środek kary powinien być stosowany za niesumienność w pracy, za lenistwo, za spóźnienia itd. [...]. Tak więc jest to propozycja stworzenia szkoły pracy”. Choć wiosną 1919 roku ukazały się pierwsze oficjalne dekrety dotyczące obozów specjalnych, to jednak praktyka bywała w pewnym stopniu zróżnicowana. Tasiemcowo długie listy przepisów i zaleceń sugerowały, że każda stolica guberni ma założyć obóz dla nie mniej niż 300 osób, "na granicy miasta lub w pobliżu klasztorów, majątków ziemskich, gospodarstw rolnych itd."

Gwarantowano ośmiogodzinny dzień pracy; nadgodziny i praca w nocy dopuszczalne były tylko "zgodnie z kodeksem pracy". Paczki żywnościowe były zabronione. Spotkania z członkami najbliższej rodziny dopuszczano tylko w niedziele i święta. Wyrok więźniów przyłapanych na ucieczce wydłużał się dziesięciokrotnie. Drugą ucieczkę karano śmiercią, nadzwyczajnie surowo w porównaniu z łagodnymi carskimi przepisami, które bolszewicy znali aż nadto dobrze. Ważniejsze było, że dekrety wyjaśniały, iż praca więźniów nie ma celu reedukacyjnego, ale jest formą zapłaty za utrzymanie w obozie. Fizycznie do niej niezdolni byli wysyłani gdzie indziej. Obozy miały się samofinansować. W optymistycznej wersji założyciele obozów wierzyli, że będą mieć w nich swoje udziały. Z

powodu nieregularności dotacji państwowych komendanci obozów zaczęli interesować się pomysłem samofinansowania bądź - w ostateczności -

praktycznym wykorzystaniem więźniów. We wrześniu 1919 roku w tajnym raporcie przedstawionym Dzierżyńskiemu donoszono, że warunki sanitarne w jednym z obozów przejściowych są "poniżej krytyki", głównie z powodu skierowania zbyt wielu chorych do pracy: "Słotną jesienią łagier nie będzie skupiskiem więźniów, których pracę się wykorzystuje, ale stanie się siedliskiem epidemii i chorób". W związku z tym proponowano, aby niezdolni do pracy byli wysyłani gdzie indziej, co miało uczynić obozy bardziej wydajnymi - odkryto sposób, który potem wielokrotnie był

wykorzystywany przez kierownictwo Gułagu. Odpowiedzialni za obozy martwili się głodem i chorobą tylko wtedy, gdy chorzy i głodni więźniowie stawali się pracownikami bezużytecznymi. Godność i człowieczeństwo, nie wspominając o samym zachowaniu życia, zupełnie ich nie interesowały. W praktyce nie wszyscy komendanci obozów podejmowali się reedukacją bądź samofinansowaniem. Zamiast tego woleli wymierzać kary dawnym bogaczom, upokarzając ich i dając im zakosztować losu robotnika. Raport z Połtawy sporządzony przez komisję śledczą Białej Armii po czasowym przejęciu miasta odnotowuje, że uwięzionym przedstawicielom burżuazji, aresztowanym podczas okupacji bolszewickiej, przydzielano różne zajęcia "mające na celu poniżenie

ich.

Na przykład jeden z aresztowanych [...] został zmuszony do zeszkrobania rękami grubej warstwy brudu z zanieczyszczonej podłogi. Innemu kazano wyczyścić toaletę i... dostał w tym celu obrus". W rzeczywistości te subtelne różnice niewiele znaczyły dla dziesiątków tysięcy więźniów, dla których fakt aresztowania bez powodu był wystarczającym upokorzeniem.

Warunki bytowe i tak wszędzie były przerażające; pewien pop przypominał sobie po latach o zupie gotowanej na wnętrznościach, barakach bez prądu i braku ogrzewania w zimie. Aleksandr Izgojew, czołowy polityk w epoce caratu, został wysłany do obozu na północ od Piotrogradu. Po drodze grupa więźniów zatrzymała się w Wołogdzie.

Zamiast gorącego posiłku i ciepłych izb, które im obiecano, musieli tułać się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu schronienia, albowiem nie przygotowano dla nich obozu przejściowego. Ostatecznie zostali umieszczeni w starej szkole, gdzie były tylko "gołe ściany i ławki". Ci, którzy mieli pieniądze, mogli kupić w mieście coś do jedzenia. Ale ten rodzaj szykan nie był wyłącznie intencjonalny. W przełomowym momencie wojny domowej pilne potrzeby Armii Czerwonej i państwa sowieckiego stały się priorytetowe, a inne zadania schodziły na plan dalszy. W październiku 1918 roku dowódca Frontu Północnego wysłał do Piotrogradzkiej Komisji Wojskowej żądanie przydzielenia ośmiuset robotników, pilnie potrzebnych do budowania dróg i kopania okopów. W

odpowiedzi "liczni byli kupcy zostali wezwani do sowieckich instytucji rzekomo w celu rejestracji, na wypadek wprowadzenia w bliżej nieokreślonej przyszłości obowiązku pracy. Kiedy pojawili się tam, aresztowano ich i wywieziono do baraków do Semionowskoje, gdzie mieli oczekiwać wysłania na front". Gdy nawet to posunięcie nie zapewniło

wystarczającej liczby robotników, lokalna rada po prostu otoczyła część Prospektu Newskiego, głównej stołecznej arterii, aresztując każdego bez Legitymacji partyjnej bądź zaświadczenia o pracy dla instytucji rządowej.

Zatrzymanych skierowano do baraków położonych w pobliżu. Kobiety zwolniono,

mężczyzn zaś wyprawiono na północ. "Żadnemu z tak zmobilizowanych nie

pozwolono załatwić spraw rodzinnych, pożegnać się bądź zabrać odpowiednich

ubrań czy butów". Ten szokujący rodzaj aresztowania zdawał się znacznie mniej

dziwić piotrogradzkich robotników. Nawet w tak wczesnym stadium sowieckiej

historii granica między pracą a "pracą przymusową" została zatarta.

Trocki

otwarcie mówił o obróceniu całej ludności w "armię pracy" na potrzeby Armii

Czerwonej. Robotnicy początkowo byli zmuszeni rejestrować się w centralnych

biurach pracy, skąd mogli być wysyłani do dowolnej części kraju.

Wydano

specjalne dekrety zabraniające robotnikom zatrudnionym w niektórych zawodach - na przykład górnikom - opuszczania pracy. Zatem w tych czasach

wolni robotnicy wcale nie cieszyli się lepszymi warunkami niż więźniowie.

Patrząc z zewnątrz, niełatwo było stwierdzić, co było jeszcze zakładem pracy, a co już stało się obozem koncentracyjnym. Ale był to jedynie zwiastun tego, co miało nadejść : słowo "dezorganizacja" stało się nieodłączną częścią definicji "obozu", "więzienia" i "pracy przymusowej"

przez większość następnych dziesięcioleci. Kontrola nad instytucjami karnymi ulegała nieustannym zmianom. Bez końca przemianowywano je i reorganizowano, kiedy tylko kolejni partokraci chcieli przejąć kontrolę nad systemem. Pomimo wszystko jest jasne, że już przed końcem wojny domowej budowa systemu została ukończona. Od tej pory Związek Sowiecki rozwijał dwa odrębne piony więziennicze, funkcjonujące wedle własnych praw, tradycji, a nawet ideologii. Komisariat sprawiedliwości i

później komisariat spraw wewnętrznych władał regułami nowym systemem

więziennym, zajmującym się przede wszystkim tymi, których sowiecki reżim

określał mianem "kryminalistów". Chociaż w praktyce bywał chaotyczny, to

jednak doskonale byłby rozumiały również w "świecie burżuazyjnym".

Aby reedukować kryminalistów, aplikowano im pracę poprawczą. Jak głosił wydany poufny dokument, "powinni pracować tak, aby osiąść umiejętności, które mogliby wykorzystać w uczciwym życiu", co miało ustrzec ich przed recydywą. W tym samym czasie CzeKa -

przemianowywana

następnie na GPU, OGPU, NKWD , MWD i ostatecznie na KGB -

kontrolowała

inny system, który początkowo był znany jako system "obozów specjalnych"

lub "obozów nadzwyczajnych". Chociaż używała po części tej samej retoryki ("reedukacja" itp.), to jej obozy nie miały przypominać zwyczajnych instytucji karnych. Znajdowały się poza jurysdykcją innych sowieckich instytucji i nie były jawne. Panowały w nich specjalne prawa, surowsze kary za ucieczkę, ostrzejszy reżim. Więźniów niekoniecznie skazywały powszechnie sądy, jeżeli w ogóle wydawano na nich jakiś wyrok. Utworzone jako paliatyw, miały się rozrastać wraz z szerzeniem się definicji "wroga" i wzrostem potęgi CzeKa. A gdy dwa systemy karne

- zwyczajny i nadzwyczajny - ostatecznie się połączyły, to nastąpiło to na prawach tego drugiego. CzeKa wchłonęła swoich rywali. Od początku

"specjalny" system więzienny miał dotyczyć tylko specjalnych więźniów: popów, byłych urzędników, spekulantów, wrogów nowego porządku. Ale jedna szczególna kategoria "politycznych" interesowała władze bardziej niż inne. Byli nimi członkowie niebolszewickich partii lewicowych, przede wszystkim anarchiści, lewicowi i prawicowi socjalrewolucjoniści, mienszewicy i każdy, kto choć walczył za rewolucję, nie był jednak na tyle przezorny, aby przyłączyć się do bolszewickiej frakcji Lenina i wziąć udział w październikowym zamachu w 1917 roku. Jako dawni sprzymierzeńcy w walce przeciwko carskiemu reżimowi zasłużyli na specjalne traktowanie. Centralny Komitet partii bolszewickiej bezustannie dyskutował nad ich losem do końca 1930 roku, kiedy to większość tych, którzy jeszcze pozostali przy życiu, została aresztowana bądź rozstrzelana.

Ten szczególny rodzaj skazańców niepokoił Lenina, ponieważ, jak każdy przywódca zamkniętej sekty, żywił największą nienawiść do odszczepieńców. W trakcie typowej polemiki określił argumenty swych antagonistów jako "szachrajstwo", "bezczelne łgarstwa", "nieskończoną podłość" i "bezwstyd". W rzeczywistości na długo przed rewolucją wiedział już, co zrobi z towarzyszami, którzy zwrócą się przeciwko niemu. Jeden z jego dawnych rewolucyjnych towarzyszy przytoczył prowadzoną na ten temat rozmowę:

Powiedziałem mu: "Włodzimierzu Iljiczu, nazajutrz po dojściu do władzy zaczniecie wieszać mienszewików". Popatrzył na mnie i odparł: Pierwszego mienszewika powiesimy dopiero po ostatnim socjalrewolucjoniście". Po czym zmarszczył brwi i roześmiał się.

Ale więźniowie, którzy należeli do specjalnej kategorii "politycznych", byli znacznie trudniejsi do kontrolowania. Wielu, po wieloletnich pobytach w carskich więzieniach, wiedziało, jak wywierać presję na strażników, jak komunikować się między celami, by wymieniać informacje, i jak organizować strajki głodowe

i zbiorowe protesty. A co ważniejsze, jak kontaktować się ze światem zewnętrznym. Większość niebolszewickich partii miała filie na emigracji, zazwyczaj w Berlinie lub w Paryżu. Protesty płynące stamtąd mogły zaszkodzić międzynarodowemu wizerunkowi Lenina i jego towarzyszy.

Na III zjeździe Międzynarodówki Komunistycznej w 1921 roku przedstawiciele sekcji zagranicznej partii socjalistów-rewolucjonistów -

ideologicznie najbliższej bolszewikom (część jej członków po październikowym przewrocie krótko uczestniczyła w pierwszym i ostatnim rządzie koalicyjnym) - odczytali list od swoich uwięzionych w Rosji towarzyszy. Spowodowało to poruszenie, głównie dlatego, że opisane więzienne warunki w rewolucyjnej Rosji okazały się gorsze niż za carskich czasów. "Nasi towarzysze są na wpół zagłodzeni - obwieszczano

- wielu z nich jest więzionych miesiącami bez zezwolenia na spotkanie z rodziną, bez

korespondencji, bez spacerów". Emigracyjni socjaliści agitowali w imieniu uwięzionych, tak jak robili to przed rewolucją. Zaraz po zamachu bolszewickim kilkoro sławnych rewolucjonistów - m.in.

Wiera Figner autorka wspomnień z lat spędzonych w carskim więzieniu, i Jekatierina Pieszkowa, żona pisarza Maksyma Gorkiego - pomogło reaktywować Polityczny Czerwony Krzyż, organizację pomocy więźniom, która przed rewolucją działała w podziemiu. Pieszkowa знаła dobrze Dzierżyńskiego, z którym serdecznie i regularnie korespondowała. Dzięki jej kontaktom Polityczny Czerwony Krzyż otrzymał prawo wizytowania więzień, rozmawiania z uwięzionymi, wysyłania im paczek, a nawet do ubiegania się o zwolnienie chorych - przywileje, które utrzymał niemal do końca lat dwudziestych. Później działalność ta wydawała się pisarzowi Lwu Razgonowi, uwięzionemu w 1937 roku, tak nieprawdopodobna, że słuchał opowieści swojej drugiej żony (której ojciec był jednym z uwięzionych socjalistów) o Politycznym Czerwonym Krzyżu niczym

"niewiarygodnej baśni". Rozgłos nadawany przez socjalistów na Zachodzie i Polityczny Czerwony Krzyż psuły bolszewikom reputację; wielu przez lata żyło na uchodźstwie i przez to było uczulonych na opinie swoich międzynarodowych towarzyszy. Wielu nadal wierzyło, że rewolucja może jeszcze rozszerzyć się na Zachód i nie chciało, aby postęp komunizmu był opóźniany przez złą prasę. W roku 1922 tak przemawiali się artykułami w gazetach zachodnich, że postanowili pierwsi zaatakować.

Aby zamaskować Czerwony Terror, napadli na "terror kapitalistyczny". I powołali do życia "alternatywne" towarzystwo pomocy więźniom -

Międzynarodowe Towarzystwo Pomocy Bojownikom Rewolucji (skrót rosyjski MOPR), które miało pracować nad pomocą dla "100 tysięcy więźniów kapitalizmu". Chociaż berliński oddział Politycznego Czerwonego Krzyża natychmiast oskarżył MOPR o próbę "zatknięcia gardel ginącym w rosyjskich więzieniach, obozach koncentracyjnych i miejscach zesłania", inni dali się przekonać. W 1924 roku MOPR ogłosił, że ma 4 miliony członków, a nawet zorganizował pierwszą międzynarodową konferencję, w której wzięli udział przedstawiciele z całego świata. Propaganda pozostawiła ślad. Na przykład francuski pisarz Romain Rolland, poproszony o skomentowanie opublikowanej antologii listów od socjalistów z rosyjskich więzień, odpowiedział: "Prawie identyczna sytuacja panuje w polskich więzieniach; to samo jest w więzieniach Kalifornii, gdzie dręczeni są robotnicy, czy w angielskich lochach na Andamanach...". Także CzeKa myślała o zneutralizowaniu złej prasy. W tym celu wysyłała kłopotliwych socjalistów jak najdalej, by uniemożliwić kontakty. Niektórych z wyroku administracyjnego deportowano na dalekie wygnanie, tak jak niegdyś czynił to carat. Inni byli ekspediowani do odległych obozów północnych w pobliżu Archangielska, a niektórzy do dawnego klasztoru w Chołmogorach, setki kilometrów na północ od Piotrogradu, w pobliżu Morza Białego. Mimo to nawet najdalej zesłani znajdowali sposoby komunikacji. Z Narymu, z dalekiej Syberii, niewielkiej grupie "politycznych" umieszczonej w małym obozie udało się wysłać list do emigracyjnej gazety socjalistycznej, który wyjaśniał, że zostali "tak odcięci od reszty świata, że tylko listy traktujące o zdrowiu krewnych bądź ich własnym mają szansę dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Wszelkie inne wiadomości [...] nie dochodzą". Wśród nich znajdowała się Olga Romanowa, osiemnastoletnia anarchistka, którą zesłano w szczególnie odległą część regionu, "gdzie przez trzy miesiące karmiono ją suchym chlebem i pojono wodą".

Ale nawet dalekie wygnanie nie gwarantowało spokoju nadzorcom.

Prawie

wszędzie, gdzie zjawiali się więźniowie socjaliści, przyzwyczajeni za carskich

czasów do uprzywilejowanego traktowania, żądali gazet, książek, spacerów, nieograniczonego przywileju korespondencji, a poza wszystkim prawa wyboru własnego starosty do rozmów z władzą. Gdy miejscowi agenci CzeKa odmawiali,

socjaliści protestowali, niekiedy gwałtownie. Zgodnie z relacją z obozu w Chołmogorach grupa więźniów postanowiła „...podjąć uporczywą walkę o najbardziej podstawowe sprawy, takie jak przyznanie anarchistom i socjalistom zwyczajowych praw politycznych. W jej trakcie więźniowie zostali poddani wszelkim karom, takim jak odosobnienie, bicie, głód, wiązanie, pozorowane egzekucje, które zorganizowano wewnątrz budynków, itp. Wystarczy powiedzieć, że pod koniec roku większość mogła pochwalić się rekordowymi głodówkami trwającymi od trzydziestu do trzydziestu pięciu dni”. Ostatecznie ta sama grupa więźniów została przeniesiona z Chołmogorów do kolejnego obozu w Pietromińsku, w innym klasztorze. Według petycji, którą później wysłano do władz, zostali tam powitani "grubiańskimi krzykami i pogrózkami" i zamknięci - wraz z robactwem - po sześciu w ciasnych mnisich celach, gdzie dostali piętrowe prycze. Zakazano im spacerów, książek i papieru do pisania. Komendant obozu Bachulis próbował złamać więźniów, pozbawiając ich oświetlenia i ogrzewania, od czasu do czasu strzelając w ich okna. W odpowiedzi więźniowie rozpoczęli kolejną niekończącą się rundę strajków głodowych i listów protestacyjnych. Ostatecznie zażądali przeniesienia z obozu, który określali jako malaryczny. Inni komendanci obozów również skarżyli się na ten typ więźniów. W liście do Dzierżyńskiego jeden z nich napisał, że w jego obozie "białogwardziści, którzy uznali się za więźniów politycznych", zorganizowali się w grupę uniemożliwiającą pracę strażnikom, "zniesławiają administrację [...] oraz ucziwe i dobre imię sowieckiego funkcjonariusza". Niektórzy przedstawiciele władz lokalnych postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. W kwietniu 1921 roku grupa więźniów w Pietromińsku odmówiła pracy i domagała się wyższych racji żywnościowych. Rozsierdzona tym przejawem niesubordynacji administracja w Archangielsku skazała wszystkich 540 na karę śmierci.

Więźniów niezwłocznie rozstrzelano. Gdzie indziej władze, starając się utrzymać spokój, przyjęły taktykę ustępstw i uznały wszystkie żądania socjalistów. Berta Babina, członkini partii socjalistów - rewolucjonistów, pamiętała swoje przybycie do "socjalistycznego skrzydła" więzienia Butyrki w Moskwie jako radosne spotkanie z przyjaciółmi "z petersburskiego podziemia z okresu studiów" oraz towarzyszami "z różnych miast i miasteczek, w których zatrzymywaliśmy się podczas wędrówki". Pozwalano na swobodne poruszanie się po więzieniu.

Więźniowie organizowali poranną gimnastykę, założyli orkiestrę i chóry, stworzyli "klub" z zagranicznymi gazetami i dobrą biblioteką. Zgodnie z tradycją wywodzącą się z czasów przedrewolucyjnych każdy po uwolnieniu zostawiał swoje książki. Rada więźniów przyznawała cele, niektóre z nich pięknie urządzone, z dywanami na podłogach i ścianach.

Inny więzień zapamiętał: "Przechadzaliśmy się po korytarzach, jakby były bulwarami". Dla Babiny życie więzienne zdawało się nierzeczywiste:

"Czy nie mogą nas nawet zamknąć w prawdziwym więzieniu?"

Przewodniczący CzeKa zastanawiał się nad tym samym. W raporcie do Dzierżyńskiego, ze stycznia 1921 roku, funkcjonariusz nadzoru gniewnie wyjaśniał, że na Butyrkach "mężczyźni i kobiety spacerują razem, anarchistyczne i antyrewolucyjne slogany namalowane są na ścianach cel". Dzierżyński zalecił ściślejszy rygor, ale gdy ściślejszy rygor zaprowadzono - więźniowie zaprotestowali. Idylla na Butyrkach wkrótce się skończyła. W kwietniu 1921 roku według listu, który grupa socjalrewolucjonistów wysłała do władz, "między trzecią a czwartą nad ranem grupa uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do cel i zaatakowała więźniów [...], kobiety wyciągano za ramiona, nogi, za włosy, inne były bite". Później we własnym raporcie CzeKa opisała "incydent" jako rebelię, która wymknęła się spod kontroli. Aby uniknąć podobnych w przyszłości, nie można pozwolić na zgromadzenie tak wielu "politycznych" w Moskwie. W lutym 1922 roku "socjalistyczne skrzydło" Butyrek zostało ostatecznie zlikwidowane. Represje nie przynosiły skutku. Ustępstwa także nie. CzeKa nawet w specjalnych obozach nie umiała kontrolować swoich specjalnych więźniów ani też zapobiec przedostawaniu się w świat informacji o nich. Wyraźnie potrzebne było inne rozwiązanie. W

początkach 1923 roku rozwiązanie to znaleziono - były nim Sołowki.

ROZDZIAŁ 2

Pierwszy obóz Gułagu

KIEDY SPOGLĄDAMY DZISIAJ ze szczytu dzwonnicy wznoszącej się w rogu zabudowań klasztoru sołowieckiego, z łatwością możemy dostrzec obrzeża byłego obozu

koncentracyjnego. Gruby mur wciąż otacza Kreml Sołowiecki -

wzniesione

w XV wieku skupisko zabudowań klasztornych i cerkiewnych. Za czasów Gułagu

mieścił się tu główny zarząd łagru oraz centralne baraki. Kawałek dalej na zachód leży przystań, niegdyś zatłoczona transportami jeńców, przybywających tu co tydzień, a niekiedy nawet codziennie w czasie krótkiego sezonu nawigacyjnego; dzisiaj cumuje tu kilka łodzi rybackich.

Za nią rozciąga się

płaska przestrzeń Morza Białego. Stąd do Kiemu, portu na kontynencie, w którym znajdował się obóz przejściowy dla wysyłanych na Solówki więźniów,

płynie się łodzią kilka godzin. Wyprawa do Archangielska, stolicy regionu i zarazem największego nad Morzem Białym portu, wymaga całonocnej podróży.

Kiedy spojrzymy na północ, może uda się nam dostrzec mgliste kontury cerkwi na

szczycie Siekierskiej Góry. Tu mieściły się niegdyś okryte złą sławą sołowieckie

karcery. Na wschód od niej wznosi się zbudowana przez więźniów stacja generatorów

prądotwórczych; jest wciąż w użyciu. Tuż za nią rozciąga się spłacheć ziemi, gdzie był niegdyś ogród botaniczny. Tam właśnie, we wczesnych

latach obozu, niektórzy z więźniów uprawiali rośliny eksperymentalne, próbując określić, co, i czy w ogóle cokolwiek, można uprawiać na Dalekiej Północy.

Za ogrodem botanicznym jest już tylko Morze Białe i rozrzucone po nim wyspy Archipelagu Sołowieckiego: Wielka Muksałma, na której więźniowie hodowali

srebrzystoczarne lisy na futra; Anzer, gdzie znajdował się specjalny obóz dla inwalidów, kobiet z dziećmi i byłych mnichów, oraz Zajęcza Wyspa z terenami byłego obozu karnego dla kobiet. Zapewne nie bez powodu Sołżenicyn użył określenia "archipelag", opisując system łagrów sowieckich: obóz sołowiecki powstał na czymś w rodzaju archipelagu, obsadzając wyspę po wyspie i przejmując kolejno rozproszone po nich stare cerkwie i budynki klasztorne.

Kompleks klasztorny już wcześniej służył za więzienie. Mnisi sołowieccy, jako oddani słudzy cara, pomagali izolować jego przeciwników i od XVI stulecia

przetrzymywali w klasztorze przywódców sekt religijnych i zbuntowanych bojarów. Odosobnienie, wysokie mury, chłodne wiatry i mewy, które przyciągnęły

niegdyś szukających samotności mnichów, wyraźnie pobudziły bolszewicką wyobraźnię. W maju 1920 roku w artykule opublikowanym w archangielskim wydaniu rządowej gazety "Izwestia" opisano wyspy jako miejsce wymarzone wręcz na

obóz pracy: "Surowy klimat, dyscyplina pracy i walka z siłami natury będą wyśmienitą szkołą dla wszystkich elementów przestępczych". Tego właśnie lata dotarła na Sołowki pierwsza partia więźniów. Wyspami zainteresowali się również urzędnicy wyższej rangi. Wydaje się, że to właśnie Dzierżyński przekonał rząd sowiecki do przekazania CzeKa skonfiskowanego majątku klasztoru sołowieckiego oraz klasztorów w Pietromińsku i Chołmogorach. Nastąpiło to 13 października 1923 roku, mniej więcej w tym samym czasie CzeKa zmieniło nazwę na GPU, a następnie OGPU.

Klasztory zostały ochrzczone wspólnym mianem

"obozów specjalnego przeznaczenia", w późniejszych latach określano je jako Siewiemyje Łageria Osobogo Naznaczenia, w skrócie SŁOŃ.

Potocznie nazywano je "słoniem" - nazwa ta stała się źródłem wielu żartów i kpin, mimo to jednak budziła też grozę.

Mimo iż uczeni podkreślają, że w latach dwudziestych istniała już cała sieć

obozów i więzień, dla byłych zesłańców Sołowki na zawsze pozostaną

"pierwszym obozem Gułagu". To właśnie one odegrały niezwykle rolę, nie tylko w życiu

więźniów, lecz również w działalności tajnej policji sowieckiej. Być może nie było to jedyne

więzienie funkcjonujące w Związku Sowieckim w 1920

roku, niewątpliwie jednak było jedynym, które należało do WCzeKa. Tu właśnie WCzeKa

i OGPU uczyły się, jak czerpać zyski z pracy niewolniczej. W roku 1945

w trakcie

wykładu poświęconego historii łagrów ówczesny komendant całego systemu, Nasiedkin, podkreślał, że to właśnie na wyspach w 1920 roku zrodził się system

obozów. Tam też również powstał w roku 1926 cały sowiecki system

"pracy przymusowej jako metody reedukacji". Tego typu stwierdzenie może się wydać z pozoru nieco dziwne, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że w Sowietach po 1918 roku praca przymusowa była dosyć popularną formą kary. Należy jednak przyjrzeć się, w jakim kierunku na Sołowkach ewoluowała definicja "pracy przymusowej". Mimo iż na wyspie pracowali wszyscy, początkowo więźniowie nie byli zorganizowani w nic, co przypominałoby nawet w ogólnym zarysie

"system". Nic nie wskazuje też na to, by ich praca przynosiła jakiegokolwiek zyski.

Zacznijmy od tego, że jedna z dwóch głównych kategorii więźniów obozu sołowieckiego początkowo nie pracowała w ogóle. Było to około 300

socjalistów -

"politycznych" - którzy zaczęli docierać na wyspę w czerwcu 1923 roku.

Przysłano ich z Pietromińska, z Butyrek oraz innych więzień moskiewskich i piotrogrodzkich. Bezpośrednio po przybyciu zostali przeniesieni do małego klasztoru Sawwatiewo, położonego kilka kilometrów na północ od głównych zabudowań. W ten sposób skutecznie odizolowano ich od pozostałych więźniów, upewniając się, że nie zaszczepią w nich obyczaju strajków głodowych i protestów. Z początku socjalistom przyznano "przywileje" więźniów politycznych, których domagali się od tak dawna: dostęp do gazet i książek, swobodę poruszania się w obrębie otoczonego drutem kolczastym terenu oraz zwolnienie od obowiązku

pracy. Każda z większych partii politycznych - lewicowi i prawicowi socjalrewolucjoniści, anarchiści, socjaldemokraci, a później także bundowcy - wybrała swojego przywódcę i zajęła pomieszczenia w odrębnej części byłego klasztoru. Aresztowanej w 1924 roku Jekatierinie Olickiej, młodej lewicowej eserówce, Sawwatiewo z początku "w niczym nie przypominało więzienia" - było to

zaskoczenie po miesiącach spędzonych w ciemnej moskiewskiej Łubiance. Jej

pokój, cela mnicha, w żeńskiej sekcji klasztoru przyznanej socjalrewolucjonistom, była: „[...] jasna, czysta, ze świeżo odmalowanymi ścianami i dwoma dużymi, szerokimi oknami, które można było otwierać.

Cela była pełna światła i powietrza. Oczywiście w oknach nie było krat.

Na środku stał mały, przykryty białym obrusem stolik. Wzdłuż ścian stały cztery łóżka, schludnie przykryte prześcieradłami. Przy każdym z nich był

mały stolik nocny. Na stolikach leżały książki, zeszyty i przybory do pisania”.

Gdy zachwycała się tak panującymi w celi warunkami, podawaną w dzbankach herbatą i cukrem w cukiernicy, towarzyszki z celi wyjaśniły jej, że przyjemna

atmosfera jest dziełem samych więźniów, którzy "chcą żyć jak ludzie".

Olicka

dosyć szybko przekonała się, że sołowieccy więźniowie polityczni, pomimo niedożywienia i chorób (wielu cierpiało na gruźlicę), byli wyjątkowo dobrze zorganizowani. Każda cela miała "starszego", odpowiedzialnego za przechowywanie, gotowanie i rozdawanie jedzenia.

Ponieważ wciąż cieszyli się specjalnym statusem

"politycznych", wolno im było odbierać paczki od krewnych i z Politycznego

Czerwonego Krzyża, mimo że organizacja ta zaczęła borykać się z poważnymi

problemami. W 1922 roku jej biura zostały kilkakrotnie splądrowane, a własność

skonfiskowana - Jekatierina Pieszkowa jedynie dzięki dobrym kontaktom wciąż

mogła osobiście wysyłać pomoc więźniom politycznym. W 1923 roku udało się jej

przekazać więźniom politycznym Sawwatiewa wagon pełen jedzenia, a w październiku tego roku na północ pojechał cały transport ubrań. Było to w tym czasie jakieś rozwiązanie problemu, jaki stwarzali więźniowie polityczni: należało dać im to, czego mniej więcej chcieli, ale w zamian odciąć ich od świata na tyle, na ile to tylko było możliwe. Ten stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie, gdyż system sowiecki nie mógł zbyt długo tolerować wyjątków. Iluzję rozwiewał fakt, że na Solówkach przebywała inna, dużo większa grupa więźniów. "Po wylądowaniu na ziemi sołowieckiej wszyscy odnieśliśmy wrażenie, że zaczyna się nowy, niezwykle dziwny rozdział naszego życia - napisał jeden z więźniów politycznych. - Z rozmów z kryminalistami dowiedzieliśmy się o szokującym rygorze, jaki stosuje wobec nich administracja obozu". Z

mniejszą pompą i paradą zapełniały się główne baraki Kremla sołowieckiego - zaledwie kilkuset osób w roku 1923 liczba przetrzymywanych tam więźniów wzrosła w roku 1925 do 6 tysięcy. Ich status nie był inny. Wśród nich znajdowali się oficerowie białogwardyjscy i ich stronnicy, "spekulanci", byli arystokraci, marynarze, którzy wzięli udział w buncie kronsztadzki, i zwykli przestępcy. Dla nich herbata w dzbankach i cukier w cukiernicy były czymś zdecydowanie trudniejszym do osiągnięcia. A może raczej dla niektórych trudniejszym, dla innych mniej; w początkowych latach egzystencję w "kryminalnych" barakach obozu sołowieckiego charakteryzowały

absurd i nieprzewidywalność, dające o sobie znać tuż po przybyciu na miejsce. Były więzień Boris Szyrjajew wspomina, że pierwszej nocy po przybyciu jego i innych nowo przybyłych pierwszy komendant obozu, Nogtiew, przywitał słowami:

"Witam was", z wyraźną nutą czegoś, co Szyrjajew określa mianem

"ironii". "Jak zapewne wiecie - kontynuował - nie ma tu władzy sowieckiej, jest tylko władza sołowiecka. Zapomnijcie o wszystkich prawach, jakie przysługiwały wam do tej pory. My mamy tutaj własne prawa". Wielu pamiętnikarzy poświadcza, że zdanie: "nie ma władzy sowieckiej, jest tylko władza sołowiecka", powtarzano później wielokrotnie. W ciągu dni i tygodni większość więźniów miała okazję doświadczyć "władzy sołowieckiej" - dziwacznej mieszaniny przestępczej obojętności i przypadkowego okrucieństwa. Warunki bytowe w przerobionych na cele pomieszczeniach kościelnych i klasztornych były prymitywne, nikt też specjalnie nie dbał o to, by je poprawić. Pisarzowi Olegowi Wołkowowi pierwszej nocy w barakach sołowieckich przydzielono miejsce na "spłoszonych narach". Był to rodzaj pryczy zbudowanej z połączonych ze sobą szerokich desek, na których ludzie spali w rzędki, jeden obok drugiego. Gdy tylko Wołków się położył, zaczęły obłazić go pluskwy "wędrujące po słupkach szeregiem, jak mrówki po pniu drzewa [...]". Nie sposób przezwyciężyć wstrętu, chociaż pada się ze zmęczenia". Wyszedł z baraku na zewnątrz, ale natychmiast opadły go "chmury komarów". "Z przerażeniem patrzyłem na śpiących, pokrytych pluskwami ludzi i zazdrościłem im".

Poza głównymi budynkami Kremla sprawy nie miały się dużo lepiej.

Oficjalnie SŁOŃ sprawował pieczę nad dziewięcioma obozami na wyspach archipelagu,

każdy z obozów był dodatkowo podzielony na pododdziały. Oprócz tego jednak

część więźniów przetrzymywana była w zdecydowanie bardziej prymitywnych

warunkach, w lasach, w pobliżu miejsc wyrębu. Dmitrij Lichaczow, w późniejszych latach jeden z najbardziej znanych historyków literatury i kultury rosyjskiej,

poczuł się szczególnie wyróżniony, gdy nie przypisano go do któregoś z wielu bezimiennych obozów leśnych. Miał jednak okazję jeden z nich odwiedzić: "Aż zrobiło mi się niedobrze, gdy zobaczyłem ten upiorny widok: ludzie spali w jamach, które, niekiedy gołymi rękoma, ryli sobie w ciągu dnia".

Centralna administracja zdecydowanie słabiej kontrolowała strażników i komendantów obozów położonych na pozostałych wyspach. W swoich pamiętnikach

jeden z więźniów, Kisielów, opisuje obóz na wysepce Anzer. Obóz, którego komendantem był oczywiście Wańka Potapow, składał się z trzech baraków i kwatery strażników mieszczącej się w byłej cerkwi.

Więźniowie pracowali przy wyrębie

lasu bez przerw, bez chwili wytchnienia, z głodowymi racjami żywnościowymi.

Niektórzy desperaci, by dostać kilka dni odpoczynku, obcinali sobie dłonie i stopy. Z tego, co pisze Kisielów, wynika, że Potapow przetrzymywał takie "ptaszki" w specjalnym pomieszczeniu, aby pokazywać ich gościom. Komendant miał także zwyczaj przechwalać się, że osobiście zabił ponad 400 osób. "Nikt stamtąd nie wrócił" - napisał o Anzer Kisielów. Nawet jeśli jego historie są ubarwione, dają pojęcie o potwornościach, jakie czekały więźniów obozów zewnętrznych.

Panujące na wszystkich wyspach fatalne warunki higieniczne, przepracowanie i niedożywienie prowadziły do rozprzestrzeniania się chorób, zwłaszcza tyfusu.

Z 6 tysięcy osób przetrzymywanych w SŁOŃ w 1925 roku niemal jedna czwarta zmarła podczas zimy roku 1925 na 1926, w wyniku wybuchu wyjątkowo zjadliwej epidemii. Wedle niektórych wyliczeń wskaźniki śmiertelności utrzymywały się na bardzo wysokim poziomie - każdego roku od jednej czwartej do połowy więźniów umierało z głodu, na tyfus oraz z powodu innych chorób. Jeden z dokumentów odnotował w zimie roku 1929 na 1930 25 552 przypadki zachorowań na tyfus w obozach należących do SŁOŃ (w tym czasie już zdecydowanie większego).

Dla niektórych więźniów Solówki oznaczały coś zdecydowanie gorszego niż

tylko niewygody i choroby. Na wyspach skazańcy spotykali się z sadyzmem i bezsensownymi torturami, rzadko spotykanymi na terenie Gułagu w późniejszych latach, kiedy - jak określa to Sołżenicyn - zniewalanie stało się "żelaznym systemem". Opisy tych praktyk możemy znaleźć w wielu pamiętnikach, ale najlepszy

ich obraz daje raport komisji śledczej wysłanej pod koniec dekady z Moskwy.

W trakcie dochodzenia przerażeni funkcjonariusze odkryli, że nadzorcy obozów

sołowieckich zimą często pozostawiali nagich więźniów w starych, pozbawionych

ogrzewania dzwonicach cerkwi, z rękoma i nogami związanymi na plecach kawałkiem liny.

Więźniów sadzano także "na ławie" - byli zmuszani do siedzenia na tyczce, nie dotykając stopami ziemi, nawet osiemnaście godzin bez ruchu. Niekiedy do

nóg przywiązano im ciężary. Tego typu pozycja niemal gwarantowała poważne okaleczenie. Czasami wysyłano ich do kąpeli, musieli nago pokonać na mrozie dystans nawet dwóch kilometrów. Celowo karmiono ich zgniłym mięsem. Odmawiano pomocy medycznej. Zdarzało się też, że więźniom wyznaczano bezsensowne

i zupełnie niepotrzebne zadania, musieli na przykład przenosić z miejsca na miejsce sterty śniegu lub skakać do rzeki z mostu, gdy tylko strażnik zawołał: "delfin!". Zarówno w materiałach archiwalnych, jak i pamiętnikach znajdują się wzmianki o innej, specyficznej dla wysp formie tortur: wysyłaniu "na

komary". Klinger, oficer Białej Armii, któremu jako jednemu z nielicznych udało się uciec z Sołówek, był świadkiem wystawienia na tę torturę więźnia, który ośmielił się narzekać, że zarekwirowano adresowaną do niego paczkę. W odpowiedzi wściekli strażnicy zerwali z niego całe ubranie, łącznie z bielizną i przywiązali go do słupa w lesie, w którym w czasie północnego lata roiło się od komarów. "W ciągu pół godziny całe jego biedne ciało spuchło od ukąszeń, w końcu mężczyzna zemdlął z bólu i utraty krwi" - wspomina Klinger. Masowe egzekucje zdarzały się czasem zupełnie przypadkowo, wielu więźniów wspomina o nieustannie towarzyszącym uczuciu przerażenia, wywołanym perspektywą nieoczekiwanej śmierci. Lichaczow utrzymuje, że cudem udało mu się uniknąć egzekucji w trakcie masowego mordu pod koniec października 1929 roku. W rzeczy samej dokumenty archiwalne wspominają, że dokonano egzekucji około pięćdziesięciu (a nie trzystu, jak utrzymuje Lichaczow), więźniów oskarżonych o próbę zorganizowania buntu. Niewiele gorsze od bezpośredniej egzekucji było zesłanie do cerkwi na Siekierce, której piwnice służyły jako karcer obozu sołowieckiego. Tak naprawdę trudno powiedzieć, jak w istocie wyglądały panujące tam warunki, mimo iż krążyło na ten temat wiele historii: z Siekierki powróciło zbyt mało więźniów, aby warunki te w pełni odtworzyć. Jeden ze świadków widział maszerujące do pracy brygady.

"Wąż przerażonych ludzi - wspomina - o nieludzkim wyglądzie, wszyscy bosy, niektórzy mieli na sobie worki, otoczeni przez uzbrojonych strażników".

Zgodnie z jedną z sołowieckich legend długie, wiodące z cerkiewnego wzgórza drewniane schody o 365 stopniach były również miejscem masowych zabójstw. Gdy w pewnym momencie władze zabroniły strażnikom rozstrzeliwania więźniów na Siekierce, zaczęto aranżować

"wypadki" i po prostu strącano ludzi ze schodów. W ostatnich latach potomkowie więźniów sołowieckich wznieśli u stóp

wzgórza krzyż, upamiętniający miejsce, w którym podobno ginęli ludzie.

Teraz

jest to spokojny i pełen uroku zakątek. Tak piękny, że pod koniec lat dziewięćdziesiątych sołowieckie muzeum historyczne wydało kartkę świąteczną, przedstawiającą Siekierską Górę, schody i krzyż.

W początku lat dwudziestych SŁOŃ opanował duch absurdu i nieprzewidywalności. To, co sprawiało, że umierało tysiące ludzi, pomagało innym nie tylko żyć, ale

również, w dosłownym tego znaczeniu, tańczyć i śpiewać. W 1923 roku grupka

więźniów zaczęła organizować pierwszy teatr obozowy. Z początku

"aktorzy" nie

mieli scenariuszy, grali więc z pamięci fragmenty klasyki. Wielu z nich każdego

dnia przed pójściem na próbę spędzało dziesięć godzin przy wyrębie lasu.

Teatr

rozwinął się niezwykle rok później, kiedy to do obozu dotarła cała trupa zawodowych aktorów (wszyscy skazani za udział w ruchu

"kontrrewolucyjnym"). Wystawiono wtedy między innymi Wujaszka Wanię Czechowa. W późniejszych latach na scenie teatru sołowieckiego wystawiano opery i operetki, odbywały się tam również pokazy akrobatyczne i projekcje filmów. Na wieczór muzyczny składały się kolejno: występ orkiestry, kwintetu, chóru i solistów śpiewających rosyjskie arie operowe. Od marca 1924 roku repertuar stanowiły sztuki Leonida Andriejewa (jego syn Danił, również pisarz, został później więźniem Gułagu) i Gogola, oraz wieczór poświęcony pamięci Sarah Bernhardt. Teatr nie był jedynym przejawem życia kulturalnego. Na Sołówkach znajdowała się także licząca 30 tysięcy książek biblioteka oraz ogród botaniczny, w którym więźniowie eksperymentowali z roślinnością arktyczną. Skazańcy, wśród których znajdowało się wielu petersburskich naukowców, stworzyli również muzeum poświęcone lokalnej florze i faunie oraz historii i sztuce regionu. Elita więźniów miała do dyspozycji

"klub", przynajmniej na fotografiach prezentujący się, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, wielce burżuazyjnie. Zdjęcia ukazują przytulne wnętrza z fortepianem, parkietem i spoglądającymi ze ścian portretami Marksa, Lenina i Łunaczarskiego, pierwszego sowieckiego komisarza kultury. Z pomocą starych, należących jeszcze do mnichów, sprzętów do litografii więźniowie wydawali miesięczniki i gazety, w których obok rysunków satyrycznych i tęsknych poematów znajdowała się także zaskakująco szczera proza. W 1925 roku w grudniowym wydaniu

"Sołowieckich Ostrowów" ("Wysp Sołowieckich") opublikowano krótkie opowiadanie o byłej aktorce, zesłanej na Sołowki i zmuszonej do pracy jako pomywaczka. Kobieta zupełnie nie umiała pogodzić się ze swym losem. Opowiadanie kończy się zdaniem: "Sołowki są przeklęte". Inna nowela opowiada o przedstawicielu arystokracji, któremu nie były obce

"intymne wieczory w Pałacu Zimowym". Człowiek ten nie może odnaleźć się w nowej sytuacji i czuje się komfortowo jedynie w towarzystwie innego byłego arystokraty, z którym wspomina dawne czasy. Widać stąd jasno, że nie obowiązywały jeszcze schematy socrealizmu. Niektóre z opowiadań nie mają obowiązkowego w późniejszych czasach szczęśliwego zakończenia, a wielu bohaterów nie przystosowuje się z radością do rzeczywistości sowieckiej.

W wydawanych na Sołówkach czasopismach można było znaleźć również artykuły o bardziej naukowym charakterze, począwszy od analizy etykiety kryminalnej

hazardzistów pióra Lichaczowa, po rozprawy na temat sztuki i architektury zrujnowanych cerkwi sołowieckich. W latach 1926-1929

drukarni SŁOŃ udało się opublikować 29 zeszytów prezentujących prace Sołowieckiego Towarzystwa na Rzecz Badań Regionalnych, które prowadziło studia nad miejscową fauną i florą. Szczególną uwagę zwrócono na renifery oraz lokalną roślinność. W zeszytach ukazywały się także artykuły o produkcji cegieł, prądach powietrznych, użytecznych minerałach oraz hodowli zwierząt futerkowych. Tym ostatnim zagadnieniem niektórzy z więźniów zainteresowali się szczególnie w 1927

roku, kiedy to aktywność ekonomiczna obozów sięgnęła szczytu. By polepszyć jakość miejscowych futer, sprowadzono wówczas z Finlandii

"zarodowe" lisy srebrzystoczarne. Towarzystwo przeprowadziło również szeroko zakrojone badania geologiczne wyspy. Do dzisiaj stanowią podstawę dalszych studiów dyrektora miejscowego muzeum historii naturalnej. Bardziej uprzywilejowani więźniowie brali również udział w obchodach nowych sowieckich świąt i uroczystości. Takiej okazji było z założenia pozbawione kolejne pokolenie łągierników. W artykule z wrześniowego wydania "Sołowieckich Ostrowów" z 1925 roku opisane są obchody święta 1 Maja. Szkoda, że nie dopisała pogoda: „Pierwszego maja cały Związek Sowiecki pokryty jest kwieciami, ale na Wyspach Sołowieckich jest pełno śniegu, a morze wciąż pokrywa lód. Mimo to przygotowujemy się do obchodów święta proletariatu. Od wczesnego ranka w barakach trwa agitacja. Niektórzy się myją, inni gołą. Ktoś łąta ubranie, ktoś inny glansuje buty”. Z perspektywy jeszcze bardziej zaskakujący wydaje się fakt, że na wyspach stosunkowo długo odprawiano

ceremonie religijne. Jeden z byłych więźniów, Kazaczkow, wspomina

"wspaniałą"

Wielkanoc 1926 roku: „Na krótko przed świętem nowy komendant oddziału zażądał,

by zadeklarowali się wszyscy ,którzy chcą iść do cerkwi. Z początku nikt tego

nie zrobił, wszyscy obawiali się konsekwencji. Ale tuż przed Wielkanocą zgłosiło

się wielu ludzi [...]. Wzdłuż drogi do cerkwi Onufrijewskiej, kaplicy na cmentarzu, przemaszerowała olbrzymia procesja, ludzie szli w kilku kolumnach.

Oczywiście nie wszyscy zmieścili się w kaplicy. Ludzie stali na zewnątrz, ci,

którzy się spóźnili, nie słyszeli nawet nabożeństwa”. W maju 1924 roku na

łamach innej gazety więziennej "Sołowieckoje Łagieria" pisano ostrożnie, ale

nawet pochlebnie, o Wielkanocy jako "dawnym święcie dla uczczenia nadejścia

wiosny", które "jest wciąż obchodzone pod czerwonym sztandarem". Ku zaskoczeniu

wielu więźniów wraz ze świętami religijnymi do drugiej połowy dekady przetrwała

też garstka duchownych. Pełnili funkcję "instruktorów" i dzielili się z więźniami umiejętnościami niezbędnymi do utrzymania swoich dawnych gospodarstw

rolnych oraz połowu ryb (pochodzące z Sołówek śledzie były niegdyś ozdobą

carskiego stołu). Mnisi odsłoniли także sekrety złożonego systemu kanałów łączących przez wieki klasztery wyspy. W miarę upływu lat do mnichów sołowieckich dołączyły dziesiątki popów, księży

oraz członków hierarchii kościelnej, zarówno wyznawców prawosławia, jak i katolicyzmu, którzy sprzeciwiali się konfiskacie dóbr kościelnych lub pogwałcili "dekret o rozdziale Kościoła i państwa". Duchownym, podobnie jak więźniom politycznym z

kręgów socjalistycznych, pozwolono mieszkać oddzielnie i przydzielono im jeden z baraków na terenie Kremla. Do lat 1930-1931 mogli regularnie brać udział w nabożeństwach i je odprawiać w małej kapliczce na terenie byłego cmentarza. Tym przywilejem, poza wyjątkowymi okazjami, nie mogli poszczycić się inni więźniowie. Budziło to niezadowolenie, toteż czasami dochodziło do

spięć między mnichami a zwykłymi łagiernikami. Jedna z więźniarek, po urodzeniu dziecka przeniesiona do specjalnej kolonii dla matek na wyspie Anzer, wspomina, że zakonnice na wyspie "trzymały się z dala od nas, niewierzących [...],

były wściekłe, nie lubiły dzieci, a nas darzyły nienawiścią". Jak wynika z wielu pamiętników, inni duchowni mieli odmienne nastawienie i poświęcali się szerzeniu słowa Bożego oraz pracy społecznej wśród przestępców i

więźniów politycznych. Osoby, które miały pieniądze, mogły wykupić się od pracy w lesie, a także ochronić się przed torturami i śmiercią. Na Sołówkach działała restauracja, obsługująca (wprawdzie nielegalnie) również więźniów. Ci, których było stać na niezbędne łapówki, mogli sprowadzać sobie jedzenie.

W

pewnym momencie zarząd obozu otworzył nawet na wyspie "sklepy", w których więźniowie mogli kupić ubrania po cenach dwukrotnie przewyższających obowiązujące na wolności. Niewątpliwie jedną z osób, którym udało się wykupić od

cierpienia, był "hrabia Yiolaro". Ta awanturnicza postać pojawia się (pod przeróżnymi imionami) w wielu pamiętnikach. Hrabia, opisywany zwykle jako "ambasador meksykański w Egipcie", popełnił poważny błąd - tuż po rewolucji odwiedził rodzinę żony, mieszkającą w sowieckiej już Gruzji.

Małżonkowie zostali aresztowani i wywiezieni na Daleką Północ, gdzie z początku trafili do więzienia. Hrabinę zmuszono do pracy w charakterze praczki. Jak jednak głosi legenda obozowa, za 5 tysięcy rubli hrabia wykupił dla siebie i żony prawo do mieszkania w osobnym domu, posiadania konia oraz służącego. Inni przypominają sobie obecność bogatego kupca indyjskiego z Bombaju, uwolnionego dzięki pomocy konsulatu brytyjskiego w Moskwie. Jego wspomnienia ukazały się

później w prasie emigracyjnej. Te oraz wiele innych przykładów bogatych więźniów, żyjących sobie całkiem nieźle i w miarę szybko zwalnianych z obozów, były tak uderzające, że w 1926 roku grupa mniej uprzywilejowanych więźniów wystosowała pismo do Biura Politycznego.

Skarżyli się na "królujące w sołowieckim obozie koncentracyjnym samowolę i brutalność". Używając właściwych sformułowań, by przypodobać się

władzom, pisali, że "ludzie z pieniędzmi wykorzystują swoje fundusze, by się

urządzić, zrzucając tym samym cały ciężar pracy na barki pozbawionych niestety

środków pieniężnych robotników i chłopów". Podczas gdy bogaci kupowali sobie

łatwe zajęcia, biedacy pracowali "po 16 godzin na dobę". Jak się okazało, nie byli to jedyni ludzie niezadowoleni z pełnych sprzeczności praktyk zarządców obozów sowieckich.

Podczas gdy więźniowie zmagali się z brutalnością i złym traktowaniem, stojących wyżej w hierarchii urzędników zaprzętały nieco inne problemy.

Już w połowie dekady było jasne, że obozy SŁOŃ, podobnie zresztą jak pozostałe "zwyczajne" więzienia, nie są w stanie sprostać głównemu celowi, jaki przed nimi stawiano:

nie stały się samowystarczalne. W rzeczy samej obozy koncentracyjne, zarówno

"specjalne", jak i "zwyczajne", nie tylko nie przynosiły zysku, ale na domiar złego ich komendanci wciąż domagali się zwiększenia funduszy.

Pod tym względem Sołowki nie różniły się zbyt wiele od innych więzień.

Być może na wyspie panowały nieco bardziej surowe warunki i większe okrucieństwo, wynikało to jednak po części ze specjalnej kategorii osadzonych więźniów i doboru strażników. W tym czasie z podobnymi problemami można było się zetknąć w więzieniach i obozach w całym Związku Sowieckim. Teoretycznie na zwykły system więziennictwa składały się także "kolonie" z przyległymi gospodarstwami rolnymi, warsztatami i fabrykami, ale i one z ekonomicznego punktu widzenia były fatalnie zorganizowane i nierentowne. W 1928 roku przedstawiono raport z jednego z takich obozów, z odległej prowincji Karelii. W łagrze przebywało 59 więźniów, oprócz nich znajdowało się tam 7 koni, 2 świnie i 21 krów. Inspektor donosił, że jedynie połowa więźniów miała koce.

Wszystkie konie były w fatalnej kondycji (jeden z nich został bez pozwolenia sprzedany Cyganom, reszta zaś służyła strażnikom obozowym do przejażdżek). Wypuszczony na wolność kowal zabrał ze sobą wszystkie narzędzia z obozowej kuźni. Budynki były pozbawione ogrzewania i nie miały nawet izolacji, wyjątek stanowiła rezydencja komendanta obozu. Co gorsza, tenże komendant miał zwyczaj spędzać 3

lub 4 dni w tygodniu poza obozem, notorycznie zwalniał więźniów bez uzyskania zgody przełożonych, "z uporem maniaka odmawiał" uczenia więźniów uprawy roli i otwarcie wyrażał swoją opinię na temat

"bezużyteczności" ich reedukacji. Żony niektórych skazańców mieszkaly z nimi w obozie, innych przyjeżdżały na długie odwiedziny, po czym znikaly ze swoimi małżonkami w lesie. Strażnicy mieli skłonność do

"bójek i pijaństwa". Nic więc dziwnego, że w 1929 roku władze centralne pociągnęły władze Karelii do odpowiedzialności za "niezrozumienie, jak istotną rolę odgrywa praca przymusowa w obronie społeczeństwa oraz jak wielkie korzyści płyną z niej dla państwa i ludu". Tego typu obozy nie przynosiły zysków. Co więcej, z materiałów archiwalnych wynika, że było tak od samego początku. W lipcu 1919 roku szefowie CzeKa z Homla na Białorusi wysłali do Dzierżyńskiego list z żądaniem pilnego dofinansowania w wysokości 500 tysięcy rubli, gdyż budowę miejscowego obozu wstrzymano z braku funduszy. Przez następne dziesięciolecie rozmaite ministerstwa i instytucje, dążące do przejęcia kontroli nad systemem więziennictwa, prowadziły spory nie tylko o władzę, ale również o finanse. By odciążyć system penitencjarny, ogłaszano od czasu do czasu amnestie. Największa miała miejsce na jesieni 1927 roku, w dziesiątą rocznicę rewolucji październikowej. Ze zwykłych więzi zwolniono wtedy ponad 50 tysięcy osób, pozwoliło to na redukcję przepełnienia i duże oszczędności finansowe.

Świadomość tego, że niezbędne jest "zrobienie lepszego użytku z więźniów",

dotarła w końcu na sam szczyt. Dziesiątego listopada 1925 roku Gieorgij Piatakow, wówczas jeden z przywódców bolszewickich, wystosował do Dzierżyńskiego notę. Pisał między innymi: "Doszedłem do wniosku, że w celu stworzenia elementarnych warunków dla rozwoju kultury pracy należy w pewnych regionach

kraju utworzyć miejsca pracy przymusowej. Tego typu osady pomogą w rozładowaniu tłoku w więzieniach. GPU powinno otrzymać odpowiednie wytyczne i zgłębić to zagadnienie". W dalszej części listu Piatakow wymienił cztery regiony, wymagające według niego podjęcia pilnych działań: wyspę Sachalin na Dalekim

Wschodzie, tereny w pobliżu ujścia Jeniseju na Dalekiej Północy, stepy Kazachstanu i obszar wokół syberyjskiego miasta Nerczyńsk - w późniejszych latach wszędzie tam powstały obozy. Dzierżyński zaaprobował pismo i przesłał je dwóm współpracownikom z instrukcją opracowania planu dalszych działań.

Z początku nie podjęto żadnych kroków, być może dlatego, że Dzierżyński

wkrótce zmarł. Tak czy inaczej pismo stało się zwiastunem zmian. Do połowy lat

dwudziestych dla rządu sowieckiego nie było całkowicie jasne, czy więzienia

i obozy mają służyć resocjalizacji i karaniu więźniów, czy też być źródłem dochodu dla reżimu. W końcu jednak instytucje odpowiedzialne za los obozów koncentracyjnych powoli doszły do wspólnego wniosku: więzienia mają być samowystarczalne. Pod koniec dekady nastąpiło przeobrażenie pełnego nieładu porewolucyjnego świata sowieckich więzi, a z chaosu wyłonił się nowy system. Sołowki stały się nie tylko zorganizowanym przedsięwzięciem ekonomicznym, były obozem modelowym, wzorem, który powielano wzdłuż i wszerz Związku Sowieckiego w wielu

tysiącach egzemplarzy. Nawet jeśli nie było tego z początku widać, dostrzeżono w końcu niezwykle istotną rolę, jaką odgrywały w tym procesie Sołowki. W 1930 roku na posiedzeniu sołowieckiego komitetu WKP/b/ miejscowy naczelnik - Uspienski - oświadczył, że

"doświadczenia wyniesione z obozu sołowieckiego ostatecznie przekonały partię i rząd o konieczności zastąpienia istniejącego w Związku Sowieckim systemu więzień systemem obozów pracy poprawczej".

Niektóre rozwiązania wymyśliły władze centralne już na samym początku, niemniej podstawy i techniki nowego systemu - nowe metody zarządzania, organizacji więźniów i ustalania reżimu pracy - zrodziły się bezpośrednio na wyspach. Być może w połowie lat dwudziestych na Sołówkach panował jeszcze chaos, ale z niego właśnie wkrótce wyrósł przyszły system Gułagu.

Przyczyny i kierunek ewolucji SŁOŃ wiążą się po części z postacią Naftalija Aro-nowicza Frenkla, więźnia, który powoli awansował, by w końcu stać się jednym

z najbardziej wpływowych naczelników obozów sołowieckich. Sołżenicyn w Archipelagu Gułag utrzymuje, że Frenkel osobiście opracował schemat odżywiania

więźniów, w zależności od wykonanej przez nich pracy. Ten zabójczy system, który w ciągu kilku tygodni wyniszczał słabsze organizmy, stał się

-jak będziemy się

mieli okazję przekonać - przyczyną śmierci niezliczonej liczby więźniów.

Z drugiej strony wielu historyków - zarówno rosyjskich, jak i zachodnich -

podważa

rolę Frenkla. Według nich większość opowieści o jego wszechmocy to po prostu

legandy. Tak naprawdę wydaje się, że Sołżenicyn przypisał Frenklowi stanowczo zbyt wiele. Więźniowie obozów przedsołowieckich również wspominali, że za dodatkową pracę nagradzano ich zwiększeniem racji żywnościowych. W pewnym sensie jest to oczywiste, toteż trudno przypisywać ten pomysł konkretnej osobie. Tak

czy inaczej udostępnione ostatnio materiały archiwalne, zwłaszcza z regionalnych

archiwów Karelii, uwypuklają rolę, jaką odegrał Frenkel. Nawet jeśli nie był on

twórcą wszystkich elementów systemu, znalazł sposób pozwalający na przekształcenie obozu więziennego w całkiem rentowną instytucję. Co więcej, zrobił to w takim czasie, miejscu i w taki sposób, że przykuło to uwagę Stalina.

Nie można się też dziwić zamieszaniu, jakie powstało wokół jego osoby.

Wzmianki o Frenkle pojawiają się w wielu pamiętnikach z wczesnego okresu istnienia obozów. Wynika z nich jednoznacznie, że człowiek ten stał się jeszcze za życia legendą. Oficjalne fotografie ukazują mężczyznę o groźnym obliczu, w skórzanej czapce, ze starannie przystrzyżonymi włosami. Jeden z pamiętnikarzy pisze, że "miał zwyczaj ubierania się niczym dandys". Podziwiający go kolega z OGPU rozwodził się nad doskonałą pamięcią Frenkla: "Nigdy nie zapisywał niczego na kartkach".

W późniejszych latach propaganda sowiecka rozpisywała się o jego

"niesamowitej pojemności pamięci" oraz o "wspaniałej znajomości drewna i pracy

w lesie jako takiej", a także o biegłości w dziedzinie rolnictwa, inżynierii oraz rozległej wiedzy ogólnej. Pewnego razu wdał się w rozmowę z dwoma pracownikami firmy produkującej mydło, perfumy i kosmetyki.

Bardzo szybko przyćmił ich wiedzę, wykazując się imponującą znajomością perfum. Okazało się nawet, że jest specjalistą w dziedzinie międzynarodowego rynku i zna mnóstwo ciekawostek związanych z upodobaniami zapachowymi mieszkańców Malajów.

Inni bali się go i nienawidzili. W 1928 roku na kilku specjalnych zebraniach

sołowieckiej komórki partyjnej towarzysze oskarżyli Frenkla o zorganizowanie

własnej siatki szpiegowskiej w taki sposób, "że wiedział wszystko o wszystkich,

zanim dotarło to do kogokolwiek innego". Już w 1927 roku historie o nim rozgłaszano w Paryżu. W jednej z pierwszych poświęconych Sołówkom książek francuski antykomunista napisał o Frenkle, że "w wyniku jego bezdusznych pomysłów miliony nieszczęsnych ludzi skazano na potworną pracę i nieludzkie cierpienie". Nawet współcześni nie mieli pewności, skąd pochodził Frenkel. Sołżenicyn określał go jako "tureckiego Żyda urodzonego w Konstantynopolu". Ktoś inny nazwał go "węgierskim przemysłowcem". Szyrjajew utrzymywał, że Frenkel pochodził z Odessy, inni, że wywodził się z Austrii, z Palestyny albo że pracował kiedyś w fabryce Forda w Ameryce. Problem ten wyjaśnia karta rejestracyjna więźnia, gdzie jest wyraźnie napisane, że Frenkel urodził się w 1883 roku w Hajfie, należącej w tym czasie, jak cała Palestyna, do Imperium Osmańskiego. Stamtąd dostał się (być może przez Odessę lub Austro-Węgry) do Związku Sowieckiego, gdzie przedstawiał się jako "kupiec". W

1923 roku został z rozkazu władz aresztowany za "nielegalne przekraczanie granic", co mogło oznaczać, że otarł się o przemyt lub po prostu, że jak na warunki sowieckie wiodło mu się zbyt dobrze, by to tolerować. Skazano go na 10 lat ciężkich robót na Sołówkach. To, w jaki sposób Frenklowi udało się przeobrazić z więźnia w naczelnika obozu, wciąż pozostaje tajemnicą. Legenda głosi, że po przybyciu do łagru, zszokowany złą organizacją oraz marnotrawstwem pieniędzy i pracy, usiadł i napisał list, niezwykle skrupulatnie opisując wszystkie wady każdego z przedsięwzięć obozowych, począwszy od uprawy roli, przez wycinkę lasu, po wytwórstwo cegieł. Pismo wrzucił do "skrzynki zażaleń"

przeznaczonej dla więźniów. Owe pismo przykuło uwagę komendanta, który jako ciekawostkę

przesłał je dalej. List trafił do samego Gienricha Jagody, podówczas wspinającego się błyskawicznie po szczeblach biurokracji tajnej policji i mającego wkrótce objąć jej kierownictwo.

Podobno Jagoda natychmiast zażądał spotkania z autorem. Według jednego z pamiętnikarzy (a także Sołżenicyna, który nie powołuje się na żadne źródła) Frenkel twierdził, że w pewnym momencie, zupełnie nieoczekiwanie przeniesiono go do Moskwy, gdzie miał okazję omówić swoje koncepcje ze Stalinem i jednym z jego najbliższych współpracowników, Kaganowiczem. W tym miejscu legenda staje się mglista, wprawdzie materiały archiwalne potwierdzają, że w latach trzydziestych Frenkel rzeczywiście spotykał się ze Stalinem, a podczas wielkiej czystki w partii cieszył się jego protekcją, nie znaleziono jednak żadnych wzmianek o wizycie, jaką miałby złożyć u Stalina w latach dwudziestych. Nie pragnę tutaj bynajmniej sugerować, że takie zdarzenie nie miało miejsca, po prostu brak potwierdzających ten fakt dokumentów.

Historię tę potwierdza wiele zupełnie przypadkowych dowodów. Frenkel zaskakująco szybko awansował z więźnia na strażnika, nawet jeśli ocenimy to wedle niezwykle chaotycznych standardów SŁOŃ. O

przedterminowe zwolnienie Frenkla wnioskowano w listopadzie 1924

roku, a więc już po niespełna dwunastu miesiącach jego pobytu w obozie.

Ostatecznie zgodę wydano w 1927 roku. Przez ten czas zarząd obozu regularnie przedstawiał OGPU raporty, w których wyrażał się o Frenkle w samych superlatywach: "Okazał się wyjątkowo utalentowanym pracownikiem, dzięki temu pozyskał sobie zaufanie zarządu SŁOŃ i cieszy się dużym autorytetem [...], jest jednym spośród nielicznych odpowiedzialnych pracowników". Wiemy także, że Frenkel stworzył

Wydział Ekonomiczno-Handlowy SŁOŃ, a następnie nim kierował.

Wykorzystując to stanowisko, starał się uczynić obóz sołowiecki nie tylko samowystarczalnym, jak wymagał tego dekret o obozach koncentracyjnych, ale sprawić wręcz, aby przynosił zyski. Udało mu się to do tego stopnia, że Sołowki zaczęły przyjmować zamówienia od innych przedsiębiorstw. Mimo że przedsiębiorstwa te należały do państwa, a nie do osób prywatnych, w latach dwudziestych wciąż można było mówić w Sowietach o elementach konkurencji, a Frenkel potrafił to wykorzystać.

We wrześniu 1925 roku SŁOŃ uzyskał prawo do wycięcia w Karelii 150

tysięcy metrów kubicznych drewna, przebijając tym samym osiągnięcia cywilnego przemysłu leśnego. SŁOŃ został także udziałowcem Karelskiego Banku Komunalnego i brał udział w przetargu na budowę drogi z Kiemu do położonej na Dalekiej Północy Uchty. Władze Karelii były od samego początku niezadowolone z tej działalności, zwłaszcza że od pierwszej chwili sprzeciwiały się stworzeniu zespołu obozów. Skargi stały się coraz głośniejsze. Na spotkaniu zwołanym w celu omówienia ekspansji SŁOŃ przedstawiciele władz lokalnych skarżyli się, że obóz niesprawiedliwie dysponuje taną siłą roboczą, przez co odbiera pracę wolnonajemnym robotnikom leśnym. Z czasem atmosfera na zebraniach robiła się coraz bardziej gorąca, a stawiane przez delegatów zarzuty miały poważniejszy charakter. W lutym 1926

roku na posiedzeniu Rady Komisarzy Ludowych Karelskiej ASRS, lokalni przywódcy ostro zaatakowali SŁOŃ, oskarżając konsorcjum o zawyżanie cen i żądanie

zbyt wysokiej kwoty za budowę drogi Kiem-Uchta. "Teraz jest jasne -

podsumował z wściekłością niejaki Juźniew - że SŁOŃ to "kommiersant", kupiec z wielkimi, lepkiemi łapami, którego głównym celem jest zysk".

Karelskie przedsiębiorstwo handlowe podniosło protest przeciwko decyzji SŁOŃ o otwarciu własnego sklepu w Kiemie. Przedsiębiorstwa państwowego nie było stać na taką inwestycję, podczas gdy SŁOŃ, który mógł zażądać od swych pracowników dłuższego czasu pracy i płacić im zdecydowanie mniej (a na dobrą sprawę nie płacić nic), mógł podjąć się takiego przedsięwzięcia. Co gorsza, władze skarżyły się, że SŁOŃ

wykorzystywał swoje powiązania z OGPU, by omijać prawo i nie dokładać pieniędzy do lokalnego budżetu. Spory na temat zyskowności, wydajności i uczciwości wykorzystywania pracy więźniów miały się ciągnąć przez kolejne ćwierć wieku (omówię je w dalszej części tej książki), ale jeszcze w połowie lat dwudziestych władze lokalne Karelii były dalekie od ich korzystnego rozstrzygnięcia. W złożonych w 1925

roku raportach poświęconych sytuacji ekonomicznej obozu sołowieckiego Fiodor Eichmans, podówczas zastępca Nogtiewa, a w późniejszych latach komendant obozu, zachwycił się osiągnięciami finansowymi SŁOŃ.

Napisał, że znajdująca się niegdyś w "opłakanym stanie" cegielnia pracuje pełną parą, przedsiębiorstwo zajmujące się wyrębem lasu przekracza plan roczny, podwojono połowy ryb i ukończono budowę

elektrowni. Fragmenty tych raportów pojawiały się później nie tylko w pismach

publikowanych na Solówkach, ale również w ogólnodostępnej prasie, wychodzącej w całym Związku Sowieckim. Raporty zawierały niezwykle szczegółowe wyliczenia. W jednym z nich oszacowano przeciętny koszt dziennych racji żywieniowych na 29 kopiejek, a roczny koszt ubrań na 34

ruble i 57 kopiejek. Łączny koszt

utrzymania każdego z więźniów, z uwzględnieniem wydatków na opiekę medyczną

i transport, wynosił 211 rubli i 67 kopiejek rocznie. Mimo że w 1929 roku deficyt budżetowy obozu sięgał 1,6 miliona rubli - niewykluczone, że za sprawą defraudacji - wszędzie było głośno o sukcesie finansowym obozu sołowieckiego.

Stał się on wkrótce głównym argumentem za potrzebą restrukturyzacji całego

sowieckiego systemu penitencjarnego. I jeśli miano to osiągnąć kosztem ograniczenia racji żywieniowych i pogorszenia warunków życiowych więźniów, nikt się tym specjalnie nie

przejmował. Nikt nie brał też pod uwagę ewentualnej perspektywy pogorszenia stosunków z władzami lokalnymi. W samym obozie niewiele osób miało wątpliwości, komu należy przypisać ten sukces. Wszyscy jednoznacznie utożsamiali komercjalizację obozu z Frenklem i wielu go za to szczerze nienawidziło.

Na burzliwym spotkaniu jacejki partii komunistycznej na Sołówkach w 1928 roku - do tego stopnia burzliwym, że część protokołu postanowiono utajnić -jeden z funkcjonariuszy obozowych, Jaszenko, ubolewał, że Wydział Ekonomiczno-Handlowy SŁOŃ zdobył nazbyt wielki wpływ:

"Wszystko leży w zakresie jego kompetencji". Zaatakował również samego Frenkla, "byłego więźnia, którego zwolniono po trzech latach, dlatego że w obozie nie było podówczas wystarczająco wielu funkcjonariuszy". Frenkel stał się tak ważny, narzekał Jaszenko (którego wypowiedź była nacechowana nutką antysemityzmu), że "kiedy rozeszły się plotki o jego odejściu, ludzie mówili, że bez niego nie mogą pracować". Jaszenko wyznał kiedyś, że jego nienawiść do Frenkla była tak silna, iż zastanawiał się nawet, czy go nie zamordować. Wielu zadawało pytanie, czemu Frenkel - były więzień - cieszył się specjalnymi prawami w sklepach SŁOŃ, dlaczego przysługiwały mu rabaty, jakby był ich właścicielem. Inni zarzucali SŁOŃ nazbyt komercyjny charakter i lekceważenie jednego z podstawowych celów - reedukacji więźniów. Nie dość, że powstrzymano resocjalizację, to więźniów wykorzystywano niezgodnie z obowiązującymi standardami pracy. Kiedy okaleczali się, by uniknąć wykonywania zawyżonych norm, nie prowadzono w tych sprawach dochodzeń.

Ale tak, jak SŁOŃ udało się wygrać spór z rządem karelskim, tak - być może

dzięki kontaktom w Moskwie - Frenklowi powiodło się w walkach wewnętrznych.

Przeforsował swoją koncepcję obozu, sposobu wykorzystania pracy więźniów i ich

traktowania. Jak już wspominałam, prawdopodobnie to nie Frenkel wynalazł okryty złą sławą system - "jesz tyle, ile pracujesz" - według którego racje żywnościowe więźniów były ściśle uzależnione od wykonanej przez nich pracy. Niemniej jednak to właśnie on kierował

rozwojem systemu i był odpowiedzialny za jego rozkwit. Prowizoryczny układ, w którym niekiedy za pracę "płacono" jedzeniem, przekształcił się w niezwykle precyzyjny system organizacji więźniów i dystrybucji pożywienia. Tak naprawdę opracowany przez Frenkla system był bardzo prosty. Więźniów SŁOŃ podzielono na podstawie ich kondycji fizycznej na trzy grupy: zdolnych do ciężkiej pracy, lekkiej pracy oraz inwalidów.

Każdej z grup przydzielono zestaw zadań i określono normy do spełnienia. Racje żywnościowe wyznaczano w zależności od przydziału, przy czym różnice miały drastyczny charakter. Z opracowanej między rokiem 1928 a 1932 tabeli wynika, że osobom zaliczanym do pierwszej grupy przysługiwało dziennie 800 gramów chleba i 80 gramów mięsa, do drugiej - 500 gramów chleba i 40 gramów mięsa, do trzeciej zaś - tylko 400 gramów chleba i 40 gramów mięsa. Innymi słowy, robotnicy z najniższej kategorii dostawali połowę tego, co przysługiwało więźniom z kategorii najwyższej. W praktyce system niezwykle szybko dzielił

więźniów na tych, którzy przetrwają, i tych, którzy nie mają na to szans.

Silni więźniowie, żywni stosunkowo dobrze, stawali się coraz silniejsi.

Słabi, pozbawieni jedzenia, słabli jeszcze bardziej, by w końcu zachorować lub umrzeć. Proces ten wydatnie przyspieszały niezwykle wysokie normy produkcyjne, przekraczające możliwości wielu, zwłaszcza pochodzących z miast, dla których kopanie torfu i wyrąb drzew były zajęciami zupełnie obcymi. W 1928 roku zarząd centralny ukarał grupę strażników, którzy zmusili w zimie 128 osób do pracy nocą przy wyrębie lasu tylko po to, by wyrobić normy produkcyjne. Jeszcze miesiąc po tym wydarzeniu trzy czwarte więźniów było ciężko chorych i cierpiało na poważne odmrożenia. Pod rządami Frenkla zmienił się też rodzaj wykonywanych przez SŁOŃ prac. Nie interesowały go fanaberie takie jak hodowla zwierząt futerkowych i uprawa egzotycznych roślin arktycznych.

Zamiast tego więźniów wysyłano do budowy

dróg i wyrębu lasów, wykorzystując darmową, niewykwalifikowaną siłę roboczą,

którą dysponował w nadmiarze SŁOŃ. Rodzaj prac szybko zmienił naturę obozu,

a raczej obozów, gdyż podówczas SŁOŃ zaczął ekspansję poza wyspy archipelagu. Frenkel nie przejmował się zbyt, czy więźniowie przebywają w otoczeniu

więziennym, w barakach czy też za drutem kolczastym. Wysyłał drużyny skazańców do różnych miejsc w obrębie Karelii i w okolice Archangielska na kontynencie, słowem tam, gdzie tylko byli potrzebni, nawet jeśli było to tysiące kilometrów

od Sołówek. Niczym menedżer przejmujący upadającą firmę Frenkel

"racjonalizował" inne dziedziny życia obozowego, powoli, acz systematycznie, wykluczając wszystko, co nie przyczyniało się do zwiększenia produktywności obozu. Zupełnie zaniechano jakichkolwiek działań, mających na celu reedukację więźniów. Przeciwnicy Frenkla skarżyli się, że zamknął wszystkie pisma i gazety obozowe, a także odwołał spotkania Sołowieckiego Stowarzyszenia na Rzecz Badań Lokalnych. Przy życiu utrzymano jedynie muzeum i teatr, wyłącznie by robić wrażenie na prominentnych gościach. W tym czasie przypadkowe okrucieństwa wobec więźniów zdarzały się rzadziej. W 1930 roku na wyspę przybyła specjalna delegacja OGPU, tzw. Komisja Szanina, aby zbadać doniesienia o ich złym traktowaniu. Potwierdzono zażalenia o powszechnym biciu i torturowaniu. Na fali nagłego odwrotu od tego typu praktyk komisja skazała i dokonała egzekucji 19 oprawców z OGPU.

Takie zachowanie było nie do przyjęcia w jakiegokolwiek instytucji ceniącej ponad wszystko "trudosposobnost" - zdolność do pracy. Za rządów Frenkla zmieniła się też na dobre definicja "więźnia politycznego". Jesienią 1925 roku zarzucono sztuczny podział na kryminalistów i więźniów oskarżonych o przestępstwa kontrrewolucyjne.

Osoby zaliczane do obu grup wysłano do pracy w tartakach oraz przy realizacji zakrojonych na szeroką skalę prac przy wyrębie lasów w Karelii.

Od tej pory SŁOŃ nie uznawał uprzywilejowanych więźniów, wszyscy byli postrzegani jako

potencjalni robotnicy. Zdecydowanie większy problem stanowili

socjaliści przetrzymywani w barakach Sawwatiewa. Było jasne, że

"polityczni"

nie przystają w żaden sposób do koncepcji ekonomizacji obozu, z założenia

bowiem odmawiali wykonywania jakiegokolwiek formy pracy przymusowej. Nie

chcieli nawet sami rąbać drewna na opał. "Zostaliśmy wysiedleni z urzędu

- skarżył się jeden z więźniów - administracja musi zapewnić nam wszystko,

czego potrzebujemy". W tym świetle nie dziwi więc, że taka postawa zaczęła

budzić niezadowolenie administracji obozu. Wyjątkowo zirytowany ciągłymi

roszczeniami wydawał się komendant Nogtiew. Ten sam, który wiosną 1923

roku osobiście negocjując z więźniami politycznymi w Pietromińsku, obiecał

im złagodzenie rygoru, pod warunkiem dobrowolnego przeniesienia się do obozu sołowieckiego.

Sprzeczał się z "politycznymi" o swobodę poruszania się

po terenie obozu, dostęp do służby medycznej i prawo do komunikowania się

ze światem zewnętrznym. W końcu 19 grudnia 1923 roku, u szczytu wyjątkowo

zajadłego sporu o ignorowanie przez więźniów regulaminu w punkcie dotyczącym

swobody poruszania się, pilnujący baraków Sawwatiewa żołnierze otworzyli

ogień do grupy "politycznych", zabijając 6 osób. Sprawa ta odbiła się szerokim

echem za granicą. Polityczny Czerwony Krzyż jakimś sposobem zdołał

przemycić

informację o strzelaninie. Doniesienia o incydencie ukazały się w prasie zachodniej, zanim jakiegokolwiek wzmianki pojawiły się w gazetach sowieckich.

Między zarządem obozu a moskiewskim kierownictwem partii rozpoczęła się

nerwowa wymiana telegramów. Z początku władze obozowe broniły strażników,

utrzymując, że więźniowie nie zastosowali się do przepisów, a żołnierze przed otwarciem ognia oddali trzy strzały ostrzegawcze. W kwietniu 1924

roku administracja obozu przedstawiła nieco prawdziwszą wersję zdarzeń, chociaż - pomimo zeznań więźniów - nie przyznano wprost, że strażnicy nie

wysilili się, by oddać jakiegokolwiek strzały ostrzegawcze. Raport wyjaśniał,

że polityczni są "odmienną kategorią" niż przypisani do ich pilnowania żołnierze. Więźniowie spędzali czas, czytając książki i czasopisma, żołnierze nie mieli zaś ani książek, ani gazet. Więźniowie dostawali biały chleb,

masło i mleko, żołnierze musieli zadowolić się zwykłym wiktem. Była to

"sytuacja nienormalna". W naturalny poniekąd sposób rosło niezadowolenie

- pracujący darzyli coraz większą niechęcią niepracujących - toteż gdy więźniowie złamali przepisy, w nieunikniony sposób musiało dojść do rozlewu

krwi. Dla poparcia swoich opinii na moskiewskim plenum Komitetu Centralnego

partii bolszewickiej przedstawiciele administracji obozu odczytali listy od więźniów: "Czuję się nieźle, dobrze jem[...], nie musicie przysyłać mi jedzenia ani ubrań". W innym liście opisane były wspaniałe widoki roztaczające się na

wyspie. Gdy niektóre z listów ukazały się drukiem w sowieckich gazetach, więźniowie utrzymywali, że te fałszywie idylliczne warunki życia na wyspie

opisali tylko po to, by uspokoić zatroskane rodziny i przyjaciół.

Zniesmaczony Komitet Centralny podjął działania. Komisja pod przewodnictwem Gleba Bokija przeprowadziła wizytację w obozach na Wyspach Sołowieckich i więzieniu przejściowym w Kiemie. W efekcie, w październiku 1924 roku, ukazała się seria artykułów w "Izwestiach". "Ci, którzy sądzą, że Sołowki to przygnębiające, ciemne i ponure więzienie, gdzie ludzie siedzą w zatłoczonych celach,

marnując czas, są w głębokim błędzie - pisał niejaki Krasikow. - Cały obóz to po

teżne przedsiębiorstwo, dysponujące 3 tysiącami robotników, zajmujące się najróżniejszymi rodzajami produkcji". Po serii peanów na cześć sołowieckiego przemysłu i rolnictwa Krasikow opisywał życie w zajmowanych przez socjalistów

barakach Sawwatiewa: „Tryb życia, jaki prowadzą, można by nazwać anarcho-intelektualnym, ze wszystkimi negatywnymi cechami tego typu egzystencji. Permanentne nieróbstwo, roztrząsanie sporów politycznych, kłótnie rodzinne, czcze dyskusje i przede wszystkim wrogie nastawienie do władz jako takich, do miejscowego zarządu i nade wszystko do Armii Czerwonej [...], wszystko to razem sprawia, że grupa ta, licząca nieco ponad 300 osób, odnosi się z wrogością do wszelkich starań i wysiłków miejscowych władz, które usiłują zaprowadzić w ich życiu nieco systematyczności i dyscypliny”. W artykułach innej gazety władze utrzymywały, że socjaliści otrzymują w więzieniu lepsze racje żywnościowe niż żołnierze Armii Czerwonej. Więźniowie ci mogli bez większych

problemów spotykać się ze swoimi bliskimi - w jaki inny sposób udawałoby się im przemycać informacje na zewnątrz? Mieli do dyspozycji wielu lekarzy, zdecydowanie więcej niż robotnicy w zwykłych osadach. Co zabawne, z artykułu wynikało, że domagali się "rzadkich i drogich lekarstw", jak również złotych koron i mostków dentystycznych.

Był to początek końca. Po wielu dysputach, w których trakcie Komitet Centralny rozważał, a w końcu odrzucił, pomysł wysiedlenia więźniów politycznych za granicę (obawiano się wpływu na zachodnich socjalistów, a zwłaszcza z jakichś powodów na brytyjską Partię Pracy), podjęto wreszcie decyzję. O świcie 17 lipca 1925 roku żołnierze otoczyli klasztor Sawwatiewo. Więźniowie dostali dwie godziny, by się spakować.

Odprawiono ich pod eskortą do portu, siłą załadowano na statki i wysłano do odległych, zamkniętych zakładów karnych w centralnej części Rosji, do Tobolska na zachodzie Syberii i Wierchnieuralska na Uralu.

Czekały ich tam zdecydowanie gorsze warunki niż w Sawwatiewie. Jeden z więźniów pisał: „[...] zamknięte cele, w których powietrze zatrują wyziewy ze śmierdzących wiader służących jako kible. Więźniowie polityczni są odizolowani od siebie [...], nasze racje żywnościowe są gorsze niż na Sołówkach. Zarząd więzienia nie uznaje naszego starosty.

Nie ma szpitala ani opieki medycznej. Budynek więzienia ma dwie kondygnacje, cele niższego piętra są wilgotne i ciemne. Trzymani są w nich nasi chorzy towarzysze, niektórzy cierpią na gruźlicę”. Socjaliści wciąż walczyli o swoje prawa, wysyłali za granicę listy, wystukiwali do siebie wiadomości przez ściany cel i prowadzili strajki głodowe. Ich protesty powoli jednak dławiała propaganda bolszewicka. Działające w Berlinie, Paryżu i Nowym Jorku organizacje pomocy więźniom zaczęły natrafiać na kłopoty ze zdobywaniem funduszy. Jeden z więźniów, nawiązując do zastrzelenia 6 osób w 1923 roku, pisał w liście do przyjaciela: "Kiedy doszło do wydarzeń 19 grudnia, wydawało się nam, że świat będzie wstrząśnięty - nasz socjalistyczny świat. Ale okazało się, że nikt nie dostrzegł wydarzeń sołowieckich, tragedia zamieniła się w farsę".

Pod koniec lat dwudziestych socjaliści jako więźniowie polityczni nie cieszyli się już wyjątkowym statusem. Dzielili cele z bolszewikami, trockistami i zwykłymi kryminalistami. Na przestrzeni dekady

"polityczni" lub raczej "kontrrewolucjoniści" z kategorii więźniów uprzywilejowanych znaleźli się w hierarchii obozowej niżej od pospolitych przestępców. Nie mieli już praw, o których utrzymanie tak długo walczyli, a zarząd obozów interesował się nimi tylko jako potencjalną siłą

roboczą. I tylko gdy mogli pracować, dostawali wystarczająco dużo jedzenia, aby przeżyć.

ROZDZIAŁ 3

1929 - wielki punkt zwrotny

„Doszedłszy do władzy, bolszewicy byli bardzo łagodni, bardzo miękcy w stosunku do swoich

wrogów... Popelniliśmy przez to błąd. Wobec takiej potęgi łagodność okazywać, znaczy to dopuszczać się zbrodni w stosunku do klasy robotniczej. Wyszło to wkrótce na jaw”.

Józef Stalin

DWUDZIESTEGO CZERWCA 1929 ROKU do małego, leżącego u stóp Kremla sołowieckiego portu przybił statek "Gleb Bokij". Całą scenę z góry obserwowali w oczekiwaniu więźniowie. Zamiast cichych, wychudzonych skazańców, którzy z reguły schodzili z pokładów "Gleba Bokija", na ląd wysypała się grupa zdrowych i pełnych energii mężczyzn w towarzystwie jednej kobiety. Idąc po nabrzeżu, prowadzili ożywioną rozmowę i gestykulowali. Na pochodzących z tego dnia fotografiach widnieją ludzie w mundurach, wśród nich kilku ważnych czekistów, z Glebem Bokijem we własnej osobie. Jeden z nich, z wielkimi wąsami, górujący wzrostem nad resztą, ubrany był zdecydowanie skromniej - miał

płaską robotniczą czapkę i zwykły płaszcz. Był to pisarz, Maksym Gorki.

Jednym z patrzących przez okno więźniów był Dmitrij Lichaczow. Po latach przypominał sobie także innych pasażerów statku: "Widać było wzniesienie, na którym zatrzymał się na dłuższą chwilę Gorki w towarzystwie dziwacznie wyglądającej osoby ubranej w skórzaną kurtkę, skórzane bryczesy, oficerki i skórzaną czapkę. Była to Pieszkowa, synowa Gorkiego, żona jego syna Maksyma. Najwyraźniej ubrała się w strój, który uznała za uniform prawdziwej "czekistki". Cała grupa wsiadła do klasztornej bryczki, do której zaprzężony był "Bóg jeden wie skąd wyciągnięty koń" i udała się na wycieczkę po wyspie". Lichaczow dobrze wiedział, że Gorki nie był zwykłym gościem. Na tym etapie swojego życia należał do najbardziej czczonych i uświęconych synów marnotrawnych bolszewików. Jako oddany socjalista był bliski Leninowi, mimo to krytykował przewrót bolszewicki z 1917 roku. W artykułach i przemówieniach Gorki

z niezwykłą zajadłością potępiał rewolucję i trwający po niej okres terroru, mówił o "szaleńczej polityce" Lenina i "szambie", którym stał się Piotrogród. W końcu, w 1923 roku, wyemigrował, by osiaść w Sorrento. Z

początku nie ustawał w krytyce i słał do przyjaciół w kraju potępiające odezwy i pełne wściekłości listy. Z czasem jego ton uległ zmianie i to do tego stopnia, że w 1928 roku zdecydował się na powrót, choć z nie do końca znanych powodów. Sołżenicyn dosyć złośliwie twierdził, że Gorki wrócił do kraju, gdyż nie stał się na Zachodzie tak sławny, jak tego oczekiwał, i po pewnym czasie skończyły mu się pieniądze. Orlando Figes zauważył, że Gorki był wielce nieszczęśliwy na wygnaniu i nie mógł

znieść towarzystwa innych emigrantów, których większość była zaciętymi antykomunistami. Bez względu na przesłanki, jakimi się kierował, od momentu podjęcia decyzji o powrocie zdawał się zdeterminowany we wspieraniu reżimu sowieckiego na tyle, na ile było to w jego mocy. Niemal natychmiast po powrocie rozpoczął serię triumfalnych podróży po kraju, oczywiście uwzględniając w swoich planach Sołowki. Jego zainteresowanie więzieniami miało długą historię i sięgało doświadczeń z przestępczej młodości. Autorzy wielu pamiętników wspominają wizytę Gorkiego na Sołowkach. Wszyscy są zgodni, że poprzedziły ją zakrojone na olbrzymią skalę przygotowania. Niektórzy przypominają sobie, że w dniu tym zmianie uległy przepisy obozowe, mężowie mogli zobaczyć się z żonami, zapewne po to, by wszyscy wydawali się radosni. Lichaczow pisał, że aby

ukryć przygnębiający pejzaż kolonii pracy, posadzono wokół dorodne, duże drzewa. By baraki wyglądały na mniej przepełnione, więźniów wyprowadzono na zewnątrz.

Pamiętniki podają różne wersje tego, co uczynił Gorki po przyjeździe.

Według Lichaczowa pisarz szybko przejrzał na wskroś wszystkie próby omamienia go. Gdy pokazywano mu oddział szpitalny, którego cały personel ubrany był w nowe kitle, Gorki westchnął z pogardą: "Nie lubię parad" i wyszedł. Spędził jakieś dziesięć minut w kolonii pracy, po czym -

jak utrzymuje Lichaczow - odszedł, by porozmawiać na osobności z więźniem, czternastoletnim chłopcem, od którego pragnął usłyszeć

"prawdę". Pojawił się po czterdziestu minutach, z wilgotnymi oczami. Z

drugiej strony Oleg Wołkow, również przebywający na Sołowkach podczas

wizyty Gorkiego, twierdził, że pisarz "patrzył tylko w tę stronę, którą mu wskazano". Mimo że wzmianka o rozmowie z czternastoletnim chłopcem pojawia się

w innych zapiskach (według jednej z wersji zastrzelono go tuż po wyjeździe Gorkiego), wiele osób utrzymuje, że strażnicy odtrącali wszystkich więźniów, którzy tylko próbowali nawiązać kontakt z pisarzem. Wydaje się to całkiem prawdopodobne, zwłaszcza że później przechwytywano wszystkie listy adresowane przez więźniów do Gorkiego. Jak podaje jedno ze źródeł, w konsekwencji rozstrzelano przynajmniej jednego z ich autorów. Kanen - były funkcjonariusz OGPU, który popadł w niełaskę i sam trafił do więzienia - twierdzi, że Gorki odwiedził nawet karcery Siekierki, gdzie wpisał się do ksiąg więziennych.

Jeden z towarzyszących Gorkiemu moskiewskich szefów OGPU napisał:

"Wizytując Siekierkę, stwierdzam, że wszystko jest w najlepszym porządku, dokładnie tak, jak powinno". Jak twierdzi Kanen, pod tymi słowami Gorki umieścił swój komentarz: "Powiedziałbym nawet, że jest znakomicie". Na temat tego, co Gorki robił i co zobaczył na wyspie, możemy dowiedzieć się co nieco z napisanego w formie notatek z podróży eseju, jaki opublikował po powrocie. Rozwodził się w nim nad pięknem przyrody wysp, opisywał malownicze budynki i ich równie malowniczych mieszkańców. Płynąc łodzią na wyspę, miał nawet okazję spotkać kilku dawnych mnichów sołowieckich. "Jak zarząd obozu traktuje mnichów?" -

zapytał. W odpowiedzi usłyszał: "Zarząd chce, by wszyscy pracowali. My pracujemy". Gorki pisał z podziwem o warunkach życiowych w obozie, wyraźnie przy tym sugerował czytelnikom, że łagry sowieckie są zupełnie nową kategorią instytucji, czymś diametralnie różnym od obozów kapitalistycznych (lub dawnych obozów carskich). W niektórych pokojach zauważył "cztery lub sześć łóżek, każde obwieszane przedmiotami osobistymi... na parapetach okiennych kwiaty. Nie odnosi się wrażenia, że życie jest tutaj nadmiernie uregulowane. W niczym nie przypomina to więzienia, wygląda trochę tak, jakby w pokojach mieszkali pasażerowie uratowani z zatopionego statku". Na stanowiskach pracy natknął się na

"zdrowych chłopaków" w lnianych koszulkach i butach z cholewami.

Spotkał się z kilkoma więźniami politycznymi, kazał im jednak odejść -

określił ich mianem "zjadłych kontrrewolucjonistów i monarchistów".

Kiedy powiedzieli, że aresztowano ich niesprawiedliwie i bez podstaw, zarzucił im, że kłamią. W pewnym momencie Górkę wydaje się nawiązywać do legendarnego spotkania z czternastolatkiem. Píše, że kiedy odwiedzał młodocianych przestępców, jeden z nich wręczył mu list protestacyjny. W odpowiedzi pozostałe dzieci zaczęły "głośno wyć", nazywając kolegę "skarżypytą". Ale wedle Gorkiego to nie tylko warunki bytowe czyniły Sołowki obozem nowego typu. Chodziło nie tylko o to, by więźniowie, owi "ocaleni pasażerowie", byli radośni i zdrowi, przede wszystkim celem obozu był eksperyment - próba przekształcenia przestępców i jednostek aspołecznych w pełni użytecznych obywateli sowieckich. Gorki ożywił idee Dzierżyńskiego, obozy miały być nie tylko miejscami karnymi, ale "szkołami pracy", służącymi ukształtowaniu nowego typu robotników, których potrzebował system. Z jego punktu widzenia celem całego eksperymentu było zapewnienie "likwidacji więzień" - co więcej cel ten bliski był realizacji. "Gdyby jakiegokolwiek tak zwane cywilizowane społeczeństwo europejskie ośmieliło się przeprowadzić eksperyment na miarę tej kolonii i eksperyment ten przyniósłby takie owoce jak nasz, kraj ten odtrąbiłby wszem wobec sukces i pyszniłby się swoimi osiągnięciami" - stwierdzał Górkę, uważając, że jedynie "skromność" przedstawicieli władzy sowieckiej kazała im o tym milczeć. W późniejszych latach Gorki utrzymywał, że w jego eseju nie uchowało się nawet pojedyncze zdanie, którego "nie dotknęłoby pióro cenzora". Tak naprawdę nie wiemy, czy napisał to, co napisał, z czystej naiwności, z wyrachowania czy też dlatego, że zmusiła go cenzura. Bez względu na przesłanki, jakimi się kierował, pochodzący z 1929 roku esej o Sołówkach stał się bardzo ważnym elementem kształtowania opinii społecznej. Na nim też opierało się oficjalne stanowisko władz wobec planu stworzenia znacznie bardziej rozległego systemu obozów. Zaczęto go wcielać w życie jeszcze w tym samym roku. Wcześniej bolszewicka propaganda broniła przemocy rewolucyjnej jako chwilowo złej, ale niezbędnej siły oczyszczającej w okresie przejściowym. Z drugiej strony Gorki sprawił, że zinstytucjonalizowana przemoc panująca w obozach sołowieckich wydała się logicznym i zupełnie naturalnym elementem nowego porządku. Tym samym pomógł rosnącej wciąż w siłę totalitarnej władzy państwa zyskać społeczną akceptację. Jak się okazało, rok 1929

zapamiętano ze względu na wiele innych wydarzeń, które z esejem Gorkiego nic wspólnego nie miały. Rewolucja zdążyła już dojrzeć. Od końca wojny domowej minęła niemal dekada. Lenin od dawna już nie żył.

Różnego rodzaju eksperymenty ekonomiczne, takie jak Komunizm Wojenny i Nowa Polityka Ekonomiczna, wypróbowano i odrzucono. Tak jak ledwie utrzymujący się na powierzchni obóz na Wyspach Sołowieckich przeistoczył się w całą sieć obozów pod nazwą SŁOŃ, tak ślepy terror panujący we wczesnych latach Związku Sowieckiego ustąpił

miejsca bardziej systematycznym metodom przesładowania osób postrzeganych jako wrogowie systemu.

W 1929 roku rewolucja zyskała też zupełnie innego przywódcę. Na przestrzeni

lat dwudziestych Józefowi Stalinowi udało się pokonać lub wyeliminować wrogów

bolszewików, a następnie własnych wrogów. Po części dokonał tego dzięki zainicjowaniu serii czystek w partii. W latach 1937-1938 czystki okazały się mordercze, wydalenie z szeregów partii kończyło się najczęściej wyrokiem obozu lub śmiercią. Stalin z niezwykłą finezją pozbył się najpotężniejszego rywala w dążeniu do władzy, Lwa Trockiego. Najpierw zdyskredytował jego osiągnięcia, a następnie nakazał

go zesać do Turcji, aby w końcu uczynić z niego synonim zła, przestrozę dla innych. Kiedy jeden z wiernych popleczników Trockiego, funkcjonariusz OGPU Jakow Blumkin, odwiedził swojego bohatera na wygnaniu i powrócił z wiadomościami dla zwolenników Trockiego, Stalin nakazał skazać go i stracić. Dzięki temu pokazał, że państwo nie zawaha się przed wykorzystaniem wszelkich możliwości organów represji, nie tylko w zwalczaniu członków innych ugrupowań socjalistycznych i zwolenników dawnego reżimu, lecz również dysydentów wewnątrz samej partii bolszewickiej. W roku 1929 Stalin nie był jeszcze jednak tym dyktatorem, jakim miał się stać pod koniec nadchodzącej dekady. Można raczej powiedzieć, że dopiero wprowadzał zmiany, które miały zagwarantować mu pełnię władzy i jednocześnie zmienić nie do poznania całą sowiecką ekonomię i społeczeństwo. Zachodni historycy określają te wydarzenia jako "rewolucję odgórną" lub "rewolucję stalinowską". Sam Stalin nazwał to "wielkim punktem zwrotnym". Podstawą rewolucji stalinowskiej był nowy program niezwykle szybkiej, rzec by można niemal histerycznej, industrializacji. Do tego czasu rewolucja październikowa nie przyniosła większości społeczeństwa znaczącej poprawy warunków materialnych. Wręcz przeciwnie, lata rewolucji, wojna domowa i eksperymenty ekonomiczne doprowadziły do jeszcze większego zubożenia ludności. Stalin, wyczuwając być może rosnące powszechnie niezadowolenie, postanowił zmienić warunki bytowe zwykłych ludzi, i to w bardzo radykalny sposób.

Do końca 1929 roku rząd sowiecki przyjął nowy plan pięcioletni, program ekonomiczny wzywający do 20-procentowego rocznego wzrostu produkcji przemysłowej. Na jakiś czas porzucono siedmiodniowy cykl pracy - pięć dni pracy

i dwa odpoczynku. Zamiast tego robotnicy wypoczywali w systemie zmianowym,

dzięki czemu fabryki pracowały bez jakichkolwiek przerw. Zdarzało się, że podczas realizacji ważniejszych projektów ludzie pracowali na trzydziestogodzinnych zmianach, a niektórzy robotnicy spędzali w pracy średnio nawet 300 godzin miesięcznie. Duchem epoki, narzuconym wprawdzie odgórnie, ale przyjętym z entuzjazmem przez społeczeństwo, było współzawodnictwo. Urzędnicy i robotnicy prześcigali się nawzajem w wypełnianiu planu, przekraczaniu go lub przynajmniej w opracowywaniu nowych i szybszych sposobów jego przekraczania.

Jednocześnie nikomu nie było wolno wątpić w mądrość planu, nawet na najwyższych szczeblach władzy - przywódcy partyjni, którzy ośmielili się podawać w wątpliwość celowość przyspieszonej

industrializacji, nie zagrzewali długo miejsc w biurach. W plan pięcioletni musiały wierzyć nawet dzieci. Jedna z osób pamiętających jeszcze te czasy wspomina maszerowanie wokół sali przedszkolnej, z chorągiewką i śpiewem:

„Pięc w cztery,
pięc w cztery,
pięc w cztery,
a nie w pięć!”

Tak jak przy większości przedsięwzięć sowieckich, rozpoczęcie masowej industrializacji wyłoniło nową kategorię przestępców. W 1926 roku przeredagowano

sowiecki kodeks karny między innymi po to, by dodać rozszerzoną wersję artykułu 58, definiującego przestępstwa o charakterze "kontrrewolucyjnym". Z początku

ograniczający się do jednego czy też dwóch ustępów artykuł 58 rozrósł się do 18 paragrafów. OGPU robiło użytek z całej listy, zwłaszcza wtedy, gdy zamierzało

aresztować techników i inżynierów. Jak łatwo było przewidzieć, nie udało się sprostać tak szybkiemu tempu przemian. Zbyt ni pośpiech we wdrażaniu prymitywnych technologii kończył się często błędami. Trzeba było kogoś za to obwinić. Stąd też aresztowania "burzycieli" i

"sabotażystów", których nieczne uczynki uniemożliwiały ekonomii sowieckiej nadążanie za propagandą. Pierwsze wielkie procesy pokazowe

- jak choćby szachtyński w 1928 roku oraz Partii Przemysłowej (Prompartii) dwa lata później - były na dobrą sprawę rozprawami nad inżynierami i inteligencją techniczną, podobnie jak proces Metro-Vickers w 1933 roku, przez pewien czas bardzo głośny w świecie, gdyż oprócz obywateli sowieckich na ławie oskarżonych zasiedli także Brytyjczycy. W

tym ostatnim wszyscy podsądni byli oskarżeni o "szpiegostwo i działalność sabotażową" na rzecz Wielkiej Brytanii.

Począwszy od 1929 roku, reżim sowiecki znacznie przyspieszył proces przymusowej kolektywizacji wsi. Pod wieloma względami był to przewrót głębszy niż

same przewrót październikowy. W ciągu niezwykle krótkiego czasu prowincjonalni

komisarze zmusili miliony chłopów do wyrzeczenia się własności swojej ziemi

i wstąpienia do kolektywnych gospodarstw rolnych. Ludzi usuwano z ziemi, którą

ich przodkowie uprawiali od setek lat. Ta transformacja trwale osłabiła sowieckie rolnictwo i stworzyła idealne warunki dla potwornych, rujnujących klęsk głodu, które dotknęły Ukrainę i południową część Rosji w latach 1932 i 1934, stając się, według różnych szacunków, przyczyną śmierci od 6 do 7 milionów ludzi. Na prowincji kolektywizacja przyczyniła się też do zniszczenia na zawsze poczucia więzi z przeszłością. Miliony chłopów opierały się kolektywizacji, ukrywając ziarno w piwnicach lub odmawiając współpracy z władzami. Niepokorni nazwani zostali kułakami, bogatymi chłopami. Definicja ta była na tyle nieprecyzyjna, że dawało się pod nią podciągnąć niemal każdego.

Wystarczyło posiadanie nadliczbowej krowy czy dodatkowej izby. Aby złamać opór kułaków, reżim ożywił dawną carską tradycję zsyłki administracyjnej. Bez uprzedzenia do wsi przyjeżdżały ciężarówki i wozy, by zabierać całe rodziny. Niektórych kułaków rozstrzelowano, innych aresztowano i skazywano na pobyt w łagrze. W latach 1930-1933 na Syberię, do Kazachstanu i w inne słabo zaludnione rejony Związku Sowieckiego przesiedlono ponad 2 miliony ludzi. Dokonywali tam żywota jako "specjalni wygnańcy", nie mogąc opuszczać wiosek przesiedleńczych. Dalsze 100 tysięcy osób aresztowano i osadzono w obozach Gułagu. Kiedy uderzył głód, a na dodatek nastąpiła susza, posypały się nowe aresztowania. We wsiach konfiskowano całe zapasy zboża, z pełną stanowczością zakazano też wydawania go kułakom. Osoby przyłapane na kradzieży dosłownie garści zboża kończyły w więzieniach, nawet jeśli czyniły to tylko po to, aby nakarmić głodne dzieci.

Wydane 7

sierpnia 1932 roku prawo postulowało za tego typu "przestępstwa przeciwko własności państwowej" karę śmierci lub długą odsiadkę w łagrze. Wkrótce potem w łagrach pojawili się pierwsi "podbieracze", głównie kobiety, które aby przetrwać, zbierały resztki ziarna. Dołączyli do nich inni, jak choćby ludzie, których skazano na 10 lat więzienia za to, że z głodu skradli kilka ziemniaków albo jabłek. Te regulacje prawne dość dobrze tłumaczą, z jakich powodów

chłopi stanowili większość więźniów sowieckich łagrów w latach trzydziestych

i znaczną część populacji więźniów aż do samej śmierci Stalina. Masowe aresztowania miały olbrzymi wpływ na funkcjonowanie obozów. Niemal zaraz po wejściu nowych praw w życie komendanci obozów zaczęli domagać się szybkiej i radykalnej reformy całego systemu. "Zwykłe"

więzienia, znajdujące się wciąż pod kontrolą Komisariatu Spraw Wewnętrznych (sieć ich ciągle była zdecydowanie większa niż zarządzane przez OGPU Sołowki) przez całą poprzednią dekadę były stale przepełnione, zdezorganizowane i niewydolne finansowo. W skali kraju sytuacja przedstawiała się tak fatalnie, że w pewnym momencie Komisariat Spraw Wewnętrznych usiłował zredukować liczbę więźniów, skazując wiele osób na "pracę przymusową, bez pozbawienia wolności".

Przestępcom nakazywano wykonanie pracy, ale nie wysyłano ich do łagrów - w ten sposób odciążano zatłoczone więzienia.

Kiedy kolektywizacja nabrała rozpędu, a represje przybrały na sile, gdy miliony kułaków zostały wypędzone z domów, okazało się, że z politycznego punktu

widzenia tego typu rozwiązania nie są zbyt fortunne. Po raz kolejny władze przekonały się, że groźnych przestępców, jakimi byli wrogowie wielkiego stalinowskiego planu kolektywizacji, należy pozbawiać wolności w sposób zdecydowanie bardziej kontrolowany. Do rozwiązania tego problemu szykowało się OGPU. Wiedząc, że system wali się niemal w tak szybkim tempie, w jakim przyrasta liczba więźniów, Politbiuro powołało w 1928 roku komisję, mającą zająć się rozwiązaniem problemu.

Skład komisji był niezwykle, niemal ostentacyjnie, wyważony, obecni byli w niej zarówno przedstawiciele Komisariatu Sprawiedliwości, jak i Komisariatu Spraw Wewnętrznych oraz OGPU. Na czele stanął komisarz sprawiedliwości Janson. Zadaniem komisji było opracowanie "systemu obozów koncentracyjnych, zorganizowanych na wzór łagrów zarządzanych przez OGPU", na tym też praktycznie skupiły się jej obrady.

Pomijając poetyckie wywody Gorkiego o wartości pracy w reformowaniu przestępców, wszyscy uczestnicy posługiwali się językiem czystej ekonomii. Wszyscy wyrażali troskę o "zyskowość", wielokrotnie wspomniano też o potrzebie "racjonalnego wykorzystania pracy". Faktem jest, że w protokole spisany po posiedzeniu komisji 15 maja 1929 roku odnotowano kilka uwag praktycznych, dotyczących utworzenia systemu obozów, w którym można by w skali masowej zamykać ludzi, gdzie zbyt trudno będzie je zakładać, że na Dalekiej Północy kraju brakuje dróg itp.

Komisarz pracy uważał, że błędem jest karanie pospolitych przestępców, tak jak karze się recydywistów. Z kolei komisarz spraw wewnętrznych RFSRS Tołmaczow zwracał uwagę, że system może sprawić złe wrażenie za granicą. "Białogwardyjscy emigranci" i burżuazyjna prasa zagraniczna będą zarzucać, że "zamiast tworzyć system penitencjarny służący resocjalizacji więźniów przez pracę poprawczą, zbudowaliśmy bastiony czekistów". Warto zauważyć, że Tołmaczowowi nie chodziło o to, że system będzie zły, ale że będzie sprawiał złe wrażenie. Nikt z obecnych nie wysuwał żadnych obiekcji co do tego, że obozy, "takie jak sołowiecki", są okrutne i mordercze. Nikt też nie wspomniał o alternatywnych teoriach prawa karnego, z których tak dumny był Lenin, albo że wraz z upadkiem kapitalizmu zniknie przestępczość jako taka. Z

pewnością nikt też nie mówił o reedukacji więźniów i "zmianie natury ludzkiej", co było tak ważnym elementem propagandowym w momencie przedstawiania opinii publicznej pierwszych obozów, nad czym rozwodził

się Gorki w swoim eseju o Sołówkach. Zamiast tego jeden z przedstawicieli OGPU w komisji, Gienrich Jagoda, sformułował w dość jasny sposób prawdziwe dążenia reżimu: „przeniesienie 10 tysięcy więźniów z miejsc odosobnienia w republice rosyjskiej jest w tej chwili nie tylko możliwe, ale i bezwzględnie konieczne. Ich pracę należy lepiej zorganizować i wykorzystać. Otrzymaliśmy wieści, że obozy i więzienia republiki ukraińskiej są również przepelnione. Jasne jest, że linia polityki sowieckiej nie zezwoli na budowanie nowych więzień. Nikt nie da na to pieniędzy. Z drugiej strony zupełnie

czym innym jest zakładanie dużych obozów - obozów, które będą zdolne w racjonalny sposób wykorzystać pracę. Borykamy się z mnóstwem problemów, próbując przyciągnąć na północ kraju robotników. Jeśli wyślemy tam tysiące więźniów, będziemy mogli eksploatować bogactwa naturalne Północy... co można zrobić w tamtych regionach, pokazuje nam dobitnie przykład Sołówek”. Jagoda

twierdził ponadto, że ludzie będą przesiedlani tam na stałe. "Wykorzystując różne środki natury zarówno prawnej, jak i ekonomicznej - kontynuował - możemy zmusić zwalnianych więźniów do pozostania na Północy. Dzięki temu uda się nam zaludnić te regiony". Pomysł, że więźniowie powinni zostać osadnikami - koncepcja jakże bliska modelowi funkcjonującemu za czasów carskich - zrodził się niemal od razu.

W czasie kiedy obradowała komisja Jansona, inny powołany przez rząd sowiecki

komitet debatował nad możliwościami rozwiązania kryzysu związanego z brakiem

rąk do pracy na Dalekiej Północy. Rozważano możliwość wysłania tam bezrobotnych lub chińskich imigrantów. By sprostać stalinowskiemu planowi pięcioletniemu, Związek Sowiecki potrzebował olbrzymich ilości węgla, gazu, ropy naftowej i drewna. Wszystko to było dostępne na Syberii, w Kazachstanie i na Północy.

By zapłacić za kupowane za granicą maszyny, kraj potrzebował także złota. Niewiele wcześniej geologowie odkryli złoża tego kruszcu w regionie Kołymy, daleko na północnym wschodzie kraju. Bez względu na ciężkie mrozy, prymitywne warunki życia i utrudniony dostęp wszystkie te zasoby naturalne miały być eksploatowane nieprzerwanie. W

atmosferze współzawodnictwa między poszczególnymi ministerstwami Janson zaproponował z początku, że to jego komisariat obejmie pieczę nad systemem łagrów i zajmie się utworzeniem obozów leśnych, które miałyby przyczynić się do zwiększenia sowieckiego eksportu drewna -

głównego podówczas źródła dochodów w walutach obcych. Projekt ten odłożono na później, zapewne głównie dlatego, że nikt nie chciał, aby jego realizacją kierował Janson i jego zburokratyzowani prawnicy. Kiedy powrócono do niego wiosną, ostateczne postanowienia komisji Jansona były nieco inne. Trzynastego kwietnia 1929 roku komisja zaproponowała utworzenie nowego, jednolitego systemu obozów, który ostatecznie zlikwidowałby różnice między "zwykłymi" i "specjalnymi" łagromi. Co znamienne, bezpośrednie zwierzchnictwo nad nowym systemem przekazano od razu OGPU. OGPU dosyć gwałtownie przejęło kontrolę nad sowieckimi więźniami.

W grudniu 1927 roku w podlegających Departamentowi Specjalnemu OGPU obozach (głównie sołowieckim) przebywało około 30 tysięcy więźniów, co stanowiło

mniej więcej 10 procent ogólnej ich liczby. Zatrudniano podówczas nie więcej niż

tysiąc osób, a całkowity budżet przekraczał nieco 0,05 procent ogólnych wydatków państwa. Dla porównania w tym samym czasie w więzieniach Komisariatu

Spraw Wewnętrznych znajdowało się 150 tysięcy więźniów, a ich utrzymanie

kosztowało 0,25 procent budżetu państwa. Na przestrzeni lat 1928-1930

proporcje

te uległy odwróceniu. W miarę jak instytucje rządowe stopniowo pozbywały się

swoich więźniów, samych więzień, obozów i związanych z nimi zakładów produkcyjnych, liczba aresztantów znajdujących się pod jurysdykcją OGPU wzrosła

z 30 do 300 tysięcy. W 1931 roku tajna policja przejęła także kontrolę nad

"specjalnymi przesiedleńcami", których większość stanowili deportowani kułacy. Jako że pod groźbą śmierci lub aresztowania mieli zakaz opuszczania przypisanych im miejsc pracy i osiedlenia, można było uznać ich także za robotników przymusowych. W połowie dekady OGPU miało już sprawować kontrolę nad znakomitą

większością więziennej siły roboczej Związku Sowieckiego. Aby sprostać nowemu zakresowi odpowiedzialności, OGPU dokonało reorganizacji zajmującego się obozami Wydziału Specjalnego i przemianowało go na Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy. Po jakimś czasie tę dosyć trudną do wypowiedzenia nazwę skrócono do Głównej Administracji Obozów (Głównoje Uprawienie Łagieriej). Z niej właśnie wywodzi się skrót, pod którym znany był w latach późniejszych cały system - Gułag.

Od momentu kiedy sowieckie obozy koncentracyjne po raz pierwszy pojawiły się na tak wielką skalę, zarówno ich więźniowie, jak i później historycy spierali się co do przyczyn, dla których je utworzono. Czy wyłoniły się z chaosu jako skutek uboczny kolektywizacji, industrializacji i innych zachodzących w kraju procesów? Czy też to Stalin starannie uknuł rozbudowę Gułagu, planując z góry aresztowanie milionów ludzi?

W przeszłości niektórzy uczeni utrzymywali, że za tworzeniem obozów nie stał żaden wielki plan. James Harris twierdził, że to nie biurokracja moskiewska, ale lokalni przywódcy doprowadzili do budowy nowych obozów w rejonie Uralu. Tamtejsze władze, zmuszone do zmagania się z niemożliwymi niemal do spełnienia postulatami planu pięcioletniego i borykające się z niedoborem siły roboczej, nasiliły tempo i brutalność kolektywizacji. Doszło do kwadratury koła, wyrzucając kułaka z jego ziemi, tworząc tym samym niewolnika, który mógł na niej pracować.

Inny historyk, Michael Jakobson, również utrzymuje, że początki masowego sowieckiego systemu więzień były "banalne": "Aparatczyki porywali się na nieosiągalne, starali się za wszelką cenę resocjalizować więźniów, a więzienia uczynić samowystarczalnymi. Władze szukały siły roboczej i funduszy. W dążeniu do osiągnięcia nierealnych celów rozbudowywano biurokrację. Administracja łagrów wcielała w życie zarządzenia i przepisy. Teoretycy racjonalizowali i udowadniali słuszność swoich koncepcji. W końcu wszystko odwrócono, zmieniono lub po prostu zarzucono". Tak naprawdę nie powinno dziwić, że początki Gułagu pogrążone były w chaosie. Przez całe lata trzydzieste kierownictwo władzy sowieckiej, a zwłaszcza sam Stalin, bezustannie zmieniało linię polityki. Wydawano rozporządzenia, by wkrótce potem je odwołać, wygłaszano przemówienia publiczne z założenia służące zatarciu obrazu rzeczywistości. Kiedy studiujemy historię tej epoki, nie jest łatwo doszukać się jakiegokolwiek głębszego planu zbrodni opracowanego przez Stalina

lub kogokolwiek innego. Weźmy przykład: Stalin sam zainicjował

kolektywizację, wkrótce jednak najwyraźniej zmienił na jej temat zdanie, gdyż w marcu 1930

roku zaatakował nadgorliwych prowincjonalnych funkcjonariuszy, zarzucając im

"zawrót głowy od sukcesów". Cokolwiek by miał na myśli, wygłaszając ten sąd,

pozostało to praktycznie bez odzewu. Tępienie kulaków trwało nieprzerwanie jeszcze przez całe lata. Urzędnicy OGPU i tajnej policji odpowiedzialni za planowanie ekspansji Gułagu z początku wydawali się również nie mieć spójnej koncepcji ostatecznego celu. Nawet komisji Jansona zdarzało się podejmować decyzje tylko po to, by wkrótce je odwołać. OGPU podejmowała sprzeczne w swoich założeniach kroki.

Przez całe lata trzydzieste ogłaszano amnestie, by położyć kres przepełnieniu więzień. W ślad za amnestiami szły jednak coraz to nowe fale represji i budowa nowych obozów, zupełnie tak, jakby Stalin i jego poplecznicy nie byli pewni, czy chcą, by system się rozrastał. System obozów także przechodził przez kolejne fazy represji - raz łagodniejszych, potem znów ostrzejszych. Nawet po roku 1929, kiedy to obozy nastawione były zdecydowanie na zwiększenie wydajności finansowej, w systemie zdarzały się anomalie. Na przykład jeszcze w 1937 roku wielu więźniów politycznych wciąż było zamkniętych w więzieniach z zakazem wykonywania jakiejkolwiek pracy - praktyka zupełnie sprzeczna z ogólnie panującym dążeniem do osiągnięcia wydajności ekonomicznej. Nie wszystkie zmiany wprowadzone na papierze miały jakiś skutek w praktyce. Mimo że w latach trzydziestych zlikwidowano podział formalny na obozy podlegające i niepodlegające tajnej policji, teoretycznie pozostała wciąż dosyć znacząca różnica między przeznaczonymi z założenia dla groźnych kryminalistów i więźniów politycznych "obozami"

a "koloniami" dla drobnych przestępców odsiadujących krótsze wyroki. W

praktyce organizacja pracy, dystrybucja żywności i życie codzienne w obozach i koloniach wyglądały niemal identycznie. Wydaje się coraz bardziej pewne, że Stalin miał od dawna starannie opracowany plan. A jeśli nawet nie, była to w każdym razie niezwykle silnie zakorzeniona wiara w olbrzymie korzyści wynikające z pracy więźniów. Wódz wytrwał

w niej aż do śmierci. I tu rodzi się pytanie: dlaczego? Niektórzy, tak jak Iwan Czuchin - były członek tajnej policji zajmujący się historią wczesnej epoki obozów - uważają, że Stalin promował pierwsze karkołomne przedsięwzięcia budowlane Gułagu, by wzmocnić swój prestiż. W tym czasie, po długiej i zaciętej walce o władzę, dopiero zaczynał istnieć jako niekwestionowany szef państwa. Mógł wyobrazić sobie, że nowe osiągnięcia przemysłu, zawdzięczone w dużej mierze niewolniczej pracy więźniów, pomogą mu utrzymać się przy władzy. Niewykluczone, że Stalin kierował się też wzorem jednego ze swoich wielkich poprzedników.

Wielu historyków - wśród nich Robert Tucker - posługując się licznymi przykładami, opisało obsesyjne zainteresowanie Stalina postacią Piotra Wielkiego, władcy Rosji, który realizując potężne zamierzenia inżynierskie i budowlane, wykorzystał na masową skalę pracę niewolników i więźniów. W 1928 roku na plenum Komitetu Centralnego, zwołanego tuż przed ukończeniem przygotowań do wcielenia w życie programu industrializacji, w swoim przemówieniu Stalin zauważył z nutą podziwu:

„Piotr Wielki, prowadząc interesy z bardziej rozwiniętymi krajami Zachodu, gorączkowo budował

młyny i manufaktury, by zaopatrzyć armię i wzmocnić system obronny kraju. Był to wyjątkowy wysiłek, przyczynił

się bowiem do przekroczenia wynikających z zacofania ograniczeń”.

Specjalnie wyróżniłam fragment tekstu, by w ten sposób podkreślić związek "wielkiego punktu zwrotnego" Stalina z polityką prowadzoną przez jego osiemnastowiecznego poprzednika. W rosyjskiej tradycji historycznej Piotr zapisał się jako władca nie tylko wielki, ale i okrutny - i nie ma w tym żadnej sprzeczności. W końcu nikt nie pamięta, ilu pańszczyźnianych chłopów i jeńców zginęło podczas budowy Petersburga, wszyscy jednak podziwiają piękno tego miasta. Wydaje się, że Stalin wziął sobie ten przykład do serca.

Tak naprawdę fascynacja Stalina obozami koncentracyjnymi nie musiała wcale mieć racjonalnego podłoża. Być może jego obsesyjne zainteresowanie potężnymi przedsięwzięciami inżynieryjnymi i ciężko harującymi drużynami przymusowych robotników mogło w jakiś sposób wynikać ze szczególnej formy jego megalomanii. Mussolini powiedział niegdyś o Leninie, że "to artysta, którego tworzywem byli ludzie, tak jak tworzywem innych były marmur lub metal".

Określenie to

pasuje nawet lepiej do Stalina, którego niezwykle radował widok maszerującego lub tańczącego z idealną synchronizacją tłumu. Wyraźnie pociągał go balet oraz pokazy gimnastyczne z orkiestrą i parady, na których anonimowe postaci ludzkie ustawiały się w gigantyczne piramidy. Tak jak Hitler, Stalin miał obsesję na punkcie kina, zwłaszcza music-halli hollywoodzkich, z niezliczoną wręcz liczbą w pełni zgranych ze sobą śpiewaków i tancerzy. Możliwe, że gensek czerpał nieco

podobną przyjemność ze świadomości, że na jego rozkaz całe armie więźniów pracują przy kopaniu kanałów i budowie linii kolejowych. Bez względu na to, czy inspiracje miały podłoże historyczne, polityczne czy psychologiczne, zupełnie oczywiste jest, że od najwcześniejszych dni Gułagu Stalin przykładął niezwykle dużą wagę do obozów i wywarł przemożny wpływ na ich rozwój. Przełomową decyzję o przekazaniu wszystkich obozów w Związku Sowieckim w ręce OGPU niemal na pewno podjęto z jego rozkazu. W 1929 roku Stalin zainteresował się osobiście OGPU jako instytucją. Troszczył się o rozwój kariery ważnych pracowników tajnej policji. Zadbał, by dla nich i ich rodzin budowano wygodne domy. Z kolei Zarząd Więziennictwa podlegający Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych nie cieszył

się jego względami - szefowie zarządu wspierali przeciwników Stalina w toczących się w tym czasie zacieklej walkach frakcyjnych wewnątrz partii. Wszyscy członkowie komisji Jansona znakomicie zdawali sobie z tego sprawę, być może to

właśnie wystarczyło, by przekonać ich, że więzienia powinny znaleźć się w rękach OGPU. Stalin ingerował w postanowienia komisji także osobiście.

W

pewnym momencie, w toku obrad, członkowie Politbiura odwołali swoją pierwotną decyzję, deklarując chęć pozbawienia tajnej policji nadzoru nad całym systemem penitencjarnym i przekazania go Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych. Ta perspektywa doprowadziła Stalina do furii. W 1930 roku w jednym z listów do swojego bliskiego współpracownika, Wiaczesława Mołotowa, określił to jako

"intrygę" uknutą przez "zepsutego do cna" komisarza spraw wewnętrznych. Nakazał, by Politbiuro wcieliło w życie pierwotne postanowienia, po czym ostatecznie

zlikwidował Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Przekazanie obozów pod jurysdykcję OGPU z góry określiło ich charakter. Wyjęto je spod kontroli zwykłego prawa i oddano w biurokratyczne szpony tajnej policji, której początki

leżały gdzieś w tajemniczym, stojącym ponad prawem świecie CzeKa.

Wprawdzie nie

mam zbyt wielu mocnych dowodów na poparcie tej tezy, ale uważam za całkiem

możliwe, że ciągłe ponaglanie do budowy "obozów typu Sołowki" było także pomysłem Stalina. Jak już wspominałam wcześniej, obozy sołowieckie nigdy nie

przynosiły zysku. Tylko w okresie od czerwca 1928 do czerwca 1929 roku SŁOŃ

otrzymał 1,6 miliona rubli dopłat z budżetu centralnego państwa. Mimo iż wydawał się osiągać lepsze wyniki finansowe od innych lokalnych przedsiębiorstw, każdy,

kto znał się chociaż trochę na ekonomii, mógł zauważyć, że SŁOŃ

stanowił wyjątkowo nieuczciwą konkurencję. Przedsiębiorstwa zajmujące się wycinką lasu,

wykorzystując pracę więźniów, zawsze wydawały się bardziej produktywne od tych,

które dostępu do tak taniej siły roboczej nie miały, choćby ze względu na to,

że te ostatnie zatrudniały głównie chłopów, co ograniczało ich działalność do

okresu zimowego, poza sezonem prac polowych. Tak czy inaczej Sołowki były postrzegane jako rentowne - przynajmniej w ten sposób postrzegał je Stalin.

Wierzył również, że obozy przynoszą zysk tylko i wyłącznie dzięki

"racjonalnym"

metodom stosowanym przez Frenkla, uzależnianiu racji żywnościowych od wykonanej

pracy i eliminacji bezużytecznych, a zatem "zbędnych" więźniów.

Najlepszym dowodem na to, że to właśnie ten system zyskał największe uznanie, był fakt, że

w bardzo krótkim czasie wprowadzono go na terenie całego kraju. Sam Frenkel mianowany został kierownikiem budowy Kanału Białomorskiego, pierwszego z

wielkich projektów stalinowskiego Gułagu. Jak na byłego więźnia był to niezwykle zaszczyt. W późniejszych latach, dzięki interwencjom na najwyższym

szczeblu władzy, Frenklowi udało się uchronić przed aresztowaniem, a być może

nawet przed egzekucją. Wydaje się, że Stalin przedkładał pracę więźniów nad pracę zwykłych robotników. Wskazuje na to jego niesłabnące zainteresowanie najdrobniejszymi nawet szczegółami związanymi z zarządzaniem obozami. Bezustannie domagał się informacji o stanie

"produktywności więźniów". Często kazał przedstawiać sobie szczegółowe statystyki wydobycia węgla i ropy, liczby zatrudnionych więźniów i odznaczeń, jakimi nagrodzono komendantów obozów.

Sz szczególnie interesowały go kopalnie złota Dalstroju w zespole obozów w północno-wschodniej części Kołomy. Regularnie dostarczano mu bardzo dokładne informacje o geologii tego regionu, wykorzystywanych w Dalstroju technologiach wydobycia oraz szczegółowe raporty dotyczące jakości i ilości uzyskanego złota. Aby mieć pewność, że jego zarządzenia wprowadzane są w najbardziej nawet odległych obozach, Stalin wysyłał

do nich liczne inspekcje. Często domagał się też, by komendanci obozów regularnie stawiali się w Moskwie. Gdy zainteresował go jakiś konkretny projekt, niekiedy potrafił osobiście się w niego zaangażować. Na wyobraźnię wodza wyraźnie działały kanały. Zdarzyło się, że Jagoda wysłał do Stalina list, starając się w uprzejmy sposób odwieść go od absurdalnego pomysłu zbudowania przez więźniów kanału w samym centrum Moskwy. W miarę zyskiwania coraz większej kontroli nad organami władzy Stalin zmuszał innych do skupiania uwagi na obozach.

W efekcie w 1940 roku niemal każdego tygodnia Politbiuro obradowało nad którymś z realizowanych przez Gułag projektów. Zainteresowanie Stalina nie miało charakteru czysto teoretycznego. Często poświęcał wiele uwagi ludziom pracującym w obozach: dowiadywał się, kim był

aresztowany, gdzie został skazany i jaki miał być jego ostateczny los.

Osobiście czytał i niekiedy komentował przesyłane mu przez więźniów lub ich żony podania o zwolnienie. Często odpisywał na nie w kilku słowach ("pozostawić" lub "zwolnić"). W późniejszym okresie regularnie domagał się wieści o konkretnych więźniach lub ich grupach (na przykład zachodnioukraińskich nacjonalistach), którymi

z jakichś powodów się interesował. Istnieją dowody pozwalające przypuszczać, że zainteresowanie Stalina niektórymi więźniami nie zawsze miało podłoże polityczne i nie ograniczało się jedynie do jego osobistych wrogów. Już w 1931 roku, a więc zanim umocnił się u władzy, Stalin przeforsował wydanie przez Politbiuro rezolucji, która dawała mu olbrzymie możliwości wpływania na aresztowania specjalistów zajmujących się konkretnymi dziedzinami techniki. Aresztowania inżynierów i specjalistów w tym okresie nie były zapewne dziełem przypadku - ich liczba i sposób sugerowały raczej jakiś głębszy plan.

Zapewne nie było zbiegiem okoliczności to, że w pierwszej grupie więźniów wysłanych do nowych obozów na polach złotonośnych Kołomy znajdowało się siedmiu znanych specjalistów z dziedziny górnictwa, dwóch ekspertów zajmujących się organizacją pracy i bardzo doświadczony inżynier hydraulik. Jak się przekonamy, mało prawdopodobne jest także, że OGPU zupełnie przez przypadek aresztowało jednego z najbardziej znanych w Związku Sowieckim geologów w przededniu wyruszenia ekspedycji mającej zbudować obóz w pobliżu złóż roponośnych w republice Komi. Tego typu "zbiegi okoliczności" nie mogły być zaplanowane przez reagujących na doraźne naciski regionalnych przywódców partii. Poza tym istnieje całkiem sporo bardzo ciekawych, chociaż zupełnie przypadkowych i niepowiązanych ze sobą dowodów, sugerujących, że masowe aresztowania pod koniec lat trzydziestych i w latach czterdziestych przeprowadzono w dużej mierze, by zaspokoić potrzebę posiadania przez Stalina niewolników, a nie tylko, jak się powszechnie uważa, by ukarać mniej lub bardziej wyimaginowanych wrogów. Autorzy jak do tej pory najbardziej wiarygodnego rosyjskiego dzieła poświęconego historii łagrów podkreślają "sprzężenie zwrotne między rezultatami działalności produkcyjnej łagrów a liczbą osadzonych". Nie było dziełem przypadku to, że w okresie rozbudowy systemu łagrów, kiedy znacznie wzrosło zapotrzebowanie na siłę roboczą, wyroki dla drobnych przestępców stały się niemal z dnia na dzień zdecydowanie bardziej surowe. W

rozrzuconych po różnych archiwach dokumentach można odnaleźć ślady wydarzenia, jakie miało miejsce w 1934 roku. W liście do swoich podwładnych na

Ukrainie Jagoda zażądał od 15 do 20 tysięcy "zdolnych do pracy"

więźniów. Byli

pilnie potrzebni do ukończenia budowy kanału Moskwa-Wołga. Pismo nosiło datę

17 marca. Jagoda żądał w nim, aby miejscowi szefowie OGPU "powzięli nadzwyczajne środki", by dostarczyć więźniów nie później niż do 1

kwietnia. Nie było

jednak wyjaśnione, skąd mają wziąć te 15 do 20 tysięcy osób. Czy aresztowano je specjalnie po to, by zadośćuczynić żądaniu Jagody?. Historyk Terry Martin uważa, że Jagoda usiłował w ten sposób zapewnić stały dopływ siły roboczej do obozów, czego na dobrą sprawę nigdy nie udało mu się osiągnąć. Jeśli aresztowania miały służyć zaludnieniu obozów, był to manewr żałośnie mało wydajny.

Martin i inni badacze podkreślają, że każda nowa fala masowych aresztowań zaskakiwała komendy obozów, uniemożliwiając im osiągnięcie czegoś, co z grubsza przypominałoby wydajność ekonomiczną. Odpowiedzialni za aresztowania funkcjonariusze wybierali swoje ofiary w zupełnie nieracjonalny sposób, zamiast ograniczyć zatrzymania do młodych i zdrowych mężczyzn, którzy najlepiej nadawaliby się do pracy na Dalekiej Północy, masowo wsadzano do więzienia także kobiety, dzieci i starców. Ten zupełny brak jakiegokolwiek logiki stoi w sprzeczności z ideą starannie opracowanego planu wykorzystania pracy niewolniczej. Być może dlatego wiele osób uważa, że aresztowania służyły głównie eliminacji domniemanych wrogów Stalina, zapełnianie obozów koncentracyjnych było celem drugorzędym.

Tak naprawdę żadne z powyższych wyjaśnień rozbudowy systemu obozów nie wyklucza pozostałych. Stalin mógł wykorzystywać aresztowania, by pozbyć się wrogów, ale i jednocześnie stworzyć niewolników. Mogła kierować nim paranoja, jak i chęć zaspokojenia zapotrzebowania na siłę roboczą lokalnych funkcjonariuszy.

Można to ująć bardzo prosto: Stalin zaproponował tajnej policji przyjęcie

"modelu sołowieckiego" przy tworzeniu obozów koncentracyjnych. Stalin wybierał ofiary, a jego podwładni aż palili się do wykonywania rozkazów wodza.

ROZDZIAŁ 4

Kanał Białomorski

„Gdzie omszałe brzegi

i wody sen ogarniał

Tam teraz dzięki sile pracy

Staną fabryki

I urosną miasta

Ku niebu Północy

Wzlecą słupy dymu

A budynki lśnić będą światłami

Bibliotek, teatrów i klubów...”

Miedwiedkow, więzień przy budowie Kanału Białomorskiego, 1934

SPOŚRÓD poruszanych podczas obrad komisji Jansona problemów jeden tylko budził jeszcze niepokój. Nikt nie miał wątpliwości, że problemy związane z budową

dróg zostaną przezwyciężone i nawet jeśli nie wszyscy zgadzali się z ideą wykorzystania niewolniczej pracy więźniów, Stalina i jego otoczenie trapiło zupełnie co innego, mianowicie to, w jaki sposób cudzoziemcy opisują za granicą sowieckie łagry. Tak naprawdę, wbrew powszechnemu mniemaniu, relacje na ten temat pojawiały się dosyć często. Pod koniec lat dwudziestych Zachód wiedział całkiem sporo o tym, co działo się w obozach koncentracyjnych w Rosji, zapewne zdecydowanie więcej niż dwie dekady później. Obszerne artykuły poświęcone więzieniom sowieckim pojawiały się w prasie niemieckiej, francuskiej, brytyjskiej i amerykańskiej, zwłaszcza w gazetach lewicowych, które utrzymywały szerokie kontakty z uwięzionymi w nich rosyjskimi socjalistami. W 1927

roku ukazała się zaskakująco trafna książka o Solówkach - *Un Bagne en Russie Rouge* (Więzienie w czerwonej Rosji) - pióra francuskiego pisarza Raymonda Dugueta. Opisane było w niej dokładnie wszystko, począwszy od osobowości Naftalija Frenkla. Kolejną książkę, *Island Heli* (Pieńko na wyspach), opublikował w 1926 roku w Londynie gruziński oficer Białej Armii, Sozerko Malsagow, któremu udało się uciec z Sołówek i przedostać za granicę. W odpowiedzi na szerzące się doniesienia o nadużywaniu pracy więźniów w Sowietach Brytyjskie Towarzystwo Walki z Niewolnictwem (British Anti Slavery Society) wszczęło w tej sprawie śledztwo i opublikowało raport, ujawniając przypadki okrucieństwa i nieludzkiego traktowania. Jeden z francuskich senatorów, opierając się na świadectwach rosyjskich uchodźców, napisał, cytowany później często artykuł, w którym porównywał sytuację w Związku Sowieckim z wynikami śledztwa dotyczącego niewolnictwa, przeprowadzonego przez Ligę Narodów w Liberii. Ekspansja obozów w latach 1929-1930 spowodowała znaczny wzrost zainteresowania za granicą. Nie przejmowano się już jednak losem więzionych socjalistów, a raczej zagrożeniem ekonomicznym, jakie obozy stwarzały dla interesów Zachodu. Zagrożeni producenci i związki zawodowe coraz silniej domagali się, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, bojkotu tańszych towarów sowieckich, zupełnie jawnie produkowanych przez przymusowych robotników. Paradoksalnie, ruch na rzecz bojkotu wprowadził potężne zamieszanie w szeregach zachodniej lewicy, zwłaszcza w Europie. Jej przywódcy wciąż popierali rewolucję rosyjską, nawet jeśli trudno było im się pogodzić z losem swoich socjalistycznych towarzyszy. Brytyjska Partia Pracy sprzeciwiała się zakazowi sprowadzania towarów sowieckich, bardziej jednak ze względu na motywy, jakimi kierowały się firmy dążące do jego wprowadzenia.

Związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza Amerykańska Federacja Pracy, występowały z poparciem dla bojkotu. Wydany w Ameryce w 1930

roku Akt Celny głosił: "Wszelkie towary... wydobywane, fabrykowane lub wyrabiane... dzięki pracy skazańców lub/oraz robotników przymusowych... nie mogą

zostać dopuszczone do żadnego z portów Stanów Zjednoczonych". Na tej podstawie Departament Skarbu zakazał importu sowieckiej tarcicy i zapalek. Mimo iż

nie udało się utrzymać tej klauzuli dłużej niż tydzień, dyskusje na ten temat bynajmniej nie ucichły. W styczniu 1931 roku Komitet Dróg i Środków Transportu

(Ways and Means Committee) Kongresu Stanów Zjednoczonych rozważał

projekt

"zakazu sprowadzania towarów wyprodukowanych w Rosji przez więźniów".

W dniach 18, 19 i 20 maja 1931 roku w londyńskim "Timesie" ukazała się seria

zaskakująco szczegółowych artykułów poświęconych problemowi pracy przymusowej w Związku Sowieckim. W notatce od redakcji potępiono świeżą jeszcze decyzję rządu brytyjskiego o nawiązaniu kontaktów dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim. Jak pisali dziennikarze, udzielanie Rosji kredytów "tylko przysporzy sił tym, którzy całkiem otwarcie działają na rzecz obalenia i zniszczenia Imperium Brytyjskiego".

W rzeczy samej reżim sowiecki potraktował bojkot niezwykle poważnie i powzięto wiele działań, mających zapobiec ustaniu dopływu twardej waluty do kraju. Niektóre miały charakter czysto kosmetyczny: członkowie komisji Jansona w publicznych przemówieniach przestali się na przykład posługiwać zwrotem "koncлагier" (obóz koncentracyjny). Od 7 kwietnia 1930 roku wszystkie oficjalne dokumenty odnosiły się do sowieckich obozów koncentracyjnych jako do "isprawiitelno-trudowych łagieriej" (ITŁ), czyli obozów pracy poprawczej - w późniejszych czasach nie używano już żadnego innego terminu. Swoich zmian kosmetycznych dokonały też władze obozowe, zwłaszcza w przemyśle leśnym. W

pewnym momencie OGPU zawarło kontrakt z Kariellesem (karelskim trustem przemysłu leśnego), stwarzając tym samym pozory, że nie korzysta już z pracy więźniów. W tym czasie z łagrów teoretycznie usunięto ponad 12 tysięcy ludzi, którzy jednak w praktyce pracowali dalej na dotychczasowych warunkach, co skrzętnie ukryto w bałaganie biurokratycznym. Po raz kolejny władza sowiecka zadbała o zachowanie pozorów, nie przejmując się tym, jak wygląda rzeczywistość. Zdarzało się też, że więźniów pracujących przy wyrębie zastąpili wolnonajemni robotnicy lub - nawet częściej - przesiedleńcy, czyli "osadnicy" - kułacy, którzy nie mieli wiele więcej praw niż więźniowie. Autorzy wielu pamiętników utrzymywali, że tego rodzaju przemiany odbywały się często w ciągu jednej nocy. George Kiczin, fiński biznesmen, który spędził w łagrach OGPU cztery lata, zanim - dzięki pomocy rządu fińskiego - udało mu się odzyskać wolność, pisał, że „tuż przed wizytacją zagranicznej delegacji [...] odebrano zaszyfrowany telegram z Moskwy. Zgodnie z instrukcjami mieliśmy w ciągu trzech dni zupełnie zlikwidować nasz obóz i to tak, aby nie został po nim żaden ślad [...]”. Do wszystkich jednostek wysłano telegramy nakazujące wstrzymanie wszelkich prac w ciągu dwudziestu czterech godzin, zebranie wszystkich więźniów w centrach ewakuacyjnych, usunięcie wszelkich śladów obozów karnych, takich jak ogrodzenia z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze i tablice informacyjne. Wszyscy funkcjonariusze mieli przebrać się w stroje cywilne, a wartownicy złożyć broń i oczekiwać na dalsze instrukcje.

Kiczyn, razem z kilkoma tysiącami innych łagierników, został wysłany pod eskortą do lasu. Przypuszcza się, że w czasie ewakuacji, w ciągu tej i kilku następnych nocy, ponad 1300 więźniów poniosło śmierć. Ponieważ w marcu 1931 roku Mołotow, podówczas przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, miał już pewność, że w Sowietach przy wyrębie lasu nie pracuje żaden więzień, a przynajmniej żadnego przy tej pracy nie widać, zaprosił wszystkich zainteresowanych cudzoziemców, by na własne oczy mieli okazję się o tym przekonać. Kilka osób trafiło do Związku Sowieckiego już wcześniej. Archiwa karelskiej partii komunistycznej odnotowały w 1929 roku wizytę dwóch dziennikarzy -

"towarzysza Duranty'ego i towarzysza Wolfa", korespondentów sowieckiej agencji informacyjnej TASS i współpracowników amerykańskich "czasopism radykalnych". Przywitano ich uroczystym odśpiewaniem Międzynarodówki, a Wolf obiecał "przekazać robotnikom Ameryki obraz tego, jak żyją i jak budują nową rzeczywistość robotnicy Związku Sowieckiego". Nie było to ostatnie z tego typu wyreżyserowanych spotkań. Tak naprawdę, mimo iż naciski popierające bojkot załamały się zupełnie w 1931 roku, kampania przeciwko pracy niewolniczej w Sowietach nie pozostała bez echa. Związek Sowiecki był i pozostał przez lata, nawet w okresie rządów Stalina, niezwykle uczulony na punkcie swego wizerunku za granicą. Niektórzy historycy, wśród nich Michael Jakobson, spekulują, że groźba bojkotu mogła poważnie wpłynąć na charakter sowieckiej polityki. Przemysł leśny, wymagający olbrzymiej liczby niewykwalifikowanej siły roboczej, był wręcz stworzony, aby wykorzystywać w nim pracę więźniów. Ponieważ jednak eksport drewna był dla Związku Sowieckiego jednym z głównych źródeł twardej waluty, nie można było ryzykować kolejnego bojkotu. Więźniów należało wysłać gdzie indziej – najlepiej tam, gdzie nie trzeba byłoby kryć się z ich obecnością, a nawet dałoby się ją nagłośnić. Wśród wielu pomysłów jeden szczególnie spodobał się Stalinowi: budowa potężnego kanału łączącego Morze Białe z Bałtykiem, kanału przebiegającego przez tereny pokryte litymi skałami granitowymi. Jak na swoje czasy Kanał Białomorski (po rosyjsku Biełomorkanał lub w skrócie Biełomor) nie był niczym niezwykłym. W momencie rozpoczęcia jego budowy w Związku Sowieckim trwały już prace nad realizacją równie wielkich i wymagających olbrzymiego nakładu pracy projektów - nowych "miast socjalizmu" - między innymi największego na świecie kombinatu hutniczego w Magnitogorsku oraz

potężnych fabryk produkujących maszyny rolnicze i samochody. Tak czy inaczej,

wśród tych płodów gigantomanii lat trzydziestych Kanał Białomorski wyróżniał

się jednak najbardziej. Wielu Rosjan miało świadomość, że kanał miał

stać się ziszczeniem pradawnych projektów, gdyż pierwsze plany z nim związane narodziły się jeszcze w XVIII stuleciu. Kupcy szukali szlaku, którym statki wiozące drewno i surowce mineralne mogłyby przedostać się z zimnych wód Morza Białego do portów handlowych na Bałtyku, bez konieczności pokonywania Morza Norweskiego.

Aby tego dokonać, trzeba było wykopać ponad 220 kilometrów kanału, zbudować 5 zapór i 19 śluz. Sowietcy planiści w tym zupełnie nieuprzedzonym regionie kraju, którego geologii nigdy dokładnie nie zbadano (jak pisał Gorki, była to "hydrologiczna terra incognita"), zamierzali wykorzystać najprostsze. Wszystko to sprawiło, że projekt spodobał się Stalinowi. Wódz chciał spektakularnego triumfu technologicznego - dokonania czegoś, co nie udało się starym reżimowi -

i chciał osiągnąć to jak najszybciej. Nie tylko nakazał zatem, aby rozpoczęto prace nad budową, ale również zażądał, aby ukończono je w ciągu dwudziestu miesięcy. Kanał miał nosić jego imię. Stalin był

głównym orędownikiem budowy kanału, on też naciskał, by wykorzystać przy niej pracę więźniów. Przed przystąpieniem do realizacji projektu z wściekłością potępiał wszystkich, którzy ośmielali się podać w wątpliwość sens tak wielkiej inwestycji, biorąc pod uwagę stosunkowo niewielki ruch na Morzu Białym. "Powiedziano mi - pisał do Mołotowa -

że Rykow i Kwiring, wbrew decyzjom Politbiura, chcą zniweczyć plan budowy kanału północnego. Należy ich sprowadzić na ziemię i dać porządnie po łapach". W trakcie posiedzenia Politbiura, na którym omawiano budowę kanału, Stalin, dając upust swej wierze w pracę więźniów, zanotował: "Jeśli chodzi o północny odcinek kanału, [...] mam na myśli jego budowę przede wszystkim siłami GPU (pracy więźniów).

Jednocześnie musimy przeprowadzić powtórna kalkulację kosztów budowy pierwszego odcinka [...]. Zbyt dużo...". Preferencje Stalina nie były dla nikogo tajemnicą. Po zakończeniu budowy jej kierownik pochwalił Stalina za "odwagę", której wymagało podjęcie się konstrukcji

"hydrotechnicznego giganta" oraz za "cudowny fakt, że prace ukończono bez potrzeby wykorzystania zwykłej siły roboczej". Wyraźnie widać też, że Stalin miał wpływ na tempo, w jakim przystąpiono do prac. Decyzję o budowie podjęto w lutym 1931 roku, a we wrześniu - po niespełna siedmiu miesiącach prac inżynierskich i pomiarów geodezyjnych -

rozpoczęto już prace. Pierwsze obozy związane z Kanałem Białomorskim wyrosły ze SŁOŃ i to pod każdym względem. Łagry te zorganizowano na wzór SŁOŃ, wykorzystano należące do niego wyposażenie i obsadzono jego kadra. Gdy tylko rozpoczęto budowę, komendanci obozów kanału przenieśli do pracy znaczną część więźniów z obozów SŁOŃ na kontynencie i Wyspach Sołowieckich. Przez krótki czas stara kadra SŁOŃ próbowała bezskutecznie konkurować z biurokratami związanymi z budową kanału o przejęcie kontroli nad projektem. SŁOŃ nagle przestał stanowić samodzielną strukturę. Kreml Sołowiecki zamieniono w więzienie o zastrzonym

rygorze, a obozy Wysp Sołowieckich stały się po prostu jedną z sekcji Bielbałtłagu - Białomorsko-Bałtyckiego Obozu Pracy Poprawczej. Do budowy kanału przeniesiono ze SŁOŃ znaczną część wartowników i urzędników z ramienia OGPU.

Między nimi był również Naftalij Frenkel, który od listopada 1931 roku zajmował

się organizacją pracy na budowie. We wspomnieniach osób, którym udało się ją przeżyć, towarzyszący przedsięwzięciu chaos urósł do rangi legendy. Oszczędności finansowe oznaczały, że więźniowie zamiast stali i cementu używali do budowy drewna, piachu i kamieni. Wydatki obcinano, gdzie tylko to było możliwe. Po wielu dyskusjach podjęto decyzję, że kanał będzie miał zaledwie cztery metry głębokości, co wystarczało z ledwością dla większości statków. Jako że wszelkie nowoczesne technologie były zbyt kosztowne lub nieosiągalne, projektanci kanału postanowili powierzyć prace olbrzymim zastępom niewykwalifikowanych robotników. Przez dwadzieścia jeden

miesiące przy realizacji projektu pracowało około 170 tysięcy więźniów i "spec-przesiedleńców". Przy budowie kanału i wszystkich jego potężnych zapór i śluz używali drewnianych szpadli, zwykłych pił, kilofów i taczek. Już na fotografiach z tamtego okresu narzędzia te wyglądają dosyć topornie, jednak dopiero gdy przyjrzymy się im z bliska, widać, jak bardzo są prymitywne. Niektóre z nich wciąż można oglądać w Miedwieżegorsku, miasteczku, które było niegdyś wrotami do kanału i stolicą Biełbałtłagu. Teraz, po latach, Miedwieżegorsk to zapomniana karelska osada, wyróżniająca się jedynie gigantycznym, opustoszałym hotelem i małym, regionalnym muzeum historycznym. Wystawione na pokaz kilofy to po prostu nieco zaostrzone płaskie kawałki metalu, przywiązane rzemieniami lub drutem do drewnianych trzonek. Piły składają się z kawałków blachy, z powycinanymi zębami. "Młoty" natomiast, których używali więźniowie do rozkruszania skał, wbijając w nie metalowe kliny, to nic innego jak bryły metalu przykręcone do drewnianych rękojeści. Wszystko, od taczek aż po rusztowania, robiono ręcznie. Jeden z więźniów wspominał: "Nie mieliśmy styczności z jakąkolwiek technologią. Nawet zwykłe samochody były rzadkością. Wszystko robiliśmy własnymi rękoma, czasami używaliśmy koni. Kopaliśmy ziemię gołymi rękoma i wywoziliśmy ją na taczkach, przez góry przebijaliśmy się, wynosząc rękami kamienie".

Sowiecka propaganda przechwalała się, że wywożono je z budowy

"białomorskimi fordami [...], ciężkimi wozami na czterech mocnych drewnianych kołach, zrobionych z pni". Warunki bytowe były równie prowizoryczne i to mimo wysiłków Gienricha Jagody, szefa OGPU, odpowiedzialnego za realizację przedsięwzięcia od strony politycznej.

Jagoda zdawał się całkiem szczerze wierzyć, że więźniom należy zapewnić godne warunki życiowe, aby budowa kanału została ukończona w przewidzianym terminie. Dlatego też często napominał zarządców obozowych, aby lepiej traktowali skazańców i "dokładali wszelkich starań, by więźniowie byli stosownie karmieni, ubrani i obuci".

Komendanci stosowali się do wytycznych. W 1933 roku szef sołowieckiego obozu budowy kanału nakazał podwładnym, aby zlikwidowali wieczorne kolejki po jedzenie, wyeliminowali kradzieże z kuchni i ograniczyli czas wieczornego liczenia więźniów do godziny. Z

założenia oficjalne normy żywienia były wyższe niż kilka lat później, a w skład zalecanego jadłospisu wchodziła między innymi kielbasa i herbata. Teoretycznie więźniowie co roku otrzymywali nowy zestaw ubrań roboczych. Tak czy inaczej pośpiech i brak rozsądnego planowania stały się dla tysięcy ludzi przyczyną potwornych cierpień. W miarę postępu prac wzdłuż biegu kanału musiały powstawać coraz to nowe obozy. Przybywający więźniowie i zesłańcy nie zastawali dosłownie niczego. Przed przystąpieniem do pracy musieli zbudować dla siebie baraki i zorganizować zaopatrzenie w prowiant. Zdarzało się, że zanim zdolali się z tym uporać, zabijała ich niezwykle mroźna karelska zima.

Wedle niektórych wyliczeń przy budowie zmarło z tego powodu ponad 25

tysięcy więźniów. Liczba ta nie obejmuje zwolnionych ze względu na choroby lub wypadki, którzy zmarli wkrótce potem. Jeden z więźniów, Łosiew, w liście do żony pisał, że chciałby powrócić do kazamatów Butyrki, tutaj musiał spać na ławach zatłoczonych do tego stopnia, że "gdy w nocy przekręcisz się na drugi bok, przynajmniej cztery lub pięć osób leżących obok też musi to zrobić".

Jeszcze bardziej wstrząsające są nieco późniejsze zeznania młodego chłopaka, syna przesiedlonych kułaków, deportowanego z całą rodziną do jednej z pośpiesznie zbudowanych wzdłuż kanału osad: „Trafiliśmy do baraku z piętrowymi ławami do spania. Ponieważ były z nami małe dzieci, naszej rodzinie przydzielono miejsce na dolnej ławie. Baraki były długie i zimne. Piece paliły się dwadzieścia cztery godziny na dobę, tylko dlatego że w Karelii łatwo było o drewno na opał [...]. Ojciec ze względu na nas dostawał przydziałowo jedną trzecią wiadra zielonkawej zupy, w jej ciemnej toni pływały dwa, może trzy zielone pomidory lub ogórek. Do tego kilka kawałków przemrożonych ziemniaków, zmieszanych ze 100 lub 200 gramami jęczmienia lub grochu”. Chłopak zapamiętał też, że jego ojciec, pracujący przy budowie nowych domów dla osadników, dostawał 600 gramów chleba. Siostra otrzymywała go 400 gramów. Wszystko to musiało wystarczyć dla całej, liczącej dziewięć osób rodziny. W tym czasie niektóre problemy znalazły wreszcie odzwierciedlenie w oficjalnych raportach. W sierpniu 1932 roku na posiedzeniu komórki partyjnej Biełbałtłagu posypały się skargi na złą organizację dystrybucji jedzenia, brudne kuchnie i coraz częstsze przypadki szkorbutu. Sekretarz komórki z nutą pesymizmu pisał: "Nie mam cienia wątpliwości, że kanał nie powstanie na czas...". Większość funkcjonariuszy nie mogła sobie jednak pozwolić na powątpiewanie. Między wierszami listów i raportów pisanych przez kierownictwo kanału w okresie jego budowy przebiega wszechobecne przerażenie. Stalin zarządził, że kanał ma zostać zbudowany w dwadzieścia miesięcy. Jego budowniczy doskonale wiedzieli, że ich dorobek życiowy, a prawdopodobnie również samo życie, zależą od tego, czy kanał powstanie w przewidzianym czasie. Aby przyspieszyć tempo prac, komendanci obozów adaptowali praktyki z "wolnego" świata, wprowadzono między innymi "socjalistyczne współzawodnictwo pracy" -

zawody w wypełnianiu norm pracy na czas, i "burze", podczas których więźniowie, "na ochotnika", pracowali dwadzieścia cztery lub czterdzieści osiem godzin bez przerwy. Drużyny robotników prześcigały się w przenoszeniu kamieni i kopaniu. Jeden z więźniów wspominał, że na terenie budowy zamontowano oświetlenie elektryczne tak, by praca mogła trwać bez przerwy przez całą dobę. Jeden z więźniów w nagrodę za wysoką wydajność otrzymał 10 kilogramów białej mąki i 5 kilogramów cukru. Oddał mąkę piekarzom obozowym. Upiekli z niej biały chleb, który więzień zjadł, z nikim się nie dzieląc. Wraz ze współzawodnictwem władze wprowadziły także kult udarników - przodowników pracy. W

późniejszych latach udarników przemianowano na stachanowców, ku czci wyjątkowego przodownika pracy, górnika Aleksieja Stachanowa.

Udarnicy i stachanowcy byli to więźniowie, którym udało się przekroczyć normy pracy. Z tego tytułu dostawali dodatkowe jedzenie i cieszyli się specjalnymi przywilejami, w tym prawem do otrzymywania co sześć miesięcy nowego stroju roboczego, a raz na rok nowego garnituru (w późniejszych latach byłoby to nie do pomyślenia). Najlepsi dostawali także zdecydowanie lepsze jedzenie. W stołówkach jedli przy osobnych stołach, pod transparentami głoszącymi: "Dla lepszych robotników -

lepsze jedzenie". Nad stołami pozostałych więźniów wisiały plakaty z napisem: "Tu jest gorsze jedzenie - dla leniów, obiboków i bumelantów".

Najlepsi robotnicy mieli także szansę na przedterminowe zwolnienie, za każde trzy dni pracy ze stuprocentowym wykonaniem normy przysługiwało skrócenie wyroku o jeden dzień. Gdy w sierpniu

1933 roku ukończono prace przy budowie kanału, wolność odzyskało 12 484

więźniów. Wielu otrzymało ordery i nagrody. Otwarcie kanału na czas uświęcono tradycyjną rosyjską ceremonią z chlebem i solą, publiczność krzychała: "Na cześć budowniczych kanału, hip hip hura!!!". Jeden z więźniów świętujących wcześniejsze zwolnienie zaczął obcałowywać w ferworze nieznaną kobietę. Spędzili tę noc razem nad brzegami kanału.

Budowa Kanału Białomorskiego była z wielu powodów wyjątkowa: towarzyszący jej chaos, niesamowite tempo prac i waga, jaką przykładał

do niej sam Stalin. Kanał Białomorski był pierwszym, a zarazem jedynym realizowanym przez Gułag projektem, przedstawionym przez propagandę sowiecką w pełnej krasie, zarówno w kraju, jak i za granicą. Człowiekiem, przed którym postawiono zadanie wyjaśnienia znaczenia, promowania i usprawiedliwienia budowy kanału w Związku

Sowieckim i poza jego granicami, był nie kto inny jak sam Maksym Gorki.

Nie był to zaskakujący wybór. W tym czasie Gorki był dobrym i oddanym członkiem stalinowskiej hierarchii. W sierpniu 1933 roku, po triumfalnej podróży

Stalina parowcem przez świeżo otwarty kanał, Gorki zabrał na podobną wyprawę

120 pisarzy sowieckich. Byli tak podekscytowani tą podróżą (albo tak przynajmniej utrzymywali), że ledwie mogli utrzymać notatniki, ich palce

"trzęsły się z podziwu". Ci, którzy podjęli się podówczas napisania książek o budowie kanału, dostali całkiem sporo w ramach zachęty. Dla uczczenia ich uczestnictwa w projekcie wydano między innymi

"wytworny obiad w Astorii", wielkim, pamiętającym jeszcze czasy caratu hotelu w Leningradzie.

Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę stosunkowo niskie wymagania stawiane literaturze socrealistycznej, książka, która zrodziła się z ich wysiłków - Kanał imienia Stalina - jest wyjątkowym świadectwem degradacji moralnej w społeczeństwie

totalitarnym. Tak jak poświęcony Sołowkom esej Gorkiego i ta książka usprawiedliwia to, dla czego usprawiedliwienia być nie powinno. Jest nie tylko próbą dokumentacji przemian duchowych prowadzących do transformacji więźniów w idealne przykłady homo sovieticus, lecz również próbą stworzenia nowego typu

literatury. Wprawdzie to właśnie Gorki poprzedził wstępem i opatrzył

komentarzem tę książkę, ale odpowiedzialność za jej treść nie spoczywa na jednej osobie,

lecz na całym, liczącym 36 osób kolektywie pisarzy. Posługując się wyrafinowanym słownictwem, hiperbolami i delikatnie przeinaczając fakty, starali się wspólnym wysiłkiem uchwycić ducha nowej epoki. Ideę książki znakomicie oddaje jedna z zamieszczonych w niej fotografii.

Przedstawia ona ubraną w więzienny strój

kobietę z wielkim zapalem pracującą świdrem. Podpis pod zdjęciem brzmi:

"Zmieniając naturę, człowiek zmienia się sam". Trudno o coś, co kontrastowałoby

bardziej z chłodnym językiem, jakim posługiwały się komisja Jansona i Wydział

Ekonomiczny OGPU. Dla osób słabo obeznanych z gatunkiem literackim niektóre fragmenty socrealistycznego Kanału mogą wydawać się nieco zaskakujące. Po pierwsze, w książce tej nie usiłuje się zamaskować całej prawdy, opisywane są bowiem problemy spowodowane brakiem wyszkolonych specjalistów i dostępu do nowoczesnych technologii. W

pewnym momencie pojawia się fragment wypowiedzi, będącego podówczas naczelnikiem Gułagu, Matwieja Bermana: „Dostaniecie tysiąc mężczyzn w pełni sił - mówił swojemu podwładnemu z OGPU. - Zostali skazani przez rząd sowiecki za różne przewinienia. Przy pomocy tych ludzi macie ukończyć prace. - Wybaczcie, że pytam, ale gdzie są wartownicy? - zapytał oficer OGPU.

- Wartowników zorganizujecie na oczekaniu. Wybierzcie ich sami.

- No dobrze, tylko ja nie mam pojęcia o ropie naftowej.

- Weźcie do pomocy jednego z więźniów, inżyniera Duchanowicza.

- Ale na co on ma się przydać? Jego specjalnością jest obróbka metali na zimno.

- A czego byście chcieli? Mamy skazywać profesorów, których akurat potrzebujecie w obozach koncentracyjnych? Nie ma takiego paragrafu w kodeksie karnym. A my

nie jesteśmy koncernem naftowym”. Z tymi słowami Berman odesłał

oficera OGPU do wypełniania obowiązków. "Zwariowana sprawa" - pisali autorzy Kanału. Po "miesiącu, no, może dwóch" oficer i jego koledzy przechwalają się sukcesami osiągniętymi przez podległych im, zupełnie przypadkowych więźniów: "Mam u siebie pułkownika, jest najlepszym drwalem w całym obozie" - chwali się jeden z nich. "U mnie inżynierem odpowiedzialnym za wydobywanie jest były defraudant" - odpowiada mu inny. Przesłanie jest oczywiste: warunki materialne były trudne, materiał

ludzki prymitywny, mimo to wszytkowiedzący i bezbłędni oficerowie sowieckiej policji politycznej osiągnęli sukces. Wbrew wszelkim przeciwnościom udało się im przemienić więźniów we wzorowych obywateli. Tak więc przytoczenie ponurych faktów, opisanie prymitywnych technologii i podkreślenie braku kompetentnych specjalistów służyło raczej uwiarygodnieniu bajkowej wizji życia obozowego. Na sporą część książki składają się podnoszące na duchu, mistyczne niemal wyznania więźniów, którzy "resocjalizują się" dzięki pracy przy budowie kanału. Wielu z nich to zwykli przestępcy. Nie wszyscy jednak. O ile w poświęconym Wyspom Sołowieckim eseju Gorki skrzętnie pomijał i ukrywał obecność więźniów politycznych, o tyle autorzy Kanału wprowadzili kilku bohaterów będących nawróconymi

"politycznymi". Ograniczony "uprzedzeniami kastowymi inżynier Masłow, były "burzyciel porządku", stara się "osłonić gotujące się w jego wnętrzu mroczne i głębokie procesy prowadzące do odtworzenia zdolności odróżniania dobra od zła". Inżynier Zubrik, były sabotażysta i przedstawiciel klasy robotniczej, "uczciwie zapracował sobie na prawo powrotu na łono klasy, z której się wywodził". Kanał imienia Stalina nie był w tym czasie jedynym dziełem literackim wychwalającym cudowną moc "pieriekowki", dokonanej poprzez obozy. Innym godnym odnotowania tego przykładem jest poświęcona Kanałowi Białomorskiemu komedia Nikołaja Pogodina Arystokraci i to nie tylko ze względu na podjęcie motywu "kochliwości" złodziei. Sztukę Pogodina po raz pierwszy wystawiono

w grudniu 1934 roku (po pewnym czasie doczekała się także ekranizacji pod tytułem Więźniowie). Zabrakło w niej miejsca dla stanowiących większość więźniów

kułaków i "politycznych". Zamiast tego, językiem stanowiącym wyjątkowo łagodną wersję gwary przestępczej, przedstawione są wesołe igraszki przebywających

w obozie bandytów (tytułowych "arystokratów"). Oczywiście w sztuce pokazany

jest jeden czy też dwa złe uczynki. W jednej ze scen przestępca

"wygrywa" dziewczynę w karty, a oznacza to, że jego przeciwnik musi ją pochwycić i zmusić, by mu się oddała. W sztuce dziewczynie udaje się uciec, w rzeczywistości miałyby

zapewne zdecydowanie mniej szczęścia. Pod sam koniec sztuki wszyscy przyznają się jednak do swoich dawnych przestępstw i widząc światło nadziei, z entuzjazmem przystępują do pracy, śpiewając pieśń:

„Byłem okrutnym bandziorem, o tak,

Okradałem ludzi, me cierpiałem pracy,

Moje życie było czarne niczym noc. I

wtedy wzięli mnie do kanału, i cała

przeszłość stała się złym snem. Tak

jakbym narodził się na nowo. Chcę

pracować, śpiewać i żyć...”.

W tym czasie tego typu twórczość okrzyknięto nową, radykalną formą teatru.

Polski socjalista, Jerzy Gliksman, po obejrzeniu Arystokratów w Moskwie, w 1935

roku, tak opisywał swoje wrażenia: „Scenę ustawiono nie na zwykłym miejscu, ale na środku sali, tak że publiczność siedziała naokoło.

Zamiarem reżysera było przybliżenie widowni do akcji sztuki, zapełnienie przepaści dzielącej widza od aktora. Nie było kurtyny, a scenografia była niezwykle skromna, prawie tak, jak w teatrze elżbietańskim [...] temat -

życie w obozie - był sam w sobie ekscytujący". Literatura ta pełniła poza obozami dwojaką funkcję. Z jednej strony była elementem kampanii usprawiedliwiania gwałtownego rozrastania się systemu łagrów przed coraz bardziej sceptycznie nastawioną zagranicą. Z drugiej, służyła także prawdopodobnie uspokojeniu poruszonych gwałtowną kolektywizacją i industrializacją obywateli sowieckich. Obiecywała im szczęśliwy koniec: nawet

ofiaram rewolucji stalinowskiej dano w obozach pracy szansę rozpoczęcia nowego

życia. Propaganda odniosła skutek. Po obejrzeniu Arystokratów Gliksman spytał, czy może odwiedzić prawdziwy obóz pracy. Ku jego zaskoczeniu zabrano go wkrótce

do "pokazowego" obozu w Bolszewie, niedaleko Moskwy. Wspominał

później

"schludne białe łóżka i pościel, odmalowane pokoje. Wszystko było sterylnie czyste". Spotkał się z grupą młodszych więźniów, by wysłuchać niezwykle budujących historii o ich życiu. Tych samych historii, które pojawiały się w dziełach Gorkiego i Pogodina. Poznał złodzieja studiującego pilnie, by zostać inżynierem, oraz chuligana, który zdał sobie sprawę z popełnionych błędów i w ramach powrotu na dobrą drogę prowadził obozowy magazyn. "Jaki piękny potrafi być świat!" - szepnął

Gliksmanowi do ucha francuski reżyser. Pięć lat później Gliksman znalazł

się na podłodze zatłoczonego wagonu bydłowego, podążającego ku obozowi, który nie miał zbyt wiele wspólnego z modelowym obozem w Bolszewie. Towarzyszyli mu więźniowie zupełnie inni od tych ze sztuki Pogodina.

Podobna propaganda funkcjonowała wewnątrz obozów. Wydawnictwa obozowe i "gazetki ściennie" - przyczepiane do tablic ogłoszeniowych teksty skierowane do więźniów - pełne były podobnego autoramentu historyjek i wierszy. Nacisk kładziono na nieco inne rzeczy. Typowym przykładem była gazeta "Pieriekowka" (Przekuwanie) pisana i wydawana przez więźniów pracujących przy budowie kanału Wołga-Moskwa, którego realizację rozpoczęto na fali "sukcesu" Kanału Białomorskiego.

Pełno w niej pochwał dla udarników, sporo miejsca zajmują opisy ich przywilejów ("nie muszą stać w kolejce, a jedzenie wprost na stół podają im kelnerki!"). W

przeciwieństwie do autorów Kanału imienia Stalina redaktorzy

"Pieriekowki" nie

poświęcali tak wiele miejsca na opiewanie zalet transformacji duchowej, uznali

natomiast, że na zdecydowanie większą uwagę zasługuje omówienie konkretnych

przywilejów, jakich mogli się doczekać więźniowie, którzy ciężiej pracowali.

Nie ma tam też zbyt wielu zastrzeżeń do wyższej sprawiedliwości systemu sowieckiego. W numerze z 18 stycznia 1933 przedrukowano przemówienie Łazaria

Kogana, byłego komendanta Gułagu: "Nie nam jest dane oceniać, czy skazano kogoś

sprawiedliwie, czy nie. Należy to do prokuratora... Swoją pracą musicie stworzyć coś wartościowego dla kraju, my zaś musimy uczynić z was kogoś, kto jest dla

kraju wartościowy". Godna uwagi jest także wyjątkowo szczerą i otwartą kolumna

"Pieriekowki" poświęcona zażaleniom. Więźniowie uskarżali się na wszystko po

kolei, począwszy od "odgłosów kłótni i przekleństw" dobiegających z baraków

kobiet, aż po "śpiewanie hymnów", pisali o niemożliwych do spełnienia normach, o

braku butów i czystej bielizny, o niepotrzebnym znęcaniu się nad końmi, o czarnorynkowym bazarze w centrum Dmitrowa, gdzie mieścił się zarząd obozu, o złym wykorzystaniu maszyn ("nie ma złych maszyn, jest tylko nieudolne kierownictwo"). Taka otwartość na gnębiące obozy problemy w późniejszych latach

zupełnie zanikła - została ograniczona do korespondencji inspektorów obozowych z

ich zwierzchnikami w Moskwie. Na początku lat trzydziestych jednak tego typu "głasność" nie była niczym nadzwyczajnym ani w obozach, ani też poza nimi.

Był to naturalny element szalonego i spiesznego dążenia do poprawienia warunków i standardów pracy, a może nawet przede wszystkim do zaspokojenia gorączkowych

żądań sowieckiego przywództwa. Kiedy przechadzamy się dzisiaj nad brzegami

kanału, trudno przywołać towarzyszącą jego budowie historyczną atmosferę.

Byłam tam w towarzystwie grupy miejscowych historyków w leniwe sierpniowe

popołudnie roku 1999. Zatrzymaliśmy się na chwilę w Powieńcu, by obejrzeć mały

pomnik upamiętniający ofiary kanału. Widnieje na nim napis:

"Niewinnym,

którzy zginęli przy budowie Kanału Białomorskiego w latach 1931-1933".

Kiedy tam staliśmy, jeden z moich towarzyszy zaproponował, by uroczyste

zapalić po papierosie "białomor". Nalegał tłumacząc, że białomor, najpopularniejsze niegdyś w Związku Sowieckim papierosy, przez całe dekady

były tak naprawdę jedynym pomnikiem ku czci budowniczych kanału. W

pobliżu znajdowały się niemal zupełnie opustoszałe pozostałości po

"trudoposiołku" - wsi dla przesiedleńców. Duże, solidne niegdyś domy, zbudowane w karelskim stylu z drewna, były zabite deskami. Niektóre zaczęły się już rozpadać. Jeden z miejscowych, pochodzący z Białorusi mężczyzna, mówiący nawet trochę po polsku, powiedział nam, że kilka lat temu chciał kupić jeden z tych domów. Miejscowe władze nie wydały jednak zezwolenia. "Teraz wszystko się wali" - powiedział i poczęstował

nas samogonem. W ogródku za jednym z domów uprawia dynie, ogórki i porzeczki. Twierdził, że ten ogródek i 550 rubli renty miesięcznie (było to wtedy około 22 dolarów) wystarczają mu, by przeżyć. Oczywiście przy kanale nie ma dla nikogo pracy. Nic dziwnego. Wzdłuż całego kanału pluskają się młodzi chłopcy, pływają, puszczają "kaczki". W mętnej, płytkiej wodzie pływają krowy, a w pęknięciach betonowego ocembrowania rosną glony. Przy jednej ze śluz w małej budce z różowymi zasłonkami, ozdobionej pamiętającymi jeszcze czasy Stalina kolumnami, samotna kobieta kontroluje zmiany poziomu wody. Mówi, że często nie przepływają więcej niż trzy lub cztery statki dziennie. Rzadko można doliczyć się siedmiu. Jest to i tak więcej niż w 1966 roku. Sołżenicyn spędził kiedyś cały dzień nad brzegiem kanału i raptem ujrzał dwie barki z drewnem na opał. Już wtedy, tak jak zresztą obecnie, większość towarów przewożono koleją. Jeden z pracujących przy kanale robotników powiedział mi, że tor wodny jest tak płytki, że "nawet łódź podwodna nie przepłynie: ładuje się je na krypy".

Najwyraźniej budowa drogi wodnej łączącej Bałtyk z Morzem Białym nie była

aż tak pilna, jak wówczas sądzono.

Z PUNKTU WIDZENIA POLITYKI Kanał Białomorski był

najważniejszym z realizowanych w tym czasie przez Gułag inwestycji.

Dzięki osobistemu zaangażowaniu

Stalina nie szczędzono przy jego budowie żadnych dostępnych środków.

Za sprawą potężnej akcji propagandowej o pomyślnym ukończeniu robót dowiedział się

cały świat. Tak naprawdę jednak kanał nie należał do typowych przedsięwzięć Gułagu, nie był zresztą ani pierwszym, ani największym spośród nich.

Zanim jeszcze przystąpiono do budowy kanału, OGPU zaczęło na terenie całego kraju wykorzystywać pracę więźniów, po cichu, bez zbędnego szumu

i propagandy. W połowie lat trzydziestych Gułag dysponował 300

tysiącami

więźniów przebywających w kilkunastu dużych i kilku mniejszych kompleksach obozów, rozrzuconych po terenie całego Związku Sowieckiego. Około

15 tysięcy ludzi przerzucono do pracy w Dałagu - nowych obozach na dalekim

Wschodzie. Ponad 20 tysięcy pracowało przy budowie, a potem produkcji zakładów chemicznych Wiszłagu, obozu zorganizowanego po zachodniej stronie Uralu, na bazie Wiszerskiego oddziału SŁOŃ. W Sibłagu, w zachodniej Syberii, więźniowie budowali północną linię kolejową, produkowali cegły i wycinali drzewa. W tym samym czasie 40 tysięcy więźniów SŁOŃ budowało drogi, pozyskiwało drewno na eksport i ładowało niemal 40 procent poławianych na Morzu Białym ryb.

ROZDZIAŁ 5

Ekspansja obozów

„Idziemy

naprzód, za

nami Radośnie

idzie cała

brygada Nową

drogę otwiera

przed nami

Zwycięstwo

stachanowców...

Droga, którą szliśmy, odeszła

już w niepamięć Powstaliśmy

z naszych lochów na

wezwanie Idziemy pełni

wiary, ku wolnemu życiu

Drogą triumfu

stachanowców...”

Z wydawanego w Szazłagu pisma "Kuznica", 1936

W przeciwieństwie do Kanału Białomorskiego nowe obozy nie były na pokaz.

Mimo iż z pewnością miały zdecydowanie większe znaczenie dla sowieckiej ekonomii, nie wysyłano tam grup pisarzy, którzy mieliby je opisać. Choć ich istnienie nie było całkiem tajne, w tym czasie jeszcze nikt o nich nie pisał. "Prawdziwe" osiągnięcia Gułagu nie były prezentowane ani zagranicznej, ani też rosyjskiej opinii publicznej. W

miarę jak rozrastały się obozy, zmieniała się też natura samego OGPU.

Tak jak przedtem tajna policja bez przerwy wyszukiwała wrogów reżimu, przesłuchiwała podejrzanych dysydentów i ujawniała "knowania" i

"spiski". Od 1929 roku wzięła częściowo na swoje barki odpowiedzialność za rozwój ekonomiczny Związku Sowieckiego. Przez całą następną dekadę OGPU/NKWD zajmowało się czymś na kształt działalności pionierskiej. Organizowało na własną rękę poszukiwania i eksploatację surowców naturalnych. Planowało i wyposażało ekspedycje geologiczne wyruszające na Daleką Północ, w zamarzniete, porośnięte tundrą rejony arktyczne i subarktyczne, w poszukiwaniu złóż węgla, ropy naftowej, złota, niklu i innych metali. Decydowało, które z niezmiierzonych połaci lasu przeznaczone zostaną do wyřębu i pocięte na cenny towar eksportowy w postaci tarcicy. Aby dostarczać wszystkie kopaliny i surowce do większych miast i ośrodków przemysłowych, zbudowano potężną sieć dróg i linii kolejowych - szlaki transportowe przez tysiące kilometrów bezludnej gęszy. Od czasu do czasu przedstawiciele tajnej policji sami brali udział w wyprawach. Odziani w grube, ciepłe kożuchy i buty maszerowali przez tundrę, skąd meldowali o poczynionych odkryciach w wysyłanych do Moskwy depeszach.

Więźniowie, podobnie jak ich nadzorcy, wcielili się w nowe role.

Oczywiście w pierwszej połowie lat trzydziestych wielu z nich wciąż uwijało się za ogrodzeniami z drutu kolczastego, kopiąc węgiel lub rowy.

Wielu innych wiosłowało kajakami w dół rzek na północ od kręgu polarnego, przenosiło sprzęt potrzebny do badań geologicznych i przygotowywało grunt pod nowe kopalnie węgla i szyby naftowe.

Budowali baraki, rozwijali drut kolczasty i stawiali wieżyczki strażnicze nowych obozów. Wznosili kombinaty mające zająć się przetwarzaniem surowców naturalnych, kładli podkłady pod nowe linie kolejowe i cementowe drogi. Niekiedy zaludniali dziewicze pustkowia. W

późniejszych latach historycy sowieccy poetycko określili ten etap historii jako "otwarcie Dalekiej Północy". Był to okres, w którym naprawdę zerwano z przeszłością. Nawet w ostatnich dekadach rządów carskich, kiedy to wreszcie Rosję ogarniała spóźniona rewolucja przemysłowa, nikt nie podejmował na taką skalę prób eksploracji i zasiedlenia regionów na Dalekiej Północy kraju.

Panował tam zbyt surowy klimat, rosyjska technologia była zbyt prymitywna, a ludzie mogli być narażeni na zbyt wielkie cierpienia. Reżim sowiecki nie przejmował się aż tak bardzo tymi sprawami. Mimo iż technologia nie stała na dużo wyższym poziomie, nikt nie przywiązywał wagi do życia wysyłanych w misji "otwierania Północy"

ludzi. Jeśli część z nich miała zginąć, zawsze można było znaleźć nowych.

Do tragedii dochodziło często, zwłaszcza u zarania nowej epoki. Ostatnio, dzięki odnalezionym w archiwum Nowosybirsk dokumentom, potwierdzono krążącą wśród byłych łagierników opowieść o wyjątkowo potwornym wydarzeniu.

Dokument podpisany przez członka komitetu partyjnego w Narymie w zachodniej

Syberii, wysłany w maju 1933 roku do rąk własnych Stalina, niezwykle szczegółowo opisuje przybycie grupy deportowanych chłopów (nazwanych "elementem reakcyjnym") na wyspę Nazino, na rzece Ob.

Chłopi byli przesiedleńcami i jako tacy

mieli osiedlić się na tamtejszej ziemi, by rozpocząć jej uprawę.

„Pierwszy transport liczył 5070 osób, drugi 1044, czyli razem 6114 osób.

Warunki podróży były straszne: niewystarczające i obrzydliwe pożywienie; brak powietrza i miejsca; szyskanowanie najsłabszych [...].

Rezultat: dzienna śmiertelność w granicach 35-40 osób. Jednak warunki podróży okazały się prawdziwym luksusem w porównaniu z tym, co czekało zesłańców na wyspie Nazino [...]. Wyspa Nazino jest zakątkiem całkowicie dziewiczym bez śladu zabudowań [...]. Nie ma narzędzi, nie ma ziarna siewnego, nie ma żywności [...]. Zaczęło się nowe życie.

Nazajutrz po przybyciu pierwszego transportu, 19 maja, zaczął padać śnieg i zerwał się wiatr. Zesłańcy wygłodzeni, wychudzeni i bez dachu nad głową, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Byli zdolni jedynie do rozpalenia ognisk, aby się ogrzać. Ludzie zaczęli umierać [...]. Pierwszego dnia pochowano 295 trupów [...].” Dopiero czwartego czy piątego dnia władze przysłały statkiem trochę mąki, po kilkaset gramów na osobę. Po otrzymaniu swej marnej racji ludzie biegli do brzegu i usiłowali zmieszać

- w czapce, spodniach lub marynarce - odrobinę tej mąki z wodą. Jednak większość zesłańców próbowała połknąć mąkę w stanie suchym i

sporo osób się udusiło. W ciągu całego pobytu na wyspie zesłańcy otrzymali jedynie tę odrobinę mąki. Jak dalej pisał funkcjonariusz partyjny, trzy miesiące później, 20 sierpnia, zmarło już niemal 4 tysiące

"osadników". Ci, którym udało się przetrwać, żyli tylko dzięki temu, że jedli mięso zmarłych. Według innego więźnia, który natknął się na kilku z nich w więzieniu w Tomsku, wszyscy wyglądali "niczym

chodzące trupy".

Wszystkich aresztowano pod zarzutem kanibalizmu. Nawet jeśli śmierć nie zbierała aż tak obfitego żniwa, warunki bytowe w wielu spośród zajmujących się realizacją najgłośniejszych przedsięwzięć obozów Gułagu były trudne do zniesienia. Przykładem na to, jak potworne mogą być skutki zwykłego braku planowania, może być Bamłag - obóz stworzony przy okazji budowy linii kolejowej między Bajkałem a Amurem, fragmentu kolei transsyberyjskiej daleko na wschodzie Syberii. Podobnie jak miało to miejsce w przypadku Kanału Białomorskiego, budowę prowadzono w olbrzymim pośpiechu i bez jakichkolwiek przygotowań.

Planiści obozowi w tym samym czasie zajmowali się analizą terenu, wytyczaniem linii kolejowej i jej budową. Prace rozpoczęto, zanim zakończone zostały pomiary geodezyjne. Mimo to geodetom nakazano w ciągu

niespełna czterech miesięcy przedstawić kompletny raport dotyczący liczącej 2 tysiące kilometrów trasy. Nie mieli do dyspozycji właściwych ubrań, butów i instrumentów pomiarowych. Istniejące mapy były mało dokładne, w rezultacie doszło do popełnienia wielu kosztownych błędów.

Jak wspomina jeden z byłych łagierników: "dwie grupy robotników (każda wytyczająca oddzielny odcinek torów) nie mogły się połączyć i zakończyć prac, ponieważ dwie rzeki, wzdłuż których się posuwały, łączyły się ze sobą tylko na mapach, podczas gdy w rzeczywistości były daleko od siebie". Gdy tylko ruszyły prace, do kwater głównych obozu w mieście Swobodnyj (wolny) zaczęły docierać konwoje. Punktualnie, bez żadnych opóźnień. Od stycznia 1933 do stycznia 1936 roku, liczba więźniów wzrosła z kilku do ponad 180 tysięcy. Wielu znajdowało się na skraju wyczerpania już w momencie dotarcia na miejsce. Nie mieli butów, porządnych ubrań, cierpieli na szkorbut, dyzenterię, syfilis. Wśród nich znajdowali się ludzie, którym udało się przetrwać klęski głodowe, gnębiące na początku lat trzydziestych prowincjonalne regiony Związku Sowieckiego. Obóz był zupełnie nieprzygotowany na ich przyjęcie. Jeden z konwojów zaraz po przybyciu zakwaterowano w zimnych i ciemnych barakach, więźniów nakarmiono zapleśniałym chlebem. Zarządcy Bamłagu, w wysyłanych do Moskwy raportach, otwarcie przyznawali, że nie umieją opanować chaosu i nie mają warunków, by zająć się słabymi więźniami. W efekcie wszystkim, którzy byli zbyt chorzy, by pracować, ograniczano racje żywieniowe w oczekiwaniu, aż umrą. Zdarzył się przypadek, że wszyscy więźniowie z liczącego 29 osób konwoju zmarli w ciągu trzydziestu siedmiu dni po przybyciu. Do podobnych zdarzeń dochodziło na terenie całego kraju. W 1929 roku pracujący w Siewłagu inżynierowie stwierdzili, że należy sześciokrotnie zwiększyć liczbę więźniów pracujących przy realizowanej przez Gułag budowie linii kolejowej na północny wschód od Archangielska. Między kwietniem a październikiem tego roku zgodnie z planem zaczęły przybywać kolejne konwoje więźniów. Na miejscu nie zastawały dosłownie nic. Jeden z więźniów wspomina, że "nie było ani baraków, ani wsi. Kawałek dalej było kilka namiotów, w których mieszkali strażnicy, tam też trzymano sprzęt. Ludzi nie było zbyt wielu, może półtora tysiąca. Większość stanowili chłopcy w średnim wieku, byli kułacy. I przestępcy. Nie widziało się żadnej inteligencji...". Mimo że założone u zarania lat trzydziestych kompleksy obozów były początkowo ogarnięte chaosem organizacyjnym i żaden z nich nie był przygotowany na przyjęcie wychudzonych więźniów z ogarniętych głodem prowincji, nie wszystkie popadły w śmiertelny bezwład. Wystarczyły nieco bardziej sprzyjające okoliczności, w miarę dobre warunki na miejscu i silne wsparcie ze strony Moskwy, by obozy

zaczynały się rozrastać. W zaskakującym tempie powstawały stabilne struktury biurokratyczne, rosły bardziej solidne budynki i rodziła się miejscowa elita NKWD. Kilka obozów miało wkrótce zająć olbrzymie połacie ziemi, zmieniając całe regiony kraju w gigantyczne więzienia.

Dwa spośród nich, ekspedycja ichtyjska i trust Dalstroj, po pewnym czasie osiągnęły rozmiar i uzyskały status prawdziwych imperiów przemysłowych. Warto przyjrzeć się nieco dokładniej ich początkom.

Podróż samochodem wzdłuż spękanej cementowej drogi prowadzącej z Syktywu, stolicy administracyjnej republiki Komi, do Uchty, jednego z największych miast przemysłowych republiki, niezbyt spostrzegawczemu pasażerowi nie wyda się zapewne zbyt ciekawa. Dwustukilometrowa droga - w niektórych miejscach

w bardzo złym stanie - wiedzie przez bezkresne lasy sosnowe, przecina bagniste

łąki i kilka rzek, poza tym jednak widoki nie mają w sobie nic specyficznego. Tak właśnie wygląda tajga o majestatycznym, monotonnym krajobrazie subarktycznym, z którego słynie Komi (i na dobrą sprawę cała północna Rosja).

Widoki nie wyróżniają się niczym szczególnym i dopiero gdy przyjrzymy się

okolicy z bliska, dostrzeżemy pewne osobliwości. Jeśli tylko wiemy, gdzie szukać, w niektórych miejscach tuż przy drodze możemy odnaleźć charakterystyczne zagłębienia w ziemi. Jest to jedyny ślad, jaki pozostał

po rozrzuconych niegdyś

wzdłuż całej trasy obozach i żyjących w nich skazańcach budujących drogę. Ponieważ plac budowy nieustannie się przesuwał, często zdarzało się, że więźniowie nie byli umieszczani w barakach, ale w zwykłych ziemiankach. Po nich właśnie pozostały te ślady. Przy innym odcinku drogi leżą szczątki nieco bardziej solidnego obozu, zbudowanego przy małym polu naftowym. Miejsce to dziś porasta zielsko i krzewy.

Wystarczy nieco je rozsunąć, by odsłonić kawałki drutu kolczastego oraz gnijące platformy z drewna - zapewne zakonserwowane ropą. Nie ma tutaj żadnej tablicy pamiątkowej. Jedyna w okolicy znajduje się w Bograzdino, obozie tranzytowym położonym nieco dalej. Po samym obozie, w którym przetrzymywano 25 tysięcy więźniów, nie pozostał już żaden ślad. W

innym jeszcze miejscu przy drodze, tuż za nowoczesną stacją benzynową należącą do rosyjskiego koncernu Lukoil, wznosi się stara drewniana wieżyczka strażnicza. Wokół niej walają się kawałki złomu i zwoje zardzewiałego drutu. Jeśli dotrzemy do Uchty w towarzystwie kogoś, kto dobrze zna miasto, szybko odkryjemy jego ukrytą historię. Wszystkie drogi dojazdowe zbudowali kiedyś więźniowie, podobnie zresztą jak osiedla mieszkaniowe oraz budynki biurowe w centrum. W samym środku miasta znajduje się zaprojektowany i zbudowany przez więźniów architektów park; jest też teatr, na którego scenie występowali więźniowie, i solidne drewniane domy, w których niegdyś mieszkała komenda obozów. Dzisiaj przy tej samej obsadzonej drzewami ulicy, w nowych domach,

mieszkają menedżerowie nowej rosyjskiej spółki -

Gazpromu. Uchta nie jest w Komi niczym wyjątkowym. Wprawdzie na pierwszy rzut oka trudno to zauważyć, ale ślady Gułagu widnieją na terenie całej republiki, olbrzymiego, porośniętego tajgą i tundrą rejonu rozciągającego się na północny wschód od Petersburga i na zachód od Uralu. Więźniowie zaprojektowali i zbudowali większość głównych miast, nie tylko Uchtę, ale też Syktywkar, Peczorę, Workutę i Intę. Zbudowali też linie kolejowe, drogi i całą dawną infrastrukturę przemysłową.

Skazańcom, wysyłanym tutaj w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, Komi wydawało się olbrzymim obozem. I w rzeczy samej nim było.

Mieszkańcy wielu wsi wciąż określają je wywodzącymi się jeszcze ze stalinowskiej epoki nazwami - na przykład "Kitajgorod", w której przetrzymywano chińskich więźniów, lub "Berlin", zasiedlony niegdyś przez niemieckich jeńców wojennych. Początki owej republiki niezmierzonych więzień sięgają jednej z pierwszych ekspedycji zorganizowanych przez OGPU - Ekspedycji Uchtyńskiej. Wyruszyła ona w 1929 roku, by zbadać dokładniej obszar bezludnej dziczy. Jak na standardy sowieckie ekspedycja była wyjątkowo dobrze przygotowana.

Znalazło się w niej wielu specjalistów, a większość była więźniami obozów sołowieckich. W samym tylko 1928 roku do SŁOŃ trafiło 68

inżynierów górniczych, ofiary przeprowadzonej podówczas kampanii przeciwko "burzycielom" i "sabotażystom", którzy hamowali industrializację Związku Sowieckiego.

W listopadzie 1928 roku, w zadziwiająco sprzyjającym czasie, OGPU

aresztowało i wtrąciło do moskiewskiej Butyrki znanego geologa Tichonowicza. Nie rozpoczęto jednak zwyczajnego śledztwa, a zamiast tego zaprowadzono naukowca na spotkanie organizacyjne. Czekano na niego ośmiu ludzi, nie powiedziano mu, kim są. Nie tracąc czasu, przystąpili do rzeczy. Jak wspominał później Tichonowicz, zupełnie bezceremonialnie zapytali go, jak przygotować ekspedycję do Komi. Jakie ubrania zabrałby ze sobą, udając się w ten rejon? Jakie narzędzia? Jaką obrałby

drogę transportu? Tichonowicz, który po raz pierwszy był w Komi w 1900

roku,

zapropozował dwie trasy. Ekipa geologów mogła wyruszyć łądem, pieszo lub konno

pokonać błota i lasy bezludnej tajgi i dotrzeć do największej podówczas osady

regionu, wsi Syktywkar. Alternatywą była droga wodna z portu w Archangielsku,

wzdłuż wybrzeża Morza Białego, aż do ujścia Peczory, a następnie w głąb łądu,

dopływami rzeki. Tichonowicz zdecydowanie polecał tę drugą trasę, podkreślając,

że na łodzi będzie można załadować cięższy sprzęt. Kierując się jego zaleceniami, ekspedycja wyruszyła drogą morską. Tichonowicz, wciąż jako więzień, został mianowany jej głównym geologiem. Nie marnowano czasu i nie oszczędzono wydatków, zwłaszcza że kierownictwo sowieckie uznało wyprawę za sprawę priorytetową. W maju moskiewski zarząd Gułagu na kierowników wyprawy wyznaczył dwóch wyższych oficerów tajnej policji: Skaję, byłego szefa ochrony Instytutu Smolnego -

rewolucyjnej kwatery Lenina- a następnie szefa bezpieczeństwa Kremla, oraz Sidorowa, jednego z najlepszych w OGPU specjalistów od spraw ekonomicznych. Niemal w tym samym czasie szefowie ekspedycji wybrali swoją "siłę roboczą" - 139 najsilniejszych i najzdrowszych więźniów z należącego do SŁOŃ obozu tranzytowego w Kiemie. Znaleźli się wśród nich zarówno więźniowie polityczni oraz kułacy, jak i zwykli przestępcy. Po dwóch miesiącach przygotowani wszyscy byli gotowi.

Piątego lipca 1929 roku, o siódmej rano, więźniowie zaczęli ładować sprzęt na pokład należącego do SŁOŃ parowca "Gleb Bokij". Niespełna dobę później statek wypłynął z portu. Jak można się było spodziewać, ekspedycja napotkała na swojej drodze wiele przeszkód. Kilku strażników odmroziło sobie stopy, a jeden zbiegł podczas postoju w Archangielsku.

Po drodze, w paru miejscach, udało się uciec także kilku grupkom więźniów. Kiedy ekspedycja dotarła wreszcie do ujścia Peczory, okazało się, że są poważne kłopoty ze znalezieniem miejscowych przewodników.

Rdzenni mieszkańcy Komi nie chcieli mieć nic wspólnego ani z więźniami, ani z tajną policją, toteż nawet za sówitą opłatą nie chcieli pomóc w nawigacji w górę rzeki. Mimo wszystko jednak, po siedmiu tygodniach podróży, statek w końcu dotarł na miejsce. 21 sierpnia założono obóz we wsi Czibju, przemianowanej później na Uchtę. Po tak wyczerpującej podróży wśród członków ekspedycji musiał panować wyjątkowo ponury nastrój. Przebyli niezwykle długą drogę i gdzie udało im się dotrzeć? Czibju nie miało do zaoferowania zbyt wielu wygod.

Jeden z więźniów, geograf Kulewski, wspominał moment, kiedy po raz pierwszy ujrzał to miejsce: "Żal ścisłał serce na widok dzikiego, pustego krajobrazu. Absurdalnie wielka, czarna, samotna wieżyczka strażnicza i dwie nędzne chatynki, poza tym tajga i błoto". Nie miał zbyt dużo czasu na dalsze refleksje. Pod koniec sierpnia pojawiły się już pierwsze oznaki jesieni. Nie można było pozwolić sobie na zwłokę. Zaraz po przybyciu na miejsce więźniowie rozpoczęli roboty. Pracując po dwanaście godzin na dobę, wznosili obóz i przygotowywali miejsca pracy. Geolodzy wyruszyli na poszukiwania najlepszych miejsc na odwierty ropy naftowej. Późną jesienią do bazy dotarli kolejni specjaliści. Przybywały też konwoje z więźniami, z początku raz na miesiąc, potem już co tydzień, przez cały sezon 1930 roku. Pod koniec pierwszego roku ekspedycji liczba więźniów sięgnęła niemal tysiąca. Mimo iż ekspedycję zaplanowano z dość dużym wyprzedzeniem, warunki, jakie na samym początku musieli znosić zarówno więźniowie, jak i przesiedleńcy, były po prostu upiorne. Nie było baraków, toteż większość ludzi zmuszona była mieszkać w namiotach.

Brakowało ubrań zimowych i butów, nie mówiąc już o jedzeniu. Na miejsce docierało zdecydowanie mniej mięsa i mąki, niż zamówiono.

Podobnie było z lekami. Jak pisali w późniejszych raportach szefowie ekspedycji, gwałtownie rosła liczba chorych i osłabionych więźniów.

Trudno było też znieść odosobnienie. Nowe obozy były tak daleko od cywilizacji i dróg (nie wspominając już o liniach kolejowych), że aż do 1937 roku w Komi nie używano w ogóle drutu kolczastego. Ucieczkę uznawano za bezcelową. Na miejsce wciąż docierali nowi więźniowie. Z

obozu w Uchcie wyruszały kolejne ekspedycje pomocnicze. Jeśli im się udało, każda zakładała nowy obóz - łagpunkt, niekiedy w bardzo odległym miejscu, położonym kilka dni lub nawet tygodni marszu od Uchty.

Łagpunkty zakładały kolejne, mniejsze podobozy, które zajmowały się budową dróg oraz kołchozów, mających zaspokoić potrzeby więźniów.

Tym sposobem obozy niczym zielsko rozrastały się wzdłuż i wszerz dziewiczych lasów Komi. Niektóre z ekspedycji miały tymczasowy charakter. Tak właśnie było z pierwszą z wypraw, która ruszyła z Uchty w lecie 1930 roku. Ekspedycja Wajgacz dotarła na wyspę, o tej właśnie nazwie, na Morzu Arktycznym. Mimo iż wcześniejsze badania geologiczne odkryły tam złoża rud ołowiu i cynku, w wyprawie brało udział wielu więźniów geologów. Niektórzy sprawowali się tak wzorowo, że OGPU w nagrodę pozwoliło im zabrać na wyspę żony i dzieci.

Lokalizacja była tak odległa, że zarządcy obozów nie obawiali się ucieczek. Więźniowie, w towarzystwie innych więźniów lub wolnych robotników, mogli zupełnie swobodnie poruszać się po wyspie, nie musieli ubiegać się o specjalne pozwolenia i przepustki. Aby zachęcić do

"pracy uderzeniowej w Arktyce", ówczesny szef Gułagu, Matwiej Berman, zarządził, że za każdy dzień takiej pracy przysługiwało skrócenie wyroku o dwa dni. Już w 1934 roku kopalnia znalazła się pod wodą, a rok później OGPU usunęło z wyspy cały sprzęt i wszystkich ludzi. Inne wyprawy utrzymały się zdecydowanie dłużej. W 1931 roku z Uchty wyruszyła przez wody śródlądowe licząca 23 osoby ekspedycja. Jej celem było rozpoczęcie eksploatacji olbrzymich złóż węgla odkrytych rok wcześniej w arktycznej tundrze na północy republiki Komi, na terenie późniejszego Workuckiego Zagłębia Węglowego. Tak jak przy wszystkich tego typu wyprawach, drogę wyznaczali geolodzy, a łodzie obsadzali więźniowie. Nad wszystkim czuwał nieliczny kontyngent funkcjonariuszy OGPU. Wiosłowali i maszerowali, opędzając się od rojów owadów, których pełna jest w lecie tajga. Pierwsze kilka nocy spędzili pod gołym niebem, potem jakimś cudem udało im się zbudować obóz, w którym przetrwali zimę. Wiosną następnego roku otworzyli prymitywną kopalnię

"Rudnik nr 1". Nie mając do dyspozycji żadnego sprzętu mechanicznego, więźniowie zaczęli wydobywać węgiel, posługując się kilofami, szuflami i drewnianymi taczkami. W ciągu niespełna sześciu lat "Rudnik nr 1"

rozrósł się w miasto nazwane Workutą, siedzibę Workutłagu, jednego z największych i najcięższych obozów w całym systemie Gułagu. W 1938

roku w Workutłagu pracowało 15 tysięcy więźniów, wydobyto wtedy 188

206 ton węgla. Z technicznego punktu widzenia nie wszyscy mieszkańcy Komi byli więźniami. Począwszy od 1929 roku, władze zaczęły zsyłać do tego regionu "specjalnych przesiedleńców". Z początku byli to niemal wyłącznie kułacy, którzy przybywali na miejsce z żonami i dziećmi w nadziei, że rozpoczną uprawę ziemi. Jagoda osobiście nakazał, aby przesiedleńcom przyznać "czas wolny", w którym mogliby zajmować się uprawą ogródków, hodowlą świń, połowem ryb i budową własnych domów: "Na początku będą żyli na racjach obozowych, potem przejdą na własne utrzymanie". Brzmiało to wszystko niezwykle pięknie, w rzeczywistości jednak okazało się, że 5 tysięcy rodzin przesiedleńców (ponad 16 tysięcy ludzi), które dotarły w 1930 roku na miejsce, jak zwykle nie zastało niemal niczego. Do listopada zbudowano zaledwie 268

baraków, mimo iż potrzebnych było przynajmniej 700. Trzy, czasem nawet cztery rodziny, zmuszone były dzielić jedną izbę. Brakowało jedzenia, ubrań i zimowych butów. We wsiach dla przesiedleńców nie było łaźni, brakowało dróg, nie docierała tam poczta, nie mówiąc już o łączności telefonicznej. Wielu przesiedleńców zmarło, sporo usiłowało zbiec - tylko do końca lipca doliczono się 344 prób uciezek. Tak czy inaczej przesiedleńcy stali się nieodłącznym elementem systemu obozowego w Komi. Na fali późniejszych represji do republiki dotarło ich jeszcze więcej, przeważali wśród nich Polacy i Niemcy. Stąd też nazwy wiosek w Komi, takie jak na przykład "Berlin". Przesiedleńcy nie byli odgradzeni od świata drutem kolczastym, ale wykonywali dokładnie te same prace co więźniowie, niekiedy nawet ramię w ramię. W 1940 roku obóz leśny dla drwali zamieniono na wioskę dla repatriantów - dowodzi to, że w pewnym sensie grupy te wzajemnie się przenikały. Wielu przesiedleńców znalazło pracę jako strażnicy lub urzędnicy obozowi.

Z czasem rozszerzanie się obszaru obozów zaczęło odbijać się na nomenklaturze. W 1931 roku Ekspedycja Uchtyjska została przemianowana na Uchto-Peczorski Obóz Pracy Poprawczej. W skrócie Uchtpieczłag. Na przestrzeni kolejnych dwóch dekad Uchtpieczłag miał

być jeszcze wielokrotnie reorganizowany, dzielony i przemianowywany.

Zmiany odzwierciedlały przeobrażanie regionu, ale przede wszystkim wzrost potęgi całego imperium i jego biurokracji. Pod koniec dekady

Uchtpieczłag bynajmniej nie był już pojedynczym obozem. Rozwinął się w całą

ich sieć, liczącą w sumie dwa tuziny obozów. Zaliczały się do nich między innymi: Uchtpieczłag i Uchtiżemłag (wydobywano w nich ropę naftową i węgiel);

Ustwymłag (zajmujący się wycinką lasu), Workuta i Inta (zagłębna węglowa) oraz

Siezdorłag (pracujący nad budową linii kolejowych). Przez następne lata rozbudowywał się także sam Uchtpieczłag i obozy, które z niego wyrosły.

By zaspokoić rosące wciąż potrzeby systemu, w jego obrębie tworzono stopniowo całą sieć podporządkowanych mu instytucji. Gdy zaszła taka potrzeba, budowano szpitale i organizowano szkolenia dla więźniów płci obojga, którzy mieli zostać felczerami i pielęgniarkami. Gdy brakowało żywności, budowano kolchozy, składy i organizowano własną sieć dystrybucji. Gdy potrzebna była energia, budowano elektrownie. Gdy brakowało materiałów budowlanych, wznoszono cegielnie.

Ponieważ potrzebni byli wykształceni robotnicy, kształcono tych, których miano pod ręką. Okazało się, że znaczna część byłych kulaków pozostawała analfabetami bądź półanalfabetami. Stanowiło to istotny problem w realizacji nieco bardziej skomplikowanych projektów technicznych. Dlatego też zarząd obozów powołał do życia szkoły techniczne. Te z kolei wymagały nowych budynków i kadry: nauczycieli matematyki i fizyki oraz "wykładowców politycznych", którzy nadzorowaliby ich pracę. W latach czterdziestych w Workucie, mieście zbudowanym na wiecznej zmarzlinie, gdzie co roku trzeba było kłaść nową nawierzchnię na jezdniach i wymieniać wszystkie rury, powstał

instytut geologii, uniwersytet, teatry, baseny i żłobki. Nawet jeśli ekspansja Uchtpieczłagu nie była specjalnie nagłośniona, nie można zarzucić jej chaotycznego charakteru. Nie ulega wątpliwości, że zarządcy obozów chcieli, by projekt ów rozwijał się dynamicznie, wraz z nim rósł

bowiem ich osobisty prestiż. Stworzenie tak wielu nowych oddziałów obozu było po prostu pilną potrzebą, a nie efektem centralnego planowania. Poza tym istniała też swoista symbioza między rządem sowieckim (który musiał wysyłać gdzieś swoich wrogów) a miejscową administracją (która z kolei potrzebowała więcej ludzi do wycinania lasu).

Kiedy więc w 1930 roku Moskwa zaoferowała przysłanie kontyngentu przesiedleńców, lokalni przywódcy byli wprost zachwyceni. Losy obozu były omawiane na najwyższych możliwych szczeblach władzy. Warto tu wspomnieć, że w listopadzie 1932 roku znaczną część posiedzenia Politbiura (był na nim obecny również Stalin) poświęcono na dyskusję nad obecną sytuacją Uchtpieczłagu, a także planami, jakie z nim wiązano.

Perspektywy, jak też kroki niezbędne do ich realizacji, omawiano z zaskakującą skrupulatnością. Z protokołów posiedzenia wynika, że wszystkie ważne decyzje podejmowane były przez Politbiuro, a w najgorszym wypadku wymagały przynajmniej jego aprobaty. To właśnie ono decydowało, które kopalnie obóz powinien rozbudowywać, jakie linie kolejowe powinien budować, ile potrzeba było traktorów, samochodów i statków

oraz jak wiele rodzin przesiedleńców może zaabsorbować cały system. To także

ono było odpowiedzialne za przyznanie funduszy na budowę obozu -

wyniosły

one ponad 26 milionów rubli. Nie może być dziełem przypadku, że w krótkim czasie liczba więźniów wrosła niemal czterokrotnie, z 4797 w połowie 1932 roku do 17 852 w połowie roku 1933. Ktoś na samym szczycie sowieckiej hierarchii władzy musiał bardzo pragnąć rozwoju Uchtpieczłagu. Taką władzę i prestiż mogła mieć tylko jedna osoba - sam Stalin. Tak jak w powszechnym mniemaniu Auschwitz symbolizuje wszystkie inne nazistowskie obozy zagłady, tak Kołyma jednoznacznie kojarzy się z najcięższymi z łagrów Gułagu. "Kołyma - pisał jeden z historyków - to rzeka, pasmo górskie, region i metafora". Ten bogaty w surowce mineralne (zwłaszcza złoto) region, leżący nad brzegiem Pacyfiku w najdalej na północny wschód wysuniętym krańcu Syberii, jest chyba najmniej gościnnym miejscem w całej Rosji. Kołyma jest jeszcze chłodniejsza niż Komi, w zimie temperatury spadają tutaj zwykle poniżej minus 45 stopni. Aby dotrzeć do łagrów Kołymy, więźniowie musieli przebyć pociągiem całą niemal długość Związku Sowieckiego. Podróż do Władywostoku trwała

niekiedy nawet trzy miesiące. Resztę drogi pokonywali statkami, płynąc na północ od Japonii, przez Morze Ochockie, aż do Magadanu, portu u samego ujścia rzeki Kołomy. Pierwszym komendantem Kołomy była jedna z najbarwniejszych postaci w całej historii Gułagu. Stary bolszewik, Eduard Berzin, był oficerem Łotewskiej Dywizji Strzelców strzegącej w 1918 roku Kremla. W późniejszych latach pomógł zdławić powstanie lewicowej frakcji socjalrewolucjonistów i zdemaskować "brytyjski spisek" uknuty przez Bruce'a Lockharta. W 1926

roku Stalin powierzył mu zorganizowanie Wiszłagu, jednego z pierwszych zaplanowanych na wielką skalę obozów. Berzin zabrał się do pracy z olbrzymim entuzjazmem, historycy mówili o latach jego panowania w Wiszłagu jako szczytowej fazie "romantycznego okresu" Gułagu. OGPU

zbudowało Wiszłag w tym samym czasie co Kanał Białomorski. Wydaje się, że Berzin bardzo popierał dotyczące resocjalizacji więźniów idee Gorkiego (w każdym razie wypowiadał się o nich z wielkim, choć niekoniecznie szczerym, entuzjazmem). Pałając ojcowską niemal dobrocią, zapewnił łażniom kina, kluby dyskusyjne, biblioteki i prezentujące się niczym restauracje stołówki. Z jego rozkazu na terenie obozu założono pełne fontann ogródki i mały ogród zoologiczny.

Więźniom regularnie wypłacano pensje. Tak jak przy budowie Kanału Białomorskiego stosowano też politykę przedterminowego zwalniania w nagrodę za dobrą pracę. Nie wszyscy jednak mieli okazję korzystać z tych wygód. Więźniowie, którzy nie sprawdzili się jako dobrzy robotnicy lub po prostu mieli z jakiegoś powodu pecha, mogli trafić do jednego z licznych leśnych łagpunktów w sercu tajgi. Panowały w nich potworne warunki, wyższa też była śmiertelność. Więźniów poddawano skrycie torturom, niekiedy ich mordowano. Berzin starał się, aby jego obóz - z pozoru przynajmniej - był porządną instytucją. Wszystko to na pierwszy rzut oka czyniło go dosyć dziwnym kandydatem na fotel pierwszego szefa Zarządu Robót Budowlanych na Dalekiej Północy - trustu Dalstroj, któremu powierzono rozwój Kołomy. W samym powstaniu Dalstroju nie było nic specjalnie romantycznego ani idealistycznego. Zainteresowanie Stalina regionem sięgało 1926 roku; wtedy to wysłano do Stanów Zjednoczonych inżyniera, który miał studiować techniki górnicze. W

późniejszym okresie - od 30 sierpnia 1931 roku do 16 marca 1932 roku -

na posiedzeniach Politbiura poruszano temat geologii i geografii Kołomy co najmniej 11 razy. W dyskusjach często brał udział nawet sam Stalin.

Politbiuro prowadziło te debaty dokładnie tak, jak komisja Jansona obradowała nad organizacją Gułagu. Jak określił to historyk David Nordlander, "nie posługiwano się wyidealizowaną retoryką budowniczych socjalizmu, a raczej językiem praktycznym, omawiano kolejność inwestycji i możliwości odzyskania nakładów finansowych". W

późniejszej korespondencji z Berzinem Stalin skupiał się na zagadnieniach związanych z produktywnością więźniów, normami pracy i urobkiem.

Nigdy nie poruszał kwestii resocjalizacji skazanych. Z drugiej strony talent Berzina do tworzenia na użytek publiczny idyllicznych obrazków był dokładnie tym, czego potrzebowała władza sowiecka. Mimo iż po jakimś czasie Dalstroj został wchłonięty bezpośrednio przez administrację Gułagu, na samym początku odnoszono się do niego (zwłaszcza publicznie) jako do w pełni odrębnego

przedsięwzięcia, firmy nie mającej z Gułagiem zupełnie nic wspólnego. Władze utworzyły po cichu Siewwostłag - obóz, który użyczał więźniów trustowi Dalstroj. Tak naprawdę instytucje te nigdy ze sobą nie konkurowały. Szef Dalstroju był

jednocześnie szefem Siewwostłagu, nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Na papierze były jednak rozdzielone, a opinii publicznej przedstawiano je jako twory zupełnie od siebie niezależne. W tym układzie istniała pewna logika. Po pierwsze Dalstroj musiał przyciągać ochotników, zwłaszcza inżynierów i niezamężne kobiety (na Kołymie zawsze brakowało i jednych, i drugich). Berzin przeprowadził wiele kampanii rekrutacyjnych, w których usiłował przekonać "wolnych robotników" do przeniesienia się na Kołymę. W tym celu otworzył nawet specjalne biura w Moskwie, Leningradzie, Odessie, Rostowie i Nowosybirsku. Już tylko to mogło być wystarczającym powodem, aby zarówno Stalin, jak i Berzin nie życzyli sobie nazbyt bliskiego wiązania Kołymy z Gułagiem. Odstraszałyby to bowiem potencjalnych rekrutów.

Choć nie ma na to bezpośrednich dowodów, celem owych machinacji było też oddziaływanie na zewnątrz Związku Sowieckiego. Podobnie jak syberyjskie drewno, złoto Kołymy miało być od razu sprzedawane na Zachód w zamian za urządzenia i technologie, których desperacko potrzebowały Sowiety. Pomaga to po części wyjaśnić przyczyny, dla których władze chciały, aby eksploatacja złotonośnych pól na Kołymie wyglądała na jak najbardziej "normalne" przedsięwzięcie. Bojkot złota mógł wyrządzić zdecydowanie więcej szkód niż bojkot drewna. W

każdym razie Stalin był od samego początku osobiście zaangażowany w sprawy Kołymy, i to niezwykle mocno. W 1932 roku niemal codziennie domagał się raportów dotyczących wydobywania złota i związanego z nim przemysłu. Wódz interesował się wyjątkowo szczegółami prowadzonych przez Dalstroj poszukiwań i realizacją norm. Wysyłał do obozów inspektorów i nakazał, aby szefowie trustu często pojawiali się w Moskwie. Politbiuro, przyznając trustowi fundusze, wydawało dokładne instrukcje, precyzujące, w jaki sposób mają być wykorzystane, dokładnie tak, jak w wypadku Uchtpieczłagu. "Niezależność" Dalstroju nie była tak do końca fikcyjna. Berzin stosował się do zaleceń Stalina, ale udało mu się odcisnąć na Kołymie własne piętno, i to do tego stopnia, że "epokę Berzina" wspominano później z nostalgią. Berzin wydawał

się pojmować swoje zadanie w sposób zupełnie dosłowny: jego praca polegała na zmuszeniu więźniów do wydobywania jak największej ilości złota. Nie interesowało

go ich głodzenie, karanie i zabijanie, liczyły się tylko statystyki wydobywania. Być może dlatego pod rządami pierwszego szefa Dalstroju warunki panujące w obozach nie były nawet w połowie tak surowe, a więźniowie tak wygłodnieli, jak kilka lat później. To zaś, przynajmniej po części, sprawiło, że wydobywanie złota w kołymskich kopalniach wzrosło w ciągu dwóch pierwszych lat funkcjonowania Dalstroju ośmiokrotnie. To fakt, że przez pierwsze lata panował tutaj taki sam chaos i bałagan organizacyjny jak wszędzie indziej. W 1932 roku w regionie pracowało niemal 10 tysięcy więźniów. Wśród nich była grupa osób dysponujących niezbędnymi umiejętnościami, jakby stworzonych do powierzenia im zadań, które w normalnych warunkach realizują inżynierowie i specjaliści.

Ramię w ramię pracowało z nimi ponad 3 tysiące ochotników,

"wolnonajemnych robotników" - pracowników obozów nie będących więźniami. Liczba więźniów była wysoka, ale równie wysoki był

wskaźnik śmiertelności. Z 16 tysięcy łagierników, wysłanych na Kołymę w pierwszym roku rządów Berzina, żywych dotarło do Magadanu zaledwie 9928. Pozostali dostali się w sam środek zimowych burz, bez odpowiednich ubrań i schronienia. Ci, którzy przetrwali pierwszy rok, utrzymywali później, że przy życiu pozostała zaledwie połowa. Kiedy jednak minął początkowy chaos, sytuacja zaczęła się stopniowo poprawiać. Berzin ciężko pracował nad polepszeniem warunków.

Najwyraźniej wierzył, poniekąd nie bezpodstawnie, że aby więźniowie mogli wykopać więcej złota, należy ich ogrzać i zapewnić im odpowiednie jedzenie. W rezultacie "starzy wyjadacze" wyrażali się o panowaniu Berzina w bardzo ciepłych słowach. Thomas Sgovio -

Amerykanin, który przeżył pobyt na Kołymie - pisał: "Kiedy mróz spadał

poniżej minus 50 stopni, nie wysyłano ich do pracy. Dostawali trzy dni urlopu miesięcznie. Jedzenie było odpowiednie i pożywne. Zekom wydawano ciepłe ubrania, futrzane czapy i buty z filcu".
Warłam Szalamow - więzień, któremu udało się przeżyć Kołymę, autor Opowiadań kołymskich, zbioru jednych z najbardziej gorzkich w historii literatury obozowej opowieści z czasów pod rządami Berzina -

wspominał: „Doskonałe wyżywienie, odzież, roboczy dzień trwający zimą 4-6 godzin, a latem 10, ogromne zarobki więźniów, pozwalające im pomagać ich rodzinom i powracać na "kontynent" jako ludziom mającym zabezpieczony byt [...]. Liczba cmentarzy dla więźniów w owych czasach była tak znikoma, że wydawać by się mogło, że kołymianie są nieśmiertelni”. Nie tylko warunki bytowe były zdecydowanie lepsze niż w późniejszych latach, komendanci obozów mieli też zdecydowanie bardziej humanitarne podejście do więźniów. W

tamtych czasach nie dawało się niemal odczuć wśród robotników podziału na ochotników i więźniów. Obydwie grupy funkcjonowały wspólnie, łagiernikom zezwalano niekiedy na opuszczenie baraków i zamieszkanie we wsiach wolnych robotników. Więźniowie mieli szansę zostać strażnikami albo geologami i inżynierami. Maria Ioffe, przesiedlona na Kołymę w połowie lat trzydziestych, wspominała, że bez problemu mogła zatrzymać swoje książki i papier, a z tego, co pamięta, większości rodzin przesiedleńców pozwalano pozostać razem. Więźniowie mogli też, do pewnego stopnia, uczestniczyć w wydarzeniach politycznych swoich czasów. Tak jak obóz białomorski Kołyma promowała własnych więziennych udarników i stachanowców. Jeden z więźniów Dalstroju został nawet "instruktorem stachanowskich metod pracy", a dobrze sprawujący się w pracy łagiernicy nagradzani byli małą odznaką -

nadawano im tytuł "Kołymskiego Udarnika". W latach trzydziestych więźniowie zbudowali nie tylko kopalnie, ale również doki i kanały portu w Magadanie oraz najważniejszą w regionie drogę - prowadzącą z Magadanu na północ szosę Kołymską. Większość obozów Siewwostłagu leżała właśnie wzdłuż tej szosy, ich nazwy często odpowiadały odległości od Magadanu (na przykład "Obóz pięćdziesiąty siódmy kilometr").

Więźniowie zbudowali też samo miasto Magadan - w 1936 roku liczyło ono już 15 tysięcy

mieszkańców i wciąż się rozbudowywało. Jewgienia Ginzburg powracająca do miasta w 1947 roku, po siedmiu latach spędzonych w oddalonych obozach, pisała oczarowana tempem, w jakim rozwijał się Magadan: "Zamieram ze zdziwienia i zachwytu. Dopiero po kilku tygodniach zauważyłam, że te domy można policzyć na palcach. Ale teraz to dla mnie naprawdę stolica". Tak naprawdę Ginzburg była jednym z nielicznych więźniów, którzy dostrzegli dziwaczny paradoks. Brzmi to może niezwykle, ale to prawda: na Kołymie, tak samo zresztą jak w Komi, to właśnie Gułag powoli niósł cywilizację (jeśli tak to można określić) w kompletnie dzikie rejony. Tam gdzie do niedawna był tylko bezkresny las, budowano drogi, na bagnach wznoszono domy. Rdzenni mieszkańcy

zostali zepchnięci dalej, ustąpili miejsca miastom, fabrykom i liniom kolejowym.

Wiele lat później pewna kobieta, zwierając mi się, opisała, jak wyglądało tutaj

życie, kiedy funkcjonował jeszcze obóz. Była córką kucharza obozowego w

odległym Łokczimłagu, jednym z podobozów zajmujących się w republice

Komi wyrębem lasu: "Och, wtedy cały magazyn zapełniały warzywa, na polach

było pełno dyń - nie leżały odłogiem, tak jak teraz". Pomachała z niesmakiem ręką w kierunku małej wioski wznoszącej się w miejscu obozu. Ludzie do dzisiaj

mieszkają w dawnych karcerach. "Były wtedy prawdziwe latarnie elektryczne,

a niemal każdego dnia w wielkich samochodach przyjeżdżali tutaj ważni panowie...". Może z większą elokwencją, ale w podobnym duchu pisała Ginzburg:

„Nieodgadnione jest ludzkie serce! Przecież z całej duszy przeklinam tego, kto wymyślił, żeby budować miasto w tej wiecznej zmarzlinie, ogrzewając ją krwią, potem i łzami niewinnych ludzi. A jednocześnie odczuwałam jakąś idiotyczną dumę...Jak wyrósł i wypiękniał przez siedem lat mojej nieobecności nasz Magadan! Jest wprost nie do poznania.

Zachwygam się każdą latarnią. Każdym odcinkiem asfaltu i nawet afiszem, obwieszczającym, że w domu kultury odegrana zostanie operetka Księżniczka dolarów. Z pewnością dlatego, że drogi jest nam każdy kawałek naszego życia, nawet ten najbardziej gorzki”. Do roku 1934

ekspansja Gułagu na terenach Kołymy, Komi, w całej Syberii i Kazachstanie oraz wszędzie indziej w Związku Sowieckim odbywała się według wzoru sołowieckiego. Przez pierwsze lata niechlujstwo, chaos i ogólny bałagan przyczyniły się do zupełnie niepotrzebnej śmierci wielu ludzi. Nawet jeśli nie dochodziło do bezpośrednich aktów sadyzmu, samo bezmyślne okrucieństwo strażników, traktujących więźniów niczym trzodę, stało się przyczyną potwornych nieszczęść. Tak czy inaczej, w miarę upływu czasu wciąż rozedrgany system wydawał się powoli stabilizować. W porównaniu z rekordowym rokiem 1933 obniżyły się

"wskaźniki śmiertelności" - ustępował głód, a obozy były już lepiej zorganizowane - według oficjalnych statystyk w 1934 roku śmiertelność wahała się w granicach 20 procent.

Uchtpieczłag wydobywał ropę naftową, Kołyma złoto, a obozy w okolicach Archangielska uzyskiwały drewno. Na Syberii budowano drogi.

Błędy zdarzały

się oczywiście często, ale było to w całym Związku Sowieckim zupełnie normalne. Zawrotne tempo industrializacji, brak planowania, a także niedobór dobrze

wyszkolonych specjalistów nieuchronnie prowadziły do licznych wypadków oraz

marnotrawstwa; szefowie wszystkich wielkich inwestycji znakomicie zdawali sobie z tego sprawę. Mimo tych porażek OGPU stawało się niezwykle szybko jedną z najważniejszych instytucji na scenie ekonomicznej kraju. W 1934 roku w

Dmitłagu, zajmującym się budową kanału Moskwa-Wołga, zatrudnionych było

niemal 200 tysięcy więźniów, czyli więcej niż przy budowie Kanału Białomorskiego. Rozwinął się także Sibłag, w którego obozach w 1934

roku przebywało 63 tysiące więźniów. Dałag w ciągu czterech pierwszych lat

od założenia rozrósł się ponad trzykrotnie - w 1934 roku było w nim 50

tysięcy

osób. Na terenie całego Związku Sowieckiego założono też inne obozy, między

innymi Sazłag w Uzbekistanie, w którym więźniowie pracowali w kołchozach, i

Swirlag w pobliżu Leningradu, którego więźniowie z kolei zajmowali się wycinką lasu i zaopatrywali w drewno całe miasto. W Kazachstanie powstał Karłag - łagiernicy pracowali tam na roli, w fabrykach i jako rybacy. To właśnie w 1934

roku OGPU uległo ponownej reorganizacji i zostało po raz kolejny przemianowane.

Odzwierciedlało to w pewnym sensie jego nowy status i zakres kompetencji. W

owym roku tajna policja oficjalnie stała się Ludowym Komisariatem Spraw Wewnętrznych, znanym powszechnie pod skrótem NKWD. Pod tą nową nazwą NKWD odpowiadało teraz za los ponad miliona więźniów.

Okres względnego spokoju nie miał jednak trwać długo. Wkrótce, zupełnie nieoczekiwanie, cały system został

przewrócony do góry nogami. Szykująca się rewolucja miała zniszczyć zarówno

panów, jak i ich niewolników.

ROZDZIAŁ 6

Wielki Terror i jego następstwa

„W owych czasach miał uśmiech na wargach

Tylko trup, rad ze swego spokoju.

Niepotrzebny Leningrad się targał

Uwieszony u więzień swoich. I gdy od

męczarni otępiało wyruszyły już pułki

skazanych, I gdy pieśnią rozłąki zabrzmiały

Parowozów krótkie wezwania, Gwiazdy

śmierci stały nad nami, Ruś jęczała wydana

na mękę. Pod okrwawionymi buciskami,

Pod kołami czarnych karetek”.

Anna Achmatowa - Requiem

OBIEKTYWNIE RZECZ BIORĄC, lata 1937-1938, które odcisnęły się w pamięci jako

okres Wielkiego Terroru, nie były najbardziej morderczymi w historii obozów. Nie

przyczyniły się też do rozbudowy Gułagu, gdyż liczba więźniów w kolejnym dziesięcioleciu była znacznie wyższa, a szczyt osiągnęła dopiero w 1952 roku, czyli znacznie później, niż się na ogół sądzi. Wprawdzie dostępne statystyki nie są kompletne, ale nie ulega wątpliwości, że śmiertelność w obozach była zdecydowanie wyższa w czasie klęsk głodowych, jakie nawiedziły wieś rosyjską w latach 1932-1933, oraz w najgorszym momencie drugiej wojny światowej, czyli latach 1942-1943, kiedy to liczba osób przetrzymywanych w obozach pracy przymusowej, więzieniach i obozach dla jeńców wojennych wahała się w granicach 4

milionów. Kiedy patrzymy na to z punktu widzenia historii, wydaje się, że znaczenie wydarzeń z lat 1937-1938 zostało nieco przecenione. Nawet Solżenicyn twierdzi, że "kiedy wyrzeka się na nadużycia epoki kultu, to rozmowa sprowadza się w końcu do osławionych lat 37-38", i w pewnym sensie można przyznać mu rację. W końcu przecież Wielki Terror nastąpił

po dwóch dekadach represji. Począwszy od 1918 roku regularnie dokonywano masowych aresztowań i deportacji:

najpierw, na początku lat dwudziestych, ich ofiarami padli członkowie wszelkich

partii i ugrupowań politycznych, potem, pod koniec lat dwudziestych -

"sabotażyści", a następnie, na początku lat trzydziestych - kułacy.

Wszystkim tym masowym aresztowaniom towarzyszyły regularne akcje wymierzone w osoby odpowiedzialne za "zaburzenie porządku społecznego". Po okresie Wielkiego Terroru nastąpiły kolejne fale aresztowań i deportacji - Polaków, Ukraińców i Bałtów z terytoriów zajętych w 1939 roku; także "zdrajców radzieckich", czerwonoarmistów, wziętych do niewoli przez wroga, czy nawet cywilów, którzy znaleźli się po złej stronie linii frontu po inwazji niemieckiej w 1941

roku. Później, w 1948 roku, ponownie aresztowano byłych więźniów, jeszcze później - tuż przed śmiercią Stalina - do obozów i więzień masowo trafiali Żydzi. Mimo że ofiary lat 1937-1938 były może bardziej znane, a w późniejszych latach nigdy już nie powtórzyło się nic równie spektakularnego jak publiczne "procesy pokazowe", aresztowania okresu Wielkiego Terroru należy określić nie jako szczyt represji, lecz raczej jako jedną z bardziej nietypowych ich fal, jakie przetoczyły się przez kraj za panowania Stalina. Wielki Terror w nieco większym stopniu dotknął elit

-
starych bolszewików, kierownictwo partii i dowództwo armii - ogólnie jednak same represje ogarnęły zdecydowanie szerszy krąg ludzi, doszło też do wyjątkowo wielu egzekucji. W historii Gułagu rok 1937 był

prawdziwym punktem zwrotnym. Do tej pory w zarządzanych z niedbałością więzieniach ludzie ginęli raczej na skutek nieszczęśliwych wypadków. Po 1937 roku jednak obozy sowieckie na pewien czas przekształciły się w istne fabryki śmierci. Więźniów bezwzględnie zmuszano, by zapracowywali się na śmierć, lub po prostu mordowano ich, i to na zdecydowanie większą skalę niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo iż zmiana ta miała charakter tymczasowy i w 1939 roku panujący w obozach terror nieco zelżał (potem powracał falami - aż do śmierci Stalina w 1953

roku wskaźniki śmiertelności to wznosiły się, to opadały, odzwierciedlając koleje wojny i zmiany w ideologii) Wielki Terror odcisnął się trwale w mentalności zarówno nadzorców, jak i więźniów. Tak jak wszyscy inni w kraju i mieszkańcy Gułagu mogli dostrzec pewne oznaki zbliżającego się terroru. Po do tej pory niewyjaśnionym morderstwie cieszącego się popularnością leningradzkiego przywódcy partii Siergieja Kirowa w grudniu 1934 roku Stalin przeforsował wydanie serii dekretów, nadających NKWD znacznie większe możliwości aresztowania, sądenia i egzekucji "wrogów ludu". W ciągu zaledwie kilku tygodni ofiarą dekretów padło dwóch historycznych przywódców partii: Kamieniew i Zinowiew. Aresztowano ich wraz z tysiącami zwolenników oraz osób podejrzanych o to, że im sprzyjają; wielu pochodziło z Leningradu. Potem nastąpiły masowe wydalenia z szeregów partii komunistycznej, choć na początku nie były wcale liczniejsze niż te, do których dochodziło w minionej dekadzie. Czystka jednak powoli stawała się coraz bardziej krwawa. Przez wiosnę i lato 1936 roku śledczy Stalina przesłuchiwali Kamieniewa, Zinowiewa oraz grupę byłych zwolenników Lwa Trackiego.

Przygotowywano ich do "wyznania winy" podczas, wielkiego procesu pokazowego, który zgodnie z planem odbył się w sierpniu. Po rozprawie wszystkich stracono - ich los dzieliły też często rodziny. Wkrótce potem zaczęły się procesy kolejnych bolszewickich liderów, między innymi

charyzmatycznego Nikołaja Bucharina. I w tym wypadku ucierpiały rodziny. Mania aresztowań i egzekucji ogarnęła całą hierarchię partyjną i społeczną. Na górze napędzał ją Stalin. Wykorzystywał czystkę, by wyeliminować swoich wrogów, stworzyć nową klasę w pełni lojalnych przywódców partyjnych, sterroryzować społeczeństwo i zapełnić obozy koncentracyjne. Począwszy od 1937 roku, zaczął wysyłać lokalnym szefom NKWD rozkazy precyzujące liczbę ludzi, których należało aresztować w konkretnych regionach (powody nie były podane).

Niektórych skazywano na karę "pierwszej kategorii", czyli śmierć. Inni dostawali wyrok "drugiej kategorii" - odsiadkę w obozie koncentracyjnym, od ośmiu do dziesięciu lat. Osoby najbardziej "zepsute"

w drugiej grupie trafiały do specjalnych więzień politycznych, aby nie skazyły swoimi poglądami innych więźniów. Niektórzy badacze zastanawiają się, czy

w jakiś sposób przypisywano aresztowania konkretnym regionom kraju, w których, według rozeznania NKWD występowały największe skupiska "wrogów".

Czytamy owe rozkazy zupełnie tak, jakbyśmy zapoznawali się z zaleceniami wydawanymi przez urzędnika opracowującego kolejną wersję planu pięcioletniego. Oto rozkaz z datą 30 lipca 1937: republika

pierwsza kategoria

druga kategoria

łącznie

Armeńska SRS

500

1000

1500

Azerbejdzańska SRS

1500

3750

5250

Białoruska SRS

2000

10000

12000

Gruzińska SRS

2000

3000

5000

Kirgiska SRS

250

500

750

Tadżycka SRS

500

1300

1800

Turkmeńska SRS

500

1500

2000

Uzbecka SRS

750

4000

4750

Baszkirska ASRS

500

1500

2000

Bunacko-Mongolska ASRS

350

1650

2000

Dagestańska ASRS

500

2500

3000

Kabardyjno-Bałkarska ASRS

300

700

1000

Kalmucka ASRS

100

300

400

Karelska ASRS

300

700

1000

Komi ASRS

100

300

400

Krymska ASRS

300

1200

1500

Maryjska ASRS

itd

300

1500

1800

Jasne jest, że czystka nie miała spontanicznego charakteru, nowe obozy dla nowych więźniów przygotowywano z dużym wyprzedzeniem. Czystka nie spotykała

się też ze zbytnim oporem. Moskiewski Zarząd NKWD oczekiwał od swoich podwładnych na prowincji entuzjazmu, ci natomiast aż palili się do dzieła. "Prosimy o pozwolenie rozstrzelania dodatkowych 700 osób, członków band dasznackich i innych elementów antysowieckich" - pisali w podaniu do Moskwy przedstawiciele armeńskiego NKWD we wrześniu 1937 roku. Stalin osobiście odpisywał na tego typu supliki. Na zmianę z Mołotowem podpisywał setki podobnych dokumentów. Możemy w nich przeczytać na przykład: "Podnoszę do 6600 liczbę więźniów pierwszej kategorii w obwodzie Krasnojarskim". Na posiedzeniu Politbiura w lutym 1938 roku wydano ukraińskiemu NKWD pozwolenie na aresztowanie dodatkowych 30 tysięcy "kułaków i innych elementów antysowieckich".

Niektórzy przyklasnęli nowym aresztowaniom. Nagłe ujawnienie istnienia licznych "wrogów", w tym wielu na najwyższych szczeblach hierarchii partyjnej,

znakomicie tłumaczyło, dlaczego mimo stalinowskiego "wielkiego punktu zwrotnego", kolektywizacji i planu pięcioletniego Związek Sowiecki był

wciąż biedny i zacofany. Większość ludzi była jednak zbyt przerażona i zaskoczona publicznymi przedstawieniami, w których trakcie starzy rewolucjoniści wyznawali swoje winy, a także nocnymi zniknięciami sąsiadów, by wyrażać jakąkolwiek opinię na temat tego, co się działo. W

Gułagu czystka dotknęła najpierw komendantów obozowych - wielu z nich zostało usuniętych. W całym kraju rok 1937 zapamiętano jako ten, w którym rewolucja pożarła swoje dzieci, w obozach zaś

jako rok, kiedy Gułag pochłonął swych założycieli i to zaczynając od samego szczytu.

Jagoda, szef tajnej policji w dużej mierze odpowiedzialny za ekspansję systemu obozowego, został skazany i rozstrzelany w 1938 roku. Przed śmiercią błagał o łaskę w liście do Rady Najwyższej.

"Ciężko jest umierać

- pisał człowiek, który posłał na śmierć tak wielu - padam na kolana przed ludem i partią, błagam o łaskę, o darowanie życia". Następca Jagody, karłowaty (miał ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu) Nikołaj Jeżow, rozpoczął urzędowanie od usunięcia przyjaciół i podwładnych Jagody z NKWD. Zaatakował także jego rodzinę - aresztowano żonę, rodziców, siostry, siostrzeńców i siostrzenice. Jedna z nich wspominała potem reakcję swojej prababki, matki Jagody, na wieść o tym, że cała rodzina zostanie zesłana. „Gdyby tylko Gienia [Jagoda] widział, co oni nam robią"

- powiedział ktoś po cichu. Nagle prababcia, która nigdy nie podnosiła głosu, odwróciła się w kierunku pustego mieszkania i wrzasnęła: "Niech go diabli wezmą". Przeszła przez korytarz, drzwi zatrzasnęły się za nią.

Głos rozszedł się po klatce schodowej niczym echo matczynej klątwy”.

Wielu komendantów obozów, dopieszczanych i promowanych przez Jagodę, podzieliło jego los. Razem z setkami tysięcy innych obywateli sowieckich zostali oskarżeni o knucie spisku, aresztowani i przesłuchani w toku rozpraw sądowych, w których na ławach oskarżonych zasiadały nieraz setki ludzi. Jeden z najbardziej spektakularnych procesów rozpętano wokół osoby Matwieja Bermana, w latach 1932-1937 szefa Gułagu. Nie posłużyły mu lata wiernej służby partii, do której wstąpił już w 1917 roku. W grudniu 1938 roku NKWD oskarżyło Bermana o kierowanie "prawicowo-trockistowską organizacją terrorystyczno-sabotażową", o stworzenie "cieplarnianych warunków" więźniom w obozach, o celowe osłabienie "gotowości wojskowej i politycznej"

strażników obozowych (stąd liczne ucieczki więźniów) i sabotowanie projektów budowlanych Gułagu (stąd opóźnienia w ich realizacji).

Berman nie przepadł sam. Odkryto, że komendanci obozów Gułagu i ich główni zarządcy w całym Związku Sowieckim należą do tej samej

"prawicowo-trockistowskiej organizacji" - wszystkich skazano za jednym zamachem. Zapiski z ich procesów trąca zupełnym absurdem. Tak jakby spiętrzyły się wszystkie powody

frustracji minionych lat - niespełnione normy, źle zbudowane drogi, ledwie funkcjonujące fabryki wznoszone przez więźniów. Aleksandr Izrailew, były zastępca szefa Uchtpieczłagu, dostał na przykład wyrok za

"opóźnianie wydobywania węgla", pułkownika Aleksandra Polisonowa, pracującego w Gułagu w oddziale zwanym WOChR, oskarżono o stworzenie mu "niemożliwych warunków", Michaiłowi Goskinowi, zastępcy szefa Wydziału Budownictwa Drogowego Gułagu, zarzucono

"stworzenie nierealnego planu" linii kolejowej Wołoczajewka-Komsomolsk, a na Isaaka Ginzburga,

szeffa sekcji medycznej Gułagu, zrzucono odpowiedzialność za wysoką śmiertelność więźniów. Oskarżono go także o stworzenie warunków, umożliwiających więźniom skazanym za działalność kontrrewolucyjną przedterminowe zwolnienie z tytułu choroby. Większość otrzymała wyroki śmierci, które w części przypadków złagodzano, zmieniając na więzienie lub łagier. Kilku przeżyło nawet na tyle długo, by w 1955 roku doczekać się rehabilitacji.

Ten sam los spotkał uderzającą liczbę twórców Gułagu w terenie. W 1938

roku rozstrzelano Fiodora Eichmansa, byłego naczelnika SŁOŃ, w późniejszych latach zastępcę szefa Departamentu Specjalnego OGPU. Rok później zastrzelono Łazaria Kogana, pierwszego szefa Gułagu. Następcą Bermana na fotelu szefa Gułagu, Izrail Pliner, utrzymał się na stanowisku tylko rok, również rozstrzelano go w 1939 roku. Tak jakby system szukał

wyjaśnienia, czemu tak źle funkcjonuje, jakby potrzebowano ludzi, których można obciążyć za to winą. Może "system" jest tutaj określeniem na wyrost, może to po prostu sam Stalin potrzebował wyjaśnić, czemu jego oparte na niewolniczej pracy więźniów wspaniałe projekty posuwają się tak wolno naprzód i czemu ich rezultaty nie zawsze zgodne są z oczekiwaniami. Zdarzały się jednak i dziwaczne wyjątki. Stalin nie tylko panował nad tym, kogo należało aresztować, niekiedy decydował też, kogo należy oszczędzić. Wydaje się dosyć dziwne, że Frenklowi udało się uniknąć kul oprawców - śmierć spotkała na dobrą sprawę wszystkich jego byłych kolegów. W 1937 roku Frenkel piastował stanowisko szefa Bamłagu, budowy linii kolejowej Bajkalsko-Amurskiej, jednego z najbardziej morderczych obozów na dalekim Wschodzie kraju. Kiedy jednak, w 1938 roku, w Bamłagu aresztowano 48 "trockistów", jakimś cudem nie było wśród nich Frenkla. Brak jego nazwiska na listach aresztowanych wydaje się tym bardziej dziwny, że wychodząca w obozie gazeta otwarcie atakowała go, zarzucając sabotaż. Tak czy inaczej, jego sprawę z niewyjaśnionych przyczyn wstrzymano w Moskwie. Prokurator Bamłagu prowadzący śledztwo w sprawie Frenkla nie mógł zrozumieć, czemu opóźnia się procedury. "Nie rozumiem, czemu to śledztwo objęto

"dekretem specjalnym", i kto wydał ten "dekret specjalny" - pisał do Andrieja Wyszyńskiego, prokuratora generalnego Związku Sowieckiego. -

Jeśli nie aresztujemy trockistowskich dywersantów i szpiegów, to kogo mamy aresztować?". Najwyraźniej Stalin był wciąż w stanie osłaniać swoich pupili. Najbardziej chyba dramatyczna epopeja szefa obozu zaczęła się pod koniec 1937 roku w Magadanie. Aresztowano Eduarda Berzina, dyrektora Dalstroju. Berzin jako bezpośredni podkomendny Jagody powinien się spodziewać, że jego kariera nie potrwa już zbyt długo. Powinien również coś podejrzewać, kiedy w grudniu dotarła do niego nowa grupa zastępców - oficerów NKWD. Zwłaszcza że był wśród nich równy rangą Berzinowi, starszy major BP Pawłow. Bardzo często w ten właśnie sposób Stalin przedstawiał następców funkcjonariuszom, którzy wkrótce mieli odejść ze stanowiska. Mimo to Berzin wydawał się niczego nie podejrzewać. Kiedy do zatoki Nagajewo zawinął statek o złowróznej nazwie "Nikołaj Jeżow", z oficerami NKWD na pokładzie, Berzin powitał ich z orkiestrą dętą. Mimo że oficerowie zdawali się zupełnie go ignorować, następne kilka dni spędził, pokazując im obóz jako nowemu "personelowi". Potem sam zaokrętował się na "Jeżowa". Po dotarciu do Władywostoku wsiadł do jadącego do Moskwy pociągu ekspresowego kolei transsyberyjskiej. Berzin opuścił Władywostok jako pasażer I klasy,

ale dotarł do Moskwy już jako więzień. Niespełna 70 kilometrów od Moskwy,

w mieście Aleksandrowie, pociąg został zatrzymany. Dziewiętnastego grudnia 1937

roku o północy Berzin został aresztowany na środku peronu. Aby nie robić zamieszania w centrum Moskwy, aresztowano go poza stolicą, po czym odwieziono na

Łubiankę. Dostyc szybko zarzucono mu "działalność kontrewolucyjną i sabotażowo-burzycielską". NKWD oskarżyło go też o zorganizowanie

"szpiegowsko-dywersyjnej trockistowskiej szajki na Kołymie".

Ugrupowanie miało nielegalnie wysyłać złoto rządowi japońskiemu i ułatwiać Japończykom przejście rosyjskiego Dalekiego Wschodu.

Oskarżono go także o szpiegostwo na rzecz Anglii i Niemiec.

Wynikało z tego jasno, że szef Dalstroju musiał być niezwykle pracowitym człowiekiem. Zastrzelono go w piwnicach Łubianki w sierpniu 1938 roku.

Mimo tak absurdalnego charakteru zarzutów sprawy bynajmniej nie zakończono. Do końca grudnia pracującemu w błyskawicznym tempie Pawłowowi udało się aresztować większość podwładnych Berzina. Kpt.

BP Filippow, komendant Siewwostłagu, pod wpływem tortur złożył

obszerne zeznanie, którym obciążył niemal wszystkich. Wyznał, że

"zwerbował" Berzina w 1934 roku, przyznając jednocześnie, że ich

"antysowiecka szajka" planowała obalenie rządu sowieckiego, między innymi "przygotowując na Kołymie zbrojne powstanie przeciw władzy sowieckiej

[...], akty terroru wymierzone w przywódców partii i rząd sowiecki [...]

oraz podburzając miejscową ludność [...] i wspierając na szeroką skalę działalność sabotażową". Lew Epstein, zastępca Berzina, przyznał się do

"zbierania materiałów szpiegowskich dla Francji i Japonii, sabotażu, dywersji i podżegania". Ordynator szpitala w Magadanie oskarżony został

o "powiązania z wrogimi elementami i dwulicowymi zdrajcami". Zanim skończyło się śledztwo, zabito lub wtrącono do więzień setki powiązanych w jakikolwiek sposób z Berzinem osób, począwszy od geologów, poprzez urzędników i inżynierów. Patrząc z perspektywy całego kraju, elita obozów kołymskich nie była jedyną z potężnych sieci, które wyeliminowano w latach 1937-1938. Pod koniec 1938 roku Stalin oczyścił Armię Czerwoną niemal z całej grupy dowódczej. Znalazł się wśród nich zastępca ludowego komisarza obrony marszałek Tuchaczewski, komandarmowie Iona

Jakir i Uborewicz oraz wielu innych.

Większość rozstrzelano,

ale niektórzy trafili do obozów. Czystka objęła nie tylko potencjalnych wrogów

Stalina w kierownictwie partii, ale również lokalne elity partyjne, pierwszych sekretarzy, szefów rad lokalnych i regionalnych, a także kadre kierowniczą w ważnych fabrykach i instytucjach. "Nikt nie miał pojęcia, co przyniesie ze sobą jutro. Ludzie bali się ze sobą rozmawiać i spotykać, zwłaszcza w rodzinach, w których ojciec lub matka zostali już

"izolowani". Nieliczni, którzy byli na tyle głupi, że stanęli w obronie aresztowanych, automatycznie kwalifikowali się do "izolacji" -

wspominała po latach Jelena Sidorkina. Nie wszyscy jednak ginęli i nie każdy z obozów był tak skrzętnie czyszczony. Tak naprawdę zdarzało się, że zapomniani przez świat komendanci mieli więcej szczęścia od typowych oficerów NKWD. Przykładem może być Wasilij Barabanów, jeden z protegowanych Jagody. W 1935 roku piastujący stanowisko komendanta Dmityłagu Barabanów został aresztowany za przybycie do obozu "w stanie nietrzeźwym". W efekcie stracił stanowisko, ale dostał

stosunkowo łagodny wyrok; wysłano go do pracy w odległym obozie na Dalekiej Północy. Był tam i w 1938 roku, kiedy to masowo aresztowano współpracowników Jagody. Całe zamieszanie sprawiło, że zupełnie zapomniano o jego istnieniu. Po latach wybaczone mu zamiłowanie do alkoholu i Barabanów, powoli pnący się po szczeblach hierarchii NKWD, w 1954 roku został mianowany I zastępcą komendanta całego Gułagu.

Łagiernicy rok 1937 zapamiętali nie tylko jako okres Wielkiego Terroru.

Wtedy

właśnie definitywnie skończyły się czasy propagandy sukcesu w resocjalizacji

więźniów, skończyli się też jej orędownicy. Po części dlatego, że egzekucje i aresztowania dotknęły wiele osób blisko z tą kampanią związanych. Nie było już Jagody, wciąż powszechnie kojarzonego z Kanałem Białomorskim. W czerwcu 1936

roku zmarł nagle Maksym Gorki. Ida Awerbach, która współpracowała z Gorkim

przy pisaniu Kanału imienia Stalina, autorka dzieła Ot priestuplenia k trudu (Od

przestępstwa do twórczej pracy), kolejnego panegiryku poświęconego z kolei kanałowi Moskwa-Wołga, została zdemaskowana jako trockistka i aresztowana

w 1937 roku. Podobny los spotkał wielu innych pisarzy, członków związanego

z Gorkim kolektywu autorskiego kwestii o "Kanale Białomorskim".

Zmiany miały jednak zdecydowanie głębsze podłoże. W miarę jak retoryka polityków stawała się coraz bardziej radykalna i nasilało się polowanie na przestępców politycznych, zmieniał się status obozów, w których ich przetrzymywano.

W kraju opanowanym paranoją i szpiegomanią istnienie obozów dla

"wrogów ludu" i "podżegaczy" może nie było zupełnie tajne (więźniowie pracujący przy budowie dróg i domów mieszkalnych przez całe lata czterdzieste byli codziennym widokiem w wielu dużych miastach), ale nigdy nie mówiło się o tym wprost. Sztuka Pogodina Arystokracy trafiła w 1937 roku na indeks, na krótko reanimowano ją dopiero parę lat po śmierci Stalina, w 1956 roku. Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn na listę dzieł zakazanych trafił także Kanał imienia Stalina Gorkiego. Może nowi szefowie NKWD nie mogli dłużej strawić peanów na cześć potępionego Jagody, a może piękna idea resocjalizacji "wrogów" zupełnie utraciła sens w czasach, kiedy wrogowie pojawiali się bez przerwy, kiedy tysiące zamiast resocjalizować - po prostu rozstrzeliwano. Niewątpliwie historie o delikatnych, wszystkowiedzących czekistach nie przystawały do prowadzonych przez NKWD masowych czystek.

Nie chcąc uchodzić za zbyt pobłażliwych w wywiązywaniu się z zadania izolacji wrogów reżimu, moskiewscy komendanci Gułagu wydali zestaw nowych, tajnych przepisów wewnętrznych. Cała korespondencja miała być wysyłana przez specjalnych kurierów. W samym tylko roku 1940

kurierzy NKWD przekazali 25 milionów tajnych pakietów. Ponieważ lokalizacja obozów była ściśle tajna, wszystkie listy kierowano na adres skrzynek pocztowych. Obozy jako takie znikły z map. Nawet w wewnętrznej korespondencji NKWD. Aby ukryć prawdziwy profil ich działalności, określano je eufemizmami takimi jak: "obiekty specjalne"

(specobiiekty) lub "pododdziały" {podrazdzielenia). NKWD opracowało skomplikowany szyfr, którego można było używać otwarcie w telegramach. W jednym z pochodzących z 1940 roku dokumentów wymienione są stosowane w nim określenia kodowe, trzeba przyznać, że niektóre są wyjątkowo wymyślne. Ciężarne kobiety określano mianem

"książek", kobiety z dziećmi nazywano "rachunkami". Mężczyźni byli dla odmiany "kontami". Na wysiedleńców mówiono "makulatury", a więźniów, w których sprawie prowadzono dochodzenie - "koperty". Obóz był "trustem", a jego pododdziały "działkami

[ziemi]". Jeden z obozów funkcjonował pod kryptonimem "wolny".

Zmienił się także język, jakim posługiwano się w obozach. Do jesieni 1937 roku w oficjalnych dokumentach i listach często odnoszono się do poszczególnych więźniów, określając po prostu ich zawód, na przykład

"drwal". W 1940 roku więzień nie był już dłużej drwalem, ale po prostu więźniem: "zakluczonym", w skrócie stosowanym w większości dokumentów - z/k, wymawianym jako zek. Grupa więźniów stała się w biurokratycznym, depersonalizowanym języku "kontingentem".

Więźniom nie przysługiwał już chwalebny tytuł "stachanowca": jeden z komendantów obozowych wysłał swoim podwładnym pełen niezadowolenia list, nakazując określanie najlepiej pracujących więźniów

"więźniami pracującymi niczym udarnicy" lub "więźniami pracującymi zgodnie ze stachanowskimi metodami pracy".

Określenie "więźniów politycznych" dawno już przestało mieć pozytywne znaczenie. Przywileje dla więzionych z powodów politycznych socjalistów skończyły się

raz na zawsze wraz z przeniesieniem ich w 1925 roku z obozu sołowieckiego. Teraz termin "polityczny" przeszedł zupełną transformację i zyskał wyraźnie negatywne konotacje. Obejmował każdą osobę skazaną na mocy niesławnego paragrafu 58 kodeksu karnego, precyzującego wszelkiego rodzaju "przestępstwa kontrrewolucyjne".

Więźniów politycznych, zwanych niekiedy "KR" (kontrrewolucjonistami), "kontrami" lub "kontrikami" - określano zdecydowanie częściej

mianem "wrogów ludu". Tego jakobińskiego określenia po raz pierwszy użył w 1917 roku Lenin. Przypomniał je ponownie Stalin w odniesieniu do Trockiego i jego zwolenników. Szerszego znaczenia nabrało w 1936

roku, kiedy to z Komitetu Centralnego wyszło tajne pismo - jak twierdzi Dmitrij Wołkogonow - autorstwa Stalina. Okólnik skierowany do komórek partyjnych w poszczególnych republikach i regionach wyjaśniał, że wrogowie ludu, choć wydają się "obłaskawieni i niegroźni", starają się za wszelką cenę "po cichutku wpełznąć" w szeregi budowniczych socjalizmu. Innymi słowy, wrogów nie rozpoznawano już po głoszonych przez nich otwarcie poglądach. Późniejszy szef NKWD, Ławrientij Beria, często cytował Stalina, zaznaczając, że "wróg ludu to nie tylko ten, kto szkodzi, ale także ten, kto powątpiewa w słuszność linii partii". Tak więc

"wróg" mógł oznaczać każdego, kto tylko z jakichkolwiek powodów sprzeciwiał się rządowi Stalina, nawet jeśli nie czynił tego w sposób otwarty. W obozach termin "wrogowie ludu" stał się oficjalnym określeniem, stosowanym we wszystkich dokumentach. Kobiety aresztowano jako "żony wrogów ludu", to samo dotyczyło dzieci -

umożliwiał to wydany w 1937 roku dekret. Oficjalnie byli skazywani jako

"CzSIRy" - Człony Sjemii Izmiennika Rodiny (Członkowie Rodziny Zdrajcy Ojczyzny). Wiele

spośród żon zamknięto w obozie tiemnikowskim w republice Mordwiriskiej, w środkowej Rosji. Anna Łarina, żona Bucharina, wspominała, że wcześniej na zesłce w Astrachaniu wszystkie kobiety - żony Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza czy Gamarnika, dzieliły wspólnie swe nieszczęście.

Inna z więźniarek, które przetrwały pobyt w Tiemłagu, Galina Lewinson, wspominała później, że w obozie panował stosunkowo łagodny rygor, być może

dlatego, że "nie miałyśmy wyroków, byłyśmy po prostu "żonami"". Jak zauważyła

Lewinson, znakomita większość przebywających w obozach kobiet była jak do tej

pory "w pełni sowieckimi ludźmi" i wciąż żyła w przekonaniu, że ich aresztowanie związane było z machinacjami jakichś tajnych, działających wewnątrz partii

ugrupowań faszystowskich. Wiele kobiet dzień w dzień zajmowało się pisaniem listów do Stalina i Komitetu Centralnego. Ze złością skarżyły się na uknuty przeciwko nim spisek. Poza oficjalnym znaczeniem określenie

"wróg ludu" po roku 1937 stało się czymś w rodzaju piętnującego epitetu.

Od czasów sołowieckich założyciele obozów, planując organizację całego systemu, opierali się na założeniu, że więźniów nie należy traktować jak ludzi. Odnoszono się do nich raczej jako do "jednostek wykonujących pracę". Nawet już w okresie budowy Kanału Białomorskiego Gorki określał kułaków mianem "półzwierząt". Teraz jednak propaganda odnosiła się do "wrogów" gorzej niż do bydła. Pod koniec lat trzydziestych Stalin w oficjalnych wystąpieniach mówił o "wrogach ludu"

jako o "robactwie", "gangrenie" i "brudzie", niekiedy wspominał też o

"chwastach", które należało wyrwać z korzeniami. Przesłanie było jasne: zeków nie uważano już za pełnoprawnych obywateli Związku Sowieckiego, jeśli w ogóle uważano ich za ludzi. Jeden z więźniów stwierdził, że "są zupełnie wyobcowani z życia politycznego, nie biorą udziału w jego liturgii i obrzędach sakralnych". Po roku 1937 żaden ze strażników nie zwracał się już do więźniów "towarzyszu". Z kolei za używanie tego określenia w stosunku do strażników więźniom groziło pobicie, musieli zwracać się do nich "obywatelu". Ze ścian budynków obozowych i więzień znikły wizerunki Stalina i przywódców partii.

Widok wiozącego więźniów pociągu, obwieszzonego portretami Stalina i hasłami głoszącymi, że pasażerowie są stachanowcami, czyli coś, co jeszcze w połowie lat trzydziestych zdarzało się stosunkowo często, po roku 1937 stało się zupełnie nie do pomyślenia. Podobnie było ze świętem robotniczym 1 Maja, niegdyś tak hucznie obchodzonym na Kremlu sołowieckim. Wielu cudzoziemców było kompletnie zaskoczonych niesamowitym efektem, jaki wywarła na sowieckich więźniach ta

"ekskomunika" ze społeczeństwa sowieckiego. Jeden z więźniów, Jacques Rossi, w przewodniku encyklopedycznym

po życiu obozowym Sprawocznik po Gułagu twierdzi, że sam dźwięk słowa "towarzysz" elektryzował więźniów, którzy nie słyszeli go od dłuższego czasu. "Brygada, która skończyła właśnie jedenastoipółgodzinną zmianę, zgodziła się pozostać na następna zmianę tylko dlatego, że kierownik budowy [...] zwrócił się do więźniów: Proszę was, towarzysze". Dehumanizacja więźniów politycznych pociągnęła za sobą radykalne, w niektórych miejscach niezwykle drastyczne, pogorszenie warunków bytowych. Ogólnie w latach trzydziestych Gułag był zupełnie zdezorganizowany, dość często okrutny, a niekiedy zabójczy.

Mimo to, przynajmniej w niektórych miejscach, przez pewien czas nawet więźniowie polityczni mieli szansę na to, by się zrehabilitować. Robotnicy pracujący przy budowie Kanału Białomorskiego mogli czytać lokalną gazetę - "Pieriekowkę". Sztuka Pogodina Arystokracji kończyła się

"nawróceniem" byłego sabotażysty. Flora Leipman odwiedziła w 1934

roku swoją matkę w obozie na Dalekiej Północy - matka, z pochodzenia Szkotka, wyszła za mąż za Rosjanina, przeprowadziła się do Leningradu i wkrótce została aresztowana za szpiegostwo. Z wizyty w obozie Leipman zapamiętała, że "strażnicy odnosili się do więźniów w miarę po ludzku, KGB [wł. NKWD] nie było tak perfidne i nie działało psychologicznie jak kilka lat później". Leipman doskonale wiedziała, o czym mówi, gdyż

"kilka lat później" sama trafiła od obozu. Po roku 1937 zmienił się stosunek do więźniów, zwłaszcza aresztowanych z tytułu artykułu 58 KK, obejmującego wszelkie przestępstwa o charakterze "kontrrewolucyjnym".

Więźniów politycznych zatrudnionych w obozach na stanowiskach planistów i inżynierów odsunięto od dotychczasowych zadań i zmuszono do powrotu do "prac ogólnych". Dołączyli do niewykwalifikowanych robotników pracujących w kopalniach i przy wyrębie lasów. "Wrogom"

nie powierzano żadnych ważnych stanowisk z obawy, że wykorzystają je do celów sabotażowych. Nowy szef Dalstroju, Pawłow, osobiście podpisał

dokument nakazujący, by jednego z więźniów - geologa Dawidienkę -

"wykorzystać jako zwykłego robotnika i pod żadnym pozorem nie powierzać mu niezależnego stanowiska. Zadania realizowane przez Dawidienkę mają być starannie kontrolowane i dogłądane każdego dnia".

W raporcie przedstawionym w lutym 1939 roku komendant Biełbałtłagu utrzymywał, że "pozbył się wszystkich robotników niepewnych politycznie", zwłaszcza "wszystkich byłych więźniów skazanych za przestępstwa o charakterze kontrrewolucyjnym". Komendant obiecywał, że od tego momentu wszystkie stanowiska administracyjne i techniczne zarezerwowane będą dla "komunistów, komsomolców i zaufanych specjalistów". Widać wyraźnie, że produkcja i osiągnięcie dobrych wyników ekonomicznych nie były już celami priorytetowymi obozów.

Znacznie pogorszyły się też panujące w obozach warunki. Dotknęło to wszystkich więźniów - nie tylko politycznych, ale i zwykłych przestępców. Na początku lat trzydziestych racje chleba dla

wykonujących

"prace ogólne" sięgały niekiedy nawet kilograma dziennie. Tyle przysługiwało także tym, którzy nie wypełniali 100 procent normy.

Stachanowcy dostawali do dwóch kilogramów. W głównych łagpunktach Kanału Białomorskiego mięso podawano przez dwanaście dni w miesiącu.

Do końca dekady gwarantowane racje żywieniowe zmniejszono o ponad połowę. Wydawano z reguły od 400 do 450 gramów chleba dziennie, a osoby, które

wyrobiły 100 procent normy, dostawały dodatkowe 200 gramów. Racje karne obniżono do 300 gramów. Wspominając Kołymę tej epoki, Warłam Szalamow pisał: „Aby zmienić w "dochodiagę" zdrowego młodego mężczyznę rozpoczynającego pracę w kopalni złota w czystym, mroźnym powietrzu, wystarczało z reguły dwadzieścia do trzydziestu szesnastogodzinnych dniówek bez żadnej przerwy. Do tego dochodziło systematyczne głodzenie, podarte łachmany, noce na pięćdziesięciostopniowym mrozie w pełnym dziur namiocie [...], z całej brygady, która rozpoczynała pracę w sezonie, nie przeżywał nikt poza brygadzystą i kilku jego totumfackimi”. Warunki pogorszyły się również ze względu na rosnącą - i to gdzieniegdzie w zastraszającym tempie - liczbę więźniów. To fakt, że Politbiuro starało się zawczasu przygotować na ich masowy napływ, w 1937 roku administracji Gułagu przekazano polecenie utworzenia pięciu nowych obozów leśnych w regionie Komi oraz kilku kolejnych w "odległych rejonach Kazachstanu". Aby przyspieszyć budowę, Gułag na cele organizacyjne otrzymał "zaliczkę w wysokości 10 milionów rubli". Dodatkowo ludowym komisarzom obrony, zdrowia i leśnictwa rozkazano wyznaczyć do pracy w trybie doraźnym: 240 oficerów i pracowników politycznych, 150

lekarzy, 400 pielęgniarzy, 10 doświadczonych specjalistów w dziedzinie leśnictwa i "50 absolwentów Leningradzkiej Akademii Technologii Leśnictwa". Tak czy inaczej, istniejące obozy po raz kolejny zapełniły się nowymi rekrutami. Powtórzył się tłok z początku lat trzydziestych. Były łagiernik szacował, że w jednym z łagpunktów Sibłagu, zbudowanym dla 250 do 300 osób, w 1937 roku liczba więźniów przekroczyła 17 tysięcy.

Nawet jeśli przyjmiemy, że tak naprawdę było ich cztery razy mniej, szacunki te pokazują, jak bardzo zatłoczony musiał być obóz. Z braku baraków więźniowie kopali sobie ziemianki; nawet te jednak były tak zatłoczone, że "nie można było się ruszyć, nie depcząc komuś po rękach".

Więźniowie odmawiali wyjścia na zewnątrz, obawiając się, że ktoś zajmie ich

miejsce na podłodze. Nie było misek ani łyżek, a po jedzeniu ustawiały się długie kolejki. Wkrótce wybuchła epidemia dyzenterii, ludzie umierali jeden po drugim. Na jednym z późniejszych posiedzeń partii przedstawiciele zarządu Sibłagu gorzko wspominali "potworną lekcję z 1938 roku" i to nie tylko ze względu na "liczbę straconych dni pracy" w czasie kryzysu. We wszystkich obozach, w okresie od 1937 do 1938 roku, podwoiła się liczba zgonów. Nie dysponujemy pełnymi statystykami, ale śmiertelność była prawdopodobnie zdecydowanie wyższa w obozach na Dalekiej Północy - Kołymie, Norylsku i Workucie - tam wysyłano całe zastępy więźniów politycznych. Ale więźniowie umierali nie tylko z głodu i przepracowania. W nowym klimacie politycznym samo odizolowanie

wrogów szybko przestało wystarczać: lepiej było ich po prostu usunąć.

Dlatego też 30 lipca 1937 roku NKWD wydało rozkaz dotyczący represji względem "byłych kułaków, złodziei i innych elementów antysowieckich". Precyzował on liczbę przeznaczonych do egzekucji więźniów Gułagu oraz innych osób. Z tego też powodu 25 sierpnia 1937

roku Jeżow podpisał inny rozkaz, wzywający z kolei do egzekucji więźniów przetrzymywanych w więzieniach politycznych o zaostrzonym rygorze. Jak stwierdził, NKWD musi "w ciągu dwóch miesięcy zakończyć operację zdławienia najbardziej aktywnych elementów kontrrewolucyjnych... skazanych za szpiegostwo, dywersję, terroryzm, działalność rewolucyjną i bandytyzm, oraz wszystkich jednostek skazanych za członkostwo w ugrupowaniach antysowieckich". Do więźniów politycznych Jeżow dołączył "bandytów i elementy przestępcze", osoby przebywające w obozie sołowieckim (w tym czasie przekształconym

w więzienie o zaostrzonym rygorze). Rozkaz precyzował, że spośród nich należy

rozstrzelać 1200 osób. Jeden z naocznych świadków wspominał dzień, w którym

część z nich wyprowadzono z cel: „Zupełnie nieoczekiwanie zmuszono wszystkich do opuszczenia otwartych cel Kremla i udania się na zbiórkę.

W trakcie zbiórki odczytano niezwykle długą listę nazwisk więźniów - co najmniej kilkaset - przeznaczonych do transportu. Dostali dwie godziny, aby się przygotować, potem mieli zebrać się ponownie na centralnym placu. Rozpętało się potworne zamieszanie. Niektórzy biegli w pośpiechu zebrać swoje rzeczy, inni żegnali się z przyjaciółmi. Po dwóch godzinach większość osób stała już na swoich miejscach [...] kolumny więźniów odmaszerowały z plecakami i walizkami”. Niektórzy najwyraźniej zabrali ze sobą noże. Użyli ich potem, by w pobliżu wsi Sandormoch w północnej Karelii zaatakować tych, którzy do nich strzelali. Niektórych udało im się poranić. Po tym zdarzeniu NKWD kazało więźniom rozbierać się do bielizny przed wykonaniem egzekucji. Nieco później oficer nadzorujący akcję został nagrodzony (czymś, o czym archiwa wspominają jako o

"drogocennym podarku") za odwagę, jaką wykazał się, wykonując zadanie. Kilka miesięcy potem jego także rozstrzelano. Jeśli chodzi o obóz sołowiecki, wybór osób przeznaczonych do eksterminacji wydaje się zupełnie przypadkowy. W innych obozach jednak zarządcy korzystali z okazji do pozbycia się szczególnie kłopotliwych więźniów. Tak było zapewne w Workucie, gdzie wśród wybranych osób znalazło się wielu byłych trockistów - prawdziwych wyznawców Trockiego, którzy angażowali się w organizowanie strajków i buntów w obozach. Jeden ze świadków wspominał, że na początku zimy 1937-1938 zarząd obozu w Workucie internował w opuszczonej cegielni około 1200 więźniów, głównie trockistów i innych "politycznych", towarzyszyła im garstka kryminalistów. Umieszczono ich w kilku zatłoczonych ("wypełnionych po brzegi") namiotach, nie wydawano żadnych ciepłych posiłków - "na dzienną rację składało się 400 gramów na wpół czerstwego chleba".

Pozostawali tam do końca marca, aż do przybycia nowej grupy oficerów NKWD z Moskwy. Oficerowie powołali "komisję specjalną", która wzywała więźniów w grupach po 40 osób. Mówiono im, że przeznaczeni są do transportu, każdy dostawał kawał chleba. Siedzący w namiotach słyszeli, jak kolejne grupy odmaszerowują - "potem było słyszeć odgłos wystrzałów". Atmosfera

panująca w namiotach przywodziła na myśl piekło. Jeden z chłopów, aresztowany za "spekulację" - ośmielił się sprzedać na bazarze własnego prosiaka - leżał na ławie z otwartymi oczami, na nic nie reagując. Co jakiś czas zawodził: "Co ja mam wspólnego z wami, politycznymi? Walczyliście o władzę, o stanowiska, a ja potrzebuję żyć". Zgodnie z zeznaniami świadków jeden z więźniów popełnił samobójstwo, dwóch innych oszalało. W końcu, gdy zostało już około 100 osób, egzekucje się skończyły, równie nagle i w równie niewyjaśniony sposób, jak się rozpoczęły. Funkcjonariusze NKWD

wrócili do Moskwy, pozostali przy życiu łagiernicy - do kopalń. W całym obozie zabito około 2 tysięcy osób. Stalin i Jeżow nie zawsze wysyłali do tego typu zadań ekipy z Moskwy. Aby przyspieszyć proces, NKWD

powołało do życia w całym kraju tzw. trójki. Działały one zarówno w obozach, jak i poza nimi. Jak sama nazwa wskazuje, w skład "trójki"

wchodziły trzy osoby, z reguły był to miejscowy szef NKWD w towarzystwie sekretarza lokalnej organizacji partyjnej oraz przedstawiciela prokuratury lub władz. "Trójka" miała prawo zaocznego wydawania wyroków, nie były więc już potrzebne sądy, sędziowie i procesy. Po przystąpieniu do pracy "trójki" działały niezwykle sprawnie.

W całkiem zwyczajny dzień, 20 września 1937 roku, "trójka" Karelskiej ASRS skazała 231 więźniów obozu białomorskiego, Bielbałtągu. Jeśli przyjmiemy, że pracowano

10 godzin bez przerw, wychodzi, że podjęcie decyzji co do losu każdego więźnia

zajmowało nieco mniej niż trzy minuty. Większość skazańców została pierwotnie

skazana zdecydowanie wcześniej, już na początku lat trzydziestych. Teraz jednak

oskarżono ich o nowe zbrodnie, z reguły było to naganne zachowanie lub niewłaściwy stosunek do rzeczywistości obozowej. Wśród osądzonych znalazło się wielu byłych więźniów politycznych, mieniszewików, anarchistów i socjaldemokratów, ale też była zakonnica, która "odmówiła pracy dla władz sowieckich", oraz kułak, pracujący jako kucharz obozowy, którego oskarżono o sianie niezadowolenia wśród stachanowców. Jak utrzymywali przedstawiciele władz, kucharz zmuszał

ich do "stania w długich kolejkach, gdyż najpierw wydawał jedzenie zwykłym więźniom". Histeria nie trwała jednak wiecznie. W listopadzie 1938 roku dosyć nagle skończyły się masowe egzekucje, nie tylko w obozach, ale i w całym kraju. Być może czystka posunęła się zbyt daleko, nawet jak na upodobania Stalina. Niewykluczone też że wyrządziła zbyt wiele szkód wciąż wrażliwej gospodarce sowieckiej. Bez względu na powody w marcu 1939 roku na zjeździe partii komunistycznej Stalin przyznał, że czystce towarzyszyło "więcej błędów, niż można było przypuszczać". Nikt nie przeproszał ani nie wyrażał skruchy, niemal nikogo nie ukarano. Kilka miesięcy wcześniej Stalin rozesłał szefom NKWD w całym kraju dokument w którym chwalił resort za

"rozgromienie szpiegowsko-dywersyjnej agentury obcych służb wywiadowczych", a także za "oczyszczenie kraju z licznych szpiegowskich, terrorystycznych, dywersyjnych i wrogich kadr".

Jednocześnie wytknął też pewne "niedociągnięcia całej operacji, takie jak

"uproszczone procedury śledcze oraz wątpliwą jakością". Nie dobiegła jednak końca czystka w szeregach samego NKWD. W listopadzie 1938

roku Stalin usunął ze stanowiska bezspornego autora wszystkich błędów i wypaczeń - Nikołaja Jeżowa. Skazano go na śmierć. Wyrok wykonano w roku 1940. Jeżow błagał o litość, zupełnie jak jego poprzednik Jagoda.

Przed egzekucją powiedział: "Przekażcie Stalinowi, że umrę z jego imieniem na ustach". Protegowani Jeżowa poszli za nim, tak jak współpracownicy Jagody parę lat wcześniej. Jewglema Ginzburg spostrzegła pewnego dnia, że z jej celi zniknął regulamin więzienia. Kredy powieszono go ponownie, przestrzeń w jego lewym górnym rogu, gdzie niegdyś znajdował się tekst: "Zatwierdzam, generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego, Jeżow" zalepiona była kawałkiem białego papieru. Na tym jednak zmiany się nie skończyły: "Za pierwszym razem zakleili nazwisko Wajnsztok i zastąpili nazwiskiem Antonow. Później zakleili i Antenowa a na tym

miejscu napisali: "Główny Zarząd Więziennictwa". - Tak jest przezorniej -

śmiałyśmy się.-Nie trzeba będzie zmieniać".

Produkcja obozowa leciała w dół w zastraszającym tempie. W 1937 roku w porównaniu z rokiem poprzednim, drastycznie spadł przychód Uchtpieczłagu'

Powodem były masowe egzekucje, na które nałożyła się olbrzymia liczba chorych

i osłabionych więźniów, oraz pozbycie się specjalistów. W lipcu 1938

roku władze

Gułagu powołały specjalną komisję, mającą zająć się właśnie problemem potężne

go deficytu Uchtpieczłagu. Spadło także wydobywanie złota w kopalniach na Kołymie. Nawet potężny napływ nowej siły roboczej nie spowodował

wzrostu wydobywania kruszcu do poziomu z lat ubiegłych. Jeżow tuż przed usunięciem go ze

stanowiska osobiście zwrócił się o przyznanie dodatkowych funduszy na modernizację przestarzałych technologii górniczych w Dalstroju, zupełnie tak, jakby stanowiło to sedno problemu.

W tym samym czasie

komendant Bielbałtłagu (ten sam, który tak chlubił się swoimi sukcesami w oczyszczaniu personelu administracyjnego z więźniów politycznych) pisał o pilnym zapotrzebowaniu na "pracowników administracyjnych i technicznych". Oczywiście czystka sprawiła, że personel techniczny obozu stał się "zdrowszy" pod względem politycznym - pisał z dużą ostrożnością - ale też "zwiększyła jego niedobór". W czternastu podlegających mu obozach przebywało 12,5 tysiąca więźniów, z których

tylko 657 nie miało statusu politycznych - większość jednak odsiadywała ciężkie wyroki za przestępstwa kryminalne, co automatycznie wykluczało ich ze stanowisk technicznych i administracyjnych. Kolejne 184 osoby były analfabetami, i w rezultacie do pracy na stanowiskach inżynierów i urzędników pozostawało zaledwie 70 osób. Według oficjalnych statystyk obroty obozów NKWD zmalały z 3,45 miliarda

rubli w 1936 roku do 2 miliardów w roku 1937. W tym samym okresie spadła

również wartość produkcji przemysłowej brutto - z 1,1 miliarda rubli do 945 milionów. Brak rentowności, kompletna dezorganizacja większości obozów, podobnie

jak rosnąca liczba chorych i umierających więźniów nie pozostały niezauważone

w Moskwie. Posiedzeniom specjalnej komórki partyjnej przy centralnym zarządzie Gułagu towarzyszyły zażarte i szczere dyskusje na temat finansów obozowych. Na spotkaniu w kwietniu 1938 roku jeden z urzędników narzekał na "chaos

i bałagan" w obozach w republice Komi. Oskarżał także komendantów obozu

w Norylsku, że podjęli budowę "źle zaprojektowanej" fabryki niklu, przez co

zmarnowano potężną sumę pieniędzy. Inny z zarządców poinformowany o kwocie,

jaką dano na założenie nowych obozów dla drwali, mruknął z niezadowoleniem:

"Powinniśmy byli spodziewać się większej. Nasze obozy są organizowane nierozważnie. Główne budynki postawiono w błocie, teraz musimy je przenosić".

Do kwietnia 1939 roku skargi przybrały na sile. W obozach na Północy panowała "wyjątkowo ciężka sytuacja, jeśli chodzi o dostawy jedzenia".

Efektem tego

był "bardzo wysoki odsetek osłabionych robotników, równie wysoki odsetek robotników niezdolnych do pracy oraz niezwykle duża śmiertelność i zachorowalność". W tym samym roku Rada Komisarzy Ludowych przyznała, że nawet do

60 procent więźniów w obozach cierpi na pelagrę lub inne choroby związane z niedożywieniem. Oczywiście to nie Wielki Terror był

przyczyną wszystkich tych problemów. Oficjalnie potwierdzono, że nawet tak podziwiane przez Stalina podległe Frenklowi obozy leśne nigdy nie przyniosły żadnego zysku. Praca więźniów zawsze była i zawsze pozostanie zdecydowanie mniej opłacalna niż praca ludzi wolnych. Ale wtedy nikt jeszcze na to nie wpadł. Kiedy w listopadzie 1938 roku odsunięto od władzy Jeżowa, jego następcą na stanowisku szefa NKWD, Beria, niemal natychmiast podjął kroki, mające na celu zaostrenie reżimu obozowego, uproszczenie procedur i zmianę zasad. Wszystko to miało służyć przywróceniu obozom właściwego miejsca. Miejsca, w którym widział je Stalin: serca sowieckiej ekonomii. Beria

jeszcze wtedy nie dostrzegł, że system obozowy jest sam w sobie nierentowny i bezproduktywny. Wydawało mu się raczej, że wina leży po stronie niekompetentnych ludzi odpowiedzialnych za system. Był

zdeteminowany, by przemienić obozy w naprawdę zyskowną gałąź

gospodarki, i podchodził do tego niezwykle poważnie. Ani wtedy, ani też później Beria nie uwolnił z obozów niesprawiedliwie skazanych więźniów (aczkolwiek przeprowadził częściową amnestię). Obozy nie stały się też bardziej ludzkie. Język, jakim posługiwali się komendanci i strażnicy, wciąż zakładał odczłowieczanie "wrogów" i na dobrą sprawę było tak aż do śmierci Stalina. Więźniów politycznych, a tak naprawdę wszystkich więźniów, traktowano potwornie: w 1939 roku pod czujnym okiem Berii pierwsi z nich rozpoczęli pracę w kopalniach uranu na Kołymie.

Pracowali bez jakichkolwiek zabezpieczeń przed promieniowaniem. Beria zmienił tylko jeden z aspektów systemu: nakazał kierownictwu obozów, by utrzymały więcej osób przy życiu i robiły z nich lepszy użytek. Mimo iż prawo to nie było do końca jasne, Beria praktycznie zlikwidował zakaz

"zatrudniania" więźniów politycznych dysponujących umiejętnościami inżynieryjnymi, naukowymi lub technicznymi na stanowiskach technicznych w obozach. Z drugiej strony komendanci obozów mieli wciąż dużo oporów związanych z zatrudnianiem więźniów politycznych jako "specjalistów" i sytuacja ta utrzymała się aż do upadku Gułagu, w połowie lat pięćdziesiątych. Jeszcze w 1948 roku poszczególne wydziały służb specjalnych spierały się ze sobą o to, czy można powierzyć więźniom politycznym pracę specjalistów. Jedni uważali, że to z politycznego punktu widzenia zbyt ryzykowne, inni z kolei utrzymywali, że bez tego trudno będzie podtrzymać funkcjonowanie obozów. Beria nigdy nie podjął się rozwiązania tego dylematu. Zbyt zależało mu na uczynieniu z NKWD podpory gospodarki, aby pozwolić na to, by wszyscy najważniejsi więźniowie w Gułagu naukowcy i inżynierowie odmrozili sobie ręce na Dalekiej Północy. We wrześniu 1938 roku zaczął organizować specjalne laboratoria i warsztaty dla więzionych naukowców, znane wśród więźniów jako "szaraszki". Sołżenicyn, który miał okazję pracować w jednej z nich, w utworze Krąg pierwszy opisał jeden ze "ściśle tajnych zakładów, oficjalnie określany tylko kryptonimem": „Do starej chaty na obrzeżach Moskwy, starannie ogrodzonej drutem kolczastym, przywieziono tuzin więźniów z różnych obozów [...] wtedy jeszcze więźniowie nie mieli pojęcia, jakiego dokładnie rodzaju badaniami mają zająć się w Mawrino [...]. Byli zajęci rozładowywaniem stert skrzynek, które dostarczyły tu dwa specjalne pociągi towarowe. Organizowali sobie fotele i biurka, porządkowali sprzęt”. Z początku "szaraszki" ochrzczono mianem "Specjalnych Biur Projektowych". W latach późniejszych były znane jako "Czwarty Wydział Specjalny NKWD", pracowało w nich około tysiąca naukowców. W niektórych wypadkach sam Beria śledził ich życiorysy i rozkazywał, by przywieziono ich z powrotem do Moskwy.

Funkcjonariusze NKWD dawali im się wykapać, ogolić, ostrzyc i porządnie odpocząć. Następnie wysyłano ich do tajnych laboratoriów. W

gronie najważniejszych "odkryć" Berii znalazł się konstruktor lotniczy Tupolew, który dotarł do swojej "szaraszki" z workiem. Trzymał w nim kawał chleba i kilka

kostek cukru (odmówił ich oddania, mimo iż zapewniano go, że dostanie lepsze

jedzenie). Tupolew z kolei przekazał Berii listę innych. Byli wśród nich Walentin Głuszko, czołowy sowiecki projektant silników raketowych, i Siergiej Korolow, przyszły ojciec Sputnika, pierwszego sowieckiego sztucznego satelity i na dobrą sprawę całego sowieckiego programu kosmicznego. Korolow powrócił do Łubianki po siedemnastu miesiącach na Kołymie. Stracił wiele zębów, wedle innych więźniów wyglądał na

"wygłodniałego i wycieńczonego". Tak czy inaczej, w sierpniu 1944 roku Beria przedstawił listę dwudziestu ważnych nowych technologii wojskowych, które opracowano w jego "szarazkach", wraz z elaboratem poświęconym szerokiemu zastosowaniu, jakie znalazły w przemyśle zbrojeniowym w czasie drugiej wojny światowej. Za panowania Berii w pewnym sensie polepszył się także los zwykłych zeków. Ogólnie na jakiś czas poprawiła się sytuacja z jedzeniem. Jak podkreślał w kwietniu 1938

roku Beria, obozowa norma dzienna 2 tysięcy kilokalorii, wyznaczona została dla ludzi siedzących w więzieniach, a nie dla pracujących fizycznie robotników. Ponieważ ze względu na kradzieże, oszustwa i kary za słabą pracę obniżano tę normę nawet do 70 procent, wielu więźniów głodowało. Na to Beria nie mógł pozwolić. Nie było mu bynajmniej żal więźniów, po prostu ze względu na ich wysoką śmiertelność i częstsze zachorowania NKWD nie zdołało wykonać norm produkcyjnych zakładanych na rok 1939. Beria zażądał

podniesienia norm żywieniowych do tego poziomu, by "możliwości fizyczne

obozowej siły roboczej dało się maksymalnie wykorzystać w dowolnej gałęzi

przemysłu". Mimo że podniesiono normy żywieniowe, reżim bynajmniej nie przywrócił więźniom człowieczeństwa. Wręcz przeciwnie, przemiana ludzi w jednostki pracy postąpiła o kilka kroków dalej. Więźniowie wciąż mogli zostać skazani na śmierć w obozie, ale już nie za skłonności kontrrewolucyjne. Zamiast tego osobom, które odmawiały pracy lub w sposób aktywny ją dezorganizowały, groził "ściślejszy reżim, karcery, gorsze jedzenie i warunki oraz inne środki dyscyplinarne". "Bumelanci"

mogli dostać nowy wyrok, z karą śmierci włącznie.

Lokalni prokuratorzy błyskawicznie wszczęli postępowanie w sprawie

"bumelantów". W sierpniu 1939 roku zastrzelono więźnia nie za to, że wymigiwał się od

pracy, ale dlatego, że namawiał innych, by pracowali mniej wydajnie. W

październiku trzy więźniarki, prawdopodobnie zakonnice prawosławne, oskarżono o odmowę pracy i śpiewanie pieśni kontrrewolucyjnych w obozie. Dwie zastrzelono,

trzeciej przedłużono wyrok. Lata Wielkiego Terroru pozostawiły po sobie jeszcze jeden ślad. Już nigdy potem Gułag nie dawał więźniom szansy na pełną rehabilitację. Zlikwidowano system "przedterminowych zwolnień"

za dobre sprawowanie. Stalin publicznie interweniował w funkcjonowanie systemu obozowego,

domagając się położenia kresu zwolnieniom przedterminowym. Jego głównym argumentem były straty finansowe, jakie przynosiły one obozom. W 1938 roku, zwracając się do Prezydium Rady Najwyższej, zapytywał: „Czy nie możemy wymyślić innego sposobu, by ich nagradzać? Dawać im medale lub coś w tym rodzaju?”

Działamy błędnie, zakłócając pracę obozów. Dawanie wolności tym ludziom jest być może potrzebne, ale jest błędem z punktu widzenia ekonomii całego kraju [...] dajmy wolność najlepszym ludziom, pozostawmy natomiast najgorszych”. Stosowny dekret wydano w czerwcu 1939 roku. Kilka miesięcy później na mocy kolejnego dekretu zlikwidowano "warunkowe zwolnienie przedterminowe" przysługujące inwalidom. W związku z tym wzrosła liczba więźniów chorych. Głównym źródłem motywacji dla ciężko pracujących więźniów miało być od tej pory poprawienie "zaopatrzenia i jedzenia" oraz oczywiście medale, które wydawały się Stalinowi wyśmienitym pomysłem. W 1940 roku zaczęto wręczać je nawet w Dalstroju.

Niektóre z tych inicjatyw, jako sprzeczne z literą obowiązującego podówczas

prawa, spotkały się z pewnym oporem. Likwidacji zwolnień warunkowych oraz

stosowaniu kary śmierci wobec osób oskarżonych o "dezorganizację życia obozowego" sprzeciwiali się między innymi prokurator generalny Wyszyński oraz ludowy komisarz sprawiedliwości Ryczkow. Ale Beria bez problemu wygrywał wszelkie tego typu spory, tak samo jak jego poprzednik Jagoda miał pełne poparcie Stalina. Od 1 stycznia 1940 roku NKWD przyznano prawo odebrania 130 tysięcy więźniów

"wypożyczonych" innym ministerstwom. Beria był zdeterminowany uczynić Gułag naprawdę zyskownym przedsięwzięciem. Pierwsze efekty wprowadzonych przez Berię zmian pojawiły się po niezwykle krótkim czasie. W ostatnich miesiącach przed wybuchem drugiej wojny światowej dało się zaobserwować wzrost aktywności ekonomicznej NKWD. W 1939

roku jego obroty wyniosły 4,2 miliarda rubli. W 1940 roku było to już 4,5

miliarda rubli. Wskaźniki te zaczęły rosnać jeszcze szybciej w miarę napływania do obozów kolejnych więźniów w okresie wojny. Według oficjalnych statystyk, w roku 1939 śmiertelność spadła niemal o połowę w porównaniu z rokiem poprzednim (z 5 do 3 procent, mimo rosnącej wciąż liczby więźniów). Rosła liczba obozów i były one zdecydowanie większe niż jeszcze na początku dekady. Licząc od 1 stycznia 1935 roku, w ciągu trzech lat liczba więźniów uległa niemal podwojeniu - z 950 tysięcy do 1,8

miliona, oprócz tego przesiedlono jeszcze około miliona ludzi. Obozy, w których nie było nic poza kilkoma chatami i drutem kolczastym, stały się prawdziwymi olbrzymami przemysłowymi. W 1940 roku, w Siewwostłagu, głównym obozie Dalstroju, przebywało niemal 200 tysięcy więźniów. Workutłag, obóz górniczy, który wyrósł z kopalni "Rudnik nr 1" w Uchtopieczłagu, rozrósł się z 15 tysięcy osób w 1938 roku do ponad 70 tysięcy w roku 1951. Powstawały również zupełnie nowe obozy.

Najbardziej okrutną sławą spośród obozów nowej generacji cieszył się Noriłlag, znany jako Norylsk.

Tak jak Workuta i Kołyma położony był na północ od kręgu arktycznego, na terenie potężnych, prawdopodobnie największych na świecie złóż niklu. Więźniowie nie tylko wydobywali rudę niklu, wybudowali także hutę i elektrownie. Następnie zbudowali od podstaw miasto Norylsk - zakwaterowanie dla zarządzających kopalniami i zakładami przemysłowymi oficerów NKWD. Norylsk, tak jak inne w ten sposób założone miasta, rozrastał się w błyskawicznym tempie. W 1935 roku było tu 1200 więźniów, w 1940 roku już 19500. W szczytowym okresie, w 1952 roku, przebywało w nim 68 849 łagierników. W 1937

roku NKWD założyło także w rejonie Archangielska Kargopolag, a rok później w centralnej Rosji Wiatlag i Kraslag w Kraju Krasnojarskim w północnej Syberii. Ogólnie były to obozy zajmujące się wyrębem lasów, ale oprócz tego działały w nich także cegielnie, tartaki i warsztaty stolarskie. W latach czterdziestych rozrosły się dwu- lub trzykrotnie i w każdym z nich przebywało około 30 tysięcy więźniów.

Oczywiście funkcjonowały też inne obozy. Zakładano, likwidowano i reorganizowano je tak często, że trudno podać dokładną ich liczbę w konkretnym roku. Niektóre były wyjątkowo małe, tworzone je na potrzeby konkretnych fabryk, zakładów przemysłowych lub inwestycji budowlanych. Inne z kolei miały charakter

tymczasowy, ich więźniowie zajmowali się budową dróg i linii kolejowych, a po zakończeniu prac obozy te po prostu porzucano. Aby opanować olbrzymią liczbę łagrów i poradzić sobie z ich problemami, zarząd Gułagu powołał w końcu nowe podległe struktury: Główny Zarząd Obozów Budownictwa Przemysłowego

(GUŁPS), Główny Zarząd Dróg Bitych (GUSZOSDOR), Zarząd Obozów Przemysłu Drzewnego (UŁLP) i inne. Zmieniła się jednak nie tylko skala obozów. Od końca lat trzydziestych wszystkie nowo powstałe obozy miały czysto przemysłowy charakter. Nie było już fontann i "ogrodów"

Wisłagu. Nie było też idealistycznej propagandy towarzyszącej budowie Kołymy ani więźniów specjalistów na wszystkich szczeblach życia obozowego. Olga Wasiliewa, pracująca w Gułagu pod koniec lat trzydziestych i w latach czterdziestych jako inspektor i inżynier, wspominała, że w pierwszym okresie "mniej było strażników, administratorów i robotników [...]. W latach trzydziestych więźniów przeznaczano do prac wszelkiego rodzaju, byli służącymi, fryzjerami i strażnikami". W latach czterdziestych jednak to się skończyło: "Wszystko zaczęło przybierać masową skalę [...], było coraz ciężiej [...], w miarę jak obozy się rozrastały, rygor stawał się coraz bardziej okrutny". Można powiedzieć, że pod koniec dekady skryształizowała się ostateczna forma sowieckich obozów koncentracyjnych. Do tego czasu dotarły one w każdy niemal zakątek Związku Sowieckiego, do jego wszystkich dwunastu stref czasowych i do większości republik. Od Aktiubińska do Jakucka nie było większego skupiska ludzi, które nie miałyby własnego obozu lub kolonii karnej. Więźniowie robili niemal wszystko, począwszy od zabawek, a skończywszy na samolotach. W latach czterdziestych w wielu miejscach Związku Sowieckiego trudno było załatwić codzienne sprawy, nie natrafiając po drodze na więźniów.

Co więcej, obozy się rozwinęły. Nie były już grupą zarządzanych niezależnie

przedsiębiorstw, stały się w pełni rozwiniętym "kompleksem obozowo-przemysłowym", z własnymi przepisami wewnętrznymi, obyczajami, hierarchią i systemem dystrybucji dóbr. Olbrzymim imperium Gułagu rządziła z Moskwy potężna

maszyna biurokratyczna, ze swoją odrębną kulturą. Ośrodek centralny regularnie

przesyłał rozkazy ośrodkom lokalnym, kontrolując wszystko - od generalnej strategii aż po najdrobniejsze szczegóły. Mimo iż lokalne obozy nie zawsze działały (lub nie mogły działać) zgodnie z przepisami, towarzysząca początkom Gułagu atmosfera doraźności bezpowrotnie minęła. Losy więźniów wciąż zależały od aktualnej polityki Sowietów, sytuacji ekonomicznej i przede wszystkim od sytuacji na frontach drugiej wojny światowej. Skończyła się jednak epoka procesów i eksperymentów.

System był na swoim miejscu. Na początku lat czterdziestych ustalone zostały wszystkie procedury składające się na to, co więźniowie nazywali

"maszynką do mięsa" - a więc metody aresztowania, przesłuchiwania, transportu, karmienia i pracy. Na dobrą sprawę pozostały niezmienione aż do śmierci Stalina.

CZĘŚĆ DRUGA

Życie i praca w obozach

ROZDZIAŁ 7

Aresztowanie

„Usłyszawszy o kolejnym aresztowaniu, nie pytaliśmy nigdy: "Za co go wzięli?". Ale takich jak my nie było wielu. Ogłupiali ze strachu ludzie zadawali

sobie nawzajem takie pytania dla samouspokojenia: ludzi biorą za coś, znaczy mnie nie wezmą, bo nie ma za co! Dokonywano cudów pomysłowości, wymyślając przyczyny i uzasadnienia dla każdego aresztowania: "Ona przecież rzeczywiście zajmowała się przemytem",

"On wyrabiał niesłychane rzeczy", "Sam słyszałem, jak powiedział...". I jeszcze: "Tego można było oczekiwać - on miał okropny charakter",

"Zawsze mi się zdawało, że coś z nim nie tak", "To człowiek zupełnie nam obcy...". Powstawało wrażenie, że podobnych cech wystarczy do aresztowania i zniszczenia: obcy, gadatliwy, niesympatyczny... Były to wszystko wariacje na jeden temat, znany jeszcze z siedemnastego roku:

"Nie nasz"... Efektowne wariacje wymyślała zarówno opinia publiczna, jak i organy represyjne; tak dorzucano drewno do ognia, bez którego nie ma dymu. Dlatego właśnie pytanie: "Za co go wzięli?" - było u nas zakazane.

"Za co?" - krzyczała gniewnie Anna Andrejewna, kiedy ktoś z bliskich, ulegając ogólnemu stylowi, zadawał to pytanie. - "Czas zrozumieć, że ludzi biorą za nic"...

Nadieżda Mandelsztam Wspominania

ANNA ACHMATOWA - poetka, której słowa przytacza wdowa po innym poecie -

ma rację, a równocześnie jej nie ma. Począwszy od połowy lat dwudziestych, gdy

machina sowieckiego systemu represji była w pełnym ruchu, władze nie łapały już

dłużej ludzi na ulicach i nie wtrącały ich do więzień bez podania żadnego powodu

czy wyjaśnienia: dokonywano formalnych aresztowań, przeprowadzano dochodzenie, a wyrok zapadał po procesie sądowym. Z drugiej strony

"zbrodnie", za które ludzi aresztowano, stawiano przed sądem i skazywano, były nonsensem, a procedury śledcze i sądowe absurdalne, jeśli nie surrealistyczne. Patrząc z perspektywy, jedną z największych osobliwości sowieckiego systemu łagrów wydaje się właśnie to, że w większości wypadków ich mieszkańcy trafiali tam via system prawny, nawet jeśli nie zawsze było to sądownictwo powszechne. W okupowanej przez nazistów Europie nikt nie stawiał przed sądem Żydów ani nie wymierzał im wyroków; natomiast osadzeni w łagrach sowieckich w przeważającej większości mieli za sobą śledztwo (nawet jeśli kuriozalne), proces sądowy (niechby nawet sfalszowany) i skazani byli prawomocnym wyrokiem (nawet gdy jego wydanie zajęło sędziom niecałą minutę). Dla pracujących w służbie bezpieczeństwa i administracji obozowej oraz dla nadzorców pilnujących więźniów w łagrach przekonanie, że działają w granicach zakreślonych prawem, było bezsprzecznie jednym z czynników dopingujących do pracy. Powtórzę jednak: to, że system represji był

zgodny z prawem, nie oznaczało, że stał się logiczny. Przeciwnie, w roku 1947 nie można było przewidzieć, kogo aresztują z większą pewnością niż w 1917. Możliwe stało się co prawda określenie, kogo aresztują prawdopodobnie. Podczas kolejnych fal terroru reżim zdawał się wybierać ofiary dlatego, że z takich czy innych powodów ściągały one na siebie uwagę tajnej policji - na przykład sąsiad usłyszał, że opowiadają niestosowny dowcip, albo przełożony spostrzegł, że zachowują się

"podejrzanie" - w coraz większej jednak mierze z tej przyczyny, że należały do kategorii osób, którą akurat uznano za podejrzaną.

Niektóre z takich kategorii były dość ściśle określone - inżynierowie i specjaliści pod koniec lat dwudziestych, kułacy w roku 1931, Polacy i Bałtowie na ziemiach okupowanych podczas drugiej wojny światowej -

inne natomiast pozostawały nad wyraz mgliste. Na przykład przez całe lata trzydzieste i czterdzieste za podejrzanym uważano niezmiennie

"cudzoziemców". Mam na myśli bądź obywateli państw trzecich bądź

ludzi mogących znać kogoś za granicą lub utrzymywać - rzeczywiste czy mniemane - związki z obcym państwem. Obojętne, czy mieli coś na sumieniu, groźba aresztowania wisiała nad nimi zawsze -

zwłaszcza

jeśli w taki czy inny sposób odróżniali się od reszty. "Każdy znany mi Murzyn,

który w początku lat trzydziestych przyjął obywatelstwo sowieckie, znikł

z Moskwy przed upływem siedmiu lat" - napisał później Robert Robinson, jeden z kilku czarnoskórych komunistów amerykańskich, jacy w latach trzydziestych osiedli w Moskwie. Dyplomaci nie stanowili tu wyjątku.

Alexander Dolgun, obywatel amerykański i niższy rangą urzędnik Ambasady Stanów Zjednoczonych w Moskwie, opisuje w swoich pamiętnikach, jak w roku 1946 został zdjęty z ulicy i bezpodstawnie oskarżony o szpiegostwo. Niewykluczone, że po części przynajmniej podejrzewania ściągnęła na Dolguna jego młodzieńcza duma z faktu, że potrafi skutecznie gubić "ogony", jakie wysyłała za nim tajna policja.

Umiał również przekonywać szoferów ambasady, by pożyczali mu samochody, przez co zapewne tajniacy uznali go za osobę ważniejszą, niż wskazywała jego oficjalna ranga. Tak czy inaczej, spędził w łagrach siedem lat, a do Stanów Zjednoczonych powrócił dopiero w 1971 roku.

Częstym celem byli też zagraniczni komuniści. W lutym 1937 roku Stalin złowieszczo napomknął Georgi Dymitrowowi, sekretarzowi generalnemu Międzynarodówki Komunistycznej: "Wszyscy tu w Kominternie jesteście narzędziami w rękach wroga". Z 394 członków, jakich Komitet Wykonawczy Międzynarodówki

Komunistycznej liczył w styczniu 1936 roku, do kwietnia 1938 roku pozostało tylko 171. Reszta została rozstrzelana lub zesłana do łagrów.

Byli wśród nich Niemcy, Austriacy, Jugosłowianie, Włosi, Bułgarzy, Finowie, obywatele państw bałtyckich, a także Anglicy i Francuzi.

Nieproporcjonalnie do swej liczby ucierpieli Żydzi. W ostatecznym rozrachunku Stalin wymordował więcej członków Biura Politycznego Komunistycznej Partii Niemiec sprzed 1933 roku niż Hitler - z 68

niemieckich przywódców komunistycznych, którzy po przejęciu władzy przez nazistów znaleźli schronienie w Związku Sowieckim, 41 zginęło od kuli lub w łagrach. Jeszcze gruntowniej zdziesiątkowana została Komunistyczna Partia Polski; szacuje się, że wiosną i latem 1937 roku stracono około 5 tysięcy komunistów polskich. Nie trzeba było jednak koniecznie należeć do cudzoziemskiej partii komunistycznej; obiektem represji Stalina padli również inni przyjezdni z krajów obcych. Wydaje się, że najliczniejszą ich, bo dwudziestopięcioletnią grupę tworzyli tak zwani Finowie amerykańscy. Część z nich wyemigrowała do Ameryki, inni się w niej już urodzili, a

wszyscy w okresie Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych osiedli w Związku Sowieckim. Większość była robotnikami fabrycznymi, którzy w Ameryce nie mogli znaleźć zatrudnienia.

Zachęteni przez propagandę i werbowników sowieckich, którzy objeżdżali wszystkie fińskojęzyczne społeczności północnoamerykańskie, opowiadając o wspaniałych warunkach życia i perspektywach pracy w Związku Sowieckim, tłumnie zjechali do Karelii. I niemal natychmiast zaczęli sprawiać poważne problemy miejscowym władzom. Karelia -jak się okazało - nie przypominała Stanów Zjednoczonych, a wielu przybyszy mówiło

o tym głośno. Później próbowali wyjechać. Ostatecznie, pod koniec lat trzydziestych, trafili do Gułagu. Nie mniej podejrzani byli obywatele sowieccy, mający jakieś związki z innymi państwami. Na pierwszy rzut poszły "narody diaspory" - Polacy, Niemcy i Finowie karelejscy, którzy utrzymywali kontakt z krewnymi mieszkającymi za granicą; podobnie zresztą jak Bałtowie, Grecy, Irańczycy, Koreańczycy, Afganowie, Chińczycy i Cyganie, rozproszeni po całym Związku Sowieckim. Według danych NKWD między lipcem 1937 a listopadem 1938 roku instytucja ta skazała 335 513 osób w tzw. operacjach narodowych. Powtórzą się one -

jak zobaczymy -jeszcze dwukrotnie: w czasie drugiej wojny światowej i po niej. Żeby zostać podejrzanym, niekoniecznie nawet trzeba było mówić w obcym

języku. O szpiegostwo podejrzewano wszystkich utrzymujących jakiegokolwiek

kontakty z zagranicą - filatelistów, esperantystów i każdego, kto korespondował

z mieszkającym w innym państwie krewnym lub znajomym. NKWD

aresztowało

również wszystkich obywateli sowieckich, którzy pracowali na Kolei Wschodnio-chińskiej - zbudowanej jeszcze za caratu linii kolejowej przebiegającej przez Mandżurię - i oskarżyło ich o szpiegostwo na rzecz Japonii. W

łagrach byli znani jako "harbmczycy" - od miasta Harbin, gdzie wielu z nich mieszkało. Robert Conquest opisuje aresztowanie śpiewaczki operowej, która na oficjalnym przyjęciu

zbyt długo tańczyła z ambasadorem Japonii, i weterynarza leczącego zwierzęta cudzoziemców. W końcu lat trzydziestych większość zwykłych obywateli sowieckich rozgryzła ten schemat i nie życzyła sobie żadnych kontaktów z cudzoziemcami. Karło Stajner - chorwacki komunista, który ożenił się z Rosjanką - wspomina, że jej rodacy "tylko w niezwykle rzadkich wypadkach pozwalali sobie na prywatne kontakty z obcokrajowcami [...]. Krewni żony pozostali dla mnie ludźmi całkowicie obcymi. Nikt z jej rodziny nie odważył się nas odwiedzić. Kiedy dowiedzieli się o naszych planach małżeńskich, każdy z nich Sonię przed tym ostrzegął". Jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych - kiedy byłam w Związku Sowieckim po raz pierwszy - wielu Rosjan odnosiło się do obcokrajowców nieufnie, ignorowało ich, a na ulicy starało się nie spoglądać im w oczy. A jednak nie każdego cudzoziemca zgarniała z ulicy policja i nie każdy oskarżony o powiązania zagraniczne rzeczywiście je miał. Zdarzało się również, że ludzi aresztowano z bardziej jeszcze dziwaczych przyczyn. W

rezultacie zadanie tak nie lubianego przez Annę Achmatową pytania: "Za co?" przynosi doprawdy zdumiewającą gamę odpowiedzi. Męża Nadieždy Mandelsztam aresztowano na przykład za wiersz atakujący Stalina.

„Na co dzień nie czujemy ziemi pod nogami

0 krok od nas nie słyhać, o czym rozmawiamy,

A gdy się ktoś w gadaniu za bardzo zapala -

Sza, mówimy, patrz z Kremla pada cień górala.

Paluchy jak robaki tłuste ma ten góral.

Jego słowa są celne, a ciężkie jak Ural.

W uśmiechu karalusze unosi wąsiska

I ząb mu, i czerń cholew jak słońce rozbłyska.

Cienkoszyich przywódców otacza się zgrają

Igraszką mu półludzie na służbie się stają...”.

Mimo że oficjalnie podano inne powody, Tatiana Okuniewska, jedna z najbardziej lubianych sowieckich aktorek filmowych, została -jak sama sądzi - uwięziona za odmowę pójścia do łóżka z Wiktorem Abakumowem, szefem kontrwywiadu sowieckiego w latach wojny. Żeby wykluczyć wszelkie w tej mierze wątpliwości, pokazano jej (jak twierdzi) nakaz aresztowania z jego podpisem. Aresztowani w 1942 roku czterej znani piłkarze, bracia Starostinowie, byli do końca życia przekonani, że stało się tak dlatego, że ich drużyna Spartak miała nieszczęście pokonać ulubiony zespół Berii - Dynamo. Zresztą powód nie musiał być nawet niezwykły.

Ludmiłę Chaczatrian aresztowano za poślubienie jugosłowiańskiego żołnierza. Razgon przypomina sobie historię pewnego chłopca, Sieriogina, który poinformowany przez kogoś o zabójstwie Kirowa, odpowiedział

szczerze: "A gówno mnie to obchodzi". O Kirowie nigdy dotąd nie słyszał

i był przekonany, że mowa o kimś zabitym w bójce w sąsiedniej wiosce.

Za pomyłkę zapłacił dziesięcioletnim wyrokiem. W roku 1939 wyrok łagru dostawało się za opowiedzenie dowcipu o Stalinie albo takiego dowcipu wysłuchanie, za spóźnienie do pracy, za to, że zastraszonego przyjaciela lub zazdrosnego sąsiada nazwał kogoś uczestnikiem nieistniejącego spisku, za to, że się miało cztery krowy we wsi, gdzie reszta miała po jednej, za kradzież pary butów, za to, że było się kuzynką żony Stalina, za przywłaszczenie ołówka i paru kartek papieru kancelaryjnego z biura dla ucznia, który nie miał ani jednego, ani drugiego. Każdy tego rodzaju postępek mógł - we właściwych okolicznościach - zaprowadzić człowieka do obozu. Prawo wydane w roku 1940

pozwalalo aresztowac krewnych osoby, ktora probowala nielegalnie przekroczyc granice sowiecka, bez względu na to, czy

oni sami probowali tez takiej ucieczki . Jak sie przekonamy, wydane w latach

wojny przepisy o dyscyplinie pracy i zakaz zmiany jej miejsca zapełniły sowieckie łagry dodatkowymi "kryminalistami". Metody dokonywania aresztowań były równie liczne i zróżnicowane, jak oficjalne ich przyczyny. Niektórzy z uwięzionych mieli aż nadto sygnałów ostrzegawczych. Przez kilka tygodni poprzedzających aresztowanie Alexandra Weissberga w połowie lat trzydziestych funkcjonariusz NKWD

ustawicznie wzywał go na przesłuchania, pytając za każdym razem, w jaki sposób został "szpiegiem": "Kto was zwerbował? [...] Kogo zwerbowaliście? [...] Opowiedzcie nam wszystko o kontrrewolucyjnej organizacji, jaką stworzyliście na naszym terenie [...]. On stawiał wciąż te same pytania. Ja powtarzałem wciąż te same odpowiedzi". W tym samym mniej więcej czasie Galinę Sieriebriakową - autorkę powieści o życiu młodego Marksa i żonę wysokiego funkcjonariusza partyjnego - również co wieczór "zapraszano" na Łubiankę, gdzie kazano jej czekać do drugiej, trzeciej nad ranem, przesłuchiowano, zwalniano o piątej rano i odsyłano do domu. Agenci otoczyli dom, w którym mieszkała, a gdy wychodziła na miasto, jej śladem jechał czarny samochód. Sieriebriakową była całkowicie przekonana o zbliżającym się nieuchronnie aresztowaniu; próbowała nawet popełnić samobójstwo. Ostatecznie jednak wytrzymała kilka miesięcy udręki, zanim w końcu ją aresztowano. Podczas kolejnych fal masowych aresztowań - kułaków w roku 1929 i 1930, działaczy partyjnych w 1937 i 1938 oraz byłych więźniów w roku 1948 - wielu ludzi zdawało sobie sprawę, że zbliża się ich kolej, ponieważ uwięziono wszystkich naokoło. "Kaźdej nocy z hotelu znikali następni [...], rano czerwone pieczęcie pojawiały się na drzwiach kilku kolejnych pokoiów" -

wspomina Elinor Lipper, komunistka holenderska, która przyjechała do Moskwy w latach trzydziestych, a w roku 1937 mieszkała w przeznaczonym specjalnie dla działaczy Kominternu hotelu "Lux". W

okresie największego nasilenia terroru niektórzy przyjmowali aresztowanie

z ulgą. Nikołaj Starostin, jeden ze wspomnianych pechowych braci piłkarzy, był

przez kilka tygodni śledzony przez agentów i stał się tak rozdrażniony, że w pewnym momencie podszedł do jednego z nich i zażądał wyjaśnień:

"Jeśli czegoś ode mnie chcecie, wezwijcie mnie do urzędu". W

konsekwencji, kiedy go wreszcie

aresztowano, poczuł nie "zaskoczenie i strach", lecz "ciekawość". Innych jednak wciąż jeszcze brano w chwili i w sposób najzupełniej dla nich nieoczekiwany. Mieszkający we Lwowie polski pisarz Aleksander Wat, którego wraz z innymi literatami zaproszono na wieczór do restauracji, zapytał inicjatora

spotkania o okazję, z jakiej wydaje to przyjęcie. "Wszystko jedno. Nie powiem" -

odpowiedział. W trakcie hucznej popijawy ktoś zainscenizował bójkę, knajpę otoczyła milicja i Wata na miejscu aresztowano. Urzędnika ambasady Stanów Zjednoczonych, Alexandra Dolguna, pozdrowił po imieniu na ulicy jakiś człowiek, który okazał się agentem tajnej policji.

"Byłem całkowicie zdezorientowany -

wspomina Dolgun. - Myślałem, że to jakiś wariat". W momencie aresztowania

Okuniewska, która leżała w łóżku z ciężką grypą, zaczęła się domagać, aby policja przysłała po nią nazajutrz. Pokazano jej nakaz aresztowania (ten z podpisem Abakumowa) i zwleczono po schodach na dół.

Sołżenicyn opisuje - apokryficzną zapewne - historię pewnej kobiety, którą na Łubiankę odwiózł prosto ze spektaklu w Teatrze Wielkim jej narzeczony - z zawodu śledczy. Pamiętnikarka Nina Hagen-Thorn wspomina relację pewnej kobiety, którą aresztowano w chwili, gdy zdejmowała pranie ze sznurka na podwórku w Leningradzie. Ubrana była w szlafrok, a w mieszkaniu zostawiła dziecko, któremu powiedziała, że za kilka minut wraca. Błagała, żeby pozwolono jej je zabrać, ale na próżno.

Wydaje się, że władze celowo i świadomie zmieniały taktykę aresztowań, zabierając niektórych ludzi z domu, innych z pracy, niektórych z ulicy, a jeszcze innych z pociągu. Przemawia za tym raport Abakumowa przygotowany dla Stalina 17 lipca 1947 roku, w którym pada stwierdzenie, że policja zazwyczaj "zaskakuje" aresztowanych, by uniemożliwić im próbę oporu, ucieczki oraz ostrzeżenia innych uczestników kontrrewolucyjnego "spisku". W niektórych sytuacjach, czytamy dalej w memorandum, "dokonuje się tajnego aresztowania na ulicy". Najpopularniejszą jednak metodą była wizyta w domu podejrzanego dokonana w środku nocy. W okresie Wielkiej Czystki panował powszechny strach przed "pukaniem do drzwi" o północy. Stary dowcip sowiecki mówi o potwornym przerażeniu, w jakie wpadli Iwan i Masza, kiedy ktoś zapukał w nocy do drzwi - i ich uldze, kiedy przekonali się, że to tylko sąsiad, który przyszedł powiedzieć, że dom się pali.

"Złodzieje, kurwy i NKWD pracują głównie nocą" - stwierdza inne porzekadło sowieckie. Nocnemu aresztowaniu towarzyszyła zazwyczaj rewizja, chociaż sam sposób przeszukania również z czasem się zmienił.

Osipa Mandelsztama aresztowano dwukrotnie - w 1934 i ponownie w 1938 roku. Tak to wspomina żona poety, Nadieżda: „Cała różnica między tymi dwoma okresami [polegała na tym, że] w 38 nikt niczego nie szukał i nie tracił czasu na przeglądanie papierów. Agenci nie wiedzieli nawet, czym się zajmuje człowiek, którego przyszli aresztować. Niedbale przetrząsnęli materace, wyrzucili na podłogę zawartość walizki, zgarnęli do worka papiery, pokręcili się i znikli, zabierając ze sobą M.

[Mandelsztama]. W 38 cała ta operacja trwała ze dwadzieścia minut; w 34

- całą noc, aż do rana”.

Podczas poprzedniego najścia tajna policja, która doskonale wiedziała, co chce

znaleźć, przeglądała starannie wszystkie papiery Mandelsztama, odkładając na bok stare rękopisy i szukając nowych wierszy. Za pierwszym razem dbano o to, by w rewizji uczestniczyli cywilni "świadkowie", a w tym konkretnym wypadku również "przyjaciel" - pozostający na usługach policji, znany Madelsztamom krytyk literacki, któremu zapewne kazano przyjść do nich po to, by upewnić się, że nie złączą palić rękopisów na pierwszy odgłos pukania do drzwi. Później nikt nie dbał o takie szczegóły. Masowe aresztowania członków poszczególnych narodów i narodowości, zwłaszcza na obszarach wschodnich ziem polskich i państw bałtyckich - terytoriów zajętych przez wojska sowieckie między rokiem 1939 a 1940 - miały zazwyczaj charakter bardziej nawet jeszcze przypadkowy. W trakcie takich aresztowań we Włodzimierzu Wołyńskim do roli "cywilnego świadka" zmuszony został żydowski kilkunastolatek, Janusz Bardach. W nocy 5 grudnia 1939 roku towarzyszył grupie pijanych enkawudzistów, obchodzących dom po domu i wyłapujących ludzi, którzy mieli zostać aresztowani bądź deportowani.

Niekiedy nachodzili zamożniejszych i bardziej ustosunkowanych obywateli, których nazwiska mieli na liście; w innych wypadkach po prostu wyłapywali "uchodźców" - w przeważającej mierze Żydów, którzy zbiegli z ziem zajętych przez Niemcy do znajdującej się pod okupacją sowiecką wschodniej części Polski - nie zadając sobie nawet trudu zapisywania ich personaliów. W jednym z domów grupa uchodźców próbowała się bronić, tłumacząc, że wszyscy są członkami żydowskiej partii socjalistycznej - Bundu. Usłyszawszy jednak, że przybyli tu z położonego po drugiej stronie granicy Lublina, dowódca patrolu NKWD, Giennadij, wrzasnął:

"Parszywi uchodźcy! Szpiedzy nazistowscy!". Syn uderzył w płacz, co tylko bardziej go rozjuszyło. "Kaźcie się mu zamknąć! A może wolicie, żebym to ja się nimi zajął?".

Matka przytuliła płaczącego do siebie, ale nie przyniosło to skutku.

Giennadij chwycił małego chłopca za rękę, oderwał go od matki i rzucił nim o ziemię. "Zamknij się, powiedziałem!". Matka zaczęła szlochać; ojciec próbował coś powiedzieć, ale zdołał tylko załkać. Giennadij uniósł

chłopczyka, spojrział mu w twarz i cisnął nim z całej siły o ścianę. Później enkawudziści zdemolowali dom przyjaciół Bardacha z lat dziecińczych. Z

boku znajdował się gabinet doktora Schechtera; na samym środku stało jego ciemne mahoniowe biurko. Giennadij podszedł do niego, oparł ręce o wypolerowany blat mebla i w przypiływie naglej wściekłości uderzył w nie łomem. "Kapitalistyczna świnią! Jebane pasożyty! Musimy znaleźć tych burżuazyjnych wyzyskiwaczy!". Walił w biurko raz za razem coraz mocniej, dziurawiąc blat w kilku miejscach. Nie mogąc znaleźć Schechterów, patrol zgwałcił i zamordował żonę ogrodnika. Wykonujący tego rodzaju operacje często nie byli enkawudzistami, lecz żołnierzami wojsk konwojowych, stanowiących załogi pociągów etapowych, gorzej wyszkolonymi niż agenci tajnej policji dokonujący "normalnych"

aresztowań "normalnych" przestępców. Wydaje się, że oficjalnie nie nakazywano używania przemocy, skoro jednak byli to żołnierze sowieccy aresztujący "kapitalistów" na bogatszym "Zachodzie", na pijaństwo, maruderstwo, a nawet przypadki gwałtów patrzono przez palce, podobnie jak później w trakcie przemarszu Armii Czerwonej przez Polskę i Niemcy.

Mimo to niektóre zasady ich postępowania były narzucane odgórnie. Na przykład instrukcja moskiewskiego Głównego Zarządu Wojsk Konwojowych z listopada 1940 roku zaleca dokonującym aresztowań, aby kazali zatrzymanym wziąć ze sobą zapas ciepłej odzieży i przedmiotów użytku osobistego na trzy lata, ponieważ

Związek Sowiecki przeżywa obecnie braki w dostawach tego rodzaju towarów, miano zapewne nadzieję, że aresztowani będą sprzedawać swój dobytek.

Wcześniej żołnierze dostawali zazwyczaj rozkaz, by nie udzielać zatrzymanym żadnych informacji na temat, dokąd i na jak długo jadą. Ogólnie przyjęta formuła brzmiała "Nie ma powodu do obaw. Po co brać ze sobą cokolwiek?"

Zabieramy was tylko na krótką pogawędkę". Niekiedy informowano deportowanych, że zostaną jedynie przewiezieni do innego, bardziej odległego od granicy obwodu, "ponieważ grozi im "niebezpieczeństwo ze strony miejscowej ludności zawinione przez rząd polski" . Miało to uspokoić aresztowanych i zapobiec próbom czynnego oporu bądź

ucieczki. Rezultatem było pozbawienie ludzi elementarnych środków pozwalających na przetrwanie w ostrym, najczęściej obcym dla nich klimacie. Jeśli łatwo jest wybaczyć nie mającym dotąd żadnego doświadczenia w realiach sowieckich chłopom polskim, że dawali wiarę tego rodzaju kłamstwom, to zaskakujące wydaje się, że identyczna formuła okazywała się skuteczna wobec inteligencji i środowiska aparaczyków Moskwy i Leningradu, przekonanych niezachwianie -jak to często bywało - o własnej, absolutnej niewinności. Jewgienię Ginzburg -

podówczas funkcjonariuszkę partyjną z Kazania - poinformowano przy aresztowaniu, że wychodzi z domu na "czterdzieści minut. No może godzinę...". W rezultacie straciła możliwość pożegnania się z dziećmi.

Inna aresztowana działaczka partyjna, Jelena Sidorkina, poszła do więzienia, "gawędząc" po drodze z

oficerem, który dokonał jej aresztowania, święcie przekonana, że wkrótce wróci

do domu. Sofię Aleksandrownę, była żoną czekisty Gleba Bokija, enkawudziści, którzy po nią przyszli, przekonali, że nie ma sensu wkładać płaszcza ("wieczór jest ciepły, a najwyżej za godzinę będziemy z powrotem"), co skłoniło jej zięcia, pisarza Lwa Razgona, do takiej oto refleksji nad niezrozumiałym okrucieństwem systemu: "Jaki jest sens posyłać kobietę w średnim wieku i nie najlepszego zdrowia do więzienia bez skromnego choćby zapasu bielizny i środków toaletowych, do których miała prawo zawsze - od czasu faraonów". Przynajmniej żona aktora Gieorgija Żenowa znalazła dość rozsądku, by spakować trochę zapasowej odzieży, a gdy przekonywano ją, że niedługo będzie z powrotem w domu, odparła: "Nikt, kto wpadnie w wasze ręce, nie wraca szybko". Niewiele się myliła; w większości wypadków ci, za którymi zamknęła się ciężka żelazna brama więzienia, ujrzeli swój dom dopiero po wielu latach. O ile sowieckie metody aresztowań sprawiają momentami wrażenie niemal zupełnie nieprzewidywalnych, o tyle zrytualizowana sekwencja czynności następujących po samym aresztowaniu była - aż po lata czterdzieste - w zasadzie niezmienna. Bez względu na to, jak zatrzymany dotarł do bramy więziennej, od chwili gdy już ją przekroczył, mógł niemal z całą pewnością przewidzieć dalszy bieg wypadków. Rejestracji, sfotografowania i pobrania odcisków palców uwięzionego dokonywano z reguły na długo przed przedstawieniem mu przyczyny aresztowania i poinformowaniem, co go czeka dalej. Pierwsze kilka godzin, a niekiedy nawet parę dni, aresztowany nie spotykał nikogo poza strażnikami więziennymi najniższego szczebla, całkowicie nieczułymi na jego los, nie mającymi pojęcia o naturze jego rzekomych przestępstw i kwitującymi wszelkie jego pytania obojętnym wzruszeniem ramion.

Wielu byłych więźniów uważa, że scenariusz pierwszych kilku godzin pobytu

w więzieniu zaplanowano celowo, tak by były one dla osadzonego szokiem, odbierającym mu zdolność spójnego i logicznego myślenia.

Aresztowana jako córka

"wroga ludu" Inna Szychiejewa-Gajster uważa, że to właśnie stało się z nią już po pierwszych kilku godzinach pobytu w centralnym więzieniu moskiewskim na Łubiance. „Tu, na Łubiance, przestajesz być osobą, a wszyscy wokół ciebie nie są ludźmi. Prowadzą cię korytarzem, fotografują cię, rozbierają i rewidują mechanicznie, jak automaty. Wszystko odbywa się całkowicie bezosobowo. Szukasz ludzkiego wzroku - już nawet nie ludzkiego słowa, tylko spojrzenia i nigdzie go nie znajdujesz. Stoisz oszołomiona przed fotografem, próbujesz jakoś uporządkować ubranie -

pokazują ci palcem, gdzie masz usiąść, i słyszysz całkowicie beznamiętny głos "en face", "profil". Oni nie patrzą na ciebie jak na istotę ludzką! Stałaś się przedmiotem, rzeczą”.

Jeżeli zatrzymany dostał się do któregoś z głównych więzień miejskich (a nie

bezpośrednio do pociągu, jak przeznaczeni do deportacji), czekała go drobiazgowo, prowadzona w kilku etapach rewizja osobista. Instrukcja dla funkcjonariuszy więziennych z 1937 roku podkreślała,

że w żadnej mierze nie wolno im zapomnieć, iż "wróg nie zaprzestaje walki po aresztowaniu"

i może popełnić samobójstwo, by zataić szczegóły swej przestępczej działalności. W konsekwencji aresztantów pozbawiano guzików, pasków, sprzączek, sznurowadeł, podwiązek, elastycznej bielizny i innych przedmiotów mogących potencjalnie posłużyć jako samobójcze narzędzie.

Wielu czuło się upokorzonych tym rozporządzeniem. Nadzieździe Joffe odebrano pasek, podwiązki, sznurowadła i szpilki do włosów. „Pamiętam, że zaszokował mnie poniżający charakter i absurdalność tego wszystkiego. Co można zrobić szpilką do włosów? Nawet gdyby komuś wpadł do głowy bezsensowny pomysł powieszenia się na sznurowadłach, to w jaki sposób mógłby tego dokonać? Oni po prostu chcieli nas upokorzyć, postawić w poniżającej sytuacji, gdy spada z ciebie spódnica, lecą w dół pończochy i nie masz jak uporządkować włosów”. Jeszcze gorszy był następny etap - rewizja osobista. W powieści Krąg pierwszy Aleksander Sołżenicyn opisuje aresztowanie sowieckiego dyplomaty.

Kilka godzin po przewiezieniu na Łubiankę strażnik sprawdza dokładnie każdy otwór jego ciała: „Jak przy kupnie konia wraził Innocentemu nieczyste palce do ust, zajrzał za jeden policzek, potem za drugi, następnie odciągnął mu dolne powieki, a gdy przekonał się, że pod językiem, w workach policzkowych i pod powiekami Innocenty niczego nie ukrył, twardym ruchem podbił mu głowę tak, żeby światło zajrzało do nozdrzy, potem obejrzał mu uszy, ciągnąc za małżowiny, kazał rozczepiać palce, i sprawdzał, że nic nie ma

między nimi, wreszcie rozkazał pomachać rękoma i zobaczył, że pod pachami też nic nie ma. Wówczas tym samym mechanicznym, nie znoszącym sprzeciwu głosem zakomenderował:

- Weźcie do ręki członek, ściągnijcie napletek. Jeszcze bardziej. Tak, wystarczy. Podnieście członek na ukos w prawo, na ukos w lewo. Dosyć, opuście go. Stanąć do mnie tyłem. Rozstawić nogi. Szerzej. Pochylić się do podłogi. Szerzej nogi! Rozchylcie pośladki rękoma. Tak, dobrze. Teraz przysiad. Szybko! Jeszcze raz!

Myśląc poprzednio o aresztowaniu, Innocenty wyobrażał sobie, że czeka go zapamiętała walka duchowa z państwowym Lewiatanem. Był

wewnętrznie spięty, gotowy do jakiejś podniosłej walki o sens własnego losu i o własne przekonania. Ale wcale sobie nie wyobrażał, że wszystko to będzie takie tępe, takie proste, takie wykluczające wszelki sprzeciw.

Ludzie, których spotkał tu, na Łubiance, niscy, ograniczeni funkcjonariusze - okazywali zupełną obojętność wobec jego osobowości i postępuku”. Dla kobiet tego rodzaju przeszukanie było wstrząsem jeszcze dotkliwszym. Jedna z nich pamięta, że dokonujący rewizji strażnik "zabrał

biustonosze, sprzączki, pasy do pończoch i inne części garderoby o podstawowym znaczeniu dla kobiety. Potem nastąpiło krótkie, ale odrażające badanie ginekologiczne. Zniosłam to w milczeniu, mając jednak świadomość, że pozbawiono mnie godności ludzkiej". Podczas dwunastomiesięcznego pobytu w centralnym więzieniu na Aleksandriowce w 1941 roku pamiętnikarkę Tamarę Milutinę rewidowano ustawicznie.

Kobiety z jej celi wywołymano - po pięć - na nieogrzewaną klatkę schodową, kazano im się rozbierać do naga, kłaść ubranie na podłodze i podnosić ręce. "Wkładali nam ręce we włosy, w uszy, pod język i między nogi", zarówno w pozycji stojącej, jak i siedzącej. Po pierwszej takiej rewizji - pisze Milutina - "wiele kobiet płakało, wiele wpadło w histerię..."

Po rewizji osobistej niektórych więźniów izolowano. "Miażdżące działanie pierwszych godzin uwięzienia opiera się na pomyśle oddzielenia więźnia od wszystkich innych aresztantów, aby nikt nie dodał mu otuchy, żeby tylko na niego parł cały ten system, stanowiący z kolei oparcie dla rozgałęzionego, olbrzymiego apaiatu". W celi dyplomaty Jewgienija Gniedina był jedynie mały przytwierdzony do podłogi stół oraz dwa, również przymocowane do podłogi, krzesła.

Składane łóżko, na którym więźniowie spali w nocy, przyśrubowane było do ściany. Wszystko - w tym ściany, krzesła, łóżko i sufit - pomalowane było na jasnoniebiesko. "Stwarzało to wrażenie, że znajdujesz się w jakiejś osobliwej kajucie okrętowej" - pisze w swoich wspomnieniach Gniedin. Dość powszechne było zamykanie więźnia na pierwszych kilka godzin, a nawet kilka dni po aresztowaniu - zdarzyło się to na przykład Dolgunowi - w boksie, czyli celi "o wymiarach mniej więcej metr na dwa i pół metra, w pustym pudle z pryczą". Chirurg, Izaak Vogelfanger, trafił

do celi z otwartym w środku zimy oknem. Niektórych - tak jak Lubow Bierszadską, która później współkierowała strajkiem więźniów w Workucie - izolowano przez cały okres śledztwa. Bierszadska spędziła w pojedynce 9 miesięcy i -jak wspomina - z utęsknieniem oczekiwała przesłuchania, żeby po prostu móc do kogoś otworzyć usta. Mimo wszystko zatłoczona cela ogólna mogła być dla nowicjusza czymś znacznie bardziej przerażającym niż pojedynka. Opis pierwszej celi Ołgi Adamowej-Sliozberg budzi skojarzenia ze scenami z obrazów Hieronima Boscha: „Cela była ogromna. Ze sklepionych łukowato ścian kapała woda.

Po każdej stronie - z wyjątkiem wąskiego przejścia pośrodku - ciągnęły się rzędy wspólnych nar zatłoczonych ciałami. Na rozwieszonych nad głową sznurkach suszyły się wszelkiego rodzaju szmaty. Powietrze było gęste od wstrętnego dymu taniej machorki; cele wypełniały wrzaski, płacz i odgłosy kłótni". Wrażenie doznanego szoku próbują opisać również inni pamiętnikarze: "Był to przerażający widok; długowłosi, brodaci mężczyźni, smród potu i nigdzie nawet tyle miejsca, by usiąść i odpocząć". Aino Kuusinen, żona jednego z przywódców Kominternu -

sądzi, że pierwszej nocy w więzieniu świadomie umieszczono ją w miejscu, gdzie mogła słyszeć krzyki przesłuchiwanego więźniów: „Nawet dziś, po trzydziestu latach, trudno mi opisywać okropność tej pierwszej nocy w Lefortowie. W swej celi mogłam słyszeć każdy hałas z zewnątrz.

Tuż obok, jak się później dowiedziałam, w sąsiednim budynku był

"oddział przesłuchań", czyli izba tortur. Przez całą noc słyszałam nieludzkie wycia i powtarzające się odgłosy bicia. Przerazone i maltretowane zwierzę niezdolne jest wydawać takich straszliwych

wrzasków, jakie wydobywały z siebie ofiary przesłuchań, godzinami dręczone groźbami, biciem

i przekleństwami”. Gdziekolwiek jednak przeżyłby swą pierwszą noc aresztowany - w gmachu starego więzienia carskiego, areszcie dworcowym czy przekształconym w więzienie klasztorze - stało przed nim niecierpiące zwłoki zadanie: otrząsnąć się z szoku, przystosować do specyficznych norm życia więziennego i przebrnąć przez śledztwo. Od tego, jak szybko zdoła się z tym uporać, zależało, w jakim stanie opuści więzienie i - w konsekwencji - jak będzie sobie radził w łagrze.

Śledztwo jest chyba najlepiej znanym ludziom Zachodu etapem, przez który wiodła droga aresztowanego do Gułagu. Opisy przesłuchań znaleźć można nie tylko

w opracowaniach historycznych, mówią o nich również utwory literackie, w rodzaju klasycznej już dziś Ciemności w południe Arthura Koestlera, filmy i inne dzieła kultury, wysokiego i niższego lotu. Niechlubną sławę zyskały sobie przesłuchania prowadzone przez śledczych gestapo i inkwizytorów hiszpańskich. Stosowane przez obie te instytucje systemy i metody przesłuchań stały się pojęciami kolokwialnymi. "Mamy swoje metody, by zmusić cię do mówienia" - to zdanie, które usłyszeć można nawet z ust dzieci bawiących się w wojnę.

Oczywiście aresztowanych przesłuchuje się również w demokratycznych państwach prawa - czasami zgodnie z literą tegoż prawa, czasami nie.

Presja psychiczna, a nawet tortury to w żadnym razie nie wyłączny monopol Związku Sowieckiego. Metoda: "dobry glina, zły glina" - miły, grzeczny funkcjonariusz zadający

uprzejme pytania, którego zmienia nagle krwiożerczy inkwizytor, to nie tylko powszechnie w wielu językach używana przenośnia, ale zalecana do niedawna

w amerykańskich podręcznikach policyjnych taktyka przesłuchiwania podejrzanych. Aresztowanych poddawano w śledztwie presji psychicznej w wielu, jeśli nie

w większości, państw świata, przynajmniej w jakimś okresie ich dziejów.

Nic innego jak właśnie dowody jej stosowania spowodowały, że Sąd Najwyższy Stanów

Zjednoczonych orzekł w roku 1966, iż podejrzany o przestępstwo natury kryminalnej musi być, między innymi, poinformowany o przysługującym mu prawie do

odmowy odpowiedzi na pytania i prawie do kontaktu z adwokatem. Mimo to "śledztwa" prowadzone przez tajną policję sowiecką to zjawisko bezprecedensowe, nawet jeśli nie ze względu na stosowane w nich metody, to z racji ich masowego charakteru. W jednej "sprawie"

występowały z reguły setki oskarżonych aresztowanych we wszystkich zakątkach Związku Sowieckiego. Typowy dla tych czasów jest raport Orenburskiego Obwodowego Zarządu NKWD o środkach operacyjnych użytych do likwidacji podziemnych grup trockistowskich i bucharynowskich oraz innych ugrupowań kontrrewolucyjnych w okresie od 1 kwietnia do 18 września 1937 roku. Wynika z niego, że orenburskie NKWD aresztowało: 420 członków konspiracji "trockistowskiej",

"prawicowców" a także ponad 2 tysiące członków "prawicowo-wojskowo-japońskiej organizacji kozackiej, ponad 1500 byłych oficerów i pracowników carskiej służby cywilnie wydalonych z Leningradu w 1935

roku, około 250 osób oskarżonych w sprawie przeciwko "szpiegom polskim", 95 "harbińców" - którzy pracowali na Kolei Wschodniochomskiej i zostali uznani za szpiegów japońskich - 3290

byłych kułaków oraz 1399 tzw. elementów kryminalnych. Łącznie więc orenburskie NKWD aresztowało ponad 7500 osób w ciągu niewielu, miesięcy co z braku czasu nie pozwalało na dokładną analizę dowodów.

Nie miało to większego znaczenia, albowiem śledztwo w sprawie każdego z trzech spisków kontrrewolucyjnych prowadzone było w Moskwie.

Miejscowe NKWD wypełniało tylko swoje zadanie, polegające na wypełnieniu narzuconych mu ogólnie liczbowych norm aresztowań.

Wielka liczba aresztowań wymuszała zastosowania procedur specjalnych co zresztą niekoniecznie musiało oznaczać wzrost brutalności i okrucieństwa śledczych. Przeciwnie, w niektórych wypadkach znaczna liczba uwięzionych oznaczała ograniczenie przez NKWD śledztwa do absolutnego minimum. Oskarżonego pospiesznie przesłuchiowano i równie szybko skazywano - czasami po przeprowadzonej w niewiarygodnym tempie rozprawie sądowej. Aleksandr Gorbatow przypomina sobie, że jego rozprawa trwała "cztery może minuty" - potwierdzono jego dane osobowe, zadano jedno pytanie: "Dlaczego nie przyznaliście się w śledztwie do swoich przestępstw?", po czym dostał wyrok piętnastu lat.

Inni w ogóle nie stawali przed sądem - skazywano ich zaocznie; wyroki wydawało tak zwane Osoboje Sowieszczanie (Komisja Specjalna) lub

"trójki" złożone z trzech funkcjonariuszy, nie zaś sąd. Tak wyglądało to w wypadku Thomasa Sgovio, w którego sprawie śledztwo miało charakter skrajnie rutynowy. Sgovio urodzony w Buffalo w stanie Nowy Jork, syn także urodzonego już w Stanach

Zjednoczonych Włocha - komunisty przymusowo deportowanego do Związku Sowieckiego za nielegalną działalność polityczną - sam przyjechał do ZSRS w 1935 roku jako emigrant polityczny. Trzyletni pobyt w Moskwie rozwiązał wszelkie iluzje

i Sgovio zdecydował się wystąpić o przywrócenie mu paszportu amerykańskiego

(zrzekł się go, przekraczając granicę sowiecką), aby powrócić do ojczyzny. Został aresztowany 12 marca 1938 roku, w momencie gdy opuszczał gmach ambasady

amerykańskiej. Protokół śledztwa w jego sprawie (po wielu latach Sgovio zrobił fotokopię w archiwum moskiewskim i przekazał Instytutowi Hoovera) jest lakoniczny. Materiał dowodowy w sprawie składa się z listy przedmiotów znalezionych przy nim podczas pierwszej rewizji osobistej,

między innymi: „legitymacji związkowej, notesu z adresami i numerami telefonicznymi, karty bibliotecznej, kartki papieru ("z tekstem w języku obcym"), siedmiu zdjęć, scyzoryka oraz koperty ofrankowanej zagranicznymi znaczkami pocztowymi”. Dalej następują oświadczenia: kapitana BP Sorokina, potwierdzającego, że 12 marca 1938 roku oskarżony wszedł do gmachu Ambasady Stanów Zjednoczonych, oraz świadka, potwierdzającego, że o godzinie 1:15 oskarżony opuścił

budynek. W aktach znajduje się również protokół dochodzenia wstępnego oraz protokoły dwóch krótkich przesłuchań; każda ze stron protokołów jest podpisana przez Sgovia i śledczego. Wstępne oświadczenie Sgovia brzmi jak następuje: "Chciałem odzyskać obywatelstwo amerykańskie.

Trzy miesiące temu udałem się do Ambasady Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy i złożyłem tam wniosek o przywrócenie mi obywatelstwa.

Dzisiaj wróciłem [...] i recepcjonista poinformował mnie, że zajmujący się moją sprawą urzędnik amerykański wyszedł na lunch i powiedział, bym pojawił się ponownie za godzinę lub dwie". Przez większość kolejnych przesłuchań kazano Sgoviovi wielokrotnie powtarzać szczegóły wizyty w ambasadzie. Tylko jeden raz powiedziano mu: "Opowiedz nam wszystko o swojej działalności szpiegowskiej". Kiedy odparł: "Wiecie, że nie jestem szpiegiem", wydaje się, że nie naciskano nań więcej, aczkolwiek śledczy bawił się gumowym szlauchem z rodzaju tych, jakich zwykle używa się do bicia więźniów, w sposób sugerujący pogroźkę. NKWD nie było najwyraźniej specjalnie zainteresowane całą sprawą, wszystko jednak wskazuje, że nie miało żadnych wątpliwości co do ostatecznego jej rezultatu. Kilka lat później Sgovio zażądał ponownego rozpatrzenia swojej sprawy, czego urząd prokuratorski obowiązkowo dokonał, podsumowując przedstawione powyżej fakty w sposób następujący: "Sgovio nie zaprzecza, że złożył podanie w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych. W

związku z tym uważamy, że nie ma podstaw do rewizji sprawy Sgovia".

Sgovio został uznany za winnego na podstawie przyznania się do odwiedzin w ambasadzie - oraz chęci wyjazdu ze Związku Sowieckiego -

otrzymał od OSO wyrok pięciu lat pracy przymusowej, jako "element społecznie niebezpieczny". Jego sprawę potraktowano rutynowo. Wobec nawału aresztowań śledczy wykonali po prostu absolutne minimum tego, czego od nich wymagano. Skądinąd innych skazywano na podstawie jeszcze mniej rozbudowanego materiału dowodowego i bardziej pobieżnych dochodzeń, a ponieważ za dowód winy uważano już sam fakt bycia podejrzanym, więźniów rzadko zwalniano przed odbyciem chociaż części kary. Leonid Finkelstein - rosyjski Żyd aresztowany pod koniec lat czterdziestych - odnosi wrażenie, że chociaż nikt nie był zdolny do sformułowania względnie choćby spójnego oskarżenia w jego sprawie, otrzymał krótki wyrok łagru, ponieważ chciano udowodnić, że organa dokonujące aresztowań nigdy się nie mylą. Inna była więźniarka -

Durasowa - twierdzi wręcz, że jeden z jej śledczych miał powiedzieć:

"Nigdy nie aresztujemy niewinnych. Ale nawet jeśli nie byłaś winna, nie możemy cię zwolnić, bo ludzie mówiliby wtedy, że zgarniamy niewinnych". Z drugiej strony, jeśli NKWD było kimś bardziej zainteresowane - było tak, jak się wydaje, zwłaszcza wówczas, gdy zainteresowany był tym kimś sam

Stalin - stosunek śledczego do osoby oskarżonej zmieniał się z obojętnego na wrogi. W pewnych okolicznościach żądano od funkcjonariuszy fabrykowania dowodów winy na masową skalę. Tak na przykład było w roku 1937 podczas śledztwa w sprawie - według słów Jeżowa - "najpotężniejszej, a prawdopodobnie i najważniejszej dywersyjno-szpiegowskiej sieci polskiego wywiadu w ZSRS". O ile sposób, w jaki przesłuchiwano Sgovia, jest przykładem skrajnej obojętności, o tyle zakrojona na masową skalę operacja przeciwko rzekomej polskiej siatce szpiegowskiej ilustruje drugą skrajność - podejrzanego przesłuchuje się tylko i wyłącznie po to, by wymusić na nim przyznanie się do winy. Operacja rozpoczęła się z chwilą wydania przez NKWD rozkazu nr 00485,

który stał się wzorem dla organizacji późniejszych masowych aresztowań.

Określa jednoznacznie kategorie ludzi, którzy mieli zostać aresztowani.

Byli to: wszyscy pozostali przy życiu polscy jeńcy wojenni wojny polsko-bolszewickiej lat

1920-1921, wszyscy polscy uchodźcy i imigranci do Związku Sowieckiego,

wszyscy członkowie polskich partii politycznych oraz wszyscy "działacze antysowieccy" z polskojęzycznych obszarów Związku Sowieckiego. W

praktyce, w kategorii podejrzanych znalazły się wszystkie mieszkające na obszarze ZSRS osoby

pochodzenia polskiego - liczne zwłaszcza na przygranicznych ziemiach Ukrainy

i Białorusi. Zasięg operacji był tak powszechny, że do czerwca 1938 roku, np.

w Berdyczowie, aresztowano do 60 procent zamieszkujących miasto Polaków.

Aresztowania były jednak zaledwie początkiem całej operacji. Ponieważ nie

można było zarzucić przestępstwa komuś, kogo jedyną winą było posiadanie polskiego nazwiska, rozkaz nr 00485 zalecał lokalnym szefom NKWD "równocześnie z aresztowaniami rozpoczęcie pracy śledczej, i kładzenie podstawowego nacisku w śledztwie na całkowite zdemaskowanie organizatorów i kierownictwa grup

dywersyjnych w celu wykrycia sieci dywersyjnej". W praktyce oznaczało to - podobnie jak w wielu innych wypadkach - że to samych aresztowanych należy zmusić do dostarczenia dowodów, na których podstawie sformułowany zostanie akt oskarżenia przeciwko nim. Schemat postępowania był prosty. Aresztowanym Polakom zadawano najpierw pytania o ich udział w siatce szpiegowskiej, a kiedy twierdzili, że nic o takowej nie wiedzą, bito ich i poddawano innego rodzaju torturom dopóty, dopóki sobie "czegoś nie przypomnieli". Jeżow, jako osobiście zainteresowany powodzeniem wykrycia "polskiej siatki szpiegowskiej", asystował przy torturach; polecił też podwładnym, by ignorowali oficjalne zażalenia aresztowanych bez względu na sposób ich traktowania i

"kontynuowali [pracę] w tym duchu". Jeśli ktoś przyznał się do winy, żądano od niego ujawnienia nazwisk innych "współkonspiratorów". Cały cykl zaczynał się więc od nowa, w następstwie czego "siatka szpiegowska" wciąż się rozrastała. W ciągu dwóch lat od rozpoczęcia operacji w wyniku

tw. polskiej linii śledztwa aresztowano ponad 140

tysięcy osób, co wedle niektórych badaczy stanowi około 10 procent wszystkich ofiar Wielkiej Czystki. Pojawił się jednak pewien problem; operacja polska stała się tak słynna z powodu nieograniczonego stosowania tortur i wymuszania fałszywych wyznań winy, że w roku 1939

- w okresie krótkotrwałej reakcji przeciwko masowym aresztowaniom -

samo NKWD zmuszone było wszcząć dochodzenie w sprawie popełnionych "błędów". Jeden z zaangażowanych w nie oficerów mówił, że "nie należy się cackać, bić po mordzie, bić bez ograniczeń, żadnych pozwoleń nie trzeba". Tym, w których budziło to odrazę, a najwyraźniej zdarzali się i tacy, mówiono bez ogródek, że Stalin i Politbiuro kazali "bić Polaków, ile wlezie".

Istotnie, mimo iż Stalin potępił później stosowane przez NKWD

"uproszczone

procedury śledcze", mamy pewne przesłanki, by przypuszczać, że uprzednio zaaprobował je osobiście. Na przykład Abakumow w memoriale z 1947 roku do Stalina stwierdza wyraźnie, że podstawowym zadaniem śledczego jest próba uzyskania od aresztanta "szczerego i otwartego przyznania się, nie tylko w celu ustalenia winy aresztowanego, lecz również ujawnienia osób, z którymi miał powiązania, jak również ludzi kierujących jego przestępczą działalnością oraz ich wrogich zamiarów". Abakumow omija ostrożnie problem bicia i tortur fizycznych, pisze jednak, że śledczym polecono "badać charakter aresztowanego". Na tej podstawie mieli decydować o złagodzeniu bądź obostrzeniu zastosowanego wobec niego reżimu więziennego oraz jak najlepiej wykorzystać jego "przekonania religijne, powiązania rodzinne i osobiste, poczucie własnej wartości, próżność itp. W niektórych wypadkach w celu przechytrzenia aresztowanego i dania mu do zrozumienia, że organa MGB

wiedzą o nim wszystko, śledczy może przypomnieć aresztowanemu kilka pojedynczych, poufnych szczegółów dotyczących jego życia osobistego, prywatnych sekretów itp. Problem obsesji tajnej policji sowieckiej na punkcie przyznania się oskarżonego do winy pozostaje kwestią sporną, a opinie badaczy są tu podzielone. W przeszłości próbowano wyjaśnić ten fenomen na wiele różnych sposobów; żadna jednak hipoteza nie może sobie rościć pretensji do miana wykładni miarodajnej. Nie wolno zapominać o tym, że przyznanie się oskarżonego do stawianych mu zarzutów było również bardzo istotne dla prowadzących dochodzenie śledczych NKWD - niewykluczone, że pomagało im uwierzyć w zasadność własnych działań, legitymizowało je, humanizując szaleństwo masowych arbitralnych aresztowań, a w każdym razie nadając im pozory legalności. Poza tym, tak jak w przypadku "polskiej siatki szpiegowskiej", przyznanie się do winy któregośkolwiek z oskarżonych dawało podstawy do kolejnych aresztowań. Skądinąd obsesją "wyniku", realizacji planu, przekroczenia norm itd. ogarnięty był cały sowiecki system polityczny i gospodarczy. "Utarło się - pisze dalej Conquest - że przyznanie się oskarżonego do winy to najważniejszy cel pracy śledczego. Tych, którzy mogli się tym pochwalić, uznano za dobrych pracowników operacyjnych -

a kiepscy żyli krótko". Abstrahując od kwestii przyczyn, dla jakich NKWD dążyło do tego, by oskarżony przyznał się do stawianych mu zarzutów, śledczy nie prowadził zazwyczaj przesłuchania

ani z obsesją charakterystyczną dla "sprawy szpiegów polskich", ani obojętnością, której przykładem może być sprawa Thomasa Sgovia. Aresztowani stykali się najczęściej z postawą swoistego "złotego środka"; z jednej strony NKWD domagało się przyznania do winy i obciążenia innych, z drugiej zaś sprawiało wrażenie, jakby w ogóle nie było zainteresowane ostatecznym wynikiem. Ten - dość surrealistyczny w gruncie rzeczy -

system wykształcił się już w latach dwudziestych, na długie lata przed Wielką Czystką i funkcjonował również wiele lat po jej zakończeniu. Już w roku 1931 oficer śledczy przesłuchujący Władimira Czerniawina -

oskarżonego o "szkodnictwo" i sabotaż - groził mu śmiercią w razie odmowy przyznania się do winy. Na następnym etapie śledztwa w zamian za przyznanie się obiecywał mu bardziej "wyrozumiały" wyrok łagru po to, by na koniec wręcz prosić uczonego o przyznanie się do win niepełnionych. "My, oficerowie śledczy, również często musimy kłamać, mówić rzeczy, których nie można zaprotokołować i pod którymi nigdy się nie podpiszemy" - usiłował przekonać Czerniawina. Natomiast gdy rezultat był dla śledztwa czymś bardziej znaczącym, uciekano się do tortur. Wydaje się, że do roku 1937 bicie aresztowanych było zakazane.

Potwierdza to jeden z byłych funkcjonariuszy Gułagu, którego zdaniem w pierwszej połowie lat trzydziestych użycie przymusu fizycznego było z całą pewnością nielegalne. Tortury zaczęto stosować w związku z coraz silniejszą presją na wymuszenie przyznania się do winy czołowych działaczy partyjnych; było to przypuszczalnie w 1937 roku, a praktykę tę zarzucono w zasadzie w 1939 roku. "Ale w jaki sposób może człowiek przyznać się do przestępstw, których nigdy nie popełnił? Tylko w jeden sposób - przez stosowanie fizycznych metod oddziaływania, przez tortury, pozbawienie godności ludzkiej. W ten sposób uzyskiwano rzekome

"przyznanie się" - objaśniał publicznie w roku 1956 ówczesny przywódca Związku Sowieckiego Chruszczow.

W okresie tym tortury stały się zjawiskiem tak nagminnym i tak często nadużywanym, że na początku roku 1939 sam Stalin wysłał do terenowych zarządów

NKWD okólnik, w którym jest napisane, że "poczynając od roku 1937, praktyka

wywierania presji fizycznej [na więźniów] była dozwolona przez Komitet Centralny, [jednakże] wyłącznie wobec jawnych wrogów ludu, którzy wykorzystują humanitaryzm metod prowadzenia śledztwa, by bezwstydnie odmawiać wyjawienia

spiskowców, którzy całymi miesiącami odmawiają składania zeznań i próbują

opóźnić zdemaskowanie spiskowców, wciąż jeszcze pozostających na wolności".

Zdaniem Stalina - czytamy dalej w okólniku - jest to "metoda całkowicie słuszna

i humanitarna", aczkolwiek -jak przyznaje - mogła być niekiedy używana wobec

"przypadkowo aresztowanych ludzi niewinnych". Z dokumentu wynika jednoznacznie, że Stalin

doskonale wiedział, jakiego rodzaju metod używa się w śledztwie, i że praktykę tę osobiście aprobował. W relacjach bardzo wielu w tym okresie aresztowanych powtarzają się wzmianki o policzkowaniu, biciu, kopaniu itd. Jewgienij Gniedin opisuje, że biło go po głowie jednocześnie dwóch ludzi -jeden z prawej, drugi z lewej, a później był bity gumową pałką. Miało to miejsce w gabinecie Berii w więzieniu na Suchanowce, w obecności tegoż Berii. NKWD stosowało również metody znane innym policjom tajnym - na przykład bicie ofiary w brzuch woreczkiem wypełnionym piaskiem, łamanie rąk i nóg, wiązanie

"w kołyskę" i zawieszanie w tej pozycji na linie. Jeden z najbardziej wstrząsających opisów tortur fizycznych przynosi formalne zażalenie, złożone przez reżysera teatralnego Wsiewołoda Meyerholda, zachowane w aktach jego sprawy: „Przesłuchujący zastosowali w stosunku do mnie

[...] metody przymusu fizycznego, mnie, sześćdziesięcioletniego starca tutaj bito; rzucono na podłogę, twarzą do ziemi, gumową pałką bito po piętach i plecach, a kiedy siedziałem na krześle, tą samą pałką z rozmachu, z dużą siłą bito w nogi. Później, kiedy w tych miejscach na nogach pojawiły się wielkie wewnętrzne wylewy, znowu bito po owych czerwono-niebiesko-żółtych siniakach tą samą pałką. Ból był nie do zniesienia, wydawało się, że chore, obolałe miejsca polewają wrzątkiem, krzyczałem i płakałem z bólu. Gumą tą bito mnie po plecach, a rękami, z rozmachem, z góry po twarzy [...]. Pewnego razu konwojent, który odprowadzał mnie po takim przesłuchaniu, zapytał: Masz malarię? -

albowiem ciałem moim wstrząsały nerwowe dreszcze. Kiedy położyłem się na pryczy i zasnąłem, aby znów pójść na przesłuchanie, które przedtem trwało osiemnaście godzin, zbudziłem się wyrwany ze snu własnym jękiem, trząsnęłam się na łóżku tak, jak zdarza się to chorym, konającym z gorączki”. Mimo że po roku 1939 bicie tego rodzaju było formalnie zakazane, nie oznaczało to bynajmniej, że metody stosowane w śledztwie stały się bardziej humanitarne. W latach dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych setkom tysięcy aresztowanych nie zadawano już cierpienia fizycznych, lecz torturowano ich psychicznie w sposób, o jakim w liście do Stalina napomyka Abakumow. Upartych, którzy nie chcieli przyznać się do winy, pozbawiano najpierw spacerów, potem prawa otrzymywania korespondencji i paczek albo wypożyczania książek, a na koniec odbierano im jedzenie. Mogli trafić do specjalnej celi (karceru) - bardzo zimnej lub przeciwnie, wyjątkowo gorącej. Coś podobnego zdarzyło się autorce wspomnień, Ariawie Wołowicz, której w dodatku śledczy nie pozwalał spać: "Nigdy nie zapomnę pierwszego doznania, jakie spowodował panujący w więzieniu chłód. Nie potrafię tego nawet opisać, po prostu nie jestem do tego zdolna. Zwalał mnie z nóg sen, ale zimno nie pozwalało zasnąć. Podskakiwałam i biegałam wokół celi; zasypiałam na stojąco, padałam na pryczę, ale chłód szybko zrywał mnie z powrotem na nogi". Niektórych konfrontowano ze "świadkami"; Jewgienia Ginzburg musiała przypatrywać się swej przyjaciółce z lat dziecińczych, która

"śpiewając jak z nut", recytując oskarżenia, zarzucała jej przynależność do podziemia trockistowskiego.

Jeszcze innym grożono nieszczęściami, jakie spadną na rodzinę i krewnych, bądź

po długim pobycie w izolatorze przenoszono ich do celi z donosicielami, przed

którymi aż nazbyt chętnie otwierali dusze i serca. We wspomnieniach jednej

z przesłuchiwanym Polek czytamy: „Ni stąd, ni zowąd, bez żadnej widocznej przyczyny mój śledczy stał się bardzo zalotny; wyszedł zza biurka i usiadł koło mnie na kozetce. Wstałam, żeby nalać sobie nieco wody; poszedł za mną i stanął mi za plecami. Ominęłam go z trudem i wróciłam na kozetkę. Usiadł koło mnie z powrotem. Ponownie wstałam i poszłam, żeby się napić wody - tego rodzaju manewry trwały kilka godzin. Czułam się poniżona i bezradna”. Stosowano również - i to regularnie od lat dwudziestych - formy tortur fizycznych niemniej okrutne od bicia. Czerniawin przeżył tzw. stojkę - aresztantów ustawiano twarzą do ściany i kazano stać w bezruchu. Innych spośród jego towarzyszy z celi spotkał los bez porównania gorszy. „Jeden z nich, rytownik P., mocno zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce, musiał tak stać sześć i pół doby.

Nie dawano mu nic do jedzenia ani do picia i nie pozwalano spać; do toalety puszczano raz na dzień. Mimo wszystko nie "przyznał się". Po tej torturze nie był w stanie o własnych siłach dojść do celi, strażnik musiał

wlec go na górę po schodach [...]. Inny, rzemieślnik B., lat trzydziestu pięciu mniej więcej, miał jedną nogę

amputowaną powyżej kolana i używał protezy. Stał cztery dni i też się nie

"przyznał". Najczęściej jednak aresztowanym po prostu nie dawano spać.

Tę zwodniczo prostą formę tortury - niewymagającą zresztą, jak się wydaje, żadnej wcześniejszej akceptacji z góry - uwięzieni nazywali

"pakowaniem na konwejer", czyli taśmę produkcyjną. Mogło to trwać całe dni, a nawet tygodnie. Metoda była prosta - przesłuchiwano nocą, a w dzień nie pozwalano zasnąć - strażnik budził więźniów za każdym razem i groził znacznie surowszymi karami, jeśli nie będą w pełni czujni i trzeźwi.

Jeden z najlepszych opisów konwejera i jego wpływu na psychikę ludzką dał amerykański więzień Gułagu, Alexander Dolgun. W ciągu kilku pierwszych miesięcy w więzieniu na Lefortowie był niemal całkowicie pozbawiony snu; raz dziennie zezwalano mu jedynie na godzinną lub nawet krótszą drzemkę:

"Z perspektywy lat wydaje mi się, że godzina to za dużo powiedziane, było to raczej kilka minut, a i to nie każdej nocy". W rezultacie Dolgun zaczął odchodzić od zmysłów. „Bywały chwile, że nagle zdawałem sobie sprawę, iż nie przypominam sobie, co działo się ze mną w ciągu ostatnich kilku minut. Przerwy w pamięci, zupełnie dziury [...]. Później, znacznie później, zacząłem eksperymentować ze spaniem na stojąco; chciałem przekonać się, czy potrafię nauczyć własne ciało utrzymać wówczas pozycję pionową. Miałem nadzieję, że jeśli to zadziała, to za każdym razem uda mi się na kilka minut umknąć uwagi strażnika, któremu nie przyjdzie do głowy, że śpię, skoro widzieć będzie przez judasza, że stoję. I tak to jakoś poszło - udawało mi się urwać to dziesięć minut tu, to pół godziny tam, a niekiedy nawet i dłużej, jeśli Sidorow przerywał przesłuchanie przed szóstą, a strażnicy zostawiali mnie w spokoju do pobudki. Było to jednak zbyt mało. I zbyt późno. Czułem, że

zapadam się w nicość, że co dzień coraz mniej panuję nad sobą. Bałem się, że szaleństwo jest niemal gorsze - nie, rzeczywistość jest gorsze od śmierci". Dolgun nie przyznawał się przez kilka miesięcy - co do końca uwięzienia było dla niego powodem do dumy. Mimo to, kiedy wiele miesięcy później odwołano go z obozu w Dżekazganie do Moskwy i znów zaczęto bić, podpisał obciążające zeznanie, myśląc: "Do diabła, mają mnie tak czy inaczej. Dlaczego nie zrobiłem tego już dawno?"

Uniknąłbym przynajmniej całego tego bólu". I rzeczywistość, dlaczegożby nie? Pytanie takie stawiało sobie wielu uwięzionych. Odpowiadali na nie różnie. Część z nich - wydaje się, że szczególnie licznie zjawisko to występowało wśród autorów wspomnień - trzymało się bądź dla zasady, bądź w mylnym przekonaniu, że uda im się w ten sposób uniknąć skazania. "Wolę raczej umrzeć, niż się zhańbić" - oznajmił śledczemu kombrig Gorbатов i to mimo że go torturowano (skądinąd nie podaje jak).

Wielu innym - co podkreślają choćby Sołżenicyn i sam Gorbатов -

wydawało się, że nedorzecznie obszerne wyznanie winy naturalną rzeczą koleją stworzy wrażenie absurdu tak silne, że zauważy je nawet NKWD.

Pisząc o swoich towarzyszach z celi, Gorbатов zauważa, że: „Sprawili na mnie wrażenie ludzi kulturalnych i poważnych. Ale ogarnęła mnie zgroza, kiedy dowiedziałem się, że już wszyscy na przesłuchaniach u sędziego podpisali niestworzone bzdury i przyznali się we własnym imieniu, a także w imieniu innych, do rzekomych przestępstw [...]. Niektórzy wyznawali dziwną "teorię": im więcej ludzi będzie aresztowanych, tym lepiej, tym prędzej partia zrozumie, że to tylko szkodliwa bzdura”. Nie wszyscy jednak uważali, że ludzi tego rodzaju powinno się dyskwalifikować moralnie. W swoich wspomnieniach Lew Razgon ostro polemizuje z Gorbатовem, którego nazywa człowiekiem "pełnym pychy i niemoralnym":

„Wydaje mi się, że winić ofiary, a nie katów, to podłe. Gorbатовowi się po prostu udało: miał leniwego śledczego albo takiego, który nie dostał

jednoznacznego polecenia, aby "przycisnąć" podejrzanego. Kwestia, czy torturami można wymusić podpisanie fałszywego samooskarżenia, jest obecnie w wystarczającym stopniu zbadana przez lekarzy, psychologów i psychiatrów. W naszych czasach materiałów do podobnych badań było zbyt wiele [...]. Można wymusić!”. Skądinąd po latach pojawiają się również rozmaite oceny tego, czy niezłomna postawa w śledztwie w ogóle miała jakiegokolwiek znaczenie. Susanna Pieczuro, którą na początku lat pięćdziesiątych przesłuchiowano ponad rok (była członkiem niewielkiego ugrupowania, które z naiwną donkiszoterią zamierzało toczyć walkę ze Stalinem), z perspektywy czasu dochodzi do wniosku, że nie opłacało

"trzymać się", i uważa dziś, że jedynym rezultatem odmowy przyznania się do winy było przedłużenie przesłuchań. W większości wypadków wyrok skazujący zapadał tak czy inaczej. Z drugiej strony zawartość protokołów sprawy Sgovia dowodzi jednoznacznie, że późniejsze decyzje

- o przedterminowym zwolnieniu, na przykład amnestii itd. - podejmowane były na podstawie dokumentacji więźnia - nie wykluczając jego przyznania się do winy. Innymi słowy, ktoś, komu udało się wytrzymać, zyskiwał doprawdy minimalną, ale jednak szansę rewizji wyroku. Aż do końca lat

pięćdziesiątych wszystkie opisane tu procedury sądowe -

obojętne jak surrealistyczne i absurdalne - traktowano poważnie. Na koniec wreszcie, najbardziej istotną konsekwencją śledztwa i przesłuchań było piętno psychiczne, jakie pozostawiały na aresztowanym. Nawet przed wyruszeniem w długi transport na Wschód, nawet przed przybyciem do swego pierwszego łagru, był on w jakiejś mierze "przygotowywany" do nowego życia w charakterze niewolnej siły roboczej. Dowiadywał się, że nie ma żadnych praw ludzkich, że pozbawiono go nie tylko prawa do uczciwego procesu, lecz nawet prawa do uczciwego przesłuchania.

Wiedział już, że NKWD sprawuje władzę absolutną, że państwo może swobodnie rozporządzać nim wedle swego uznania i woli. Jeżeli przyznał

się do niepopelnionej zbrodni, tracił szacunek do siebie. Jednak nawet wówczas, gdy się do niej nie przyznał, to i tak zostawał odarty z resztek nadziei, z ostatniego cienia wiary, że pomyłka, jaką było jego aresztowanie, kiedykolwiek zostanie naprawiona.

ROZDZIAŁ 8

Więzienie

„Cyganka czytała karty - daleka droga

Daleka droga i więzienny dom

Może stare centralne więzienie Czeka

raz jeszcze mnie, młodego”.

Tradycyjna rosyjska pieśń więzienna

ARESZTOWANIE I ŚLEDZTWO wyczerpywały uwięzionego, spowodowany nimi

szok czynił go uległym, bezradnym i zdezorientowanym. Jednak sowiecki system

więzienny, w którym ludzi przetrzymywano przed, w trakcie, a nieraz i długo po

przesłuchaniach i zakończeniu śledztwa, wywierał przemożny wpływ również na

ich psychikę oraz stan ducha. Analizując rzecz porównawczo, w kontekście międzynarodowym, w sowieckim systemie więziennym i więzieniach jako takich nie było nic osobliwie okrutnego. Nie ulega wątpliwości, że były surowsze od zakładów penitencjarnych w większości państw świata zachodniego, że panowały w nich warunki cięższe niż w więzieniach carskich. Z drugiej strony w połowie XX wieku równie mało przytulne były zakłady karne w Chinach i innych częściach Trzeciego Świata. Mimo to, niektóre aspekty sowieckiego życia więziennego pozostają zjawiskiem unikalnym i tylko temu systemowi właściwym.

Niektóre elementy regulaminu więziennego, a także sam proces śledztwa i tryb przesłuchań wydają

się środkiem celowym, wprowadzonym świadomie, aby przygotować aresztowanych do nowego życia, jakie oczekiwało ich w Gułagu. Wydaje się również pewne, że oficjalny stosunek władz do więzień był pochodną zmian hierarchii potrzeb i priorytetów zarządzających łagrami. Na przykład rozkaz wydany przez Jagodę w sierpniu 1935 roku - w chwili gdy aresztowania więźniów politycznych zaczęły rzeczywiście nabierać rozmachu i tempa – nie pozostawia żadnych wątpliwości, że najważniejszym "celem"

aresztowania (jeśli w ogóle można powiedzieć, że aresztowanie ma jakiś

"cel" w normalnym tego słowa znaczeniu) było zaspokojenie coraz bardziej gorączkowego zapotrzebowania

na dostarczanie dowodów winy i przyznania się do niej. Rozkaz Jagody pozostawia

wszelkie kwestie - nie tylko "przywilejów", ale i najbardziej elementarnych

praw zatrzymanych - do decyzji prowadzących śledztwo oficerów NKWD. Jeśli

zatrzymany "współpracował" - co zazwyczaj oznaczało składanie zeznań -

można

zezwoić na korespondencję, otrzymywanie paczek żywnościowych, gazet i książek, comiesięczne widzenia z rodziną i godzinę spaceru dziennie.

Jeśli nie, wolno go było pozbawić wszystkich tych udogodnień, a na dobitkę jeszcze pozbawić racji żywnościowej. Dla odmiany w roku 1942, za czasów Ławrientija Berii, kwestią wagi pierwszorzędnej stało się przekształcenie Gułagu w sprawnie działającą strukturę gospodarczą -

priorytety Moskwy uległy zasadniczej zmianie. Łagry stawały się niezbędnym komponentem sowieckiej produkcji wojennej, a ich komendanci zaczęli

się uskarżać, że znaczna liczba więźniów trafia na obozowe stanowiska produkcji

całkowicie niezdolna do pracy - wygłodzeni, brudni, niewyszkoleni, nie mogą pracować i wydobywać węgla i ścinać drzew w ustalonym tempie.

W maju tegoż roku

Beria wydał więc nowy rozkaz dotyczący rutyny czynności dochodzeniowych

i prowadzenia przesłuchań, w którym domagał się, by naczelnicy więzień przestrzegali "elementarnych warunków zdrowotnych" i ograniczyli kontrolę śledczych nad trybem codziennego życia zatrzymanych. Zgodnie z nowym rozkazem Berii więźniowie mieli mieć prawo do "co najmniej godziny" spaceru dziennie (wyjąwszy skazanych na karę śmierci, których stan zdrowia nie był istotny dla obowiązujących w NKWD norm i wskaźników produkcji). Administracja więzienna miała nawet zapewnić budowę specjalnego dziedzińca dla więźniów w tym właśnie celu:

"Żadnemu więźniowi nie wolno zostawać w celi podczas spaceru [...], słabym i starym mają pomagać koledzy z celi". Na strażnikach więziennych spoczywał obowiązek zapewnienia więźniom (wyłączywszy tych, którzy w danym momencie są przesłuchiwanymi) ośmiu godzin snu; cierpiącym na dyzenterię dodatkowej porcji witamin i lepszego pożywienia; należało także naprawić przeciekające "parasze" - wiadra używane jako toalety. Ten punkt wydawał się wagi tak zasadniczej, że rozkaz specyfikuje nawet rozmiar "paraszy". W celach męskich winny one mieć 55 do 60 centymetrów wysokości, a w kobiecych od 30 do 35

centymetrów - przy czym ich objętość ma wynosić 0,75 litra na każdego osadzonego w celi. Mimo tych - doprowadzonych do absurdu i śmieszności w swej szczegółowości rozporządzeń poszczególne więzienia bardzo się od siebie różniły, co po części zresztą zależało od ich lokalizacji. Więzienia prowincjonalne były z reguły brudniejsze, za to dyscyplina panowała w nich mniej rygorystyczna - w moskiewskich było czystiej, ale za to nieporównanie surowiej. Ale warunki różniły się - i nieznacznie - nawet w więzieniach moskiewskich.

Oślawiona Łubianka, która dziś zajmuje główną część obszernego placu w samym centrum Moskwy (i jest główną siedzibą rosyjskiej FSB -

następczyni NKWD i KGB) służyła jako miejsce osadzenia i przesłuchań najgroźniejszych przestępców politycznych. Było stosunkowo niewiele cel - dokument z roku 1956 mówi o 118, z czego 94 były dla 1-4

więźniów. Część cel w gmachu na Łubiance - swego czasu siedziby towarzystwa

ubezpieczeniowego - miała drewniane parkiety, które więźniowie musieli codziennie woskować i froterować. Anna Garasiewa - anarchistka, a później osobista sekretarka Sołżenicyna, która siedziała na Łubiance w roku 1926 przypomina sobie, że jedzenie roznosiły kelnerki w białych uniformach .

Natomiast Lefortowo, gdzie również odbywały się przesłuchania, było dziewiętnastowiecznym więzieniem wojskowym. Cele, nie przeznaczone dla większej

liczby osadzonych, były ciemniejsze, bardziej niechlujne i zatłoczone.

Gmach więzienia zbudowany został na planie litery K, a w jego centralnym punkcie -jak

przypomina sobie Dmitrij Panin - "stał wartownik, który flagą kierował

ruchem

więźniów prowadzonych na przesłuchania i odprowadzanych z nich z powrotem

do cel". W końcu lat trzydziestych Lefortowo było tak przepełnione, że NKWD

otwarło swoisty "aneks" w podmoskiewskim monasterze suchanowskim.

Więzienie to, oznaczone oficjalnie kryptonimem "Obiekt 110", a przez aresztowanych

nazywane "Suchanówką", zyskało sobie złą sławę jako miejsce tortur.

"Nie istniały tam żadne normy porządku regulaminowego ani żadna ustalona procedura regulująca zasady przesłuchań". Tortury nadzorował

sam Beria, który miał na Suchanowce własny gabinet. Najstarsze z tych trzech - więzienie na Butyrkach - zbudowane zostało w XVIII wieku, pierwotnie jako pałac - szybko jednak przekształcony w miejsce odosobnienia. Jednym z najświetniejszych lokatorów dziewiętnastowiecznych był Dzierżyński, który siedział na Butyrkach wraz z innymi rewolucjonistami polskimi i rosyjskimi. Z reguły osadzano tam ludzi czekających na transport - już po zakończeniu przesłuchań i śledztwa - toteż chociaż było to również więzienie brudne i przepełnione, regulaminów nie przestrzegano aż tak rygorystycznie. Garasiewa przypomina sobie, że o ile na Łubiance strażnicy zmuszali osadzonych do

"ćwiczeń fizycznych", polegających na chodzeniu w kółko w ciasnym kręgu, o tyle "na Butyrkach każdy mógł spacerować, jak chciał".

Garasiewa pamięta również (a potwierdzają to inni) znakomitą bibliotekę Butyrek, gromadzoną przez całe pokolenia aresztowanych i więźniów, pozostawiających swoje książki z chwilą zwolnienia lub transportu w inne miejsce. Więzienia zmieniały się również wraz z upływem czasu. We wczesnych latach trzydziestych wielką liczbę osadzonych skazywano dopiero po wielu miesiącach, niekiedy nawet latach odosobnienia. Jeden z więźniów, Boris Czetwierikow, wytrzymał o zdrowych zmysłach

16
miesiący izolatora tylko dlatego, że dzień w dzień prał ubranie, czyścił

podłogę i ściany oraz śpiewał na głos wszystkie pieśni i arie operowe, jakie tylko zdołał sobie przypomnieć. Osadzony w izolatorze na cały okres śledztwa Alexander Dolgun, usiłując nie zwariować, chodził - liczył kroki, przeliczał je na kilometry, a później zaczął "wędrówki", najpierw przez Moskwę do Ambasady Stanów Zjednoczonych - "wdychałem w wyobraźni czyste, chłodne powietrze i ciasno otulałem się płaszczem" -

później przez Europę, a na koniec przez Atlantyk, z powrotem do domu, do Ameryki.

Jewgieni Ginzburg spędziła dwa lata w izolatorze więzienia w Jarosławiu,

przez większość tego czasu zupełnie sama. "Jeszcze dziś, gdy zamknę oczy, widzę

najmniejszą wypukłość czy zadrapanie na tych ścianach, wymalowanych do połowy na ulubiony więzienny kolor - krwawopurpurowy, a od góry brudnopłowy". Z czasem jednak nawet te "specjalne" więzienia zaczęły się wypełniać i jej również

przydzielono do celi towarzyszkę. Na koniec większość "tjurzeków"

(więźniów

zamkniętych w więzieniach) przeniesiono do obozów - "po prostu nie mieli

celu ani możliwości trzymać takiej masy ludzi po 20 i po 10 lat [...]. To było

sprzeczne z tempem epoki i jej ekonomią". W latach czterdziestych - w miarę coraz większego nasilania się tempa aresztowań - coraz trudniej było całkowicie odosobnić kogokolwiek, nawet nowo osadzonego, choćby tylko na kilka godzin. W 1947 roku Leonida Finkelsteina ulokowano na początek na tak zwanym peronie (na wozale, dosł. dworcu), "wielkiej, pozbawionej elementarnych wygód wspólnej celi, do której wtrącano wszystkich osadzonych bez wyjątku. Dopiero później sortowano ich, odsyłano do łaźni, a potem do cel". Aresztowanych znacznie częściej umieszczano w zatłoczonych do ostateczności granic wspólnych celach niż w samotności izolatorów. Posłużmy się kilkoma wybranymi na chybił

trafił wybranymi zresztą - przykładami: w głównym więzieniu miejskim Archangielska, przeznaczonym dla 740 więźniów, w roku 1941

przebywało od 1661 do 2380 osadzonych, a w obliczonym na 300 osób więzieniu w Ko-j (na północy Rosji)

trzymano 460 więźniów i aresztowanych, gorzej jeszcze bywało w bardziej

odległych regionach ZSRS. W roku 1940 w więzieniu w Stanisławowie -

na

zajętych właśnie wschodnich ziemiach polskich - trzymano 1709

osadzonych, mimo

że zakład ten obliczony był na góra 472 ludzi, a w magazynie znajdowało się zaledwie 150 prześcieradeł. W lutym 1941 w więzieniach Tatarskiej ASRS, zaplanowanych dla 2710 osób, przetrzymywano ich 6353. W maju 1943 roku więzienia Taszkentu przeznaczone teoretycznie 960 osób mieściły 2754 osadzonych. Skrajne

przeludnienie najgorzej znosili ci wobec których toczyło się śledztwo -

poddawani całonocnym, ciężkim i prowadzonym w wyjątkowo nieprzyjaznej atmosferze

przesłuchaniom we dnie skazani byli na przymusowe towarzystwo innych.

Jeden z

aresztowanych tak opisywał skutki tego stanu rzeczy: „dezintegracja osobowości dokonywała się na oczach wszystkich. Nie można było ani chwilę się schować; nawet kiszki trzeba było wypróżniać do odkrytego kibla w kącie. Jeśli ktoś

chciał płakać, musiał płakać na oczach wszystkich, a wstyd potęgował

tylko jego

cierpienie. Jeśli komuś przyszło do głowy odebrać sobie życie - nocą, schowany pod kocem, próbować przegryźć sobie na przedramieniu żyłę -

natychmiast zauważali to cierpiący na bezsenność współtowarzysze z celi i udaremniali mu dokończenie tego dzieła”. Również Margarete Buber-Neumann pisze, że w wyniku przepełnienia cel „aresztowani zwracali się jedni przeciw drugim. Po pobudce, o pół do piątej rano - wyglądało, jakby ktoś rozkopał mrowisko. Każdy chwycił pośpiesznie swoje przybory toaletowe, żeby zdążyć pierwszy, ponieważ umywalnia była daleko za mała, by starczyło miejsca dla wszystkich. W całym pomieszczeniu było pięć klozetów i dziesięć kranów z wodą. Używam słowa "klozet", ale w rzeczywistości były to po prostu dziury w podłodze, nic ponadto. Przed nimi i przed kranami natychmiast ustawiały się długie ogonki. Wyobraź

sobie, że idziesz rano do łazienki, tymczasem obserwuje cię pilnie tuzin par oczu i poganiają nagłące wrzaski oczekujących niecierpliwie na swoją kolej”. Wydaje się, że to właśnie przepełnienie cel skłoniło władze więzienne do podjęcia daleko posuniętych kroków, mających na celu złamanie wszelkich przejawów solidarności między aresztowanymi i więźniami. Dyrektywa Jagody z 1935 roku zabraniała więźniom rozmów, krzyku, śpiewów, pisania czegokolwiek na ścianach celi, zostawiania jakichkolwiek znaków na terenie więzienia, przebywania w pobliżu okien celi i podejmowania jakichkolwiek prób porozumienia z osadzonymi w innych celach. Naruszenie tych przepisów pociągało za sobą kary w postaci cofnięcia prawa do spaceru lub korespondencji, a nawet osadzenia w karcerze.

Aresztowani w latach trzydziestych często wspominają o panującym w więzieniach przymusowym milczeniu: "Nikt nie pozwalał sobie mówić głośno, a niektórzy nauczyli się porozumiewać znakami - pisze Buber-Neumann o warunkach panujących na Butyrkach. Półnagie ciała większości przebywających tam kobiet przybrały specyficznie szaroniebieski odcień, skutek długotrwałego zamknięcia bez słońca i świeżego powietrza". W niektórych zakładach karnych przymus milczenia obowiązywał bezwzględnie także w kolejnej dekadzie; w innych przestrzegano go mniej rygorystycznie. Jeden z byłych więźniów pisze o

"kompletnej ciszy" na Łubiance w roku 1949, w porównaniu z którą "cela numer 109 na Butyrkach sprawiała wrażenie, jakby ktoś po wyjściu z małego sklepiku poszedł na bazar". Inny z aresztowanych, opisując warunki panujące w więzieniu w Kazaniu, wspomina, że gdy osadzeni w celi zaczęli mówić coś szeptem, "okienko w drzwiach, przez które podawano jedzenie, otwierało się z hukiem i jakiś głos syczał "Css!"".

Autorzy wspomnień często opisują, że odprowadzający aresztantów na przesłuchanie strażnicy pobrękiwali kluczami, strzelali palcami i wydawali z siebie

różne dźwięki, by ostrzec tych, którzy znajdowali się w dalszej części korytarza. Jeśli doszło do przypadkowego spotkania, jednego z więźniów natychmiast kierowano innym przejściem lub zamykano w specjalnym schowku. Przetrzymany w więzieniu na Łubiance Wadim Jasnyj -

swego czasu tłumacz literatury hiszpańskiej - musiał pewnego razu spędzić dwie godziny w tego rodzaju pomieszczeniu o powierzchni pół

metra kwadratowego. Wiele wskazuje, że z podobnych urządzeń korzystano nagminnie. Jedną z takich "klatek" znajduje się do dziś w piwnicach w budynku, gdzie mieściła się delegatura NKWD w Budapeszcie, przekształconym obecnie w muzeum. Narzucona przymusowo cisza sprawiała, że nawet droga na przesłuchanie mogła być ciężkim i zbijającym z tropu przeżyciem. Dolgun przypomina sobie, co odczuwał, wędrując wyłożonymi dywanami korytarzami Łubianki.

"Jedynym dźwiękiem, jaki słyszało się po drodze, było cmokanie strażnika

[...], metalowe drzwi pomalowane były na szaro, jak okręty wojenne -

półmrok, cisza i szarzyzna rozplwających się kolejno w ciemnościach korytarza drzwi sprawiały udrękę i odbierały resztki odwagi". Aby uniemożliwić zatrzymanym poznanie nazwisk ludzi zamkniętych w sąsiednich celach, na przesłuchanie lub na przeniesienie dokądkolwiek wywoływano nie po nazwisku, lecz literami alfabetu. Jeśli - na przykład -

strażnik krzyknął "G", wszyscy, których nazwiska zaczynały się na tę literę, mieli obowiązek wstać i podać swoje imiona i "otczestwa".

Rozkaz był - tak samo zresztą jak jest we wszystkich niemal więzieniach świata-formą regulacji każdego szczegółu rygorystycznie unormowanego dnia więziennego. Zajara Wiesoła - córka znanego pisarza sowieckiego (i

"wroga") - tak

oto opisuje typowy dzień w więzieniu na Łubiance. Zaczynał się on od

"oprawki -

wyprawy do toalety: "'Przygotować się do toalety" - krzyczał strażnik, a kobiety

w milczeniu ustawiały się w pary. Po dojściu do owej "toalety" dawano im mniej

więcej 10 minut - nie tylko na załatwienie wszelkich potrzeb fizjologicznych, ale także mycie i ewentualną przepierkę. Po oprawce następowało śniadanie: wrzątek - czasami z domieszką czegoś, co przypominało herbatę lub kawę - oraz dzienna racja chleba i dwa lub trzy kawałki cukru. Następnie celę odwiedzał strażnik z pytaniem, czy ktoś potrzebuje lekarza, po czym przychodziła kolej na "centralny punkt dnia" -

dwudziestominutowy spacer po małym, ogrodzonym dziedzińcu, w pojedynczym szeregu, wzdłuż ogrodzenia". Porządek ten został naruszony tylko raz. Z niewiadomych przyczyn (Wiesołej nigdy nie powiedziano dlaczego) wieczorem, kiedy innym zatrzymanym kazano już spać, zaprowadzono ją na taras na dachu, co oznaczało, że mogła zobaczyć inny świat - jeśli już nie miasto, to przynajmniej jego światła. Z reguły jednak reszta dnia wyglądała podobnie: obiad - więzienna zupa z jakichś odpadków albo kaszy czy zgniętej kapusty - i dokładnie ta sama zupa na kolację. Potem, pod wieczór, druga wędrowka do toalety. Przez resztę czasu więźniowie poszeptywali ze sobą, siedzieli na pryczach, a czasami czytali książki. Wiesoła pamięta, że wolno było wypożyczyć jedną książkę w tygodniu, w różnych więzieniach wyglądało to jednak różnie, co po części zależało od stanu

biblioteki. Gdziekolwiek osadzeni mieli prawo kupować produkty spożywcze w sklepiku więziennym - jeśli oczywiście rodzina przesłała im pieniądze. Nuda i fatalne jedzenie nie wyczerpywały naturalnie listy szykan więziennych. Więźniom nie wolno było spać w dzień - dotyczyło to nawet tych, którzy wracali z przesłuchań.

Strażnicy ustawicznie obserwowali ich przez "judasza" - otwór w drzwiach dający widok na całą celę i pozwalający zorientować się, czy nikt nie łamie regulaminu. "Budzono nas o szóstej rano, ale aż do jedenastej wieczorem nie wolno nam było nawet usiąść na pryczy.

Musiałymy chodzić albo siedzieć na stołkach; nie wolno było opierać się o ściany" - wspomina Lubowa Bierszadska. Nie lepiej działało się nocą.

Spać było trudno, czasami w ogóle się nie dawało - jaskrawej żarówki oświetlającej celę nie wyłączano nigdy, a regulamin zabraniał więźniom trzymać ręce pod kocem. Wiesoła próbowała się skarżyć: "Było to krępujące i nieprzyjemne, z trudem mogłam zasnąć [...]. Skoro tylko zapadałam w drzemkę, instynktownie podciągałam koc pod brodę. Wtedy w zamku rozlegał się chrzęst klucza i strażnik krzyczał w moją stronę:

"Ręce!". Buber-Neumann pisze, że "dopóki się do tego nie przywykło, noc była gorsza od dnia. Spróbuj zasnąć w nocy, przy ostrym świetle elektrycznym - uwięzionym nie wolno było przykrywać twarzy - na gołych deskach, bez siennika i poduszki, a czasem i bez koca, wtulona między leżące po obu stronach współwięźniarki". Najskuteczniejszą bodajże metodą, aby uwięzieni nie poczuli się zbyt dobrze we własnym otoczeniu, byli kapusie - istoty wszechobecne w każdej sferze życia sowieckiego. Donosiciele pełnili również ważną funkcję w obozach, w łagrze jednak łatwiej było ich unikać. W więzieniu znacznie trudniej było się od nich uwolnić, a fakt, że są ciągle obecni, zmuszał ludzi, by trzymali język za zębami. "Poza jednym wyjątkiem, przez cały czas mojego pobytu na Butyrkach nigdy nie usłyszałam od uwięzionych ani jednego krytycznego słowa na temat porządków sowieckich" - wspomina Buber-Neumann. Rozpowszechniona mądrość ludowa kazała wierzyć, że w celi musi być przynajmniej jeden informator. Kiedy w celi siedziały dwie osoby, obie podejrzewały siebie nawzajem. W większych celach więźniowie często identyfikowali kapusia i starali się trzymać od niego na odległość. Kiedy Olga Adamowa-Sliozberg trafiła do swojej pierwszej celi na Butyrkach, zauważyła dobre miejsce do spania - pod oknem.

Powiedziano jej, że może się tam położyć, "ale nie będzie miała najlepszych sąsiadek". Jak się okazało, śpiąca samotnie więźniarka była donosicielką, "trawiącą cały swój czas na pisanie raportów o każdej z kobiet znajdujących się w celi, toteż nikt się do niej nie odzywał". Nie wszystkich informatorów łatwo było zdemaskować, a panująca na ich tle obsesja powodowała, że każde odbiegające od normy zachowanie mogło spotkać się z wybuchem otwartej wrogości współwięźniów. Adamowa-Sliozberg sama nabrała podobnych podejrzeń wobec jednej z kobiet, kiedy zauważyła, że myje się ona zagraniczną gąbką i nosi koronkową bieliznę.

Dopiero później dostrzegła

w niej przyjaciółkę. Również pisarz Warłam Szalamow zauważył, że przenosiny z

celi do celi w jednym więzieniu są "nie bardzo przyjemne. Wywołuje to zawsze

podejrzenia, wzmożoną czujność nowych kolegów, czy to przypadkiem nie donosiciel?". System był więc surowy, mało elastyczny i niehumanitarny - to nie ulega żadnej wątpliwości. Mimo to - w miarę możliwości - więźniowie starali się walczyć z nudą, ustawicznymi, drobnymi upokorzeniami, z próbami napuszczania ich na siebie i atomizacji ich małej społeczności.

Wielu autorów wspomnień opisuje przypadki, gdy solidarność ludzi osadzonych w więzieniu okazywała się silniejsza niż później - w łagrze.

Skoro tylko więźniowie trafili do obozów, władzom łatwiej było stosować wobec nich politykę *divide et impera*. Aby wykopać przepaść między jednym zekiem a drugim, wystarczyło skusić go obietnicą awansu w obozowej hierarchii, lżejszej pracy lub większej racji żywnościowej.

Tymczasem w więzieniu wszyscy byli mniej lub bardziej równi.

Przypadki, że kogoś udało się namówić do kolaboracji, zdarzały się rzadko. Dla wielu uwięzionych dni i miesiące poprzedzające wywózkę były nawet swego rodzaju wstępnym kursem elementarnych metod przetrwania i - wbrew wszelkim usiłowaniom władz - pierwszym doświadczeniem w jednoczeniu się przeciwko nim. Niektórzy z przetrzymywanych najzwyczajniej w świecie uczyli się od kolegów z celi, jak zadośćuczynić podstawowym wymogom higieny i zachować poczucie własnej godności. Szychiejewa-Gajster opanowała w więzieniu sztukę produkcji guzików z przerzutego chleba; nauczyła się robić igły z rybich ości, używać znalezionych przypadkowo strzępków nici do cerowania dziur w podartym w czasie przesłuchań ubraniu oraz innych umiejętności, które miały później okazać się wielce użyteczne w życiu obozowym.

Dmitrij Bystroletow - były szpieg sowiecki - również dowiedział się, jak robić "nici" ze starych skarpetek; wystarczyło je spruć, a końcówki "nici"

nasmarować odrobiną mydła. Wyprodukowane w ten sposób nici wraz z igłami, które wytwarzał z zapalek, wymieniano na papierosy. Młodą antystalinistkę, Susanne Pieczuro, poinstruowano, "jak spać, żeby nikt tego nie zauważył, jak szyć zapalkami i jak obywać się bez paska".

Więźniowie umieli również - w jakiejś przynajmniej mierze -

zorganizować sobie życie dzięki instytucji starosty - starszego celi. Z

jednej strony - w więzieniach, transportach kolejowych i obozowych barakach - starosta był funkcjonariuszem na poły oficjalnym, którego zakres funkcji regulowały odpowiednie rozporządzenia, z drugiej zaś przypisanie mu wielu różnych obowiązków - od utrzymania w czystości celi po zachowanie porządku w czasie codziennej wyprawy do toalety -

oznaczało, że musiał być akceptowany przez wszystkich. Z tej też przyczyny donosiciele i inni osobnicy faworyzowani przez straż więzienną niekoniecznie musieli być najlepszymi kandydatami na tę funkcję.

Alexander Weissberg twierdzi, że w dużych celach, w których trzymano 200 i więcej osób, "normalne życie nie byłoby możliwe bez starszego celi, na którym spoczywała odpowiedzialność za

rozdział żywności, porządek wychodzenia na spacer itd.". Ponieważ tajna policja odmawiała uznania legalności jakichkolwiek form organizacji w więzieniu, znaleziono typowo sowieckie wyjście z sytuacji -

pisze Weissberg - starostę więźniowie wybierali "nielegalnie". Naczelnik więzienia dowiadywał się o tym od donosicieli i wówczas oficjalnie aprobował wybór dokonany przez uwięzionych. W większości przepelnionych cel głównym zadaniem starosty było przywitanie nowych aresztantów i zapewnienie wszystkim jakiegoś miejsca do spania. Nowo przybyłemu niemal zawsze kazano spać obok "paraszy"; dopiero z czasem

"awansował" i przesuwał się sukcesywnie w stronę okna, dopóki sam nie osiągnął statusu "starszeństwa". "Nie czyniono żadnych wyjątków - pisze Elinor Lipper - ani dla sędziwego wieku, ani choroby". Starosta rozwiązywał wszelkie konflikty i ogólnie rzecz biorąc utrzymywał spokój i ład w celi, co bez wątpienia nie należało do zadań łatwych. Jeden z aresztowanych Polaków, Kazimierz Zaród, wspomina, że gdy sam pełnił

funkcję starosty celi, "strażnik ciągle straszył go karami, jeśli nie udawało mu się przynajmniej w jakiejś mierze zapanować nad najmniej zdyscyplinowanymi - zwłaszcza po godzinie dziewiątej wieczorem, kiedy po komendzie: "gasić światła!", obowiązywał zakaz rozmów". Ostatecznie Zaród, który nie zdołał zapanować nad celą, sam trafił do karceru. Z innych relacji wynika jednak, że decyzjom starosty na ogół się podporządkowywano. Trudno zaprzeczyć, że więźniowie przejawiali najwięcej pomysłowości, starając się obejść najbardziej dotkliwy punkt regulaminu: ścisły i bezwzględny zakaz porozumiewania się - tak ze światem zewnętrznym, jak i sąsiednimi celami. Mimo realnych gróźb surowych kar uwięzieni zostawiali grypsy innym więźniom w toaletach albo przerzucali je za mur. Leonid Finkelstein usiłował przerzucić do sąsiedniej celi kawałek mięsa, pomidora i trochę chleba: "Kiedy zabrali nas do kibla, próbowałem otworzyć okno i wyrzucić przez nie jedzenie".

Złapano go i ukarano karcerem. Więźniowie oferowali strażnikom łapówki za przemycenie wiadomości, co ci niekiedy czynili z własnej nieprzymuszonej woli. Pewien strażnik więzienia w Stawropolu przekazywał od czasu do czasu żonie Lwa Razgona ustne informacje od męża. Jeden z byłych uwięzionych, który po chwilowym zajęciu Wilna przez wojska sowieckie przesiedział 14 miesięcy w tamtejszym więzieniu, w informacji przekazanej polskiemu rządowi na wychodźstwie opisał, w jaki sposób stopniowemu rozkładowi ulegały wszystkie normy dyscypliny panującej w polskich więzieniach

przed wojną. Więźniowie tracili jeden po drugim swoje dawne

"przywileje" - prawo do czytania i pisania listów, do korzystania z biblioteki więziennej, do posiadania papieru i ołówka, do otrzymywania paczek. Wprowadzono nowe regulaminy - zbliżone do obowiązujących w większości więzień sowieckich - światło w celach miało być zapalone przez całą noc, okna zabite płatami blachy. To ostatnie

- o dziwo - stworzyło nową możliwość porozumiewania się między celami: "Otworzyłem okno i wystawiwszy głowę przez kraty, zacząłem rozmowę z sąsiadami. Stojący na dziedzińcu strażnik nawet jeśli ją słyszał, to i tak nie mógł zorientować się,

skąd dochodzi głos, ponieważ blacha zasłaniała okna i nie pozwalała stwierdzić,

które z nich jest otwarte". Najbardziej złożonym systemem ściśle zakazanego porozumiewania się był zapewne więzienny alfabet Morse'a -

wystukiwany w ściany cel lub rury kanalizacyjne i hydrauliczne. Kod ten wymyślono jeszcze za caratu - Warłam Szalamow przypisuje ów wynalazek dekabrystom. Jekatierina Olicka nauczyła się go od kolegów socjalrewolucjonistów na długo przez swym aresztowaniem w 1924 roku.

Rosyjska rewolucjonistka, Wiera Figner, opisała go w swoich wspomnieniach; tam też wyczytała o nim Jewgienia Ginzburg, która zapamiętała wystarczająco wiele, by w trakcie śledztwa porozumiewać się z sąsiednią celą. Kod ten jest stosunkowo prosty: litery alfabetu rosyjskiego ułożone zostały w pięć rzędów. Każdą z nich opisują dwie serie stuknięć - pierwsze odpowiada kolejności rzędu, drugie określa pozycję litery w kolumnie.

Nawet ktoś, kto nigdy o tym nie słyszał ani nie nauczył się systemu od innych, mógł z łatwością go zrozumieć; tak zresztą najczęściej go opanowywano.

Ci, którzy poznali zasady, wystukiwali niekiedy w kółko sam alfabet, wraz z jednym czy dwoma najprostszymi pytaniami, w nadziei, że nieznana osoba po drugiej stronie ściany prędzej czy później zrozumie, o co chodzi. W ten sposób alfabetu więziennego nauczył się w Lefortowie Dolgun, który zapamiętywał oznakowanie poszczególnych liter, pomagając sobie zapalkami. Kiedy wreszcie był zdolny "przemówić" do sąsiada zza ściany i zrozumieć, że zadaje mu on pytanie: "Kim jesteś?", poczuł "przyływ nagłej miłości do człowieka, który przez całe trzy miesiące pytał go, kim jest". Kodu tego nie zawsze używano równie powszechnie. W roku 1949 Zajarze Wiesołej nie udało się znaleźć na Butyrkach "nikogo, kto znałby "alfabet więzienny", toteż z początku pomyślała, że zanikła tradycja posługiwania się nim. Później doszła do wniosku, że się myliła, ponieważ inni powiedzieli jej, że używali go, a pewnego razu strażnik, który usłyszał "stukanie", wpadł do jej celi, domagając się wyjaśnienia, skąd biorą się te odgłosy. Istniały też inne warianty "alfabetu". Pisarz i poeta Anatolij Żygulin utrzymuje, że wynalazł inny kod, również oparty na literach alfabetu, którym on i jego towarzysze (wszystkich aresztowano jednocześnie) posługiwali się w czasie śledztwa w ich sprawie. W pewnych miejscach i w pewnych latach metody porozumiewania się między uwięzionymi przybierały formy o wiele bardziej skomplikowane. Jedną z nich opisuje w noweli Kombiedy Warłam Szalamow; wspominają zresztą o niej i inni. Swój początek wzięła z bardzo nieetycznego przepisu. W pewnym momencie, w latach trzydziestych, władze postanowiły nagle, że aresztowani, przeciwko którym toczy się śledztwo, nie będą mieli prawa otrzymywania paczek od nikogo z krewnych, gdyż nawet "dwie kajzerki, pięć jabłek i para starych gaci wystarczą, by przemycić do więzienia gryps". Można było przesyłać wyłącznie pieniądze, przy czym tylko okrągłe sumy tak, by same w sobie nie mogły posłużyć przekazowi jakichś "informacji". Tymczasem nie wszystkie rodziny aresztowanych stać było na przekazy pieniężne -

niektóre były zbyt biedne, inne mieszkały zbyt daleko, a jeszcze inne mogły być niechętne samej idei pomocy krewniakowi. Oznaczało to, że niektórzy z uwięzionych będą mogli raz na tydzień kupić w więziennym sklepiku trochę masła, sera, parówkę, biały chleb, tytoń i papierosy, inni natomiast mają być skazani na skąpy wikt więzienny, a co gorsza nie zaznają rozkoszy "powszechnego święta" -

"dnia wypiski". Żeby rozwiązać ten problem, więźniowie Butyrek przypomnieli sobie o popularnym w pierwszych dniach rewolucji hasle i powołali do życia

"kombiedy". Każdy z aresztowanych przelewał na rzecz takiego

"komitetu" określony procent swoich pieniędzy, a komitet nabywał

produkty żywnościowe dla tych, którzy gotówki

pozbawieni byli w ogóle. System funkcjonował kilka lat, dopóki władze nie postanowiły go zlikwidować, obiecując uwięzionym różne formy

"nagród" w zamian za odmowę udziału w "kombiedach". Cele odpowiedziały na to bojkotem towarzyskim "otkazczikow". A któż - pyta retorycznie Szalamow - "zaryzykuje, aby przeciwstawić się więziennemu kolektywowi, ludziom, którzy przebywają z tobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i jedynie sen ratuje cię przed nieprzyjaznymi, wrogimi spojrzeniami kolegów?". Interesujące, że opowiadanie to jest jednym z kilku zaledwie z bogatego dorobku Szalamowa, które kończy się pewną nutą optymizmu: "Ludzki kolektyw, zwarty -jak to bywa zawsze w więzieniu w odróżnieniu od "wolności" i łagru - przy całkowitym pozostawaniu poza prawem, znajduje miejsce, w którym może uzewnętrznić swoją siłę duchową dla upartego umacniania powszechnego ludzkiego prawa do życia według własnego upodobania".

Najbardziej pesymistycznie nastawieni pisarze doszli do wniosku, że istnieje

tylko jedna zorganizowana forma solidarności więźniów - dzielony wspólnie

strzępek nadziei; szybko rozwiewa go jednak bez reszty trauma transportu do łagru i okropieństwo pierwszych, przerażających dni w obozie.

ROZDZIAŁ 9

Transport, przybycie, selekcja

„Pamiętam port Wanino i zgiełk

ponurego statku, kiedy

wchodziliśmy przez furtę Do

zimnej, brudnej ładowni.

Zeki cierpiały od huśtaniny fal,

Wokół nich wyło głębokie morze, a

przed nimi był Magadan, Stolica

kołymskiej ziemi.

Kiedy zegnaliśmy kontynent,

Z wszystkich piersi wyrwał się

Nie płacz, lecz żalospny jęk,

A statek zataczał się, trzeszczał w szwach i jęczał”.

Sowiecka pieśń więzienna

W 1827 ROKU żona dekabrysty Siergieja Wołkońskiego, księżna Maria Wołkońska

porzuciła rodzinę, dziecko i bezpieczne życie w Petersburgu, by towarzyszyć

mężowi na syberyjskim zesłaniu. Biograf księżnej opisuje jej podróż, która - mierzona kryteriami tamtego czasu - wydawała się pasmem niemożliwych niemal do

zniesienia trudności. „Dzień po dniu sanie rwały naprzód w stronę ciągnącego się bez końca horyzontu. Maria zamknięta jakby w kapsule czasu, była w stanie gorączkowej radości. Podróż miała w sobie coś nierealnego; Maria prawie nie spała i bardzo mało jadła. Czasami tylko zatrzymywała się na krótki wypoczynek, by wypić szklankę herbaty z cytryną z wszechobecnego miedzianego samowara. Zaprzężone w trójkę koni sanie pożerały puste przestrzenie z oszałamiającą prędkością. "Dalej, hajda" - pokrzykiwali woźnice, konie wyrzucały spod kopyt pióropusze śniegu, a janczary dzwoniły niestrudzenie, dając znać o zbliżaniu się trojki”. Po upływie ponad stulecia utrzymaną w podobnym duchu relację autorstwa

pewnego szlachcica, wędrującego przez Góry Uralskie, przeczytała kobieta, z którą Jewgienia Ginzburg siedziała w jednej celi. Przeczytała i rzekła z westchnieniem zazdrości: "Przez całe życie uważałam, że nie da się przewyższyć w męczeństwie dekabrystek". Dwudziestowiecznych skazańców nie wiozły "z upajającą" prędkością przez śniegi Syberii żadne sanie i żadne konie; nie było też "herbaty z cytryną" z miedzianego samowara na stacjach pocztowych. Nie da się wykluczyć, że księżna Wołkońska płakała w czasie podróży, ale podążający jej śladem więźniowie nie byli nawet w stanie słuchać słowa "etap" - więziennego synonimu pojęcia "transport" - bez dławiącego za gardło strachu. Każda podróż była gwałtownym skokiem w nieznaną, oddalającym ich od znanych dobrze współwięźniów i oswojonych warunków życia - obojętne jak bardzo nędznych. Co gorsza, proces

przerzucania ludzi z więzienia do więzienia, z więzienia tranzytowego do obozu

i z łagru do łagru w ramach całego ich systemu był czymś wyczerpującym psychicznie i niewymownie okrutnym. Pod wieloma względami "etap" to najtrudniejszy do wyjaśnienia aspekt życia Gułagu. Gehenna ta, zwłaszcza dla przeżywających ją po raz pierwszy, miała charakter wydarzenia brzemiennego symboliką. Areszt, śledztwo i przesłuchanie były swego rodzaju inicjacją, wprowadzeniem w system, jednak podróż przez Rosję oznaczała zerwanie z całym dotychczasowym życiem, a zarazem początek nowej egzystencji. Gorączka emocji zawsze sięgała zenitu we wszystkich

pociągach odjeżdżających z Leningradu czy Moskwy na północ i wschód.

Thomas Sgovio doskonale pamięta, co się działo w chwili, gdy jego eszelon ruszał na Kołymę: "Nasz pociąg wyjechał z Moskwy wieczorem, 24 czerwca. Zaczęła się trwająca miesiąc podróż na wschód.

Siedemdziesięciu mężczyzn [...] zaczęło płakać". Długie transporty odbywały się najczęściej etapami. Jeśli opróżniane były więzienia w dużych miastach, zeków przewożono najpierw na dworzec ciężarówkami, których już sam wygląd świadczył o typowej dla NKWD obsesji tajności.

Z zewnątrz "czarne wrony" - jak przezywano te pojazdy - wyglądały jak zwykłe furgony ciężarowe. W latach trzydziestych często opatrywano je wielkim napisem "chleb" po obu stronach kabiny, później sięgano też i po bardziej wyrafinowane pomysły. Jeden z więźniów aresztowanych w roku 1948 pamięta, że przewożono go ciężarówką z napisem "kotlety moskiewskie", a potem innym, oznakowanym "warzywa i owoce".

Samochody podzielone były wewnątrz - mówiąc słowami jednego z ich pasażerów - "na malusieńkie, absolutnie ciemne klatki-kabinki". Do każdej wpychało się jednego osobnika. Oddychać nie było czym. Rzeczy zwalano w korytarzyku, między dwoma rzędami klatek. Opis projektu z roku 1951 mówi po prostu o dwóch długich ławach, na których więźniowie mieli tłoczyć się jeden za drugim. Chłopów i deportowanych na początku wywózek ze wschodnich ziem polskich i terenów państw bałtyckich czekały jeszcze gorsze warunki. Ładowano ich do zwykłych samochodów ciężarowych - tak ujął to w rozmowie ze mną pewien stary Litwin - "jak sardynki". Ci, którzy znaleźli się w nich pierwsi, musieli rozkładać nogi, by zrobić miejsce dla kolejnych i tak dalej, póki ciężarówka nie została wypełniona po brzegi. System ten był wyjątkowo niewygodny, jeśli należało zabrać po drodze większą liczbę ludzi, w takich wypadkach bowiem dojazd na stację trwał nieraz cały dzień. W

czasie deportacji ludności z polskich ziem wschodnich w lutym 1940 roku małe dzieci zamarzały na śmierć, a starsi docierali na dworzec z ciężkimi odmrożeniami rąk i nóg, po których wielu już nigdy nie dochodziło w pełni do siebie. W miastach prowincjonalnych nie przestrzegano tak rygorystycznie zasad tajności i więźniowie maszerowali często na stację piechotą - dla wielu ostatnia okazja zobaczenia, jak wygląda życie cywilne, a dla lokalnych mieszkańców

jedna z niewielu okazji ujrzania na własne oczy więźnia. Janusz Bardach przypomina sobie własne zdziwienie reakcją obywateli Pietropawłowska na widok

maszerujących ulicami kolumn więźniów: „W większości były to kobiety w chustach i długich filcowych kapotach. Ku mojemu zdziwieniu zaczęły krzyczeć w stronę strażników: "Faszyści!... Mordercy!... Dlaczego nie idziecie walczyć na front? [...] Obrzucały ich pigułami śnieżnymi. Kilku konwojentów dało ognia w powietrze, kobiety odstały o kilka kroków, ale nadal - miotając

przekleństwa - szły za nami. Rzuciły nam paczki, bochenki chleba i zawinięte w węzełek kartofle ze słoniną. Jedna z nich zdjęła szal i zimową kurtkę i oddała je jakiemuś pozbawionemu zimowej odzieży więźniowi.

Mnie dostały się wełniane łapawice". Zachowania tego rodzaju miały w Rosji długą tradycję.

Dostojewski wspomina "fantazyjne kształty bochenków chleba, wypiekanych z najprzędniejszego gatunku mąki", które rosyjskie gospodynie domowe wysyłały do więzień carskich na Boże Narodzenie. W latach czterdziestych były one jednak rzadkością. W

wielu

miejsowościach - na przykład Magadanie - widok więźniów na ulicach spowszedniał tak dalece, że przestał budzić jakiegokolwiek emocje.

Ciężarówką albo piechotą, więźniowie docierali w końcu na stację; czasem były to normalne dworce kolejowe; niekiedy przystanki specjalnie zbudowane o bardzo charakterystycznym wyglądzie - "kawał gołej ziemi, otoczony drutem kolczastym". Taki właśnie obraz utkwił w pamięci Finkelsteina. Przypomina on sobie również, że przed załadunkiem do wagonów więźniowie musieli poddać się specjalnemu rytuałowi:

„Kolumna więźniów jest długa; przeliczają nas, liczą nas ponownie i jeszcze raz od nowa. Podstawia się pociąg [...] pada rozkaz: "Na kolana!".

Załadunek do wagonów to

moment niebezpieczny - ktoś może próbować uciec. Dlatego każą wszystkim klękać.

Lepiej nie wstawać, strażnicy bardzo chętnie pociągają za spust. Znowu przeliczają wszystkich, ładują do wagonów i zamykają je. Pociąg nigdy nie rusza od razu - stoi całymi godzinami - i nagle "pojechali!".

Ruszamy”. Z zewnątrz taki wagon kolejowy wyglądał najzupełniej normalnie, poza może tym, że był znacznie lepiej zabezpieczony.

Aresztowany w Polsce Edward Buca dokonał szczegółowych oględzin swego wagonu uważnym okiem człowieka myślącego o ucieczce. Buca przypomina sobie, że "każdy wagon owinięty był kilkoma warstwami drutu kolczastego, na zewnątrz miał specjalne, drewniane platformy dla strażników, na dachu przy podłodze zainstalowane były silne lampy elektryczne, a wszystkie okna zabezpieczone grubą, żelazną kratą". Nieco później Buca zajrzał też pod wagon, aby sprawdzić, czy wzdłuż podwozia zainstalowane są stalowe haki. Były. Także Finkelstein pamięta, że każdego dnia rano słyszał odgłosy walenia młotkiem - strażnicy opukiwali pociąg drewnianymi młotami, sprawdzając, czy nikt nie próbował uciec, wycinając dziurę w podłodze wagonu. Zdarzało się - choć bardzo rzadko -

że dla więźniów o wyjątkowym znaczeniu przygotowywano warunki specjalne. Anna Łarina, żona jednego z najwybitniejszych przywódców sowieckich Bucharina, nie podróżowała z innymi więźniami; ulokowano ją w części pociągu zarezerwowanej dla strażników. Znakomita większość uwięzionych podróżowała jednak wspólnie w jednym z dwóch rodzajów wagonów kolejowych. Pierwszym był "wagon stołypinowski", tzw.

stołypinka, nazwana tak ironicznie od jednego z bardziej energicznych carskich ministrów

reformatorów z początku XX wieku, który -jak głosiła fama - miał ten rodzaj wagonu osobiście zaprojektować. Stołypinki łączono w duże eszelony specjalne bądź doczepiano je do zwykłych pociągów kursowych. A oto opis takiego pojazdu widzianego oczyma jednego z pasażerów:

„Stołypinka przypomina zwykły rosyjski wagon kolejowy trzeciej klasy, z tym tylko że dużo w nim krat i barier. Okna są oczywiście okratowane, a przedziały oddzielone od siebie metalową siatką, jak klatki. Od korytarza oddziela je żelazna bariera. Pozwala to konwojentom mieć zawsze wszystkich więźniów na oku”.

Wagony stołypinowskie również bywały bardzo, ale to bardzo zatłoczone:

„Na każdej z dwóch górnych prycz leży dwóch ludzi - jeden głową, drugi nogami do przodu; na dwóch środkowych - siedmiu z głowami zwróconymi ku drzwiom i jeden

w poprzek, u ich stóp. Pod każdą z dwóch dolnych osób - jeden, a czternastu dalszych na pryczach i pakunkach stłoczonych na podłodze między pryczami a drzwiami. W nocy wszyscy ci z najniższego poziomu jakimś cudem układają się jeden obok drugiego”. Miały one jednak inną jeszcze, o wiele bardziej istotną niedogodność. W stołypinkach strażnicy mogli obserwować więźniów przez cały czas, bez najmniejszej przerwy kontrolować, co jedzą, słyszeć ich rozmowy i decydować, kiedy i gdzie mają załatwić swoje potrzeby naturalne. W rezultacie niemal wszyscy pamiętnikarze opisujący transporty kolejowe wspominają o koszmarze związanym z kwestią wypróżniania się. Raz, niekiedy dwa razy na dobę (a bywało też, że ani razu) strażnicy wyprowadzali więźniów do toalety.

Zdarzało się również, że po prostu zatrzymywali pociąg i kazali pasażerom wysiadać: "Do najgorszego dochodzi, kiedy po długich utarczkach z konwojentami wypuszczają nas wreszcie z wagonu i każdy rozgląda się gorączkowo za wolnym miejscem pod wagonem, gdzie mógłby się w spokoju załatwić bez obawy, że licznie zgromadzeni widzowie oglądać go będą ze wszystkich stron”. Obojętnie, jak bardzo krępujące bywały takie postoje, w znacznie gorszej sytuacji znajdowali się więźniowie cierpiący na chroniczny rozstrój żołądka i inne dolegliwości gastryczne: "Więźniowie, którzy nie byli w stanie powstrzymać się, jęcząc z bólu, brudzili własne spodnie, a niejednokrotnie także siedzących obok sąsiadów.

Mimo poczucia jednoczącej nas w ciężkich chwilach wspólnoty niektórym trudno

było nie czuć nienawiści do nieszczęśników, którym się to przytrafiało".

Z tej właśnie przyczyny niektórzy woleli inny środek transportu - wagony bydłce. Jak wskazuje sama nazwa, były to zwykłe, puste wagony, niekoniecznie i nie zawsze dostosowane do przewozu ludzi; niekiedy wyposażone w niewielki

piecyk ustawiony na środku, a czasami w prycze. Znacznie bardziej prymitywne

od stołypinek wagony bydłce nie były podzielone na przedziały, toteż panowała

w nich nieco większa swoboda ruchu. Miały również "toalety" - wycięte w podłodze dziury - dzięki czemu podróżujący nie musieli tak często toczyć upokarzających rokowań ze strażnikami i błagać ich

o postój. Jednakże i wagony bydłące miały swoje niedogodności, przysparzające więźniom dodatkowych cierpień. Czasami na przykład zatykał się otwór w podłodze.

W wagonie, którym jechał Buca, wspomniana dziura zamarzła. "Co wtedy robiliśmy? Siusialiśmy przez szpary między podłogą a drzwiami wagonu, a większe potrzeby załatwialiśmy na kawałki szmat, które składaliśmy później w małe, eleganckie paczuszki w nadziei, że zatrzymają gdzieś pociąg i otworzą drzwi, a wtedy będziemy mogli je wyrzucić". W

wagonach, w których stłoczono mężczyzn razem z kobietami i dziećmi, wspomniane otwory w podłodze stwarzały też i innego rodzaju problemy.

Jedna z byłych deportowanych, zesłana na początku lat trzydziestych jako córka kułaka, pamięta, że ludzie byli "potwornie skrępowani" tym, że muszą siusiać na oczach wszystkich, i jak sama czuła się wdzięczna, że może to robić pod osłoną "spódnicy swojej matki".

Mimo wszystko najgorszą torturą nie był tłok, problem toalet czy wstydu i skrępowania, lecz brak jedzenia, a zwłaszcza wody. Czasami - zależało to od trasy i rodzaju pociągu - więźniom podawano w trakcie podróży ciepłe posiłki. W innych wypadkach - nie. Zazwyczaj racja "suchego prowiantu" wydawana na czas

transportu składała się z chleba, który wydzielano bądź w małych, trzystugramowych pajdach codziennie, bądź w większych ilościach, około dwóch kilogramów, co miało starczyć na trzy-cztery dni podróży. Razem z chlebem transportowani dostawali zazwyczaj soloną rybę - która wywoływała straszliwe pragnienie. Mimo to rzadko kiedy dostawali więcej niż jeden kubek wody dziennie, nawet w lecie. Była to praktyka tak powszechna, że historie o niewysłowionych mękach, jakie sprawiało transportowanym więźniom pragnienie, pojawiają się we wspomnieniach ustawicznie. "Pewnego razu nie dostaliśmy wody przez trzy dni i w wigilię Nowego Roku 1939, gdzieś w okolicach Bajkału musieliśmy lizać poczerwiałe sople zwisające z dachu wagonu" - pisał jeden z byłych zeków

. W ciągu trwającej 28 dni podróży - wspomina inny - wodę podano nam tylko trzy razy, kiedy pociąg od czasu do czasu się zatrzymywał, "by usunąć trupy z wagonów". Męki cierpieli nawet ci, którym dawano ów kubek wody dziennie. Jewgienia Ginzburg pamięta straszliwy dylemat, przed jakim codziennie stawał więzień - wypić wodę od razu, czy starać się ją oszczędzać. "Niektóre wolą wypić całą dzienną porcję z rana. Te, które oszczędzają, żeby od czasu do czasu sączyć po łyku do samego wieczora, nie mają chwili spokoju. Wciąż z lękiem patrzą na kubek, co chwila wybuchają konflikty, grożące zupełnym zerwaniem stosunków między wczorajszymi przyjaciółkami". Sprawa ta rzecz jasna dotyczyła tylko tych,

którym się poszczęściło na tyle, że mieli własny kubek. Jeden z więźniów do końca życia miał w pamięci ów tragiczny moment, kiedy skradziono mu czajnik, który jakimś cudem udało mu się do tej pory zachować. Z

czajnika woda się nie wylewała, mógł więc pić ją po łyku przez cały dzień. Po kradzieży nie miał już żadnego naczynia na wodę i doskwierało mu straszliwe pragnienie. Jeszcze gorsze chwile przypomina sobie Nina Hagen-Thorn, której transport w pełni lata zatrzymał się na trzy dni pod Nowosybirskiem. Miejskie więzienie przejściowe było przepełnione. "Był

lipiec. Straszliwy upał. Dachy stołypinek zaczęły świecić z gorąca, a my leżałyśmy na pryczach jak bułki w piecu". Jej wagon postanowił rozpocząć strajk głodowy, nie bacząc na pogróżki strażników, że dostaną za to wyższe wyroki. "Nie chcemy dostać dyzenterii -

krzyczały do nich kobiety. - Już cztery dni leżymy we własnym gównie".

Ostatecznie - acz z wyraźną niechęcią - straż pozwoliła im umyć się i napić trochę wody". Pociąg, którym jechał pewien Polak, zatrzymał się w polu podczas ulewnego deszczu. Więźniowie próbowali oczywiście złapać trochę wody spływającej z dachu wagonu. Kiedy jednak - pisze on -

"wystawiliśmy nasze kubki przez kraty okna, siedzący na dachu strażnik krzyknął, że będzie strzelać, jako że zachowanie tego rodzaju było surowo zakazane". Zimą wcale nie musiało być lepiej. Inny deportowany Polak przypomina sobie, że przez całą podróż na wschód nie mieli nic poza

"zmrożonym chlebem i zamarzniętą na lód wodą". Inni cierpieli sobie tylko właściwe męczarnie, bez względu na to, czy transportowano ich zimą, czy latem. Kiedy jeden z pociągów z zesłańcami zatrzymał się na zwyczajnej stacji kolejowej, wszyscy rzucili się, by kupić coś do jedzenia od miejscowej ludności. "Nasi Żydzi gorączkowo szukali jajek -

wspomina pasażer tego pociągu, Polak. -Woleli raczej umrzeć, niż zjeść coś niekoszernego". Najstraszliwiej cierpieli starcy i najmłodsi. Barbara Armonas - Litwinka, żona obywatela amerykańskiego - deportowana została wraz z liczną grupą rodaków, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wśród nich znajdowały się dwie kobiety: jedna kilka godzin wcześniej powiła dziecko, drugą była sparaliżowana osiemdziesięcioletnia, niezdolna do kontroli własnych odruchów fizjologicznych. "Wkrótce wszyscy wokół

zaczęli potwornie śmierdzieć, a ona sama pokryła się otwartymi wrzodami". W wagonie było również troje niemowląt: „Rodzice mieli ogromne problemy z pieluchami, ponieważ nie było gdzie ich wyprać.

Czasami, kiedy pociąg zatrzymał się gdzieś po deszczu, matki wyskakiwały z wagonów i prały pieluchy w rowach z wodą i kałużach, przy których dochodziło do bójek, ponieważ jedni chcieli myć naczynia, drudzy prać pieluchy, a jeszcze inni myć się - a wszystko jednocześnie

[...]. Rodzice stawali na głowie, by utrzymać dzieci w czystości. Darli na pieluchy koszule i spódnice. Zabrudzone pieluchy suszono i trzepano; mokre mężczyźni owijali sobie wokół ciała, żeby szybciej wyschły. Nie lepszy był los nieco starszych dzieci. Czasami dni były upalne i wtedy w wagonach panował trudny do zniesienia zaduch. Szerzyły się choroby.

Dwuletni chłopak z naszego wagonu dostał wysokiej gorączki i bez przerwy płakał z bólu; rodzice próbowali go leczyć odrobiną aspiryny, którą ktoś im podarował. Na próżno; chłopak czuł się coraz gorzej i w końcu zmarł. Na następnym postoju - w jakimś lesie - strażnicy zabrali z wagonu jego ciało, rzekomo po to, żeby je pochować. Trudno opisać rozpacz i bezsilny gniew rodziców. W normalnych warunkach, gdyby zapewniono mu opiekę medyczną, dziecko by żyło, a teraz nikt nawet nie mógł być pewien, czy rzeczywiście je pochowano". Odmiennie niż w przypadku deportowanych, dla aresztowanych "wrogów ludu"

przygotowywano niekiedy "warunki specjalne", co skądinąd wcale nie musiało oznaczać poprawy ich sytuacji. Maria Sandracka aresztowana została razem z dwumiesięcznym dzieckiem i przydzielona do pociągu, którym transportowano karmiące piersią matki. Przez osiemnaście dni 65

kobiet i 65 niemowlaków podróżowało w dwóch wagonach bydłych, w zasadzie nieogrzewanych - jeśli pominąć dwa maleńkie, za to bardzo dymiące piecyki. Nie dawano im ani specjalnych racji żywnościowych, ani wody do kąpania dzieci i prania pieluch, które "pozieleniały w końcu z brudu". Dwie kobiety popełniły samobójstwo, podcinając sobie gardła kawałkami szkła; jedna postradała zmysły. Ich dziećmi zaopiekowały się inne matki -jedno z nich "zaadoptowała" Sandracka, która do końca życia była przekonana, że jej własne dziecko, które zachorowało na zapalenie płuc, przeżyło tylko dlatego, że karmiła je piersią. Lekarstw - oczywiście -

nie było żadnych. Sytuacja niewiele poprawiła się po przyjeździe do więzienia tranzytowego w Tomsku. Zaczęło chorować więcej dzieci; dwoje zmarło. Dwie następne matki usiłowały popełnić samobójstwo, ale je powstrzymano. Pozostałe ogłosiły strajk głodowy. Piątego dnia pojawiła się komisja NKWD; jedna z matek cisnęła w jej członków własnym dzieckiem. Dopiero po przybyciu do Tiemłagu - obozu kobiecego, przeznaczonego głównie dla aresztowanych "żon wrogów ludu" - Sandrackiej udało się zorganizować żłobek, a w końcu przekonać rodzinę do tego, by zabrała z łagru jej dziecko. Bez względu na to, jak niewiarygodna i nieludzka wydaje się ta historia, przypadek Sandrackiej wcale nie należał do wyjątków. Również jeden z byłych lekarzy obozowych opisuje "transport dziecięcy", do którego go przydzielono - 15

karmiących matek z niemowlętami na rękę wraz z 25 innymi dziećmi i dwiema "nianiami". Wszyscy musieli pod konwojem dojść na stację kolejową, gdzie załadowano ich nie do zwykłego pociągu, lecz wagonu stołypinowskiego z zakratowanymi oknami i pozbawiono odpowiednich racji żywnościowych. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, ale przerwy w podróży niekoniecznie musiały oznaczać chwilę wytchnienia dla podróżujących. Więźniowie wychodzili z wagonów, po czym -

ciężarówkami lub pieszo - transportowano ich do więzienia etapowego.

Reżim panujący w tego rodzaju miejscach przypominał regulamin aresztu śledczego, tyle że strażnicy byli jeszcze mniej zainteresowani losem swoich podopiecznych, których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już nigdy więcej nie mieli ujrzeć na oczy. W rezultacie panujące w więzieniach tranzytowych porządki były zupełnie nieprzewidywalne.

Karol Hareńczyk - Polak, na początku drugiej wojny światowej wywieziony z Małopolski Wschodniej na Kołymę - opisał względne wady i zalety różnych więzień tranzytowych, do których zdarzyło mu się trafić.

W kwestionariuszu wypełnionym na prośbę polskich sił zbrojnych Hareńczyk stwierdza, że więzienie we Lwowie było suche, "raczej czyste"

i miało "przyzwoite prysznice". Natomiast więzienie kijowskie opisuje jako "zatłoczone, brudne ponad wszelkie wyobrażenie", w którym roiło się od wszy. W Charkowie, w celi o powierzchni 96 metrów kwadratowych, tłoczyło się 387 ludzi i tysiące wszy. W Aremowsku więzienie było

"niemal zupełnie ciemne"; nie pozwalano na żadne spacery; "na cementowej podłodze, której nikt nie mył, wały się resztki ryb. Brud, smród i brak świeżego powietrza powodowały bóle i zawroty głowy" tak silne, że więźniowie chodzili na czworakach. W Woroszyłowgradzie więzienie było "raczej czyste", a zatrzymanym dwa razy na dobę pozwalano załatwiać potrzeby fizjologiczne poza celą. W obozie etapowym w Starobielsku, zatrzymanych wyprowadzano na spacer raz w tygodniu na pół godziny. Wydaje się, że najbardziej prymitywne więzienia tranzytowe znajdowały się na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Więźniów przetrzymywano tam w oczekiwaniu na dalszy transport morzem na Kołymę. W latach trzydziestych istniała tylko jedna placówka tego rodzaju - Wtoraja Rieczka opodal Władywostoku, która szybko jednak stała się tak przepełniona, że w 1938 roku zbudowano dwa nowe obozy przejściowe - Zatoka Nachodka i Wanino. Nawet i tam nie było jednak wystarczającej liczby baraków dla tysięcy więźniów oczekujących na przybycie statków. Jeden z więźniów trafił do Zatoki Nachodka pod koniec lipca 1947 roku: "Pod gołym niebem trzymali 20 tysięcy ludzi. Nie było nawet mowy o barakach - wszyscy siedzieli, leżeli i żyli wprost na gołej ziemi". Z wodą też nie było lepiej niż w pociągach, mimo że nawet w pełni lata więźniów nadal karmiono głównie solonymi rybami:

„W całym obozie ustawiono tablice z ostrzeżeniem: "Nie pić nie przegotowanej wody" - nękały epidemie tyfusu i dyzenterii. Więźniowie ignorowali ostrzeżenia „[...]”, nikt nie jest nawet w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo zdesperowani byliśmy napić się czegokolwiek, byle tylko ugasić trawiące nas pragnienie”.

Dla więźniów mających za sobą kilka tygodni jazdy pociągiem - autorzy wspomnień twierdzą, że podróż koleją do Zatoki Nachodka mogła trwać i 47 dni - warunki panujące w obozach etapowych na wybrzeżach Pacyfiku były

niemal nie do zniesienia. Z relacji jednego z naocznych świadków wynika, że po

przyjeździe do Buchty Nachodka 70 procent jego towarzyszy z transportu cierpiało na kurzą ślepotę (efekt uboczny szkorbutu) i biegunkę. Trudno też było

liczyć na jakąkolwiek opiekę medyczną. W grudniu 1938 roku zmarł w obozie

Wtoraja Rieczka pozbawiony lekarstw i pomocy lekarskiej wybitny poeta rosyjski Mandelsztam. W ostatnich dniach życia Mandelsztam postradał

zmysły.

Ostatni etap drogi na Kołymę trzeba było odbyć statkiem - tak samo, jak więźniowie podróżujący w górę Jenisieju, do Norylska, lub barką, tak jak w epoce wcześniejszej, przez Morze Białe z Archangielska do Uchty.

Mało który z więźniów, wchodząc na statek zmierzający na Kołymę, nie miał poczucia, że rozpoczyna podróż do piekieł, przez Styks, pozostawiając za sobą cały znany świat. Wielu z nich nigdy nie było na pokładzie jakiegokolwiek jednostki pływającej. Statki jako takie, nie wyróżniały się niczym nadzwyczajnym. Linie na Kołymę obsługiwały stare holenderskie, szwedzkie, brytyjskie i amerykańskie frachtowce -

jednostki budowane z myślą o przewozie towarów, a nie ludzi, zmieniano je co prawda, przystosowując nieco do nowej roli, w przeważającej

były to jednak zmiany kosmetyczne. Największą jednostką Dalstroju był

stary kablowiec, nazwany początkowo "Nikołaj Jeżow", a gdy ten wypadł

z łask, statek przechrzczono i nadano mu imię "Feliks Dzierżyński", co pociągnęło za sobą niebagatelne koszty związane ze zmianą wpisu do międzynarodowego rejestru statków. Transporty otaczała tak ścisła tajemnica, że gdy w roku 1939 statek Dalstroju "Indigirka" z 1500

pasażerami na pokładzie - głównie więźniami wracającymi na kontynent -

rozbił się o rafę w pobliżu wyspy Hokkaido,

załoga wolała skazać na śmierć znakomitą większość owych "pasażerów", niż szukać dla nich ratunku. Rzecz jasna na statku nie było żadnych urządzeń ratunkowych, a załoga nadal nie chcąc zdradzić sekretu ładunku, nie wezwała na pomoc

żadnej ze znajdujących się na tym akwenie jednostek, mimo że wiele z nich było

w pobliżu. Na ratunek rozbitkom przyszło na własną rękę kilku japońskich rybaków; niewiele to jednak pomogło. W katastrofie zginęło ponad tysiąc osób.

Ale nawet i bez katastrofy wymóg tajności niósł ze sobą kolejne cierpienia dla

więźniów, których trzymano w ścisłym zamknięciu. Strażnicy wrzucali racje żywnościowe przez luk, pozwalając walczyć o nie stłoczonym w ładowni więźniom.

Wodę spuszczano im do ładowni w wiadrach. Z tej przyczyny żywności i wody

w ładowni było o wiele za mało - podobnie brakowało również powietrza.

Anarchistka Jekatierina Olicka pamięta, że ludzie zaczęli wymiotować niemal od razu po zaokrętowaniu. Również Jewgienia Ginzburg zaczęła chorować natychmiast

po zejściu do ładowni: "Wydaje się, że trzymam się na nogach tylko dlatego, że

nie ma dokąd spaść". W samej ładowni "w ciasnocie zdrętwiały nogi, z głodu i od

morskiego powietrza kręciło się w głowie i przez cały czas zbierało się na wymioty [...]. Dużo nas, bardzo dużo. Jesteśmy ściśnięte tak, że ani odetchnąć. Siedzimy i leżymy wprost na brudnej podłodze, jedna na drugiej. Siedzimy, rozsunawszy nogi, żeby między nimi mógł jeszcze ktoś się zmieścić". Po przejściu obok wybrzeży japońskich więźniom pozwalano niekiedy wyjść na pokład i skorzystać z kilku znajdujących się tam toalet, których liczba nie pozostawała w żadnej rozsądnej proporcji do tysięcy transportowanych statkiem więźniów. Autorzy wspomnień różnie oceniają czas oczekiwania na wejście do toalety; niektórzy mówią o 7-8 godzinach; inni o całym dniu. Sgovio opisuje je w

sposób następujący: „Do burty przymocowano prowizoryczną, zbitą z desek budę przypominającą pudło. Przedostać się do niej - przechodząc przez reling miotanego falami statku - było i trudno, i niebezpiecznie.

Ludzie starsi i ci, którzy na morzu znaleźli się po raz pierwszy, bali się ryzykować dopóty, dopóki nie zmusiły ich do tego kulaki strażników i przykra konieczność fizjologiczna. Przez całą podróż przed budą okrągłą dobę stała długa kolejka. W "pudle" wolno było przebywać jednocześnie tylko dwóm osobom”. Mimo wszystko ogrom cierpień spowodowanych warunkami podróży bladł wobec okrucieństw, jakie zadawali sobie sami więźniowie - a ściślej rzecz biorąc znajdujący się w eszelonie kryminaliści. Odnosi się to zwłaszcza do przełomu lat trzydziestych i czterdziestych, kiedy wpływy elementów kryminalnych na cały system obozowy sięgnęły zenitu, a przestępców kryminalnych i więźniów politycznych bezceremonialnie mieszano ze sobą. Część politycznych stykała się

z "urkami" już w pociągach. Zdaniem Aino Kuusinen "najgorsi byli owi młodociani kryminaliści, którym przydzielono górne półki; zachowywali się okropnie, pluli,

wykrzykiwali potworne przekleństwa, a nawet siusiali na dorosłych więźniów".

Na pokładzie statków sytuacja była o wiele gorsza. Elinor Lipper, którą wywieziono na Kołymę pod koniec lat trzydziestych, pisze, że polityczne

"leżały

razem na nasmołowanej podłodze ładowni, ponieważ błatne zajęły miejsca na drewnianych narach. Jeśli któraś z nas odważyła się unieść głowę, była bombardowana gradem rybich łepków i kręgosłupów. Gdy któraś z błatnych chorowała na chorobę morską, wymiociny spadały wprost na nas". Obiektem agresji ze strony przestępców kryminalnych byli zwłaszcza więźniowie z zachodu i państw bałtyckich - mieli bowiem lepszą odzież i więcej wartościowych przedmiotów niż ich sowieccy towarzysze. Pewnego razu kryminaliści na statku zaatakowali grupę więźniów - Polaków - zabijając kilku i okradając pozostałych. "Dla tych, którzy pozostali przy życiu, stało się jasne, że resztę swoich dni spędzą w piekle". Konsekwencje stłoczenia w jednym miejscu więźniów różnych płci były dużo gorsze od przemieszania ze sobą politycznych i kryminalistów. Teoretycznie było to zakazane; kobiety i mężczyźni mieli być trzymani na statkach osobno.

Często jednak bywało, że przekupieni strażnicy pozwalali mężczyznom wejść

do "kobiecej" części ładowni, z wszelkimi tego, przerażającymi konsekwencjami. O tak zwanym tramwaju kołymskim - zbiorowych gwałtach na pokładach statków - głośno było w całym systemie łagrow sowieckich. Proceder ten opisuje naoczny jego świadek, Jelena Glink:

„zaczęto na rozkaz "konduktora" tramwaju [...], później - na komendę:

"konczaj baliet" [koniec zabawy], gwałciciel niechętnie ustępował

stojącemu obok w pełnej gotowości innemu mężczyźnie[...] Ciała zmarłych kobiet wyciągano za nogi i wyrzucano poza ładownię. Pozostałe cucono, polewając wodą - i kolejka zaczynała się od nowa. W 1951 roku na statku "Mińsk" zwłoki kobiet wyrzucano przez burtę do morza.

Strażnicy nawet nie zapisywali nazwisk zmarłych". Z relacji Glink wynika, że nikt nie poniósł żadnej kary za gwałty dokonywany na więźniarkach. Potwierdza to Bardach, młody człowiek, który w 1942 roku znalazł się na jednym ze statków płynących na Kołymę. Słyszał, jak grupa kryminalistów planowała wypad do kobiecej części ładowni, i widział, jak przestępcy wyrąbali przejście w kracie oddzielającej więźniów obojga płci:

„podbiegali do każdej napotkanej kobiety - którą atakowało kilku mężczyzn naraz – i natychmiast zdzierali ich ubranie. Widziałem, jak usiłowały się wyrwać, kopały napastników i orały im paznokciami twarze.

Kobiety wpadały w histerię, krzyczały i płakały. Gwałciciele przewracali je na plecy [...]. Podczas gdy większość rozbiegła się w poszukiwaniu kobiet, kilku roślejszych rozglądało się po pryczach za młodymi mężczyznami [...], młodzi leżeli później na brzuchach, na podłodze, krwawiąc i płacząc". Żaden z więźniów nie próbował powstrzymać gwałcicieli: "Setki innych mężczyzn obserwowało tę scenę z prycz, ale żaden nawet nie próbował interweniować. Gwałt skończył się dopiero wówczas - pisze Bardach - gdy strażnicy z górnego pokładu zaczęli zalewać ładownię wodą. Później wyciągnięto z niej kilka zabitych i rannych kobiet. Nie ukarano nikogo". "Každy - napisał jeden z byłych więźniów - kto zna piekło Dantego, powie, że nie ma tam nic gorszego niż to, co zdarzyło się na tym statku. Zachowało się wiele relacji z transportów; niektóre z nich tak tragiczne, że z trudem przychodzi je powtarzać. Były to podróże tak przerażające, że w zbiorowej pamięci ocalałych stały się mitem - mitem niemal równie trudnym do zrozumienia i wyjaśnienia jak same łagry. Odwołując

się do mniej lub bardziej normalnych cech psychiki ludzkiej, można jakoś wytłumaczyć okrucieństwo komendantów obozów, nad którymi - o czym będziemy mieli okazję się przekonać - wisiał bicz wypełnienia norm i wykonania planu. Można nawet wyjaśnić motywy zachowania śledczych, jako że ich własne życie zależało od tego, jak sprawnie potrafią wymusić na aresztowanym przyznanie się do winy, a poza wszystkim rekrutowano ich niekiedy ze względu na sadystyczne upodobania i skłonności. Trudniej jednak, dużo trudniej wytłumaczyć, dlaczego prosty konwojent odmawiał

podania wody umierającym z pragnienia więźniom czy tabletki aspiryny gorączkującemu dziecku albo nie robił nic, by ochronić kobietę przed zbiorowym gwałtem kończącym się jej śmiercią. Nie ma żadnych dowodów, że konwojentom wprost nakazywano zęcać się nad transportowanymi. Przeciwnie, istniały rozbudowane i szczegółowe przepisy

normujące zasady ochrony transportów więźniów; niejednokrotnie też wyrażano

oficjalnie niezadowolenie z powodu zbyt częstego ich łamania. Wydane w grudniu

1941 roku rozporządzenie "o poprawie organizacji transportu więźniów"

w ostrych słowach opisuje "nieodpowiedzialność", a niekiedy

"przestępcze" zachowania części straży konwojowej i funkcjonariuszy Gułagu: "W rezultacie więźniowie przybywają do wyznaczonych miejsc zagłodzeni i przez pewien czas nie

mogą zostać skierowani do pracy". Utrzymany w tonie głębokiego niezadowolenia oficjalny rozkaz z lutego 1940 roku uskarża się nie tylko, że do transportów skierowanych do obozów na Północy włącza się więźniów chorych i niezdolnych do pracy - co samo w sobie było zakazane - ale ubolewa również, iż znacznie większej liczbie innych nie dostarcza się żywności i wody, nie przydziela im ubrań odpowiednich do panujących na trasie transportu warunków klimatycznych oraz nie nadsyła wraz z nimi ich akt i danych personalnych, które w związku z tym w ogóle giną. Innymi słowy, więźniowie przybywają do obozów, w których nikt nie wie, jakie popełnili przestępstwo i jaki otrzymali wyrok. Z 1900

więźniów z jednego tylko transportu wysłanego na Daleką Północ w 1939

roku 590 dotarło na miejsce w stanie "ograniczonej zdolności do pracy" -

byli zbyt wycieńczeni lub zbyt chorzy. Niektórym pozostało zaledwie kilka miesięcy do końca wyroku, niektórzy w ogóle odbyli już cały wyrok.

Większość nie miała ciepłej odzieży i była "źle obuta". W listopadzie 1939 roku grupę kolejnych 272 więźniów, z których żaden nie miał

zimowych ubrań, przetransportowano na odległość 500 kilometrów odkrytymi samochodami ciężarowymi, w następstwie czego wielu zachorowało, a kilku później zmarło. Wszystkie te wypadki zostały opisane w tonie ostrym i znamionującym rozdrażnienie; strażników winnych wspomnianych zaniedbań ukarano. Liczne instrukcje regulowały również kwestie więzień etapowych. Na przykład rozkaz z 26 lipca 1940

roku, określający zasady organizacji więzień tranzytowych, nakładał na ich naczelników obowiązek budowy łaźni, odwszalni i utrzymywania czynnych kuchni. Nie mniej ważna była kwestia warunków bezpieczeństwa w więziennej flocie Dalstroju. Kiedy w grudniu 1947 roku na dwóch dokujących w porcie Magadan statkach doszło do eksplozji dynamitu, która pociągnęła za sobą 97 ofiar śmiertelnych i 227 rannych wymagających hospitalizacji, Moskwa oskarżyła władze portu o

"przestępcze zaniedbania". Odpowiedzialnych postawiono przed sądem i skazano z paragrafów dotyczących przestępstw natury kryminalnej.

Moskiewscy zarządcy Gułagu byli w pełni świadomi dziejących się na statkach więziennych potworności. Autor raportu urzędu prokuratorskiego w Norylsku z 1943 roku uskarża się, że więźniowie transportowani na pokładzie jednostek pływających (przewożono ich w górę Jenisieju barkami) są "często w fatalnej kondycji fizycznej [...], z 14 125 więźniów przybyłych do Norylska w 1943 roku około 500 hospitalizowano w Dudince [port Norylska] pierwszego lub drugiego dnia po przyjeździe; około tysiąca było czasowo niezdolnych do pracy, ponieważ pozbawiono ich pożywienia". Mimo całej tej wrzawy na przestrzeni lat niewiele zmienił się system transportu więźniów. Wydawano rozkazy i rozporządzenia, pisano skargi, a tymczasem 24 grudnia 1944 roku konwój, jaki przybył na stację kolejową w Komsomolsku na Dalekim Wschodzie, był w stanie, który nawet zastępca prokuratora Gułagu uznał za "straszny".

Sporządzony przez niego raport na temat losów "eszelonu SK 950" -

pociągu złożonego z 51 wagonów - uznać wypadka za swego rodzaju "dno upadku" nawet w koszmarnej historii transportów więziennych Gułagu:

„Więźniów przewożono nieogrzewanymi i nieprzystosowanymi do tej funkcji wagonami. W każdym wagonie było 10-12 przycz, na których mogło się pomieścić góra osiemnastu ludzi, tymczasem upychano na nich po czterdziestu ośmiu więźniów. Za mało było zbiorników na wodę; w rezultacie nie wydawano jej często całymi dniami. Więźniów karmiono zamrożonym na kość chlebem, zdarzało się również, że przez kilka dni

z rzędu w ogóle nie dostawali nic do jedzenia. Przyjeżdżali do miejsc przeznaczenia w letniej odzieży, brudni, zawszeni z widocznymi na pierwszy rzut oka symptomami odmrożeń [...]. Pozbawieni pomocy lekarskiej chorzy tłoczyli się na podłodze wagonu. Tam też umierali; zdarzało się, że przez dłuższy czas nikt nie zadawał sobie trudu, by usunąć z wagonu zwłoki”. Spośród 1402 ludzi wysłanych "eszelonem SK 950" na miejsce przeznaczenia przybyło 1291; 52 zmarły po drodze, 66

zostawiono w szpitalach położonych wzdłuż trasy przejazdu. Po przybyciu hospitalizowano dalszych 335 osób z odmrożeniami trzeciego i czwartego stopnia, zapaleniem płuc i innymi chorobami. Wydaje się, że konwój był

w drodze 60 dni, z czego 24 stał na bocznicach "z powodu złej organizacji". Mimo że przypadek był tak rażący, komendant eszelonu niejaki Chabarow, otrzymał jedynie "naganę z ostrzeżeniem". Wielu z tych, co przeżyli podobne transporty, próbowało wytłumaczyć absurdalnie wręcz fatalne traktowanie

więźniów przez młodych, niedoświadczonych konwojentów, którym daleko było przecież do starannie wyszkolonych morderców zatrudnianych w systemie więziennym. "Nie były to przejawy złej woli, ale po prostu całkowitej obojętności - rozważa tę kwestię Nina Hagen-Thorn. -Nie patrzyli na nas jak na ludzi. Byliśmy żywym ładunkiem". Antoni Ekart, Polak aresztowany po inwazji sowieckiej na Polskę w 1939 roku, uważa, że: „[...] Brak wody nie był zadawaną nam z wymysłem torturą, ale przyniesienie nam wody wymagało od konwojentów dodatkowego wysiłku, toteż nie czynili tego bez wyraźnego rozkazu. Komendanta konwoju nic to nie obchodziło, a strażnicy nie mieli ochoty kilka razy na dobę konwojować więźniów do studni i kranów na stacjach, w obawie, że któryś z nich może spróbować ucieczki”.

Niektórzy z byłych więźniów dostrzegali w tym jednak coś więcej niż tylko

obojętność: "Rano w korytarzu pojawił się dowódca konwoju [...], stał

tyłem to

nas, z twarzą przyklepioną do okna, kłął i powtarzał: "nudzicie mnie!"".

Nuda, a raczej nuda połączona ze złością, złością z powodu wykonywania tak

poniżającej pracy - tym stara się wyjaśnić ów, skądinąd niewytłumaczalny, fenomen Solżenicyn. Próbuje nawet wczuć się w sposób myślenia strażnika konwoju.

Jesteśmy tacy zapracowani, tak źle opłacani i w dodatku mamy jeszcze

"nosić wodę

wiadrami kawał drogi, przy tym przykro jakoś: czemu to sowiecki żołnierz ma jak

juczny osioł dźwigać wodę dla wrogów ludu?". Nie dość na tym -

kontynuuje

Solżenicyn: „[...] tę wodę trzeba by rozdzielać strasznie długo - własnych kubków więźniowie nie mają, kto miał, temu już dawno zabrali - to znaczy trzeba by poić ich tymi dwoma co są w inwentarzu, a zanim się wszyscy napiją, ty stój człowieka cały czas jak głupi i podawaj, nabieraj i podawaj [...]. Ale wszystko to eskorta jeszcze by zniosła, niosłaby wodę i poić ich, gdyby te świnię, nachlawszy się wody, nie zaczynały od razu skamleć, że chcą do wychodka. A wychodzi na to, że jak im się nie da wody przez jakąś dobę - to w ogóle się nie napierają. Jak im się da pić raz na dobę - to jeden raz chcą iść za potrzebą. A jak się człowiek nad nimi ulituje i da pić dwa razy - to napierają się dwa razy.

Prosty rachunek wykazuje, że najlepiej wcale nie dawać pić”. Bez względu na to, co nimi powodowało - obojętność, nuda, gniew, poczucie urażonej godności własnej - miało to dla więźniów przerażające konsekwencje. Z reguły docierali do wyznaczonych obozów nie tylko zdezorientowani, zagubieni i poniżeni doświadczeniami więzienia, przesłuchań i śledztwa, lecz również wycieńczeni fizycznie. Ale też dojrzali do następnego etapu podróży w głąb systemu Gułagu - wejścia do łagru.

Jeśli tylko nie panowały absolutne ciemności, jeśli więzień nie był chory i jeśli wogóle przejawiał tyle zainteresowania światem, by na cokolwiek patrzeć, to pierwszą rzeczą, jaką dostrzegał po przybyciu na miejsce przeznaczenia, była brama obozu. Najczęściej, choć nie zawsze, widniało na niej hasło. Nad wejściem do jednego z kołymskich łagpunktów "zawieszona była wycięta z dykty tęczą przyozdobiona flaga, na której widniał napis: "Praca jest w Związku Sowieckim kwestią Godności, Chwały, Dumi i Bohaterstwa!". Kolonia pracy na przedmieściach Irkucka przywitała Barbarę Armonas słowami:

"Uczciwą pracą spłacę swój dług wobec Ojczyzny". Przybywszy w roku 1933 na Wyspy Sołowieckie - które podówczas stały się już więzieniem o specjalnym reżimie bezpieczeństwa - inny skazaniec dostrzegł napis:

"Żelazną pięścią poprowadzimy ludzkość do szczęścia!". Aresztowany w wieku lat czternastu Jurij Czirkow ujrzał na Sołówkach hasło: "Dzięki pracy - wolność!" - slogan zbliżający się niepokojąco i to na najmniejszy z możliwych dystans do "Arbeit Macht Frei" z bramy obozu w Oświęcimiu.

Przybyciu do łagru nowego etapu - tak samo jak pojawieniu się nowego aresztowanego w więzieniu - towarzyszył cały zestaw rytuałów; wyczerpanych transportem więźniów należało przekształcić w roboczych zeków. Jeden z Polaków, Karol Colonna-Czosnowski, wspomina: „Po przybyciu do obozu długo nas przeliczano [...]. Tego właśnie wieczoru zdawało się

to nie mieć końca; niezliczoną liczbę razy musieliśmy, piątkami, występować kolejno trzy kroki do przodu, a wyraźnie zaniepokojony funkcjonariusz NKWD odliczał: odin, dwa, tri... i pracowicie zapisywał

coś w wielkim notesie. Zapewne liczba żywych i zastrzelonych okazywała się - po zsumowaniu - nie taka, jak być powinna”. Po przeliczeniu zarówno mężczyzn, jak i kobiety prowadzono do łaźni i golono na całym ciele. Zabiegu tego dokonywano, zgodnie z oficjalnym regulaminem, z powodów higienicznych, zakładano bowiem, z zasady słusznie, że więźniowie przybywający z sowieckich zakładów karnych roją się od wszy. Miał on też poza wszystkim innym ważne znaczenie rytualne.

Kobiety opisują go z wyraźnym

przerażeniem i niesmakiem. I nic dziwnego, często bowiem kazano im zdjąć z siebie całe ubranie i czekać nago, pod okiem mężczyzn żołnierzy, na swoją

kolejkę do golenia. "Po raz pierwszy - wspomina Olicka, która uczestniczyła w tej ceremonii po przybyciu na Kołymę - usłyszałam głosy protestu: kobiety zawsze

będą kobietami...". Czegoś podobnego, tyle że w więzieniu etapowym, doświadczyła również Olga Adamowa-Sliozberg: „Rozebrałyśmy się, oddałyśmy odzież do dezynfekcji, a gdy zaczęłyśmy wchodzić na górę do umywalni, zorientowałyśmy się, że cała klatka schodowa jest - od góry do dołu - obstawiona strażnikami. Zażenowane spuściłyśmy głowy i zbiłyśmy się w ciasną gromadkę. Podniosłam oczy i mój wzrok skrzyżował się ze spojrzaniem oficera dyżurnego "Dalej, dalej! - krzyczał.

- Ruszać się!". Nagle poczułam się zupełnie odprężona, a cała sytuacja wydała mi się komiczna. Do diabła z nimi wszystkimi - pomyślałam. Nie są dla mnie mężczyznami bardziej niż byk Wasia, który ciężko wystraszył

mnie,

kiedy byłam małą dziewczynką". Następnym - po myciu i goleniu -

krokiem w procesie obracania mężczyzn i kobiet w anonimowych zeków było wydawanie odzieży. Normy reguł w kwestii tego, czy więzień może nosić własną odzież, nie były jednolite, zmieniały się z czasem i w różnych obozach wyglądały różnie. Ostateczną decyzję w dużej mierze pozostawiano, jak się wydaje, kapryswi lokalnych dygnitarzy. "W

niektórych łagpunktach mogłaś nosić własne ubranie, w innych nie" wspomina Galina Smirnowa, więziona na początku lat pięćdziesiątych.

Nie zawsze miało to jakieś znaczenie, w chwili dotarcia do obozu bowiem ubrania

wielu więźniów wisiały w strzępach (jeśli ich wcześniej nie skradziono).

Ci, którzy nie mieli własnej odzieży, musieli nosić obozowe uniformy, które

zawsze, bez wyjątku, były stare, znoszone, źle uszyte i niedopasowane.

Niektórzy a zwłaszcza kobiety, odnosili wrażenie, jakby ubrania, które im przydzielano były kolejnym, świadomym krokiem zmierzającym do ich poniżenia. Annę Iwanownę

żonę pisarza i spirytysty Daniła Andriejewa, zesłano najpierw do obozu, gdzie pozwalano nosić własne ubrania. Później, w 1948 roku, została przeniesiona do łagru, w którym było to zakazane. Zmianę tę Andriejewa odczuła jako osobistą zniewagę: "Odebrali nam wszystko - nazwiska i wszystko, co składa się na osobowość człowieka, po czym ubrali w jakieś łachy o niemożliwym do opisania kształcie. Nikt nie zadawał sobie trudu, by sprawdzić, czy ubrania pasują".

"Każdy z nas dostawał długie kalesony - pisze Bardach - czarną bluzę, spodnie, pikowany buszlat, filcową czapkę uszanke, buty na gumowych podszewkach i obszyte futrem rękawice. Ubrania rozdawano jak leci, dobranie właściwych rozmiarów należało już do nas. Wszystko, co dostałem, było na mnie za duże, odpowiednie numery zdobyłem dopiero po wielu godzinach targów wymiennych".

Więźniarka, równie krytyczna wobec mody obozowej, pisze, że wydawano

"krótkie waciaki, watowane spodnie do kolan i łapcie z kory brzoźowej.

Wyglądałyśmy jak monstra. Własnych ubrań nie miałyśmy prawie wcale.

Wszystko

sprzedane kryminalistkom, a ściślej mówiąc wymienione na chleb.

Jedwabne

pończochy i wstążki budziły tak powszechny zachwyt, że musiałyśmy je sprzedać.

Odmowa byłaby zresztą niebezpieczna". Wielu więźniów, którym stare i znoszone ubrania wydawały się uwłaczające godności osobistej, zadawało sobie później niemało trudu, by je jakoś przerobić. Jedna z byłych więźniarek wspomina, że z początku nie zwracała uwagi na wydzieloną jej

"starą i zniszczoną odzież". Z czasem jednak zaczęła cerować, przyszywać kieszenie i przerabiać jakoś ten ubiór "jak inne kobiety", dzięki czemu poczuła się mniej poniżona. Na ogół kobiety, które umiały szyć i reperować ubrania, mogły zarobić w ten sposób dodatkową porcję chleba

– tak bardzo pożądane były najdrobniejsze choćby urozmaicenia i poprawki standartowego uniformu obozowego. Umiejętność wyróżniania się, przybrania lepszego od innych wyglądu, zaczęła wiązać się – o czym będzie jeszcze mowa – z wyższą rangą w hierarchii obozowej, lepszym stanem zdrowia i większymi przywilejami. Znaczenie tych drobnych zmian i przeróbek doskonale

opisał Warłam Szalamow: „Bielizna w łagrze bywa "indywidualna" i

"ogólna". To biurokratyczne, oficjalnie przyjęte wyrażenia obok takich perełek jak "zawszawienie", "zapluskwienie" itd. "Indywidualna" bielizna to bielizna nowa, lepsza, którą zachowuje się dla obsługi łagrowej, dla więźniów dziesiętników i innych uprzywilejowanych osób [...]. Natomiast

"ogólna" bielizna jest bielizną wspólną. Rozdaje się ją od razu w łaźni po umyciu się, w zamian za brudną, zbieraną zresztą i podliczaną oddzielnie wcześniej. Nie może być nawet mowy o dobieraniu jej sobie według wzrostu. Czysta bielizna to prawdziwa loteria. Dziwny był to widok wyciskający łzy z moich oczu, gdy dorośli ludzie płakali skrzywdzeni, otrzymując w zamian za oddaną mocną bieliznę – czystą, ale zetloną. Nic nie potrafi zmusić człowieka, aby stanął jakby obok tych przykrości, z których składa się życie”. A jednak szok spowodowany przymusową kąpielą, goleniem i przywdzianiem stroju zeka był tylko pierwszym etapem długiego procesu inicjacji. Zaraz potem więźniowie przechodzili jedną z najważniejszych procedur w ich obozowym życiu – selekcję i przydział do jednej z kategorii robotników. Wynik decydował o wszystkim – poczynając od statusu więźnia w łagrze, przez typ baraku, na rodzaju wykonywanej pracy kończąc. To wszystko z kolei mogło przesądzić o tym, czy przeżyją. Muszę przyznać, i pragnę to podkreślić, że nie natknęłam się na żadne wspomnienia, opisujące

"selekcję" podobną do tej, jakiej dokonywano w niemieckich obozach śmierci. Rozumiem przez to, że nigdzie nie przeczytałam o selekcji, która kończyłaby się odprowadzeniem wycieńczonego i słabego więźnia na bok i wpakowaniem mu kuli w łeb. Przypadki tego rodzaju obrzydliwego okrucieństwa zdarzały się z całą pewnością – jeden z byłych więźniów Sołówek twierdzi, że udało mu się przeżyć coś podobnego – jednak ogólnie przyjęta praktyka, przynajmniej w końcu lat trzydziestych i na początku czterdziestych, wyglądała odmiennie. Więźniów wycieńczonych i słabych nie mordowano w jakichś dalej położonych obozach, zapewniano im raczej coś w rodzaju "kwarantanny". Miała ona zarówno zapobiec ewentualnemu rozprzestrzenieniu się choroby, na którą

cierpiał

więzień, jak i dać mu się "odkarmić" i powrócić do zdrowia po długich miesiącach więzienia i koszmarze transportu. Komendanci obozów zdawali się traktować tę praktykę serio, a więźniowie opinię tę potwierdzają. Bywało, że więźniom, nim zostali skierowani do kopalni, zapewniano jedzenie i

dawano wypocząć. Po długim transporcie do

Uchtiżemłagu polski

socjalista, Gliksman, uzyskał trzy dni odpoczynku; w tym czasie jego i innych nowo przybyłych traktowano jak gości. Ginzburg wspomina swoje pierwsze dni w głównym mieście Kołymy, Magadan, jako "kłęb niepamięci i bólu - niebytu". Zabrano ją - wraz z innymi - prosto z pokładu SS "Dżurma" do szpitala, gdzie po dwóch miesiącach w pełni wróciła do zdrowia. Inni byli bardziej sceptyczni. "Cielę na ubój - mówi inna więźniarka, Liza Szewielowa. - Komu potrzebna ta poprawa?"

Wyjdziecie stąd od razu na ogólne. Za tydzień znów zmienicie się w takiego samego trupa, jak byłyście na "Dżurmie". Po dojściu do zdrowia

- jeśli więźniowi dano taką szansę - ubranie się - gdy przydzielono mu nową odzież - selekcja i segregacja zaczynały się na dobre. W zasadzie był to proces unormowany i obwarowany licznymi przepisami. Jeszcze w roku 1930 Gułag wydał bardzo rygorystyczny, a zarazem niezwykle skomplikowany zespół rozporządzeń regulujących klasyfikację więźniów.

Teoretycznie o skierowaniu do takiego czy innego rodzaju pracy miały decydować dwa zespoły kryteriów oceny: "pochodzenie społeczne" i wyrok oraz stan zdrowia. W tej początkowej epoce więźniów dzielono na trzy kategorie: pierwsza to więźniowie wywodzący się z "klasy robotniczej", nie skazani za przestępstwa kontrrewolucyjne, z wyrokiem nie dłuższym niż pięć lat; druga obejmowała więźniów wywodzących się z "klasy robotniczej", nie skazanych za przestępstwa kontrrewolucyjne, z wyrokiem dłuższym niż pięć lat; do trzeciej należeli skazani za przestępstwa kontrrewolucyjne. Każdej z tych kategorii robotników przypisywano następnie jeden z trzech rodzajów reżimu więziennego -

uprzywilejowany, lekki i "pierwszej klasy", czytaj ciężki. Wszyscy mieli zostać przebadani przez komisję lekarską, która orzekała, czy zdolni są do wykonywania pracy ciężkiej, czy lekkiej. Dopiero wzięwszy pod uwagę wszystkie te kryteria, administracja obozowa miała przydzielić więźniowi konkretny rodzaj pracy. W zależności od stopnia wykonania właściwych każdemu rodzajowi pracy norm każdemu więźniowi przydzielano jeden z czterech poziomów racji żywnościowej - "szturmowy", roboczy, podstawowy i karny. Wszystkie opisane tu kategorie i zasady kwalifikacji wielokrotnie zmieniano. Na przykład rozporządzenie Berii z 1939 roku dzieliło więźniów na trzy kategorie: "zdolnych do pracy ciężkiej",

"zdolnych do pracy lekkiej" i "inwalidów" (nazywane niekiedy grupami: A, B i C). Moskiewski zarząd centralny skrupulatnie monitorował liczbę więźniów przypisanych do każdej z nich, surowo ganiąc obozy o zbyt licznej kategorii niezdolnych do pracy więźniów - inwalidów. W sumie proces

selekcji i segregacji znacznie odbiegał od normujących go założeń teoretycznych i przebiegał w pewnym sensie dwutorowo - formalnie, wedle zasad narzuconych przez komendanturę obozu, i nieformalnie - jako wynik wzajemnych porozumień i przetargów między samymi więźniami.

Większość tych, którzy klasyfikację obozową przeżyli po raz pierwszy, oceniała ją jako procedurę dość nieokrzesaną i brutalną. Gyorgy Bien, Węgier aresztowany w Budapeszcie pod koniec drugiej wojny światowej, porównuje proces selekcji, przez który przeszedł w 1946 roku, do targu niewolników:

„Wszystkim kazano wyjść na dziedziniec i rozebrać się; wyczytywano nazwisko i stawałeś przed komisją lekarską. Badanie ograniczało się do szarpnięcia skóry na pośladkach - sprawdzano w ten sposób, jakie masz mięśnie; stan umięśnienia uważano tu za kryterium siły i kondycji fizycznej. Jeżeli oględziny wypadły pozytywnie, uznawano cię za zdolnego do pracy, a twoje dokumenty wędrowały na oddzielny stos.

Oględzin dokonywały kobiety w białych fartuchach; wybór miały zresztą niewielki, ponieważ byliśmy gromadą żywych trupów. Wybierały wszystkich młodych mężczyzn, bez względu na stan ich umięśnienia”.

Określenia "targ niewolników" użył również Gliksman, opisując proces segregacji w obozie etapowym w Kotłasiu, który dostarczał siłę roboczą do łagrów położonych na północ od Archangielska. W tym wypadku strażnicy budzili więźniów w nocy, każąc im zebrać się następnego dnia rano z całym posiadaniem dobytkiem. Zbiórka była obowiązkowa dla wszystkich; stawić się na nią musieli nawet chorzy; po czym następował

wymarsz do otaczającego obóz lasu. Mniej więcej po godzinie więźniowie dochodzili do wielkiej poręby, gdzie formowali się w kolumny, po 16

osób w rzędzie: „Przez cały dzień widziałem nieznanymi mi funkcjonariuszy - w mundurach i bez - przechadzających się wśród więźniów, każących zdejmować im fufajki, pokazywać mięśnie rąk i nóg, by obejrzeć dłonie, i odwracać się w różne strony. Czasami rozkazywali więźniowi otwierać usta i gapili się w jego zęby, jak handlarze koni na jarmarku [...], szukali inżynierów, kwalifikowanych ślusarzy, cieśli budowlanych albo tokarzy - wszyscy rozglądali się za silnymi mężczyznami, nadającymi się na drwali, kołchoźników, górników i nafciarzy”. Gliksman uzmysłowił sobie, że dokonujący przeglądu troszczą się przede wszystkim o to, by "nie dać się wystrychnąć na dudka, nie pozwolić sobie wcisnąć paralityków, inwalidów i chorych - słowem ludzi, którzy potrafią tylko za darmo jeść. Z tej właśnie przyczyny od czasu do czasu przysyłano specjalistów, którzy starannie selekcionowali więźniarski "materiał roboczy"". Dokładnie od samego początku było również oczywiste, że przepisy są po to, by je łamać. W roku 1947 Nina Hagen-Thorn przeszła w obozie tiemnikowskim wyjątkowo upokarzającą selekcję, chociaż w ostatecznym rozrachunku jej wynik okazał się dla niej zupełnie pomyślny. Natychmiast po przybyciu do obozu jej konwój wysłany został pod prysznic. Całą odzież odesłano do komory dezynfekcyjnej, a nagie i ociekające jeszcze wodą kobiety wprowadzono do pomieszczenia, w którym miała się odbyć - jak im powiedziano -

"kontrola stanu zdrowia". Przebadać je mieli lekarze i rzeczywiście je przebadali, tyle że w obecności kierownika produkcji obozu i strażników:

„Major przechadzał się wzdłuż szeregu, dokonując przeglądu - od ręki podejmował decyzje. Do produkcji, Do szwalni! Do kołchozu! Do zony!

Do szpitala! Szef produkcji zapisywał nazwiska”. Usłyszawszy jej nazwisko, major zatrzymał się i spytał:

- Wasz stopień pokrewieństwa z profesorem Hagen-Thornem?

- Córka

- Umieścić ją w szpitalu, choruje na świerzb, ma czerwone plamy na brzuchu.

Wobec braku jakichkolwiek czerwonych plam na brzuchu Hagen-Thorn doszła

do wniosku -jak się później okazało - słusznego, że człowiek ten znał

kiedyś i podziwiał jej ojca, dlatego też postanowił uratować ją -

przynajmniej na pewien

czas-od ciężkiej pracy. Zachowanie więźnia w ciągu kilku pierwszych dni obozowego życia - w trakcie selekcji i bezpośrednio po niej - mogło mieć fundamentalny wpływ na jego dalsze losy. Na przykład polski pisarz Gustaw Herling-Grudziński podczas przyznanych mu po przybyciu do Kargopolągu trzech dni odpoczynku dokonał oceny sytuacji i sprzedał

"urce", brygadziście tragarzy kolejowych, za 900 gramów chleba swoje oficerki. W ramach rekompensaty kryminalista użył swoich wpływów w zarządzie obozu i pomógł pisarzowi uzyskać pracę tragarza w magazynie żywności. Herlingowi powiedziano, że praca jest ciężka, ale przynajmniej można ukraść coś do jedzenia, co -jak się okazało - odpowiadało prawdzie. Od razu uzyskał też pewne "przywileje". Komendant obozu kazał mu: „[...] zgłosić się w magazynie po odbiór buszłatu, uszanki, watowanych spodni, rękawic i walonek "pierwszego gatunku" (nowych albo lekko znoszonych) - czyli pełnego kompletu odzieży, jaki przysługuje tylko "udarnym" zespołom więźniów”. Protekcja i załatwianie ciemnych interesów przybierały również inne formy. Po przybyciu do Uchtiżemlągu Gliksman natychmiast zorientował się, że tytuł "specjalisty", który uzyskał

w obozie etapowym w Kotłasie (zakwalifikowano go tam jako biegłego księgowego), w samym łagrze nie ma żadnego znaczenia. Jednocześnie zauważył, że w ciągu pierwszych dni pobytu w obozie jego bardziej doświadczeni towarzysze nie zwracają najmniejszej uwagi na oficjalne formalności: „Większość tych "specjalistów" wykorzystwała owe trzy wolne dni na szwendanie się po biurach i urzędach obozu w poszukiwaniu starych znajomych i podejrzone negocjacje z administracją łagru. Byli szalenie zajęci i bardzo podnieceni; każdy miał własne sekrety i bał się, żeby ktoś inny nie sprzątnął mu sprzed nosa szansy zdobycia jakiejś wygodnej fuchy. Większość od razu wiedziała, do których drzwi pukać i co komu powiedzieć. W rezultacie mający rzeczywiste kwalifikacje lekarz, Polak, skierowany został do wyrębu drzew w lesie, natomiast były sutener otrzymał pracę biurową jako księgowy, "choć o księgowości nie miał zielonego pojęcia i w ogóle był półanalfabetą”. Więźniowie, którym w taki sposób udało się uniknąć pracy fizycznej, rzeczywiście opanowali

podstawy strategii przetrwania - ale dopiero podstawy. Teraz przyszła kolej na naukę dziwnych reguł rządzących obozowym dniem powszednim.

ROZDZIAŁ 10

Życie w obozach

„Wraz ze świtem przenika

do celi

Głos dzwonu odległego

Słyszę wołający do mnie

"Gdzie jesteś? Gdzie

jesteś?

"Tum jest!"... a potem łyzy

powitania,

miałkie łyzy niewoli...

nie dla Boga,

Ale dla Ciebie, Rosjo”.

Siemion Wileński, 1948

WEDLE najbardziej skrupulatnych z dokonanych dotąd obliczeń, między rokiem

1929 a 1953 na obszarze imperium Gułagu istniało 476 kompleksów obozowych.

Jest to jednak liczba myląca; w praktyce bowiem każdy z nich składał się z dziesiątków, a nawet setek mniejszych "jednostek obozowych" - tak zwanych łagpunktów. Ich liczba nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie znana – niektóre miały charakter tymczasowy, a inne stały, gdyż część z nich w różnych latach wchodziła formalnie w skład różnych łagrów. Niewiele też da się powiedzieć o przepisach i normach, które stanowiłyby wspólną cechę wszystkich łagpunktów. Nawet wówczas, gdy całym systemem rządził Beria - co w sumie trwało od roku 1939 do chwili śmierci Stalina w roku 1953 - warunki życia i pracy w Gułagu były bardzo różne - nie tylko w poszczególnych latach i miejscach, ale także w obrębie tego samego systemu obozowego. "Każdy obóz jest własnym światem, odrębnym miastem, odrębnym państwem" - pisała sowiecka aktorka Tatiana Okuniewska - a w rzeczy samej każdy obóz miał własny charakter. Życie w wielkich obozach przemysłowych na Dalekiej Północy różniło się diametralnie od życia w kołchoźniczym łagrze na południu Rosji. Warunki we wszystkich obozach w czasie drugiej wojny światowej, kiedy rok w rok

na czterech zeków umierał jeden, były odmienne od warunków życia w latach pięćdziesiątych, kiedy stopa śmiertelności w łagrach wyrównała się niemal ze średnią krajową. Życie w obozie rządonym przez względnie wyrozumiałego komendanta było czymś innym od życia w obozie kierowanym przez sadystę. Łagpunkty także różniły się od siebie; zarówno rozmiarami - od kilku tysięcy do kilkudziesięciu więźniów - jak i swą długowiecznością. Niektóre istniały od lat dwudziestych po osiemdziesiąte, kiedy funkcjonowały nadal jako więzienia dla przestępców kryminalnych. Żywot innych, na przykład zakładanych podczas budowy syberyjskich dróg i linii kolejowych, trwał

zaledwie jeden sezon letni. Mimo to w przededniu wybuchu wojny pewne istotne cechy życia i pracy w łagrze były wspólne dla zdecydowanej większości obozów sowieckich.

Każdy

z łagpunktów miał wprawdzie swój indywidualny klimat, ustały jednak charakterystyczne dla lat trzydziestych gwałtowne fluktuacje w polityce wewnętrznej państwa, a Gułag powoli przechodził w ręce ociężałej maszyny biurokracji, która w ostatecznym rozrachunku zdominowała wszystkie aspekty życia Związku Sowieckiego. W tym kontekście uderza zwłaszcza różnica między ogólnikowym i bardzo niekiedy wieloznacznym charakterem norm i dyrektyw dotyczących obozów z lat trzydziestych a szczegółowością rozporządzeń i przepisów wydanych w 1939 roku, po przejściu rządów przez Berię. Różnica ta wydaje się odzwierciedlać zmianę układu stosunków i sił między centralnymi organami kontroli i władzy - moskiewskim zarządem Gułagu - a komendantami obozów. W

pierwszym, eksperymentalnym dziesięcioleciu istnienia Gułagu rozporządzenia centrali nie starały się określić, jak ma wyglądać obóz, i prawie w ogóle nie zajmowały się kwestią zachowań więźniów.

Przedstawiły pewien ogólny zarys, schemat, szczegóły jego realizacji pozostawiając inicjatywę i wyobraźnię komendantów. Rozporządzenia i dyrektywy późniejsze były niezwykle precyzyjne i bardzo szczegółowe; regulowały dosłownie każdy, najdrobniejszy nawet aspekt życia obozowego - od sposobu budowy baraków do rozkładu dnia więźnia -

zgodnie z nowym sposobem rozumienia sensu i celu istnienia Gułagu.

Wydaje się, że poczynając od roku 1939, Beria - i jak wolno się domyślać, stojący za jego plecami Stalin - przestali otwarcie dążyć do tego, by obozy Gułagu stały się obozami śmierci, którymi część z nich w gruncie rzeczy była w latach 1937 i 1938. Nie oznacza to bynajmniej, by administracja łagrów zaczęła nagle troszczyć się o ludzkie życie, nie mówiąc już o poszanowaniu godności człowieka. Poczynając od roku 1939, głównym przedmiotem troski zarządu Gułagu stały się kwestie ekonomiczne -

więźniowie mieli stać się trybikami maszyny służącej wykonaniu przez łagier planu produkcyjnego. Celowi temu podporządkowane były napływające z Moskwy dyrektywy i rozporządzenia nakazujące rozciągnięcie nad więźniami ścisłej kontroli, a temu z kolei miał służyć rozbudowany system normujący i regulujący warunki, w jakich żyli. W

zasadzie - o czym była już mowa - obóz klasyfikował każdego zeka wedle kryteriów: wyroku, zawodu i "trudosposobnosti", czyli zdolności do pracy.

W zasadzie obóz zaspokajał elementarne potrzeby życiowe każdego więźnia - jedzenie, odzież i dach nad głową - w stopniu zależnym od wykonania przez niego norm produkcyjnych. Każdy aspekt życia obozowego podporządkowany był nadrzędnemu wymogowi wzrostu produkcji, nawet obozowe "wydziały kulturalno-oświatowe" zawdzięczały swoje istnienie przede wszystkim przekonaniu szefów Gułagu, że działalność tych przybytków może skłonić więźniów do jeszcze cięższej pracy. Organy kontroli istniały po to, by zapewnić harmonijne funkcjonowanie wszystkich trybików życia obozowego. Każdy zek mógł

złożyć zażalenie komendantowi obozu, Moskwie, a nawet Stalinowi, jeśli obóz działał niezgodnie z regulaminem. A mimo to w praktyce sprawy wyglądały zgoła inaczej. Ludzie nie są maszynami, a obóz schludną i sprawnie funkcjonującą fabryką; zresztą cały system nigdy nie działał tak, jak miał i powinien. Wartownicy byli przekupni, personel administracyjny kradł, a więźniowie wypracowali własne sposoby sabotowania bądź

obchodzenia regulaminu obozowego. Potrafili też stworzyć własną, nieformalną hierarchię obozową, czasami idącą ręką w rękę z narzuconą przez komendanturę obozu hierarchią oficjalną, a czasami pozostającą z nią w otwartym konflikcie. Mimo regularnych inspekcji kontrolerów moskiewskich, których konsekwencją niejednokrotnie bywały ostre reprimendy oraz gniewne okólniki i pouczenia z centrali, tylko nieliczne obozy spełniały wymogi ich teoretycznego, idealnego modelu. Mimo rzekomej powagi, z jaką traktowano skargi i zażalenia więźniów - istniały specjalne komisje, które je rozpatrywały - rzadko kiedy dochodziło do rzeczywistych zmian w ich konsekwencji.

I właśnie sprzeczność między tym, jak obóz wyglądać miał w opinii moskiewskiego zarządu Gułagu, a tym, jak wyglądał w rzeczywistości, sprzeczność między

papierowymi regulaminami a tym, jak postępowano w praktyce, nadawała życiu

w Gułagu charakterystyczny posmak czystego surrealizmu. Teoretycznie centralne

władze Gułagu w Moskwie regulowały najdrobniejszy nawet szczegół

życia więźniów, ale w praktyce każdy z aspektów tego życia kształtował

się pod przemożnym wpływem układu stosunków wzajemnych między więźniami a tymi, którzy

mieli ich kontrolować, oraz wewnątrz społeczności zeków.

Zona - za drutem kolczastym.

Z samej definicji wynika, że podstawowym i najważniejszym narzędziem władzy pozostającym w dyspozycji administracji obozowej była kontrola nad przestrzenią, w której żyli więźniowie - zoną, czyli strefą więzienną.

Na mocy stosownych

regulacji zona miała kształt kwadratu lub prostokąta. "W celu zapewnienia lepszego dozoru" zakazane było zakładanie zony na planie nieregularnym lub podyktowanym naturalnym ukształtowaniem terenu. Wewnątrz owego kwadratu lub prostokąta nie znajdowało się w zasadzie nic, na czym mogłoby się zatrzymać oko.

Większość budynków typowego łagpunktu była do siebie bliźniaczo podobna. Na zdjęciach zabudowań obozowych wykonanych swego czasu przez komendanturę łagru w Workucie i przechowywanych w archiwach moskiewskich widać rzędy prymitywnych budynków drewnianych, możliwych do odróżnienia tylko i wyłącznie dzięki zamieszczonym na fotografiach podpisom - "karcer",

"stołówka" itp.

Środkową część obozu tworzyła zazwyczaj rozległa, przylegająca do bramy, niezabudowana przestrzeń - plac, na którym dwa razy dziennie przeliczano ustawionych na baczność więźniów. Baraki dla straży i domy pracowników administracji obozu - również drewniane - budowano z reguły tuż za bramą.

Tym, co odróżniało zonę od każdego innego miejsca pracy, było oczywiście

otaczające ją ogrodzenie. W swoim Sprawoczniku po Gułagu Rossi pisze, że ogrodzenie: „[...] zazwyczaj składało się z drewnianych słupów, wkopanych w ziemię na jedną trzecią długości. Ich wysokość wahała się od 2,5 do 6 metrów, w zależności od miejscowych warunków. Między słupami przeciągano równoległe, poziomo, siedem do piętnastu rzędów drutu kolczastego. Rozstęp między słupami wynosił około 6 metrów.

Każdą parę słupów łączono dodatkowo dwoma odcinkami drutu kolczastego, biegnącymi po przekątnej”. Jeżeli obóz albo kolonia karna znajdowały się w pobliżu lub w obrębie miasta, ogrodzenie z drutu kolczastego zastępowano najczęściej ceglany murem lub drewnianym płotem takiej wysokości, by nikt zbliżający się do niego z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Budowano je bardzo solidnie: na przykład drewniany płot wzniesiony w latach trzydziestych wokół siedziby komendantury Kanału Białomorskiego w Miedwieżegorsku stał jeszcze, kiedy odwiedziłam to miasto w 1998 roku. Aby przekroczyć ogrodzenie, zarówno więźniowie, jak i strażnicy musieli przejść przez wachtę, czyli wartownię. W dzień strażnicy z wartowni kontrolowali wszystkich wychodzących z obozu i wchodzących do niego; sprawdzali przepustki wolnonajemnych wchodzących do łagru i strażników konwojentów eskortujących wychodzących z obozu więźniów. W odbudowanym według pierwotnego planu łagrze Perm-36 wachta jest rodzajem korytarza zamkniętego z obydwu stron bramami. Więzień, który przeszedł przez pierwszą bramę, miał obowiązek zatrzymać się na niewielkiej przestrzeni dzielącej oba wejścia, gdzie rewidowano go lub sprawdzano jego tożsamość. Dopiero potem mógł przejść przez drugą bramę. Bardzo podobnie rozwiązane są wejścia do banków sycylijskich. Jednak ani ogrodzenie z drutu kolczastego, ani płot czy mur nie były jedynymi wyznacznikami granic zony. W większości obozów uzbrojeni strażnicy obserwowali więźniów z wysokich drewnianych wieżyczek. Czasami obozu strzegły również psy służbowe mające swobodę

ruchu wzdłuż metalowej liny otaczającej zonę. Psy, którymi zajmowali się specjalnie wyznaczeni strażnicy, uczono szczekać na zbliżających się do nich więźniów i tropić zbiegów, kierując się węchem. Więźnia ograniczał więc nie tylko drut kolczasty czy ceglany mur, ale również bariera wzroku, dźwięku i zapachu.

Ograniczał go również strach; niekiedy wystarczająco silny, by nie pozwolić mu opuścić zony nawet w obozach, które w ogóle nie były ogrodzone.

Margarete

Buber-Neumann trafiła do obozu o obniżonym reżimie bezpieczeństwa, gdzie

więźniowie mogli "poruszać się swobodnie w obrębie około 800 metrów od obwodu zony; po przekroczeniu tej granicy strażnik strzelał bez żadnych dodatkowych

ceregieli". Był to wyjątek; w większości łagrów strażnik mógł strzelać

"bez żadnych ceregieli" znacznie wcześniej. W rozporządzeniu z 1939

roku Beria nakazał komendantom obozów wyznaczyć wokół ogrodzenia strefę ziemi niczyjej – pas ziemi szerokości nie mniejszej niż 5 metrów .

Latem strażnicy pracowali go regularnie, a zimą celowo nie oczyszczali ze śniegu tak, by o każdej porze roku ślady ewentualnego uciekiniera były wyraźnie widoczne. Początek pasa ziemi niczyjej był również oznakowany - czasami drutem kolczastym, a niekiedy tablicami z ostrzegawczym napisem "zaprietnaja zona" - strefa zakazana. Czasami nazywano go też "strefą śmierci", ponieważ wartownik miał prawo zastrzelić każdego, kto znalazł się w jego obrębie. A jednak otaczające łagpunkty ogrodzenia, zasieki, psy i inne bariery nie były całkowicie nieprzenikalne. Pod tym względem łagier sowiecki różnił się od niemieckiego obozu koncentracyjnego, który był - jak to ujął jeden ze znawców przedmiotu - "hermetycznie zamknięty". To jedna z istotnych, odmiennych cech charakterystycznych dla systemu obozów sowieckich.

Zacznijmy od tego, że w systemie sowieckim więźniów dzielono na

"konwojnych" i "biezkonwojnych" - to znaczy mających obowiązek poruszać się wyłącznie pod strażą i z obowiązku tego zwolnionych.

Nieliczna mniejszość więźniów "biezkonwojnych" miała prawo opuszczać bez nadzoru granicę obozu, załatwiać sprawunki dla strażników, pracować w dzień na niestrzeżonym odcinku linii kolejowej, a nawet mieszkać w budynkach poza zoną. Ten ostatni przywilej narodził się we wczesnym okresie historii obozów, w początkach lat trzydziestych i - mimo że zakazywano go później wielokrotnie - przetrwał. W jednym ze zbiorów norm i rozporządzeń regulaminowych, wydanym w 1939 roku, napomina się komendantów obozów, że "wszystkich, bez żadnego wyjątku, więźniów obowiązuje

zakaz mieszkania poza zoną - we wsiach, na kwaterach prywatnych i w należących do obozu

domach". Teoretycznie obóz potrzebował

specjalnego zezwolenia

nawet na kwaterowanie więźniów w strzeżonych budynkach, jeśli tylko znajdowały

się poza zoną. W praktyce przepisy te często lekceważono. Pomimo rozporządzeń

z 1939 roku znacznie późniejsze raporty kontrolerów donoszą o najrozmaitszych

przypadkach gwałcenia tego zakazu. W mieście Ordżonikidze - uskarża się jeden z

inspektorów - więźniowie włóczą się po ulicach i bazarach, wchodzą do mieszkań

prywatnych, piją i kradną. W jednej z leningradzkich kolonii karnych pewnemu

więźniowi oddano do użytku konia, na którym uciekł. W kolonii pracy nr 14 w

Woroneżu uzbrojony strażnik zostawił na ulicy 38 więźniów, a sam poszedł do

sklepu. Do innego obozu w pobliżu Komsomolska, na Syberii, prokuratura moskiewska wystosowała list, oskarżający komendanta o to, że przyznał

status "biezkonwojnego" ni mniej, ni więcej tylko 1763 więźniom. W

rezultacie - pisze z wyraźną złością prokuratura - "na więźniów można się natknąć zawsze w każdej części miasta, w każdej instytucji, a także w mieszkaniach prywatnych". Prokuratura oskarżyła również inny obóz o zezwolenie 150 więźniom na mieszkanie w kwaterach prywatnych -

pogwałcenie regulaminu, wskutek którego doszło do "przypadków pijaństwa, chuligaństwa, a nawet rabowania miejscowej ludności".

Również w obrębie obozu więźniowie nie byli całkowicie pozbawieni swobody poruszania się. Przeciwnie - i na tym polega jedna ze szczególnych właściwości obozu koncentracyjnego, odróżniająca go od więzienia - w większości wypadków więźniowie jeśli nie pracują albo nie śpią, mogą swobodnie wychodzić z baraków. Poza godzinami pracy więzień może również w pewnej mierze decydować, w jaki sposób spędza czas. Tylko tych, którzy odbywali wyrok w obowiązującym od 1943 roku reżimie tak zwanej katorgi, a później także zesłanych do stworzonych w 1948 roku obozów "o reżimie specjalnym", zamykano w barakach na noc, czym zresztą czuli się mocno urażeni i przeciwko czemu podnieśli w końcu otwarty bunt. Ludzie, którzy znaleźli się w obozie po pobycie w klaustrofobicznych więzieniach sowieckich, byli często mile zaskoczeni tą zmianą. "Od kiedy wypuszczono nas na świeże powietrze, nastroje mamy cudowne" - stwierdził jeden z zeków po przybyciu do Uchtpeczłagu. Olga Adamowa-Sliozberg przypomina sobie, że po przyjeździe do Magadanu "od świtu do zmierzchu" dyskutowała "na temat wyższości życia obozowego nad więziennym": „Liczba więźniów w obozie (około tysiąca kobiet) wydawała się nam ogromna; tyle nowych ludzi, tyle rozmów, które trzeba przeprowadzić, tyle możliwości zawarcia nowych przyjaźni! No i przyroda. W obrębie ogrodzonej drutem kolczastym zony mogłyśmy poruszać się prawie

swobodnie, patrzeć w niebo, przyglądać się odległym wzgórzom, podejść do karłowatych drzew i dotknąć ich ręką. Oddychaliśmy wilgotnym, morskim powietrzem, czując na twarzach sierpniowy deszczyk, siadałyśmy na wilgotnej trawie, przesypując między palcami ziemię. Przez cztery lata żyłyśmy bez tego, a teraz odkryłyśmy, że to właśnie jest w życiu najistotniejsze, pozwala bowiem czuć się normalnym człowiekiem”. Wtórjuje jej Leonid Finkelstein: „Przywożą cię, wysiadasz z więziennej karetki i kilka spraw wydaje ci się dziwnych. Po pierwsze więźniowie chodzą sami, bez konwojentów - idą gdzieś do jakiejś pracy, jakakolwiek by była. Po drugie

- wyglądają zupełnie inaczej niż ty. Kontrast ten odczuwałem jeszcze wyraźniej, kiedy już jako zasiedziały łagiernik obserwowałem, jak przywożą do obozu nowych. Wszyscy mieli zielone twarze - zielone z powodu braku świeżego powietrza, fatalnego jedzenia i wszystkich tego rodzaju rzeczy. Obozowe zeki wyglądają mniej więcej normalnie. Na tle nowo przybyłych wyglądasz zupełnie nieźle, czujesz się względnie wolny”.

Z czasem jednak blask rzekomej "swobody" życia obozowego na ogół

blakł.

W więzieniu - pisał Polak, Kazimierz Zaród - można wierzyć, że popełniono pomyłkę i że zaraz nastąpi zwolnienie. Poza tym "nadal otaczały nas elementy cywilizacji - za murem więzienia było wielkie miasto". W obozie natomiast Zaród miał wrażenie, że obraca się wśród

"dziwnego rodzaju ludzi [...], poczucie życia w normalnym świecie zostaje jakby zawieszzone. W miarę upływu czasu zaczęła ogarniać mnie panika, powoli przeradzająca się w rozpacz. Staralem się wtłoczyć to uczucie z powrotem w głąb podświadomości, zdławić je, ale powoli zaczynało docierać do mnie, że padłem ofiarą cynicznego aktu niesprawiedliwości i nie ma od tego żadnej ucieczki". Co gorsza, swoboda ruchu łatwo mogła przerodzić się w anarchię. Łagpunkt roił się od strażników i pracowników administracji obozowej w dzień; w nocy znikali bez śladu. Jeden czy dwóch zostawało na noc na wachcie, pozostali wycofywali się za ogrodzenie. Więźniowie zwracali się do strażników z wartowni tylko wówczas, gdy czuli, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo. Jeden z pamiętnikarzy opisuje przypadek, gdy po bójce między przestępcami pospolitymi a więźniami politycznymi - zjawisko w latach powojennych powszechne - pokonani kryminaliści "rzucili się do wartowni" z błaganiami o pomoc. Nazajutrz wysłano ich transportem do innego łagpunktu - administracja obozu wolała najwyraźniej uniknąć masowego mordu. W innym przypadku obawiająca się zgwałcenia i zamordowania przez kryminalistę kobieta pobiegła na wachtę z prośbą, by dla ochrony zamknięto ją na noc w obozowym karcerze. Inna rzecz, że wachtę trudno było uznać za pewną "strefę bezpieczeństwa". Siedzący w wartowni strażnicy niekoniecznie reagowali na prośby więźniów, a na informacje o aktach przemocy i okrucieństwa popełnionych przez jedną grupę więźniów na drugiej odpowiadali często śmiechem. Śmiech, jako reakcję na wypadki morderstwa, tortur i gwałtów wśród więźniów, potwierdzają nie tylko relacje pamiętnikarzy, ale i dokumenty oficjalne. Wspominając o zbiorowym gwałcie, do którego doszło nocą w jednym z łagpunktów Kargopolłagu, Gustaw Herling-Grudziński pisze, że ofiara wydała "krótki, gardłowy krzyk, nabrzmiały łzami i zduszony kneblem z sukna. Z

najbliższego "bociana" zaspany głos zawołał: "Riebiata, wy czoże, czełowieczeskawo pozora u was niet". Wtedy ściągnęli ją z ławki i jak kukłę z łachmanów powlekli za barak, do latryny”. W zasadzie

regulamin nie pozostawiał żadnej wątpliwości - więźniowie mają przebywać w obrębie zony. W praktyce regulamin łamano, a za zachowania, które teoretycznie nie stanowiły pogwałcenia przepisów - nawet najbardziej brutalne i szkodliwe - nie zawsze karano.

Reżim - normy regulujące życie

Zona narzucała więźniom zasady poruszania się w przestrzeni, natomiast tak

zwany reżim - co na język polski można niezbyt precyzyjnie przetłumaczyć jako

haimonogram dnia - rządził jego czasem. Ujmując rzecz najprościej, reżim to zespół norm, przepisów i sposobów zachowania, dzięki którym funkcjonował obóz.

O ile ogrodzenie z drutu kolczastego ograniczało do zony swobodę ruchu zeka,

o tyle zbiór rozkazów i określonych sygnałów regulował zasady spędzania czasu

w zonie. Poszczególne łagpunkty różniła surowość reżimu, zależna zarówno od zmiennych priorytetów, jak i kategorii oraz rodzaju więźniów przetrzymywanych w danym obozie. Na różnych etapach historii Gułagu istniały obozy o reżimie lekkim

(dla inwalidów), obozy o reżimie zwykłym, obozy o reżimie specjalnym i obozy

o reżimie karnym. Istota samego systemu była zawsze taka sama. Reżim określał,

kiedy i w jaki sposób więźnia należy obudzić, jak powinien zostać doprowadzony

do miejsca pracy, kiedy i w jaki sposób powinien otrzymywać żywność, kiedy i jak

długo powinien spać. W większości łagrów dzień więźnia zaczynał się formalnie od "rozvodu" - procedury organizowania zeków w brygady i wyprowadzania ich do pracy. Budził ich dźwięk syreny. Druga syrena oznaczała, że skończyła się pora śniadaniowa i zaczyna dzień roboczy.

Więźniowie ustawiali się przed bramą obozu na apel poranny, podczas którego dokonywano ich przeliczenia. Walerij Fried, sowiecki scenarzysta filmowy i autor wyjątkowo sugestywnych wspomnień, tak oto opisuje ten moment: „Brygady formowały się przed bramą. Dyspozytor trzymał w ręku gładko oheblowaną tabliczkę, na której zapisywał numer brygady i liczbę pracujących w niej więźniów (brakowało papieru, dane zapisane na tabliczce co wieczór zdrapywało się kawałkiem szkła i nazajutrz można było jej użyć od nowa). Konwojenci i dyspozytor sprawdzali, czy wszyscy są obecni - jeśli tak, brygada maszerowała do pracy. Jeśli kogoś brakowało, wszyscy musieli czekać, a straż szukała bumelanta”. Instrukcje z Moskwy stanowiły, że wspomniany czas oczekiwania nie powinien przekraczać piętnastu minut. Rzecz jasna - pisze o tym Kazimierz Zaród -

często trwało to znacznie dłużej, bez względu na pogodę:

„O 3.30 rano musieliśmy być na placu, ustawieni w kolumnę - po pięciu w szeregu

i czekać, aż nas przeliczą. Strażnicy często się mylili, wtedy przeliczano nas ponownie. Kiedy padał śnieg - była to długa, powolna męczarnia. Jeśli straż była już na dobre obudzona i skupiona, przeliczanie trwało mniej więcej pół godziny; jeśli któryś ze strażników się pomylił, trzeba było stać przez następne trzydzieści minut". W niektórych obozach próbowano w tym czasie "dodać więźniom ducha". Oddajmy ponownie głos Friedowi:

"Nasz "rozwod" odbywał się przy akompaniamencie akordeonisty -

zwolniony od wszystkich innych obowiązków więzień wygrywał nam skoczne melodyjki...". Również Zaród wspomina o dziwnym fenomenie "orkiestry porannej", złożonej z więźniów muzyków -

profesjonalistów i amatorów: „Co rano pod bramą stał "zespół" grający muzykę wojskową, a nam kazano w drodze do pracy wybijać krok

"mocno i radośnie". Kiedy ostatnia kolumna więźniów wychodziła za bramę, muzycy odstawiali instrumenty, dołączali na jej koniec i razem z innymi maszerowali do lasu". Stamtąd więźniowie wyruszali do pracy.

Strażnik wywrzaskiwał codzienny rozkaz: "Krok w prawo albo krok w lewo uważane będą za próbę ucieczki! Konwój będzie strzelał bez ostrzeżenia - Naprzód marsz!". I więźniowie maszerowali, cały czas kolumną, po pięciu w rzędzie. Jeśli mieli pokonać większy dystans, konwojowali ich strażnicy z psami. Procedura wieczornego powrotu do obozu wyglądała z grubsza identycznie. Po kolacji więźniowie ponownie ustawiali się w szeregach na apel i znów byli liczeni; jeśli mieli szczęście, to raz, jeśli pecha - co najmniej dwa razy. Na wieczorny apel i przeliczenie instrukcje Moskwy przewidywały więcej czasu - trzydzieści do czterdziestu minut - z tego przypuszczalnie powodu, że prawdopodobieństwo ucieczki z miejsca pracy było znacznie większe niż z zony. Następnie kolejny ryk syreny obwieszczał, że nadeszła pora snu.

Zasady te nie były ustalone raz na zawsze; przeciwnie, w miarę upływu czasu reżim zmieniał się - z zasady stawał się ostrzejszy. Rossi zauważył, że "główną tendencją ewolucyjną sowieckiego reżimu więziennego było jego systematyczne obostrzanie oraz stopniowe podnoszenie otwartego, arbitralnego sadyzmu do rangi normy prawnej" - i jest w tym coś. W

latach czterdziestych reżim stawał się coraz surowszy - długość dnia roboczego rosła, dni wolne od pracy stawały się coraz radsze. W roku 1931 więźniowie ekspedycji Wajgacz stanowiącej część ekspedycji uchtyjskiej pracowali po sześć godzin dziennie na trzy zmiany. Na początku lat trzydziestych w normalnym wymiarze godzin pracowali również robotnicy na Kołymie - krócej w zimie, dłużej w lecie.

Tymczasem w ciągu następnej dekady długość dnia roboczego się podwoiła. Pod koniec lat trzydziestych kobiety ze szwalni, w której zatrudniona była Olicka, pracowały "dwanaście godzin w pozbawionej wentylacji hali"; dniówka na Kołymie także wydłużyła się do dwunastu godzin. Jeszcze później Olicka pracowała w brygadzie budowlanej -

czternaście do szesnastu godzin na dobę z dwiema pięciominutowymi przerwami, o 10 rano, 4 po południu, oraz godziną przerwą na obiad w południe. Nie był to przypadek odosobniony. W 1940

roku długość dnia roboczego w Gułagu przedłużono oficjalnie do jedenastu godzin, a i tę normę często łamano" W marcu 1942 roku moskiewski zarząd Gułagu wystosował do wszystkich komendantów obozów utrzymany w ostrym tonie okólnik, przypominający im, że więźniom należy zapewnić co najmniej osiem godzin snu na dobę". Wielu komendantów obozów ignoruje ten przepis - wyjaśnia pismo - i pozwala swoim więźniom jedynie na cztery-pięć godzin snu w nocy. W rezultacie, ubolewa Gułag,

"więźniowie tracą zdolność do pracy" i stają się niewydolni.

Regulaminy wciąż łamano, zwłaszcza wobec wzrostu zadań produkcyjnych

w latach wojny. We wrześniu 1942 roku, po inwazji niemieckiej, Gułag oficjalnie

wydłużył dzień pracy dla robotników zatrudnionych przy budowie infrastruktury

lotnisk do dwunastu godzin z godzinną przerwą na obiad. To samo działo się w całym Związku Sowieckim. Mamy informacje, że w czasie wojny w Wiatłagu obowiązywał szesnastogodzinny dzień pracy; latem 1943 roku dzień roboczy w Workucie trwał dwanaście godzin, chociaż w marcu 1944 roku skrócono go do godzin

dziesięciu - zapewne z racji wysokiej śmiertelności i licznych zachorowań.

Siergiej Bondariewski, osadzony w czasie wojny w "szaraszce" -

specjalnym laboratorium dla więźniów naukowców - pamięta, że pracował

jedenastu godzin dziennie, co prawda z przerwami. Normalnie praca trwała od 8 rano do 2 po południu, następnie od 4 po południu do 7

wieczorem i od 8 do 10 wieczorem.

Tak czy inaczej, przepisy łamano nagminnie. Jeden z zeków, zatrudniony w brygadzie płuczącej złotonośną rudę na Kołymie, musiał przerobić 150

taczek

rudy dziennie. Ci, którzy nie wykonali normy do końca dnia roboczego, pracowali

do skutku po godzinach - niekiedy do północy. Później wracali do obozu, zjadali

swoją zupę, a o 5 rano musieli znów być na nogach i z powrotem iść do pracy.

Pod koniec lat czterdziestych podobny system wprowadziła komendantura łagru

w Norylsku, gdzie inny więzień pracował przy kopaniu fundamentów w wiecznej

zmarzlinie: "Po dwunastu godzinach wyciągali cię z dołu, ale tylko wówczas, gdy

wykonałeś normę. Jeśli nie, to po prostu cię tam zostawiali". Nie respektowano też zagwarantowanych teoretycznie przerw w ciągu dnia roboczego. W jaki sposób się to odbywało, wyjaśnił później jeden z więźniów zatrudnionych w czasie wojny w fabryce włókienniczej: „W

fabryce musieliśmy być o szóstej rano. Przysługiwały nam dwie pięciominutowe przerwy na papierosa - żeby zapalić, trzeba było pędzić biegiem do oddalonej o jakieś dwieście metrów piwnicy, jedyne miejsce w całej fabryce, gdzie można było to zrobić. Naruszenie zakazu palenia kosztowało dwa lata dodatkowego wyroku. W południe mieliśmy półgodzinną przerwę na obiad - człowiek musiał biec do kantyny z glinianą miską w rękę, ustawić się tam w długiej kolejce, dostać trochę wstrętnej soi, od której większość ludzi aż odrzucało - i za wszelką cenę znaleźć się z powrotem w hali fabrycznej, zanim ruszą maszyny. Później -

ani razu już nie opuszczając miejsca pracy - siedzieliśmy tam do siódmej wieczorem”. Liczbę dni wolnych od pracy również normowały przepisy.

Zwykły więzień miał prawo do jednego dnia wolnego w tygodniu; odbywający karę w zastrzyżonym reżimie - do dwóch dni w miesiącu. W

praktyce bywało bardzo różnie. Jeszcze w 1933 roku moskiewski zarząd Gułagu wystosował okólnik zwracający komendantom obozów uwagę na problem dni wolnych od pracy, których część została zniesiona w szaleńczej pogoni za wykonaniem planu. Po dziesięciu latach niewiele się pod tym względem zmieniło. W czasie wojny Kazimierz Zaród miał co dziesiąty dzień wolny. Inny zek mówi o jednym dniu wolnym w miesiącu.

Herling-Grudziński twierdzi, że było ich jeszcze mniej:

„Według przepisów obozowych więźniom należy się całodzienny odpoczynek raz na dekadę. Praktyka jednak wykazała, że świętując nawet raz w miesiącu, więźniowie narażają na poważne straty plan produkcyjny powierzony obozowi. Utał się więc zwyczaj, że "wychodnoj dień"

ogłaszano uroczyście, gdy obóz przekraczał swoją górną granicę produkcji na kwartał [...]. Nie mieliśmy, rzecz prosta, wglądu w wykazy pracy i plan produkcyjny obozu, toteż milcząca umowa była fikcją, wydającą nas całkowicie na łaskę i niełaskę władz obozowych”. W dodatku zdarzało się, że nawet w tych nielicznych dniach wolnych więźniów zmuszano do prac porządkowych w obozie - sprzątania baraków, czyszczenia latryn, a zimą do odgarniania śniegu. Na tym tle wstrząsające wręcz wrażenie robi jedno z rozporządzeń komendanta Dmitłagu, Łazaria Kogana. Zaniepokojony mnożącymi się doniesieniami o padających z wycieńczenia koniach obozowych rozpoczyna swój okólnik od następującego spostrzeżenia:

"Rosnąca liczba przypadków zachorowań i padnięć koni ma kilka przyczyn: nadmierne obciążenie koni ładunkiem, zły stan dróg oraz brak odpowiednio długiego czasu całkowitego i pełnego odpoczynku koni, potrzebnego im do odzyskania sił". Po czym przechodzi do nowej instrukcji obchodzenia się z tymi zwierzętami:

1 Dzień roboczy konia obozowego nie może przekraczać dziesięciu godzin, nie licząc obowiązkowej dwugodzinnej przerwy na odpoczynek i karmienie.

2. Koń nie może przejść więcej niż średnio 32 kilometry dziennie.

3. Konie regularnie muszą mieć zapewniony co ósmy dzień wypoczynku -

przy czym

wypoczynek tego dnia musi być zupełny.

O tym, czy więźniów potrzebuje regularnego wypoczynku raz na osiem dni, instrukcja, niestety, nie wspomina.

Baraki - przestrzeń mieszkalna

W większości obozów więźniowie mieszkali w barakach. Do wyjątków jednak należały obozy, w którym baraki zostały zbudowane, zanim pojawili się więźniowie.

Ci, którzy mieli nieszczęście zostać skierowani do budowy nowego łagru, mieszkali w namiotach. Albo w ogóle nie mieli gdzie mieszkać - tak jak ci, o których mówi jedna z pieśni łagiernych:

„Jechaliśmy długo, miarowo, Wtem

pociąg nasz stanął jak wryty. Tu

kanal będziemy budować Wśród

bagien lasami pokrytych”.

Iwana Sulimowa, w latach trzydziestych więźnia Workuty, wraz z jego towarzyszami wysadzono "na płaskiej połaci ziemi w środku tundry", po czym kazano im rozbić namioty, rozpalić wielkie ognisko i przystąpić do budowy "ogrodzenia z kamiennych bloków i drutu kolczastego" oraz baraków. Janusz Siemiński, więziony po wojnie na Kołymie, również trafił do brygady, której kazano w środku zimy "od zera" zbudować nowy łagpunkt. W nocy więźniowie spali na gołej ziemi. Wielu zmarło, zwłaszcza ci, którzy przegrali walkę o miejsce do spania przy ognisku.

Więźniowie, którzy w grudniu 1940 roku przybyli do obozu kaspijskiego w Azerbejdżanie, także spali - ujmując rzecz słowami wyprowadzonego z równowagi rewizora NKWD - "pod gołym niebem na podmokłym gruncie". Skądinąd trudno uznać tego rodzaju sytuacje za tymczasowe; jeszcze w 1955 roku w niektórych obozach więźniowie ciągle mieszkali w namiotach. Tam gdzie (jeśli) zekom udało się zbudować baraki, były to nieodmiennie prymitywne, drewniane budynki. Moskwa ustaliła odgórnie ich plan, w rezultacie czego wszystkie baraki były łądząco do siebie podobne. Każdy z byłych więźniów wspomina o długich, prostokątnych, drewnianych budowlach z nie otynkowanymi ścianami, ze szparami między balami uszczelnionymi błotem i o wnętrzu wypełnionym rzędami równie prymitywnie skleconych prycz. Czasami był tam jeszcze zbity z surowych desek stół - czasami nie. Czasami były też ławy do siedzenia -

czasami nie. Na Kołymie i w innych regionach, gdzie trudno było o drewno, więźniowie budowali baraki - równie tandetne i niedbałe - z kamienia. Tam gdzie nie było materiałów izolacyjnych,

radzono sobie w inny sposób Na fotografii przedstawiającej obóz w Workucie, zrobionej zimą 1945 roku, baraków prawie w ogóle nie widać, przykrywano je dwuspadowymi dachami o bardzo ostrym kącie nachylenia i okapach sięgających niemal ziemi, dzięki czemu padający śnieg gromadził się dookoła, co w jakiejś mierze chroniło przed mrozem. W wielu wypadkach baraki nie były budynkami w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz

"ziemliankami", czyli ziemiankami W jednej z takich ziemianek mieszkał

w Karelii na początku lat czterdziestych Jewstoniczew.

„Ziemianka to oczyszczone ze śniegu miejsce, z którego zdjęto wierzchnią warstwę ziemi. Ściany i dach buduje się z okrągłaków, a całą konstrukcję przykrywa na nowo warstwą ziemi lub śniegu. Wejście do ziemianki przesłania rogoża [...], w środku stoi beczka wody, żelazny piecyk z rurą wychodzącą przez dach i beczka nafty”. W tymczasowych łagpunktach, zakładanych podczas budowy dróg i linii kolejowych, "ziemianki" były zjawiskiem wszechobecnym. Jak wspomniałam, ich ślady do dziś widoczne są wzdłuż budowanych przez więźniów szos na Dalekiej Północy i na obu brzegach rzeki w starszych dzielnicach Workuty.

Zdarzało się, że więźniowie mieszkali w szałasach. Jeden z autorów wspomnień o wczesnych

dniach Workutłagu opisuje, jak w ciągu trzech dni zbudowano "piętnaście szałasów (na sto osób każdy) z trzypoziomowymi rzędami prycz" oraz zonę z czterema

wieżyczkami strażniczymi i ogrodzeniem z drutu kolczastego. Ale nawet prawdziwe baraki rzadko kiedy spełniały wymogi bardzo skądinąd niskich standardów, ustalonych przez Moskwę. Niemal zawsze były przeraźliwie zatłoczone. W raporcie z inspekcji 23 obozów z 1948 roku podano, że w większości "na więźnia przypada nie więcej niż półtora metra powierzchni mieszkalnej", w skrajnie przy tym niehigienicznych warunkach",

"więźniowie nie mają własnych miejsc do spania, koców i prześcieradeł".

Zdarzało się, że owej "powierzchni mieszkalnej" było jeszcze mniej.

Buber-Neumann wspomina, że gdy przybyła do obozu, w barakach nie było wolnych miejsc do spania i pierwsze kilka dni musiała koczować na podłodze w umywalni". Zwykły więzień mógł się spodziewać, że będzie spał w tak zwanej wagonce - pryczy nazwanej tak od podobieństwa do przedziału sypialnego w pociągach pasażerskich. Były to piętrowe prycze, z miejscem do spania dla dwóch osób na każdym poziomie - w sumie zatem czteroosobowe. W wielu obozach jednak spało się na znacznie mniej wyrafinowanych konstrukcyjnie "spłosznych narach". Był to rodzaj długich półek czy też raczej ław nie podzielonych nawet na osobne miejsca do spania. Więźniowie po prostu układali się na nich w długich rzędach, jeden obok drugiego. Ponieważ owe komunalne łoża cieszyły się słuszną opinią skrajnie niehigienicznych, protestowali przeciwko nim jednogłośnie również funkcjonariusze dokonujący inspekcji w łagrach. W

roku 1948 centralny zarząd Gułagu wydał dyrektywę nakazującą zastąpienie ich "wagonkami". Mimo to więźniona na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych w Mordwie Anna Andriejewa spała

wyłącznie na "spłoszonych narach" i pamięta, że wielu więźniów spało również na ziemi pod nimi. Wyposażenie więźniów w pościel również zależało od przypadku i - mimo ścisłych (acz nader niewygórowanych) norm ustalanych wielokrotnie w Moskwie - w każdym obozie wyglądało inaczej. Przepisy stanowiły, że każdy z więźniów powinien raz na rok dostać nowy ręcznik, raz na cztery lata powłoczkę na poduszkę, raz na dwa - prześcieradło i raz na pięć lat - koc. W praktyce "żaden z więźniów nie miał nawet takiego samego siennika" - pisze Lipper: „Nie było w nim w ogóle słomy, a bardzo rzadko siano - którego nie starczało nawet dla bydła; sienniki napychano więc wiórami i ubraniami, jeśli więźniowi pozostały jeszcze jakieś ubrania poza tym, które nosił na grzbiecie.

Dawano też wełniany koc i powłoczkę na poduszkę, którą każdy mógł

sobie wypchać, czym mu się żywnie podobało, poduszek bowiem nie było”. Zdarzali się więźniowie, którzy nie mieli i tego. Jeszcze w latach pięćdziesiątych Isaak Filsztinski, arabista, aresztowany w 1948 roku i zesłany do Kargopolu, spał, przykrywając się buszłatem. Za poduszkę służyły mu stare, znoszone ubrania. Dyrektywa wydana w 1948 roku nakazywała również zastąpienie klepisk w barakach drewnianymi podłogami. Mimo to jeszcze w latach pięćdziesiątych Irena Arginska mieszkała w baraku z glinianą polepą, której w żaden sposób nie dawało się przyzwoicie umyć. Zresztą nawet drewniane podłogi trudno było utrzymać w czystości z powodu braku szczotek. Jedną z więźniarek Polek opisuje swoje przeżycia przed powołaną po wojnie komisją, wyjaśniała, że w jej obozie zawsze wyznaczano grupę więźniów "dyżurnych", którzy sprząтали baraki w nocy, kiedy inni spali. "Błocko z podłogi trzeba było zeszkrobywać nożami. Rosjanki wściekały się na nasze kobiety, które nie potrafiły tego robić, i pytały, jak w takim razie żyjemy u siebie w domu.

Nie przychodziło im nawet do głowy, że najbrudniejszą podłogę można bez trudu wyszorować szczotką". Równie prymitywne było ogrzewanie i oświetlenie, choć i tu trudno uogólniać, w każdym obozie wyglądało to inaczej. Jeden z więźniów przypomina sobie, że w jego baraku było ustawicznie ciemno: "Świecące bladożółtym światłem żarówki trudno było w ogóle dostrzec, a lampy naftowe kopciły i ohydnie śmierdziały".

Inni uskarżają się na coś wręcz przeciwnego - światło palące się zazwyczaj przez całą noc. Część więźniów z regionu Workuty nie miała żadnych problemów z ogrzewaniem, ponieważ mogli przynosić z kopalni węgiel, ale Susanna Pieczuro, osadzona w łagpunkcie opodal kopalni węgla w Incie, pamięta, że w barakach było "tak zimno, że włosy przymarzały do pryczy, a woda w kubku pokrywała się lodem". W jej baraku nie było też wodociągu; wodę przynosiła w wiadrze "dieżurnaja" -

starsza kobieta niezdolna do cięższej pracy - która sprzątała baraki i pilnowała ich w ciągu dnia. Co gorsza, w barakach, w których wszędzie, gdzie się tylko dało cokolwiek powiesić, suszyły się rzędy brudnej, przemoczonej odzieży, panował "potworny, ciężki zaduch". W obozach specjalnych, gdzie okna baraków były gęsto okratowane, a na noc zamykano drzwi, smród był tak straszliwy, "że ledwie dawało się oddychać". Powietrza z całą pewnością nie odświeżał brak toalet. W

obozach, w których więźniów zamykano w barakach na noc, trzeba było korzystać z "paraszy" czyli wiadra - tak jak w więzieniu. Jeden z byłych więźniów pisze, że rano "paraszy" "nie sposób było udźwignąć, toteż wleczono ją po oślizgłej podłodze, rozlewając po drodze zawartość". "Jeśli miałaś większą potrzebę, trzeba było czekać do rana, inaczej robił się niewyobrażalny smród" - wspomina

aresztowana na początku lat

pięćdziesiątych Galina Smirnowa. Tam gdzie baraków nie zamykano, trzeba było korzystać z latryn, a latryny kopano często w znacznej odległości od baraków, co było poważnym problemem podczas zimowych mrozów. "Chodziło się do drewnianych sławojek - opisuje realia innego łagru Smirnowa - nawet jeśli było 30 czy 40 stopni mrozu".

Konsekwencje tego stanu rzeczy komentuje Thomas Sgovio:

„Na dworze, przed każdym barakiem wbito w ziemię pal i wydano kolejne rozporządzenie - siusiać wolno tylko w latrynach i przy owym palu, z którego czubka zwisała jakaś biała szmata. Za naruszenie tego rozporządzenia wędrowało się do karceru [...]. Wydano je dlatego, że więźniowie, którym nocą me chciało się wędrować do odległych latryn, obsiuali wszystkie ścieżki w łagrze. Cały obóz upstrzony był żółtymi plamami. Wiosną, kiedy śnieg zaczynał się topić, buchał od tego potworny smród [...]. Dwa razy w miesiącu rąbaliśmy te lodowe piramidy na kawałki i wywoziliśmy je poza zonę..”. Brud i przeludnienie nie były jednak tylko i wyłącznie problemem natury estetycznej czy kwestią względnie znośnego dyskomfortu. Zatłoczone prycze i brak normalnej przestrzeni życiowej były śmiertelnie groźne, zwłaszcza w obozach, w których praca trwała dwadzieścia cztery godziny na dobę. W jednym z takich obozów, gdzie więźniowie pracowali na trzy zmiany, "ludzie spali w barakach o każdej porze doby. Walka o sen była walką o życie; walcząc o miejsce do spania, ludzie przeklinali się wzajemnie, bili ze sobą, a nawet zabijali. Najbardziej nienawidzono włączonego na okrągło na cały regulator głośnika radiowego" - wspomina jeden z byłych więźniów.

Z tego właśnie powodu kwestia, gdzie się spało, urastała do rangi problemu

wagi zasadniczej, toteż przydział miejsca na nocleg stał się jednym z najbardziej skutecznych narzędzi manipulowania więźniami, z którego administracja obozowa korzystała z największą skwapliwością. W

centralnych archiwach moskiewskich Gułagu troskliwie przechowano fotografie różnych rodzajów baraków, przeznaczonych dla różnych kategorii więźniów. Baraki dla "otliczników" - więźniów przekraczających normy produkcyjne - miały drewniane podłogi; nie było w nich "wagonek" ani nar, lecz pojedyncze łóżka z materacami i kocami, a na ścianach wisiały obrazki. Sfotografowani więźniowie, jeśli nawet nie uśmiechają się do robiących zdjęcia, to w każdym razie wyglądają na dobrze odżywionych i czytają gazety. Natomiast w barakach

"reżimowych" - barakach karnych, dla robotników nie wykonujących norm lub krnąbrnych - zamiast łóżek widzimy prymitywnie zbite z surowych desek prycze. Zdjęcia te wykonano dla celów propagandowych, lecz nawet na nich widać, że więźniowie o obostrzonym reżimie nie mają materaców i śpią po kilku pod jednym kocem. W niektórych obozach wykształciła się złożona etykieta związana ze snem i miejscem do spania.

Przestrzeń urosła do rangi nagrody, wyróżnienia; posiadanie własnego miejsca i pewnej dozy prywatności uważano za wielki przywilej, dostępny jedynie ludziom zaliczanym do arystokracji obozowej. Więźniom stojącym na szczytach hierarchii - brygadzystom, normistom, tj.

specjalistom ustalającym normy itp. - pozwalano często sypiać w mniejszych i mniej zatłoczonych barakach. Solżenicyn, któremu w łagrze moskiewskim wyznaczono początkowo funkcję "kierownika produkcji", skierowany został do baraku, gdzie: „[...] zamiast wagonetek - zwykłe łóżka, stoliki nocne - jeden na dwóch, a nie - wspólny dla całej brygady; we dnie drzwi zamykano i można było zostawiać rzeczy w pokoju; wreszcie - była tu też półlegalna kuchenka elektryczna, nie musiał więc człowiek przepychać się do ogólnej, wspólnej kuchni, stojącej na podwórku”. Wszystko to uchodziło za luksus. Przedstawiciele pewnych, najbardziej poszukiwanych zawodów - na przykład cieśle czy mechanicy narzędziowi – również mogli liczyć na uzyskanie niezwykle wysoko cenionego i pożądanego przywileju spania w warsztatach. Anna Rozina, pracująca w łagrze tiemnikowskim jako szewc, nie tylko sypiała w warsztacie, miała również "prawo" brać kąpiel, kiedy tylko jej się spodoba

- co również zaliczało się do kategorii wielkich przywilejów. Niemal w każdym obozie lekarzom wolno było spać oddzielnie; przywilej ten odzwierciedlał ich specjalny status. Chirurg Izaak Vogelfanger czuł się wyjątkowo wyróżniony, kiedy pozwolono mu spać w piętrowym łóżku w

"małym pokoiku przyległym do recepcji" lazaretu obozowego. "Kiedy szedłem spać, księżyc zdawał się uśmiechać do mnie". Drugie miejsce na tej koi zajmował felczer, którego uhonorowano takim samym przywilejem.

Niekiedy specjalne warunki zapewniano inwalidom. Aktorce Tatianie Oku-niewskiej udało się dostać do obozu dla inwalidów na Litwie, gdzie

"baraki miały

wiele okien, były długie, widne i czyste, a nad głową nie miało się drugiego rzędu prycz". Jednak zdecydowanie najlepsze warunki snu mieli więźniowie skierowani do beriowskich "szaraszek" - tak zwanych biur specjalnych dla utalentowanych inżynierów i techników. W Bolszewie,

"szaraszce" na przedmieściach Moskwy, baraki były "przestronne, widne, czyste i ogrzewane piecami kaflowymi" a nie żelaznymi "burżujkami".

Łóżka miały prześcieradła i poduszki, a na noc gaszono światło; był też osobny prysznic. Zakwaterowani w takich warunkach więźniowie wiedzieli oczywiście, że w każdej chwili mogą zostać wysłani do normalnego łagru, co siłą rzeczy zwiększało ich zapał do pracy.

W barakach często istniała również hierarchia nieformalna; w większości fundamentalną decyzję, gdzie kto ma spać, podejmowała grupa w danym momencie

najsilniejsza i najbardziej solidarna. Do końca lat czterdziestych, kiedy w siłę urosły duże społeczności narodowe - Ukraińcy, Bałtowie, Czeczeni i Polacy - najlepiej zorganizowaną kategorią więźniów byli - o czym się jeszcze przekonamy - przestępcy kryminalni. Z zasady sypiali na górnych pryczach, gdzie panował

mniejszy zaduch i było więcej miejsca, a protestujących przeciwko takiemu stanowi rzeczy uciszali pięściami i kopniakami. Mniej wpływowi spali na dolnych pryczach. Największe katusze cierpieli

śpiący na podłodze, zajmujący najniższą pozycję w hierarchii obozowej: „Poziom ten nazywano "kołchozem" - był to sektor, na który błatni skazywali kołchoźników - czyli starszych wiekiem inteligentów i popów, a czasem nawet kogoś ze "swoich", jeśli złamał surowe normy złodziejskiego kodeksu moralnego. Na kołchoźników sypały się nie tylko wszystkie odpadki z górnych prycz, błatni wylewali na nich wszelkiego rodzaju pomyje, wodę i niedopitą wczorajszą zupę. Kołchoz musiał znosić to wszystko z pokorą -jeśli ktoś się skarżył, rzucano na niego jeszcze więcej odpadków i śmieci [...]. Ludzie dostawali mdłości, dusili się, tracili przytomność - czasami zmnvśly - umierali na tyfus, dyzenterię albo odbierali sobie życie”. Więźniowie, nawet polityczni, mogli jednak polepszyć swoją sytuację. Pracującego na stanowisku felczera, polskiego więźnia politycznego Karola Colonnę-Czosnowskiego z samego dna wyjątkowo zatłoczonego baraku wydobyl niejaki Grisza - kryminalny

"szef całego obozu: "Wymierzył potężnego kopniaka jednemu ze swoich dworzan, który pojął tę aluzję i pośpiesznie ustąpił mi swego miejsca.

Byłem trochę zbity z tropu i zaproponowałem, że wolę posiedzieć sobie przy ogniu, ale najwyraźniej nie odpowiadało to życzeniom mojego gospodarza. Jeden z przybocznych Griszy pchnął mnie mocno" i Colonna ocknął się na pryczy u stóp Griszy, "który -jak widać - chciał, żebym tam już został". Colonna-Czosnowski nie protestował. Nawet kilka godzin, w których trakcie człowiek mógł usiąść lub przyłożyć gdzieś głowę, miało ogromne znaczenie.

"Bania" - łaźnia

Skutkiem brudu, tłoku i fatalnych warunków sanitarnych była plaga pluskiew i wszy. "Satyryczny" rysunek z wydawanego w latach trzydziestych na

budowie kanału Moskwa-Wołga pisemka "Pieriekowka" przedstawia zeka fasującego nową odzież. Pod rysunkiem podpis: "Dają ci nową odzież, ale pełno w

niej wszy". Inny opatrzone rymowanym podpisem: "Do spania baraki, a pluskwy

tną jak raki". Mijały lata, a problem wciąż pozostawał ten sam. Jeden z więźniów Polaków pisze, że jego znajomy z obozu (działo się to w czasie wojny)

miał istną obsesję na punkcie wszy: "Jako biologa interesowało go, ile wszy może

utrzymać się przy życiu na określonej powierzchni. Na swojej koszuli znalazł ich

sześćdziesiąt. Po godzinie doliczył się kolejnych sześćdziesięciu".

W latach czterdziestych panowie Gułagu już od dawna mieli pełną świadomość śmiertelnego zagrożenia roznoszonym przez wszy tyfusem i -

oficjalnie

przynajmniej - toczyli nieustającą wojnę z pasożytami. Teoretycznie co dziesięć

dni więźniowie mieli obowiązek chodzić do łaźni. Po przybyciu do obozu

- a później w regularnych odstępach - całą odzież więźniów należało wygotować w komorach dezynfekcyjnych, w celu zabicia wszelakiego robactwa. Widzieliśmy

już, że obozowi fryzjerzy obcinali włosy na całym ciele nowo przybyłych, a później wszystkim zekom regularnie golono głowy. Mydło - aczkolwiek w niewielkich ilościach - figuruje na wszystkich listach produktów, jakie należało przydzielać więźniom; na przykład w 1944 roku regulaminowa norma wynosiła 200

gramów miesięcznie na głowę. Kobiety, dzieci więźniów i więźniowie hospitalizowani otrzymywali dodatkowo 50 gramów; nieletni - 100

gramów, a "zatrudnieni przy pracach szczególnie brudnych" - 200 gramów mydła miesięcznie. Te niewielkie kawałki mydła miały wystarczyć nie tylko do mycia, ale również do prania bielizny pościelowej i osobistej (mydło było towarem rzadkim nie tylko w obozach, powodem strajku górników sowieckich, jaki wybuchł w roku 1991, był, między innymi, brak mydła). Mimo to nie wszyscy byli przekonani o skuteczności obozowych procedur dezynfekcyjnych. W praktyce - pisze jeden z więźniów - "łaźnia zdawała się wzmacniać potencję seksualną wszy".

Jeszcze dalej posuwa się Wałłam Szałamow: "Komora ta nie zabija żadnych wszy. To tylko pro forma i zabieg ten służy dodatkowemu męczeniu aresztantów". Teoretycznie Szałamow nie miał racji. Aparatu dezynfekcyjnego nie wymyślono po to, by torturować więźniów - jak już powiedziałam, centralny zarząd Gułagu w Moskwie rzeczywiście wysyłał

bardzo dokładne dyrektywy i instrukcje, nakładając na komendantów obozów obowiązek walki z pasożytami, a niezliczone inspekcje pisały raporty ostro piętnujące tych, którzy obowiązek ten zaniebdywali. Autorzy raportu o stanie Dmitłagu z 1933 roku ubolewali nad tym, że baraki kobiece są "brudne, nie ma w nich prześcieradeł i koców; kobiety uskarżają się na wielką liczbę pluskiew, których wydział sanitarny nie tępi". Inny raport na temat śledztwa, przeprowadzonego w 1940 roku w sprawie stanu grupy obozów północnych, w równie zatroskanym tonie donosi o "wszach w barakach i pluskwach, mających negatywny wpływ na zdolność więźniów do wypoczynku". W jednym z łagpunktów, w obozie pracy poprawczej w Nowosybirsku, "100 procent więźniów zakażonych jest wszawicą [...], w następstwie fatalnych warunków sanitarnych bardzo wzrosła liczba przypadków chorób skórnych i niedyspozycji gastrycznych [...], z czego jasno wynika, jak bardzo kosztowny jest brak higieny w obozie". W innym łagpunkcie dwukrotnie wybuchła epidemia duru brzuszego a w jeszcze innym więźniowie są

"czarni od brudu" - pisze dalej wyraźnie wyprowadzony z równowagi autor wspomnianego raportu. Skargi na wszy i surowe rozkazy wyeliminowania tych pasożytów powtarzają się rok w rok w corocznych raportach. Po wybuchu epidemii tyfusu w Tiemłagu w 1937 roku komendanta łagpunktu i zastępcę dyrektora wydziału medycznego obozu zwolniono z funkcji i oskarżono o "zbrodniczą niedbałość i beczynność"

i oddano pod sąd. Obok kar stosowano również nagrody; w 1933 roku lokatorom jednego z baraków w Dmitłagu przyznano urlop jako nagrodę za oczyszczenie łóżek z pluskiew. Bardzo poważnie

traktowano również zdarzające się niekiedy wśród więźniów przypadki odmowy brania kąpeli. Arginska, odbywająca w początku lat pięćdziesiątych wyrok w obozie specjalnym dla więźniów politycznych, wspomina o kobietach należących do jakiejś dziwnej sekty religijnej, które z sobie tylko znanych przyczyn odmawiały mycia się i kąpeli:

„Byłam chora, zwolniono mnie od pracy i zostałam na dzień w baraku. W

pewnym momencie wszedł strażnik i oznajmił, że wszyscy chorzy mają im pomóc wykąpać zakonnice. Odbyło się to w sposób następujący. Przed ich baraki podjechał wóz, a my wyprowadzałyśmy je na zewnątrz i próbowałyśmy zmusić do wejścia na platformę

"Mniszki" opierały się, kopały nas i biły, ale gdy w końcu zapakowałyśmy je wszystkie na wóz, uspokoiły się i umilkły. Podtoczyłyśmy wóz pod łaźnię i - po jednej - zdejmowałyśmy "zakonnice" z platformy, wносиłyśmy do łaźni i rozbierałyśmy. Wtedy dopiero doszło do nas, dlaczego władze obozu nie pozwalają im się nie kąpać. Ze zdjętych z tych kobiet łachów wszy sypały się całymi garściami. Zaciągnęłyśmy je pod prysznice i umyłyśmy do czysta. Przez ten czas obsługa wygotowywała ich odzież, żeby zabić insekty". Arginska twierdzi również, że w Kengirze, gdzie nie było żadnych ograniczeń w dostawach wody, "w gruncie rzeczy można było chodzić do łaźni tyle razy, ile się chciało".

Również Leonid Sitko - który siedział wcześniej w obozie dla jeńców wojennych w Niemczech - uważa, że w łagrach sowieckich było mniej wszy niż w stalagach niemieckich. Sitko był przez pewien czas zarówno w Stieplagu, jak i w Minłagu, gdzie -jak twierdzi - "mogłeś się kąpać, ile razy chciałeś [...] mogłeś również wyprać ubranie". Niektóre fabryki i stanowiska robocze - z sytuacją taką zetknął się Kargopolagu Isaak Filsztinski - miały własne prysznice, z których więźniowie mogli korzystać w dzień, nawet jeśli inni cierpieli na brak wody. Mimo to w opisie obozowego systemu higieny, jaki przedstawia Szalamow, tkwi źdźbło prawdy. Zdarzało się bowiem często, że personel obozowy - mimo surowych i powtarzających się rozporządzeń, by kąpiel więźniów traktować serio - wykonywał swoje obowiązki jedynie gwoli dopełnienia formalności i nie przejawiał żadnego zainteresowania rezultatem tych zabiegów. Albo brakowało węgla, by dostatecznie nagrzać komorę dezynfekcyjną, albo jej obsłudze nie chciało się po prostu tego robić.

Bywało, że całymi miesiącami nie wydawano przepisowych racji mydła, zdarzało się też, że je rozkradano. W łagpunkcie Diziełny na Kołymie w

"dni kąpeli" "każdy łagiernik dostawał maleńki kawałeczek mydła i wielki kubek ciepłej wody. No i co z tym począć? Ludzie dzielili się na grupki po pięć - sześć osób, przelewali zawartość swoich kubków do jednego cebrzyka i ta odrobina musiała im starczyć do tego, żeby się namydlić i opłukać". W łagpunkcie Sopka "wodę, jak wszystkie inne towary, dostarczano kolejką linową, dalej kolejką wąskotorową, zimą zaś topiono śnieg. Ale i śniegu prawie tam nie było, gdyż rozdmuchiwał go wiatr [...]. Robotnicy przychodzący z pracy, pokryci pyłem, nie zastawali wody w umywalniach". Często strażników nudziło asystowanie przy kąpeli więźniów, w związku z czym dawali im na nią tylko kilka minut -

wyłącznie dla dopełnienia formalności. W jednym z łagpunktów Sibłagu -

pisał w 1941 roku rewizor - "więźniowie nie kąpali się przez dwa miesiące" wyłącznie z powodu braku zainteresowania strażników.

Natomiast w najgorszych łagrach jawne lekceważenie elementarnej godności ludzkiej powodowało, że kąpiel rzeczywiście stawała się torturą.

Wielu autorów opisywało koszmar takich kąpielei, ale nikomu nie udało się prześcignąć w tej mierze Szałamowa, który torturom łaźni w łagrach na Kołymie poświęcił całe opowiadanie. „Wyczerpani więźniowie musieli całymi godzinami czekać na swoją kolej. Do łaźni prowadzą albo po pracy, albo przed nią. A po wielogodzinnej pracy na mrozie (latem również nie jest lżej), kiedy wszystkie nadzieje i zamiary skupiają się na pragnieniu jak najszybszego dostania się do pryczy, do pożywienia i snu -

zwłoka związana z łaźnią staje się nie do wytrzymania. Najpierw zeki musieli czekać w kolejce na zewnątrz, na mrozie; później tłoczyli się w ciasnej przebieralni - zbudowano ją dla piętnastu ludzi, a wpychano do niej po stu naraz. Cały czas mieli przy tym świadomość, że ich baraki są rewidowane i sprzątane, a ich skromny dobytek, w tym naczynia i onuce, wyrzucany na śnieg. Człowiek ma to do siebie, że szybko obrasta różnymi drobnymi przedmiotami, bez względu na to, czy jest żebrakiem, czy jakimś laureatem [...]. Obrasta tak i aresztant. Przecież jest on robotnikiem

- musi mieć igłę i materiał na łatki, i być może dodatkową starą miskę.

Wszystko to było wyrzucane i po kolejnej łaźni wszyscy na nowo

"zagospodarowywali się", jeżeli nie zdążyli wcześniej upchać tego głęboko w śniegu, ażeby na drugi dzień wydobyć". W dodatku w łaźni często było tak mało wody, że nie sposób było się przyzwoicie umyć.

Więźniom dawano "drewniany cebrzyk nie bardzo gorącej wody

[...] - nie ma żadnej wody w nadmiarze, a także nie można jej dokupić".

Łaźnie

były do tego nieogrzewane: odczucie chłodu "potęguje się dzięki istnieniu tysięcy malutkich przeciągów przez drzwi i szczeliny: pomiędzy bierwionami ścian ułożony jest mech, który szybko wysycha i wykrusza się, tworząc w nich otwory".

W środku panował "wciąż ten sam zgiełk, dym, krzyk i ciasnota (krzyżeć jak

w łaźni - to wyrażenia żywego języka)". Również Thomas Sgovio opisuje podobne, dantejskie sceny, dodając przy tym, że na Kołymie więźniów trzeba było czasami zapędzać do łaźni biciem: „Czekało się na mrozie, aż wyjdą ci, którzy są w środku - potem diabelnie zimna przebieralnia, przymusowa dezynsekcja i fumigacja. Ubrania rzucano na kupę - nigdy nie dostawałeś z powrotem swojego - bójki, przekleństwa: "Ty skurwysynu, to mój waciak!" - przebieranie w kolektywnych, wilgotnych kałesonach pełnych gnid - golenie włosów na całym ciele przez obozowego fryzjera [...], a potem, kiedy przyszła już wreszcie nasza kolej na łaźnię, każdy brał drewniany cebrzyk, dostawał kubek

gorącej i kubek zimnej wody oraz kawałek czarnego, wstrętnie cuchnącego mydła”.

Później, kiedy było już po wszystkim, powtarzał się ten sam, ponizający proces wydawania odzieży. Jak pisze Szałamow: "Już długo przedtem ci, którzy się wymyli, tłoczą się przy tym okienku. Zastanawiają się, rozważają, jaką bieliznę wydano zeszłym razem, jaką wydawano przed pięciu laty w Bamłagu". Nic więc dziwnego, że również prawo do kąpieli we względnie przyzwoitych warunkach w sposób nieuchronny stało się jednym z ważnych elementów systemu przywilejów. W Tiemłagu, na przykład, zatrudnieni w pewnych zawodach mieli prawo do częstszych kąpieli. Sama zresztą funkcja łaźni, oznaczająca zarówno swobodę dostępu do czystej wody, jak i możliwość udzielania i odbierania tego przywileju innym, była jednym z najbardziej poszukiwanych stanowisk w łagrze. Ostatecznie więc, wbrew niesłuchanej precyzyjnym instrukcjom, surowym nakazom i utrzymanym w najbardziej drastycznym tonie rozporządzeniom Moskwy, kwestia zdrowia, higieny i wygody więźniów stała się pochodną lokalnych warunków, kaprysów i układów nieformalnych. W ten sposób głęboką metamorfozę przeszedł kolejny aspekt zwykłego normalnego życia, przekształcając się ze zwykłej ludzkiej przyjemności w to, co Szałamow nazywa przykrym wydarzeniem utrudniającym bytowanie więźniów.

"Stołowaja" - stołówka

W obfitej literaturze gułagowej znaleźć można wiele różnych opisów łagrów, osobistych przeżyć, a także doświadczeń całego, szerokiego wachlarza typów osobowości. Jeden tylko element tych relacji pozostaje absolutnie niezmienny - obojętne, kto, o jakim łagrze i jakiej epoce dziejów Gułagu mówi. Jest nim "bałanda" - zupa, którą karmiono zeków raz, a niekiedy dwa razy dziennie.

Wszyscy byli więźniowie zgadzają się jak jeden mąż, że smak połowy litra

więziennej zupy, serwowanej im do dwóch razy na dobę, był odrażający, jej konsystencja wodnista, a zawartość podejrzana. Galina Lewinson pisze, że sporządzano ją "ze zgniłej kapusty i kartofli, do których dodawano niekiedy odrobinę smalcu lub łebki śledziowe". Barbara Armonas twierdzi, że zupę tę gotowano z "ryb, płucek zwierzęcych, z dodatkiem kilku kartofli". Leonid Sitko podkreśla fakt, że "nigdy nie było w niej ani kawałka mięsa". Jeszcze inny więzień przypomina sobie

"bałandę" z psiego mięsa, której pracujący z nim współwięźniowie - Francuz -

nie był w stanie przełknąć: "Ludzie z Zachodu nie zawsze potrafią przełamać barierę psychiczną, nawet kiedy głodują" -

stwierdza". Nawet komendant Dmitłagu, Łazar Kogan, ubolewał pewnego razu,

ze "niektórzy kucharze zachowują się tak, jakby przygotowywali pomyje dla świń,

a nie sowiecki posiłek, przez co to, co wychodzi z kuchni, jest niepełnowartościowe i często pozbawione smaku". Głód był jednak potężnym bodźcem i zupę, którą w normalnych warunkach uznano by za niejadalną, wiecznie głodni więźniowie łagrów pochłaniali z niezwykłym apetytem. Nie mam tu zresztą na myśli odosobnionych przypadków głodu; więźniów głodzono, ponieważ przepisy normujące ich wyżywienie -

podobnie jak zasady regulujące ich czas i przestrzeń życiową - były jednym z najważniejszych instrumentów rządzenia i manipulacji, jakimi dysponował personel administracyjny obozów. Z tej też przyczyny rozdział żywności między więźniów urósł w obozach do rangi wielce skomplikowanego rytuału. Precyzyjne normy żywieniowe dla poszczególnych kategorii więźniów i robotników obozowych ustalano (i bardzo często zmieniano) w Moskwie. Zarząd Gułagu ustawicznie cyzelował te wartości co raz to od nowa, starając się wyliczyć minimalną ilość produktów spożywczych niezbędnych, by utrzymać więźnia w stanie zdolności do pracy. Nowe rozporządzenia, dotyczące poziomu racji żywnościowych, które wysyłano do komendantów obozów z podziwu godną częstotliwością, stały się w końcu długimi, zawiłymi dokumentami sformułowanymi w trudnym do strawienia żargonie biurowym.

Typowym takim elaboratem jest rozporządzenie w sprawie norm żywnościowych, wydane 30 października 1944 roku. Dokument ten ustala

"gwarantowaną", czyli podstawową rację żywnościową dla zdecydowanej większości więźniów: 550 gramów chleba dziennie, a oprócz tego 8

gramów cukru i innych produktów, które teoretycznie służyć miały jako surowce do przygotowania posiłku południowego, czyli "bałandy" oraz podawanej na śniadanie i kolację kaszy: 75 gramów mąki gryczanej lub makaronu, 15 gramów mięsa lub produktów mięsnych, 5 ryb lub produktów rybnych, 10 gramów tłuszczu, 500 gramów kartofli, 15 gramów soli i 2 gramy "substytutu herbaty". Do listy tej dołączono

wiele uwag dodatkowych. Komendantom pozwolono obniżać racje chleba więźniom,

którzy wypełniają jedynie 75 proc o 50 gramów, a tym, którzy wypełniają tylko

50 procent - o 100 gramów. Natomiast przekraczający plan mieli otrzymywać dodatkowo 50 gramów gryki, 25 gramów mięsa i 25 gramów ryb. Dla porównania w

1942 roku - najbardziej głodnym roku wojny w Sowieckim - dzienna racja żywnościowa strażnika obozowego wynosiła gramów chleba, prawie kilogram

świeżych jarzyn i 75 gramów mięsa; powyżej określonej wysokości nad poziomem

morza przysługiwały specjalne dodatki. Więźniów w "szarazkach"

karmiono

jeszcze lepiej; przysługiwało teoretycznie przynajmniej 800 gramów chleba

i 50 gramów mięsa - gdy norma dla zwykłego więźnia wynosiła, przypomnijmy, 15

gramów, dostawali 15 papierosów dziennie i zapalki. Kobiety w ciąży, jeńcy

wojenni, robotnicy wolnonajemni i dzieci w żłobkach obozowych otrzymywali nieco

podwyższone racje. W niektórych obozach próbowano jeszcze bardziej zróżnicować system podziału racji żywnościowych. W lipcu 1933 roku zarząd Dmitłagu wydał przepis wyszczególniający odmienne racje żywnościowe dla więźniów wypełniających poniżej 79 procent normy, od 80 do 89 procent normy, od 90 do 99 procent, od 100 do 109 procent normy, od 110 do 124 procent normy i powyżej 130 procent normy.

Nietrudno wyobrazić sobie, że rozdział tak precyzyjnie ustalonych produktów spożywczych między uprawnionych do nich odbiorców - przy czym normy ilościowe zmieniały się niekiedy z dnia na dzień - wymagał rozbudowanego aparatu biurokratycznego i wiele obozów nie bardzo sobie z tym problem radziło.

Trzeba

było mieć pod ręką całe pliki rozporządzeń i instrukcji, ustalić kto i pod jakimi warunkami ma co otrzymywać. Nawet najmniejsze łagpunkty sporządzały

sążniste sprawozdania, w których wyliczano procent wykonania normy przez każdego

więźnia i należną mu z tego tytułu ilość produktów żywnościowych. Na przykład w

1943 roku w niewielkim łagpunkcie Kiedrow - wydzielonym kolektywnym gospodarstwie rolnym Intłagu – wydawano trzynaście różnych racji żywnościowych.

Księgowy obozu - najprawdopodobniej również więzień - musiał określić przydział

należny każdemu z tysiąca więźniów. Liniował on ręcznie ołówkiem arkusze papieru

, a następnie piórem wypełniał sporządzoną tabelę nazwiskami i odpowiednimi

liczbami. W większych obozach biurokracja była jeszcze bardziej rozbudowana.

Główny księgowy Gułagu, Narinski, opisuje przypadek, gdy komendantura jednego z

obozów budujących linię kolejową na Dalekiej Północy wpadła na pomysł

wydawania

więźniom talonów żywieniowych, co miało zapewnić, że każdy dostanie codziennie

właściwą rację. Sęk w tym, że w kraju nękanym brakiem papieru nawet zdobycie takich talonów nie było sprawą łatwą. Z braku lepszego wyjścia zdecydowano posłużyć się biletami autobusowymi, które dotarły do łagru dopiero po trzech dniach. Problem ten "bezustannie groził dezorganizacją całego systemu żywienia".

Poważną trudnością był również transport żywności do odległych łagpunktów

zimą, co dotkliwie odczuły zwłaszcza obozy pozbawione własnych piekarni. "Nawet chleb jeszcze ciepły - pisze Narinski - po przewiezieniu go ciężarówką na odległość 400 kilometrów przy temperaturze 50 stopni poniżej zera przemarzał tak, że nie nadawał się nie tylko do jedzenia, ale nawet na opał". Mimo rozbudowanych instrukcji dotyczących metod przechowywania zimą skąpych zapasów warzyw i kartofli wielka ich ilość przemarzała i przestawała nadawać się do jedzenia. W lecie natomiast mięso i ryby psuły się, a inne produkty gniły. Źle nadzorowane składy paliły się do żywego kamienia albo leżały się w nich niezliczone tabuny szczurów. Wiele łagrów zakładało własne kołchozy albo łagpunkty, w których hodowano bydło mleczne; te jednak najczęściej prosperowały marnie. W jednym ze sprawozdań z kołchozu obozowego wymienia się -

oprócz innych problemów - brak wykwalifikowanego personelu technicznego, brak części zamiennych do traktora, brak obory dla bydła i nie przygotowanie do sezonu żniwnego. W rezultacie więźniowie niemal zawsze cierpieli na awitaminozę, nawet jeśli w danym momencie nie byli głodni - problem, który administracja obozowa traktowała mniej lub bardziej serio. Z braku witamin syntetycznych kazano pić więźniom

"chwoję", wywar z igieł sosnowych o ohydny smaku i wątpliwej skuteczności. Dla porównania norma dla "oficerów sił zbrojnych"

wymienia witaminę C w tabletkach i suszone owoce, jako środki uzupełniające

brak witamin w racjach podstawowych. Generałowie i admirałowie otrzymywali

dotatkowo ser, kawior, konserwy rybne i jaja. Nawet samo dostarczanie zupy - obojętne z witaminami czy bez - mogło stanowić nie lada problem w warunkach srogiej zimy panującej na Dalekiej Północy, zwłaszcza że zupę wydawano w południe, na stanowiskach roboczych. W roku 1939 na Kołymie lekarz złożył oficjalną skargę na komendanta obozu, podkreślając w niej zwłaszcza, że więźniowie zmuszeni są posilać się pod gołym niebem, że dostarczone im posiłki zamarzają w trakcie jedzenia.

Poważnym problemem przy rozdziale żywności był również tłok panujący w łagrach; jeden z byłych więźniów łagpunktu przyległego do kopalni Maldiak opodał Magadanu przypomina sobie, że posiłki dla ponad 700

ludzi wydawano tylko w jednym okienku. System dystrybucji żywności mogły również zdeorganizować wydarzenia rozgrywające się na zewnątrz świata obozów; na przykład w czasie drugiej wojny światowej często ulegał on całkowitemu załamaniu. Dla Związku Sowieckiego najgorszymi okresem wojny były lata 1942 i 1943, kiedy zachodnia część kraju znajdowała się pod okupacją wojsk niemieckich, a pozostały potencjał państwa rzucony został do walki z nimi. Głód

szerzył się w całym kraju, a Gułag nie zajmował w nim bynajmniej pozycji uprzywilejowanej. Więzień Kołymy Władimir Pietrow pisze, że w pewnym momencie do jego obozu przez pięć dni nie docierały żadne dostawy żywności: "W kopalni zapanował prawdziwy głód. Pięć tysięcy ludzi nie miało ani kawałka chleba". W obozach ustawicznie brakowało naczyń i sztućców. Wspomniany Pietrow pisze, że "zupa, ciepła jeszcze kiedy ją nalewano, zdążyła wystygnąć podczas oczekiwania, aż ktoś inny skończy swoją porcję i odda ci łyżkę i pewnie dlatego większość więźniów łyżek nie używała". Inny więzień jest głęboko przekonany, że przeżył wyłącznie dlatego, że "udało mu się wymienić rację chleba na półlitrową, emaliowaną miskę [. .]. Jeśli miałeś własną miskę, dostawałeś porcję z góry kotła - a cały tłuszcz gromadzi się u góry. Inni musieli czekać, aż zwolni się twoja miska. Zjadałeś, oddawałeś ją komuś innemu, a ten z kolei przekazywał ją później jeszcze komuś innemu".

Więźniowie robili miski i łyżki z drewna. W niewielkim muzeum, siedzibie głównej Stowarzyszenia "Memoriał" w Moskwie, można obejrzeć całą kolekcję tego rodzaju przedmiotów. Jak zwykle centralny zarząd Gułagu doskonale zdawał sobie sprawę z tych braków i od czasu do czasu usiłował coś w tej mierze zrobić; w pewnym momencie władze udzieliły pochwały jednemu z obozów za pomysł wykorzystania w tym celu zużytych puszek po konserwach. Ale nawet jeśli naczyń i sztućców było dość, często nie było, jak i gdzie ich myć, a jedno z rozporządzeń "kategorycznie" zabraniało kucharzom rozlewania zupy i nakładania do brudnych naczyń. Wydaje się, że ze wszystkich tych przyczyn normy ustalane w Moskwie - choć oszacowane na poziomie minimum biologicznego - nie mogą być wiarygodnym źródłem informacji o tym, co więźniowie rzeczywiście jedli. Żeby stwierdzić, co w obozach gdzie panował głód, nie musimy również polegać wyłącznie na wspomnieniach zeków. Sam Gułag wysyłał do obozów regularnie inspekcje i gromadził relacje o tym, co więźniowie jedzą rzeczywiście, a nie co jeść powinni. Tym razem rozbieżnością między eleganckimi zestawieniami norm i stawek

wysyłanymi z Moskwy a przysyłanymi do Moskwy raportami inspektorów jest szokujący. Badanie przeprowadzone w 1942 roku w obozie Wołgostroj wykazało, że tylko łągpunkcie zanotowano 80 przypadków pelagry (choroby wywołanej niedożywieniem): "Ludzie umierają z głodu" - donoszono w raporcie.

W wielkim obozie z zachodniej Syberii, ustalono, że w pierwszym kwartale roku normy żywieniowe były "systematycznie naruszane: mięso, ryby wydzielano niesłychanie rzadko [...], a cukru w ogóle". W roku 1942

w obwodzie swierdłowskim "posiłki nie zawierały w ogóle tłuszczów, a bardzo często również jarzyn". W lipcu tego samego roku w Wiatłagu stwierdzono, że „jedzenie było fatalne, posiłki niemal niejadalne, nie zawierające żadnych witamin. Przyczyną był brak tłuszczów, mięsa, ryb i kartofli [...];

wszystkie potrawy przygotowywano z mąki i innych produktów zbożowych". Wydaje się, że część więźniów nie otrzymywała racji żywnościowych, ponieważ do obozu nie dostarczano odpowiednich produktów. Był to problem, z którym się nie

uporano: w Kiedrowym Szorze księgowy łagpunktu prowadził na tę okoliczność listę

substytutów, wydawanych więźniom w zamian za produkty, które powinni otrzymywać, a których z racji braku dostaw nie otrzymywali. Znajdowały się na niej: ser jako substytut mleka, suchary - chleba, grzyby - mięsa " .

Nic więc dziwnego, iż rzeczywisty jadłospis więźnia różnił się od widniejącego w dokumentach moskiewskich. W raporcie z inspekcji prowadzonej w Birłagu w roku 1940 podano, że "cały obiad pracujących składa się z wody i 130 gramów kaszy, oraz 130 gramów czarnego chleba.

Na śniadanie i kolację podgrzewa się tę samą zupę. Indagowany kucharz obozowy przyznał, że "teoretycznych norm nigdy nie było" z powodu braku dostaw ryb, mięsa, jarzyn i tłuszczów. Obóz, czytamy w konkluzji raportu "nie ma pieniędzy na zakup produktów spożywczych

[...], a bez pieniędzy żaden z dostawców nie chce z nim rozmawiać".

Często zdarzało się, że choć dostawy były regularne, dostarczaną żywność natychmiast rozkradano. Złodziejstwo pienieło się na każdym szczeblu.

Żywili się tak zazwyczaj - przy okazji przygotowywania posiłków -

pracownicy stołówki i magazynierzy. Z tej też przyczyny więźniowie starali się uzyskać przydział do stanowisk dających dostęp do produktów spożywczych - funkcji kucharzy i pracowników magazynów - to bowiem pozwalało im kraść. Jewgienia Ginzburg twierdzi, że uratowała ją funkcja pomywaczki w jadalni męskiej. Dzięki niej znalazła się w miejscu, gdzie rozchodziły się "czarodziejskie aromaty" prawdziwej zupy na mięsie i znakomitych pączków smażonych na oleju słonecznikowym". Zyskała sobie tym mir i szacunek wśród więźniów. "Jego głos - opisuje rozmowę z jednym z więźniów - drgnął od mieszanych uczuć ostrej zazdrości i jednocześnie jakiejś uniżoności wobec tych, którzy potrafili w życiu zająć taką pozycję. Koło jedzenia!". Przedmiotem marzeń i pożądaniami była nawet praca przy żniwach czy obieraniu kartofli; więźniowie płacili grube łapówki, by ją uzyskać - wyłącznie zresztą po to, by móc kraść żywność.

W późniejszym okresie swej kariery obozowej Ginzburg pełniła funkcję nadzorczyńi hodowli kurcząt, przeznaczonych na stół pracowników administracji łagru, i wraz ze swym współpracownikiem ciągnęła wszelkie związane z tym korzyści: „Polewałyśmy obozową kaszę tranem, pożyczonym od kur. Gotowałyśmy kisiel z ptasiego owsa. Wreszcie codziennie zjadałyśmy po trzy jajka na nas dwie - jedno do zupy i po jednym w charakterze naturalnego delikatesu. (Więcej nie chciałyśmy, żeby nie obniżyć wskaźnika nośności jaj. Według niego oceniali naszą pracę)”. Kwitło również złodziejstwo na znacznie większą skalę, zwłaszcza w miastach obozowych na Dalekiej Północy, gdzie brak żywności doskwierał nie tylko więźniom, lecz również pracownikom wolnonajemnym i strażnikom. Kradł więc każdy, kto mógł. Każdy obóz rokrocznie przedstawiał bilans strat poniesionych z tego powodu; w łagpunkcie Kiedrowy Szor wartość ubytków w towarach

i gotówce

w samym tylko pierwszym kwartale 1944 roku, oszacowano na 20 tysięcy rubli.

W skali całego kraju kwoty te były nieporównanie wyższe. Raport prokuratury z 1947 roku wśród wielu innych przypadków kradzieży wymienia również sprawę Wiatłagu, gdzie 12 osób, w tym głównym magazynier obozu, przywłaszczyli sobie produkty spożywcze wartości 170 tysięcy rubli. Inny raport z tego samego roku szacuje, że w 34 skontrolowanych obozach w samym tylko drugim kwartale 1946 roku skradziono łącznie 70 ton chleba, 132 tony kartofli i 17 ton mięsa.

"Skomplikowany system żywienia więźniów stwarza warunki ułatwiające kradzież

chleba i innych produktów" - stwierdza w konkluzji autor raportu, dodając jeszcze, że winę za zaistniałą sytuację ponosi również "obowiązujący wśród pracowników wolnonajemnych system kartkowy" oraz aparat kontroli wewnętrznej obozu, którego członkowie są do cna skorumpowani. W pewnych wypadkach inspekcje przynosiły jakieś rezultaty i w obawie przed ewentualnymi konsekwencjami administracja części obozów starała się przestrzegać jeśli już nie ducha, to przynajmniej litery prawa. Jeden z byłych więźniów przypomina sobie na przykład, że pod koniec każdego miesiąca dostawał pół szklanki cukru, który natychmiast zjadał. W ten sposób komendantura obozu zapewniała więźniom przewidzianą w nadsyłanych z Moskwy instrukcjach miesięczną rację tego produktu. Więźniowie świętowali tę uroczystość jako "dzień cukrowy". Na koniec wreszcie - nie wszyscy w obozach głodowali. Jeśli nawet większość produktów spożywczych rozpływała się bez śladu, zanim zdążono przekształcić je w zupę -jeden był zawsze dostępny - chleb, skądinąd we wspomnieniach obozowych opisywany równie często jak "bałanda". Niektórzy z ich autorów twierdzą, iż wypiekano go fatalnie; jeden z więźniów twierdzi wręcz, że był twardy

"jak cegła" i tak mały, że można go było zjeść "w dwóch kęsach". Inny przypomina sobie, że był "rzeczywiście czarny", ponieważ zawarte w chlebie otręby nadawały mu zbliżoną do czerni barwę i charakterystyczną, chropawą konsystencję. Dodaje również, że zawierał znaczną ilość wody, tak więc, "mimo iż ważył przepisowe 700 gramów, w rzeczywistości dostawało się go mniej". Jeszcze inni przypominają sobie, że więźniowie walczyli między sobą o mniej wilgotne końcówki bochenków - tak zwane piętki. W noweli Warłama Szałamowa Cherry brandy - wymagowanym opisie ostatnich dni życia Osipa Mandelsztama -jedną z oznak zbliżającej się śmierci poety jest utrata zainteresowania chlebem: "Nie wypatrywał

piętki, nie płakał, jeśli trafiła się innemu; nie wpychał do ust drżącymi palcami "doważonego" kawałka chleba".

W bardziej głodnych latach i bardziej niedożywionych obozach chleb urósł do

rangi rzeczy świętej - sacrum; wykształcił się też specjalny ceremoniał

jego spożywania. Poza tym, o ile złodzieje obozowi kradli bezwstydnie wszystko, co im

wpadło w rękę, o tyle kradzież chleba uważano za zbrodnię wyjątkowo odrażającą i niewybaczalną. W czasie długiej drogi koleją na Kołymę Władimir

Pietrow zauważył, że "kradzież była dozwolona i wolno było ukraść wszystko,

co złodziej ukraść mógł i potrafił, z jednym tylko wyjątkiem - chleba.

Chleb był

święty i nietykalny, bez względu na to, jaką pozycję w hierarchii zajmował jego

właściciel". Pietrow został wybrany na starostę wagonu, w związku z czym spadł na niego obowiązek pobicia drobnego złodziejaska kradnącego chleb. Wywiązał się z niego przykładowo. Także Thomas Sgovio wspomina, że wśród kryminalistów na Kołymie bezwzględnie obowiązywało niepisane prawo: "Kradnij, co chcesz, z wyjątkiem świętej porcji chleba". On również był świadkiem "niejednego wypadku pobicia na śmierć więźnia, który pogwałcił tę świętą tradycję". Potwierdza to Kazimierz Zaród: „Więzień przyłapany na kradzieży ubrań, tytoniu czy czegokolwiek innego mógł spodziewać się, że reszta go pobije, ale za kradzież chleba niepisane prawo łagru znało tylko jeden wyrok - karę śmierci. Od ludzi z innych obozów słyszałem, że wszędzie było tak samo”. Dmitrij Panin, przyjaciel Sołżenicyna, opisuje w swoich wspomnieniach sposób wykonania takiego wyroku: "Przyłapanego na gorącym uczynku złodzieja chleba więźniowie kilka razy podrzucali do góry i pozwalali mu spadać na ziemię. Powodowało to nieodwracalne uszkodzenie nerek. Zostawiano go później na zewnątrz, jak padlinę".

Panin, podobnie jak inni weterani obozowi, którzy przeżyli w łagrach głodne

lata wojenne, rozpisuje się też szeroko na temat rytuałów i obrzędów odprawianych przez więźniów nad racją chleba. Zek, któremu wydawano chleb raz na

dzień - rano, stawał przed koniecznością podjęcia niewiarygodnie trudnej decyzji: zjeść całą porcję od razu, czy zachować trochę na popołudnie.

Oszczędzając część na później, ryzykował, że ktoś mu ją ukradnie, z drugiej strony miał na co czekać przez resztę dnia. Przestroga Panina przed tym ostatnim wyborem jest jedynym w swoim rodzaju świadectwem istnienia całej nauki o tym, jak radzić sobie z głodem: „Kiedy dostawałeś swój przydział chleba, ogarniała cię przemożna chęć, by maksymalnie wydłużyć przyjemność jego zjadania, podzielić chleb na równe, małe kawałeczki i ugniatać je w kulki. Z kilku patyków i nitek robiłeś nawet prowizoryczną wagę, by sprawdzić, czy mają taki sam ciężar. W ten sposób mogłeś rozciągnąć rozkosz jedzenia chleba nawet do trzech godzin. Ale równało się to samobójstwu! Obliczam, że zjedzenie racji chleba nigdy nie powinno zająć więcej niż pół godziny. Każdy kęs trzeba starannie przeżuć, ułatwia to trawienie i pozwala organizmowi wydobyć z pokarmu całą zawartą w nim energię [...], jeśli dzielisz rację i odkładasz część na wieczór, to już po tobie. Zjedz wszystko za jednym razem - ale pamiętaj również, że jeśli pożerasz chleb za szybko, jak ludzie wygłodzeni, to również skrucasz sobie życie”.

Zeki nie stanowiły jedynej warstwy społeczeństwa sowieckiego opanowanej obsesją chleba i związanych z chlebem ceremoniałów. Jeden z moich rosyjskich znajomych do dziś nie zje nawet kawałka razowca, ponieważ w Kazachstanie, gdzie jako dziecko przeżył lata wojny, nie jadał niczego innego. Susanna Pieczuro, w latach pięćdziesiątych więźniarka Mińłagu, podsłuchiwała kiedyś rozmowę dwóch rosyjskich chłopek, również więźniarek, które wiedziały, co znaczy żyć bez obozowego chleba: „Jedna z nich gładziła kawałek chleba dłonią. "O mój chlebuszku - mówiła z wdzięcznością - dają cię tu nam codziennie". "Można by go ususzyć i posłać dzieciom, one są przecież głodne. Ale nie myślę, żeby nam na to pozwolili" - zastanawiała się na głos druga”. Od tej pory, powiedziała mi Pieczuro, "mam zwyczaj dwa razy pomyśleć, zanim zacznę ubolewać nad brakiem jedzenia w łagrach”.

ROZDZIAŁ 11

Praca w obozach

„Chorych i niesprawnych,

Zbyt słabych do kopalni

Degraduje się, zsyła do obozu niżej,

Ścinać kołymskie drzewa.

Napisane na kartce papieru

Wygląda to zwyczajnie. Nie mogę jednak zapomnieć Widoku sznura sań na śniegu

I zaprzężonych do nich ludzi.

Ciągną je, natężając zapadłe piersi,

To przystając dla chwili wytchnienia,

To pnać się stromym zboczem w górę...

A brzemień ładunku ciąży

I w każdej chwili

Może pociągnąć ich za sobą

Z powrotem na dół.

Któż nie widział, jak potyka się koń?

My jednak, my widzieliśmy ludzi w uprzęży...

Jelena Władimirowa

"Raboczaja zona" - strefa pracy

Praca była podstawową funkcją większości łagrów sowieckich; głównym zajęciem więźniów i głównym przedmiotem troski obozowej administracji. Praca determinowała sposób organizacji codziennego życia, od niej też zależała względna pomyślność więźnia. Niemniej nie sposób jednoznacznie powiedzieć, jak wyglądała w obozach praca jako taka; stereotypowy obraz zeka, który w kurzawie śnieżnej kilofem kopie złotonośną rudę albo węgiel, jest tylko i wyłącznie stereotypem. Wielu było takich właśnie więźniów - nawet całe miliony, o czym dobitnie świadczą statystyki Kołymy i Workuty - istniały jednak również obozy w centrum Moskwy, w których więźniowie projektowali nowe typy samolotów, były obozy w środkowej Rosji, gdzie więźniowie budowali i obsługiwali siłownie jądrowe, były obozy rybackie nad Pacyfikiem, obozy-kołchozy w Uzbekistanie. Moskiewskie archiwa Gułagu pełne są fotografii więźniów opiekujących się swoimi wielbłędami. Nie ulega wątpliwości, że działalność gospodarcza Gułagu była równie zróżnicowana, jak ekonomika całego Związku Sowieckiego. Krótki przegląd Guide to the System of Corrective-Labor Camps in the USSR, dotychczas najbardziej wyczerpującego spisu sowieckich obozów pracy, pozwala stwierdzić, że istniały łagry zorganizowane wokół pól złotonośnych, kopalń węgla, kopalń niklu, rejonów budowy szos i linii kolejowych, zakładów zbrojeniowych, fabryk chemicznych, kombinatów metalurgicznych, elektrowni, placów budowy lotnisk i domów mieszkalnych, zakładów tekstylnych, kopalni torfu, obszarów wyrębu lasów i wytwórni konserw rybnych. Centralna administracja Gułagu wydała

w swoim czasie album fotograficzny poświęcony wyłącznie produktom wytwarzanym przez więźniów. Są w nim między innymi zdjęcia rakiet balistycznych

i innego rodzaju sprzętu wojskowego; części samochodowych, zamków do

drzwi, guzików, spławianych wodą okrągłaków, drewnianych mebli - w tym

krzesel - biurek, szaf, budek telefonicznych i beczek, butów, koszyków, wyrobów tekstylnych (wraz z załączonymi próbkami), dywanów, skór, czapek futrzanych, karakułowych płaszczy, szklanek, lamp, kubków, mydła i świec, a nawet

zabawek - drewnianych czołgów, miniaturowych wiatraków i mechanicznych

zajęty bijących w bębny. Charakter i rodzaj pracy różnił się w zależności od obozu, a także od funkcji w ramach tego samego łagru. Skazani na kary poniżej trzech lat pracowali w "koloniach pracy poprawczej" - obozach o łżejszym reżimie, związanych zazwyczaj z jednym zakładem produkcyjnym bądź samodzielnie zajmujących się określonym rodzajem wytwórczości. W przeciwieństwie do nich

działalność gospodarcza większych obozów Gułagu mogła być bardziej zróżnicowana i obejmować na przykład kopalnię, cegielnię i elektrownię oraz kilka placów budowy domów mieszkalnych, linii kolejowych czy dróg. W tego rodzaju łagrach więźniowie rozładowywali pociągi, pracowali jako kierowcy ciężarówek, zatrudnieni byli przy zbiorze owoców i warzyw, pracowali w kuchniach, szpitalach oraz przedszkolach i żłobkach; a nieoficjalnie również jako służba domowa albo prywatni krawcy czy opiekunowie dzieci komendanta obozu, strażników i ich żon.

Skazani na długie wyroki wykonywali najrozmaitszego rodzaju prace, których rodzaj i charakter zależał od zmiennych kolei ich losu. W swej wieloletniej

karierze obozowej Jewgienia Ginzburg pracowała przy wyрубie lasu, kopaniu rowów, hodowli kurczaków, jako pomywaczka, prywatna praczka żony komendanta łagru i opiekunka dzieci więźniów, by na koniec zostać pielęgniarką. Inny więzień polityczny, Leonid Sitko, w ciągu jedenastu lat spędzonych w łagrach był

spawaczem, kamieniarzem, pracownikiem budowlanym, tragarzem na stacji kolejowej, górnikiem w kopalni węgla oraz cieślą w stolarni wytwarzającej stoły i półki na książki. Więźniowie mogli co prawda pracować w bardzo różnych zawodach, dokładnie tak samo jak robotnicy wolni, ogólnie jednak dzielili się na dwie zasadnicze kategorie: skierowanych do "obszczych rabot", czyli robót ogólnych, oraz

"pridurkow" tworzących, jak się jeszcze przekonamy, odrębną kastę społeczności obozowej. Roboty ogólne - dola i przeznaczenie zdecydowanej większości więźniów - były dokładnie tym, co sugeruje ich nazwa: ciężką, nie wymagającą szczególnych kwalifikacji pracą fizyczną.

"Pierwsza zima w obozie z 1949 na 1950 rok była dla mnie szczególnie ciężka" - pisze Isaak Filsztinski. - Nie miałem żadnego zawodu, uznawanego w łagrze za użyteczny; przetrucano mnie z miejsca na miejsce do różnego rodzaju "robót ogólnych", piłowałem, nosiłem, ciągnąłem, pchałem itp., słowem musiałem iść tam, dokąd dyspozytorowi przyszło do głowy mnie posłać". Wyjąwszy tych, którzy mieli szczęście przy pierwszym przydziale stanowisk pracy - byli to z reguły inżynierowie budowlani i przedstawiciele innych, użytecznych dla obozu profesji, oraz ci, którzy ustawili się wygodnie w roli donosicieli - znakomitą większość zeków naturalną rzeczą kolejną po okresie kwarantanny kierowano do robót ogólnych. Wiązało się to z przydziałem do brygady - czyli zespołu, liczącego od 4 do 400 zeków, którzy nie tylko pracowali razem, ale na ogół spali w tych samych barakach. Każdym z nich kierował brygadzysta, zaufany więzień o wysokiej pozycji w hierarchii obozowej, przydzielający robotnikom konkretne zadania, nadzorujący ich pracę i odpowiedzialny za wykonanie przez brygadę norm produkcyjnych. Komendantura obozu doceniała znaczenie funkcji brygadzisty - więźnia o statusie zbliżonym do personelu administracyjnego łagru. W roku 1933 komendant Dmitłagu wysłał do wszystkich swoich podwładnych okólnik, przypominający im o konieczności "wybrania spośród przodowników pracy ludzi szczególnie uzdolnionych, którzy są nam niezbędni", jako że "brygadzysta to najważniejsza i najbardziej znacząca osoba na stanowisku pracy". Dla więźniów charakter ich stosunków z brygadzystą był czymś zasadniczym, decydował bowiem nie tylko o warunkach, w jakich żyli, ale często również o tym, czy w ogóle mieli szansę utrzymać się przy życiu:

„Życie więźnia w znacznej mierze zależy od jego brygady i brygadzisty, zwłaszcza jeśli wziąć pod

uwagę, że spędza noc i dzień w ich towarzystwie. W pracy, w jadalni, na pryczach - zawsze te same twarze.

Członkowie brygady mogą pracować razem, w grupach lub każdy na własną rękę. Mogą pomóc ci przetrwać, ale równie dobrze mogą cię zniszczyć - albo sympatia i pomoc, albo wrogość i obojętność. Niemniej ważną rolę odgrywa brygadzista. Wiele zależy od tego, kim jest i jak podchodzi do swoich zadań i obowiązków - czy stara się twoim kosztem, a dla własnej korzyści, przypochlebić się naczalstwu, traktuje swoich robotników jak podludzi, lokajów i służących, czy jest twoim towarzyszem w niedoli i robi wszystko, co może, by ulżyć członkom brygady". Część brygadzystów rzeczywiście uprawiała wobec swoich podwładnych politykę zastraszania i grózb. Jeden z więźniów wspomina, że ledwo trzymał się na nogach z głodu i wycieńczenia: "Brygadzista ryknął jak rozjuszony byk i rzucił się na mnie całą masą swego potężnego ciała. Kopał i okładał mnie pięściami, a na koniec wymierzył mi straszliwy cios w głowę. Półprzytomny padłem na ziemię, z ran na twarzy spływała mi krew". Bywało, że brygadzista traktował swój zespół jak zorganizowaną grupę ludzi równych i wywierał na nich presję, by pracowali wydajniej, nawet jeśli nie mieli na to szczególnej ochoty.

Bohater opowiadania Sołżenicyna Jeden dzień Iwana Denisowicza dochodzi w pewnym momencie do wniosku: "Po to wymyślono brygadę.

Nie taką brygadę przecież jak na wolności, gdzie Iwanowi Iwanyczowi płacą oddzielnie, a Piotrowi Pietrowiczowi oddzielnie. Brygada w łagrze to takie urządzenie, żeby naczalstwo nie musiało zeków poganiać, żeby więźniowie poganiali samych siebie. W brygadzie jest tak: albo wszyscy dostają chleb, albo wszyscy wydychają". Kolejny więzień Kołymy, Vernon Kress, był bity i wyzywany przez swoich towarzyszy pracy za to, że nie potrafił dotrzymać im kroku; ostatecznie zmuszono go, by opuścił

brygadę i przeniósł się do innej, "słabszej", która nigdy nie otrzymywała pełnych racji. Także Jurij Zorin trafił do pracującej ze wszystkich sił

brygady złożonej głównie z Litwinów, którzy z założenia nie tolerowali w swych szeregach bumelantów: "Trudno wyobrazić sobie, z jakim zapalem wzięłem się do roboty [...], jeśli doszli do wniosku, że pracujesz źle, wylatywałeś z brygady litewskiej na zbity pysk". Jeśli ktoś miał

nieszczęście trafić do "złej" brygady i nie umiał - sprytem lub łapówką -

wyjednać sobie przeniesienia do innej, czekał go głód. Mindlin, później jeden z założycieli Stowarzyszenia "Memoriał", dostał przydział do brygady składającej się w większości z Gruzinów, której brygadzystą był

również Gruzin. Mindlin szybko zauważył, że brygadzista budzi wśród nich taki sam strach jak wartownicy, a on sam, "jako jedyny Żyd w brygadzie gruzińskiej", nie miał co liczyć na szczególne względy.

Pewnego dnia pracował wyjątkowo ciężko w nadziei dostania najwyższej racji - 1200 gramów chleba, co brygadzista zignorował zupełnie, wpisując mu wskaźnik wykonania normy uprawniający

do przydziału zaledwie 700

gramów. Za cenę łapówki Mindlinowi udało się uzyskać przeniesienie innej brygady, gdzie panowały całkowicie odmienne porządki: brygadzysta czuł się odpowiedzialny za podwładnych, jemu samemu pozwolił na odzyskanie sił, kierując przez pierwszych kilka dni do pracy do najłżejszych zadań: "Każdy, kto trafił do tej brygady, uważał, że wygrał

los na loterii i że to uratowało go od śmierci". Później Mindlin sam został

brygadzystą i za łapówki załatwiał swoim pracownikom pewne względy kucharzy, krajaczy chleba i innych obozowych szyszek.

Stosunek

brygadzysty do podwładnych znaczył bardzo wiele, już choćby z tego powodu, że w

większości wypadków roboty ogólne nie były bezużyteczną maskaradą i fikcją. O ile w niemieckich obozach koncentracyjnych praca była często –

używając określenia wybitnego znawcy tej problematyki - "przede wszystkim narzędziem tortury i upokorzenia", o tyle od więźnia łagru sowieckiego wymagano wypełnienia

przypadającej na niego części narzuconego obozowi planu produkcji. Od reguły tej

były oczywiście wyjątki. Zdarzało się, że skretyniały czy sadystyczny nadzorca

wyznaczał więźniom bezsensowne zadania. Susanna Pieczuro wspominała, że

pewnego razu kazano jej nosić tam i z powrotem wiadro gliny, co było

"pracą do cna pozbawioną sensu". "Twoja praca nie jest mi potrzebna –

powiedział jej wprost jeden z "naczalników". - Chodzi mi o to, żebyś pocierpiała". Podobne uwagi były na porządku dziennym w latach dwudziestych na Sołowkach. W latach czterdziestych z kolei - o czym będzie jeszcze mowa - powstał i rozwinął się system obozów karnych, w których praca nie była zadaniem podstawowym, lecz służyła głównie jako narzędzie wymierzania owej "kary". Jednak nawet i tam więźniom przydzielano jakieś prace produktywne. W przeważającej jednak liczbie wypadków komenda łagru nie dążyła do tego, żeby więzień cierpiał -

ściślej, było jej to najzupełniej obojętne. Znacznie ważniejsze było wykonanie planu produkcji łagru i norm wydajności pracy. "Norma"

mogła dotyczyć wszystkiego; mogła być nią określona liczba metrów kubicznych drewna które należało ściąć, długość rowu, który należało wykopać, albo ilość urobionego węgla. I normy te traktowano ze śmiertelną powagą. Łagry były wytapetowane plakatami nawołującymi zeków do wyrabiania norm. Promowaniu owych haseł służył cały aparat

"kulturalno-oświatowy" obozu. W jadalniach i na centralnym placu zony widniały wielkie tablice, na których kredą wypisywano aktualne wskaźniki wykonania normy przez poszczególne brygady. Normy ustalano z wielką starannością, biorąc pod uwagę ściśle naukowe przesłanki. Zadanie to spoczywało na "normiowszczykach" - normistach, specjalistach - taka przynajmniej powszechnie panowała opinia - o rozległej wiedzy i wybitnych umiejętnościach. Na przykład Jacques Rossi przypomina sobie, że więźniom skierowanym do odgarniania śniegu wyznaczano bardzo różne normy, w zależności od tego, czy mieli szuflować "świeżo spadły śnieg, śnieg puszysty, śnieg lekko ubity, śnieg ubity (wymagający naciśnięcia szufli stopą), śnieg mocno ubity czy śnieg zmarznięty (który trzeba było kruszyć kilofem)"; korygowano je następnie, biorąc pod uwagę wiele dalszych współczynników: odległość, na jaką trzeba było usunąć odgarnięty śnieg, grubość jego pokrywy itp.

Naukowy rzekomo proces wyliczania "norm" i wskaźników ich wykonania - w istocie rzeczy niespójny wewnątrznie i wyraźnie arbitralny

- przeżarty był w dodatku korupcją. Zaczniemy może od tego, że więźniom narzucano takie same normy, jak pracownikom wolnonajemnym, a to oznaczało, że zek miał osiągać identyczną wydajność pracy jak wykwalifikowany drwal czy górnik. W znakomitej większości więźniowie nie byli jednak ani profesjonalnymi drwalami, ani górnikami i często nie bardzo wiedzieli, jak się mają zabrać do pracy.

Poza tym po dłuższym lub krótszym pobycie w więzieniu i wyczerpującym transporcie w nie ogrzewanych wagonach bydlęcych ich kondycja fizyczna była z zasady o wiele niższa od przeciętnej. Więzień cierpiał tym więcej, im mniej był doświadczony i bardziej wycieńczony fizycznie. Jewgienia Ginzburg daje klasyczny wręcz opis dwóch kobiet, nienawykłych do ciężkiej pracy fizycznej i osłabionych wieloletnim pobylem w więzieniu inteligentek, którym kazano ścinać drzewa w tajdze:

„Przez trzy dni usiłowałyśmy z Galą dokonać niemożliwego. Biedne drzewa! Jak one musiały cierpieć, ginąc z naszych niewprawnych rąk! My -

niedoświadczone i półżywe - jakże miałyśmy obalić kogoś drugiego.

Siekierka ześlizgiwała się, obsypując twarz drobną drzazgą. Piłowałyśmy kurczowo, nierytmicznie, w myślach obwiniając się nawzajem o niezręczność, chociaż na głos żadnych wymówek nie robiłyśmy świadome, że kłótnia byłaby luksusem, na który nie mogłyśmy sobie pozwolić. Piła co chwilę zaciskała się. Ale najgorszy moment nadchodził, kiedy podcięte przez nas drzewo nareszcie gotowe było upaść, a my nie wiedziałyśmy, w którą stronę się przechyla. Raz Gala oberwała po głowie, ale felczer naszego oddziału odmówił nawet posmarowania jodyną zranienia, oświadczając: "Stary numer! Pierwszego dnia zachciało jej się zwolnienia!". Pod koniec dnia brygadzysta oznajmił obydwu, że wykonały 18 procent normy i stosownie je za to "wynagrodził": "Otrzymawszy według wyrobionej normy maluteńką kromkę chleba, szłyśmy do lasu, i jeszcze zanim dotarłyśmy do miejsca pracy, dosłownie waliłyśmy się z nóg z osłabienia". Tymczasem brygadzysta powtarzał bez przerwy, że "nie ma zamiaru rzucać ludowego chleba "kontrom" i sabotażystom, nie wypełniającym normy". W obozach na Dalekiej Północy - zwłaszcza na Kółymie oraz położonych za kołem podbiegunowym w regionach Workuty i Norylska - dodatkowym problemem były klimat i specyfika terenu. Wbrew

powszechnemu mniemaniu lato arktyczne wcale nie jest łatwiejsze do zniesienia niż zima. Nawet na tak wysokich szerokościach geograficznych temperatura potrafi wzrastać nawet do plus 30°C; topniejący śnieg zamienia tundrę w jedno wielkie grzęzawisko, nad którym z głośnym brzęczeniem przemieszczają się wielkie, szarawe chmary komarów:

„właziły do rękawów i nogawek spodni. Twarz puchła od ich ukąszeń.

Bywało, że zanim zdążyłeś zjeść zupę, tyle ich wpadało do miski, że

"bałanda" wyglądała jak gęsta kasza. Właziły pod powieki, wpychały do uszu i gardła - smakowały słodkawo, jak krew. Im bardziej się od nich odpędzałeś z tym większą furią rzucały się na ciebie. Najlepszą metodą było nie zwracać na nie uwagi, ubierać się lekko, a zamiast siatki przeciw komarom zakładać na głowę coś w rodzaju kaptura z sitowia lub kory brzoźowej". Zimy są wyjątkowo mroźne; temperatura spada niejednokrotnie do minus 40 stopni Celsjusza. Jak wygląda praca przy taki mrozie, starali się opisać pamiętnikarze, lecz również powieściopisarze i poeci. Jeden z nich pisze, że kiedy obudził się w Wigilię Bożego Narodzenia, poczuł że nie jest w stanie poruszyć głową: „moją myślą było, że ktoś przywiązał ją w nocy do desek pryczy, ale kiedy chciałem usiąść, rozdarła się szmata, którą owinałem sobie głowę przed snem.

Podniosłem się na łokciu i zobaczyłem, że materiał przymarzył do pryczy.

Para z naszych ust wisiała w powietrzu jak dym". Inny dodaje, że: "niebezpiecznie było przestać się poruszać; podczas apelu klaskaliśmy, przytupywaliśmy, biegaliśmy w miejscu i zabijaliśmy ręce, żeby

nie zamarznąć. Bez przerwy poruszałem palcami u nóg, zwijałem dłonie w pięść i rozchylałem je ponownie [...]. Jeśli dotknąłeś metalu gołą dłonią, skóra przymarzała momentalnie; pójście do latryny groziło poważnym niebezpieczeństwem – atak biegunki mógł cię raz na zawsze pogrzebać w śniegu".
W rezultacie

więźniowie wypróżniali się w spodnie: "Praca w ich pobliżu nie należała do przyjemności, a gdy wracaliśmy do namiotów, by się rozgrzać, czuliśmy nieznośny smród. Bywało, że bito i wyrzucano na zewnątrz tych, którzy popuszczali". W kopalniach węgla za kołem arktycznym pod ziemią było

cieplej, ale ze stropów ustawicznie lała się lodowata woda. "Górnik zamieniał się w wielki lodowy sopel, jego organizm powoli wychładzał

się na dobre i po trzech lub czterech miesiącach tej piekielnej pracy więźniowie zaczynali chorować". Izaakowi Filsztinskiemu trafiło się kiedyś jedno z najbardziej nieprzyjemnych zajęć w Kargopolu -

sortowanie przeznaczonych do obróbki do spływu pniaków drewnianych.

Oznaczało to konieczność stania przez cały dzień w wodzie. Sama woda nie była zimna - pompowano ją z elektrociepłowni, ale lodowate powietrze, bez wątpienia tak: „przez całą zimę temperatura w regionie Archangielska utrzymuje się na mniej więcej poziomie minus 40-45

stopni, nad zbiornikiem stale wisiała gęsta para, było zarazem straszliwie zimno i potwornie wilgotno [...]. Praca nie była trudna, ale po godzinie na całym ciele czuć lodowate zimno; policzki, wargi i powieki pokrywał

szron, a mróz przenikał przez obozowe łachy do szpiku kości”. Najgorszą z możliwych prac zimowych był jednak wyrąb lasu. Zimą w tajdze panuje nie tylko lodowaty mróz, zdarzają się tam również często gwałtowne, nieprzewidziane burze śnieżne - tak zwane buriany lub purgi. Z jednej z nich ledwie uszedł z życiem były więzień Sibłagu, Dmitrij Bystroletow:

„W tej chwili dziko i strasznie uderzył wiatr, przyginając nas do ziemi.

Śnieg wzbił się w powietrze, światełka, gwiazdy, zaczątki zorzy polarnej -

wszystko znikło i zostaliśmy sami w białym mroku. Rozpościerając ręce, niezdarnie ślizgając się i potykając, padając i podtrzymując się, próbowaliśmy jak najszybciej odnaleźć drogę powrotną. Wtem odgłos gromu grzmotnął prosto nad głowami. Ledwie zdołałem popchnąć towarzyszkę pod skałę, gdy lód, śnieg i kamienie popłynęły w wariackim potoku nad naszymi głowami. Strugi śnieżnego pyłu nie dawały oddychać i zaślepiały oczy”.

W środku burianu znalazł się również pracujący w kamieniołomach Janusz

Bardach, który - powiązany liną z towarzyszami pracy i strażnikami -

dotarł do

obozu, podążając w ślad za psami wartowniczymi: „Nic nie było widać oprócz pleców Jurija, więc kurczowo przyłgnąłem do liny, jakby miała ocalić mi życie [...]. Gdy znikły znane mi punkty orientacyjne, nie miałem pojęcia, ile jeszcze przed nami, nabrałem za to pewności, że nie uda się nam dojść. Moja stopa natrafiła na coś miękkiego, co okazało się więźniem, który odpadł od liny.

-

Zatrzymać się! - krzyknąłem.

Ale nie udało się zatrzymać. Nikt mnie nie usłyszał. Schyliłem się i przyciągnąłem jego ramię do liny.

-

Trzymaj! - Usiłowałem przywiązać go jakoś do liny. - Nie puszczaj!

Bez skutku. Jego ramię opadło, gdy tylko wymknęło mi się z rąk. Jurij surowo rozkazał iść naprzód, więc dołączyłem do reszty”. Kiedy brygada Bardacha wróciła do obozu, okazało się, że brakuje trzech więźniów. Z

reguły "ciała odnajdywano dopiero na wiosnę, często zaledwie sto metrów od zony". Regulaminowa odzież przydzielana więźniom nie zapewniała im wystarczającej ochrony. Na przykład w 1943 roku moskiewska centrala Gułagu wydała rozporządzenie, na mocy którego więźniowie mieli otrzymywać

między innymi: jedną koszulę letnią (raz na dwa sezony), parę letnich spodni (raz na dwa sezony), waciak, który powinien wystarczyć im na dwa lata, parę watowanych spodni (raz na osiemnaście miesięcy), walonki (raz na dwa lata) oraz zmianę bielizny (raz na dziewięć miesięcy). W praktyce nie dostawali nawet i tych, śmiesznie małych przydziałów. Autor raportu z przeprowadzonej w 1948 roku inspekcji 24

łagrów stwierdza, że zaopatrzenie w "odzież, bieliznę i buty jest niewystarczające". Wydaje się to powiedziane dość łagodnie; w obozie w Krasnojarsku mniej niż połowa więźniów miała buty. W Norylsku, na Dalekiej Północy, zaledwie 75 procent zeków miało zimowe obuwie, a tylko 86 procent ciepłą bieliznę. W Workucie - również na Dalekiej Północy - zaledwie 25 do 30 procent więźniów miało jakąkolwiek bieliznę, a tylko 48 procent buty zimowe. Ponieważ brakowało przydziałowego obuwia, więźniowie radzili sobie, jak mogli. Robili buty z kory brzozonej, starych szmat i zużytych opon samochodowych. W

najlepszym wypadku były to buty toporne, w których z trudem dawało się chodzić, zwłaszcza w głębokim śniegu, w najgorszym - przeciekały, co dawało stuprocentową gwarancję odmrożenia nóg. Elinor Lipper opisuje tego rodzaju walonki, nazywane w łagrze "czetezetami" - akronim nazwy: Czelabińska Fabryka Opon: „Wyrabiano je z pikowanych i watowanych worków jutowych; miały wysokie, sięgające kolan, wywijane na wierzch cholewy. Czubki i pięty wzmacniało się obszyciem ze sztucznej skóry albo impregnowało tłuszczem. Podeszwy robiono z gumy wycinanej ze zużytych opon samochodowych. Łapcie te mocowano do stopy i śródstopia sznurkiem, którym przewiązywano również cholewę tuż pod kolanem - żeby do środka nie dostał się śnieg [...]. Po upływie dnia były całe powykrzywiane, a kawałki gumy na podszewkach rozłaziły się na wszystkie strony. Buty te w nieprawdopodobnym wręcz tempie wchłaniały wszelką wilgoć, zwłaszcza jeśli w workach, z których je zrobiono, przechowywano wcześniej sól”.

Mamy też inne opisy podobnych improwizacji obuwniczej: "Ich krawędzie nie

były zszyte, a onuc nie dawało się zawinać zbyt ciasno, co oznaczało, że stopa wystawiona była bezpośrednio na działanie mrozu". Zmuszony chodzić w takich łapciach autor tych słów ciężko odmroził sobie nogi, co -

jak twierdzi - uratowało mu życie, ponieważ uznano go za niezdolnego do pracy. Więźniowie mieli różne sposoby walki z zimnem, często tworzyli z nich całe systemy teoretyczne. Po zakończeniu dnia roboczego niektórzy starali się rozpedzić przenikający ich do szpiku kości chłód, tłocząc się wokół rozgrzanego do czerwoności piecyka tak blisko, że często zajmowały się na nich ubrania: "Odrażający smród tłących się łachów wzbijał się pod niebo i dosłownie wyżerał nozdrza". Inni uważali to za skrajną głupotę. Bardziej doświadczeni więźniowie nauczyli Isaaka Filsztynskiego, że pchanie się za wszelką cenę do piecyka lub obozowego ogniska grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem, gdyż gwałtowna zmiana temperatury powoduje zapalenie płuc: "Organizm ludzki ma tę właściwość, że bez względu na to, jak by było zimno, dostosowuje się i przyzwyczaja do tej temperatury. Zawsze trzymałem się tego, co mówili obozowi mędrcy, i nigdy nawet się nie przeziębilem".

Teoretycznie komendantura obozu miała obowiązek łagodzić reżim pracy w razie skrajnie niskich temperatur. Zgodnie z regulaminem więźniom niektórych

łagrów na Północy wydawano dodatkowe racje żywności. Te jednak –jak wynika z dokumentów z 1944 roku - wynosiły zaledwie 50 gramów chleba dziennie -jeden czy dwa kęsy - zbyt mało, by choćby w części zrekompensować ubytki kaloryczne spowodowane wychłodzeniem. W

czasie bardzo silnych mrozów lub zamieci śnieżnych więźniów nie wolno było - w teorii przynajmniej - wyprowadzać do pracy. Władimir Pietrow twierdzi, że za czasów Berzina w łagrach kołymskich zaprzestawano pracy, gdy temperatura dochodziła do minus 51 stopni Celsjusza. Zimą z 1938 na 1939 rok, już po usunięciu Berzina, musiała już spaść poniżej tej granicy, ale nawet wówczas nie zawsze zasady tej przestrzegano, już choćby z tej przyczyny -jak pisze Pietrow - że jedynym człowiekiem w całym łagrze, który miał termometr, był komendant obozu. W rezultacie owej zimy "tylko trzy dni uznano za wolne od pracy z powodu silnego mrozu - dla porównania poprzedniej zimy było ich piętnaście".

Zaród twierdzi, że w latach drugiej wojny światowej za temperaturę krytyczną uznawano minus 49 stopni Celsjusza i przypomina sobie wypadek odwołania do

żony jego brygady drwali, kiedy temperatura spadła do 53 stopni poniżej zera:

"Jakże szybko pozbieraliśmy narzędzia, sformowaliśmy kolumnę marszową i ruszyliśmy z powrotem do obozu". Według Bardacha w tym samym czasie na Kołymie praca ustawała przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, "nigdy zaś nie brano pod uwagę siły wiatru". Na przeszkodzie w wykonaniu normy stała jednak nie tylko pogoda. W wielu łagrach normy ustalano na niebotycznie wysokim poziomie, co po części wynikało z samej logiki sowieckiego systemu planowania gospodarczego, opartego na założeniu, że produkcja musi co roku wzrastać. Olicka pamięta, że ona i jej koleżanki starały się ze wszystkich sił wykonać normę w obawie przed utratą dobrej pracy w cieplej i suchej szwalni. Na każdy przypadek wykonania normy administracja obozu odpowiadała jednak jej podniesieniem; wskaźniki stały się w końcu tak wyśrubowane, że nie sposób było ich osiągnąć. Normy rosły również i z tej przyczyny, że oszukiwali wszyscy - i więźniowie, i ci, co je ustalali - znacznie zawyżając poziom rzeczywistych efektów pracy, w wyniku czego wskaźniki norm rosły wręcz astronomicznie. Nawet przy pracach rzekomo lżejszych normy były wprost niewiarygodnie wysokie: "Każdego stawiano przed niewykonalnym zadaniem. Dwu ludzi musiało oprać 800 więźniów w ciągu 10 dni". Problematyczne były także korzyści, jakie przynosiło przekraczanie norm. Antoni Ekart opisuje sytuację, kiedy płynąca w pobliżu rzeka gwałtownie wezbrała, grożąc zalaniem obozu: "Kilka brygad złożonych z najsilniejszych więźniów - w tym wszystkich

"udarników" - przez dwa dni pracowało jak opętane. W nagrodę ludzie dostali po śledziu na dwóch i po paczce machorki na czterech". W tego rodzaju warunkach - wytężonej, ciężkiej pracy fizycznej z nielicznymi dniami wypoczynku i przerwami w czasie dnia roboczego - wypadki, często fatalne w skutkach, zdarzały się nagminnie. W początku lat pięćdziesiątych brygadzie niedoświadczonych więźniarek kazano wypalać zarośla wokół Ozierłagu. Tylko przy tej okazji, wspomina jedna z nich,

"kilkoro ludzi spłonęło żywcem". Wyczerpanie więźniów w połączeniu ze złą pogodą okazywało się często śmiertelnie niebezpieczną mieszanką:

„Przemarznięte, zdrętwiałe palce nie mogą utrzymać stylisk, łomów i pni, co chwila zdarzają się wypadki, często śmiertelne - pisze Dolgun. -

Jednego z robotników zmiażdżyły

okrągłaki, które staczano z platformy ciężarówki po zaimprovizowanej pochylni

Przywaliło go kilkanaście pni - nie zdążył uciec. Strażnicy wyciągnęli jego ciało spod bali i wrzucili na platformę. Krwawe strzępy człowieka leżały na niej przez cały dzień. Do obozu odwieziono je dopiero po zakończeniu pracy, nocą”.

Moskwa prowadziła statystyki wypadków przy pracy, co niejednokrotnie dawało powód do wymiany utrzymanej w ostrym tonie korespondencji między inspektorami a komendantami obozów. Jedno z takich zestawień, za rok 1945, wymienia 7124 wypadki, do jakich doszło w samych tylko kopalniach węgla w Workucie; 482 z nich spowodowały ciężkie obrażenia ciała, a 137 zakończyło się śmiercią. Inspektorzy stwierdzają, że ich przyczyną był brak lamp górniczych, awarie instalacji elektrycznych, niedoświadczenie górników i wysoki współczynnik rotacji kadr. W

następstwie wypadków przy pracy stracono łącznie 61 492 dniówki robocze - konkluduje z rozdrażnieniem autor raportu. W pracy przeszkadzała również absurdalnie nieudolna jej organizacja i nieodpowiedzialne zarządzanie. Były to co prawda mankamenty całej gospodarki sowieckiej, ale w łagrach - gdzie o zdrowie i życie więźniów nikt się specjalnie nie troszczył, a dostawy części zamiennych i surowców były systematycznie dezorganizowane przez fatalne warunki pogodowe i ogromne odległości - przejawiało się to najwyraźniej. Chaos, który rządził

Gułagiem, poczynając od dni budowy Biełomorkanału, trwał w najlepsze jeszcze w latach pięćdziesiątych, nawet w dobie mechanizacji znacznej części stanowisk pracy. Drwale nie mieli "pił łańcuchowych, traktorów do ściągania okrągłaków ani mechanicznych ładowarek". Robotnicy w fabrykach włókienniczych dostawali za mało narzędzi lub nieodpowiednie, co oznaczało na przykład, jak wspomina jeden z byłych więźniów, że "wszyscy dostali ciężkie dwukilogramowe żelazka. Przez zmianę trzeba było wyprasować 426 par spodni; przy unoszeniu żelazka mdlały ręce, a nogi bolały i puchły". Maszyny psuły się ustawicznie -

czynnik, który niekoniecznie brano pod uwagę przy ustalaniu norm. W tej samej fabryce "mechaników wzywano bez przerwy - były nimi przeważnie więźniarki. Remonty ciągnęły się całymi godzinami, bo kobiety te nie miały odpowiednich kwalifikacji. Uniemożliwiało to wykonanie narzuconych norm - w konsekwencji nie dostawaliśmy chleba". Problem niesprawnych maszyn i niewykwalifikowanych mechaników raz po raz pojawia się w annałach centrali Gułagu. W 1934

roku przedstawiciele administracji obozów, uczestniczący w dalekowschodniej konferencji partyjnej w Chabrowsku, uskarżali się na nagminne przerwy w dostawach wyposażenia i niski poziom kwalifikacji personelu technicznego, w czego konsekwencji niemożliwe było wykonanie planu produkcji złota. Autor listu wystosowanego w 1938 roku do odpowiedzialnego za problemy Gułagu zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych stwierdza, że "zepsutych jest 40 do 50 procent traktorów". Zawodziły jednak również i bardziej prymitywne narzędzia i metody. W podobnym liście z roku poprzedniego czytamy, że spośród należących do Gułagu 36 491 koni 25 procent nie nadaje się

do pracy.

Inwestycje Gułagu cierpiały na ostry niedobór wykwalifikowanego personelu inżynierskiego i administracyjnego. W przedsiębiorstwach obozowych pracowała zaledwie garstka techników z wolnego naboru o odpowiednim poziomie kwalifikacji, a ci, którzy zgłaszali się do pracy na ochotnika, nie zawsze byli odpowiednio

przygotowani do wykonywania swoich zadań. Przez całe lata trwały próby ściągnięcia do obozów robotników wolnonajemnych. W połowie lat trzydziestych agitatorzy i werbownicy Dalstroju jeździli wzdłuż i wszerz całego Związku Sowieckiego, oferując specjalne przywileje wszystkim, którzy podpiszą dwuletni kontrakt. Gwarantowano im płace o 20 procent wyższe od przeciętnej krajowej przez pierwsze dwa lata pracy i 10 procent w każdym następnym, płatne urlopy, dostęp do specjalnych sklepów z artykułami spożywczymi i dobrami trwałego użytku oraz hojne emerytury.

Prasa sowiecka z wielkim hukiem i entuzjazmem rozpisywała się o obozach na Dalekiej Północy. Przykładem tego rodzaju propagandy może służyć opublikowana w języku angielskim książka *Sovietland* napisana z myślą o cudzoziemcach. Utrzymany w podobnym duchu artykuł o Magadanie, jaki ukazał się w kwietniu 1939 roku w jednym z tygodników

- poniekąd klasyka całego gatunku - rozpisuje się o magicznym uroku tego miasta: „Morze światła Magadanu nocą to spektakl niezwykle sugestywny i urzekający. Magadan to miasto tętniące życiem w każdej minucie doby, miasto rojące się od ludzi, których rytm życia wyznacza precyzyjny regulamin zajęć. Sumienność i dokładność rodzą szybkość, a szybkość przeradza się w pracę łatwą i szczęśliwą”. Ani słowa oczywiście o tym, że ludzie, "których rytm życia wyznacza precyzyjny regulamin zajęć", to zeki.

Nie miało to zresztą większego znaczenia, próby ściągnięcia tam specjalistów

odpowiedniej miary zawiodły na całej linii i Gułag, chcąc nie chcąc, musiał polegać na więźniach, którzy w końcu trafili tam przypadkowo.

Jeden z nich wspomina, że wysłano go wraz z całą brygadą budowlaną o 600 kilometrów od Magadanu z zadaniem budowy mostu. Na miejscu okazało się, że nikt z całej brygady nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił. Kierownictwo budowy powierzono jednemu z więźniów -

inżynierowi, ale o zupełnie innej niż budownictwo lądowe specjalności.

Most stanął - tyle tylko że zniosła go pierwsza powódź.

Co prawda w porównaniu z innymi przedsięwzięciami był to zaledwie mały

znaczący drobiazg. Podobne marnotrawstwo i ogólne bezhołowie charakteryzowało

również inne gigantyczne przedsięwzięcia Gułagu, w które angażowano tysiące

ludzi i inwestowano monstrualne nakłady pieniędzy i środków; najlepszym przykładem może być budowa linii kolejowej łączącej region Workuty z ujściem Obu

do Morza Arktycznego. Decyzje o jej rozpoczęciu podjął rząd sowiecki w kwietniu 1947 roku. Miesiąc później zaczęto równocześnie prace badawcze, projektowe

i konstrukcyjne. Więźniowie przystąpili również do budowy portu na Przylądku

Kamiennym - w miejscu, gdzie Ob rozszerza się, tworząc lejkowate ujście do

morza. Jak zwykle pojawiły się problemy i komplikacje: brakowało traktorów, więźniowie posługiwali się więc starymi, wycofanymi ze służby czołgami. Planiści

nadrabiali brak sprzętu mechanicznego wzmoczoną eksploatacją zeków.

Jedenastogodzinny dzień pracy stał się normą; w ciągu krótkiego polarnego lata nawet wolnonajemni nie schodzili ze swoich stanowisk od godziny dziewiątej pracy. Pod koniec roku problemy zaczęły narastać w tempie lawinowym,

służby geologiczne ustaliły, że Przylądek Kamienny nie jest dobrym miejscem na

port, wody przybrzeżne są zbyt płytkie dla wielkich statków, a grunt zbyt grząski by można na nim budować wielkie zakłady przemysłu ciężkiego.

W 1949 roku na zwołanym przez Stalina nocnym posiedzeniu przywództwa budowy podjęto decyzję o zmianie lokalizacji portu, a co za tym idzie również linii kolejowej: miała ona teraz łączyć Ob nie z rejonem Workuty na zachodzie z Jenisejem, ale na wschodzie. Założono dwa nowe łagry: Budowa ITŁ i Budowa nr 503 (Północny Zarząd ITŁ). W każdym z nich zaczęto jednocześnie budować tory kolejowe; w myśl planu obie ekipy budowlane miały spotkać się w środku drogi. Dzielił je dystans 1297 kilometrów. W szczytowym momencie ich natężenia przy budowie tej pracowało - wedle niektórych źródeł - 80 tysięcy, wedle innych 100

tysięcy ludzi. Całą budowę rychło zaczęto nazywać "drogą śmierci".

Budowa linii kolejowej w arktycznej tundrze okazała się prawie niemożliwa. Wiosną, kiedy topniała

wierzchnia warstwa zamrożonej ziemi, tory zaczęły grzęznąć i trzeba było je

nieustannie wzmacniać. Mimo to pociągi ciągle wypadały z szyn. Z

powodu problemów z dostawami podjęto decyzję o zastąpieniu stali konstrukcyjnej

co dawało pewną gwarancję klęski całego przedsięwzięcia. Do dnia śmierci Stalina w 1953 roku zdołano zbudować niecałe 500 kilometrów torów. Port istniał wyłącznie na papierze. Kilka tygodni po śmierci Stalina cały projekt, którego realizacja zdołała już pochłonąć 40 miliardów rubli i dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, zarzucono na dobre. Na mniejszą skalę podobne wyczyny powtarzały się w Gułagu codziennie. Mimo fatalnej pogody, braku doświadczonych kadry i fatalnego zarządzania presja na administracje obozów nie ustawała. Nie ustawał też nacisk na więźniów.

Komendantów obozów nęcano coraz to nowymi inspekcjami, mającymi wymusić na nich poprawę

wyników pracy. Bo tylko liczyły się one -

choćby fikcyjne. Więźniów, którzy doskonale zdawali sobie sprawę, mogło to co najwyżej śmieszyć, mimo wszystko była to jednak kwestia poważna. Wielu z nich jej nie przeżyło.

wydział kulturalno-oświatowy

Gdyby ktoś przypadkowo wziął do ręki pieczołowicie przechowywane w specjalnym archiwum zdjęcia Bogosławłagu z 1945 roku, i gdyby nie pozostawiająca żadnych wątpliwości sygnatura archiwum NKWD, miałby pełne prawo sądzić, że nie ogląda

fotografii łagru. Widać na nich starannie rozplanowane ogrody, rabaty, fontannę i altanę, w której więźniowie mogli sobie usiąść, by odpocząć.

Nad bramą obozu widnieje czerwona gwiazda i hasło: "Wszystkie siły dla przyszłej potęgi Ojczyzny!". Zdjęcia samych już tylko więźniów, wypełniające niemal do końca drugi album, przedstawiają ludzi, których również trudno pogodzić ze stereotypowym wyobrażeniem zeka.

Znajdziemy tu fotografię uszczęśliwionego mężczyzny dźwigającego dynię, woły zaprzęgnięte do pługą i uśmiechniętego komendanta, który zrywa właśnie jabłuszko. Na innej fotografii widnieją dwa wykresy -

planowanej produkcji obozu i wskaźnika wykonania planu.

Oba albumy - pieczołowicie opracowane, pokolorowane i opatrzone podpisami

z taką samą metodyczną starannością, z jaką dzieci w szkole przyozdabiają swoje

pamiętniczki - są dziełem tej samej instytucji Kulturno-Wospitatelnoj Czasti-Wydziału Kulturalno-Oświatowego, czyli KWCze, pod którym to akronimem był

on zazwyczaj znany więźniom. KWCze - lub jego odpowiedniki - istniał

od początku dziejów Gułagu. Pierwszy numer "Słona", periodyku obozu Sołowieckiego, zawiera artykuł na temat więzień w przyszłej Rosji:

"Rosyjska polityka pracy

poprawczej musi reedukować więźniów, przyzwyczajając ich do udziału w zorganizowanej pracy produkcyjnej". Jednakże w ciągu całej niemal historii Gułagu rzeczywistym celem obozowej propagandy był wzrost wskaźników produkcji. Wydaje się to prawdą nawet w czasach budowy Kanału Białomorskiego, kiedy hasła "reedukacji" wykrzykiwano najgłośniej i, jak się wydaje, najszczerzej. Były to lata apogeum kultu przodownika pracy. Artyści obozowi malowali portrety najlepszych

"kanałowców", a muzycy i aktorzy organizowali koncerty ku ich czci.

Robotników "szturmowych" zapraszano na wielkie masówki, na których śpiewano pieśni i odczytywano z kartki przemówienia. Po jednym z takich wieców, 21 kwietnia 1933 roku, zorganizowano dwudniowy "szturm pracy"; 30 tysięcy stachanowców przez czterdzieści osiem godzin ani na chwilę nie opuściło swoich stanowisk roboczych. Działalność tego rodzaju zarzucono bezceremonialnie u schyłku lat trzydziestych, kiedy więźniowie stali się "wrogami ludu", a ci nie mogą być przecież

"przodownikami pracy"; jednak z chwilą gdy w 1939 roku władzę nad systemem łagrów przejął Beria, propaganda zaczęła powoli wracać do łask. Mimo że nigdy już nie miały wrócić czasy Kanału Białomorskiego -

przedsięwzięcia Gułagu, którego "sukces" roztrąbiono triumfalnie na cały świat - w obozach znów zaczęły rozbrzmiewać hasła "reedukacji". W

latach czterdziestych każdy obóz miał teoretycznie przynajmniej jednego instruktora KWCze, niewielką bibliotekę i "klub", w którym odbywały się przedstawienia teatralne i koncerty, gdzie wygłaszano pogadanki polityczne i organizowano polityczne dyskusje. Thomas Sgovio przypomina sobie jeden z takich klubów: "Świetlica, w której mogło się pomieścić ze trzydzieści osób, miała drewniane, jaskrawo pomalowane ściany. Było tam kilka stołów, rzekomo dla czytelników, tyle tylko że nie było tam żadnych książek, gazet ani magazynów. Jakżeby zresztą inaczej.

Gazety ceniono na wagę złota. Robiliśmy z nich skręty". Od lat trzydziestych poczynając, trzonem "klienteli" KWCze mieli być więźniowie skazani za przestępstwa kryminalne. W owych latach nie było do końca jasne, czy "polityczni" godni są tego, by marnować czas na ich reedukację, dokładnie tak samo, jak nie było do końca jasne, czy można im powierzać stanowiska specjalistów. W wydanej w roku 1940 instrukcji NKWD dotyczącej pracy kulturalno-oświatowej w obozach autor stwierdza jednoznacznie, że skazani za przestępstwa kontrrewolucyjne nie są właściwym obiektem działalności reedukacyjnej. W przedstawieniach teatrzyków obozowych mogli brać udział wyłącznie jako muzycy - mówić ani śpiewać prawa nie mieli.

Jak nierzadko zdarza się w takich sytuacjach, nad instrukcjami częściej przechodzono do porządku dziennego, niż ich przestrzegano, a - co również nierzadko się zdarza - KWCze odgrywało w życiu rolę zupełnie odmienną, niż życzyli sobie i spodziewali się po nim moskiewscy władcy Gułagu. W intencji Moskwy KWCze miało zmuszać więźniów do jeszcze cięższej pracy, natomiast zeki wykorzystywali KWCze do własnych celów: moralnego wsparcia i przetrwania.

Na pozór, wydaje się, że instruktorzy kulturalno-oświatowi starali się propagować wśród więźniów cnoty pracy w identyczny sposób, jak aktywiści partyjni próbowali to robić w świecie znajdującym się po drugiej stronie więziennej bramy. W większych łagrach KWCze wydawało gazetki obozowe. Czasami były to pisma normalnej objętości, ze wstępniakami, długimi reportażami o sukcesach obozu i artykułami

"samokrytycznymi", piętnującymi wszystko, co dzieje się w obozie nie tak jak trzeba - słowem typową zawartością typowego sowieckiego tytułu prasowego. Poza krótkim okresem wczesnych lat trzydziestych gazety te wydawano przede wszystkim z myślą o robotnikach wolnonajemnych i

personelu administracyjnym łagrów. Dla więźniów przeznaczone były

"gazetki ściennie", których nie rozprowadzano wśród czytelników (niebagatelną rolę odgrywał tu ciągły brak papieru), lecz wywieszano na specjalnych tablicach. Jeden z byłych więźniów nazywa je "klasycznym atrybutem sowieckiego stylu życia: nikt ich nie czytał, ale ukazywały się regularnie". Zawierały często tak zwane kąciki humoru: "Byli najwyraźniej przekonani, że zdychający z głodu zek przeczyta to, uśmieje się serdecznie i sam zacznie zawstydzająco bumelantów, którzy nie chcą ciężką pracą okupić swych win wobec Ojczyzny". Wydawać się to może zabawne, ale moskiewska centrala Gułagu traktowała całe przedsięwzięcie ze śmiertelną powagą. Gazetki ściennie - czytamy w jednej z dyrektyw -

"powinny przedstawiać najlepsze wzorce pracy, popularyzować postacie robotników szturmowych i piętnować bumelantów". Nie wolno było zamieszczać w nich portretów Stalina: więźniowie łagrów byli przecież kryminalistami, a nie "towarzyszami" i wciąż jeszcze ciążył na nich wyrok ekskomunikacji ze społeczności sowieckiej, zatem nie wolno było im nawet spoglądać na jej przywódcę. Jawnie absurdalna obsesja tajności, jaka ogarnęła łagry w 1937 roku, trwała przez całe lata czterdzieste - gazet i gazetek wydawanych w obozach nie wolno było wynosić poza granice strefy. Poza rozwieszaniem gazetek ściennych KWCze wyświetlało również więźniom filmy. Herling-Grudziński obejrzał w obozie jakiś musical amerykański "pełen kobiet w tiurniurach, mężczyzn w obcisłych żakietach i żabotach" oraz film propagandowy, kończący się "triumfem dobra": "niezdarny student zajął pierwsze miejsce w socjalistycznym wyścigu pracy, a potem z ogniem w oku wygłosił przemówienie o ustroju, w którym praca rąk wyniesiona została na najwyższy piedestał".

Tymczasem niektórzy więźniowie wykorzystywali panujące na sali w czasie

seansu ciemności do załatwiania własnych porachunków nożowych:

"Pamiętam,

że pod koniec jednego z seansów spostrzegłem, że z sali wynoszą zwłoki jakiegoś

mężczyzny" - opowiedział mi jeden z byłych więźniów. KWCze organizowało również mecze piłki nożnej, turnieje szachowe, koncerty i przedstawienia teatralne, co z uroczystą powagą określano mianem

"samorodnej działalności twórczej". Jeden z dokumentów archiwalnych wymienia następujące pozycje repertuaru zespołu pieśni i tańca NKWD

podczas jego tournée po łagrach:

1. Ballada o Stalinie

2. Duma Kozacka o Stalinie

3. Pieśń o Berii

4. Pieśń o Ojczyźnie

5. Walka za Ojczyznę

6. Wszystko dla Ojczyzny

7. Pieśń bojowników NKWD

8. Hymn czekistów

9.

Pieśń o odległej placówce granicznej

10. Marsz straży granicznej.

Było też kilka lżejszych kawałków w rodzaju Zapalmy albo Pieśni o Dnieprze

poświęconej przynajmniej chwale rzeki, a nie aparatu tajnej policji. W

repertuarze teatralnym znaleźć też można kilka sztuk Czechowa. Ogólnie rzecz biorąc, działalność artystyczna miała jednak służyć - w teorii przynajmniej - nie rozrywce, a oświeceniu więźnia. "Każde przedstawienie musi wychowywać więźnia, uczyć go większej świadomości pracy" - głosiła instrukcja wydana w Moskwie w 1940 roku.

Więźniowie - o czym będzie jeszcze mowa - nauczyli się z czasem traktować występy artystyczne jako jeden z elementów strategii przetrwania. "Samorodna działalność twórcza" nie była jednak jedynym przedmiotem zainteresowania i troski Wydziału Kulturalno-Oświatowego.

Na KWCze spoczywało

również zadanie gromadzenia "wniosków racjonalizatorskich", sugestii, jak

usprawnić i lepiej zorganizować pracę więźniów, którą to misję traktowano z kamienną powagą. W półrocznym raporcie przesłanym do Moskwy KWCze jednego

z łagrów w Niżnie-Amursku najzupełniej serio donosiło, że otrzymało w tym czasie 302 wnioski racjonalizatorskie, z których 157 wdrożono, co przyniosło obozowi 812 332 ruble oszczędności. Isaak Filsztinski zauważa ironicznie, że niektórzy więźniowie szybko nauczyli się obracać to na własną korzyść. Pewien więzień - na wolności szofer - oznajmił

mianowicie, że wie, jak skonstruować urządzenie pozwalające napędzać samochody tlenem. Podniecona perspektywą dokonania prawdziwego odkrycia "racjonalizatorskiego" komendantura obozu urządziła mu laboratorium, w którym szofer mógł w spokoju realizować swoje koncepcje: "Nie mam pojęcia, czy mu wierzyli. Wykonywali po prostu instrukcje "góry". Każdy obóz miał swoich etatowych racjonalizatorów i wynalazców... a kto wie, może Wdowin rzeczywiście coś odkryje i dostaniemy Nagrodę Stalinowską!". Wdowin, kiedy pewnego dnia wyszedł z laboratorium z gigantyczną konstrukcją skleconą z różnych metalowych części, której sensu ani zasady działania nikt nie był zdolny dociec, został uznany ostatecznie za mistyfikatora i oszusta. W obozach -

dokładnie tak samo jak w otaczającym je "wolnym" świecie -

organizowano również "socjalistyczne współzawodnictwo pracy", co polegało na tym że więźniowie mieli rywalizować ze sobą w wykonywaniu i przekraczaniu normy i podnoszeniu poziomu produkcji.

Tak samo również nagradzano więźniów którzy doszli jakoby do przekraczania norm o 200 i 300

procent. Pierwszą tego typu kampanię rozpoczętą w latach trzydziestych opisałam w rozdziale czwartym, kontynuowano je jednak - z dużo wszakże już mniejszym entuzjazmem i wyższą skłonnością do absurdałnej przesady - również w kolejnej dekadzie. Uczestniczący we "współzawodnictwie" więźniowie otrzymywali różnego rodzaju nagrody, niektórym dostawały się większe racje żywnościowe i lepsze warunki zakwaterowania, innym - znacznie mniej konkretne wyróżnienia. W 1942 roku na przykład jedną z nagród za dobre wyniki pracy była "kniżka otlicznika" – broszurka rozdawana

"przodownikom pracy". "Kniżka" składała się z małego kalendarza ze specjalnie oznaczonym miejscem na zapisywanie codziennych rezultatów przekraczania normy, pustymi kartkami przeznaczonymi do notowania

"wniosków racjonalizatorskich", listą przywilejów przysługujących jej posiadaczowi (w tym prawo lepszego miejsca w baraku, lepszej odzieży i otrzymywania nieograniczonej liczby paczek) oraz cytatem z pism Stalina:

"W tym kraju człowiek ciężko pracujący czuje się wolnym obywatelem, pewnego rodzaju działaczem społecznym, jeśli rzeczywiście pracuje ciężko i daje z siebie społeczeństwu wszystko, staje się bohaterem pracy".

Nie każdy umiał traktować tego rodzaju wyróżnienia z należąca powagą.

Polak, Ajskart, w następujących słowach opisuje jedną z podobnych kampanii: „ustawiono wykonaną ze sklejki Tablicę Honorową, na której ogłaszano rezultaty "socjalistycznego współzawodnictwa pracy". Czasami wywieszano na niej toporne portrety co

lepszyc "udarników", wraz ze szczegółami osiągniętych przez nich rekordów -

wręcz niewiarygodne - 500, a nawet 1000 procent normy. Mieli tego rzekomo

dokonać ludzie kopiący ziemię łopatami. Nawet najbardziej zidiociały zek dobrze wiedział, że wykopanie pięć do dziesięciu razy więcej ziemi, niż przewidywała norma, jest rzeczą niewykonalną”. W ostatecznym rozrachunku instruktorzy KWCze byli też odpowiedzialni za pouczanie

"otkazczików" - więźniów, którzy z różnych przyczyn odmawiali pracy -

że w ich dobrze pojętym interesie leży praca, a nie pobyt w izolatce, uprawianie strategii przeżycia łagru na minimalnych racjach żywnościowych. Tych, którzy traktowali owe pogadanki poważnie, na pewno nie było

wiele ostatecznie istniało wiele innych metod zmuszania zeków do pracy.

Niektórzy jednak rzeczywiście brali je serio, ku niekłamanemu zresztą zadowoleniu moskiewskiej centrali Gułagu. Kilku nawet bardzo serio, o czym świadczą systematycznie zwoływane konferencje instruktorów kulturalno-oświatowych, na których rozważano rozliczne problemy w rodzaju: "czym przede

wszystkim "otkazcziki" motywują fakt odmowy podjęcia pracy" albo

"jakie są

praktyczne efekty pozbawienia więźnia dni wolnych od pracy". Na jednym z takich sympozjów, zwołanym w latach drugiej wojny światowej wymieniano uwagi i doświadczenia praktyczne. Jeden z uczestników konferencji przyznał, że część "bumelantów" nie może pracować - są zbyt wycieńczeni i mają za niskie racje żywnościowe. Mimo to - kontynuował -

motywować można nawet głodujących. On sam oznajmił pewnemu bumelantowi, że postępując tak, jak postępuje, "wbija nóż w plecy swemu bratu, walczącemu na froncie", co wystarczyło, by przekonać go, że powinien zapomnieć o tym, że jest głodny i pracować ciężiej. Kolejny z uczestników narady oznajmił, że bumelanci, którym pokazał zbiór zdjęć "Leningrad walczy", natychmiast, jak jeden mąż, ruszyli do pracy.

Inny dodał jeszcze, że w jego obozie najlepszym brygadom pozwala się na przyozdabianie własnych baraków, a wyróżniający się pracownicy dostają kawałki ziemi, na których mogą hodować kwiaty, do czego zresztą solennie się ich zachęca. Na zachowanym w archiwach protokole z tego spotkania ktoś opatrzył tę ostatnią wypowiedź odręcznie napisanym komentarzem: choroszo! - "dobrze!".

Wzajemną wymianę doświadczeń uznano za sprawę tak ważną, że w najbardziej krytycznym momencie wojny Wydział Kulturalno-Oświatowy Gułagu w Moskwie zadał sobie trud wydania artykułu na ten temat, pod tytułem – zabarwionym nieco religijnym podtekstem - Powrót do życia.

Jego autor, niejaki Łoginow, opisuje swoje kontakty z całym zastępem

"bumelantów", których wszystkich - posługując się zręcznie znajomością ludzkiej psychiki i wiedzą o psychologii człowieka - nawrócił na wiarę w nadrzędną wartość pracy. Treści tych historii nietrudno się domyślić. W

jednym z opisanych przypadków Łoginow wyjaśnił Jekatierinie Sz. -

kobiecie wykształconej, której męża skazano w 1937 roku na śmierć za

"szpiegostwo" - że dzięki partii komunistycznej jej kompletnie zrujnowane życie może kiedyś z powrotem odzyskać sens. Innemu więźniowi, Samuiłowi Goldsteinowi, Łoginow wykladał "rasistowskie teorie" Hitlera i przypominał, co może dla niego oznaczać "hitlerowski nowy ład" w Europie. Goldsteina tak podniosło na duchu to zaskakujące (w ZSRS) odwołanie się do jego żydowskości, że natychmiast poprosił o wysłanie go na front. "Dzisiaj twoją bronią jest twoja praca"

-
wy tłumaczył mu Łoginow i skłonił Goldsteina, by ciężiej pracował w obozie. "Ojczyzna potrzebuje twojego życia" - oznajmił kolejnemu zekowi, który usłyszawszy te słowa, ze łzami w oczach wrócił do pracy.

Nie ulega wątpliwości, że towarzysz Łoginow szczyił się swoją pracą i przykładał do niej ze

wszech sił. Jego entuzjazm był prawdziwy; podobnie jak prawdziwa była nagroda, jaką otrzymał za swe wysiłki. Nasiedkin, przyszły komendant całego systemu Gułagu, był z Łoginowa tak zadowolony, że polecił rozesłać ów artykuł do wszystkich podległych mu łagrów, a jego autorowi przyznał premię w kwocie 1000 rubli. Mniej jasne jest, czy Łoginow i jego "bumelanci" istotnie wierzyli w to, co mówią i czynią. Nie wiemy na przykład, czy Łoginow był świadom - w jakiejś przynajmniej mierze - że wielu z "przywracanych" przez niego "do życia"

to ludzie całkowicie niewinni, którzy

nigdy nie popełnili żadnego przestępstwa. Nie wiemy też, czy Jekatierina Sz.

(jeśli takowa w ogóle istniała) i jej podobni rzeczywiście nawracali się na system wartości sowieckich, czy udawali tylko nawrócenie, dostrzegłszy nagle niespodziewaną możliwość uzyskania większych racji żywnościowych,

lepszyc warunków życia i lepszyc traktowania. Jedno nie musi zresztą wcale wykluczać drugiego. Dla ludzi znajdujących się w stanie szoku, całkowicie

zdezorientowanych nagłą i niespodziewaną transformacją z użytecznych i porządnyc obywateli w pogardzanych więźniów, "promyk nadziei", perspektywa

pojednania ze społeczeństwem sowieckim rzeczywiście mogła pomagać w odzyskaniu

równowagi psychicznej i ułatwiać otrząśnięcie się z koszmaru doznanych przeżyć.

Poza tym stwarzała im perspektywę poprawy warunków bytu, dając większe szansę na

przeżycie. W istocie pytanie: "czy ludzie ci wierzyli w to, co mówią i czynią", jest częścią problemu o znacznie szerszym wymiarze, kwestią istoty, natury samego Związku Sowieckiego - czy któryś z przywódców tego kraju choćby przez moment wierzył w to, co czynił? Związek między propagandą a rzeczywistością sowiecką był zaiste dość osobliwy; przemysł ledwie zapał, sklepy ziały pustkami,

staruszki nie miały za co kupić węgla na zimę, a jednocześnie na ulicach powiewały transparenty głoszące "zwycięstwo socjalizmu" i sławiące

"heroiczne

sukcesy sowieckiej ojczyzny". Paradoxy życia w łagrach niewiele różniły się od

paradoxów życia poza granicami zony. Stephen Kotkin w opisanej przez siebie

historii stalinowskiego miasta przemysłowego, Magnitogorska, zwraca uwagę, że

zyciorysy "zredukowanych więźniów", publikowane w gazecie wydawanej w magnitogorskiej kolonii pracy poprawczej, napisano

"językiem uderzająco przypominającym język, jakim posługiwano się poza jej granicami: skruszeni

grzesznicy ofiarnie pracowali, uczyli się i starali poprawić". Mimo to obóz dodawał temu wszystkiemu specyficznego posmaku surrealizmu. O ile monstrualny

rozdział między propagandą sowiecką a sowiecką rzeczywistością w świecie

"wolnym" mógł być dla wielu szokujący czy wręcz śmieszny, o tyle w łagrach

absurd wzbijał się na jeszcze bardziej zawrotne wyżyny. Od więźniów Gułagu

- o których nie wyrażano się inaczej jak "wrogowie ludu", którym nie tylko

nie wolno było zwracać się do siebie per towarzyszu, ale nawet dostąpić zaszczytu spojrzenia na portret Stalina - oczekiwano, że tak samo jak ludzie

wolni będą pracować na chwałę socjalistycznej ojczyzny i oddawać się

"samorodnej

działalności twórczej" z czystego zamiłowania do sztuk pięknych.

Absurdalność

tego założenia była oczywista dla każdego. W pewnym momencie swej kariery obozowej Anna Andriejewa została łagierką "artystką", co w tłumaczeniu na

język realiów oznaczało, że zatrudniono ją przy malowaniu haseł

propagandowych. Wedle standardów obozowych była to praca lekka i istotnie - jak wolno przypuszczać - ocaliła jej, jeśli nie życie, to przynajmniej zdrowie. Mimo to,

pytana później o treść tych haseł, nie umiała ich sobie przypomnieć; stwierdziła

tylko, że miała wrażenie, iż "układało je naczalstwo. Było to pewnie coś w rodzaju: "Wszystkie nasze siły - pracy!", albo bardzo podobnie [...].

Pisałam je

bardzo szybko, wykonaniu nic nie można było zarzucić, tyle że zupełnie nie mogę sobie przypomnieć ich treści. To pewnie jakiś wewnętrzny mechanizm obronny".

Bezsens haseł propagandowych rozlepianych na każdym baraku obozowym

i powtarzanych w kółko przez megafony szokował również Leonida Trusa, więzionego w Gułagu w latach pięćdziesiątych: „W obozie był radiowęzeł, przez który regularnie nadawano informacje o naszych sukcesach w pracy i piętnowano pracujących źle. Transmisje te były wyjątkowo prymitywne, ale przypominały programy radiowe, których słuchałem na wolności.

Doszedłem w końcu do wniosku, że tak naprawdę niczym się od siebie nie różnią, wyjąwszy może to, że na wolności układają je ludzie nieco bardziej inteligentni, umiejący przedstawić

to samo w nieco bardziej strawny i estetyczny sposób [...], w zasadzie jednak w obozie było tak samo jak na wolności - te same plakaty, te same hasła, tyle że w łagrze wszystko to brzmiało jeszcze bardziej absurdalnie.

Na przykład: "Podjęli się zadania - wykonali zadanie" albo słowa Stalina:

"Praca jest w Związku Sowieckim kwestią honoru i chwały", czy inne w rodzaju: "Chcemy pokoju" lub "Pokój wszystkim narodom świata"

Cudzoziemcom, nieprzywykłym do takiego nagromadzenia flag, transparentów i sloganów, poczynania "reedukatorów" wydawały się jeszcze bardziej dziwne i niedorzeczne. Opis typowego seansu indoktrynacji politycznej przedstawił w swoich wspomnieniach Polak, Antoni Ekart: „Metodę stosowano prostą. Pracownik KWCze - zawodowy agitator o mentalności sześciolatka - opowiadał więźniom, jak to szlachetnie przykładać się z wszystkich sił do

pracy, i przez bite dwie godziny mówił im, że wszyscy ludzie szlachetni to patrioci, a wszyscy patrioci kochają Związek Sowiecki, najlepsze państwo dla ludzi pracy na świecie, że obywatele ZSRS dumni są z tego, że są obywatelami ZSRS itp. A wszystko to wykladał ludziom śmiertelnie znudzonym absurdalnością i hipokryzją każdego jego słowa. Obojętność słuchaczy nie zbijała go jednak z tropu i gadał dalej. Na koniec obiecał

podwyżkę płac, większe racje żywnościowe i poprawę warunków życia wszystkim przodownikom pracy. Jaki miało to wpływ na ludzi, których posłuszeństwo wymuszano głodem - nietrudno sobie wyobrazić”.

Jeden z polskich zesłańców identycznie zareagował na pogadankę polityczną,

której wysłuchał w syberyjskim łagrze. „Godzina za godziną prelegent próbował udowodnić, że Boga nie ma - to tylko taki burżuazyjny wymysł.

Dowodził, że powinniśmy czuć się szczęśliwi, znaleźliśmy się bowiem wśród ludzi sowieckich i mieszkamy teraz w najdoskonalszym kraju świata. Tu, w obozie, powinniśmy się nauczyć, jak pracować i jak zostać uczciwymi ludźmi. Od czasu do czasu próbował nas czegoś nauczyć - w świętym przekonaniu o naszej zupełnej w tej kwestii ignorancji mówił

nam, że "ziemia jest okrągła". Sam zresztą wielokrotnie dowiódł własnej ignorancji. Kreta była dla niego "półwyspem", a Roosevelt jakimś

"ministrem spraw zagranicznych". Wpajał w nas te prawdy, jakby był

pewien

naszego kompletnego nieuctwa - ostatecznie wychowaliśmy się w państwie burżuazyjnym i trudno było się po nas spodziewać nawet wykształcenia na poziomie elementarnym [...], z wyraźną

satysfakcją podkreślał, że nie mamy nawet co marzyć o odzyskaniu wolności, a Polska nigdy nie zostanie odbudowana..”.

Niestety - pisze dalej wspomniany Polak - cały wysiłek prelegenta poszedł na

marne. "Im dłużej mówił, tym bardziej buntowaliśmy się wewnętrznie, tym większą budził w nas nadzieję mimo beznadziejnej z pozoru sytuacji.

Na twarzach słuchaczy malowała się coraz większa determinacja”.

Herling-Grudziński określa działalność kulturalno-oświatową w obozie mianem "szczętkowej pozostałości przepisów, które zostały ustalone w Moskwie w czasach, gdy obozy traktowano istotnie jako instytucje na pół

wychowawcze. Było coś z Gogola w tym ślepych trzymaniu się urzędniczej fikcji na przekór praktyce -coś z edukowania "martwych dusz"". Nie jest to pogląd odosobniony. Potwierdza to większość wspomnień z Gułagu których autorzy bądź w ogóle przemilczają działalność KWCze, bądź z niej

kpią. Z tego zresztą powodu, pisząc o funkcji propagandy politycznej w łagrach,

szalenie trudno ustalić, jak oceniała jej wagę i znaczenie komendantura obozów.

Można - jak czynią niektórzy - argumentować, i to zupełnie zasadnie, że propaganda obozowa, tak jak cała propaganda sowiecka, była od początku do końca fikcją - nie wierzył w nią literalnie nikt, a dla administracji obozów była tylko jedną z wielu metod ogłupiania więźniów, dziecinną co prawda i grubymi nićmi szytą. Z drugiej strony, jeżeli hasła, plakaty i seanse indoktrynacji politycznej były - jak chcą niektórzy - tylko i wyłącznie farsą, to dlaczego marnowano na nie tyle cennego czasu i prawdziwych pieniędzy? W archiwach Gułagu zachowały się setki dokumentów, świadczących o intensywności pracy Wydziałów Kulturalno-Oświatowych. Na przykład, w pierwszym kwartale 1943 roku, w samym środku wojny, pomiędzy Moskwą a obozami trwa w najlepsze intensywne wymiana depesz, ponieważ komendanci łagrów domagają się dostarczenia zekom instrumentów muzycznych. Równocześnie między obozami trwa konkurs na najlepsze dzieło na temat: "Wielka Wojna Ojczyźniana narodu sowieckiego przeciwko niemiecko-faszystowskiemu okupantom". Bierze w nim udział 50 malarzy i rzeźbiarzy obozowych. W

chwili gdy cały kraj cierpi na ostry niedobór rąk do pracy, Moskwa wydaje rozporządzenie nakazujące zatrudnienie w każdym obozie bibliotekarza, technika, którego zadaniem było wyświetlanie filmów propagandowych, „kulturorganizatora" - więźnia, a zarazem asystenta instruktora KWCze, mającego służyć mu pomocą w walce o czystość, podniesienie poziomu kultury więźniów, w organizowaniu działalności artystycznej i w zadaniu wyuczenia zeków prawidłowego rozumienia bieżących problemów politycznych. W wysyłanych co pół roku lub co kwartał raportach instruktorzy kulturalno-oświatowi obozów podawali często bardzo szczegółowe listy swoich dokonań i osiągnięć. Za dobry tego przykład może służyć raport instruktora KWCze Wostu-Jagu, gdzie przebywało podówczas (mowa o roku 1943) 12 944 więźniów. Liczący dwadzieścia jeden

stron dokument zaczynał się od stwierdzenia, że plan produkcyjny obozu na pierwszą połowę 1943 roku "nie został wykonany", ale w drugiej połowie roku podjęto stosowne kroki. Wydział Kulturalno-Oświatowy pomógł "zmobilizować więźniów do wykonania i przekroczenia zadań produkcyjnych, wyznaczonych przez towarzysza Stalina", "przywrócić więźniów do zdrowia i przygotować się do zimy"

oraz dążył do "zlikwidowania niedociągnięć w pracy kulturalno-oświatowej". Kierownik KWCze obozu wyliczał następnie zastosowane w tym celu metody i środki, podając z dumą, że w drugiej połowie roku wygłoszono 762 pogadanki polityczne, których wysłuchało 70 tysięcy więźniów (najwyraźniej wielu po kilka razy). W tym samym czasie wydział zorganizował również 444 sesje informacji politycznej, w których udział wzięło 82 400 więźniów; wydał 5046 "gazetek ściennych", które przeczytało 350 tysięcy osób, zorganizował 232 koncerty i przedstawienia teatralne, wyświetlił 69 filmów

i utworzył 38 kólek dramatycznych. W jednym z nich napisano nawet pieśń, którą

raport przytacza z niekłamana satysfakcją:

Nasza brygada jest chętna do pomocy

Wzywa nas obowiązek Czekają na

nas place budów Front potrzebuje

naszego wysiłku.

Przyczyny, dla których działalności propagandowej poświęcano tak wiele uwagi,

czasu i nakładów, tłumaczyć można na wiele różnych sposobów.

Niewykluczone,

że dla biurokracji Gułagu Wydział Kulturalno-Oświatowy był czymś w rodzaju

kozła ofiarnego ostatniej instancji; jeżeli nie udało się wykonać planu, to nie z powodu fatalnej organizacji, niedożywienia więźniów, bezmyślnego okrucieństwa

całej polityki pracy czy braku walonek, ale z racji niedociągnięć propagandy. Być może powodem była inercja całej maszyny biurokratycznej państwa - skoro centrum podjęło decyzję o konieczności pracy propagandowej, to wszyscy starali się jak najlepiej wypełniać płynące z góry polecenia, nie bacząc na ich jawną absurdalność. Nie da się też wykluczyć, że Moskwa była tak oderwana od rzeczywistości, że istotnie wierzyła, iż 444 sesje informacji politycznej i 762 pogadanki sprawią, że wygłodzeni ludzie rzucą się z zapałem do ciężkiej pracy -

choć zważywszy na informacje zawarte w napływających regularnie do centrum raportach inspekcyjnych, nie wydaje się to zbyt prawdopodobne.

Być może w ogóle nie ma rozsądnego wyjaśnienia. Władimir Bukowski -

dysydent i więzień łagrów sowieckich - wzruszył tylko ramionami, kiedy go o to spytałam. To właśnie paradoks - odparł - który przesądził o tym, że Gułag był zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju: "W naszych obozach chciano, byś nie tylko była niewolną siłą roboczą, lecz jeszcze uśmiechała się w czasie pracy. Oni nie tylko chcieli cię zgnoić, chcieli jeszcze, żebyś była im za to wdzięczna".

ROZDZIAŁ 12

Kary i nagrody

„Kto nie był, ten będzie, a kto był, ten nie zapomni”.

Rosyjskie przysłowie ludowe

SZIZO - karcer

BARDZO NIEWIELE łagrów przetrwało do dziś, nawet w postaci ruin.

Ciekawe jednak, że w zupełnie niezłym stanie przetrwała znaczna liczba

"sztrafnych izolatornej" - izolatorów karnych, czyli (posługując się typowym dla nowomowy sowieckiej akronimem) SZIZO. Nic nie pozostało z łagpunktu nr 7 Uchtpieczłagu - nadal stoi jednak jego blok karny, obecnie warsztat samochodowy pewnego Ormianina.

Właściciel nie usunął nawet krat z okien tego budynku w nadziei, że -jak opowiada- "może kiedyś kupi go Sołzenicyn". Nic - poza blokiem karnym

- nie zostało również z kołchozowego łagpunktu w Aizherom w Łokczimłagu. Dzisiaj jest to budynek mieszkalny, w którym osiadło kilka rodzin. Jedna z mieszkających tam

staruszek nie może nachwalić solidności, z jaką wykonano drzwi, w których nadal

widnieje wielki "judasz". Przez niego swego czasu strażnicy obserwowali więźniów i wsuwali im codzienne racje chleba. Swą długowieczność zawdzięczają solidnej konstrukcji. Izolator - niejednokrotnie jedyny murowany budynek wśród drewnianych zabudowań obozowych - był zoną w zonie, a panujący za jego murami reżim - reżimem w reżimie. "Ponura kamienna budowla - mówi dziś o izolatorze obozowym jeden z byłych więźniów - brama zewnętrzna, brama wewnętrzna, a wokół posterunki uzbrojonych wartowników". W latach czterdziestych Moskwa wydawała szczegółowe instrukcje, określające zarówno sposób, w jaki należy budować bloki karne, jak i regulamin, wedle którego mieli odbywać karę osadzeni w nich więźniowie. Własny blok karny miał każdy łagpunkt - lub zespół łagpunktów, jeśli były niewielkie. Z zasady mieścił się poza zoną, a jeśli w jej obrębie - to otoczony osobnym, szczelnym ogrodzeniem lub niemożliwym do przejścia murem, usytuowany był w pewnej odległości od innych zabudowań. Jeden z więźniów uważa ten ostatni środek ostrożności za zbędny, jako że więźniowie łagpunktu unikali raczej zbliżania się do izolatora, "omijali go zawsze z daleka, nie spoglądając nawet w kierunku ścian z szarego kamienia, przedziurawionych otworami, z

których zionęła ciemna pustka". Z kolei w każdym kompleksie obozowym powinien istnieć centralny blok karny, położony w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby komendatury - Magadanu, Workuty czy Norylska. Było to często bardzo duże więzienie, wybudowane w myśl wymogów regulaminu - "w miejscu możliwie jak najbardziej oddalonym od obszarów zaludnionych i szlaków komunikacyjnych, dobrze strzeżone i gwarantujące ścisłą izolację. Wartownicy powinni rekrutować się z najbardziej zaufanych, zdyscyplinowanych i doświadczonych strzelców, wybranych spośród

pracowników wolnonajemnych". W izolatorach centralnych były cele wieloosobowe i pojedynki; te ostatnie powinny zostać skomasowane w oddzielnym budynku i zarezerwowane dla "elementów wyjątkowo zdeprawowanych". Więźniów trzymanych w ścisłej izolacji nie wyprowadzano na roboty, obowiązywał ich również zakaz spacerów, posiadania papierosów, papieru i zapalek. Był to wyższy stopień

"normalnych" obostrzeń nakładanych na lokatorów cel zbiorowych -

obejmujących również zakaz wysyłania i odbierania listów oraz paczek i widzeń z rodziną.

Mogłoby się wydawać, że sam fakt istnienia bloków karnych stoi w sprzeczności z podstawowymi przesłankami ekonomicznymi, które kierowały powstaniem i egzystencją Gułagu. Utrzymanie specjalnych budynków i dodatkowej straży było

kosztowne. Izolacja więźniów oznaczała marnotrawstwo siły roboczej.

Mimo to,

z punktu widzenia administracji obozowej, izolatory były nie tyle dodatkowym narzędziem zadawania więźniom cierpień, ile integralną częścią systemu służącego

wymuszaniu na nich cięższej pracy. Obok redukcji racji żywnościowych, specjalny reżim karny był podstawową metodą zastraszania "otkazczików"

- więźniów

odmawiających pracy - oraz karania tych, którzy popełnili w łagrze ciężkie przestępstwo, w rodzaju morderstwa czy próby ucieczki. Ponieważ oba te rodzaje przestępstw popełniała zazwyczaj specyficzna kategoria więźniów, w wielu obozach izolatory miały również szczególną, sobie tylko właściwą atmosferę. Zapełniali je zawodowi kryminaliści, grupa najbardziej skłonna do morderstw i ucieczek. Z drugiej jednak strony z czasem pojawiała się w izolatorach druga, liczna kategoria więźniów -

duchowni i członkowie różnych sekt religijnych, a także głęboko wierzące kobiety, złośliwie nazywane "mniszkami". Oni również zdecydowanie odmawiali pracy na rzecz sowieckiego Szatana. Aino Kuusinen trafiła do łagpunktu Potma, którego komendant wybudował specjalne baraki karne dla grupy głęboko religijnych kobiet. "Odmówiły one pracy w polu i spędzały cały czas na modlitwach i śpiewaniu nabożnych pieśni". Nie wydawano im posiłków w jadalni razem z innymi kobietami; swoje karne racje żywnościowe dostawały w barakach. Dwa razy na dzień uzbrojeni wartownicy

przewodzący je do latryny. "Od czasu do czasu odwiedzał je komendant z pejczem i wtedy cały barak rozbrzmiewał okrzykami bólu; kobiety te zwykle rozbierano do bicia. Żadne jednak okrucieństwo nie mogło odwieść ich od modlenia się i odprawiania postów". W końcu zabrano je z obozu. Kuusinen jest przekonana, że zostały rozstrzelane. Do izolatorów trafiały również inne kategorie więźniów notorycznie odmawiających pracy. W gruncie rzeczy, sam fakt istnienia bloków karnych stwarzał zekom możliwość wyboru. Mogli albo wychodzić na roboty, albo siedzieć w izolatorze, otrzymując zmniejszone racje żywnościowe, cierpiąc z powodu zimna i innych niewygód, ale nie wycieńczając się pracą przy wyrębie lasu. Lew Razgon pisze o hrabim Tyszkiewiczu, polskim arystokracie, który znalazłszy się w syberyjskim łagrze, doszedł do wniosku, że nie pociągnie długo i po prostu odmówił wychodzenia do pracy; sądził, że łatwiej mu będzie zachować siły, otrzymując wyłącznie karną rację żywnościową, ale za to nie zaharowując się przy ścinaniu drzew.

„Codziennie rano, zanim więźniowie wyruszyli z obozu do pracy, kolumny zeków ustawiano na dziedzińcu. Dwóch konwojentów wyprowadziło Tyszkiewicza z karceru. Szara szczecina pokrywała jego twarz i wygoloną głowę. Odziany był w strzępy szarego buszłata i owijacze. Obozowy pełnomocnik ds. bezpieczeństwa rozpoczął swoje codzienne zajęcia wychowawcze:

-A więc ty, pieprzony hrabio, głupie, pieprzone ścierwo, będziesz pracował czy nie?

- Nie, proszę pana, nie mogę pracować - odpowiadał hrabia ironicznie.

- A więc nie możesz, ty pojechańcu?

Oficer publicznie wyłuszczał hrabiemu, co myśli o nim i o jego bliższych i dalszych krewnych, oraz co z nim zrobi w najbliższym czasie. Ten codzienny spektakl był źródłem stałej satysfakcji wszystkich więźniów”.

Razgon opowiada tę historię z dużą dozą humoru, w gruncie rzeczy jednak hrabia Tyszkiewicz obrał strategię bardzo ryzykowną; reżim obowiązujący w karcerze z samego swego założenia był wyjątkowo surowy. Regulaminowo dzienna racja żywnościowa dla więźnia, który nie wykonywał normy, wynosiła: 300 gramów "czarnego chleba żytniego", 5

gramów mąki, 25 gramów gryki lub makaronu, 27 gramów mięsa i 170

gramów kartofli. Norma ta była i tak minimalna, więźniowie izolatora otrzymywali jednak jeszcze mniej: 300 gramów "czarnego chleba żytniego" dziennie, wrzątek oraz "ciepły posiłek płynny" - zupę, tyle że raz na trzy dni. Mimo to dla większości największą dolegliwością reżimu karnego były nie mikroskopijne racje żywnościowe i sam fakt odosobnienia, lecz dodatkowe szykany, zależne od kaprysu komendanta obozu. Pryczę w celi zastępowano niekiedy ławą, więźniowi dawano chleb wypieczony z najgorszego gatunku mąki, a "ciepły posiłek płynny"

mógł się składać niemal wyłącznie z wody. Janusza Bardacha umieszczono w celi, której podłoga pływała w wodzie, a ściany były oślizgłe od wilgoci. „Bielizna i podkoszulek już zdążyły przemoknąć, więc cały się trząsałem. Zesztywniał

kark i ramiona złapał skurcz. Nasiąknięte wodą drewnogniło, szczególnie na krawędziach ławy [...]. Ława była tak wąska, że nie dało się leżeć na plecach, kiedy zaś przekręciłem się na bok, zwisały mi nogi, musiałem cały czas je zginać. Trudno się było zdecydować, na którym boku leżeć -

na jednym przyciskałem twarz do obrzydliwej śliskiej ściany, na drugim mokły mi plecy”.

Wilgoć i zimno były normą. Mimo że regulaminowo temperatura w izolatorze

nie powinna spadać poniżej 15,5 stopnia Celsjusza, cel często nie ogrzewano

w ogóle. W izolatorze, w którym siedział Herling-Grudziński, "okienka w małych

celach nie były ani oszklone, ani nawet zabite deskami, temperatura powietrza we

wnętrz była więc nie o wiele wyższa niż na zewnątrz". Herling-Grudziński opisuje

również inne cechy swojej celi, którą zaprojektowano tak, by pobyt w niej był dla więźnia skrajnie uciążliwy: „Moja cela była tak niska, że mogłem sięgnąć sufitu ręką... Na górnej pryczy nie sposób było usiąść, nie dotykając zgiętymi plecami pułapu celi, na dolną natomiast wchodziło się ruchem nurka głową do przodu, a wychodziło, odpychając -jak pływak na mieliźnie - ciało rękami od desek. Odległość pomiędzy krawędziami pryczy i drzwiami, obok których stał kibel, wynosiła me więcej niż pół

normalnego kroku”. Komendant obozu decydował również, czy więzień może przebywać w celi ubrany - równie dobrze można go było zostawić w samej tylko bieliźnie - oraz czy ma być wyprowadzany do pracy. Jeśli nie pracował - trzymano go cały dzień w zimnie, bez spaceru i możliwości ćwiczeń fizycznych. Jeśli pracował - cierpiał dotkliwy głód. Nadzieję Ułanowską trzymano cały miesiąc na karnej normie żywnościowej.

"Byłam ciągle głodna - pisze w swoich wspomnieniach - mogłam rozmawiać wyłącznie o jedzeniu". Była to jedna z przyczyn, dla których ludzie śmiertelnie bali się trafić do karceru. "Więźniowie obiecywali nieraz z dziecinnym płaczem poprawę, byle tylko się zeń wydostać" -

pisze Herling-Grudziński. W większych kompleksach obozowych obok karcerów istniały także baraki karne, a nawet całe karne łagpunkty. W

roku 1933 Dmitłag - łagier budujący kanał Moskwa-Wołga - założył

specjalny "łagpunkt o obostrzonym reżimie" dla "więźniów odmawiających pracy, uciekinierów, złodziei i temu podobnych". W

trochę o bezpieczeństwo komendantura obozu poleciła otoczyć łagpunkt podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego; więźniów do pracy wyprowadzał wzmocniony konwój uzbrojonych strażników, przy czym kierowano ich do stanowisk pracy, z których uciec było prawie niemożliwością. W tym samym mniej więcej czasie Dalstroj założył karne punkty obozowe, który u schyłku lat trzydziestych zyskał sobie ponurą sławę we wszystkich zakątkach Gułagu - łagpunkt Sierpanłinnaja, zwany Sierpantinką, wśród wzgórz daleko na

północ od Magadanu. Sierpantinkę zaplanowano bardzo starannie, tak by do łagpunktu dochodziło jak najmniej światła słonecznego i było w nim zimniej niż

w pozostałej części obozu, położonego w tej samej dolinie (skądinąd i tak przez

większą część roku zimnej i pogrążonej w ciemnościach). Znacznie lepiej od innych łagpunktów strzeżony karny obóz Dalstroju służył w latach 1937 i 1938 jako miejsce egzekucji. Wśród więźniów przerażenie budziła sama jego nazwa - wysłanie do Sierpantinki uważano za równoznaczne z wyrokiem śmierci. Jeden z nielicznych ocalałych z Sierpantinki więźniów pisze, że "na podłodze siadano na

zmianę - reszta musiała stać i czekać na swoją kolejkę. Od czasu do czasu rano

otwierały się drzwi i wywoływano dziesięciu lub dwunastu więźniów.

Nikt się nie

zgłaszał; wywlekali wtedy z celi i rozstrzeliwali, kogo popadnie". W

gruncie rzeczy niewiele o Sierpantince wiadomo, przede wszystkim dlatego, że ocalało zaledwie kilka osób, które mogłyby cokolwiek o niej powiedzieć. Jeszcze mniej informacji mamy o karnych łagpunktach zakładanych w innych obozach, na przykład Iskitimie, karnym łagpunkcie Sibłagu, zbudowanym wokół kamieniołomów, w których wydobywano wapień. Więźniowie pracowali w nich gołymi rękami, bez żadnych maszyn ani narzędzi i w większości - prędzej lub później - umierali na pylicę płuc lub inne choroby układu oddechowego. Przez krótki czas osadzona tam była Anna Łarina - żona Bucharina. Nazwisk większości więźniów - i ofiar - Iskitimu nie znamy.

Nie zapomniano jednak o nich do końca. Cierpienia pracujących tam więźniów tak mocno utkwily w wyobraźni okolicznych mieszkańców, że gdy wiele dziesiątków lat później ze wzgórza położonego tuż obok byłego obozu wytrysnęło nowe źródło wody, fakt ten uznany został za cud, a ponieważ wąwóz leżący bezpośrednio pod źródłem jest wedle miejscowej tradycji miejscem masowych egzekucji okoliczna ludność uważa bijącą z niego wodę za świętą - przejaw pamięci Boga o pomordowanych. Będąc tam pewnego mroźnego i wietrznego dnia, pod koniec syberyjskiej zimy, kiedy ziemię pokrywała jeszcze metrowa warstwa śniegu, przyglądałam się grupkom wiernych, którzy wspinali się na wzgórze, nabierali świętą wodę do plastikowych kubków i pili ją z uszanowaniem, małymi łykami, spoglądając od czasu do czasu z powagą na leżący poniżej wąwóz.

"Pocztowyj jaszczik" - skrzynka pocztowa SZIZO była najsrozsza karą w całym sowieckim systemie penitencjarnym.

Wierny

jednak polityce kija i marchewki Gułag oprócz kar miał w zanadrzu również nagrody. Łagier manipulował nie tylko racjami żywnościowymi więźnia, warunkami

jego snu i pracy, określał również sposób i zakres kontaktów zeka ze światem zewnętrznym. Rok w rok moskiewska centrala wysyłała dyrektywy, okólniki i instrukcje, określające liczbę listów i

paczek oraz wysokość przekazów pieniężnych, jakie może odbierać więzień, a także częstotliwość i warunki jego widzeń z członkami rodziny. Ustalenia te zmieniały się z czasem, tak samo jak zmieniał się reżim panujący w izolatorach; ściślej rzecz biorąc, zmiany polegały na tym, że w miarę upływu lat możliwość wszelkich form kontaktu ze światem "wolnym"

systematycznie ograniczano. Instrukcja określająca zasady regulaminu więziennego z roku 1930 stanowiła, że więźniom wolno wysyłać i odbierać nieograniczoną liczbę listów i przesyłek. Dopuszczała również -

bez żadnych szczególnych restrykcji - widzenia z krewnymi i członkami rodziny, z tym wszakże zastrzeżeniem, że ich liczbę, której okólnik nie precyzuje, uzależniono od oceny zachowania więźnia. Instrukcje wydane w 1939 roku były o wiele bardziej szczegółowe i rozbudowane; zastrzeżono w nich zwłaszcza, że prawo do widzeń z rodziną przysługuje wyłącznie więźniom wykonującym normy produkcji, przy czym i tak jedynie raz na pół roku. Ci, którzy normy przekraczali, mieli prawo do widzeń raz w miesiącu. Ograniczono również liczbę paczek - zasadniczo do jednej w miesiącu, z tymże skazani za działalność kontrrewolucyjną mogli otrzymywać paczki raz na kwartał. W tym samym roku opracowano również cały zespół norm regulujących prawo więźnia do wysyłania i odbierania korespondencji. Niektórym więźniom politycznym pozwolono odbierać pocztę raz w miesiącu, innym - raz na kwartał. Cenzura obozowa jednoznacznie zakazała poruszania w listach pewnych spraw i problemów

- nie wolno było wymieniać liczby więźniów w danym łagrze, zdradzać szczegółów regulaminu obozowego, wymieniać nazwisk strażników ani pisać o tym, czym zajmuje się obóz. Listy zawierające tego rodzaju informacje konfiskowano, a wykroczenie tego rodzaju obozowi cenzorzy odnotowywali

przykładnie w aktach personalnych więźnia jako - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - dowody jego "działalności szpiegowskiej".

Rozporządzenia te ustawicznie zmieniano, poprawiano i dostosowywano do aktualnych uwarunkowań i okoliczności. W czasie wojny zniesiono na przykład wszelkie ograniczenia liczby paczek, jakie mógł otrzymywać więzień. Władze obozowe miały najwyraźniej nadzieję, że część troski o utrzymanie zeka - zadania, z którym NKWD radziło sobie wówczas z największym tylko wysiłkiem - spadnie na członków jego rodziny. Po wojnie więźniom obozów specjalnych dla szczególnie niebezpiecznych przestępców kryminalnych oraz niektórych łagrów dla "politycznych"

ograniczono ponownie prawo kontaktu ze światem zewnętrznym. Wolno im było wysłać za ledwie cztery listy rocznie i mogli odbierać korespondencję wyłącznie od członków najbliższej rodziny, to znaczy rodziców, rodzeństwa, małżonków i dzieci.

Ponieważ rozporządzenia, regulaminy i przepisy regulujące kontakty ze światem "wolnym" były tak różne i tak bardzo złożone, w rzeczywistości i to pozostawiono arbitralnej decyzji komendanta obozu. Listy i paczki mogły w ogóle nie docierać do więźnia osadzonego w karcerze, barakach karnych czy karnym łagpunkcie. Nie przekazywano ich też więźniom, którzy z takich czy innych względów narazili się personelowi administracyjnemu łagru. Poza tym niektóre obozy zakładano w miejscach tak niedostępnych i odciętych od świata, że poczta po prostu do nich nie docierała. W

niektórych łagrach panował tak potworny bałagan, że nikt nie zawracał sobie głowy dostarczaniem korespondencji i przesyłek więźniom. W jednym z obozów - pisał oburzony inspektor NKWD -

"paczek, listów i przekazów pieniężnych nie oddaje się więźniom, walają się one całymi tysiącami w magazynach". W wielu łagrach korespondencję przekazywano więźniom z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Wielu z nich dopiero po latach dowiedziało się, ile wysłanych do nich listów i paczek przepadło bezpowrotnie. Trudno przy tym stwierdzić, czy je ukradziono, czy po prostu zaginęły. Z drugiej strony zdarzało się, że mimo wszelkich wysiłków obozowej administracji listy otrzymywali czasem więźniowie, którzy mieli całkowity zakaz korespondencji. Bywało również, że sami cenzorzy obozowi nie tylko przykładowo wypełniali swoje obowiązki i przekazywali więźniom listy, lecz w dodatku przekazywali je im nierozpieczętowane, co było ciężkim pogwałceniem regulaminu. Bystroletow pamięta pewną "ładniutką, chudziutką komsomołkę", która wydawała więźniom korespondencję przeznaczoną do zarekwirowania lub zniszczenia: "Rzykowała to, co było dla niej najcenniejsze, swój kawałek chleba, nie mówiąc już o wolności (dawali za to 10 lat)".

Istniały oczywiście metody ominięcia cenzury listów oraz restrykcji dotyczących ich dozwolonej liczby. Do Anny Roziny dotarł kiedyś list od męża zapieczony w cieście; w momencie gdy go otrzymała, mąż już nie żył - został stracony.

Rozina wspomina również o praktyce zaszywania listów w ubraniach więźniów

zwalnianych z łagru oraz szmuglowania poza zonę korespondencji ukrytej w podeszwach butów. Przebywająca w jednym z obozów o złagodzonej formie przemyślała listy za pośrednictwem pracujących poza zoną

"biezkonwojnych".

Kombryg Gorbatow wysłał nieocenzurowany list z transportu kolejowego, posługując się metodą, o której wspomina też wielu innych byłych więźniów. Na początek kupił od jednego z kryminalistów ogryzek ołówka:

„Wziąłem w sklepiku dwie paczki machorki i dwie książeczki bibułki papierosowej, oddałem mu machorkę, wziąłem ołówek i na cieniutkich kartkach napisałem list, numerując każdą z nich. Kopertę zrobiłem z papieru, w który zawinięta była machorka, i zalepiłem list chlebem. Ażeby listu wyrzuconego z wagonu wiatr nie uniósł gdzieś w krzaki, przywiązałem do niego wyciągniętymi z ręcznika nitkami skórę od chleba, a pomiędzy kopertę i skórę włożyłem rubla i cztery kartki z napisem: "Proszę tego, kto znajdzie kopertę, aby przylepił znaczek i wrzucił list do skrzynki". Przejeżdżając przez jakąś wielką stację, usiadłem przy oknie wagonu i niepostrzeżenie wyrzuciłem list, kiedy mijaliśmy ostatnią zwrotnicę; obawiałem się, że jeśli ktoś go podniesie przy świadkach, nie zostanie wysłany zgodnie z adresem, lecz dostanie się do rąk jak najmniej powołanych”. Niedługo potem list dotarł do jego żony.

Istniały też ograniczenia kontaktów ze światem zewnętrznym, o których milczą instrukcje. Można było na przykład cieszyć się nieograniczonym prawem do

korespondencji, tyle że w obozie nie było ani czym, ani na czym napisać listu. "Papier w obozie to

rzecz bezcenna, dlatego że jest dla więźnia artykułem pierwszej potrzeby, a dostać go nigdzie nie można - wspomina Bystroletow. - Cóż znaczą wrzaski nadzorców w czasie dni wolnych od pracy: "Dziś dzień pocztowy! Oddawajcie listy!", jeśli nie ma na czym pisać, jeśli piszą nieliczni szczęśliwcy, a pozostali ponuro leżą na pryczach, odwrócenii twarzą do ściany?"

Jeden z więźniów pamięta, że wymienił chleb na dwie kartki wyrwane z Zagadnień leninizmu Stalina - list napisał między wierszami. Z

problemem braku papieru borykała się nawet obozowa administracja, zwłaszcza mniejszych łagpunktów. Radzono sobie w różny sposób, na przykład w Kiedrowym Szorze jeden z księgowych pisał oficjalne dokumenty na starych tapetach ściennych. Jeszcze bardziej złożone były przepisy dotyczące odbioru paczek. W rozsyłanych do komendantów obozów instrukcjach stwierdzano jednoznacznie, że paczki muszą być otwierane w obecności strażnika, który ma prawo skonfiskować wszystkie znajdujące się w nich przedmioty zakazane. W praktyce odbiorowi paczki towarzyszył często bardzo skomplikowany ceremoniał. Najpierw oficjalnie informowano więźnia o jego szczęśliwym losie, po czym strażnik eskortował go do magazynu, gdzie przechowywany był pod kluczem cały osobisty majątek zeka. Po otwarciu paczki straż miała prawo dokładnie obejrzeć, nakłuć albo przeciąć każdy zawarty w niej przedmiot -

każdą cebulę, każdą parówkę - by upewnić się, że nie ukryto w nim nielegalnych listów, wiadomości, narzędzi mogących potencjalnie posłużyć jako broń lub pieniędzy. Po zakończeniu rewizji więźniów mógł

wziąć sobie coś z zawartości paczki, reszta zostawała w magazynie do momentu kolejnej przepisanej regulaminowo wizyty. Więźniom osadzonym w SZIZO lub z takich czy innych przyczyn znajdującym się w niełasce u obozowego naczalstwa nie wydawano znajdujących się w paczce produktów spożywczych. Istniało oczywiście wiele wariantów tego systemu. Jeden z więźniów bardzo szybko przekonał się, że paczka zostawiona w magazynie natychmiast znika - kradną ją strażnicy. Nosił

więc przy sobie zawieszoną na pasku i ukrytą w spodniach butelkę masła:

"Ogrzane ciepłem mojego ciała było zawsze roztopione". Wieczorem omaszczał nim chleb. Jeszcze bardziej pomysłowy okazał się Bystroletow, w którego łagpunkcie w ogóle nie było magazynu: „Pracowałem wówczas w tundrze przy budowie fabryki i mieszkalem w roboczym baraku, gdzie nie można było niczego zostawiać i nie dawało się brać niczego do pracy -

przy rewizji w bramie żołnierze odbiorą i zjedzą sami, a w baraku ukradnie i zje dniewalny [dyżurny]. Wszystko, co dostawaliśmy, trzeba było spożyć od razu. Przebijałem gwoździem z pryczy dwie dziurki w puszcze i pod kocem zaczynałem ssać zgęszczone mleko. Zmęczenie było jednak tak wielkie, że zasypiałem, a drogocenny płyn bezużytecznie wyciekał na brudny siennik”.

Nie wszyscy otrzymywali paczki, co wśród pozostałych rodziło niekiedy trudne problemy natury moralnej. Podzielić się zawartością paczki czy nie? A jeśli tak, to z kim - wyłącznie z przyjaciółmi, czy może również z potencjalnym

patronem? W więzieniu dało się zakładać "kombiedy", w obozie było to niemożliwe. Niektórzy

dzielili się z wszystkimi z uprzejmości lub chęci zaprowadzenia tego obyczaju wśród innych. Inni częstowali tylko najściślejszy krąg przyjaciół.

A zdarzało się również, jak wspomina jedna z byłych więźniarek, że "ktoś pożerał słodkie ciasto nocą, leżąc na pryczy; nie było przyjemnie jeść na oczach innych". W najtrudniejszych latach wojny, w przeważającej większości najcięższych obozów na Dalekiej Północy, paczka mogła wręcz decydować o życiu lub śmierci więźnia. Jeden z autorów wspomnień, sowiecki aktor Gieorgij Żenow, twierdzi, że przeżył tylko i wyłącznie dzięki dwóm paczkom. Matka wysłała mu je z Leningradu w 1940 roku, Żenow otrzymał je trzy lata później "w najbardziej krytycznym momencie, kiedy straciłem już wszelką nadzieję, byłem wygłodzony i powoli umierałem na szkorbut". W owym czasie Żenow - zbyt osłabiony, by wychodzić do lasu - pracował w łaźni łagpunktu. Kiedy zakomunikowano mu, że dostał dwie paczki, nie mógł w to uwierzyć, po czym - upewniwszy się, że to prawda - poprosił łaziebnego o zezwolenie na sześciokilometrowy marsz do centralnego biura administracji obozu, gdzie znajdował się magazyn. Po dwóch i pół godzinach zawrócił z drogi.

"Z najwyższym trudem udało mi się przejść kilometr". Chwilę później zobaczył sanie z kilkoma funkcjonariuszami administracji łagru.

"Przyszedł mi wtedy do głowy zupełnie szalony pomysł: a może poprosić, by wzięli mnie ze sobą?". Zgodzili się, a to, co stało się później, "było jak sen". Żenow wsiadł na sanie, przejechał nimi 6 kilometrów, po czym z najwyższym wysiłkiem, przy pomocy enkawudzistów, udało mu się dotrzeć do magazynu, poprosić o wydanie trzyletnich paczek i otworzyć je: „Przez trzy lata, podczas których paczki podążały moim tropem z jednego adresu pod drugi, wszystko, co w nich było - cukier, kiełbasa, słonina, cukierki, cytryny, czosnek, ciastka, suchary, papierosy, czekolada, a także papier, w który zawinięto te przysmaki - dokładnie się wymieszało, tak jak w pralce, przekształcając się w twardą masę o słodkawym zapachu zgnilizny, pleśni, tytoniu i cukierków [...].

Podszedłem do stołu, wziąłem nóż, odkroiłem kawałek tej masy i na oczach wszystkich - prawie w ogóle nie gryząc - przełknąłem ją pośpiesznie. Nie czułem, jak smakuje ani jak pachnie, bałem się tylko, że ktoś mi przerwie i zabierze to wszystko”.

"Dom swidani" - dom spotkań

To nie listy i paczki budziły jednak największe emocje wśród więźniów i nie one

przysparzały im najbardziej gorzkich cierpień. O wiele bardziej bolesne bywały widzenia z krewnymi - zazwyczaj małżonkiem lub matką. Prawo do takich spotkań

mieli wyłącznie więźniowie wykonujący normy i posłusznie przestrzegający obozowego regulaminu. W dokumentach oficjalnych jest wyraźnie napisane, że widzenie jest nagrodą za "dobrą, świadomą i wydajną pracę". Obietnica zgody na odwiedzinę była wyjątkowo skuteczną zachętą do posłuszeństwa i ciężkiej pracy.

Oczywiście nie wszyscy więźniowie mogli spodziewać się gości; rodzina musiała znaleźć w sobie dość odwagi cywilnej i siły woli, by zdecydować się na utrzymywanie kontaktów z "wrogiem ludu". Nawet od człowieka wolnego podróż na

Kołybę, do Workuty, Norylska albo Kazachstanu wymagała nie lada odwagi i determinacji. Trzeba było znieść długą i męczącą podróż koleją do jakiejś zapadłej stacji, a później najczęściej iść dalej do łagpunktu piechotą albo jeśli miało się szczęście, dojechać tam na platformie ciężarówki. Dotarłszy na miejsce, odwiedzający mógł całymi dniami wyczekiwać na widzenie, błagając śmiejącego mu się w twarz komendanta obozu o pozwolenie spotkania się z więźniem. Mógł je w końcu otrzymać, ale równie dobrze mógł zgody nie uzyskać. A później czekała go droga powrotna do domu - w takich samych warunkach.

Napięcie psychiczne związane z odwiedzinami mogło być dla więźnia potworne. Odwiedzający - pisze Herling-Grudziński - "czuli bezmiar cierpienia swych bliskich, nie mogąc ani poznać go dokładnie, ani mu ulżyć; lata rozłąki wypaliły w nich wiele uczuć, jakie żywili niegdyś na wolności dla swych bliskich [...], poza tym obóz, mimo że daleki i szczelnie odgradzony od przybysza z zewnątrz, rzucał przecież i na nich swój złowrogi cień. Nie byli więźniami, nie byli "wrogami ludu", ale byli krewnymi "wrogów ludu"". Widzenie mogło zresztą budzić mieszane uczucia nie tylko u żon. Jeden z byłych więźniów opisuje historię pewnej kobiety, która przyjechała do łagru z dwuletnią córką. Podczas widzenia kazała dziecku "pocałować tatusia". Dziewczynka podbiegła do strażnika i cmoknęła go w policzek". Córka sowieckiego inżyniera raketowego Siergieja Koralowa do dziś pamięta odwiedzinę u ojca pracującego w

"szaraszce". Wcześniej mówiono jej, że tata wyjechał i walczy na froncie jako lotnik, była więc niesłychanie zdziwiona małymi rozmiarami dziedzińca więziennego. Gdzie w takim razie ląduje samolot tatusia? -

zapytała. W więzieniach - i wielu obozach - widzenia były krótkie i zazwyczaj musiały odbywać się w obecności strażnika - przepis niezwykle krępujący i bolesny. "Chciałem mówić, mówić i mówić, opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się przez ten rok" - wspomina Wadim Jasnyj jedyne widzenie z matką, na jakie uzyskał zgodę. Tymczasem nie tylko trudno mu było znaleźć właściwe słowa, lecz w dodatku "jeśli tylko któreś z nas odezwało się, zaczynało o czymś mówić, czujny strażnik natychmiast przerywał: "Nie wolno!"". Znacznie bardziej tragicznie brzmi historia Bystroletowa, który w 1941 roku uzyskał zezwolenie na kilka widzeń z żoną - wszystkie w obecności strażnika. Żona przyjechała z Moskwy, by się z nim pożegnać (po aresztowaniu Bystroletowa zachorowała na gruźlicę i była umierająca). Rozstając się z mężem, dotknęła go czego teoretycznie nie wolno było jej zrobić. Regulamin zabraniał odwiedzającym

wszelkiego rodzaju kontaktu fizycznego z więźniem. Strażnik chwycił ją za rękę

i odepchnął, Bystroletowa upadła na podłogę, krztusząc się krwią. Jej mąż pisze

że "stracił głowę" i zaczął pięściami okładać strażnika. Od kary uchronił

go tylko wybuch wojny, który spowodował tak wszechogarniający chaos, że o sprawie ze strażnikiem zapomniano. Żonę widział wtedy ostatni raz.

Widzenia nie zawsze jednak odbywały się w obecności strażnika; w niektórych większych obozach i łagpunktach więźniom pozwalano na kilkudniowy nawet wspólny pobyt sam na sam z odwiedzającym. W

latach czterdziestych miejscem spotkań tego rodzaju był najczęściej tak zwany dom swidani - dom spotkań, specjalny budynek, znajdujący się zazwyczaj na obrzeżach obozu. Jeden z takich domów opisuje Herling-Grudziński: „Dom Swidani, oglądany od strony drogi prowadzącej z wolnego miasteczka do obozu, robił przyjemne wrażenie. Zbudowany był

z surowych belek sosnowych, utkanych w szczelinach pakułami, kryty ładną dachówką [...]. Do drzwi znajdujących się na zewnątrz zony, z których mieli prawo korzystać tylko ludzie wolni, prowadziły solidne schodki drewniane, w oknach wisiały perkalowe firanki, a na wewnętrznych parapetach stały podłużne skrzynki z kwiatami. W każdym pokoiku były dwa czysto zasłane łóżka, duży stół, dwie ławki, miednica i konewka z wodą, szafa na rzeczy, piecyk i żarówka elektryczna z abażurem. Czegóż więcej mógł pragnąć więzień mieszkający w brudnym baraku, na wspólnej pryczy, jak nie tego wzoru drobnomieszczańskiego dostatku, i u kogo spośród nas marzenie o życiu na wolności mogło się nie kojarzyć na jego podobieństwo?”. Rzeczywistość tego rodzaju spotkań często odbiegała od poprzedzających je oczekiwań i nadziei, powodując, że po nich więźniowie czuli się jeszcze gorzej niż wcześniej. Niektórzy w przekonaniu, że zostaną za drutami do końca życia, zwracali się do odwiedzających prośbą, by nie pojawiali się tu już nigdy więcej,

„zapomnij o

tym miejscu” - powiedział Gogua bratu, który jechał do niego w trzaskającym mrozie, po to tylko, by zobaczyć się z nim przez kilka minut:

"Dla mnie ważniejsze jest, żeby z tobą było wszystko w porządku”.

Mężczyźni, którzy przez kilka lat nie widzieli swych żon, czuli nagle, jak budzą się w nich żądze. Píše o tym Herling-Grudziński: „ miesiące ciężkiej pracy i głodu podkopały w nich siły męskie i teraz przed zbliżeniem z kobietą odczuwali oprócz nieśmiałego podniecenia bezsilną rozpacz i gniew; zdarzyło mi się słyszeć przechwałki męskie po widzeniach, ale na ogół były wstydlive i przez wszystkich szanowane milczeniem”. Odwiedzające ich żony często miały własne problemy.

Aresztowanie męża było zazwyczaj katastrofą - nie mogły znaleźć pracy, musiały rezygnować

a często nawet ukrywać przed sąsiadami, że są zamężne. Niektóre przyjeżdżały

tylko po to, by oznajmić, że zdecydowały się na rozwód. Rozmowę taką, z wyraźną zresztą sympatią - przytacza w powieści Krąg pierwszy Sołżenicyn. Żonie z

opowiadania grozi utrata pracy, miejsca w akademiku i możliwości obrony

pracy dyplomowej, a wszystko dlatego, że mąż siedzi w łagrze. Rozwód jest

według niej jedyną szansą, by "zacząć życie od nowa": „Natalko! - gładził

jej ręce -jeżeli porównać z tymi dwoma wyrokami, to przecież mało już zostało. Tylko trzy lata. Tylko trzy...

Tylko trzy? - [...] A ja - dostałam wymówienie! Nie mam już pieniędzy na życie!

I mi nie dadzą pracy! Już nie mogę dłużej! Nie mam już sił! Nie przeżyję już tak ani miesiąca! Miesiąca! Lepiej, żebym umarła! Sąsiedzi pomiatają mną, jak im się podoba, wyrzucili moją walizkę, zerwali moją półkę ze ściany [...].

Przestałam chodzić w odwiedziny do sióstr, do cioci Zeni, one wszystkie robią sobie ze mnie pośmiewisko, mówią, że takiej drugiej idiotki nie ma pewno na świecie! Wciąż mnie tylko mamawiają, żebym się z tobą rozwiodła i wyszła za męża. Kiedy to się skończy?”. Od takiego spotkania z całą pewnością lepsze byłoby żadne. Aresztowany w latach pięćdziesiątych Izrail Mazus przytacza historię więźnia, który popełnił

fatalny błąd chwając się przed kolegami, że do obozu ma przyjechać jego żona. Kiedy przechodził wymaganą regulaminem procedurę poprzedzającą widzenie - łaźnia, fryzjer, pobranie odpowiedniej odzieży z magazynu - koledzy życzliwie poklepywali go po plecach i puszczały do niego oko, uprzedzając żartobliwie, że łóżko w domu spotkań przeraźliwie skrzypi. Tymczasem okazało się, że nie pozwolono mu nawet na chwilę zostać z żoną sam na sam.

Kontakt ze światem zewnętrznym nigdy nie był dla więźnia rzeczą łatwą -

zbyt

wiele targało nim nadziei, oczekiwań i pragnień. Oddajmy jeszcze raz głos Herlingowi-Grudzińskiemu: „Konfrontacja marzenia z rzeczywistością wypadła zawsze na korzyść marzenia. Nie wiadomo, co było tego głównym powodem - czy ucieleśniona na trzy dni wolność nie umiała doścignąć swego wysublimowanego obrazu, czy trwała za krótko, czy wreszcie zniknąwszy jak nieprześlony do końca sen, zostawiała po sobie próżnię, w której znowu nie było na co czekać - dość że więźniowie po widzeniach byli posępni, rozdrażnieni i milczący. Nie wspominam tu nawet o wypadkach, w których widzenie przybierało obrót tragiczny i zmieniało się w krótką formalność rozwodową [...]. Krestinski usiłował

dwa razy powiesić się w baraku po widzeniu, w czasie którego żona zażądała od niego rozwodu i zgody na oddanie dzieci do miejskiego żłobka”. Jako cudzoziemiec Herling-Grudziński "nie oczekiwał nigdy nikogo" w domu spotkań, rozumiał jednak znaczenie tego miejsca dużo lepiej niż wielu pisarzy sowieckich. "Dochodziłem niekiedy do wniosku, że o ile nadzieja może być często jedyną treścią życia, o tyle jej spełnienie staje się czasem trudną do zniesienia męką".

ROZDZIAŁ 13

Strażnicy

„Do czekistów;

Wielkie i odpowiedzialne zadanie

Zlecił ci Iljicz.

Twarz czekisty pooraały troski, Których

nikt inny nie jest zdolny pojąć.

Na twarzy czekisty maluje się duma i determinacja, Czekista gotów jest nawet dziś stanąć do walki o dobro i pomyślność wszystkich, Za pracujący lud.

Wielu, bardzo wielu padło w walce, Wiele usypano mogił naszych braci, Nadal jednak zostało wielu Niezłomnych i pełnych zapału wojowników.

Drżycie, drżycie wrogowie, Niedługi już, bardzo niedługi wasz koniec. Ty, czekisto, stoisz zawsze na straży A w bitwie poprowadzisz za sobą masy”.

Wiersz Michaiła Panczenki, inspektora sowieckiego systemu penitencjarnego, znaleziony w jego aktach osobowych obok protokołu wydalenia z partii i NKWD.

ZABRZMI TO MOŻE DZIWNIE, ale nie wszystkie prawa rządzące łagrem dyktował komendant obozu. Istniały także prawa niepisane - określające, jak osiągnąć wyższy status, jak zyskać pewne przywileje i zapewnić sobie nieco lepsze warunki życia od pozostałych więźniów - i nieformalna hierarchia społeczności

obozowej. Ci, którzy potrafili opanować ten zespół norm i nauczyli się piąć

w górę po szczeblach drabiny społecznej łagru, mieli znacznie większe szansę

przetrwania. Na samym szczycie hierarchii stali komendanci, naczelnicy, personel administracyjny łagru i wartownicy. Sformułowania "na szczycie", a nie "nad" czy "poza" używam świadomie, ponieważ pracownicy administracyjni i wartownicy Gułagu nie tworzyli odrębnej kasty, odseparowanej od więźniów i im obcej.

W przeciwieństwie do straży esesmańskiej w niemieckich obozach koncentracyjnych, nie uważali się (i nie byli uważani) za grupę zamkniętą i rasowo wyższą od

zeków, a często byli tej samej co oni narodowości. Na przykład po drugiej wojnie

światowej łagry sowieckie zapełniły się setkami tysięcy Ukraińców; w tym samym

czasie znaczna liczba strażników również była Ukraińcami. Straży nie oddzielała też od więźniów sztywna bariera socjalna, obie te grupy żyły w podobnej przestrzeni społecznej. Niektórzy strażnicy i pracownicy administracyjni obozów mieli rozległe, czarnorynkowe powiązania z więźniami. Niektórzy upijali się z zekami; wielu z nimi "współżyło", by posłużyć się charakterystycznym dla Gułagu eufemizmem na określenie związków seksualnych. Co więcej, niejednokrotnie sami byli kiedyś więźniami. Na początku lat trzydziestych praktyka "promowania" dobrze sprawujących się więźniów na strażników - a niekiedy również dużo wyższe i ważniejsze funkcje - uważana była za zjawisko zupełnie normalne. Najbardziej błyskotliwą karierę tego rodzaju zrobił Naftalij Frenkel, byli jednak i inni.

Na przykład Jaków Kuperman - który później przekazał swoje wspomnienia

moskiewskiemu Stowarzyszeniu "Memoriał" - nie zaszedł aż tak wysoko, ale koleje jego losu są bardziej typowe. Aresztowano go w 1930 roku; skazany został na

10 lat. Po pewnym czasie pobytu w Kiermie - sołowieckim więzieniu etapowym -

skierowano go do pracy w Wydziale Planowania Budowy Kanału Białomorskiego.

W 1932 roku sprawę Kupermana poddano rewizji, co zmieniło jego status

-

z więźnia stał się zesłańcem. Ostatecznie, po odzyskaniu wolności, podjął

pracę na budowie linii kolejowej Bajkał-Amur (Bamłag); było to doświadczenie, które do

końca życia wspominał z satysfakcją. Nie było to niczym nadzwyczajnym.

W 1938 roku przeszło połowę personelu administracyjnego i niemal połowę strażników w Biełbałtłagu - obozie utrzymującym w ruchu Kanał

Białomorski - stanowili więźniowie i byli więźniowie. Uprzywilejowany status można jednak było nie tylko zyskać, ale i stracić - więzień równie łatwo mógł zostać strażnikiem, jak strażnik więźniem. Wśród tysięcy enkawudzistów aresztowanych podczas Wielkiej Czystki lat 1937-1938

była pokaźna liczba komendantów obozów i personelu administracyjnego łagrów. A i później czujni towarzysze regularnie pakowali za kraty przedstawicieli wyższej kadry pracowników i zmilitaryzowanej straży Gułagu. W odciętych od świata łagpunktach plotki i oszczerstwa były zjawiskiem powszednim; szafy w archiwach Gułagu pękają w szwach od donosów, kontrdonosów i zażaleń na złe funkcjonowanie obozów, brak poparcia z centrum i złe warunki pracy, kończących się nieodmienne wezwaniem do aresztowania winnych - często osobistych wrogów i rywali. Strażników i pracowników administracji obozowej aresztowano regularnie za dezercję, opilstwo, złodziejstwo, gubienie broni, a niekiedy nawet i za złe traktowanie więźniów. W dokumentacji obozu etapowego w porcie Wanino zachowały się na przykład protokoły spraw niejakiego Sadownikowa, który zamordował pielęgniarkę obozową, wzięwszy ją za swoją żonę; Sobolewa, który ukradł grupie więźniów 300 rubli, po czym upił się i zgubił legitymację partyjną; Suworowa, który urządził

zbiorową popijawę i wdał się w bójkę z kilkoma oficerami, oraz wielu innych, którzy "upijali się do nieprzytomności" albo byli zbyt pijani, by objąć służbę. W osobistym archiwum Gieorgija Malenkowa - jednego z zaufanych ludzi Stalina - znajduje się protokół sprawy dwóch funkcjonariuszy, którzy w trakcie pijackiej burdy zamordowali dwie osoby z administracji obozowej, w tym lekarkę, matkę dwojga dzieci.

Życie w zabitych dechami punktach obozowych było tak nudne i monotonne, że - jak uskarżał się jeden z pracowników obozu w liście wysłanym do Moskwy - "popycha to wielu chłopców do dezercji, łamania dyscypliny, pijaństwa i kartograjstwa, co nieodmiennie kończy się wyrokiem sądowym". Zdarzało się - i to nawet często - że ktoś zataczał

pełen krąg; z oficera NKWD stawał się więźniem, by znów awansować do kategorii nadzorców i rozpocząć powtórny karierę zawodową w administracji Gułagu. Istotnie, wielu byłych więźniów pisało o tempie, w jakim popadli w niełaskę enkawudziści potrafili z powrotem w obozie opaść na cztery łapy i wspiać się na stanowiska, gwarantujące im realny zakres władzy. Lew Razgon wspomina spotkanie z niejakim Korabielnikowem, enkawudzistą niskiej rangi, którego poznał w transporcie wyjeżdżającym z Moskwy. Korabielnikow wyznał mu, że aresztowano go, ponieważ "wypaplał swemu najlepszemu kumplowi [...]"

coś o żonie jednego z naczelników [...]. Dostał pięć lat jako "element społecznie niebezpieczny" i trafił do etapu razem z resztą". Dalsze jego losy potoczyły się już jednak zgoła odmiennie. Po kilku miesiącach Razgon ponownie natknął się na Korabielnikowa, który tym razem ubrany był w czysty, dobrze skrojony uniform obozowy - udało mu się wkręcić na

"dobrą" posadę, naczelnika karnego obozu w Ustwińlagu. Historia opowiedziana przez Razgona odzwierciedla realia znajdujące jednoznaczne potwierdzenie w materiałach archiwalnych. Wydaje się wręcz, że aparat administracyjny Gułagu traktowany był w NKWD jako miejsce zsyłki, ostatnia deska ratunku dla pracowników aparatu tajnej policji, którzy wypadli z łask. Oficerom, którzy raz trafili na peryferia imperium Gułagu, rzadko kiedy zezwalano na powrót do innych służb NKWD, nie mówiąc już o Moskwie. Zewnętrzną oznaką ich niższej pozycji był inny mundur i nieco odmienny system dystynkcji i rang. Na konferencjach partyjnych funkcjonariusze Gułagu niejednokrotnie uskarżali się na swój podrzędny status. "Gułag postrzegany jest jako służba, od której wymaga się wszystkiego, nie dając nic w zamian -

utyskiwał jeden z oficerów. - Powszechne przekonanie, że jesteśmy gorsi niż wszyscy inni,

jest niesłuszne, utrwała natomiast istniejące nierówności w płacach, warunkach

mieszkaniowych itp.". Kiedy w 1946 roku NKWD zostało po raz kolejny zreorganizowane, Gułag przejęto Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (MWD), natomiast

niemal wszystkie bardziej prestiżowe służby i zarządy NKWD, w tym wywiad i kontrwywiad, podporządkowano Ministerstwu Bezpieczeństwa Państwowego (MGB, później KGB). Kierujące systemem penitencjarnym do końca istnienia Związku Sowieckiego MWD cieszyło się opinią znacznie mniej wpływowego sektora biurokracji państwowej. W gruncie rzeczy status komendantów obozów od samego początku był relatywnie niski. Autor listu przemyconego z Sołówek w początku

lat dwudziestych pisze, że administracja obozu składa się w przeważającej mierze z odsuniętych od łask czekistów, "skazanych za spekulację, wymuszenia, napady lub inne wykroczenia przeciwko powszechnemu kodeksowi karnemu". W latach trzydziestych i czterdziestych Gułag stał się ślepym torem, służącym do odstawiania funkcjonariuszy, którzy mieli jakieś skazy w życiorysie, wywodzili się z nie dość proletariackich rodzin albo których polskie, żydowskie lub nadbałtyckie pochodzenie etniczne czyniło podejrzanymi w oczach zwierzchników, zwłaszcza w okresach kiedy trwały prześladowania tych narodowości. Gułag był również przytułkiem dla notorycznych pijaków, ludzi niekompetentnych i najzwyczajniej w świecie głupich. W roku 1937 późniejszy szef Gułagu, Izrail Pliner, uskarżał się: „Dostają się nam odpady z innych zarządów, kieruje się do nas ludzi wedle zasady "możesz brać to, co nam niepotrzebne". Śmietankę tego towarzystwa stanowią beznadziejni pijacy; skoro ktoś się rozpije, wywala się go do Gułagu [...]. Z punktu widzenia aparatu NKWD

największą karą tych, którzy popełnili jakieś przestępstwa, jest "zesłanie"

ich do pracy w obozach”.

Inny z funkcjonariuszy Gułagu stwierdził w tym samym roku, że strażnicy obozowi "nie są ludźmi drugiej, lecz czwartej kategorii - to męty". W

1945 roku

Wasilij Czernyszow - podówczas najwyższy zwierzchnik Gułagu -

rozesłał do

komendantów obozów i obwodowych szefów NKWD memorandum.

Wyrażał w nim zaniepokojenie niskim poziomem zmilitaryzowanej straży obozowej, wśród

której "poziom samobójstw, dezercji, utraty i kradzieży broni, pijaństwa i innych amoralnych występów" jest zatrważająco wysoki, podobnie jak częste są wypadki "naruszania rewolucyjnej praworządności". Jeszcze w 1952 roku po wykryciu afery korupcyjnej na samym szczycie aparatu tajnej policji pierwszą reakcją Stalina było "zesłanie" jednego z głównych winowajców, który posłusznie objął funkcję zastępcy komendanta obozu bażenowskiego na Uralu. Delikatne stwierdzenie jednego z byłych więźniów, że zarówno strażnicy, jak

i personel administracyjny łagrów "to najczęściej ludzie bardzo ograniczeni",

znajduje potwierdzenie w samych archiwach Gułagu. Z jedenastu funkcjonariuszy, którzy między rokiem 1930 a 1960 zajmowali stanowisko szefa Gułagu, zaledwie pięciu mogło się wylegitymować wyższym wykształceniem w jakiegokolwiek

dziedzinie, natomiast edukacja trzech nie wykraczała poza poziom szkoły podstawowej. Rzadko kiedy zresztą utrzymywali się na swoich stanowiskach dłużej;

w ciągu z górą trzydziestu lat jedynie dwóch - Matwiej Berman i Wiktor Nasiedkin - piastowało swoje funkcje dłużej niż pięć lat. Izrail Pliner przetrwał na nim

jedynie rok (1937-1938), a Gleb Fiłarietow - zaledwie trzy miesiące (1938-1939). Wszyscy niemal funkcjonariusze najniższych szczebli hierarchii NKWD wywodzili się z chłopstwa i mieli elementarne zaledwie wykształcenie. Potwierdzają to nawet akta personalne elity służb więziennych z lat czterdziestych, członków WKP/b/ i kandydatów do partii. Część z nich ukończyła tylko szkołę pięcioklasową, niektórzy nawet jedynie trzyklasówkę. W kwietniu 1945 roku blisko trzy czwarte funkcjonariuszy administracyjnych obozów miało wykształcenie nie wyższe od podstawowego; był to odsetek niemal dwukrotnie wyższy niż w całym NKWD. Poziom wykształcenia zmilitaryzowanej straży obozowej - "wojenizirowanej ochrony", znanej zazwyczaj, dzięki sowieckiej manii nazywania wszystkiego akronimami, WOChR-ą - był

jeszcze niższy. Byli to żołnierze patrolujący strefę zony, wyprowadzający więźniów na roboty, konwojujący transporty kolejowe i często nie mający zielonego pojęcia, po co to robią. "Wszystko wskazuje, że strażnicy nie znają nawet nazwisk członków Politbiura ani kierownictwa partyjnego" -

czytamy w jednym z raportów z Kargopolłagu. Inny dokument zawiera listę wypadków spowodowanych przez strażników nieumiejętnie obchodzących się z bronią. Jeden z nich zranił trzech więźniów,

"ponieważ nie wiedział, na jakiej zasadzie działa broń"; inny, "pełniąc służbę w stanie nietrzeźwym, postrzelił obywatela Timofiejewa". Na naradach komendanci uskarżali się, że "strażnicy nie wiedzą, jak czyścić i oliwić broń [...]. Strażniczki stoją na posterunkach z karabinami, których lufy zapchane są szmatami [...]. Zdarza się, że strażnicy biorą ze sobą na służbę broń zluzowanych kolegów, a swoje własne karabiny zostawiają w domu, ponieważ są zbyt leniwi, by za każdym razem je czyścić". Moskwa bezustannie bombardowała obozy depeuszami, ponagającymi do wzmożenia "pracy kulturalno-oświatowej" wśród strażników.

Mimo to nawet "odpadom" i "beznadziejnym alkoholikom" z innych zarządów

NKWD udawało się znaleźć miejsce w szeregach służb Gułagu, cierpiących na

chroniczny niedobór pracowników. Większość instytucji sowieckich borykała się

z problemem braku wystarczającej liczby personelu, w Gułagu jednak deficyt ten

był szczególnie dotkliwy. Nawet w NKWD nie było tylu funkcjonariuszy, by zaspokoić popyt na siłę roboczą spowodowany osiemnastokrotnym wzrostem stanu

osobowego personelu Gułagu, jaki nastąpił w latach 1930-1939, ani zapotrzebowanie na 150 tysięcy funkcjonariuszy, których trzeba było zatrudnić w latach 1939-1941, ani tym bardziej w okresie gwałtownej ekspansji systemu łagrów

bezpośrednio po zakończeniu wojny. W 1947 roku - przy stanie osobowym brygad

WOChR-y w obozach, wynoszącym 157 tysięcy ludzi - oceniano, że Gułagowi

brakuje około 40 tysięcy strażników. Problem niedoborów kadrowych gnębił administrację Gułagu do ostatnich dni istnienia systemu. Pomijając stanowiska najwyższe, pracy w obozach nigdy nie

uważano za szczególnie atrakcyjną i cieszącą się prestiżem społecznym, a warunki życia, zwłaszcza w mniejszych i bardziej odległych łagpunktach na Dalekiej Północy, dalekie były od zadowalających. Strażnicy i personel administracyjny łagrów otrzymywali racje żywnościowe w wysokości zależnej od rangi, co na niskich szczeblach wyglądało dość nędznie. Po powrocie z kontroli obozów w obwodzie workuckim jeden z rewizorów Gułagu utyskiwał na fatalne warunki życia strażników, którzy pracują po szesnaście do osiemnastu godzin na dobę "w trudnych warunkach klimatycznych Północy", nie zawsze mają właściwą odzież i obuwie, a mieszkają w brudnych barakach. Część z nich cierpi na szkorbut, pelagrę i inne choroby spowodowane niedoborem witamin - tak samo jak więźniowie. Inny raportował, że w Kargopolu 26 funkcjonariuszy WochR-y skazano za przestępstwa kryminalne, wielu za to, że zasnęli na służbie. Latem strażnicy pracowali po trzynaście godzin na dobę - a w czasie wolnym od służby nie mieli żadnych możliwości rozrywki. W

szczególnie złej sytuacji znajdowali się strażnicy mający rodziny - wobec braku mieszkań zmuszeni byli żyć w barakach. O zwolnienie nie było łatwo, nawet na wyższych szczeblach. W archiwach NKWD znajduje się płaczliwy list funkcjonariusza z Norylska, błagającego o przeniesienie go z pracy "w strefie arktycznej" z powodu przemęczenia i złego stanu zdrowia: "Jeśli nie ma możliwości przesunięcia mnie na stanowisko do innego obozu pracy poprawczej, chciałbym zostać skierowany do pracy w terenie lub w ogóle zostać zwolniony". W odpowiedzi zaproponowano mu przeniesienie do Krasnojarska, którą to ofertę odrzucił, ponieważ panują tam niemal identyczne warunki. Od momentu śmierci Stalina byli funkcjonariusze obozowi, często broniąc sposobu, w jaki zarabiali na życie, opisują trudy i niedogodności swej profesji. Olga Wasiliewa, z którą spotkałam się w jej przestronnym mieszkaniu w Moskwie - darze wdzięcznej partii - wręcz zasypała mnie opowieściami o ciężkim życiu funkcjonariuszy Gułagu. Opowiedziała mi, między innymi, że pewnego razu po zakończeniu wizytacji łagru komendant zaproponował jej nocleg we własnym domu i odstąpił do dyspozycji łóżko syna. W nocy Olga Wasiliewa poczuła piekące swędzenie na całym ciele. Przekonana, że to atak jakiejś choroby, wstała i zapaliła światło: "Szary wojskowy koc dosłownie poruszał się o własnych siłach - był pełen wszy. Nie tylko więźniowie cierpieli na wszawicę, wszy miało również naczalstwo".

Odtąd, wracając z podróży inspekcyjnej, Olga Wasiliewa zawsze rozbierała się do naga przed wejściem do mieszkania, żeby nie zawlec do domu robactwa. Według niej praca komendanta obozu była wyjątkowo ciężka. "To nie były żarty, miało się pod sobą tysiące więźniów - także recydywistów, morderców i skazanych za inne ciężkie zbrodnie - po których można się spodziewać wszystkiego. Trzeba było stale mieć się na baczności". Komendanci, od których ustawicznie domagano się coraz lepszych wyników produkcyjnych, musieli w dodatku radzić sobie z dziesiątkami innych problemów: „Kierownik budowy, który był

równocześnie komendantem obozu, co najmniej 60 procent swego czasu poświęcał nie problemom inżyneryjno-konstrukcyjnym i organizacji robót, lecz sprawom obozu. Ktoś zachorował i mogła wybuchnąć epidemia, gdzieś zdarzył się wypadek, co oznaczało, że kogoś trzeba przetransportować do szpitala, ktoś potrzebował samochodu albo zaprzęgu..”.

Olga Wasiliewa dodaje przy tym, że szefostwa wcale nie karmiono tak dobrze, nawet w Moskwie, zwłaszcza w czasie wojny. W kantynie centrali Gułagu była głównie kapusta, zupa i kasza. "Nie przypominam sobie mięsa. Nigdy go nie widziałam". W latach stalinowskich moskiewscy

funkcjonariusze Gułagu pracowali od dziewiątej rano do drugiej, trzeciej w nocy. Olga Wasiliewa widywała swoje dziecko tylko w niedziele.

Sytuacja poprawiła się dopiero po śmierci Stalina. Nowy minister spraw wewnętrznych Siergiej Krugłow wydał rozporządzenie, gwarantujące szeregowym pracownikom godzinną, a oficerom NKWD dwugodzinną przerwę na obiad. W 1963 roku Wasiliewa dostała duże mieszkanie w centrum Moskwy - to samo, w którym widziałam się z nią w roku 1998.

Za życia Stalina praca w Gułagu była jednak wynagradzana znacznie skromniej, co zresztą dawało personelowi centralnej administracji łagrów asumpt do wszelkiego rodzaju narzekań. W 1930 roku, gdy cały system obozów postrzegano jako integralny element planu forsownej industrializacji kraju, OGPU prowadziło we własnych szeregach intensywną kampanię werbunkową, szukając enkawudzistów gotowych pracować w nowych łagrach na Dalekiej Północy: „Entuzjazm i energia czekistów, które stworzyły i postawiły na nogi obozy sołowieckie, odgrywają ogromną, pozytywną rolę w uprzemysłowieniu i rozwoju cywilizacyjnym północnoeuropejskich peryferii państwa. Nowe obozy, w rodzaju Sołówek, muszą zreformować gospodarkę i podnieść poziom kulturalny tych ziem. Do tego zadania [...] potrzebni są nam wyjątkowo twardzi czekisci, gotowi do ciężkiej pracy ochotnicy”. Gwarantowano im, poza innymi przywilejami, wyższą o 50 procent pensję, dwumiesięczne urlopy, a po trzech latach pracy premię w wysokości kwartalnych poborów i dodatkowe trzy miesiące urlopu. Zatrudnionym na wyższych stanowiskach administracyjnych zapewniano ponadto bezpłatny miesięczny przydział żywności i możliwość korzystania z "radia oraz obiektów sportowych i kulturalnych”. Później, kiedy szczerzy entuzjazm (jeśli kiedykolwiek takowy rzeczywiście istniał) osłabł, system zachęt rozbudowano i uporządkowano. Obozy podzielone zostały na kategorie w zależności od ich odległości od Moskwy i stopnia uciążliwości panujących w nich warunków. Im dalej położony i cięższy był łagier, tym wyższe wynagrodzenie otrzymywali zatrudnieni w nim oficerowie NKWD.

Oprócz tego NKWD zbudowało specjalne sanatoria w Soczi i Kisłowodzku, gdzie oficerowie najwyższej rangi spędzali urlopy w komfortowych warunkach, korzystając ze wszystkich uroków ciepłego klimatu. Powstały też nowe szkoły, w których oficerowie Gułagu mogli podnosić swoje kwalifikacje, co otwierało im drogę do awansu. W jednej z nich, otwartej w Charkowie, nauczano nie tylko obowiązkowej "historii WKP/b/" i "historii NKWD", ale prowadzono również wykłady z prawa karnego, administracji i zarządzania, księgowości i zagadnień wojskowych. Dzieciom chętnych do pracy w Dalstroju na Kołymie przyznawano status "dzieci robotników", co otwierało im dostęp do szkół

wyższych na preferencyjnych warunkach i okazało się zachętą nad wyraz skuteczną. Pieniądze i przywileje przyciągały także pracowników niższych szczebli, dla wielu z nich Gułag był najlepszą ze wszystkich złych ofert, między którymi musieli wybrać. W stalinowskim Związku Sowieckim, kraju głodu i wojny, zatrudnienie w charakterze wartownika czy strażnika więziennego mogło być równoznaczne z wyraźnym awansem społecznym. Więziona na początku lat pięćdziesiątych Susanna Pieczuro przypomina sobie strażniczkę, która pracowała w łagrze, ponieważ była to dla niej jedyna metoda wyrwania się z nędzy panującej w kołchozie, w którym przyszła na świat. Kobieta ta "utrzymywała ze swojej pensji siedmioro rodzeństwa". Inny autor wspomnień obozowych pisze o niejkiej Marii Iwanównie, młodej dziewczynie, która w 1948

roku zgłosiła się dobrowolnie do pracy w łagrze. Pragnąc uciec od kołchozu i znaleźć sobie męża, skończyła jako kochanka kolejnych funkcjonariuszy obozowych coraz niższej rangi. Mieszkała w jednym pokoju wraz z matką i dwojgiem nieślubnych dzieci. Jednak nawet perspektywa wyższych zarobków, dłuższych urlopów i awansu społecznego była niewystarczającą zachętą, by ściągnąć do łagrów niezbędną liczbę pracowników, zwłaszcza niższych szczebli. W okresach najdotkliwszych niedoborów kadrowych sowieckie biura zatrudnienia wysyłały ludzi tam, gdzie najbardziej brakowało pracowników, niekoniecznie nawet informując ich dokąd. Była pielęgniarka obozowa, Zoja Jerjomienko, bezpośrednio po ukończeniu szkoły skierowana została do pracy w - jak ją poinformowano - szpitalu przy wielkiej budowie. Na miejscu okazało się, że chodzi o obóz Krasnojarsk-26. "Z początku byliśmy zaskoczeni i przerażeni, ale kiedy przywykliśmy trochę do tego miejsca, doszliśmy do wniosku, że ludzie "tam" są tacy sami jak gdzie indziej i tak samo jak gdzie indziej wygląda praca, jakiej mogliśmy oczekiwać po zakończeniu szkoły". Tragiczne były zwłaszcza losy ludzi kierowanych przymusowo do pracy w łagrach po zakończeniu drugiej wojny światowej. Tysiące byłych żołnierzy sowieckich, wziętych do niewoli przez Niemców, a także cywile, którzy podczas wojny znaleźli się

"za granicą", przesiedleńcy i deportowani po powrocie do ZSRS

natychmiast zostali osadzeni w "obozach filtracyjnych", gdzie poddawano ich drobiazgowym przesłuchaniom. Tych, których nie aresztowano, wcielano - niekiedy przymusowo - do WOChR-y i wysyłano do pracy w łagrach. Na początku roku 1946 było ich 31 tysięcy, w niektórych obozach stanowili do 80 procent stanu osobowego służby wartowniczej. Wydostać się stamtąd nie było łatwo. Wielu z nich odebrano dokumenty - paszporty, zezwolenia na pobyt i książeczki wojskowe - bez których nie mogli ani opuścić obozu, ani znaleźć innej pracy. Od 300 do 400 rocznie popełniało samobójstwa. Jeden z niedoszłych samobójców tak wyjaśniał przyczynę targnięcia się na własne życie: "Jestem w służbie od bardzo dawna i wciąż nie mam zezwolenia na pobyt stały; niemal codziennie nachodzi mnie milicjant z nakazem eksmisji, w związku z czym w domu wiecznie trwają awantury".

Inni po prostu degradowali się moralnie. Karło Stajner, komunista jugosłowiański, więziony po wojnie w Norylsku, twierdzi, że "ta kategoria strażników znacznie różniła się od reszty, która nie służyła na froncie: Zdradzali wyraźne oznaki demoralizacji; świadczyła o tym skwapliwość, z jaką brali łapówki od wszystkich kobiet i zabiegali o względy co młodszymi, z jaką pozwalali oddalać się z brygady kryminalistom, którzy włamywali się do prywatnych mieszkań i dzielili potem z nimi łupem.

Zupełnie nie bali się surowych kar grożących im w wypadku, gdyby przełożeni dowiedzieli się o tych występkach". Protestowali tylko bardzo, ale to bardzo nieliczni. W archiwach zachowały się akta niejakiego Daniluka, który kategorycznie odmówił służby w WOChR-ze. Stwierdził, że "nie chce służyć w żadnych organach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych". Daniluk wytrwał w swoim postanowieniu mimo -jak to ujęto w dokumentach - "obróbki", co z całą pewnością oznaczało długie seanse zastraszania, a może nawet bicia, i w końcu zwolniono go ze służby. Przynajmniej w jego wypadku konsekwentna odmowa pracy w Gułagu przyniosła skutek.

Z drugiej strony system rzeczywiście nagradzał swoich najwierniejszych (i mających najwięcej szczęścia) funkcjonariuszy, dając im znacznie więcej niż tylko perspektywę awansu społecznego i

lepsze płace. Ci, których przymusowi robotnicy dostarczali państwu największych ilości złota i tarczy, mogli istotnie liczyć na jego hojność. Może i zwykły leśny łagpunkt nie był najprzyjemniejszym miejscem pod słońcem, ale już w centralnych siedzibach niektórych większych obozów żyło się dość wygodnie. W latach czterdziestych ośrodki wielkich kompleksów obozowych - Magadan, Workuta, Norylsk, Uchta - były dużymi, tętniącymi życiem miastami; pracowały w nich sklepy, działały teatry, istniały ogrody i parki. W porównaniu z pierwszymi, pionierskimi latami Gułagu możliwości normalnego, przyzwoitego życia zwiększyły się niepomiaralnie. Zajmujący najwyższe stanowiska w hierarchii służbowej znacznie lepszych obozów dostawali wyższe wynagrodzenia, wyższe premie i dłuższe urlopy niż zwyczajni pracownicy, mieli dostęp do dóbr i towarów, których chronicznie brakowało w reszcie kraju. "W Norylsku żyło się lepiej niż gdziekolwiek indziej w całym Związku Sowieckim" -

wspomina Andriej Czeburkin, brygadzysta z Norylska, pracujący później w jednym z urzędów w tym mieście. „Po pierwsze, wszyscy komendanci mieli gosposie, służące więźniarki [...], jedzenie było wspaniałe -

wszystkie gatunki ryb. Można je było łowić w jeziorach. W całym Związku Sowieckim żywność była racjonowana; my obywaliliśmy się na dobrą sprawę w ogóle bez kartek. Mięso. Masło. Jeśli chciałeś szampana, musiałeś brać również kraby. Było ich pełno. Kawior [...], walały się go wszędzie całe beczki. Mówię oczywiście o naczalstwie, nie o więźniach.

Ale wówczas wszyscy robotnicy byli więźniami [...] Płacono dobrze [...], jeśli byłeś, powiedzmy, brygadystą, dostawałeś 6 tysięcy-8 tysięcy rubli; w Rosji Centralnej nie zarobiłbyś więcej niż 1200. Przyjechałem do Norylska by objąć posadę kontrolera w specjalnym zarządzie NKWD, zajmującym się poszukiwaniem złóż uranu. Dostawałem wynagrodzenie kontrolera - na początek 2100 rubli, a potem, co pół roku, 10 procent podwyżki - prawie pięć razy tyle, ile zarobiłbym w cywilu”. Pierwsza sprawa, o której wspomina Czeburkin - "każdy szef miał służących" -

miała fundamentalne wręcz znaczenie. W istocie rzeczy nie dotyczyło to wyłącznie "naczalstwa", ale na dobrą sprawę wszystkich funkcjonariuszy.

Teoretycznie zatrudnianie więźniów w charakterze służby domowej było zakazane, a jednak stało się powszechną praktyką i - mimo ponawianych ustawicznie prób jej wykorzenia - trwała. Konstantin Rokossowski -

oficer Armii Czerwonej, a później kolejno generał, marszałek i minister obrony stalinowskiej Polski - pracował jako służący "chamowatego strażnika nazwiskiem Buczko, a jego obowiązki polegały na przynoszeniu swojemu szefowi posiłków, sprzątanu, paleniu w piecach itd.". Jewgienia Ginzburg była w Magadanie praczką żony jednego z pracowników administracji łagru. Również Thomas Sgovio został adiutantem wyższego funkcjonariusza WOChR-y, któremu gotował i dla którego "kombinował"

alkohol. Z czasem strażnik nabrał do niego zaufania. "Thomas, mój chłopcze - mawiał - pamiętaj o jednym. Pilnuj mojej legitymacji partyjnej.

Kiedy się upiję, uważaj, żebym jej nie zgubił. Jesteś moim służącym - i jak ją zgubię, to zastrzelę cię

jak psa [...], a nie chciałbym tego robić". Ale prawdziwym szlachcym Gułagu nie imponował już służący. Złą sławę człowieka bez skrupułów, zbijającego kolosalny majątek w samym środku świata bezprzykładnej nędzy, zyskał sobie Iwan Nikiszow, który po wygaśnięciu Wielkiej Czystki został w 1939 roku szefem Dalstroju i utrzymał się na tej posadzie do roku 1948. Nikiszow był przedstawicielem zupełnie innej generacji niż jego poprzednik na tym stanowisku, Berzin, pokolenia, dla którego burzliwe lata rewolucji i wojny domowej były już odległą przeszłością. Być może dlatego właśnie bez najmniejszych skrupułów traktował swoją funkcję jako odskocznię do życia w luksusach i dostatku. Utrzymywał "liczną ochronę osobistą, najlepsze samochody i luksusowo wyposażone biura. Zbudował sobie wspaniałą willę na brzegu Oceanu Spokojnego" pełną -jak twierdzi jeden z byłych więźniów -

wschodnich dywanów, niedźwiedzich skór i kryształowych żyrandoli. W

urządzonej z wielkim przepychem jadalni Nikiszow i jego druga żona -

młoda, ambitna komendantka łagru, Gndasowa - zasiadali do uczt, na których podawano pieczone z niedźwiedzia, najlepsze wina kaukaskie, owoce południowe oraz pomidory i ogórki uprawiane w prywatnych cieplarniach.

Nikiszow nie był jedynym otaczającym się luksusem "królem Gułagu".

Niezapomniany opis podobnych ekstrawagancji pułkownika Tarasiuka, w czasie wojny komendanta Ustwiamałagu, daje Lew Razgon: „żył jak Rzymianin, mianowany gubernatorem jakiejś barbarzyńskiej prowincji. W

cieplarniach i oranżeriach dojrzewały dla niego warzywa, owoce i egzotyczne na Północy kwiaty. Wynaleziono najlepszych stolarzy szykujących mu meble. Najsłynniejsi niegdyś krawcy obszywali jego kapryśną i niesforną żonę. I leczyli go nie jacyś wolnonajemni doktorkowie, którzy trafili do Gułagu ze studenckich ławek, ale najwybitniejsi profesorowie, kierownicy najważniejszych klinik, którzy odsiadywali swoje długie wyroki w miedpunktach dalekich leśnych łagrów”. Od więźniów często żądano pomocy z zaspokajaniu tych kaprysów. Lekarzowi obozowemu Izaakowi Vogelfangerowi ustawicznie brakowało spirytusu lekarskiego, ponieważ aptekarz wyrabiał z niego nalewki, którymi komendant obozu raczył odwiedzających go dygnitarzy.

"Im więcej wypijają, tym lepszej są opinii o pracy Siewurałagu".

Vogelfanger był również świadkiem przygotowań do "bankietu" na cześć gości, na którym podano smakołyki oszczędzane specjalnie na tego rodzaju okazje: "kawior, wędzonego węgorka, paszteciki z francuskiego ciasta z grzybami, pstrągi arktyczne w auszpiku cytrynowym, pieczoną gęś i pieczone prosie". Wtedy właśnie, w latach czterdziestych, komendanci obozów w rodzaju Nikiszowa zaczęli uważać się za coś więcej niż zwykłych strażników więziennych; zabrali się do "mecenatu artystycznego" i zaczęli nawet rywalizować ze sobą o to, kto stworzy ze

"swoich" więźniów najlepszy zespół teatralny, lub który zgromadzi wokół

siebie najlepszych więźniów - malarzy. Lew Kopielew był w Unzłagu w 1946 roku, dokładnie w tym

samym czasie, gdy komendant tego obozu wybierał - bezpośrednio z więzienia - "co wybitniejszych śpiewaków, muzyków i malarzy, którym przydzielał najlepsze funkcje w łagrze: sprzątaczy i pielęgniarzy szpitalnych". Jego łagier zyskał sobie sławę

"schroniska dla artystów". Także Dalstroj mógł się pochwalić własnym zespołem pieśni i tańca, który dawał koncerty w Magadanie i niektórych dalej położonych łagrach, a swą sławę zawdzięczał wielu zesłanym na Kołymę wybitnym tancerzom i śpiewakom. Lew Razgon wspomina, że komendant Uchtizemłagu utrzymywał w Uchcie "całą trupę teatralną", którą kierował jeden z najwybitniejszych aktorów sowieckich.

"Zatrudniał" również sławną primabalerinę z Teatru Bolszoi oraz kilku renomowanych muzyków i śpiewaków: „Od czasu do czasu komendant Uchtizemłagu składał wizyty naczelnikom sąsiedztwa. Oficjalnym ich celem była "wymiana doświadczeń", przeczył temu jednak fakt, że dzięki zakrojonym na wielką skalę przygotowaniom i skomplikowanemu protokołowi przypominały one raczej wizyty głów obcych państw.

Wielkim szefom towarzyszył liczny orszak naczelników wydziałów; przygotowano dla nich specjalne apartamenty hotelowe, planowano trasy podróży i zwożono prezenty [...]. Komendant Uchtizemłagu woził ze sobą najlepszych artystów, aby jego gospodarze mogli przekonać się, że sztuka rozkwita tam równie dobrze, jeśli nawet nie lepiej niż u nich”.

Do dziś dnia biały, otoczony kolumnadą gmach byłego teatru Uchtizemłagu jest jednym z najbardziej okazałych budynków w Uchcie. Był położony o kilka kroków od zbudowanej na obrzeżach parku miejskiego wielkiej drewnianej willi komendanta. Swoje kaprysy zaspokajali nie tylko komendanci -

wielbiciele sztuk pięknych. Także miłośnicy sportu mieli okazję wypróbować się w roli twórców własnych zespołów piłkarskich, do czego brali się niekiedy z wielkim zapałem i nie mniejszym rozmachem. Nikołej Starostin - gwiazda futbolu rosyjskiego, aresztowany za to, że jego drużyna miała nieszczęście pokonać ulubioną jedenastkę Berii - również trafił do Uchty. Prosto z dworca Starostina zabrano do trenera miejscowej drużyny piłkarskiej, który potraktował go uprzejmie i powiedział, że komendant obozu specjalnie zabiegał o jego przyjazd. "Generał jest całą duszą oddany piłce. To on pana tu ściągnął". Przez większą część swego pobytu w łagrze Starostin pracował jako trener drużyn futbolowych NKWD. Przenoszono go z miejsca w miejsce, w zależności od tego, który z komendantów obozu potrzebował aktualnie jego usługi. Od czasu do czasu, ale jednak sporadycznie, pogłoski o tego rodzaju obyczajach wywoływały ciekawość zainteresowania Moskwy. Zdarzyło się nawet, że -

zapewne wskutek powtarzających się skarg i zażaleń - Beria nakazał wszcząć poufne śledztwo w sprawie rozrzutnego stylu życia Nikiszowa.

W raporcie potwierdzono między innymi, że na bankiet wydany z okazji przyjazdu Chabarowskiego

Stowarzyszenia Operetkowego komendant wydał 15 tysięcy rubli, sumę jak na owe czasy ogromną. Raport piętnuje również "atmosferę serwilizmu" otaczającą Nikiszowa i jego żonę, Gridasową: "Gridasowa cieszy się tak wielkimi wpływami, że - jak zeznali zastępcy Nikiszowa - oni sami pracują na swoich stanowiskach tylko i wyłącznie dlatego, że spogląda na nich przychylnym wzrokiem". Mimo to Beria nie podjął żadnych dalszych kroków. Gridasowa i Nikiszow mogli w dalszym ciągu rządzić swym imperium w spokoju". W ostatnich latach stało się modne podkreślanie, że - wbrew temu, co głoszone zaraz po wojnie - tylko nielicznych Niemców zmuszano do służby w plutonach egzekucyjnych i kacetach. Jeden z uczonych wystąpił nawet niedawno z kontrowersyjną tezą, że służby te składały się w przeważającej mierze z ochotników. Jeśli chodzi o Związek Sowiecki, problem wypada ująć i analizować inaczej. Pracownicy obozów - podobnie jak większość pozostałych obywateli - nie mieli dużego wyboru. Przydzielano po prostu obligatoryjnie określone miejsca pracy. Brak wyboru był integralnym elementem systemu. Mimo to nie jest prawdą, że oficerowie NKWD i strażnicy obozowi "byli w nie lepszej sytuacji niż więźniowie, którymi zarządzili" albo wręcz - jak usiłują dowodzić niektórzy - stali się na równi z zekami ofiarami tego samego systemu i woleliby pracować gdzie indziej, ale z chwilą gdy weszli w system, stając się jego nieodłączną częścią, to w jego ramach, paradoksalnie, mieli znacznie większe możliwości wyboru niż ich nazistowscy odpowiednicy, których zadania były znacznie ściślej określone. Funkcjonariusze Gułagu mogli wybierać między brutalnością i okrucieństwem a przyzwoitym zachowaniem. Mogli zaharowywać więźniów na śmierć albo starać się zachować przy życiu możliwie największą ich liczbę. Mieli możliwość wyboru między współczuciem dla więźniów, których dołączyli niejednokrotnie wcześniej i mogli jeszcze dzielić w przyszłości, a wykorzystaniem chwilowego uśmiechu losu i zadawaniem swoim byłym i przyszłym towarzyszom wymyślnych cierpień. O tym, jaką drogę postępowania wybiorą, w żadnej mierze nie decydowała ich przeszłość, albowiem personel Gułagu i jego więźniowie wywodzili się z tych samych środowisk etnicznych i społecznych. I rzeczywiście, na pytanie, jacy byli obozowi strażnicy, ci, którzy przeżyli Gułag, niemal zawsze odpowiadają, że bardzo różni. Zadałam je Galinie Smirnowej. "Byli tacy, jak wszyscy, każdy inny" - usłyszałam w odpowiedzi. "Byli wśród nich umyślowo chorzy, sadyści i zupełnie normalni, dobrzy ludzie" - powiedziała mi Anna Andriejewa, która przypomniała sobie również, że wkrótce po śmierci Stalina do biura, w którym pracowały więźniarki, wpadł główny księgowy obozu, który śmiał

się, poklepywał je po plecach i krzyczał: "Zdejmować numery, dziewczyny [chodzi o oznaczone numerami lagrowe łachy - przyp. red.], będą oddawać wam wasze ciuchy!". Także Arginska przyznaje, że strażnicy bywali nie tylko "bardzo różni", lecz w dodatku z czasem zaczęli adaptować się do warunków. "Jak zwierzęta" zachowywali się zwłaszcza ogłupieni propagandą młodzi poborowi, którzy dopiero co trafili do obozu, ale "po pewnym czasie zaczęli jednak coś rozumieć -

nie wszyscy może, ale w każdym razie większość - i często zachodziła w nich zmiana". Prawdą jest, że władze wywierały na strażników i personel administracyjny obozów pewną presję, że zniechęcały ich do okazywania więźniom względów. W archiwach inspektoratu Gułagu zachowały się protokoły śledztwa w sprawie niejakiego Lewina, szefa działu zaopatrzenia jednego z podobozów Dmitłagu, któremu w 1937 roku zarzucono nadmierną pobłażliwość. Zbrodnia Lewina polegała na tym, że dopuścił do spotkania jednego z więźniów z bratem. Oskarżono go również o zbyt przyjazny stosunek do zeków w ogóle, a zwłaszcza grupy więźniów uznanych za mienszewików. Ze swej strony Lewin - sam były więzień zatrudniony przy budowie Kanału Białomorskiego - twierdził, że nie wiedział nic na temat ich mienszewizmu. Ponieważ był to rok 1937, skazano go tak czy owak. Do tego typu

drastycznych metod uciekano się jednak rzadko. Kilku wysokiej rangi komendantów obozów zyskało sobie nawet rozgłos z racji życzliwości okazywanej więźniom. W oskarżającej system stalinowski książce Pod osąd historii historyk, a zarazem dysydent, Roj Miedwiediew pisze o pewnym komendancie obozu, Kunduszu, który wziął sobie do serca wojenne apele o wzmożenie produkcji i skierował na kierownicze stanowiska wykształconych "byłych komunistów", zaczął

bardziej troszczyć się o warunki życia zeków; niektórym załatwiał nawet przedterminowe zwolnienie. Pomimo przodujących wyników produkcyjnych po wojnie został aresztowany - najprawdopodobniej za nadmiar humanitaryzmu. Lew Razgon opisuje z kolei niezwykle więzienie etapowe w Gieorgijewsku, przez które przeszedł zarówno on sam, jak i jego druga żona Rika. „Cele były nie tylko pozamiatane, ale i umyte -

zarówno podłogi, jak i deski przycz. Jedzenie tak sycące, że zniknął

bezustanny głód, jakiego doświadczali więźniowie w etapie. W łaźni można się było umyć do czysta; był nawet specjalny w pełni wyposażony pokój toaletowy dla kobiet (i to zdziwiło Rikę bardziej niż wszystko inne)”. Podobnych ludzi było więcej. W pewnym momencie swej kariery obozowej Gienrich Gorczakow, aresztowany w 1945 roku Żyd rosyjski, skierowany został do obozu dla inwalidów w kompleksie obozów Sibłagu.

Jego nowym komendantem jakiś czas wcześniej został były oficer frontowy, który nie mógł po wojnie znaleźć żadnej innej pracy. Swoją funkcję potraktował poważnie, zbudował nowe baraki, zadbał o to, by więźniowie mieli materace, a nawet prześcieradła i zreorganizował cały system pracy, co zupełnie odmieniło łagier. Inny jeszcze były zek, aresztowany jako szesnastolatek Aleksiej Priadiłow, trafił do obozu rolniczego na Ałtaju. Komendant obozu "rządził łagrem jak zwykłym przedsiębiorstwem produkcyjnym, a więźniów traktował nie jak wrogów i kryminalistów, których powinien "reedukować", lecz jak normalnych robotników, w przekonaniu, że próby zmuszenia ludzi głodnych do dobrej pracy są najzupełniej bezcelowe". Nawet inspektorom Gułagu udawało się czasem natrafić na komendantów obozów z prawdziwego zdarzenia. W

raporcie z przeprowadzonej w 1942 roku inspekcji Birłagu czytamy, że

"więźniowie [zatrudnieni] w fabryce pracują doskonale dlatego, że zapewniono im znakomite warunki". Baraki były czyste, każdy zek miał

własny koc i prześcieradło, przyzwoitą odzież i dobre buty. Życzliwość wobec więźniów przybierała niekiedy formy bardziej bezpośrednie.

Galina Lewinson pisze w swoich wspomnieniach o komendancie obozu, który przekonał pewną więźniarkę, że nie powinna przerywać ciąży.

"Kiedy wyjdiesz z obozu, będziesz samotna - powiedział jej. - Pomyśl, jak dobrze będzie mieć dziecko". Wspomniana kobieta pozostała mu za to wdzięczna do końca życia. Anatolij Zygunin również wspomina o

"dobrym" komendancie jednej z kolonii łagru Oziornyj, który "uratował

od śmierci setki ludzi"; łamiąc wszelkie regulaminy, zwracał się do nich per "towarzyszu więźniu" i kazał kucharzom przywoiciej ich karmić.

Najwyraźniej - konkluduje Żygulin - "jeszcze nie przywykł do tego, żeby do swoich podkomendnych zwracać się w inny sposób". Aresztowana jako żona "wroga ludu" Maria Sandracka także pisze o komendancie obozu, który troszczył się zwłaszcza o przebywające w łagrze matki, sprawdzał, jak prowadzony jest żłobek, czy karmiące kobiety mają co jeść i czy nie każe się im zbyt ciężko pracować. Życzliwość, ludzkie podejście i wyrozumiałość były możliwe; na każdym szczeblu obozowej hierarchii zawsze zdarzali się nieliczni, odporni na propagandę przedstawiającą więźniów jako wrogów i rozumiejący, co się wokół nich dzieje. I zaskakująco duża liczba byłych więźniów przyznaje, że przynajmniej raz doświadczyła od strażników życzliwości i zrozumienia. "Nie mam żadnych wątpliwości - pisze Jewgienij Gniedin - że w gigantycznej armii obozowej administracji trafiali się pracownicy uczciwi, brzydzący się swoją rolą nadzorców niewinnych ludzi". Zarazem jednak ci sami autorzy wspomnień ze zdziwieniem stwierdzają, jak rzadkie i wyjątkowe były takie przypadki. Mimo bowiem kilku możliwych do przytoczenia przykładów czyste więzienia nie były normą, w wielu obozach panowały warunki wręcz zabójcze, a większość strażników traktowała powierzonych im więźniów w najlepszym wypadku obojętnie, w najgorszym zaś - z jawnym i otwartym okrucieństwem. Nigdzie, powtarzam, nigdzie nie żądano od nich otwarcie podobnego traktowania. Przeciwnie, przypadki świadomego znęcania się nad więźniami Moskwa oficjalnie piętnowała.

Strażnicy i przedstawiciele władz obozowych przejawiający wobec więźniów nieuzasadnioną brutalność mogli ponieść karę i często rzeczywiście ją ponosili. W archiwum Wiatłagu zachowały się akta personalne strażnika ukaranego za "systematyczne bicie zeków", kradzież ich mienia i gwałcenie więźniarek, w archiwum Dmitłagu - wzmianka o ukaraniu kilku pracowników administracyjnych, którzy bili więźniów po pijanemu, a w centralnym archiwum Gułagu - informacje o karach wymierzonych komendantom obozów, którzy bili więźniów, torturowali ich w trakcie przesłuchań lub wysyłali ich etapem bez odpowiedniej odzieży zimowej. Mimo to brutalne traktowanie było na porządku dziennym. Okrucieństwo przybierało niekiedy formy wyrafinowanego sadyzmu. Więziony w latach pięćdziesiątych Wiktor Bułgakow pamięta jednego ze swych strażników, półpiśmiennego Kazacha, znajdującego szczególne upodobanie w trzymaniu więźniów na mrozie i obserwowaniu, jak powoli zamarzają na kość, a także jego kolegę, który "lubił popisywać się siłą" i bił więźniów bez żadnego powodu. W archiwum Gułagu, obok wielu podobnych dokumentów, znajduje się również protokół sprawy kierującego w czasie wojny łagpunktem w Wołgostroju "towarzysza Rieszetowa", który karał więźniów zamknięciem w lodowatym karczerze i wyganiał chorych na roboty w czasie najcięższych mrozów, wskutek czego wielu z nich zmarło przy pracy. Znacznie częściej okrucieństwo wynikało nie tyle z sadyzmu, ile z egoizmu i chciwości. Strażnik, który zastrzelił więźnia podczas próby ucieczki, otrzymywał nagrodę pieniężną, a czasem nawet urlop. Strażnicy prowokowali więc więźniów i z całą świadomością namawiali ich do przekroczenia granicy zony, co interpretowano później jako próbę ucieczki. Sytuację taką opisuje Żygulin: „-Hej, ty! Przynieś no ten pieniek! - krzyknął strażnik do kogoś z kolumny. – To już jest poza zoną, towarzyszu naczelniku. - Nie szkodzi, ja ci pozwalam. Idź! Krok za linię - seria z automatu i nie ma człowieka".

Z

materiałów archiwalnych wynika, że była to praktyka dość powszechna.

W roku 1938 czterech żołnierzy WOChR-y skazano za zastrzelenie dwóch więźniów "sprowokowanych" do próby ucieczki. Przy okazji wyszło na jaw, że dowódca pododdziału i jego zastępca podzielili się ich dobytkiem.

O podobnych "prowokacjach" wspomina pisarz Boris Djakow w swoich uznanych za zgodne z linią partii wspomnieniach z Gułagu, wydanych w ZSRS w 1964 roku. Przyczyną okrucieństwa w obozach - podobnie jak w transportach kolejowych

- była niekiedy nuda albo uczucie frustracji z powodu wykonywania pogardzanego przez innych zawodu. Pracująca jako pielęgniarka obozowa, holenderska komunistka Elinor Lipper czuwała kiedyś przez całą noc przy chorym na zapalenie opłucnej pacjencie, którego trawiła wysoka gorączka: „Z trudem łapiąc powietrze, opowiedział mi, że strażnik chciał przebyć tę drogę jak najszybciej i przez cztery godziny popędzał

konwojowanego chorego i gorączkującego więźnia uderzeniami pałki. Na miejscu zagroził, że jeśli powie komuś z personelu szpitala, że go bito, połamie mu wszystkie kości. Człowiek ten był do samego końca tak przerażony, że nie chciał powtórzyć tej historii nikomu spoza więźniów.

"Daliśmy mu umrzeć w spokoju - pisze Lipper - a nie niepokoiony przez nikogo strażnik bił zeków nadal"". W większości wypadków było to tępe i bezmyślne okrucieństwo, jakie czasami pastuch przejawia wobec bydła czy owiec. To prawda, nikt - przynajmniej otwarcie - nie kazał strażnikom źle traktować więźniów; nikt jednak również nie uczył ich uważać więźniów, zwłaszcza politycznych, za istoty ludzkie. Przeciwnie, niemało wysiłku włożono, żeby wzbudzić nienawiść do zeków, których nie nazywano inaczej jak "niebezpiecznymi kryminalistami, szpiegami i sabotażystami, usiłującymi zniszczyć społeczeństwo sowieckie". Tego rodzaju propaganda wywierała przemożny wpływ na ludzi i tak już rozgoryczonych własnym losem, wykonujących pracę, do której nie mieli serca, i żyjących w fatalnych warunkach. Co najmniej w równej mierze kształtowała również światopogląd pracujących w obozie robotników wolnonajemnych - zatrudnionych w łagrze okolicznych mieszkańców nie będących funkcjonariuszami NKWD. "Od robotników wolnonajemnych oddzielał nas zazwyczaj mur wzajemnej nieufności [...]. Nasze szare sylwetki, odprowadzane na miejsce pracy pod konwojem, niejednokrotnie z psami, [były] dla nich, jak się wydaje, widokiem niezbyt przyjemnym, czymś, o czym lepiej nie myśleć". Tak było już w latach dwudziestych, w epoce, kiedy strażnicy z Sołówek kazali skakać przemarzniętym więźniom do rzeki z okrzykiem "delfin!". Pod koniec lat trzydziestych - epoce zaostrzenia reżimu obozowego i degradacji więźniów politycznych do rangi "wrogów ludu" - sytuacja tylko się pogorszyła. W 1937 roku na wieść o tym, że na Kołymę zdąży duży transport trockistów, komendant Dalstroju, Eduard Berzin oświadczył gronu współpracowników co następuje: "Jeżeli te śmiecie, które tu teraz jadą, uprawiały na kontynencie sabotaż, to tu, na Kołymie, sprawimy, że będą pracować dla Związku Sowieckiego. Mamy swoje metody, żeby zmusić ich do pracy".

Propaganda nie przycichła nawet, gdy skończył się Wielki Terror. Przez całe

lata czterdzieste i znaczną część pięćdziesiątych więźniów konsekwentnie nazywano kryminalistami, kolaborantami, szpiegami i zdrajcami.

Nacjonalistów

ukraińskich, którzy po drugiej wojnie światowej zaczęli masowo zaludniać obozy

sowieckie, określano jako "gadziny i łańcuchowe psy nazistowskich katów",

"ukraińsko-niemieckich faszystów" lub "agentów wywiadów imperialistycznych".

Nikita Chruszczow stwierdzał, że nacjonałiści ukraińscy "wyłażą ze skóry, próbując zadowolić swego pana, Hitlera, i dostać mizerny ochłap łupu jako wynagrodzenie za swoją psią służbę". W czasie wojny strażnicy nazywali "esesmanami", "zdrajcami" i "własowcami" prawie wszystkich więźniów politycznych. Obrażało to zwłaszcza Żydów, weteranów frontowych i cudzoziemców - komunistów, którzy we własnych krajach walczyli z faszyzmem. "Nie jesteśmy

faszystami; większość nas to byli członkowie partii" - odkrzyknął

wściekle jugosłowiański komunista, Karło Štajner, grupie miotających obelgi przestępców kryminalnych, którzy wyzywali brygadę więźniów politycznych. Margarete Buber-Neuraann, komunistka niemiecka, która po zwolnieniu z łagru trafiła od razu do

niemieckiego obozu koncentracyjnego Ravensbruck, również pisze, że nazywano

ją notorycznie "niemiecką faszystką", a kiedy aresztowany oficer NKWD, Michaił Szrejder, powiedział śledczemu, że jako Żyda trudno go oskarżać o współpracę z Hitlerem, usłyszał w odpowiedzi, że nie jest Żydem, tylko

"Niemcem, dla wywiadu niemieckiego dla niepoznaki obrzezanym".

Obrzucanie więźniów wyzwiskami nie było bynajmniej bezmyślną dziecinadą. Określając więźniów mianem "wrogów" czy "podludzi", strażnicy legitymizowali własne postępowanie. Retoryka "wroga" była częścią światopoglądu funkcjonariuszy Gułagu. Inny jej element -

nazwijmy go roboczo retoryką "niewolnictwa państwowego" - zakładał

ustawiczne podkreślanie wagi pracy i stale rosnących wskaźników produkcji dla samego faktu istnienia Związku Sowieckiego. Ujmując rzecz innymi słowy, usprawiedliwione jest wszystko, co pozwoli zwiększyć wydobycie złota. Kwintesencją tego sposobu myślenia jest wywiad, jakiego brytyjskiemu dokumentaliście filmowemu udzielił były zastępca komendanta ds. produkcyjnych zespołu łagrów w Norylsku, Aleksiej Łoginow:

„Od samego początku doskonale wiedzieliśmy, że świat nigdy nie zostawi rewolucji sowieckiej w spokoju. Nie tylko Stalin zdawał sobie z tego sprawę - rozumiał to każdy, każdy zwykły komunista, każdy obywatel miał świadomość, że musimy nie tylko budować, ale budować, zdając sobie sprawę, że wkrótce wybuchnie wojna. Dlatego w moim regionie trwały niezwykle intensywne poszukiwania złóż różnych surowców -

miedzi, niklu, boksytów, żelaza itp. Wiedzieliśmy zawsze, że wokół

Norylska są ogromne ich złoża - ale jak eksploatować je w kraju położonym za kręgiem polarnym?

Sprawę przekazano więc w ręce NKWD, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kto inny mógł to zrobić?

Wie pan, ilu ludzi aresztowano. A nam potrzebne były tutaj tysiące”.

Łoginow wypowiedział te słowa w latach dziewięćdziesiątych, niemal pół

wieku po likwidacji kompleksu łagrów norylskich; ten sam ton przebija jednak wyraźnie z listu wystosowanego przez żonę komendanta obozu, Annę Zacharową, do redakcji "Izwestii". Gazeta nigdy nie wydrukowała tego listu, opublikowano go natomiast później w samizdacie. Zacharowa -

tak samo jak Łoginow - mówi o obowiązku i ofiarach poniesionych przez męża dla chwały ojczyzny: "Zrujnował zdrowie, pracując ze światem przestępczym - ta praca niszczy nerwy. Bylibyśmy szczęśliwi, mogąc się przeprowadzić - mąż odsłużył już swoje - ale nie chcieli go puścić. Był komunistą i oficerem i miał obowiązek wytrwać na swojej placówce”.

Podobną opinią podzieliła się ze mną pewna, pragnąca zachować anonimowość funkcjonariuszka administracji obozowej, która z dumą opowiadała mi o pracy, wykonywanej przez jej więźniów w czasie wojny na rzecz Związku Sowieckiego: "Pracował dosłownie każdy, spłacając własny dług wobec Ojczyzny, i dawał z siebie dla frontu wszystko, co mógł". W kontekście nadrzędnego wymogu lojalności wobec Związku Sowieckiego i jego zadań gospodarczych brutalność i okrucieństwo, stosowane w imię podniesienia wskaźników produkcji, wydawały się ich adeptom wręcz godne podziwu i szacunku. Co więcej, w języku terminów i wskaźników gospodarczych, którym się wysławiali, roztapiała się sama natura systemu łagrów. Po wywiadzie z byłym komendantem Karłagu amerykański dziennikarz Adam Hochschild ze zdumieniem zauważył, że

"ze słów pułkownika nie sposób zorientować się, że chodzi o zakład karny. Cały czas mówił o roli Karłagu w gospodarce sowieckiej, zupełnie jak zadowolony z siebie prowincjonalny kacyk partyjny: "Mieliliśmy nawet eksperymentalne gospodarstwo rolne. Dobrze rozwinięta była hodowla bydła - nawet specjalnych ras, jak czerwona stepowa albo białogłowa kazachska". Przedstawiciele najwyższych szczebli administracji obozów mówili często o więźniach tylko jak o niezbędnych w procesie produkcji maszynach i narzędziach. Uważali ich za wygodną w użyciu, tanią siłę roboczą, rodzaj surowca - tak jak dostarczane im na plac budowy cement i stal. Raz jeszcze oddaję głos Łoginowowi jako klasycznemu wręcz wyrazicielowi takiego światopoglądu: „Gdybyśmy posłali tam [do Norylska] cywilów, to musielibyśmy najpierw zbudować dla nich domy mieszkalne. Jak zresztą mogliby tam wytrzymać cywile? Z więźniami sprawa jest prostsza - wszystko, czego im potrzeba, to barak i piecyk z rurą i jakoś przeżyją. A potem może trochę jedzenia. Krótko mówiąc, wzięwszy pod uwagę realia tamtych dni, więźniowie byli jedyną kategorią ludzi, których mogliśmy użyć na tak wielką skalę. Gdybyśmy mieli więcej czasu, zapewne zrobilibyśmy to inaczej”.

Język wskaźników gospodarczych pozwalał komendantom obozów usprawiedliwić wszystko

- nawet śmierć, wszystko bowiem miało na celu "dobro wyższe".

Rozumowanie to prowadziło niekiedy do szokujących wręcz skrajności.

Lew Razgon przytacza rozmowę między komendantem Ustwińłagu, pułkownikiem Tarasiukiem, a lekarzem obozowym, Koganem, który popełnił fatalny błąd, informując Tarasiuka o liczbie więźniów "chorych na pelagrę" - typową chorobę łagierną:

Tarasiuk: Co oni dostają?

Kogan: Wszyscy dostają racje zalecane przez Zarząd Sanitarny Gułagu jako środek przeciwko pelagrze.

Tarasiuk: Kiedy i ilu z nich pójdzie do lasu?

Kogan; Oczywiście nigdy już nie pójdą do lasu. Ale będą żyć i kiedyś będzie można ich wykorzystać w zonie do lekkich prac.

Tarasiuk: Odebrać im diety. Zapiszcie! Racje przeznaczyć dla pracujących w lesie.

Kogan; Towarzyszu pułkowniku! Widać źle to wam objaśniłem. Ci ludzie mogą żyć tylko pod warunkiem otrzymania specjalnej diety. Inwalidzi dostają 400 gramów chleba. Ci przy takiej normie umrą przed upływem pierwszej dekady. Tego nie można zrobić!

Tarasiuk popatrzył z pewnym zainteresowaniem na zdenerwowanego doktora.

- Tego nie można zrobić wedle waszej lekarskiej etyki?

- Nie można.

- A ja pluję na waszą etykę! - spokojnie i bez najmniejszych oznak gniewu powiedział Tarasiuk. - Zapisaliście? Idziemy dalej...

Tych wszystkich 246 ludzi zmarło przed upływem miesiąca.

Z materiałów archiwalnych wynika, że utrzymane w podobnym duchu wymiany zdań nie należały do wyjątków; dialogu przytoczonego przez Razgona w żadnej mierze nie można więc uznać za apokryf. W

sporządzonym w latach wojny raporcie o stanie więźniów Wołgostroju pojawia się zarzut, że administracja obozu „myśli wyłącznie o uzyskiwaniu drewna [...] i nie wykazuje żadnego zainteresowania wyżywieniem - ani odzieżą więźniów - których wysyła się do pracy bez względu na ich kondycję fizyczną, ani tym czy są zdrowi, odpowiednio ubrani i najedzeni". W archiwach zachował się również protokół narady funkcjonariuszy Wiatłagu ze stycznia 1943 roku. Uczestnicy konferencji posługiwali się beznamiętnym językiem statystyki, a jeden z nich, Awrucki, wystąpił z następującą propozycją: "Wskaźnik obsadzenia etatów wynosi 100 procent, mimo to nie możemy wykonać planu, ponieważ rośnie liczebność Grupy B. Gdyby żywność wydawaną Grupie B rozdzielić między resztę załogi - nie mielibyśmy wcale Grupy B i moglibyśmy zrealizować plan". Dla wyjaśnienia "Grupa B" to więźniowie słabi i wycieńczeni, którzy istotnie stanowili dla obozu obciążenie w kategoriach ekonomicznych. Komendanci obozów byli w sytuacji komfortowej o tyle,

że podejmowali decyzje dotyczące ludzi, których mogli nigdy nie widzieć na oczy. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że funkcjonariusze niższych szczebli administracji, mający bezpośredni kontakt z ofiarami decyzji zapadających na samym szczycie, okazywali im choć odrobinę więcej zrozumienia i współczucia. Pewnego razu Kazimierz Zaród znalazł się w kolumnie więźniów eskortowanych pod strażą do nowego łagpunktu. Brakowało jedzenia, więźniowie coraz bardziej słabli. Jeden z nich upadł i nie mógł się podnieść. Strażnik zdjął z ramienia karabin, a jego kolega zagroził

leżącemu, że go zastrzeli:

- Na miłość Bożą - usłyszałem jęk tego mężczyzny - jeśli tylko pozwolisz mi trochę odpocząć, dam sobie radę.

- Wstawaj albo po tobie - powiedział pierwszy strażnik.

„Zobaczyłem, że zdjął z ramienia karabin i wymierzył w niego. Jakoś nie chciałem uwierzyć, że strzeli. Więźniowie idący w kolumnie za mną przegrupowali się i straciłem z oczu całą sytuację. Nagle jednak usłyszałem wystrzał, a potem drugi. Wiedziałem, że ten człowiek już nie żyje”. Nie wszystkich jednak - kontynuuje Zaród - którzy nie mieli sił iść dalej, rozstrzelowano. Młodszych, którzy również padali po drodze z wycieńczenia, kładziono na wóz. „Leżeli jak wory, dopóki nie doszli do siebie [...]. Domyślałem się, że rozumowano w sposób następujący: młody dojdzie do siebie i może wrócić do pracy, starych nie warto ratować. Z

całą pewnością tych, co leżeli na wozie jak kupa starych łachów, nie umieszczono tam z powodów humanitarnych. Strażnicy, chociaż młodzi, szli tą drogą nie pierwszy raz i byli całkowicie wyprani z wszelkich ludzkich uczuć”.

Wydaje się niemal pewne - choć nie można znaleźć potwierdzenia tego we wspomnieniach byłych więźniów - że podobny sposób myślenia i zachowania był

powszechny także wśród przedstawicieli wyższych szczebli władz obozów. W rozdziale poprzednim powoływałam się często na raporty znalezione w archiwach

Gułagu. Te regularnie przedstawiane, bardzo szczegółowe sprawozdania cechuje

zaskakująca otwartość i szczerść. Mowa w nich o epidemiach duru brzusznego,

niedoborach żywności i braku ubrań. Wymieniane są obozy, w których stopa

śmiertelności była "zbyt wysoka". Spotkać można głosy oburzenia na komendantów, którzy nie zapewniali więźniom odpowiednich warunków bytowych. Szacuje

się w nich liczbę "dniówek" straconych z powodu chorób, wypadków przy pracy

i zgonów. Czytając te raporty, nie można mieć żadnych wątpliwości, że moskiewska centrala w pełni zdawała sobie sprawę z warunków, jakie panowały w łagrach,

wszystko zostało bowiem dokładnie opisane i to językiem nie mniej bezpośrednim

i szczerym niż język Solżenicyna czy Szalamowa. Mimo to - chociaż dokonywano czasami pewnych zmian i oddawano niekiedy komendantów obozów pod sąd - wszystkie te raporty są uderzająco monotonne, brzmią niemal dokładnie tak samo, co przywodzi na myśl świat rewizorskich inspekcji tak genialnie opisany przez Mikołaja Gogola. Przestrzegano drobiazgowo pewnych ustalonych form, pisano sążniste, szczegółowe raporty, wydawano rytualne okrzyki oburzenia - zupełnie nie przejmując się tym, jaki wpływ ma to wszystko na losy milionów istnień ludzkich.

Komendantom obozów udzielano rutynowych nagan za brak postępów w dziedzinie poprawy warunków bytu więźniów - i cała sprawa cichła. Na koniec wreszcie, nikt nie zmuszał strażników, by ratowali więźniów młodych, a rozstrzeliwali starych. Nikt nie zmuszał komendantów łagrów, by mordowali chorych. Nikt nie zmuszał najwyższych urzędników z moskiewskiej centrali

Gułagu, by przechodzili do porządku dziennego nad wynikami inspekcji.

Decyzje

tego rodzaju - najzupełniej jawnie i otwarcie - podejmowali codziennie strażnicy

i funkcjonariusze obozowej administracji, w świętym przekonaniu, że mają do tego

pełne prawo. Ideologię państwowego niewolnictwa wyznawali jednak nie tylko panowie Gułagu. Do współpracy zachęcano także więźniów - i niektórzy rzeczywiście współpracowali.

ROZDZIAŁ 14

Więźniowie

„Człowiek - to istota, która się do wszystkiego przyzwyczaja, i sądzę, że to najtrafniejsze określenie człowieka”.

Fiodor Dostojewski Wspomnienia z domu umarłych

"Urki" - kryminaliści

DLA NIEDOŚWIADCZONEGO więźnia politycznego, dla młodej kołchoźnicy aresztowanej za kradzież bochenka chleba, dla nieświadomego rzeczy deportowanego Polaka pierwszy kontakt z

"urkami", kastą sowieckich przestępców zawodowych, był budzącym osłupienie i odrazę szokiem. Na pierwszą w swoim życiu profesjonalną kryminalistkę Jewgienia Ginzburg natknęła się, wsiadając na pokład statku

zmierającego na Kołymę: „Sama śmietanka przestępczego świata.

Wyrzutki, recydywistki, morderczynie, sadystki, mistrzyni perwersji seksualnych [...]. W ciągu sekundy zaczęły terroryzować "frajerów" i

"kontrów" -jak nazywali nas, politycznych. Wprawiało ich w zachwyt, że są na świecie ludzie zwani

"wrogami ludu", jeszcze bardziej pogardzani, jeszcze bardziej wyklęci niż one [...]. Odbierały nam chleb, wyciągały ostatnie szmatki z naszych tobołków, wypychały z zajętych miejsc”.

Transportowanego tym samym szlakiem na pokładzie SS "Dżurma"

Aleksandra Gorbatowa, wyższego oficera Armii Czerwonej, którego trudno posądzać

o tchórzostwo, obrabowano z butów: „Jeden uderzył mnie mocno w brzuch i głowę i rzekł drwiąco: "Dawno już sprzedałeś mi te buty i pieniądze wzięłeś, a butów mi nie oddajesz". Śmiejąc się, poszli sobie.

Zrozpaczony, szedłem za nimi, zatrzymali się więc i zaczęli mnie znowu okładać”. Podobne sceny znaleźć można w dziesiątkach pamiętników i wspomnień byłych więźniów. Chmary zawodowych kryminalistów rzucały się na innych więźniów jak oszalałe mityczne Furie, zrzucały ich z prycz i przy akompaniamencie wściekłych wrzasków, przekleństw i wyzwisk kradły resztki odzieży, jaka im jeszcze została. Ich wygląd i sposób zachowania wydawały się normalnym ludziom dziwne i wstrętne.

Polskiego więźnia, Antoniego Ekarta, przerażał "zupełny brak hamulców moralnych "urków", którzy na oczach wszystkich załatwiali swoje potrzeby naturalne, z onanizmem włącznie. Byli dziwnie podobni do małp, z którymi zresztą mieli chyba więcej wspólnego niż z ludźmi". Żona wybitnego działacza bolszewickiego, Maria Joffe, wspomina, że złodzieje parzyli się ze sobą na oczach wszystkich, paradowali nago wokół baraków i nie przejawiali wobec siebie żadnych ludzkich uczuć: "Żywe były tylko ich ciała". Dopiero po kilku tygodniach pobytu w obozie niewtajemniczeni więźniowie zaczęli dostrzegać, że świat kryminalistów nie jest monolitem - ma swoją hierarchię oraz system rang, i że istnieje wiele różnych kategorii złodziei. "Dzielili się na kasty i grupy

- w każdej z nich panowała żelazna dyscyplina oraz obowiązywały odrębne obyczaje i prawa. Ich naruszenie karano surowo; w najlepszym wypadku winowajcę usuwano z grupy, w najgorszym - zabijano" -

wyjaśnia Lew Razgon. Zróżnicowanie to zauważył również Polak, Karol Colonna-Czosnowski, który był jedynym więźniem politycznym łagru na Północy, zaludnionego wyłącznie przez przestępców kryminalnych, zatrudnionych przy wyrębie lasu: „Kryminaliści rosyjscy mieli wówczas wysoce rozwiniętą świadomość kastową; można wręcz powiedzieć, że kasta była dla nich wszystkim. Na czele ich hierarchii stali najwyżej w tym środowisku szanowani bandyci, napadający na banki i pociągi.

Jednym z nich był Grisza Czornyj - szef obozowej mafii. Najniższy szczebel drabiny socjalnej "urków" stanowili drobni złodzieje, w rodzaju doliniarzy. Arystokraci świata przestępczego zatrudniali ich w roli swoich paziów i chłopców na posyłki, poza tym nikt z nimi za bardzo się nie liczył. Pozostali przestępcy tworzyli coś w rodzaju warstwy średniej świata zbrodni, skądinąd również dość zróżnicowanej wewnątrz. Pod wieloma

względami ta niecodzienna społeczność była karykaturalną repliką świata

"normalnego". Można w niej było odnaleźć wszelkie odcienie ludzkich cnót i przywar. Z łatwością dawało się rozpoznać szybko pnących się w górę ludzi ambitnych, snobów, nuworyszy, oszustów oraz ludzi uczciwych i prawych".

Na samym szczycie hierarchii świata przestępczego stali - narzucający reguły

gry pozostałym - zawodowi kryminaliści. Ludzie ci - zwani "urkami" lub

"błatnymi", a jeśli należeli do ścisłej elity społeczności przestępczej,

"worami w zakonie", tworzyli kastę zawodowych przestępców, żyli według złożonego systemu

norm i obyczajów, który powstał znacznie wcześniej niż sam Związek Sowiecki

i przetrwał jego upadek. Nie mieli oni nic wspólnego z przeważającą większością

więźniów Gułagu skazanych za przestępstwa natury "kryminalnej".

"Zwykli" kryminaliści - skazani za drobne kradzieże, naruszenie dyscypliny pracy czy inne

przestępstwa niepolityczne - obdarzali "worów w zakonie" taką samą nienawiścią,

jak więźniów politycznych. Nic zresztą dziwnego, prawa rządzące światem zawodowych przestępców różniły się bowiem diametralnie od obowiązujących w świecie przeciętnego obywatela sowieckiego.

Subkultura profesjonalnych bandytów i złodziei narodziła się w kryminalnym podziemiu carskiej Rosji - w gildiach złodziei i żebraków, kontrolujących podówczas sferę drobnej przestępczości. Rozrosła się niepomniernie w pierwszych dekadach władzy sowieckiej, zasilona przez setki tysięcy sierot - ofiar rewolucji, wojny domowej i kolektywizacji, którym udało się przeżyć te kataklizmy jako dzieciom ulicy, tak zwanym biezprizornym, i które prędzej czy później obrały profesję złodziei i bandytów. Pod koniec lat dwudziestych, w dobie błyskawicznej ekspansji sowieckiego systemu obozów koncentracyjnych, zawodowi przestępcy tworzyli całkowicie odrębną społeczność, rządzącą się własnym kodeksem norm i zachowań, kategorycznie zakazującym jego członkom mieć cokolwiek wspólnego z państwem sowieckim. Prawdziwy "wor w zakonie" odmawiał podjęcia jakiegokolwiek pracy, posiadania dokumentów i wszelkich form współpracy z władzą, wyjąwszy wypadki, kiedy służyło to wykorzystaniu jej do jego własnych celów. "Arystokraci" ze wspomianej już sztuki Nikołaja Pogodina noszą wszelkie cech "worów w zakonie". We wczesnych latach trzydziestych zasadnicza większość programów indoktrynacji i reedukacji adresowana była w gruncie rzeczy nie do więźniów politycznych, lecz "worów w zakonie". Uważano, że kryminaliści, jako element "socjalnie bliski" ("socjalno blizkij") - w przeciwieństwie do "socjalnie niebezpiecznych" ("socjalno opasnych") więźniów politycznych - podlegają reedukacji. Wydaje się jednak, że u schyłku lat trzydziestych władze na całej linii odstąpiły od tej koncepcji, decydując się w zamian na wykorzystanie "worów w zakonie"

jako narzędzia trzymania w szachu i kontroli "kонтrewolucjonistów", do których przestępcy kryminalni czuli naturalną odrazę. Nie było to zjawisko nowe. Już sto lat wcześniej syberyjscy

zesłańcy, skazani za przestępstwa natury kryminalnej, nienawidzili więźniów politycznych. W

literackiej wersji swoich własnych przeżyć więziennych, we

„Wspomnieniach z domu umarłych”, Fiodor Dostojewski przytacza następującą opinię jednego z zesłańców; "No tak, szlachciców nie lubią -

rzekł - szczególnie politycznych, chętnie by pożarli, nic dziwnego. Po pierwsze jesteście ludźmi innymi, niepodobnymi do nich". Administracja obozów sowieckich otwarcie posługiwała się niewielkimi grupkami kryminalistów jako narzędziem kontroli i manipulacji nad pozostałymi więźniami mniej więcej od roku 1937 do końca drugiej wojny światowej.

W okresie wojny "wory w zakonie" najwyższej rangi nie pracowały wogóle, gwarantowały za to, że pracować będą inni. Lew Razgon tak opisuje mechanizm tego systemu: „Nie pracowali, ale przydzielano im pełne racje; nakładali haracze pieniężne na wszystkich "kmiotów", którzy pracowali; przywłaszczali sobie połowę [zawartości] paczek żywnościowych i zakupów w obozowym sklepiku; bezwstydnie

"oczyszczali" wszystkie nowe transporty, zabierając przybyszom ich najlepszą odzież. Jednym słowem, byli więc rabusiami, bandytami i członkami swoistej mafii. Wszyscy normalni kryminaliści - a takich była w obozie większość - nienawidzili ich z całego serca”. Niektórzy więźniowie polityczni umieli znaleźć wspólny język i ułożyć sobie jakoś stosunki z "worami w zakonie", zwłaszcza po wojnie. Niektórzy kryminalni władcy obozów lubili otaczać się politycznymi, których traktowali jako coś w rodzaju maskotek, a czasami zaufanych powierników. W trakcie pobytu w więzieniu etapowym Alexander Dolgun zyskał sobie uznanie w oczach jednego z wysoko postawionych w hierarchii świata przestępczego więźniów tym, że pobił pewnego kryminalistę niższej rangi. Zwycięstwo w podobnej walce na pięści było jedną z przyczyn, dla których młody więzień polityczny Marlen Korałłow

- później jeden z założycieli Stowarzyszenia "Memoriał" - wpadł w oko przywódcy obozowych "urków", niejakiemu Nikole, który udzielił mu zaszczytu zasiadania w baraku przy swoim boku. Zmieniło to natychmiast obozowy status Korałłowa - zaczął być odtąd uważany za

"protegowanego" Nikoły i uzyskał znacznie lepsze miejsce do spania:

"[Cały barak] zrozumiał: stałem się jednym z otaczającej Nikołę "trojki" -

tym samym wszedłem do ścisłej elity łagru [...], stosunek do mnie zmienił

się w okamgnieniu". Jednak w większości wypadków kryminaliści sprawowali nad politycznymi rządy absolutne. Ich wyższy, uprzywilejowany status wyjaśnia, dlaczego w obozach czuli się -jak to ujął pewien kryminolog - "w swoim żywiole"; żyli lepiej od innych więźniów i - w jakiejś przynajmniej mierze - sprawowali w łagrach realną władzę. Korałłow wyjaśnia na przykład, że Nikola zajmował "jedyne żelazne łóżko" w baraku, które ustawiono dla niego w narożniku. Nikt inny nie miał prawa na nim sypiać, a grono totumfackich szefa krążyło wokół, bacząc, by nikt nie pogwałcił tego zakazu. Łóżko "wodza"

osłanianie parawanem z koców, żeby nikt postronny nie niepokoił go swoim spojrzeniem; ścisłej kontroli podlegał również dostęp do strefy przyległej do jego legowiska. Więźniowie tej kategorii starali się, niejednokrotnie świadomie, zarobić wysokie wyroki, które stanowiły dla nich przedmiot dumy. Pisze o tym Korałłow: „Było kilku młodych chłopaków, którzy pragnąc podbudować swój prestiż, podejmowali pozbawione wszelkich szans próby ucieczek, wpadali i natychmiast dostawali kolejne dwadzieścia pięć lat za "sabotaż". Po przeniesieniu do innego obozu chwalili się swoimi - na przykład stuletnimi - wyrokami, co w myśl panujących w łagrach kryteriów moralnych czyniło z nich postaci wybitne”. Wysoki status więźniów kryminalnych czynił ich świat atrakcyjnym dla wielu, zwłaszcza młodszych, więźniów, przyjmowanych niekiedy do przestępczej wspólnoty po przejściu długich i wymyślnych obrzędów inicjacyjnych. Z obserwacji zebranych przez agentów tajnej policji oraz służby więziennej w latach pięćdziesiątych wynika, że nowo przyjęty do bractwa przysięgał, że będzie "godnym tego miana złodziejem" i zobowiązywał się przestrzegać rygorystycznych zasad obowiązujących w tym świecie. Rekomendujący go kryminaliści chwalili nowicjusza za "lekceważenie dyscypliny obozowej" i nadawali mu pseudonim. Wiadomość o "koronacji" rozsyłano - za pośrednictwem sprawnie działającej sieci wzajemnych kontaktów "błatnych" - do wszystkich obozów tak, że nawet po przeniesieniu nowo upieczonego

"urki" do innego łagpunktu nie tracił on swej pozycji. Z takim systemem zetknął się w 1946 roku Nikołaj Miedwiediew (nie mający nic wspólnego z moskiewskim historykiem), aresztowany jako nastolatek za kradzież zboża z kołchozu. Jeszcze w transporcie przygarnął go pod swoje skrzydła cieszący się wielkim autorytetem "wor w zakonie", a następnie stopniowo wprowadził w szeregi świata przestępczego. Po przybyciu do Magadanu Miedwiediewa wyznaczono do sprzątanía jadalni; była to praca lekka, mimo to jego mentor kazał mu ją natychmiast przerwać: "I nie pracowałem, tak samo jak nie pracowali pozostali złodzieje". Pracowali za niego inni więźniowie. Miedwiediew wyjaśnia, że administracji obozu nie interesowało, czy dany więzień pracuje, czy nie. "Liczyło się dla nich tylko jedno: kopalnia ma dawać złoto, tyle złota, ile się tylko da, a w obozie panować ma spokój". I - jak podkreśla z wyraźną aprobatą -

"urkowie" gwarantowali utrzymanie w łagrze porządku. Straty poniesione na ich dniówkach rekompensowała obozowi zawiązką utrzymywana przez nich dyscyplina. Miedwiediew dodaje, że jeśli ktoś pogwałcił czyjeś prawa, poszkodowany zwracał się ze skargą do "błatnych", a nie oficjalnych władz obozu. System ten -jego zdaniem - ograniczał przemoc i niesnaski w łagrze, które w innym wypadku byłyby zjawiskiem nagminnym.

Przedstawiona przez Miedwiediewa pozytywna ocena obozowych rządów

"urków" należy do wyjątków, po części z tej przyczyny, że opisuje ich świat od wewnątrz - "błatni", wśród których było wielu analfabetów, nie pisywali raczej wspomnień - przede wszystkim jednak dlatego, że autor wyraża się o nich z sympatią. Zdecydowana większość "klasycznych"

kronikarzy Gułagu - świadków terroru, jaki przestępcy zaprowadzili w obozach, oraz rabunków i gwałtów, jakich dopuszczali się na innych zekach - nienawidziła ich z całego serca. "Błatniacy to nie ludzie -

stwierdza bez ogródek Szałamow - ich wpływ na życie w łagrze jest wszechstronny i nie ma granic". Sołżenicyn pisze, że "ten właśnie zwykły, ludzki

świat, nasz świat z jego etyką, obyczajami i wzajemnymi stosunkami, jest dla

knajaków czymś najbardziej znieawidzonym, najbezczelniej wyśmiewanym, to

jemu właśnie przeciwstawiają oni swoją aspołeczną, antysocjalną ferajnę".

Metody, jakimi kryminaliści utrzymywali w łagrze "porządek", nad wyraz plastycznie opisuje Anatolij Żygulin, który siedząc kiedyś w pustej niemal stołówce, usłyszał odgłosy bójki dwóch więźniów walczących o łyżkę.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do jadalni wpadł ze swą świtą Dieziemia, starszy pomocnik głównego "suki" w Doku [kombinacie drzewnym]:

- Co to za krzyki? Co to za kłótnie? Nie wolno tak hałasować w stołówce

- Ale on zabrał moją łyżkę. Miałem całą, a on dał mi złamaną, związaną drutem

- Zaraz was pogodzę i ukarzę - śmiał się Dieziemia. I zrobił dwa błyskawiczne ruchy piką, wykluwając każdemu z kłócących się po jednym oku.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wpływ kryminalistów na życie obozu był

ogromny. Ich żargon - na tyle odmienny od ruszczyzny, że można go niemal uznać

za odrębny język - stał się niemal oficjalnym językiem łagru. Słownictwo tej

gwary, które zyskało sobie sławę z racji wyjątkowego bogactwa leksykalnego

i wymyślności przekleństw, zestawione i zbadane w latach osiemdziesiątych (było

wówczas niemal identyczne jak czterdzieści lat wcześniej) zawiera setki określeń

przedmiotów codziennego użytku (części garderoby, ciała ludzkiego, naczyń, narzędzi itp.) całkowicie odmiennych od ich nazw rosyjskich.

Obiekty szczególnego zainteresowania "urków" - pieniądze, prostytutki, złodziejstwo i złodzieje - mają dziesiątki synonimów. Obok ogólnych określeń przestępstwa (w tym po muzikie chodiť) istnieją w nim liczne pojęcia oznaczające różne rodzaje kradzieży - na przykład dierżať sadku (dosłownie "trzymać wysiadkę") - kraść na stacji kolejowej; marku dierżať (dosłownie "trzymać bilet") - kraść w autobusie; idti na szalnuju -

ukraść coś przypadkiem; diennik - kradzież dokonana w dzień; kluswieniuk - złodziej okradający cerkwie itd. Opanowanie grypsery -

"błatnego słowa", zwanego również "błatnoj muzikoj" - było jednym z rytów inicjacyjnych, przez który przeszli wszyscy niemal więźniowie, aczkolwiek niekoniecznie z własnej inicjatywy. Niektórzy po prostu osłuchali się ze złodziejskim slangiem. Jedna z więźniarek politycznych napisała później:

„W obozie tego rodzaju najtrudniej znieść wulgaryzmy, grubiaństwa i złorzeczenia [...], język, którym posługiwały się kryminalistki, był

obsceniczny ponad wszelkie pojęcie; miało się wrażenie, że kobiety te potrafią odzywać się do siebie tylko najbardziej poniżającymi i plugawymi słowami. Kiedy zaczynały miotać na siebie obelgi i wyzwiska, nienawidziłyśmy ich tak mocno, że często mówiłyśmy do siebie: "Nie podałam jej kropli wody, nawet gdyby zdychała"". Inni próbowali badać ów język naukowo. Już w 1925 roku jeden z więźniów Sołówek starał się ustalić źródła bogatego zasobu leksykalnego "błatnojęzyka"

w artykule napisanym dla "Sowieckich Ostrowów" - pisma wydawanego w obozie. Niektóre z pojęć - pisał - odzwierciedlają moralność złodziejską; na przykład

na poły obsceniczny, na poły ckliwo-sentymentalny sposób wyrażania się o kobietach. Inne mają znaczenie kontekstualne - "urki" używają na przykład czasownika stukat' w znaczeniu goworit' ("mówić"), co jest o tyle logiczne, że więźniowie porozumiewają się z kolegami z innych cel, pukając w ścianę. Ktoś inny zauważył, że wiele słów - na przykład szmon

- rewizja, czy frajer - nieurka (także "naiwniak") - wydają się zapożyczeniami z jidysz lub hebrajskiego, co świadczyłoby o roli, jaką Żydzi z Odessy - swego czasu stolicy rosyjskiego przemytu - odegrali w kształtowaniu się kultury podziemia przestępczego.

Od czasu do czasu władze obozowe próbowały wyeliminować błatne słownictwo

z życia codziennego. W 1933 roku komendant Dmitłagu polecił swoim podwładnym "podjąć niezbędne kroki" w celu zmuszenia więźniów - a także strażników

i personelu administracyjnego obozów - do zaprzestania porozumiewania się w języku złodziejskim, którego "używa się teraz powszechnie, nawet w oficjalnych listach i przemówieniach". Brak dowodów, by inicjatywa ta przyniosła jakieś rezultaty. "Urki" najwyższej rangi nie tylko porozumiewali się, ale i wyglądali inaczej niż wszyscy. Wydaje się nawet, że ich przynależność do odrębnej kasty bardziej niż język definiował

dziwaczny sposób ubierania się i równie niecodzienne upodobania estetyczne. W latach czterdziestych - jak twierdzi Szałamow - "błatniacy"

nosili "na Kołymie na szyi cynowe krzyże, co zresztą nie miało nic wspólnego z manifestacją przekonań religijnych. Był to rozpoznawczy znak zakonu". Moda jednak zmieniała się z upływem czasu: „W latach dwudziestych "błatniacy" nosili czapki personelu technicznego, wcześniej jeszcze "kapitanki". W czterdziestych latach zimą chodzili w kubankach, podginali cholewki walonek, a na szyi nosili krzyże. Krzyż zazwyczaj był

gładki, lecz jeśli natrafili na plastyków, zmuszali ich do wyrysowania igłą wzorów związanych z ulubionymi

motywami: sercem, kratą, krzyżem, nagą kobietą”. Georgij Feldgun -

również więzień obozów w latach czterdziestych - przypomina sobie, że

"błatnyje" mieli specyficzny sposób chodzenia: "małymi kroczkami, z lekko rozstawionymi nogami". Wstawiali sobie poza tym złote i srebrne koronki na zęby, co było w ich środowisku swego rodzaju modą. "Wor, ubrany wedle ostatniego krzyku mody A.D. 1943, przechadzał się w trzyczęściowym granatowym garniturze, ze spodniami wpuszczonymi w buty z chromowej skóry, w koszuli wystającej spod kamizelki i czapce głęboko nasuniętej na oczy. Pokrywały go tatuaże, najczęściej ekliwosentymentalnej treści: "Nigdy nie zapomnę mojej ukochanej matki". "Nie zaznasz w życiu szczęścia"". Tatuaże, o których wspominają i inni byli więźniowie łagrów, również wyróżniały "urków" od pozostałych więźniów skazanych za przestępstwa kryminalne, a poza tym określały ich funkcję w ramach swej społeczności. Z ustaleń jednego z historyków Gułagu wynika, że istniały odmienne tatuaże dla homoseksualistów, alkoholików oraz skazanych za gwałt i morderstwo. Sołżenicyn nie przebiera tak bardzo w słowach: „Ogorzałą skórę chętnie zdobią tatuażem, zaspokajając w ten sposób swoje artystyczne, erotyczne, a nawet etyczne potrzeby: na własnych piersiach, brzuchach i grzbietach podziwiać mogą wzajemnie - królewskie orły, siedzące nad urwiskiem lub zrywające się do podniebnych lotów; albo słońce w cieniu promieni; osoby płci obojga w trakcie kopulacji; poszczególne organy, służące tej rozrywce; ni stąd, ni zowąd - w okolicy

serca - podobiznę Lenina bądź Stalina albo obu naraz... Czasem zdrowy śmiech wzbudzi wizerunek zabawnego palacza, ładującego łopatą węgiel prosto do tyłka, albo mały uprawiającej samogwałt. Oglądając się wzajem, mogą też sobie poczytać hasła wprawdzie znane, ale tym miłsze, im częściej się je widuje: "Kurwo, drzyj, kij ci w ryj!" [...]. Albo taki napis na brzuchu knajaczki: "Pójdę choćby na stos za jeden dobry sztos!"

Thomas Sgovio, który jako zawodowy malarz szybko wciągnął się w uprawianie tego rzemiosła, pamięta, że jeden z więźniów poprosił go o wytatuowanie na piersi twarzy Lenina; wśród "urków" rozpowszechniona była wiara, że pluton egzekucyjny nigdy nie odda salwy do podobizny Lenina ani Stalina. Od pozostałych więźniów "błatnych" odróżniał

również rodzaj rozrywek i sposób spędzania wolnego czasu.

Skomplikowany rytuał otaczał ich rozgrywki karciane - zajęcie wysoce ryzykowne, zarówno dlatego, że grano o zawrotnie wysokie stawki, jak i z tej przyczyny, iż władze obozu surowo karały każdego, kto oddawał się temu zajęciu. Wydaje się jednak, że to właśnie ryzyko dla ludzi przywykłych do zajęć niebezpiecznych stanowiło - przynajmniej w jakiejś mierze -

o atrakcyjności gry. Dmitrij Lichaczow, obserwując "urków", zauważył:

"Porównywali swoje karciane emocje z uczuciem, jakiego doznają, popełniając przestępstwo". I rzeczywiście, "błatnym" udało się zniweczyć wszystkie podejmowane przez NKWD próby położenia kresu kartograistwu; rewizje i konfiskaty nie przynosiły żadnych trwałych efektów. Produkcją kart do gry, która w latach czterdziestych wzniosła się na poziom skomplikowanej sztuki, trudnili się wykwalifikowani

"eksperci". Pierwszym krokiem było pocięcie brzytwą arkusza papieru na identyczne, prostokątne kawałki, które - w celu usztywnienia - zlepiano następnie po sześć "klejem" otrzymywanym z precedzonego przez szmatę wilgotnego chleba. Sklejone karty układano na noc pod pryczą, żeby

wyschły. Następnie odbijano na nich symbole poszczególnych kolorów - służyły do tego specjalne stemple wycinane z denka blaszanego kubka. Piki i trefle barwiono popiołem, a jeśli w obozie dostępna była streptomycyna - czasami miał ją lekarz, którego można było przekupić lub zastraszyć - pojawiała się również możliwość wykonania "prawdziwych"

kierów i kar. Rytuał gry w karty to również jedna z metod zastraszania więźniów politycznych. Stawką w złodziejskiej partii kart mogły być pieniądze, chleb lub odzież, "zgrany do końca "urka" zaczynał stawiać chleb, pieniądze i ubrania innych więźniów". Herling-Grudziński spotkał

się z tą praktyką po raz pierwszy w stołypince, którą jechał na Syberię razem z innym, znajomym Polakiem, Szkłowskim, i kilkoma "urkami", w tym "gorylem, o płaskiej, mongolskiej twarzy". "Błatni" umilali sobie czas grą w karty. W pewnym momencie:

„[...] Goryl cisnął nagle karty, zeskoczył z górnej ławki i stanął przed Szkłowskim.

- Dawaj szynel - krzyknął - przegrałem go w karty.

Pułkownik otworzył zdumione oczy i nie zmieniawszy pozycji, wzruszył ramionami.

- Dawaj - zagrzmał po raz wtóry wściekły ryk - dawaj, "a to głaza wykoliu"! -

Szkłowski podniósł się powoli i oddał swój płaszcz.

Dopiero później, w obozie, pojąłem sens tej dziwacznej sceny. Gra o cudze rzeczy należy do najpopularniejszych rozrywek wśród "urków", a główna jej atrakcja polega na tym, że przegrywający ma obowiązek wyegzekwować od postronnego widza umówiony z góry przedmiot".

Jedna z więźniarek mieszkała w baraku, który w całości został

"przegrany" w karty. Po usłyszeniu tej wieści kobiety przez kilka dni z niepokojem, ale i "niedowierzaniem" oczekiwały, co stanie się dalej. W

końcu "urki" przypuściły nocą szturm na barak: "Powstało nieopisane zamieszanie - kobiety krzyczały i zawodziły pod niebiosa, dopóki nie przyszli z pomocą mężczyźni [...]. Ostatecznie skończyło się na niczym, ukradziono tylko kilka ubrań i zraniono starostę". Równie groźne konsekwencje gra w karty mogła mieć dla samych kryminalistów.

Gorbatow natknął się na Kołymie na złodzieja mającego tylko dwa palce u dłoni lewej ręki. Zapytany, co mu się stało, wyjaśnił:

„Grałem w karty i przegrywałem. Nie miałem już więcej pieniędzy, postawiłem więc na jedną kartę garnitur - nie mój, oczywiście, ale ten, który miał na sobie dopiero co przybyły "polityczny". Przegrałem.

Chciałem zabrać garnitur w nocy, kiedy nowicjusz pójdzie spać i zdejmie go. Temu, który wygrał,

miałem go oddać przed ósmą rano. Ale garnituru zabrać nie zdążyłem, gdyż "politycznego" tego samego dnia przeniesiono do innego obozu. A więc dług nie został spłacony. Zebrała się z tego powodu nasza rada starszych, aby wyznaczyć mi karę. Oskarżyciel zażądał, aby mnie pozbawić pięciu palców lewej dłoni. Rada zaproponowała dwa palce. Targ w targ i zgodzono się na trzy. Położyłem rękę na stole, oskarżyciel wziął lachę i pięciu uderzeniami zmiażdżył mi trzy palce.

I niemal z dumą dodał: "My też mamy swoje prawa, może nawet mocniejsze niż wasze. Zawiniłem wobec kolegów, musiałem ponieść karę".

Rzeczywiście,

rytuał złodziejskiej "rozprawy sądowej" był równie skomplikowany, jak obrzędy inicjacyjne "urków". Zwoływano specjalny trybunał, który po rozpatrzeniu sprawy wydawał wyrok - skazujący winnego na pobicie, upokorzenia, a niekiedy nawet na karę śmierci. Colonna-Czosnowski był kiedyś świadkiem długiej rozgrywki karcianej między dwoma wysokiej rangi "urkami", zakończonej tym, że jeden z nich

- zgrany do suchej nitki - zagrał na kredyt i po raz kolejny przegrał.

Zwycięzca zażądał od niego wyjątkowo upokarzającej formy spłaty długu

- kazał barakowemu

"artyście" wytatuować na twarzy rywala wielkiego penisa, wchodzącego mu w usta. Kilka minut później człowiek ten wypalił sobie tatuaż rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem, oszpecając się przy okazji na całe życie. Syn wybitnego działacza bolszewickiego, Anton Antonow-Owsiejenko, twierdzi, że natknął się w obozie na "głuchoniemego" -

złodzieja, który zgrał się w karty do tego stopnia, że przegrał również prawo posługiwania się mową na okres trzech lat i nie odważył się naruszyć tego zobowiązania, nawet kiedy przeniesiono go do innego obozu,

ponieważ każdy miejscowy "urka" doskonale wiedział o jego przypadku.

"Naruszenie takiej ugody karane jest śmiercią. Nikt nie może gwałcić prawa "urków".

Władze doskonale wiedziały o tego rodzaju obyczajach i czasami próbowały

interweniować - nie zawsze skutecznie. Na przykład w 1951 roku

"dintojra" skazała na śmierć złodzieja Juriłkina. Poinformowane o tym władze obozu przeniosły go najpierw do innego łagru, później do więzienia etapowego, a na koniec do kolejnego obozu w innej części kraju. Mimo to cztery lata później wytropiło go i zamordowało dwóch

"worów w zakonie". Skazano ich za to na śmierć i stracono, ale nawet tego rodzaju kara niekoniecznie musiała odstraszać innych. W 1956 roku prokuratura wystosowała pełen goryczy okólnik, w którym jest napisane, że „struktury przestępcze tego rodzaju istnieją we wszystkich obozach pracy poprawczej i często podjęte przez nie decyzje o zamordowaniu tego czy innego więźnia odbywającego wyrok w innym obozie wykonywane są tam bez mrugnięcia okiem". Przestępcze sądy kapturowe wydawały również wyroki na więźniów spoza społeczności "błatnych" - co skądinąd wyjaśnia, dlaczego tak się ich obawiano. Więziony w latach pięćdziesiątych Finkelstein opisuje jeden z tego rodzaju przypadków:

„Byłem świadkiem jednego zabójstwa, bardzo zresztą spektakularnego.

Wiesz, jak wygląda pilnik do metalu? Otóż taki pilnik, jeśli zaostrzyć go z jednego końca, to naprawdę śmiertelne narzędzie.

Mieliśmy "nanadczyka", to taki człowiek, który przydziela więźniom pracę - nie potrafię powiedzieć, na czym polegała jego wina. W każdym razie błatni zdecydowali, że należy go zabić. Odbyło się to podczas apelu, przed wyprowadzeniem na roboty. Każda brygada stała osobno; a przed nimi "nariadczyk". Nazywał się Kazachów - potężnie zbudowany, z wielkim brzuchem. Jeden z błatnych wyskoczył z szeregu i wbił mu w ten brzuch pilnik. Był to chyba zawodowy zabójca. Ujęto go natychmiast - ale okazało się, że ma dwudziestopięcioletni wyrok. Postawiono go przed sądem ponownie - dostał kolejne dwadzieścia pięć lat, ale kto by się tym przejmował". "Urki" jednak sporadycznie tylko wymierzały swoją

"sprawiedliwość" przedstawicielom obozowej administracji. Profesjonalni kryminaliści, aczkolwiek trudno nazwać ich lojalnymi obywatelami, byli na ogół skłonni wykonywać jedyne zadanie, jakie powierzyła im władza sowiecka - rządzić politycznymi, kategorią więźniów jeszcze bardziej -jak to ujęła Jewgienia Ginzburg - pogardzanych niż oni.

kontnki i bytowyje" - więźniowie polityczni skazani za przestępstwa pospolite

Zdefiniowanie i opis kasty zawodowych przestępców, posługującej się własnym

językiem, wyróżniającej odmiennym strojem i ściśle sformalizowaną subkulturą,

jest zadaniem stosunkowo prostym; znacznie trudniej o uogólnienia w odniesieniu

do pozostałych więźniów, stanowiących gros siły roboczej Gułagu; już choćby tylko z tej przyczyny, że wywodzili się oni z wszystkich warstw społeczeństwa

sowieckiego. Przez wiele, zbyt wiele, lat historycy Gułagu - wnioskujący z konieczności na podstawie pamiętników i wspomnień opublikowanych w większości poza granicami Związku Sowieckiego - mieli mocno wypaczony pogląd w podstawowej skądinąd kwestii: kim była przynajmniej większość więźniów sowieckiego systemu obozów pracy. Zbyt często nie zważano na to, że autorami owych wspomnień byli na

ogół intelektualiści, niejednokrotnie cudzoziemcy i niemal zawsze więźniowie

polityczni. Od roku 1989, kiedy Gorbaczow proklamował politykę głośności, badacze zyskali dostęp zarówno do znacznie bardziej zróżnicowanego materiału memuarystycznego, jak i części odtajnionych źródeł archiwalnych. Z tych ostatnich - jakkolwiek należy traktować je z dużą dozą ostrożności - wynika, że zdecydowaną większość zeków stanowili bynajmniej nie inteligenci, lecz robotnicy i chłopci. Na baczność uwagę zasługują zwłaszcza niektóre dane liczbowe z lat trzydziestych, kiedy łagry zaludniali przede wszystkim kulacy. Okazuje się, że w roku 1934 zaledwie 0,7 procent populacji Gułagu miało wykształcenie wyższe, a 39,1 procent podstawowe; jednocześnie 42,6 procent sklasyfikowanych zostało jako półanalfabeci, a 12 procent jako niepiśmienni. Nawet w roku 1938 - okresie największego terroru szalejącego w środowiskach intelektualnych Moskwy i Leningradu - odsetek więźniów łagrów mogących wylegitymować się wykształceniem wyższym wyniósł jedynie 1,1 procent. Ponad połowa miała wówczas wykształcenie podstawowe, a jedną trzecią stanowili półanalfabeci. Dane o ich pochodzeniu społecznym nie są dostępne, warto jednak zauważyć że w roku 1948 mniej niż jedna czwarta zeków należała do kategorii "politycznych" - to znaczy skazanych z artykułu 58 kodeksu karnego za przestępstwa "kontrrewolucyjne", co z grubsza odpowiada sytuacji z lat wcześniejszych. W okresie Wielkiej Czystki lat 1937-1938 odsetek "politycznych" wynosił jedynie 12-18

procent wszystkich więźniów; w latach wojny wahał się między 30 a 40

procentami, by w roku 1946 skoczyć do poziomu około 60 procent, co było rezultatem amnestii dla przestępców kryminalnych ogłoszonej z okazji zwycięstwa. Później - do końca epoki stalinowskiej - wskaźnik ten ustabilizował się na poziomie jednej czwartej-jednej trzeciej ogółu więźniów. Wziąwszy pod uwagę wyższy współczynnik rotacji więźniów niepolitycznych - którzy z reguły dostawali krótsze wyroki i częściej spełniali kryteria dające prawo do przedterminowego zwolnienia - można bez obawy stwierdzić, że w latach trzydziestych i czterdziestych większość ludzi, którzy przewinęli się przez Gułag, była robotnikami i chłopami skazanymi za przestępstwa natury kryminalnej. Liczby te -

choć pomocne w rewizji powszechnego w swoim czasie stereotypu -

same w sobie również mogą być mylące. Z obfitych źródeł

pamiętnikarskich nagromadzonych w Rosji po upadku Związku Sowieckiego wynika bezspornie, że sporej części "politycznych" nie sposób w istocie rzeczy uznać za więźniów politycznych w dzisiejszym rozumieniu tego pojęcia. W latach trzydziestych było jeszcze trochę prawdziwych trockistów, czyli rzeczywistych stronników Trockiego w jego sporze ze Stalinem. W dekadzie następnej po masowych aresztowaniach na Ukrainie, w państwach bałtyckich i Polsce do obozów napłynęła fala autentycznych partyzantów i działaczy antysowieckich, a na początku lat pięćdziesiątych aresztowano pewną liczbę studentów antystalinistów. Na pewno jednak zdecydowana większość setek tysięcy ludzi zaliczanych w łagrach do kategorii więźniów politycznych nie była ani dysydentami, ani odprawiającymi potajemnie msze święte duchownymi, ani nawet dygnitarzami partyjnymi. Byli to zwykli ludzie ogarnięci falą masowych aresztowań, nie mający niekiedy żadnych sprecyzowanych poglądów politycznych.

"Przed aresztowaniem żyłam jak normalny człowiek, typowa bezpartyjna sowiecka kobieta pracująca. Pracowałam ciężko, ale nie angażowałam się zanadto

ani w politykę, ani w życie publiczne. Interesował mnie przede wszystkim dom

i rodzina" - stwierdza Olga Adamowa-Sliozberg - swego czasu urzędniczka jednego z ministerstw przemysłowych. Tak jak "polityczni"

niekoniecznie byli więźniami politycznymi, więźniowie skazani za przestępstwa kryminalne wcale nie musieli być prawdziwymi kryminalistami. W łagrach rzeczywiście było trochę profesjonalnych przestępców i - w latach wojny - również pewna liczba autentycznych kolaborantów, zdecydowaną jednak większość zeków stanowili ludzie z wyrokami za "przestępstwa pospolite", których w innych krajach nie uznano by nawet za wykroczenia. Ojciec Aleksandra Lebiedia - generała i polityka rosyjskiego - dwa razy spóźnił się dziesięć minut do pracy w fabryce, za co skazano go na pięć lat łagru. W archiwach zaludnionego przeważnie przez więźniów kryminalnych obozu Krasnojarsk-26 (to tu zbudowano jeden z sowieckich reaktorów jądrowych) znajdują się akta personalne pewnego "kryminalisty", który dostał sześć lat za kradzież gumiaków na bazarze; inny otrzymał sześciolatek wyrok za kradzież dziesięciu bochenków chleba; innego jeszcze - kierowcę, wychowującego samotnie dwójkę dzieci - skazano na siedem lat za kradzież trzech butelek wina. Kolejny więzień dostał pięć lat za "spekulację", co w rzeczywistości oznaczało, że kupił papierosy w jednym miejscu, a odsprzedał je w innym.

Antoni Ekart wspomina o kobiecie aresztowanej za przywłaszczenie sobie ołówka z biura, w którym pracowała, ponieważ jej dziecko z braku czegokolwiek do pisania nie mogło odrabiać lekcji. W postawionym na opak świecie Gułagu więźniowie kryminalni byli - lub raczej nie byli -

kryminalistami, w równej mierze jak "polityczni" - aktywnymi wrogami ustroju. Innymi słowy "kryminaliści" nie zawsze musieli być winni rzeczywistych zbrodni. A jeszcze rzadziej obciążały "politycznych"

prawdziwe przestępstwa polityczne, co zresztą nie przeszkadzało sowieckiemu systemowi wymiaru sprawiedliwości starannie i drobiazgowo dzielić ich na różne kategorie. Status całej zbiorowości kontrrewolucjonistów był niższy niż więźniów kryminalnych - uważano ich, o czym już wspominałam, za "element socjalnie niebezpieczny", przez co bardziej niedopasowany do społeczności sowieckiej niż

"socjalnie bliscy" przestępcy kryminalni. Ale samych kontrrewolucjonistów również dzielono na różne kategorie, w zależności od tego, z którego paragrafu artykułu 58 KK zostali skazani. Jewgienia Ginzburg pisze, że dla "politycznego" zdecydowanie najlepiej było mieć wyrok z paragrafu 10 artykułu 58 za "agitację antysowiecką (antisowieckaja agitacyja, ASA). Więźniów z takimi wyrokami nazywano

"gadulami": mieli nieszczęście opowiedzieć antypartyjny dowcip albo niebacznie skrytykować Stalina czy nawet lokalnego kacyka partyjnego.

To, że "gaduly" nie popełniły nigdy żadnego przestępstwa, przyznawała nawet po cichu obozowa administracja, i też stosunkowo łatwiej było im uzyskać przydział do lepszej pracy. Poniżej "gadul" plasowali się skazani za "działalność kontrrewolucyjną (KRD - kontrrewolucyjnaja diejatielnost'), jeszcze niżej więźniowie z wyroku za "kontrrewolucyjną działalność terrorystyczną" (KRTD –

kontrrewolucyjna terroristiczesczaka diejatielnost'). W niektórych obozach dodatkowa litera "T" w aktach personalnych więźnia oznaczała zakaz przydzielania go do jakiejkolwiek pracy poza najcięższą kategorią "robót ogólnych" - wyrębu lasu, pracy w kopalniach i przy budowie dróg, zwłaszcza wówczas gdy miał wyrok dziesięciu, piętnastu lub więcej lat. Można było jednak znaleźć się jeszcze niżej; gwarantowała to kwalifikacja KRTTD oznaczająca najwyższy stopień kontrrewolucyjnej działalności terrorystycznej, a mianowicie

"trockistowską kontrrewolucyjną działalność terrorystyczną". Znane mi są przypadki, pisze Lew Razgon, kiedy dodatkowe "T" pojawiała się w obozowej dokumentacji z powodu sprzeczki z dyspozytorem lub naczelnikiem dyspozytorów - obu kryminalistami - podczas apelu. Ta niewielka zmiana mogła przesądzić o życiu lub śmierci więźnia, albowiem kierownik robót mógł przydzielić zeka, w którego aktach widniała adnotacja KRTTD, wyłącznie do najcięższych robót fizycznych. Zasady te nie zawsze były precyzyjnie określone; w praktyce więźniowie zawsze starali się ocenić panującą w danym obozie względną hierarchię wartości różnych kategorii wyroków i ustalić, jakie rzeczywiście ma to dla nich konsekwencje. Szałamow pisze, że gdy skierowano go na kurs przysposobienia medycznego - którego ukończenie pozwalało zostać felczerem, a stanowisko to było jedną z najbardziej atrakcyjnych i cieszących się wielkim prestiżem funkcji w obozie - zaczął obawiać się, że kwalifikacja wyroku, na jaki go skazano, może mu uniemożliwić jego ukończenie: "Czy przyjmują pięćdziesiąty ósmy? Tylko 10 punkt. A co ma mój sąsiad ze skrzyni samochodu? Także dziesiąty "ASA". Inicjały

"antysowieckiej agitacji". Pozycji "politycznego" w hierarchii społecznej obozu nie wyznaczała jednak wyłącznie oficjalna sentencja wyroku.

Kategoria więźniów politycznych - mimo że nie obowiązywał w niej sztywny kodeks norm i zachowań właściwy "urkom" -

również nie była jednolita i dzieliła się na liczne podgrupy o różnym statusie. Nieformalne frakcje więźniów politycznych kształtowały związki przyjacielskie i towarzyskie lub zawiązywały się w celach samoobrony; w niektórych wypadkach

dominującą rolę odgrywały kryteria światopoglądowe. Granice między nimi nie

były sztywne, kręgi powiązań wzajemnych często nakładały się na siebie, a czasami również na podobne, nieformalne koterie więźniów niepolitycznych. W niektórych obozach podziałów takich nie było w ogóle, ale tam gdzie istniały, mogły w znacznej mierze przesądzić o tym, czy więźniowi uda utrzymać się przy życiu. Najbardziej elementarnymi kryteriami, na których podstawie powstawały największe i najbardziej w konsekwencji wpływowe "klany" więźniów politycznych, były narodowość lub miejsce urodzenia. Szczególnej wagi nabrały one w latach powojennych, kiedy drastycznie wzrosła liczba więzionych w łagrach obcokrajowców. Frakcje narodowościowe powstawały w sposób niejako naturalny. Przybyły do obozu nowy więzień natychmiast zaczynał szukać w nim rodaków. Walter Warwick jeden z "amerykańskich Finów", którzy trafili do łagrów u schyłku lat trzydziestych, opisuje mechanizm powstawania "klanów fińskojęzycznych", które tworzyły się samorzutnie, głównie w celu samoobrony przed rabunkami i aktami

gwałtu ze strony profesjonalnych kryminalistów: "Doszliśmy do wniosku, że jeśli

chcemy trochę od nich wytchnąć, musimy się zjednoczyć. I tak zorganizowaliśmy własną paczkę, żeby pomagać sobie nawzajem. Było nas sześciu: dwóch Finów amerykańskich, dwóch Finów fińskich i dwóch Finów leningradzkich".

Nie każda grupa "narodowa" miała rzeczywiście jednolity etnicznie charakter. Istniały różne możliwości wyboru. Na przykład Żydzi mogli tworzyć sieć własnych powiązań klanowych lub zadeklarować się jako Rosjanie (czy też, jak w przypadku znacznej liczby Żydów polskich, Polacy). W różnych okresach dokonywano różnych wyborów, które w znacznej mierze zależały od aktualnych uwarunkowań. Wszystko wskazuje, że wielu Żydów z górnej warstwy partyjnej i wojskowej nomenklatury sowieckiej, aresztowanych pod koniec lat trzydziestych, uważało się przede wszystkim za "komunistów", Żydami byli dopiero w drugiej kolejności. Jak ujął to jeden z byłych więźniów, w obozach

"wszyscy stawali się Rosjanami - narody kaukaskie, Tatarzy i Żydzi".

Później, kiedy do łagrów wraz z Polakami napłynęło znacznie więcej Żydów zaczęli oni tworzyć własne struktury etniczne. Ada Federolf, autorka wspomnień obozowych napisanych wspólnie z córką Mariny Cwietajewej - Ariadną Efron - opisuje jeden z łagrów, w którym szwalnię

- komfortowym wedle standardów miejscem pracy - kierował niejaki Lieberman. Po przyjeździe każdego kolejnego transportu mieszał się on z tłumem nowo przybyłych więźniów i głośno wykrzykiwał: "Są jacyś Żydzi, są jacyś Żydzi?". A jeśli byli - brał ich do pracy w warsztacie, ratując tym samym od skierowania na roboty ogólne. Lieberman wymyślał

również różne metody pomocy rabinom. Jednego z nich trzymał w specjalnie w tym celu zbudowanej komórce, dzięki czemu nikt nie widział, że człowiek ten nie pracuje; dla innego wymyślił specjalny etat

"kontrolera jakości", co pozwalało rabinowi przez cały dzień przechadzać się po szwalni, uśmiechać miło do pracujących w niej kobiet i modlić się półgłosem.

W początku lat pięćdziesiątych, kiedy w Związku Sowieckim znacznie nasilił

się antysemityzm oficjalny, podsycany obsesją Stalina przekonanego, że próbują

go zamordować żydowscy lekarze, być Żydem znów stało się trudniej. Ale nawet

wówczas skala antysemityzmu była w każdym obozie inna. Ada Puriżynska, Żydówka aresztowana w szczytowym momencie sprawy

"spisku lekarzy" (jej brat został skazany na śmierć i stracony za

"zawiązanie spisku mającego na celu zamordowanie Stalina"), uważa, że

"bycie Żydem nie stanowiło specjalnego problemu". Odmiennego zdania jest natomiast Leonid Truś -

również jeden z aresztowanych w tym czasie Żydów - który twierdzi, że przed napaściami fanatycznego antysemitę aresztowanego za handel ikonami obronił go pewien stary Żek. Tylko krzyknął - który "skupujesz i sprzedajesz wizerunki Chrystusa", sam powinieneś

się wstydzić. Z drugiej strony Truś nie próbował nawet ukrywać swojego żydowskiego pochodzenia, przeciwnie, oznakował nawet buty gwiazdą Dawida, głównie z tego zresztą powodu, by nikt mu ich nie ukradł. W

obozie "Żydzi, podobnie jak Rosjanie, nie tworzyli odrębnych, zorganizowanych grup". To powodowało, że Truś nie miał w obozie kolegów. "Najgorsze było dla mnie [...] uczucie osamotnienia, świadomość, że jestem jedynym Żydem wśród Rosjan - wszyscy mieli jakichś znajomych, krajan, tylko ja byłem samotny jak palec".

Silnych struktur klanowych nie tworzyli również więźniowie z Europy Zachodniej i Amerykanie - byli zbyt nieliczni. Nie mieli też większych możliwości pomagania sobie wzajemnie; wielu zupełnie nie radziło sobie w obozach, byli kompletnie zagubieni, nie znali rosyjskiego, nie byli zdolni przełknąć tego, co dawano im do jedzenia, ani znieść panujących w łagrze warunków bytowych. Rosyjska więźniarka Nina Hagen-Thorn była świadkiem śmierci całej grupy Niemek,

które zmarły w obozie tranzytowym we Władywostoku, choć pozwolono im nawet

pić przegotowaną wodę. "Przyzwyczajeni do tego rodzaju pożywienia obywatele

sowieccy mogli żywić się soloną rybą, nawet stęchlą. Ale kiedy w obozie pojawił

się duży transport aresztowanych członków III Międzynarodówki, wszyscy co do

jednego zapadli na ciężką dyzenterię". Ze współczuciem wspomina również cudzoziemców Lew Razgon: "Nigdy nie byli w stanie nauczyć się języka ani zasymilować; nie próbowali przystosować się do warunków ani walczyć o przeżycie.

Po prostu instynktownie trzymali się razem". To jednak, że się było

"człowiekiem z Zachodu" - do kategorii tej zaliczano również Polaków, Czechów i obywateli innych krajów Europy Środkowo-wschodniej - miało też i swoje dobre strony. "Zapadnicy" budzili powszechne zainteresowanie, co niejednokrotnie przynosiło wymierne korzyści w postaci nowych kontaktów, prezentów i bardziej uprzejmego traktowania.

Antoni Ekart, Polak wykształcony w Szwajcarii, dostał na przykład miejsce w szpitalu dzięki protekcji sanitariusza Ackermana, który sam pochodził z Besarabii. "Fakt, że jestem z Zachodu, upraszczał wiele spraw" - każdy interesował się "zapadnikami" i chciał mu pomóc. Flora Leipman, Szkotka, której ojczym namówił całą rodzinę na wyjazd do Związku Sowieckiego, popisywała się swą "szkockością", by zabawić współwięźniów: „Podkasałam spódnicę powyżej kolan, żeby wyglądała jak kilt, zwinęłam pończochy tak, żeby przypominały podkolanówki; na szkocką modłę zarzuciłam na plecy koc i przywiesiłam z przodu czapkę -

co miało udawać sporran. Głos drżał mi z dumy, kiedy śpiewałam Anne-Laurie, Ye Banks and

Braces o'Bonnie Doon. Występ kończyłam zawsze hymnem Boże, chroń króla - słów nie tłumaczyłam". Ekart pisze, że również czuł się "obiektem zainteresowania" inteligentów rosyjskich:

„Podczas umówionych zawczasu potajemnych spotkań z kilku najbardziej zaufanymi z ich grona opowiadałem o swoim życiu w Zurychu, Warszawie, Wiedniu i innych miastach zachodnioeuropejskich. Starannie badano moją sportową marynarkę z Genewy,

jedwabne koszule -jako jedyne materialne dowody wysokiego standardu życia poza

granicami świata komunizmu. Niektórzy jawnie manifestowali swoje niedowierzanie,

kiedy powiedziałem, że wszystko mogłem bez trudu kupić za pensję młodszego inżyniera w cementowni.

- Ile miałeś garniturów? - spytał mnie pewien agrotechnik.

- Sześć czy siedem.

- Łesz - odparł jakiś dwudziestopięcioletni, na oko, młodzieniec. -

Dlaczego tolerujemy te fantastyczne bajeczki? Wszystko ma swoje granice. Nie jesteśmy w końcu dziećmi - zwrócił się do pozostałych.

Musiałem się mocno nagimnastykować, żeby wyjaśnić im, że na Zachodzie o swój wygląd troszczy się każdy zwykły człowiek, tłumaczyłem, że kilka garniturów ma się dlatego, że nosząc je na zmianę łatwiej utrzymać je w przyzwoitym stanie. Dla rosyjskiego inteligenta, który rzadko kiedy miał więcej niż jeden garnitur, była to rzecz trudna do pojęcia". John Noble, Amerykanin aresztowany w Dreźnie, został "VIP-em Workuty" i zabawiał współwięźniów opowieściami o życiu w Stanach Zjednoczonych, które ci ostatni uważali za całkowicie zmyślane. "Johnny

-

powiedział mi jeden z zeków - czy ty rzeczywiście chcesz nam wmówić, że amerykańscy robotnicy mają własne samochody?". To, że się było cudzoziemcem, budziło wprawdzie podziw, z drugiej strony jednak utrudniało nawiązanie bliższych kontaktów, a te w obozach znaczyły bardzo wiele. Leipman pisze, że "obawiali się mnie nawet moi nowi obozowi "przyjaciele", ponieważ wyglądałam jak cudzoziemka". Ekart cierpiał katusze, będąc jedynym więźniem nie-Rosjaninem w całym łagpunkcie, ponieważ ani on nie darzył sympatią Rosjan, ani oni jego:

"Otaczała mnie atmosfera niechęci, wręcz wrogości [...]. Nie podobało im się, że nie jestem taki jak oni. Na każdym kroku wyczuwałem ich nieufność i okrucieństwo, złą wolę i wrodzoną wulgarność. Spędziłem wiele bezsennych nocy, broniąc siebie i mego dobytku". Również i to zjawisko sięga czasów znacznie wcześniejszych. Z tego co o wzajemnych stosunkach między Polakami a rosyjskimi kryminalistami mówił

Dostojewski, wynika, że dziewiętnastowieczni odpowiednicy Ekarta czuli i myśleli niemal to samo co on: "Polacy (mówię wyłącznie o przestępcach politycznych traktowali ich z wyrafinowaną,

obraźliwą grzecznością, byli nader powściągliwi i w żaden sposób nie mogli ukryć wstrętu, jaki żywili dla więźniów, ci zaś rozumieli to doskonale i płacili pięknym za nadobne".

W jeszcze gorszej sytuacji byli muzułmanie i inni więźniowie z Azji Centralnej oraz niektórych republik kaukaskich. W obozach czuli się tak samo zagubieni

jak obywatele państw zachodnich, nie budzili natomiast żadnego szczególnego zainteresowania Rosjan ani też nie potrafili dostarczyć im żadnej rozrywki. Nazywano ich nacmieny, a trwałym elementem pejzażu obozowego stali się u schyłku

trzeciej dekady XX wieku. Wielu z nich, aresztowanych w trakcie pacyfikacji i

sowietyzacji Azji Środkowej oraz północnego Kaukazu, pracowało przy budowie

Kanału Białomorskiego. "Trudno im z czymkolwiek się pogodzić - z ludźmi, którzy wydają im polecenia, z kanałem, który budują, i z jedzeniem, którym ich karmią" - pisał o nich jeden ze współczesnych. Po roku 1933 budowali również kanał Moskwa-Wołga i przyznać trzeba, że komendant obozu okazał im wiele zrozumienia i współczucia. W pewnym momencie kazał swoim podwładnym budować dla "nacmienów" osobne baraki i tworzyć z nich odrębne brygady, żeby przynajmniej mogli żyć i pracować w otoczeniu rodaków. Herling-Grudziński który spotkał ich później w jednych z "leśnych" łagrów na Północy, pisze, że „o 10 wieczór gromadzili się przy budynku obozowego lazaretu, czekając na lekarza, trzymając się już w poczekalni za brzuchy, wybuchali od progu przepierzenia żalosnym skomleniem, w którym jęków bólu nie można odróżnić było od łamanej cudacznie ruszczyzny. Nie było na ich chorobę lekarstwa... Umierali z tęsknoty za krajem rodzinnym - z głodu, mrozu i monotonnej bieli śniegu. Ich przymrużone, skośne oczy nienawykłe do krajobrazu Północy, łzawiły nieustannie i zarastały na rzęsach żółtym pasemkiem ropy. W rzadkie dni wolne od pracy Uzbegy, Turkmeni i Kirgizi zbierali się we wspólnym kącie baraku, przyodziani odświętnie w kolorowe chałaty z jedwabiu i wzorzyste jarmułki. Nie można było nigdy odgadnąć, o czym rozmawiają z tak niezwykłym ożywieniem - gestykulując, przekrzykując się nawzajem i kiwając smętnie głowami - ale to pewne, że nie o obozie”.

Niewiele lepiej wiodło się Koreańczykom, po większej części obywatelom sowieckim narodowości koreańskiej, i Japończykom, których 600 tysięcy trafiło pod koniec wojny do Gułagu i obozów jenieckich. Największą katuszą dla Japończyków były racje żywnościowe; skąpe i całkowicie dla nich niejadalne. Z konieczności łapali i jedli różne stworzenia, których z kolei nie mogli przełknąć współwięźniowie - dziko rosnące zioła, owady, karaluchy, węże i grzyby takich gatunków,

jakich nie ośmieliłby się tknąć nawet Rosjanin. Czasami kończyło się to tragicznie, zachowały się informacje o Japończykach, którzy zmarli po zjedzeniu trujących traw i dziko rosnących ziół. Pewne wyobrażenie o poczuciu straszliwego

osamotnienia i izolacji, jakich doznawali więźniowie w łagrach Japończycy, daje relacja pewnego Rosjanina, który ofiarował jednemu z nich broszurę z japońskim

tekstem przemówienia Zdanowa (natknął się na nią przypadkiem w obozowej bibliotece): "Po raz pierwszy widziałem go rzeczywiście szczęśliwego. Później powiedział mi, że czytał ten artykuł

codziennie - po prostu po to, by zachować kontakt z językiem ojczystym". Niektóre inne narody wschodnioazjatyckie miały najwyraźniej lepsze zdolności dostosowawcze. Liczni autorzy wspomnień z Gułagu twierdzą, że w wielu obozach działały dobrze zorganizowane, hermetycznie zamknięte grupy Chińczyków - po części urodzonych w ZSRS obywateli sowieckiej narodowości chińskiej, po części pracujących tu w latach dwudziestych na kontraktach imigrantów, a także nieszczęśliwych, którym przydarzyło się przekroczyć przypadkiem długą granicę chińsko-sowiecką. Jeden z więźniów dowiedział się od współwięźnia - Chińczyka - że aresztowano go, ponieważ przeprawił się na drugą stronę Amuru urzeczony widokiem sowieckiego brzegu tej rzeki: "Drzewa okryte zielonymi i złotymi liśćmi

[...], step wyglądał tak pięknie! I nikt z tych, co przeszli granicę, nigdy nie wracał. Byliśmy przekonani, że musi im się tam żyć dobrze, no i sami postanowiliśmy przejść na drugą stronę. Minutę później nas aresztowano; oskarżyli nas z artykułu 58, punkt 6 - szpiegostwo. Dziesięć lat". Dmitrij Pamn - obozowy kolega Sołżenicyna - pisze, że Chińczycy "rozmawiali tylko ze sobą. Kiedy pytaliśmy ich o coś, udawali, że nic nie rozumieją".

Śtajner przypomina sobie, że bardzo sprawnie załatwiali dla siebie atrakcyjne stanowiska pracy: "W całej Europie Chińczycy słyną jako żonglerzy; w obozach zatrudniano ich w pralniach. Nie pamiętam, by we wszystkich łagrach, przez które przeszedłem, ktokolwiek poza nimi pracował w pralni". Zdecydowanie najsprawniej działające i cieszące się w obozach największym wpływem "ziomkostwa narodowe" tworzyli jednak Bałtowie i zachodni Ukraińcy, którzy masowo zaludnili łagry sowieckie po zakończeniu drugiej wojny (patrz rozdział dwudziesty).

Mniej liczni, ale równie wpływowi byli Polacy zwłaszcza członkowie podziemia, którzy pojawili się w obozach po roku 1945 oraz Czeczeni, opisywani przez Sołżenicyna jako "naród, który nie uznawał

żadnych

ustępstw wobec psychologii pokory i który pod wieloma względami odbiegał od

innych narodów kaukaskich". Siła tych grup etnicznych była pochodną zarówno

ich liczebności, jak zdecydowanej woli oporu wobec Związku Sowieckiego,

którego najazd na ich kraje i ich okupację uważali za bezprawną. Polacy, Bałtowie i Ukraińcy, którzy znaleźli się w łagrach po wojnie, mieli również

doświadczenie w walce na frontach i w partyzantce; w niektórych wypadkach

struktury ich organizacji podziemnych działały nadal w obozach. Tuż po wojnie

sztab generalny Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) wydał do wszystkich deportowanych i zesłanych do armii rodaków odezwę następującej treści: "Gdziekolwiek się znaleźliście: w kopalniach, lasach czy obozach, pamiętajcie zawsze, że byliście, pozostajcie prawdziwymi Ukraińcami i nie zaprzestawajcie walki". Więźniowie w obozach byli żołnierze podziemia pomagali

sobie nawzajem i

troszczyli się o nowo przybyłych do łagru rodaków. Adam Galiński, delegat

rządu, pisze: "Specjalną troską otaczaliśmy młodzież z AK, staraliśmy się podtrzymać jej morale, które i tak stało w jaskrawym kontraście z poniżającą atmosferą moralnego upadku, przeważającą wśród innych więzionych w Workucie grup etnicznych". W latach późniejszych, po uzyskaniu większego wpływu na porządki panujące w obozach, Polacy, Bałtowie i Ukraińcy - tak samo jak Ormianie, Gruzini i Czeczeni -

tworzyli własne brygady robocze, spali w oddzielnych barakach i urządzali uroczyste obchody świąt narodowych. Bywało, że "klany"

etniczne współpracowały ze sobą. Aleksander Wat wspomina, że Polacy i Ukraińcy, którzy w czasie wojny walczyli ze sobą zażarcie o każdy metr kwadratowy zachodniej Ukrainy w więzieniach sowieckich odnosili się do siebie: "z rezerwą, ale z niesłychaną solidarnością. Jesteśmy wrogami, ale nie tu". Niekiedy "klany" toczyły walkę konkurencyjną - między sobą i wspólnie z Rosjanami. Ludmiła Chaczatrian, którą aresztowano za romans z żołnierzem jugosłowiańskim, pamięta, że Ukraińcy odmawiali wspólnej pracy z Rosjanami. Narodowe grupy - potwierdza to spostrzeżenie inny obserwator - "charakteryzowała z jednej strony wrogość wobec reżimu, z drugiej nienawiść wobec Rosjan". Według Edwarda Bucy była to ksenofobia: "Tylko wyjątkowo zdarzało się, by ktoś pomógł więźniowi innej narodowości". Chociaż Paweł Niegrietow twierdzi, że w tym samym mniej więcej czasie w Workucie odnosił wrażenie, że poszczególne narodowości szły raczej ręką w rękę, chyba że padły ofiarą prowokacji ze strony władz obozu: "Ich informatorzy starali się [...]

wywołać między nami niesnaski". W latach czterdziestych zdarzało się, że

"klany" etniczne, które de facto przejęły z rąk "urków" rolę swego rodzaju policji obozowej, walczyły ze sobą o wpływy. "Zaczęli walczyć o władzę

- pisze Marlen Korałłow - a władza znaczyła wiele; na przykład ogromną rolę odgrywało, kto rządzi kantyną, ponieważ kucharz zawsze był

posłuszny swemu panu". Według niego, delikatną równowagę między zorganizowanymi grupami etnicznymi mogło kompletnie zniszczyć pojawienie się w obozie nowego transportu więźniów. Na przykład przybywający do obozu Czeczeni wpadali do baraków i "zrzucali cały nasz dobytek na niższe prycze albo na podłogę"- dolny poziom prycz zarezerwowany był dla "plebsu" - "i wprowadzali się na górę razem ze swoimi rzeczami". Leonid Sitko, więzień niemieckiego obozu jenieckiego, który został aresztowany natychmiast po przekroczeniu granicy sowieckiej, był pod koniec lat czterdziestych świadkiem znacznie poważniejszego starcia między Czeczenami, Rosjanami i Ukraińcami.

Spór zaczął się od kłótni między brygadzystami i szybko przerodził "w wojnę, wojnę na pełną skalę". Czeczeni przypuścili atak na barak rosyjski, po obu stronach było wielu rannych. Prowodatorów rozruchów ujęto i osadzono w izolatorze. Spory toczyły się wprawdzie o władzę w obozie, ale ich podłożem były, jak się wydaje, animozje narodowe. "Bałtowie i Ukraińcy stawiali znak równości

między Rosjanami i Sowieci. Inna rzecz, że w obozie było aż nadto Rosjan, którzy nie dopuszczali do tego, by przestać ich uważać za okupantów i złodziei". Pewnego razu, w środku nocy, Sitce złożyła wizytę grupa Ukraińców: „- Masz ukraińskie nazwisko - powiedział. - Jesteś zdrajcą? Wyjaśniłem, że wychowałem się na północnym Kaukazie, i nie wiem, dlaczego noszę ukraińskie nazwisko.

Posiedzieli chwilę, a potem sobie poszli. Mogli mnie zabić - mieli nóż”.

Jedna z więźniarek, która skądinąd twierdzi, że antagonizmy narodowe nie stanowiły "większego problemu", dodaje pół żartem, pół serio, że nie odnosi się to do Ukraińców, którzy najzwyczajniej w świecie

"nienawidzili wszystkich". Zabrzmieć to może dziwnie, ale jedyną niezorganizowaną wedle kryteriów etnicznych grupą narodową byli Rosjanie, którzy - co potwierdzają statystyki - na każdym etapie historii Gułagu zdecydowanie dominowali w obozach. Tworzyli oni natomiast coś w rodzaju "ziomkostw", wspólnot ludzi pochodzących z tego samego miasta czy regionu kraju - moskwiczanie garnęli się w obozach do innych moskwiczian, leningradczycy - leningradczyków itd. Na przykład Władimirowi Pienowowi bardzo pomógł pewien lekarz, który w pewnym momencie spytał:

- Kim pan był - przedtem?

- Studiowałem w Leningradzie.

- A, znaczy się krajan, bardzo dobrze - powiedział lekarz i klepnął mnie w plecy.

Najlepiej zorganizowani i najbardziej wpływowi byli często moskwiczanie.

Truś pisze, że w jego obozie starsi mieszkańcy Moskwy tworzyli zwartą, solidarną

koterię, do której go nie dopuszczono. Nawet kiedy chciał pożyczyć książkę z biblioteki, musiał długo przekonywać należącego do tej sytuacji bibliotekarza, że można mu ją powierzyć. Częściej jednak związki te były raczej dość słabe i nie zapewniały więźniom niczego poza możliwością porozmawiania z ludźmi, którzy mieszkali na tej samej co oni ulicy albo skończyli tę samą szkołę. Inne grupy etniczne tworzyły często rozbudowane systemy pomocy wzajemnej, pomagały przybywającym do obozu rodakom znaleźć przyzwoite miejsce w baraku i lżejszą pracę -

Rosjanie nie. Ariadna Efron pisze, że po przyjeździe do Turuchańska, dokąd ją i grupę innych więźniów zesłano po zwolnieniu z obozu, transport powitało liczne grono mieszkających już w tym mieście zesłańców:

"Jakiś Żyd wziął na stronę Żydówkę z naszej grupy, dał

jej chleb i tłumaczył, jakie tu panują obyczaje i co ma dalej robić. Gruzini witali Gruzinów - i po chwili okazało się, że na peronie zostali tylko Rosjanie - mniej więcej piętnastoosobowa grupa. Nikt po nas nie wyszedł, nikt nie dał nam chleba, nikt nie pomógł dobrą radą”. Społeczność rosyjska nie była do tego całkowicie homogeniczna - podstawowym wyznacznikiem podziałów były jednak nie kryteria regionalne czy etniczne lecz ideologiczne. Nina Hagen-Thorn pisze, że "zdecydowana

większość więźniarek uważała swój tragiczny los za nieszczęśliwy zbieg okoliczności i nie próbowała dociekać ich przyczyn". Znacznie łatwiej było tym, którzy "potrafili znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co się stało i w nie uwierzyć". Najczęściej udawało się to komunistom - więźniom, którzy konsekwentnie obstając przy swej niewinności, pozostawali nadal głęboko lojalni wobec Związku Sowieckiego i - wbrew oczywistym faktom - byli przekonani, że wszyscy oprócz nich to prawdziwi wrogowie, od których należy trzymać się z daleka: "Wyszukiwali się i trzymali razem, byli

"czyści", byli prawdziwymi ludźmi sowieckimi, a wszystkich innych uważali za kryminalistów" - wspomina Anna Andriejewa. Susanna Pieczuro, którą przewieziono do Mińłagu w początku lat pięćdziesiątych, pamięta, że "Rosjanie siedzieli w kącie i powtarzali sobie nawzajem: "Jesteśmy uczciwymi ludźmi sowieckimi, niech żyje Stalin, jesteśmy

niewinni, a nasze państwo uwolni nas od towarzystwa wszystkich tych wrogów"".

Zarówno Pieczuro, jak też więziona w tym samym mniej więcej czasie w Kengirze Arginska potwierdzają, że przeważająca większość tej grupy należała do grona wyższych funkcjonariuszy partyjnych, aresztowanych w 1937 lub 1938 roku. Byli to przeważnie ludzie starsi; Arginska pamięta, że odsyłano ich często do obozów dla inwalidów, gdzie nadal jeszcze przebywała znaczna liczba więźniów aresztowanych w tych latach.

Niezlomną wiarę w ideały rewolucji zachowała z początku Łarina, żona Bucharina. Jeszcze w więzieniu napisała wiersz ku czci rocznicy rewolucji październikowej:

Mimo że cierpiąc męki skazańca

siedzę za żelaznymi kratami

Świętuję wraz ze szczęśliwym

Moim ojczystym krajem

I dzisiaj wierzę od nowa Że

powrócę znowu do życia

I znów z komsomolcami

Iść będę przez plac Czerwony.

Łarina uznała później ten wiersz za "bredzenie szaleńca", ale wówczas odczytała go z dumą żonom "starych bolszewików". Poezja Łariny

"wzruszyła je do łez".

Sołżenicyn poświęcił cały rozdział Archipelagu Gułag komunistom, których

niezbyt wyrozumiałe nazywa "prawomyślnymi". Sołżenicyn nie może wyjść ze

zdumienia, że ludzie ci potrafili tłumaczyć wszystko - nawet to, że ich aresztowano, torturowano i skazano - "zręczną intrygą zagranicznych wywiadów", "monstrualnym szkodnictwem", "wybrykami lokalnych enkawudzistów" albo "zdradą".

Niektórzy sięgali nawet po argumenty cięższego jeszcze kalibru: "Te wszystkie represje są koniecznością historyczną, koniecznym etapem ewolucji naszego społeczeństwa". Niektórzy z "wiernych" również pisali wspomnienia, publikowane później skwapliwie przez oficjalne wydawnictwa sowieckie. „Powieść o pierieiytom” Borisa Dżakowa, opublikowaną w miesięczniku "Oktjabr", poprzedzono następującym uprowadzeniem: "Siła prozy Dżakowa polega na tym, że pisze on o najlepszych ludziach sowieckich, prawdziwych komunistach. W

najcięższych warunkach nie utracili poczucia człowieczeństwa, dochowali wierności ideałom partii i pozostali oddani ojczyźnie". Jeden z bohaterów Dżakowa, Todorski opisuje, jak pomógł pewnemu młodszemu lejtnantowi NKWD napisać wykład o historii partii. Todorski zwierza się również obozowemu oficerowi służby bezpieczeństwa, majorowi Ikowlewowi, że mimo niesprawiedliwego wyroku nadal uważa się za prawdziwego komunistę: "Nie jestem winien żadnej zbrodni przeciwko władzy sowieckiej. Dlatego byłem i jestem komunistą". Major radzi mu, by się tym za bardzo nie przechwalał: "Po co o tym krzyczeć? Czy myślicie, że wszyscy w obozie kochają komunistów?". Istotnie, nie wszyscy ich kochali, podejrzewano ich często o tajną współpracę z władzami obozu.

Pisząc o Dżakowie, Sołżenicyn zwraca uwagę, że w jego pamiętnikach czegoś zdaje się brakować. "Za co takie fawory?" - pyta, gdy obozowy pełnomocnik służby bezpieczeństwa, Sokowikow, godzi się wysłać korespondencję Dżakowa z pominięciem cenzury. "Skąd taka przyjaźń?". I rzeczywiście, z archiwów wynika, że Dżakow przez całe życie był

agentem tajnej policji o pseudonimie "Dzięcioł" i nie przestał być nim również jako więzień obozów. Siłą wiary przewyższali komunistów jedynie starowiercy i członkowie różnych rosyjskich sekt protestanckich, którzy również padli ofiarą prześladowań

politycznych - baptyści, świadkowie Jehowy oraz wyznawcy innych odmian rabskiego protestantyzmu. Była to grupa widoczna zwłaszcza w łagrach kobiecych, gdzie sekciarki określano zbiorowym mianem

"monaszki" - zakonnice, mniszki. Jedna z więźniarek osadzonych w drugiej połowie lat czterdziestych w kobiecym obozie w Mordwie Anna Andriejewa pisze, że "więźniarki były przeważnie kobietami wierzącymi"

i pomagały sobie wzajemnie tak, że "w święta katolickie pracowały prawosławne i vice versa". Wspominałam już wcześniej, że niektórzy sekciarze kategorycznie odmawiali wszelkich form współdziałania z

"sowieckim szatanem"; nie wychodzili do pracy i nie podpisywali żadnych oficjalnych dokumentów. Hagen-Thorn wspomina o pewnej przedterminowo zwolnionej kobiecie, która nie chciała opuścić łagru. "Nie uznaję waszych rządów" - oświadczyła strażnikowi, który usiłował

wręczyć jej stosowne dokumenty i odesłać do domu. „- Wasza władza jest bezprawna, z waszych paszportów wзира Antychryst [...]. Jeśli wyjdę na wolność, aresztujecie mnie ponownie. Nie widzę żadnego powodu, żeby się stąd ruszać”. W obozie Aino Kuusinen była grupa więźniarek, które nie chciały nosić ubrań oznakowanych numerami, w związku z czym

"numery malowano im na gołych plecach". Kobiety te musiały stawiać się na wieczorny apel nago. Sołżenicyn przytacza - powtarzany w różnych wersjach przez innych autorów wspomnień - przypadek grupy sekciarzy, zesłanych do obozu sołowieckiego na początku lat trzydziestych. Ludzie ci odrzucali wszystko, co pochodziło od sowieckiego Antychrysta; odmawiali odbierania paszportów i posługiwania się pieniędzmi. Za karę wywieziono ich na jedną z małych wysep Archipelagu Sołowieckiego.

Racje żywnościowe mieli dostać wyłącznie pod warunkiem, że je pokwitują, na co się nie zgodzili. W ciągu dwóch miesięcy wszyscy, co do jednego, zmarli z głodu. Naoczny świadek twierdzi, że wysłani na wyspę funkcjonariusze zastali "tylko trupy, rozdziobane przez ptactwo". Nawet ci sekciarze, którzy nie odmawiali pracy, trzymali się z dala od innych więźniów, a niekiedy nawet w ogóle nie chcieli z nimi rozmawiać.

Tłoczyli się wszyscy w jednym baraku, zachowując absolutne milczenie.

O określonych porach śpiewali psalmy i swoje pieśni religijne.

Siedziałem za kratami więzienia,

Mając w pamięci, że Chrystus

Cierpliwie i w pokorze

Nióś na Golgotę swój ciężki krzyż pokutny.

Członkowie sekt skrajnych często budzili wśród innych więźniów mieszane

uczucia. "Nienawidziliśmy ich wszyscy - wspomina Arginska, kobieta o przekonaniach zdecydowanie laickich - zwłaszcza tych, którzy z przyczyn religijnych odmawiali kąpieli. Hagen-Thorn pisze, że więźniowie mieli pretensje do tych którzy odmawiali wychodzenia do pracy: "My pracujemy, a oni nie. Ale chleb biorą!". Ci, którzy wkrótce po przybyciu do obozu przyłączali się do jakiegoś klanu czy nawet sekty religijnej, mogli mówić o szczęściu. Członkowie gangów kryminalistów, co bardziej wojowniczych klanów narodowościowych i wspólnot wyznaniowych znajdowali w nich pomoc, wsparcie i towarzyszy niedoli. Większości

"politycznych" i "zwykłym" przestępcom kryminalnym - a oni przecież stanowili przygniatającą większość wszystkich zeków - nie było jednak łatwo

odnaleźć się samodzielnie w łagrze. Znacznie trudniej uczyli się więc reguł obozowego życia, trudniej było im dostosować się do specyficznej moralności łagru, odnaleźć własne miejsce w jego nieformalnej hierarchii.

Nie mając odpowiednich kontaktów i znajomości, z wszystkimi tymi problemem musieli borykać się na własną rękę.

ROZDZIAŁ 15

Kobiety i dzieci

„Więzień, który był porządkowym w naszym baraku, powitał mnie krzykiem: "Biegnij sprawdzić, co jest pod twoją poduszką!".

Serce zabiło mi mocniej: może w końcu dostałam rację chleba! Podbiegłam do pryczy i podniosłam poduszkę. Leżały pod nią listy z domu, aż trzy listy! Od pół roku nie doszedł do mnie żaden. Moją pierwszą reakcją na ich widok było rozczarowanie.

A potem - przerażenie. Co stało się ze mną, jeśli kawałek chleba zaczęłam cenić wyżej niż listy od matki, ojca i dzieci [...]. Zapomniałam o chlebie i wybuchłam płaczem”.

Olga Adamowa-Sliozberg

WYRABIAŁY te same normy i jadły tę samą wodnistą zupę. Żyły w takich samych barakach i transportowano je w takich samych wagonach bydłowych.

Nosiły taką

samą odzież i równie niewygodne buty. Tak samo traktowano je w śledztwie. Mimo to sytuacja kobiet w obozach była inna niż mężczyzn.

Wiele byłych więźniarek łagrów przekonanych jest, że fakt bycia kobietą działał w systemie obozów sowieckich na ich korzyść. Kobiety umiały lepiej o siebie zadbać, załatać buszlat i utrzymać w porządku włosy.

Wydaje się, że mężczyźni znosili głód i nie tak łatwo zapadały na pelagrę i inne choroby spowodowane niedożywieniem. Zawierały trwałe i mocne przyjaźnie i pomagały sobie nawzajem znacznie powszechniej, niż czynili to mężczyźni. Margarete Buber-Neumann pamięta,

że więźniarki jednej celi w Butyrkach postanowiły kiedyś uszyć nowe ubranie dla koleżanki, której jedyna letnia sukienka, w jakiej ją aresztowano, rozpadła się

z czasem w strzępy: „Złożyłyśmy się wszystkie i kupiłyśmy pół tuzina ręczników z surowego, nie bielonego rosyjskiego lnu. Ale jak skroić ubranie bez nożyc? Przy pewnej dozie pomysłowości da się rozwiązać i ten problem. Linie "kroju" zaznaczyłyśmy opalonymi zapałkami; złożyłyśmy materiał wzdłuż nich, a krawędzie opalałyśmy przesuwającym szybko tam i z powrotem płomieniem zapałki. W ten sposób garderoba została "skrojona". Nici do szycia skróciłyśmy z nitek wyrwanych z innych ubrań [...]. Ręcznikowa sukienka - szyłyśmy ją dla otyłej Łotyszki

wędrowała z rąk do rąk; została starannie obrębiona na kołnierzu, końcach rękawów i spodzie. Po skończeniu szycia zwilżyłyśmy ją wodą i starannie wyprasowały. Wierście albo nie, ale tego ranka udało nam się uszyć coś naprawdę szykownego; nasza suknia nie przyniosłaby ujmy wystawie

salonu mody damskiej”. Wśród ocalałych z obozów więźniów płci przeciwnej

przeważa jednak pogląd odmienny; ich zdaniem kobiety znacznie szybciej degradowały się moralnie. Płeć dawała im nieporównanie większe możliwości

uzyskania lepszej, lżejszej pracy i wyższej pozycji w obozowej hierarchii; w

rezultacie w ciężkich warunkach obozowych traciły godność i sprzeniewierzały się

elementarnym normom przyzwoitości. Gustaw Herling-Grudziński wspomina o

"kruczowłosej śpiewaczce Opery Moskiewskiej", aresztowanej za

"szpiegostwo".

Dostała surowy wyrok i natychmiast po przybyciu do Kargopolu skierowano ją

do najcięższych robót w lesie: „Miała jednak nieszczęście podobać się niskiemu

"urce" Wanii. Olbrzymim toporem oczyszczała zwalone jodły z kory.

Wlokąc się o

parę metrów za brygadą roślących chłopów, przychodziła wieczorem do zony i

resztkami sił ruszała do kuchni po swój "pierwszy kocioł" (400 gramów chleba

i dwa talerze najrzadszej zupy - poniżej 100% normy). Było widoczne, że ma

gorączkę, ale "lepkom" (pomocnik lekarza, coś w rodzaju felczera) przyjaźnił

się z Wanią i nie chciał dać za nic zwolnienia. Ostatecznie uległa; najpierw

wspomnianemu Wani, a w końcu pewnemu naczelnikowi, którego

"pożądliwa łapa

wyciągnęła ją za włosy z grzędawiska i posadziła za stołem rachmistrzów obozowych". Zdarzały się jednak i gorsze koleje losu, o czym również Herling-Grudziński wspomina, opisując przypadek młodej Polki, którą nad wyraz wysoko

oceniło jury złożone z "urków". „Z początku[...]wychodziła do pracy z podniesioną dumnie główką i błyskawicami gniewnych spojrzeń przesywała

każdego mężczyznę, który ośmielił się do niej zbliżyć. Wracała do zony trochę

pokorniejsza, ale dalej nieprzystępna i skromnie wyniosła. Prosto z wartowni

szła do kuchni po zupę i nie wychodziła już nigdy z baraku kobiecego po zmroku. Wyglądało więc na to, że nie wpadnie tak łatwo w sidła nocnych łowców.

Na próżno; po kilku tygodniach pod czujnym okiem nadzorcy, który nie pozwalał

ukraść z magazynu nawet marchewki czy zgniłego kartofla, dziewczyna poddała

się”. Pewnego wieczoru człowiek ten wszedł do baraku Herlinga-Grudzińskiego

i "bez słowa rzucił na moją pryczę podarte majtki kobiece". Był to początek jej

gruntownej metamorfozy. „Odtąd dziewczyna zmieniała się zupełnie. Nie spieszyła

się jak przedtem po zupę, ale wróciwszy, goniła się po zonie do późnej nocy

jak nieprzytomna kotka w okresie marcowego parzenia. Miał ją, kto chciał, pod

pryczą, na pryczy, w separatkach techników, w składzie ubrań. Ilekroć mnie

spotykała, odwracała głowę, zaciskając konwulsyjnie usta. Raz tylko, gdy zaszedłszy przypadkowo do składu kartofli na bazie, przyłapałem ją na kartoflisku z brygadierem 56., garbatym pokurczem Lewkowiczem, wybuchnęła

spazmatycznym płaczem i wracając wieczorem do żony, tamowała łyzy dwiema drobnymi piąstkami”. Tyle powtarzana raz po raz historia w wersji Herlinga-Grudzińskiego - choć przyznać trzeba, że w opowieściach kobiet wygląda często nieco inaczej. Przykładem - dzieje obozowego

"romansu" Tamary Ruźniewicz z Saszą, młodym człowiekiem, który jako szewc należał do wąskiego grona "arystokracji" łagru. Zaczęło się od tego, że Sasza wysłał jej "typowy obozowy list miłosny"; krótki, acz treściwy:

"Żyjmy razem, to ci pomogę". Kilka dni później Sasza wziął Tamarę na stronę i zażądał od niej odpowiedzi: "Będiesz moja czy nie?". Gdy odpowiedziała, że nie, pobił ją metalowym prętem, po czym zaprowadził

do szpitala, gdzie cieszył się rozległymi wpływami i kazał personelowi przyzwoicie się nią zająć. Tamara została w szpitalu kilka dni, kurując się z obrażeń. Miała sporo czasu, by raz jeszcze przemyśleć całą sytuację i ostatecznie związała się z Saszą, co nie przeszkadzało, że pobił ją raz jeszcze. "Tak się zaczęło moje życie rodzinne" - pisze Ruźniewicz.

Korzyści były natychmiastowe. "Wyzdrowiałam, dostałam ładne buty i nie musiałam więcej chodzić w obozowych łachach. Miałam teraz nowy wacik i spodnie [...], a nawet nową czapkę". Po latach Ruźniewicz wspomina Saszę jako swoją "pierwszą prawdziwą miłość". Na nieszczęście dla niej wkrótce przeniesiono go do innego obozu i nigdy więcej się już nie spotkali. Co gorsza, człowiek, który "załatwił"

przeniesienie Sasy, również miał na nią ochotę. "Nie było innego wyjścia" - Tamara zaczęła sypiać z nim. Nie kochała go wprawdzie, ale nie ukrywa, że czerpała z tego związku korzyści - nie tylko pozwolono jej wychodzić poza zonę bez straży, ale dostała nawet konia do własnej dyspozycji. Losy Tamary Ruźniewicz - podobne przypadki opisane są przez Herlinga-Grudzińskiego - można oczywiście uznać za opowieści o upadku moralnym; można jednak również widzieć w nich historię walki o przetrwanie. Z punktu widzenia władz obozu nic podobnego w ogóle nie miało prawa się zdarzyć. Teoretycznie kobiet i mężczyzn nie powinno trzymać się w łagrze razem

i rzeczywiście wielu więźniów twierdzi, że przez całe lata nie oglądało kobiety na oczy. Również komendantura niezbyt chętnym okiem spoglądała na więźniarki.

Były fizycznie słabsze, obniżały poziom wskaźników produkcyjnych, toteż niejednokrotnie władze obozowe starały się pozbyć ich z łagru. W

pewnym momencie, w lutym 1941 roku, centrala Gułagu zmuszona była wysłać do komendantur

NKWD i obozów specjalny okólnik, w którym stanowczo nakazywano przyjmować wszystkie wysłane do łagrów transporty więźniarek i kierować je do prac,

w których kobiety mogą okazać się szczególnie użyteczne. W tym kontekście

wspominano o zakładach przemysłu lekkiego, fabrykach włókienniczych i metalurgicznych oraz pewnych rodzajach prac leśnych i rozładunkowych.

Wydaje się, że zastrzeżenia ze strony personelu administracyjnego były przyczyną, dla której kobiety zsyłane do łagrów zawsze stanowiły stosunkowo niski odsetek ogółu zeków (podobnie jak relatywnie niewielka była liczba kobiet aresztowanych podczas Wielkiej Czystki lat 1937-1938). Z oficjalnych statystyk wynika, że w roku 1942 stanowiły około 13 procent wszystkich więźniów Gułagu. Odsetek ten wzrósł do 30

procent w roku 1945, co po części było skutkiem wcielenia znacznej liczby więźniów mężczyzn do służby wojskowej, a po części wprowadzeniem zakazu samowolnego porzucania pracy - za jego łamanie aresztowano

wiele młodych kobiet. W 1948 roku wskaźnik wyniósł 22 procent, by następnie

spaść do poziomu 17 procent w latach 1951-1952. Jednak nawet i te liczby nie

oddają wiernie rzeczywistej sytuacji w łagrach, ponieważ kobiety częściej otrzymywały niskie wyroki, które odbywały niekiedy w koloniach pracy o lekkim reżimie. W dużych obozach przemysłowych na Dalekiej Północy było ich zdecydowanie mniej. Mała liczba kobiet oznaczała, że -

podobnie jak w przypadku żywności i odzieży - zawsze odczuwano ich niedostatek.

Kobiety mogły być bezwartościowe z punktu widzenia księgowych obliczających wskaźniki wykonania norm i poziomu produkcji, były jednak nad wyraz cenne - choć z zupełnie innych przyczyn - dla znajdujących się w obozach mężczyzn; tak więźniów, jak strażników i pracowników wolnonajemnych. W łagrach, gdzie bardziej lub mniej otwarcie tolerowano kontakty między więźniami obojga płci albo gdzie pewna grupa mężczyzn miała dostęp do obozów kobiecych, te ostatnie często nagabywano, napastowano albo - co zdarzało się najczęściej -

proponowano im żywność lub kierowanie do lżejszej pracy w zamian za usługi seksualne. Nie była to, jak się wydaje, jakaś wyjątkowa cecha życia w Gułagu. Raport Amnesty International z 1999 roku dotyczący sytuacji kobiet w więzieniach amerykańskich ujawnia przypadki rewizji osobistych kobiet przez funkcjonariuszy więziennych płci męskiej oraz zgwałceń więźniarek przez strażników lub więźniów, którym proceder ten umożliwili przekupieni strażnicy. Kobiety w sowieckich obozach koncentracyjnych poniżano jednak i znęcano się nad nimi na skalę niespotykaną nawet w innych systemach więziennych. Od samego początku o losie kobiety w obozie w przeważającej mierze decydowało miejsce, które zajmowała ona w hierarchii istniejących w łagrze "klanów"

i innych zorganizowanych grup nieformalnych. W świecie kryminalnym kobiety podporządkowane rygorystycznemu kodeksowi norm i zrytualizowanym zachowaniom nie cieszyły się większym poważaniem.

Według Szalamowa

"rodowity "urka" od dzieciennych lat uczy się pogardy dla kobiet [...].

Kobieta,

istota niższa, stworzona jest jedynie po to, ażeby sycić zwierzęce żądze złodzieja, być przedmiotem jego ordynarnych żartów i ofiarą publicznego bicia, kiedy błątny "bawi się". W gruncie rzeczy prostytutki stanowiły prywatną własność członków elity przestępczej - mogły być sprzedawane, wymieniane, a nawet dziedziczone przez brata lub przyjaciela poprzedniego "pana", którego przeniesiono do innego obozu lub zamordowano. Przy "zamianie" "nie dochodzi do zwady i prostytutka śpi z nowym władcą. W świecie błątnych nie ma miejsca żadne dzielenie się kobietą, nie istnieje żadna miłość "we troje".

Tak

współżycie "złodziejki" z jakimkolwiek "frajerem" jest absolutnie wykluczone.

Odnosiło się to zresztą nie tylko do kobiet. Wszystko wskazuje na to, że w środowisku profesjonalnych przestępców równie brutalnym regułem podporządkowane były również kontakty i związki homoseksualne. Wyżsi rangą "urkowie"

utrzymywali niekiedy w swoich świtach młodych homoseksualistów obok

- a

zamiast - obozowych "żon". Thomas Sgovio pamięta pewnego brygadzystę i jego

męską "żonę", którą w zamian za usługi erotyczne wynagradzał

dodatkowymi racjami żywnościowymi. Autorzy obozowych wspomnień rzadko poruszają ten problem (w kulturze rosyjskiej pederastia zawsze była tematem tabu), toteż opis

norm i obyczajów rządzących męskimi związkami homoseksualnymi w łagrach

nie jest rzeczą prostą. Ponadto wiele przemawia za tym, że pederastia była zjawiskiem w przeważającej mierze ograniczonym do świata przestępczego, a kryminaliści rzadko kiedy spisują swoje wspomnienia.

Wiemy jednak, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w środowisku męskich homoseksualistów sowieckich obowiązywała rozbudowana i bardzo złożona etykieta. Pederasci "bierni" byli przedmiotem pogardy społeczności więziennej i nie wolno im było odzywać się do innych mężczyzn. Wydaje się, w pewnych środowiskach podobne - choć sporadycznie tylko wzmiankowane - normy obowiązywały już pod koniec lat trzydziestych. Zaobserwował je Piotr Jakir, liczący wówczas 15 lat, przetrzymywany w celi dla nieletnich. Jakir opowieści o wyczynach seksualnych, jakie słyszał od nastoletnich współwięźniów, uważał z początku za czece przechwałki i fanfaronadę: „Jednak się myliłem. U jednego z pacanów [chłopców] została racja żywnościowa i zachował ją do wieczora, a wieczorem zapytał głodującego Maszkę:

- Chcesz zjeść?

- Tak - odparł Maszko.

- To ściągaj portki.

Odbyło się to w kącie mało widocznym przez judasza, na oczach wszystkich. Nikogo

to nie dziwiło i ja także starałem się sprawiać wrażenie, że nie dziwi i mnie. Wypadki takie powtarzały się bardzo często. Bierną stroną byli zawsze ci sami. Jako pannom nie pozwalano im pić ze wspólnego kubka i podlegali innym poniżającym ograniczeniom”. Dziwne, ale miłość lesbijską uprawiano w obozach bardziej otwarcie; częstsze też są wzmianki o niej. Wśród kryminalistek stosunki homoseksualne również były ściśle zrytualizowane. Trybady, które określano rosyjskim zaimkiem osobowym rodzaju nijakiego - ono, dzieliły się na dwie kategorie: bardziej kobiece "kobyły" i bardziej zmaskulinizowanych "mężów". Te pierwsze były często "prawdziwymi niewolnicami" "mężów", których pielęgnowały i otaczały troską. Lesbijki zmaskulinizowane przyjmowały "męskie"

pseudonimy i prawie zawsze paliły tytoń. O swych preferencjach seksualnych mówiły otwarcie, śpiewały nawet o nich pieśni: Dzięki ci, o Stalinie; zrobiłeś ze

mnie hrabinie, jestem ogierem i

chabetą -Mężczyzną i kobietą.

Odróżniał je również ubiór i sposób zachowania. Tak to opisuje jedna z Polek:

„Wszyscy znali te kobiece pary, a one nie próbowały nawet ukryć swych skłonności. Kobiety pełniące w nich funkcję mężczyzn ubierały się zazwyczaj po męsku, były krótko ostrzyżone i rzadko wyjmowały ręce z kieszeni. Kiedy tego rodzaju stadło nagle ogarnęły żądze, kochanki wstawały od maszyn, pieściły się przy akompaniamencie gorących pocałunków i zaczynały tarzać po podłodze”.

Walerij Fried pisze, że kryminalistki ubierające się po męsku wyglądały jak

hermafrodyty. Jedna "była śliczna, krótkowłosa. Chodziła w bryczesach".

Druga

miała chyba rzeczywiście zdeformowane narządy płciowe. Lwów był

świadkiem gwałtu homoseksualnego, dokonanego przez parę lesbijek, które zawlokły "cichą, spokojną dziewczynę" za prycze i rozerwały jej błonę dziewiczą. W kręgach inteligentkich trybadyzm traktowano mniej wyrozumiale; jeden z więźniów nazywa go "praktyką odrażającą". W

związki lesbijskie - choć bardziej może skryte- wchodziły jednak również i więźniarki polityczne, zwłaszcza te, które na wolności miały męża i dzieci. W Minłagu, obozie zaludnionym w większości przez

"politycznych" - pisze Susanna Pieczuro - "pozwoliły one niektórym kobietom przeżyć". W większości wypadków specyficzną cechą obozowych kontaktów seksualnych - obojętne, wymuszonych czy dobrowolnych, hetero- czy homoseksualnych - była ich brutalność i ordynarny charakter. Współżycie płciowe odbywało się - z konieczności -

na widoku publicznym, co dla części więźniów było szokujące. Pary

"tarzały się pod drutami kolczastymi i kopulowały na gołej ziemi tuż obok latryn" - powiedział mi jeden z więźniów. "Wagonetka osłonięta szmatami przed wzrokiem sąsiadek - jest to klasyczny obrazek obozowy" - pisze Sołżenicyn. Isaak Filsztinski, obudzony się kiedyś w środku nocy, ujrzał

na sąsiedniej pryczy nagą kobietę, która oparłszy się o ścianę, dogadzała obozowemu kucharzowi. "Inni - nikt nie spał w baraku tej nocy - z napiętą uwagą wsłuchiwali się w dobiegające do nich z pryczy odgłosy". "Rzeczy, o których na wolności człowiek dwa razy pomyśli, zanim raz zrobi, odbywały się tu zupełnie naturalnie, jak między kotami na dachu" - pisze Hanna Wołowicz. Lwów przypomina sobie, że więźniowie, zwłaszcza kryminalni, "parzyli się jak zwierzęta". Istotnie odbywało się to tak jawnie, że widok kopulującej pary przestawał na kimkolwiek robić wrażenie, a do gwałtów i prostytucji niektórzy po prostu przywykli, stały się częścią normalnego rozkładu dnia. Do tartaku, w którym Edward Buca pracował razem z brygadą kobiecą, wtargnęła kiedyś grupa "urków".

"Chwyтали kobiety, które przypadły im do gustu i przewracali je na śnieg albo brali na sągu pni. Kobiety wydawały się do tego przyzwyczajone i nie stawiały oporu. Była tam ich brygadzistka, ale i ona zdawała się nie mieć nic przeciwko krótkiej przerwie w pracy. Przeciwnie, miało się wrażenie, że wszystkie traktują to jako część swoich codziennych obowiązków". Lew Razgon mówi o zaskakującym finale przypadkowego spotkania z jasnowłosą dziewczyną zamiatającą dziedziniec obozowego lazaretu. Razgon - wówczas już pracownik wolnonajemny - przyszedł w odwiedzinach do znajomego lekarza, który poczęstował go obfitym obiadem, a ponieważ nie był głodny, odstąpił ten posiłek sprzątajacej, która "jadła cicho i w skupieniu". Razgonowi przypominała własną córkę:

„Dziewczyna skończyła jeść i starannie ustawiła naczynie na drewnianej tacy. Następnie spuściła sukienkę, zdjęła majtki i trzymając je w ręce, zwróciła w moją stronę pozbawioną uśmiechu twarz.

-

Położyć się czy co? - spytała.

Na początku nie rozumiejąc mojej odpowiedzi, a później czując się nią trochę zaniepokojona, powiedziała tonem samousprawiedliwienia, również bez uśmiechu:

-

Ludzie nie karmią mnie bez tego...”.

Z drugiej strony w niektórych obozach baraki kobiece niewiele różniły się od

burdeli. Sołżenicyn tak o tym pisze: „Oficjalnie - nie wolno tam było wchodzić mężczyznom, ale nikt na to nie zważał i nikomu nie chciało się sprawdzać. Chodzili tam nie tylko mężczyźni, ale pchali się jeden przez drugiego również małoletni - chłopczkowie 12-13-letni spieszyli na naukę [...]. Wszystko odbywało się z całą naturalnością, wszystko było na widoku - i to w kilku

miejscach sali naraz. Tylko podeszły wiek albo jakaś rzucająca się w oczy brzydota były dla kobiety

ochroną, nic innego nie pomagało”. Mimo potwierdzonej przez wielu byłych więźniów brutalnej wulgarności obozowego życia seksualnego inni autorzy wspomnień mówią o równie zaskakujących przypadkach obozowych miłości, których źródłem była kobieca tęsknota za poczuciem bezpieczeństwa, za kimś, kto mógłby bronić i otoczyć opieką. Jedną z osobliwości życia w łagrach był obyczaj, że kobietę, która wzięła sobie "obozowego męża", inni mężczyźni zostawiali na ogół w spokoju - Herling-Grudziński nazywa to "osobliwe ius primae noctis". Nie zawsze - jak na przykład u Tamary Ruzniewicz -

była to kwestia wolnego wyboru, niekoniecznie też musiały być to związki równych. Bywało, że szacowne skądinąd niewiasty żyły z

"błatnymi". Nie można jednak traktować tego jako formy prostytucji; były to raczej -jak pisze Walerij Fried - "braki po razciotu" "małżeństwa z rozsądku", "które czasami stawały się małżeństwami z miłości". Nawet jeśli ludzie łączyli się ze sobą z czystego wyrachowania, związki te traktowane były przez więźniów serio. "O swojej mniej lub bardziej stałej partnerce zek mówił "żona", a ona nazywała go "mężem". Takie związki humanizowały nasze życie - wcale nie mówię tego żartem" - pisze Fried.

I - co równie zaskakujące - ci, którzy nie byli do cna wycieńczeni pracą i wygłodzeni, rzeczywiście szukali prawdziwej miłości. Anatolij Żygulin wspomina o romansie z pewną więźniarką polityczną, Niemką - "wesołą, dobrą, niebieskooką, złotowłosą Martą". Później dowiedział się, że urodziła dziecko, któremu dała imię Anatolij. Ponieważ było to jesienią 1951 roku, a wkrótce po śmierci Stalina ogłoszono amnestię generalną dla cudzoziemców, Żygulin sądzi, że "Marta z dzieckiem, jeśli nie przydarzyło się jakieś nieszczęście, powróciła do domu". Podobnie romantyczną opowieść, której bohater musi wybierać między potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie pociągał za sobą romans z żoną komendanta obozu, a głosem uczucia, znaleźć można we wspomnieniach Izaaka Vogelfangera. Pozbawieni wszystkiego ludzie tak desperacko tęsknili za prawdziwym uczuciem, że niejednokrotnie angażowali się głęboko w platoniczne związki miłosne,

polegające wyłącznie na wymianie listów. Odnosi się to zwłaszcza do więźniów

utworzonych w latach czterdziestych specjalnych obozów dla politycznych, w których rygorystycznie przestrzegano zasady separacji płci. W jednym z takich łagrów - Minłagu - przekazywano sobie listy za pośrednictwem znajomych przebywających we wspólnym dla kobiet i mężczyzn szpitalu obozowym. Więźniowie

zakładali również tajne "skrzynki pocztowe" w strefie budowy linii kolejowej,

przy której pracowały brygady kobiece. Co kilka dni jedna z kobiet, pod pretekstem poszukiwania pozostawionego świadomie waciaka czy jakiejś innej zguby, odłączała się od konwoju, opróżniała "skrzynkę" z listów od mężczyzn i zostawiała w niej "przesyłki pocztowe" więźniarek, które z kolei zabierał później ze sobą jeden z mężczyzn. Były również i inne metody: "O ustalonej porze ktoś przerzucał listy z żony męskiej do kobiecej i vice versa. Tak wyglądała "służba pocztowa". „Listy te - pisze Leonid Sitko - pisano maczkiem na maleńkich skrawkach papieru”.

Podpisywano się pseudonimami: Sitko występował w nich jako "Hamlet", a jego wybranka -

"Marsjanka". "Przedstawiły ich sobie" inne kobiety.

Sitko dowiedział się, że "Marsjanka" cierpi katusze, ponieważ przy aresztowaniu odebrano jej małe dziecko. Jakiś czas później udało się im nawet spotkać w opuszczonej kopalni. Inni, rozpaczliwie poszukując odrobiny choćby intymności, uciekali się do bardziej jeszcze surrealistycznych metod. Więźniowie obozu specjalnego w Kiengirze -

polityczni, pozbawieni prawa kontaktu z rodzinami, małżonkami i przyjaciółmi - wchodzili w zażyłe stosunki z osobami, których nigdy nie widzieli na oczy. "Znajomości zawierane były zaocznie: pisało się listy do niewidzialnego, nieznanego człowieka i rozstawano się później z kimś niewidzialnym, nieznanym z więzienia" - pisze Sołżenicyn. Niektórzy nawet zawierali małżeństwa "przez ogrodzenie", dzielące zonę kobiecą od męskiej, mimo że nigdy wcześniej nie spotkali się osobiście. Stojący po obu stronach kolczastego drutu nowożeńcy zaprzysięgali sobie wierność w obecności duchownego, który rejestrował takie związki. Miłość trwała, mimo że komendantura wznosiła między męską a kobiecą częścią łagru zasieki z drutu kolczastego i zakazywała więźniom się do nich zbliżać.

Mówiąc o "małżeństwach w ciemno", nawet Sołżenicyn porzuca na chwilę właściwy mu cynizm: "Tym zaślubinom z nieznanym więźniem zza muru [...] towarzyszą, zda mi się, chóry anielskie. Jest w tym coś na kształt zachwyconego wpatrywania się w ciała niebieskie. Niebotyczna, niezwykła to rzecz w stuleciu wyrachowania i drgawek jazzowych".

Miłość, kopulacja, gwałt i prostytutka były w równej mierze integralnymi elementami życia w łagrze, jak ich nieuchronne następstwa - ciąża i macierzyństwo, a obok kopalni, placów budowy, brygad roboczych, izolatorów, baraków mieszkalnych i wagonów bydłowych w Gułagu były również szpitalne oddziały porodowe, żłobki, ochronki i specjalne obozy dla karmiących matek. Nie wszystkie dzieci, które do nich trafiły, przyszły na świat w łagrze, niektóre "aresztowano" razem z matkami; normy rządzące tą praktyką zawsze były niejasne. Rozkazy operacyjne z roku 1937, dotyczące aresztowań żon i dzieci "wrogów ludu", jednoznacznie zabraniały więzienia kobiet ciężarnych i karmiących. Z drugiej strony rozporządzenie z 1940 roku stanowiło, że dzieci mają przebywać razem z matkami do ukończenia osiemnastego miesiąca życia, "kiedy znika konieczność karmienia ich piersią" - później należy umieszczać je w sierocińcu lub oddawać krewnym. W praktyce regularnie aresztowano kobiety ciężarne i z dzieckiem przy piersi. Podczas rutynowego badania przybyłego do obozu konwoju więźniarek lekarz stwierdził, że u jednej z kobiet zaczynają się skurcze porodowe; aresztowano ją w siódmym miesiącu ciąży. Natalię Zaporozec wysłano etapem, kiedy była w ósmym miesiącu ciąży; niewygody podróży kolejną i jazdy na telepiących się platformach samochodów ciężarowych spowodowały, że przedwcześnie urodziła martwe dziecko. Jewfrosinia Kiersnowska przyjmowała poród w konwojowanym transporcie kolejowym. Zdarzało się również, że dzieci

"aresztowano" razem z rodzicami. Jedna z więźniarek, Ratner, aresztowana w latach dwudziestych, wysłała Dzierżyńskiemu sarkastyczny list z podziękowaniami za "aresztowanie" jej trzyletniego syna i umieszczenie go wraz z nią w więzieniu, które nazywała "fabryką aniołków". W czasie dwóch wielkich fal masowych deportacji - kułaków na początku lat trzydziestych oraz wręcz całych "wrogich" narodowości, w czasie wojny światowej i po niej - uwięziono setki tysięcy dzieci.

Spowodowany tym wstrząs psychiczny mógł pozostawić ślady na całe życie. Jedna z więźniarek,

Polka, pamięta, że razem z nią w celi siedziała kobieta z trzyletnim synem: "Dziecko było dobrze wychowane, subtelne i ciche. Zabawialiśmy je różnymi historyjkami i bajeczkami, ale chłopak przerywał je co chwilę pytaniem "Jesteśmy w więzieniu, prawda?"".

Jeszcze po wielu latach dzieci deportowanych kułaków pamiętały koszmar podróży wagonami bydłęcymi: "Ludzie odchodzili od zmysłów [...]. Nie mam pojęcia, ile dni trwała podróż. W wagonie z głodu umarło siedem osób. Dojechaliśmy do Tomsku, gdzie wypuścili nas - kilka rodzin.

Wynieśli również z wagonu kilka trupów - dzieci, starców i niedorostków". Mimo wszystko zdarzały się kobiety, które świadomie -

powiedziałabym wręcz cynicznie - zachodziły w obozach w ciążę. Były to zazwyczaj profesjonalne kryminalistki lub więźniarki skazane za drobne przestępstwa - powodowała nimi chęć uzyskania lepszej pracy i większych racji żywnościowych oraz nadzieja skorzystania z ogłaszanych od czasu do czasu amnestii dla matek z dziećmi. Amnestie na przykład z lat 1945 i 1948 - zazwyczaj nie obejmowały kobiet skazanych za przestępstwa kontrrewolucyjne. "Zajście w ciążę ułatwiało życie" -

powiedziała mi Ludmiła Chaczatrian, tłumacząc, dlaczego więźniarki tak chętnie sypiały ze strażnikami. Inna kobieta wspomina, że gdy w łagrze zaczęły krążyć pogłoski o mającym jakoby nastąpić zwolnieniu kobiet karmiących - mamek - z całym rozmysłem zrobiła sobie dziecko .

Nadieżda Joffe, która zaszła w ciążę po widzeniu z mężem, pisze, że jej współtowarzyszki z "wilgotnego baraku dla karmiących w Magadanie były zupełnie pozbawione instynktu macierzyńskiego i porzucały dzieci najszybciej, jak tylko było można". Nic zatem dziwnego, że część kobiet, stwierdziwszy, że zaszły w obozie w ciążę, starały się jej pozbyć. Władze Gułagu zdawały się mieć do aborcji stosunek ambiwalentny, niekiedy zezwalały na nią, w innych wypadkach przedłużały wyrok kobietom, które próbowały spędzić płód. Nie jest jasne, jak częste były to wypadki, w pamiętnikach i wywiadach były więźniarki wspominają o nich stosunkowo rzadko, w związku z czym udało mi się znaleźć jedynie dwie takie relacje.

Anna Andriejewa mówiła mi o kobietach, "które faszerowały się gwoździami, po czym zasiadały do pracy przy nożnych maszynach do szycia, co powodowało przeważnie silny krwotok". Inna kobieta opisuje, w jakich warunkach odbywał się zabieg przerwania ciąży w gabinecie obozowego lekarza: „Spróbuj sobie wyobrazić. Noc. Ciemno [...]. Andriej Andriejewicz usiłuje sprowokować poronienie; nie ma żadnych instrumentów lekarskich, posługuje się tylko posmarowanymi jodyną rękami. Jest zdenerwowany, bo nic z tego nie wychodzi. Z bólu tracę oddech, ale nie wydaję z siebie nawet jęku, żeby nikt nie podsłuchał. W

końcu ból staje się tak nieznośny, że nie wytrzymuję i krzyczę: Przestań!

Dwa dni nic - potem wszystko ze mnie wyszło - płód, i bardzo dużo krwi.

Dlatego nigdy już nie zostałam matką”. Zdarzały się jednak kobiety pragnące wydać na świat dziecko. Historia Hanny Wołowicz zdecydowanie zaprzecza temu, co na ogół pisze się o egoizmie i demoralizacji kobiet rodzących w obozach. Aresztowana w 1937 roku Wołowicz czuła się w łagrze przeraźliwie samotna i z całą świadomością zdecydowała się na dziecko. Jego ojca nie darzyła

specjalnym uczuciem; córkę, Eleonorę, urodzili w 1942 roku w obozie, w którym nie było żadnych specjalnych udogodnień dla matek: „Były tam trzy kobiety; wydzielono nam niewielkie pomieszczenie w baraku. Pluskwy sypały się z sufitu i ścian jak groch; całymi nocami iskałyśmy dzieci. W dzień trzeba było iść do pracy. Zostawiałyśmy dzieci pod opieką jednej ze zwolnionych akurat od pracy staruszek, która po cichu podkradała dzieciom jedzenie [...]. Mimo to przez cały rok, noc w noc czuwałam przy kołysce, wyłapywałam z niej pluskwy i modliłam się. Modliłam się, żeby Bóg przedłużył moje męczarnie o sto lat, jeśli za tę cenę nie rozdzieli mnie z córką. Modliłam się, żeby nas obie zwolniono, nawet jeśli miałybyśmy żebrać. Modliłam się, żebym mogła wychowywać ją, dopóki nie dorośnie.

Ale Bóg nie wysłuchał mojej modlitwy. Córka zaczęła stawiać pierwsze kroki. Ledwie usłyszałam jej pierwsze, cudowne słowo "mama", zapakowano je - ubrane mimo dotkliwego zimna tylko w jakieś łachy - do ciężarówki i przewieziono do "obozu dla matek". A tam mój tłuściutki mały aniołek o złotych lokach szybko zmienił się w blade widmo z niebieskawo ocienionymi oczyma i owrzodzonymi wargami”. Wołowicz przydzielono najpierw do brygady drwali, a później skierowano do pracy w tartaku. Co dzień wieczorem przynosiła z niego wiązkę suchego opału który oddawała opiekunkom żłobka, w zamian za co wolno jej było widywać się z dzieckiem poza przewidzianymi regulaminem godzinami.

„Widziałam pielęgniarki, budzące rano dzieci. Wyganiały je z zimnych łóżek kuksańcami i kopniakami [...]. Okładając je pięściami i wyzywając od ostatnich, ściągaly z nich koszule nocne i myły w lodowato zimnej wodzie. Dzieci nie miały nawet odwagi płakać. Posapywały tylko jak staruszki i pohukiwały nisko jak sowy. Ten sowy dźwięk słyhać było z łóżek przez cały czas. Dzieci, które powinny już siadać i raczkować, leżały na plecach z podkulonymi nóżkami i to one wydawały z siebie te dziwne odgłosy. Jedna pielęgniarka miała pod opieką siedemnaścioro dzieci, co oznaczało, że ledwie starcza jej czasu, by je nakarmić i przewinąć.

Pielęgniarka przyniosła z kuchni miskę parującej kaszy i podzieliła ją na porcje. Złapała najbliższe siedzące dziecko, wykręciła mu ręce, przywiązała rącznikami do krzesła i zaczęła wpychać mu do gardła łyżkę za łyżką, nie dając mu nawet chwili na przełknięcie - dokładnie tak, jakby tuczyła gęś.

Eleonora zaczęła gasnąć w oczach. Podczas kolejnych odwiedzin zauważyłam, że cała jest posiniaczona. Nigdy nie zapomnę, jak objęła mnie chudymi rączkami za szyję i wyjęczała: "Mamo, ja chcę do domu!".

Nie zapomniała zapluskwionej nory, w której po raz pierwszy ujrzała światło dzienne i gdzie przez cały czas opiekowała się nią matka [...].

Mała Eleonora miała wówczas zaledwie piętnaście miesięcy, ale szybko zorientowała się, że błaga o "dom" na próżno. Przestała wyciągać do mnie rączki, kiedy ją odwiedzałam, odwracała się teraz ode mnie w milczeniu.

Kiedy ostatniego dnia jej życia wzięłam ją na ręce (pozwolili mi karmić dziecko piersią), wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w jakiś odległy

punkt za mną, a potem zaczęła bić mnie piąstkami po twarzy i szczypać mnie w piersi. A potem

pokazała ręką łóżko. Wieczorem, kiedy wróciłam z wiązką drewna na opał, jej łóżeczko było puste. Znalazłam ją - nagą - w kostnicy, obok zwłok dorosłych. Przeżyła na tym świecie rok i cztery miesiące; zmarła 3 marca 1944 roku [...]. Tak wygląda historia o tym, jak wydając na świat moje jedyne dziecko, popełniłam największą z możliwych zbrodni". W archiwach Gułagu zachowały się albumy ze zdjęciami obozowego żłobka, o jakim pisze Wołowicz:

„Słońce jasno świeci nad ich stalinowską ojczyzną. Wszystkich ludzi sowieckich przepelnia miłość do przywódców, a nasze wspaniałe dzieci są szczęśliwe tak, jak szczęśliwy jest cały młody kraj. Tu, w wygodnych ciepłych łóżeczkach, śpią nowi obywatele naszego państwa. Nakarmieni, śpią słodko, śniąc pewnie szczęśliwe sny". Zadają temu kłam zamieszczone w albumie fotografie; na jednej z nich widać rząd matek o smutnych oczach, z maseczkami na pozbawionych uśmiechu twarzach - widowym znakiem panującego w obozie szacunku dla zasad higieny i wymogu sterylności - siedzących na pryczach z dziećmi przy piersi. Na innym - ustawione w szereg dzieci wychodzące na spacer sprawiają wrażenie równie apatycznych jak ich matki. Wszystkie mają ogolone głowy - zapewne z obawy przed wszawicą - co sprawia, że wyglądają jak maleńcy więźniowie, którymi zresztą w gruncie rzeczy istotnie były. "Kombinat dziecięcy - to też zona. Ze strażą, z bramą, z barakami i drutem kolczastym" - pisze Jewgienia Ginzburg. Centrala Gułagu musiała - w jakiejś przynajmniej mierze - zdawać sobie sprawę, jak straszny musi być obóz dla żyjących w nim dzieci; wiemy w każdym razie, że inspektorzy przesyłali do Moskwy stosowne informacje. W

przedłożonym w 1949 roku raporcie o stanie zdrowia więźniarek Gułagu można przeczytać, że spośród 503 tysięcy przetrzymywanych w obozach kobiet 9300 jest aktualnie w ciąży, a 23 790 przebywa w łagrach razem z dziećmi. "Zważywszy na negatywny wpływ tego stanu rzeczy na stan zdrowia i edukację dzieci", autorzy raportu sugerują przedterminowe zwolnienie ich matek, a także kobiet, które pozostawiły dzieci w domu; w sumie - po odliczeniu recydywistek i więźniarek z wyrokami za przestępstwa kontrrewolucyjne - około 70 tysięcy więźniarek. Od czasu do czasu ogłaszano amnestię, ale warunki życia kobiet z dziećmi które pozostały w obozach, poprawiały się niewiele albo wręcz wcale.

Przeciwnie, troska o ich zdrowie zajmowała zazwyczaj bardzo odległe miejsce na liście priorytetów, ponieważ z punktu widzenia produktywności obozu nie przedstawiały dla komendantury łagrów większej wartości. Kwaterowano je najczęściej w najgorszych, najstarszych i najgorzej ogrzewanych budynkach - jeden z inspektorów stwierdził, że temperatura w barakach dla karmiących matek nigdy nie przekracza 11 stopni Celsjusza; inny trafił na dom dziecka, w którym ze ścian płatami odłaziła farba i nie było żadnego oświetlenia, nawet lamp naftowych. W raporcie z Sibłagu z 1933 roku jest napisane, że w podległych mu domach dziecka brak 800 par letnich butów, 700 sztuk odzieży i 900 kompletów naczyń. Nie zawsze też opiekował się dziećmi odpowiednio wykwalifikowany personel. Ponieważ prace w żłobkach uznawano za lekką, kierowano do niej więźniów uprzywilejowanych, jak często zawodowe kryminalistki. "Całymi godzinami flirtowały na schodach ze swoimi "mężami" albo po prostu gdzieś wychodziły, a głodne i pozbawione opieki dzieci chorowały i zaczęły umierać" - pisze Joffe.

Nie zawsze pozwalano, by te zaniedbania korygowały matki - nawet jeśli założymy, że rzeczywiście im na tym zależało - ich dniówki robocze były dla obozu zbyt cenne, by administracja skłonna była do aż tak daleko posuniętej wyrozumiałości. Kierowano je z powrotem do pracy tak szybko, jak tylko

było to możliwe

gwarantując co najwyżej, a i to niechętnie, piętnastominutowe przerwy na karmienie dzieci piersią; zazwyczaj raz na cztery godziny, co przeważnie nie wystarczało by dziecko zdążyło się najeść. Po upływie tego czasu (kobiety nie miały nawet kiedy przebrać się do karmienia) musiały zostawiać - głodne najczęściej - dzieci i wracać na stanowiska pracy.

Zdarzało się też, że nie pozwalano im nawet i na to. Jeden z inspektorów opisuje przypadek kobiety, która nie mogąc na czas opuścić stanowiska pracy, pojawiła się w żłobku kilka minut po zakończeniu pory karmienia.

Nie dopuszczono jej do dziecka. W rozmowie ze mną jedna z byłych inspektorek obozowych żłobków i domów dziecka powiedziała, że pielęgniarki dokarmiały z butelki niemowlęta, które zjadły zbyt mało w czasie regulaminowego - półgodzinnego jej zdaniem - karmienia piersią.

Ta sama kobieta potwierdziła powtarzaną wielokrotnie przez byłych więźniów informację o innej nieludzkiej praktyce zakazywania kobietom wszelkich kontaktów z dziećmi poza wyznaczonymi porami karmienia.

Sama zabraniała matkom wychodzenia z dziećmi na spacer, motywując to troską o dobro dzieci. Widziała na własne oczy, jak jedna z nich, chcąc otruć własne dziecko, dała mu do zjedzenia cukier zmieszany z tytoniem; inna zdjęła swojemu dziecku buty i kazała chodzić boso po śniegu.

"Byłam odpowiedzialna za wskaźnik śmiertelności dzieci w obozach -

powiedziała mi, tłumacząc przyczyny wspomnianego zakazu - Te dzieci były matkom niepotrzebne; one chciały je zabić". Niewykluczone, że podobny sposób rozumowania krył się w tle identycznych rozporządzeń wydawanych przez

komendantów obozów, równie dobrze mógł to być jednak kolejny przejaw bezmyślnego okrucieństwa obozowej administracji - zorganizowanie systemu odwiedzin matek w żłobku było zadaniem uciążliwym, toteż dla świętego spokoju zakazywano ich.

Nietrudno przewidzieć konsekwencje rozłąki dziecka z matką. Dzieci dziesiątkowały epidemie; współczynnik śmiertelności był wśród nich wyjątkowo wysoki - raporty inspektorów często świadomie go ukrywają.

Ale nawet dzieci, które szczęśliwie przetrwały niemowlęctwo, miały niewielkie szansę na normalne życie w obozowych domach dziecka.

Niektóre - te szczęśliwsze - trafiały czasem pod opiekę bardziej ludzkiej i czułej pielęgniarki. Inne nie zaznały nawet tego. Jewgienia Ginzburg, która sama przez pewien czas była wychowawczynią w obozowym przedszkolu, wspomina, że nawet starsze dzieci często nie nauczyły się jeszcze

mówić: "Tylko niektóre czterolatki wymawiały pojedyncze słowa.

Przeważały niezrozumiałe okrzyki, mimika, bójki.

-
A skąd miałyby mówić? Kto je uczył? Kogo słyszały - objaśniała mi Ania beznamiętnie. - Przecież w grupie osesków przez cały czas po prostu leżą na swoich posłaniach. Nikt nie bierze ich na ręce, choćby nie wiem jak krzyczały. Zakazano. Tylko mokre pieluszki wolno zmieniać.

Kiedy próbowała je uczyć, zorientowała się, że zdolne do tego są tylko te nieliczne z nich, które utrzymywały jakikolwiek kontakt z własnymi matkami, a i te miały - bardzo zresztą specyficznym - ograniczony zasób pojęć i skojarzeń.

- Popatrz - powiedziałam do Stasika, pokazując mu narysowany przeze mnie domek. - Co to jest?

- Barak - dość wyraźnie odpowiedział chłopczyk.

Kilkoma ruchami ołówka posadziłam przy domku kotka. Ale nikt go nie rozpoznał, nawet Stasik. Nigdy nie widziały takiego rzadkiego zwierzęcia.

Oprowadziłam wtedy domek idyllicznym tradycyjnym płotkiem.

-A to co?

-Zona! Zona! - radośnie zawołała Wieroczka i zaklaskała w rączki”.

Dzieci, które ukończyły drugi rok życia, przenoszono zazwyczaj z obozowych

żłobków do normalnych sierocińców. Część matek przyjmowała to z zadowoleniem i ulgą, ciesząc się, że ich dzieci mają wreszcie szansę wydostać się z obozu.

Inne gorąco protestowały, zdając sobie doskonale sprawę, że jeśli -

przypadkowo

lub rozmyślnie - one same przeniesione zostaną do innego, odległego obozu, nazwiska ich dzieci mogą zostać celowo zmienione lub po prostu zapomniane, co

pozbawi je nie tylko zwykłego kontaktu z nimi, ale i możliwości dochodzenia

praw rodzicielskich. Wypadki takie rzeczywiście zdarzały się czasami w sierocińcach. Walentina Jurganowa z kułackiej rodziny Niemców nadwołżańskich trafiła do domu dziecka, którego podopieczni byli zbyt młodzi, by zapamiętać swoje nazwiska. Nie znał ich również personel, ponieważ w dokumentacji tego zakładu panował nieopisany bałagan.

Jednej z dziewczynek - jak mi powiedziała – dano nazwisko

"Kasztanowa", ponieważ w ogrodzie sierocińca zakwitły akurat kasztanowce. Po wielu latach jedna z wychowanek domu dziecka, Jewgienia Dalska, opisała trwające całe życie, bezskuteczne próby ustalenia tożsamości rodziców; w aktach stanu cywilnego tej obłasti nie było ani jednej wzmianki o

przyjściu na świat dziecka o nazwisku, jakie wpisano jej do paszportu, ona zaś była zbyt mała, by wiedzieć, jak się nazywa, kiedy zabrano ją do sierocińca. Mimo to pamięta strzępy obrazów z przeszłości: "Mama przy maszynie do szycia. Proszę ją o igłę z nitką [...]"

Jestem w ogrodzie [...]. I ostatnie [...], w pokoju jest ciemno, obok puste łóżko, coś się stało. Jestem sama. Boję się". Nic więc dziwnego, że niektóre matki "płakały, wyły i odchodziły od zmysłów, kiedy odbierano im dzieci. Czasami trzeba było je zamykać w ciemnicy, żeby się uspokoiły". Szansa, że kiedykolwiek zobaczą dzieci ponownie, była minimalna.

Wyjście z obozu nie zawsze oznaczało poprawę losu i warunków życia dziecka; najczęściej zasilalo ono niezliczoną rzeszę rówieśników, kierowanych do sierocińców po aresztowaniu rodziców jako kolejne kategorie nieletnich ofiar sys

temu. Jedna z byłych więźniarek pamięta mieszane uczucia i nadzieje, z jakimi

jej obóz zegnał grupę jedenasciorga dzieci, wysyłanych do miejskiego sierocińca,

i przerażenie, jakie zapanowało w łagrze na wieś, że wszystkie zmarły wskutek epidemii, jaka tam wybuchła. W 1931 roku, w kulminacyjnym momencie kolektywizacji, dyrektorzy domów dziecka na Uralu wysyłali rozpaczliwe

listy do lokalnych władz, błagając o pomoc dla tysięcy osieroconych dzieci

kułackich: „W pokoju o powierzchni 12 metrów kwadratowych gnieździ się 30 chłopców. Na 38 dzieci przypada 7 łóżek, na których sypiają

"recydywiści". Dwóch osiemnastolatków zdemolowało instalację elektryczną, okradło sklep i upiło się razem z dyrektorem [...] Dzieci śpią na brudnej podłodze, grają w karty, zrobione ze starych portretów

"Wodza", pałą, wyłamują kraty w oknach i próbują wydostać się na wolność, przełaząc przez ogrodzenie". W innej ochronce dla dzieci kułaków: „Dzieci śpią na podłodze, brakuje butów [...], czasami po kilka dni nie ma wody. Odżywiane są fatalnie; nie dostają na obiad nic poza kartoflami i wodą. Nie ma talerzy i misek; dzieci muszą jeść z chochli. Na sto czterdzieścioro mają jeden kubek, za mało jest łyżek - dzieci jedzą po kolei albo rękami. Nie ma światła, w całym budynku jest tylko jedna lampa naftowa, tyle że nie ma nafty". W 1933 roku jeden z domów dziecka pod Smoleńskiem wystosował do Komisji ds. dzieci Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego, najwyższego organu ustawodawczego ZSRS, telegram następującej treści:

"Dostawy żywności do sierocińca przerwane. Setka wychowanków głoduje. Organizacje odmawiają przydziału deputatów żywnościowych.

Znikąd pomocy. Podejmijcie natychmiastowe działania". Niewiele zmieniło się z upływem czasu. W 1938 roku w jednym z okólników NKWD wspomina się o domu dziecka, w którym doszło do zgwałcenia ośmioletniej dziewczynki przez nieco tylko starszych chłopców, i innym, gdzie 212 dzieci ma w sumie dwanaście łyżek i dwadzieścia talerzy, a śpi w ubraniach i butach z powodu braku

koszul nocnych i piżam. W 1943

roku Natalia Sawienewa została "porwana" z sierocińca przez pewną rodzinę, która chciała zrobić z niej służącą. Rozłączono ją wówczas z siostrą, której nigdy już nie udało się jej odnaleźć. W tego rodzaju domach szczególnie ciężki los czekał dzieci aresztowanych "politycznych"; traktowano je często gorzej od "zwykłych" sierot. Kazano im - jak na przykład dziesięcioletniej podówczas Swietłanie Kogtiewej - "zapomnieć o rodzicach, są bowiem wrogami ludu". Kierujący sierocińcami oficerowie NKWD mieli rozkaz zachować nadzwyczajną czujność i pilnować, by dzieciom kontrrewolucjonistów nie okazywano żadnych szczególnych względów. Umieszczony po aresztowaniu rodziców w domu dziecka Piotr Jakir przebywał tam zaledwie cztery dni, w trakcie których zyskał sobie reputację prowodyra innych dzieci "wrogów ludu". W

związku z tym został natychmiast aresztowany, przeniesiony do więzienia i ostatecznie zesłany do łagru. Miał wówczas czternaście lat. Jeszcze częściej dzieci "politycznych" cierpiały z powodu rozmaitych szykan i prowokacji. Jedno z nich przypomina sobie, że podczas rejestracji w sierocińcu zdjęto mu odciski palców jak przestępca kryminalnemu. W

obawie przez oskarżeniem o "sympatyzowanie z wrogami ludu"

nauczyciele i wychowawcy nie okazywali im żadnych ludzkich uczuć.

Dzieci te dyskryminowano do tego stopnia, że Juieanowa z rozmysłem zapomniała języka niemieckiego, którym posługiwała się w dzieciństwie.

W takich warunkach nawet dzieci inteligentkie szybko nabierały nawyków właściwych profesjonalnym kryminalistom. W momencie aresztowania wybitnego działacza bolszewickiego Lwa Kamieniewa jego syn, Władimir Glebow, który miał wówczas 4 lata, został "zesłany" do specjalnego sierocińca na zachodzie Syberii, w którym około 40 procent podopiecznych stanowiły dzieci "wrogów ludu", drugie tyle młodociani chuligani i przestępcy, a resztę nieletni Cyganie, aresztowani za

"przestępstwo" nomadyzmu. W rozmowie z pisarzem, Adamem Hochsildem, wyjaśniał, na czym polegały korzyści, jakie przynosiły dzieciom politycznych zadzierzgnięte we wczesnej młodości kontakty z młodocianymi kryminalistami; „Kumpel nauczył mnie kilku rzeczy, które później bardzo przydały mi się w życiu - kilku skutecznych metod samoobrony. Tu mam jedną bliznę, a proszę - tu drugą [. .]. Kiedy atakują cię nożem, musisz wiedzieć, jak się bronić. Podstawowa zasada brzmi: atakuj z wyprzedzeniem, nie pozwól, by ktoś uderzył cię pierwszy. Takie było to szczęśliwe, sowieckie dzieciństwo!”. Na wielu pobyt w domach dziecka odcisnął trwałe piętno. Odebrane z sierocińca przez zwolnioną z łagru matkę ośmioletnie dziecko zdradzało

ślady swej edukacji: ledwie umiało mówić, a na jedzenie rzucało się jak zwierzę. Zdarzało się, że dzieci nie chciały, by matki odebrały je z ochronki;

wbito im tam do głowy, że ich rodzice są "wrogami ludu", nie zasługującymi na

żadne ludzkie uczucia. Uczono, jak mają protestować, "jeśli matka przyjedzie

odebrać" i nigdy już nie chciały wrócić do rodziców. Nie powinno więc dziwić, że dzieci masowo uciekały z sierocińców, a gdy już znalazły się na ulicy, szybko wchodziły w kontakt z podziemiem przestępczym i wtedy cykl się zamykał, gdyż prędzej czy później znów je aresztowano. Na pierwszy rzut oka raport NKWD o stanie kompleksu ośmiu obozów za rok 1944/1945 nie wyróżnia się niczym szczególnym. Wymienia łagry które wykonały zadania pięciolatki, i te, które ich nie zrealizowały; wyraża uznanie dla przodowników pracy. Autorzy stwierdzają z ubolewaniem, że w wielu obozów jedzenie jest marne i przeraźliwie monotonne. Donoszą nawet o epidemii jaka wybuchła w jednym z nich, i odnotowują, że wystąpiła po przeniesieniu pięciu osób z zatłoczonego więzienia charkowskiego.

Kilka drobnych szczegółów pozwala zorientować się, o co naprawdę chodzi. W pewnym momencie na przykład pada stwierdzenie, że w jednym z łagrów brakuje "podręczników, piór, zeszytów i ołówków", gdzie indziej mówi się o pladze hazardowych gier, w których stawką są przydziały chleba – niektórzy przegrywają swoje racje na wiele miesięcy naprzód, a dzieje się tak dlatego, że młodszy więźniowie są zdecydowanie zbyt niedoświadczeni, by siadać do kart ze starszymi.

Osiem obozów, o których mowa, to kolonie pracy poprawczej dla nieletnich na

Ukrainie. Nie wszyscy nieletni pozostający w obrębie jurysdykcji Gułagu byli bowiem dziećmi aresztowanych. Wielu trafiło tam niejako z własnej inicjatywy -

pełnili jakieś przestępstwo, zostali aresztowani i zesłani do specjalnych obozów

dla małoletnich. Obozy te prowadzili tacy sami ludzie, jacy kierowali łagrami dla dorosłych, w czego rezultacie były do nich nader podobne. Z

początku zakładano je z myślą o "biezprizornych" - sierotach, bezdomnych dzieciach ulicy, które straciły rodziców lub uciekły z domu w burzliwych latach rewolucji, wojny domowej, kolektywizacji i masowych czystek. W latach trzydziestych stada "biezprizornych" były widokiem powszechnym na wszystkich wielkich stacjach kolejowych i parkach publicznych. Píše o nich Victor Serge; „Widziałem je w Leningradzie i Moskwie, w kanałach, kioskach, lochach cmentarnych, gdzie były właściwymi gospodarzami; słyszałem, jak gawędziły nocą w pisuarach, widziałem, jak podróżowali na dachach wagonów lub skrzyniach pod wagonami... Mali kpiarze, czarni od sadzy, wyłazili ze swych kryjówek, by wyżebrać od podróżnych parę kopiejek i wykorzystać okazję do "zwędzenia" walizki". Była to społeczność tak liczna i nastroczająca tyle problemów, że w 1934 roku centrala Gułagu, aby ograniczyć włóczęgostwo dzieci, których rodziców aresztowano, zdecydowała się na otwarcie pierwszych ochronek w obrębie stacji łagrów dla dorosłych. Rok później zaczęto również zakładać specjalne kolonie dla dzieci. Osadzano w nich nieletnich włóczęgów, zgarniętych z ulic w masowych łapaniach, aby zapewnić edukację szkolną i przyuczyć do wykonywania zawodu. W roku 1935 władze sowieckie wydały również słynne prawo, obniżające granice wieku normalnej odpowiedzialności karnej do lat dwunastu. Od tej pory dzieci "wrogów ludu" i nastoletnie kołchoźnice przyłapane na kradzieży kilku ziaren pszenicy zamykano w więzieniach dla nieletnich razem z młodocianymi prostytutkami, złodziejami kieszonkowymi i "biezprizornymi". W jednym z przeznaczonych do użytku wewnętrznego raportów NKWD znaleźć można wzmiankę o aresztowaniu dwunastoletniej, nie mówiącej po rosyjsku Tatarki, która zgubiła matkę na

stacji kolejowej w Moskwie. Deportowano ją - samotnie - na Daleką Północ.

Liczba nieletnich przestępców była tak pokaźna, że w 1937 roku NKWD

zaczęło

zakładać domy dziecka "o reżimie specjalnym" przeznaczone dla nieletnich, systematycznie łamiących regulamin "normalnych"

sierocińców. W roku 1939 "zwykle" sieroty w ogóle zaprzestano wysyłać do obozów dla nieletnich, które odtąd zarezerwowane zostały dla niepełnoletnich przestępców skazanych przez sąd lub osoboje sowieszczania - komisje specjalne. Mimo perspektywy surowszych wyroków liczba nieletnich kryminalistów systematycznie rosła. Wojna zwiększyła niepomniernie nie tylko liczbę sierot, lecz także młodocianych uciekinierów i dzieci pozbawionych opieki, których ojcowie walczyli na froncie, a matki pracowały dwanaście godzin na dobę w fabrykach.

Pojawiła się też nowa kategoria niepełnoletnich przestępców. Byli nimi młodociani robotnicy przemysłowi, którzy samowolnie porzucili pracę -

często w fabrykach ewakuowanych o setki kilometrów od ich domów rodzinnych - gwałcąc tym samym wydane w czasie wojny prawo "o samowolnym porzuceniu pracy w przedsiębiorstwach zmilitaryzowanych". Statystyki NKWD podają, że w latach 1943-1945 w

"izbach dziecka" zatrzymano 842 144 bezdomnych nieletnich. Większość oddano rodzicom albo skierowano do domów dziecka i szkół

zawodowych. Ale niebagatelna liczba 52 830 dzieci osadzona została w

"koloniach poprawczo-robotniczych" - termin ten to zresztą nic innego, jak milej brzmiący synonim łagrów dla nieletnich. Osadzonych w obozach dla młodocianych pod wieloma względami traktowano niewiele lepiej niż ich rodziców w łagrach dla dorosłych. Aresztowano ich wedle tej samej procedury, jak pełnoletnich, podobny był reżim konwojowy, z tym jednym wyjątkiem, że transportowano ich oddzielnie i nie strzelano bez ostrzeżenia do próbujących ucieczki. W więzieniach trzymano w osobnych, ale równie obskurnych celach. Przedstawiony w jednym z raportów opis takiej celi brzmi dziwnie znajomo: "Ściany są brudne, nie wszyscy więźniowie mają prycze i materace.

Brak prześcieradeł, powłoczek na poduszki i koców. W celi nr 5 okno zatkałe jest

poduszką, ponieważ brak w nim szyby; w celi nr 14 okno nie daje się w ogóle zamknąć". Inny raport określa zbiorczo więzienia dla nieletnich jako

"skrajnie niehigieniczne", wspomina o braku ciepłej wody i elementarnych sprzętów – krzeseł kubków i misek. Zdarzało się, że młodocianych więźniów przesłuchiowano identycznie jak dorosłych. Aresztowanego w sierocińcu czternastoletniego Piotra Jakira umieszczono początkowo w więzieniu dla dorosłych, gdzie był rutynowo przesłuchiwany wedle tej samej jak oni procedury. Śledczy postawił mu zarzut zorganizowania oddziału kawalerii złożonego z anarchistów, który miał

prowadzić działania na tyłach Armii Czerwonej; jako dowód przytaczał fakt, że Jakir doskonale jeździ konno. Ostatecznie dostał wyrok jako "element socjalnie niebezpieczny". Tak samo jak dorosłych przesłuchiowano również Jerzego Kmiecika, szesnastoletniego Polaka aresztowanego w roku 1939 podczas próby przekroczenia granicy sowiecko-węgierskiej. Musiał całymi godzinami stać na baczność lub siedzieć na krześle bez oparcia, karmiono go przesoloną zupą i nie dawano wody do picia. Poza wieloma innymi rzeczami śledczy starał się dowiedzieć, "ile pan Churchill płacił mu za informacje". Kmiecik nie wiedział, kto to taki ów Churchill, i poprosił o wyjaśnienie sensu pytania. W materiałach archiwalnych zachował się protokół przesłuchania piętnastoletniego Władimira Moroza, oskarżonego o prowadzenie "działalności kontrrewolucyjnej" w sierocińcu. Matkę Moroza i jego siedemnastoletniego brata właśnie aresztowano; ojciec został rozstrzelany. Moroz prowadził dziennik, znaleziony później przez NKWD. "Wszędzie wokół pomówienia, kalumnie i kłamstwa - pisał. -

Gdyby ktoś zasnął dwanaście lat temu i nagle się dzisiaj obudził, byłby wstrząśnięty zmianami, jakie dokonały się przez ten czas". Skazany na trzy lata łagru Morozow nigdy do obozu nie dotarł. Zmarł w więzieniu w 1939 roku. Nie były to bynajmniej wypadki odosobnione. W 1939 roku wśród kilku doniesień, jakie pojawiły się w prasie sowieckiej o aresztowaniu funkcjonariuszy NKWD oskarżonych o wymuszanie fałszywych zeznań, znaleźć można relację z procesu w sprawie dotyczącej 160 nieletnich - w większości dwunasto- szesnastolatków, ale było wśród nich również kilkoro dzieci dziesięcioletnich. Czterech oficerów NKWD i funkcjonariuszy prokuratury otrzymało wyroki od pięciu do dziesięciu lat więzienia za metody stosowane podczas przesłuchań. Robert Conquest pisze, że uzyskanie obciążających zeznań w danym wypadku "było stosunkowo łatwe. Dziesięcioletni chłopiec załamał się po jednym całonocnym przesłuchaniu i przyznał się, że od siódmego roku życia należał do organizacji faszystowskiej". O nieletnich więźniów upominał

się też nieubłagany system pracy niewolniczej. Kolonii poprawczych dla nieletnich nie lokowano na ogół w zagłębiach surowcowych i kompleksach leśnych na Dalekiej Północy, ale od reguły tej zdarzały się wyjątki. Na przykład w roku 1940 istniał łagpunkt młodzieżowy w zespole obozowym Norylska. Około tysiąca jego więźniów pracowało w miejscowej cegielni, pozostałych zatrudniano przy odśnieżaniu.

Większość miała około szesnastu lat - starszych przeniesiono do łagrow dla dorosłych - zdarzali się jednak i młodszy, nawet dwunastolatkowie.

Inspekcje bardzo krytycznie wyrażały się o panujących tam warunkach i ostatecznie łagpunkt przeniesiono bardziej na południe - zanim to jednak nastąpiło, zanotowano kilka wypadków śmierci z chorób, zimna i wycieńczenia. Bardziej typowy wydaje się raport z Ukrainy, w którym wspomina się, że więźniów kolonii pracy dla nieletnich zatrudnia się w miejscowych zakładach przemysłu drzewnego i metalurgicznego oraz fabrykach włókienniczych". Kmiecik, którego osadzono w jednej z takich kolonii w okolicach Żytomierza, pracował w fabryce mebli. Kolonie pracy dla nieletnich funkcjonowały na zbliżonych zasadach jak zwykłe łagry -

panował w nich podobny reżim, miały swój plan produkcji, a więźniowie musieli wyrabiać określone normy. W jednym z rozporządzeń NKWD z 1940 roku określono długość dnia roboczego dla młodzieży w wieku od 12 do 16 lat na cztery godziny, drugie cztery godziny dziennie miała zajmować nauka. Więźniowie od 16 do 18 roku życia mieli pracować osiem godzin, z dwugodzinną

przerwą na zajęcia lekcyjne. W Norylsku norm tych nie przestrzegano, a szkoły nie było w ogóle.

W obozie Kmiecika zajęcia lekcyjne odbywały się wieczorami. W szkole uczono go między innymi, że: "Anglia jest wyspą w Europie Zachodniej

[...], którą rządzą lordowie odziani w purpurowe szaty z białymi kołnierzami. Mają na własność robotników, którzy na nich pracują i którym płacą marne grosze".

Edukacja nie

była zresztą podstawową funkcją tych instytucji. W 1944 roku Beria z dumą meldował Stalinowi, że obozy dla małoletnich wniosły imponujący wkład w wysiłek

obronny kraju, wytwarzano tam bowiem miny, granaty i innego rodzaju broń

o łącznej wartości 150 milionów rubli. Małolatków poddawano takiej samej indoktrynacji i takim samym działaniom propagandowym jak dorosłych. Gazetki z połowy lat trzydziestych przedstawiają sylwetki nieletnich stachanowców i wychwalają "trzydziestkopiątkowców" -

"biezprizornych" umieszczonych w obozach na mocy prawa z 1935 roku -

którzy dostrzegli swoją szansę i przeobrazili się dzięki pracy fizycznej.

Jednocześnie piętnują innych, "wśród których nadal pleni się hazard, pijaństwo, uchylanie się od pracy, chuligaństwo i złodziejstwo", a którzy nie zrozumieli jeszcze, że "muszą zerwać z przeszłością i zacząć życie od nowa". W celu zwalczania wspomnianych przejawów "pasożytnictwa"

nieletni musieli wysłuchiwać tych samych koncertów "kulturalno-oświatowych" i śpiewać te same pieśni ku czci Stalina. Poddawano ich również podobnej presji psychicznej. Dyrektywa NKWD z 1941 roku zalecała tworzenie w koloniach pracy dla nieletnich "agenturno-opieratiwnych obsłużywani" - sieci informatorów. Powodem były pogłoski o kontrrewolucyjnych sympatiach panujących wśród personelu i więźniów łagrów dla nieletnich, zwłaszcza dzieci kontrrewolucjonistów.

W jednym z obozów małoletni wznieśli nawet bunt - zajęli i zdemolowali stołówkę, po czym zaatakowali strażników, raniąc sześciu z nich. Pod jednym tylko względem więźniowie obozów dla nieletnich mogli mówić o szczęściu - nie zsyłano ich do zwykłych łagrów i nie musieli żyć w otoczeniu dorosłych zeków, tak jak inne dzieci. Tymczasem problem rosnącej ich liczby w "normalnych" łagrach był dla komendantów kłopotem równie stałym i uciążliwym, jak kwestia ciężarnych więźniarek.

W październiku 1935 roku zirytowany Jagoda rozesłał do wszystkich komendantów łagrów okólnik, w którym ubolewał, że "wbrew zaleceniom, małoletnich więźniów nie wysyła się do kolonii pracy dla nieletnich, lecz przetrzymuje w więzieniach razem z dorosłymi". Zgodnie z najnowszymi ustaleniami - stwierdza - w więzieniach nadal przebywa 4305 nieletnich". Trzydzieści lat później w raportach śledczy w dalszym ciągu uskarżają się, że liczba małoletnich więźniów w "zwykłych"

łagrach, gdzie demoralizują ich dorośli kryminaliści, jest stanowczo zbyt wysoka, co dostrzegła nawet administracja obozów, zwłaszcza od czasu, gdy jednemu z hersztów obozowego środowiska zawodowych kryminalistów udało się wykształcić jednego z drobnych złodziejasków na zawodowego mordercę.

"Małolatki" - nieletni - nie budzili sympatii współwięźniów. "Głód i przerażenie tym, co się stało, pozbawiło ich wszystkich sił do obrony" -

pisze Razgon, dodając, że w naturalny niejako sposób garnęli się do silniejszych – profesjonalnych kryminalistów, którzy "zamieniali chłopców w służących, wiernych niewolników, błaznów, zakładników, a bez względu na płeć - w prostytutki". Nie budziło to jednak ani cienia współczucia, przeciwnie, autorzy wspomnień obozowych najbardziej ostrych słów i najgrubszych epitetów używają, gdy mówią właśnie o nich.

Razgon pisze, że bez względu na środowisko, z którego się wywodzili, małoletni więźniowie bardzo szybko "wykazywali przerażające okrucieństwo, bez zahamowań i odpowiedzialności", a nawet gorzej: „[...]

nie bali się nikogo i niczego. Strażnicy i obozowa starszyzna obawiali się wejść do

oddzielnych baraków, w których mieszkali nieletni. Dochodziło tam do najbardziej nikczemnych, cynicznych i okrutnych aktów, jakie zdarzały się w obozach. Jeśli któryś z szefów świata kryminalnego zgrał się do cna, postawił jako stawkę swoje życie i również mu się nie powiodło, chłopcy ci zabijali go za dzienną rację chleba lub po prostu "dla przyjemności".

Dziewczyny przechwalały się, że potrafią zaspokoić całą brygadę. W

dzieciach tych nie pozostało [już] nic ludzkiego i nie sposób sobie wyobrazić ich powrotu do normalnego świata, tego, że znów mogą stać się zwykłymi istotami ludzkimi”. Opinię tę podziela Sołżenicyn: „W ich świadomości nie ma żadnej linii demarkacyjnej między tym, co wolno, a tym, czego nie wolno, i - rzecz jasna - żadnego pojęcia o tym co dobre, a co złe. Dobre dla nich jest to wszystko, czego chcą oni, a złe - to, co im stoi na zawadzie. Bezczelny, nachalny sposób zachowania przyswajają sobie dlatego, że jest to najwygodniejszy sposób bycia w obozie”.

Holender, Johan Wigmans, również pisze o młodych ludziach, którym

"najwyraźniej nie przeszkadzało, że żyją w łagrze. Teoretycznie mieli pracować, ale praca

była ostatnią rzeczą, jaka mogła im przyjść do głowy; mieli za to zagwarantowane

utrzymanie i nieograniczone możliwości pobierania nauk od swoich starszych

kompanów". Zdarzały się jednak wyjątki. Aleksandr Klein wspomina dwóch trzynastoletnich chłopców, których aresztowano jako

"partyzantów". Obaj dostali dwudziestoletnie wyroki. W łagrze spędzili dziesięć lat, trzymając się zawsze razem - na każdą próbę rozdzielenia odpowiadali strajkiem głodowym. Ich młody wiek

budził powszechne współczucie - przydzielano ich do lekkich prac; dostawali dodatkowe racje żywnościowe. Obu udało się zapisać na obozowe kursy techniczne i obaj zostali cenionymi i kompetentnymi fachowcami. Zwolniono ich w ramach amnestii ogłoszonej wkrótce po śmierci Stalina. Gdyby nie obóz, pisze Klein, "kto pomógłby tym na poły niepiśmiennym wiejskim chłopcom zdobyć wykształcenie i stać się dobrymi specjalistami?". Mimo to, gdy pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaczęłam poszukiwać relacji nieletnich więźniów Gułagu, z trudem udało mi się dotrzeć do zaledwie kilku. Poza wspomnieniami Jakira, Kmiecika i relacjami garstki innych osób zebranych przez Stowarzyszenie "Memoriał" na dobra sprawę ich nie ma. A przecież były dziesiątki tysięcy takich więźniów i wielu z całą pewnością przeżyło. Sugerowałam nawet mojej rosyjskiej przyjaciółce, aby zamieścić w prasie ogłoszenie, że poszukujemy ich i chcemy przeprowadzić z nimi wywiad. "Nie rób tego - odpowiedziała - wszyscy dobrze wiemy, kim stali się ci ludzie". Dziesiątki lat propagandy, plakatów dziękujących Stalinowi "za nasze szczęśliwe dzieciństwo", którymi tapetowano ściany sierocińców, nie zdołały przekonać ludzi sowieckich, że dzieci

urodzone w łagrach, "biezprizorni" i dzieci z sierocińców mogły wyrosnąć na kogokolwiek poza kutymi na cztery nogi członkami licznej i potężnej kasty kryminalistów sowieckich.

ROZDZIAŁ 16

Umrzyki

„Cóż znaczy – wyczerpanie.. Cóż

znaczy – zmęczenie.. Każda chwila

jest przerażająca Każdy moment

bólu nóg i ramion. Straszliwy głód -

bredzenie o chlebie. "Chleb, chleb" -

wystukuje serce. Daleko, na

smętnym niebie wędruje obojętne

słońce. Oddychasz z cienkim

świstem. Jest pięćdziesiąt stopni

mrozu. Co to znaczy – umierać.

Góry patrzą - i milczą”

Nina Hagen-Thorn

OD POCZĄTKU DO KOŃCA istnienia Gułagu miejsce na samym dnie obozowej hierarchii zajmowali umierający - czy może raczej żywe trupy.

Terminy, jakimi ich określano, stanowią niemałą część zasobu leksykalnego obozowego żargonu. Mówiło się o nich czasem "fitile" -

knoty, przez skojarzenie z knotem dopalającej się świecy; niekiedy "gownojedy" - gównojady, lub "pomojeczniki" -

chłeptacze pomyj; najczęściej jednak nazywano ich "dochodiagami".

Rzeczownik ten wywodzący się od rosyjskiego czasownika dochodit' -

dosłownie "dochodzić" (tu w znaczeniu "docierać do kresu") - oznacza człowieka "na wykończeniu", dożywającego swoich ostatnich dni. Krótko mówiąc, "dochodiaga" był więźniem umierającym z głodu i mnóstwa schorzeń spowodowanych niedożywieniem i awitaminozą - szkorbutu, pelagry

i różnych odmian dyzenterii. W pierwszej ich fazie choremu zaczynały puchnąć

dziaśła, chwiać się i wypadać zęby; na skórze pojawiały się wrzody -

objawy te

niekiedy mieli również obozowi strażnicy. W następnym stadium zapadał

na kurzą ślepotę - przestawał widzieć w półmroku i ciemnościach.

Herling-Grudziński

pamięta "kurzych ślepców, stąpających wolno rano i wieczorem z wyciągniętymi

przed siebie rękami". Głodujący cierpieli na zaburzenia czynności układu pokarmowego i zawroty głowy; puchły im nogi. Thomas Sgovio, który w pewnym momencie znalazł się na krawędzi śmierci głodowej, obudził się któregoś dnia i stwierdził, że jedna z jego nóg jest "pokryta purpurowoczerwonymi plamami, dwukrotnie większa od drugiej i straszliwie swędzi". Plamy przekształciły się wkrótce w "wielkie pęcherze, z których sączyła się ropa i krew. Po naciśnięciu palcem na obrzękniętym, purpurowym ciele przez dłuższy czas widać było wyraźne wgłębienia". Sgovio nie mógł włożyć butów; ktoś poradził mu wtedy, by je rozciął. "Dochodiaga" w ostatnim stadium choroby głodowej był

tragikomiczną karykaturą postaci ludzkiej - przed śmiercią rzeczywiście stawał się upiornym potwierdzeniem głównej tezy propagandy sowieckiej, odmawiającej "wrogom ludu" prawa do miana człowieka. Popadał w szaleństwo i często całymi godzinami bredził

coś bez sensu i mamrotał niezrozumiałe słowa. Skórę miał wiotką i wysuszoną; jego oczy zaczynały płonąć niesamowitym blaskiem. Pożerał

wszystko, co wpadło

mu w rękę, przede wszystkim odpadki. Poruszał się w zwolnionym tempie. Tracił

kontrolę nad odruchami fizjologicznymi, w związku z czym przeraźliwie śmierdział. Tamara Pietkiewicz tak oto opisuje wrażenie, jakie zrobiły na niej pierwsze spotkane knoty: „Za drutem kolczastym ustawił się rząd istot, zdradzających odległe podobieństwo do ludzi [...]. Było ich dziesięć; dziesięć szkieletów obciążniętych brunatną, pergaminową skórą, nagich do pasa, z ogolonymi na zero głowami i obwisłymi piersiami. Miały na sobie tylko żałośnie brudne kalessony; kości goleniowe sterczały im z wklęsłych zagłębień. Głód, upał i mordercza praca przekształciły je w zasuszone okazy, które wciąż jeszcze, półświadomie czepiały się ostatnich okruchów życia”. We wstrząsającym, poetyckim portrecie "dochodiagi"

Warłam Szalamow podkreśla to, co najbardziej przerażało we wszystkich umierających z głodu - ich odczłowieczenie i utratę poczucia własnej tożsamości.

Wznoszę mój kielich ku leśnej drodze Ku

tym, co na niej padli, Ku tym, którzy nie

mogli już wlec się dalej, Lecz ich do tego

zmuszano.

Ku ich niebieskawym wargom,

Ich identycznym twarzom,

Ich postrzępionym, okrytym szronem buszłatom,

Dłoniom bez rękawiczek.

Wodzie, którą piją ze starych cynowych puszek,

Szkorbucie, który rozchwiewa im zęby,

Zębom opasłych wilczurów, ;

Które budzą ich o świcie.

Ku ponuremu słońcu, Które

obserwuje ich obojętnie,

Śnieżnobiałym nagrobkom,

Dziele utalentowanych zamieci.

Ku porcjom gliniastego chleba Przełykanym

w pośpiechu, Błademu, zbyt wysoko

sklepienemu niebu, Ku rzece Bajan - Juriach!

Termin "dochodiaga" - w takim przynajmniej znaczeniu, w jakim używano go w łagrach sowieckich - nie określał jednak wyłącznie stanu fizycznego i wyglądu więźnia w ostatnim stadium choroby głodowej. To nie po prostu człowiek chory głodu - pisze Sgovio - to człowiek głodny do tego stopnia, że przestaje dbać o siebie i zwracać uwagę na wszelkie inne, poza jedzeniem, potrzeby.

Zazwyczaj

proces ten dokonywał się stopniowo, przechodził kolejne stadia -

więźniowie przestawali się myć, kontrolować odruchy fizjologiczne (innymi słowy robili pod siebie), reagować na wyzwiska i bicie tak jak inni ludzie i - w literalnym tego słowa znaczeniu - szaleli z głodu. Sgovio był wstrząśnięty widokiem swego moskiewskiego znajomego, komunisty Eisensteina, którego spotkał w obozie w takim właśnie stanie: „Z początku nie poznałem go. Eisenstein nie odpowiedział, kiedy go powitałem, miał

pozbawioną wyrazu twarz "dochodiagi". Patrzył jakby przeze mnie, jakby wogle mnie nie było. Wydaje się, że w ogóle nie dostrzegał nikogo. Jego oczy ziały pustką. Zbierał puste miski ze stołu i sprawdzał, czy nie zostały w nich jakieś reszki. Wycierał każdą z nich palcem i oblizywał go”.

Eisenstein - pisze Sgovio - tak jak inne knoty stracił elementarne poczucie godności osobistej. „Przestawali dbać o siebie, nie myli się - nawet jeśli mieli taką możliwość. Knoty przestawały zabijać wszy, które wysysały ich krew. "Dochodiaga" nie wycierał wiszących mu u nosa sopli rękawem buszłata [...], nie reagował na szturchańce i ciosy. Zaatakowany przez innego zeka osłaniał tylko głowę, padał na ziemię, a kiedy zostawiono go w spokoju i jeśli starczało mu sił, wstawał i odchodził, jakby się nic nie stało. Często widać było "dochodiagów" kręcących się wokół kuchni i zebrzących o odpadki. Czasami

mi kucharz - dla zabawy - chlusnął knotowi chochlę zupy w twarz; nieszczęśnik wycierał wtedy zarost dłonią i skrzętnie ją oblizywał [...]. W

jadalni knoty ustawiały się wokół stołów, czekając na kogoś, kto zostawi trochę zupy lub kaszy. Jeśli zdarzyło im się coś takiego, najbliższy z nich rzucał się na miskę, a inni starali się mu ją odebrać, w zamieszaniu często rozlewając jej zawartość. Padali wtedy na ziemię i na czworakach walczyli między sobą o resztki, dopóki najmniejsza drobina jakiegokolwiek jadalnej substancji nie znikła w ich ustach”.

Kilku więźniów, którzy osiągnęli stadium "dochodiagi", a mimo to przeżyli,

próbowało - nie zawsze zresztą z powodzeniem - opisać odczucia, jakich doznaje

żywy trup. Po ośmiu miesiącach spędzonych na Kołymie - wspomina Janusz Bardach - "gdy budziłem się rano, nękały mnie zawroty głowy i czułem, że mój umysł

się przyćmił. Coraz więcej czasu musiało upłynąć, zanim udało mi się pozbierać

z pryczy i pójść do stołówki". Jakow Efrussi zaczął staczać się do poziomu "dochodiagi", kiedy ukradziono mu okulary. "Każdy krótkowidz wie, czym jest życie bez okularów, wydaje ci się, że wszystko wokół

ciebie otacza mgła". Później amputowano mu odmrożone palce u lewej ręki. „Nieustanny głód niszczy psyche człowieka. Nie można przestać myśleć o jedzeniu, myślisz o nim bez przerwy. Jesteś już nie tylko słaby fizycznie, słabniejesz również moralnie; głód odziera cię z szacunku dla samego siebie i poczucia własnej wartości. Wszystkie myśli krążą wokół

jednego - jak zdobyć coś do jedzenia. To dlatego "dochodiagi"

zawsze krążą wokół śmietników, w pobliżu jadalni i przy wejściu do kuchni. Czekają, że może ktoś wyrzuci z kuchni coś jadalnego, na przykład parę liści kapusty”. Psychiczny przymus przebywania w pobliżu kuchni i obsesja na punkcie

wszystkiego co jadalne odbierały "dochodiagom" zdolność myślenia o czymkolwiek innym - stan ten próbował opisać również Herling-Grudziński. „Jaka jest granica jego działania, poza którą chyląca się do upadku godność ludzka odzyskuje na nowo swą zachwianą równowagę?

[...] Ileż to razy ja sam, rozplaszczony pałającą twarzą na oblodzonej szybie kuchni, zebrałem niemym spojrzeniem u złodzieja leningradzkiego Fiedzki o jeszcze jedną chochlę "rzadkiego"? A czyż najlepszy mój przyjaciel, stary komunista i towarzysz młodzieńczych lat Lenina, inżynier Sadowski, nie wyrwał mi raz na opustoszałym pomoście obok kuchni blaszanki z zupą, aby nie dobiegłszy z nią nawet do wychodka, wychłptać po drodze gorącą cieczą spragnionymi wargami?

Jeżeli istnieje Bóg, niech karze bezlitośnie tych, którzy łamią ludzi głodem”. Jehoszua Gilboa, aresztowany w 1940 roku syjonista z Polski, rozwodzi się szczegółowo nad różnymi metodami oszukania głodu, do jakich uciekali się więźniowie: "Próbowaliśmy oszukać głód, krusząc kawałki chleba na coś w rodzaju mąki. Dodawało się do tego sól i zalewało dużą ilością wody. Przysmak ten nazywano "sosem chlebowym".

Słona woda nabierała trochę koloru i smaku chleba. Wypijało się wodę, zostawiając na dnie chlebową papkę, którą trzeba było zalać wodą powtórnie, by wydobyć z niej ostatnie ślady smaku chleba. Jeśli po wypiciu całej wody chlebowej

zjadałeś na deser "sos", to mimo że był on zupełnie pozbawiony smaku, miałeś

wrażenie, jakbyś zjadł kilkaset gramów chleba więcej”. Gilboa moczył

również w wodzie solone ryby; użycie otrzymanej w ten sposób cieczy

"do "sosu chlebowego" pozwalało uzyskać przysmak godny królewskiego stołu". Jeśli więzień

niemal cały czas myszkował wokół kuchni w poszukiwaniu odpadków, oznaczało to zazwyczaj, że jest bliski śmierci i umrzeć może w każdym na dobrą sprawę momencie - we śnie, w drodze na roboty, jedząc "bałandę". Janusz Bardach był świadkiem śmierci człowieka, który upadł podczas wieczornego apelu:

„Wokół niego zebrała się grupka innych więźniów.

- Ja biorę czapkę - rzekł jeden z mężczyzn. Pozostali rozdrapali buty, onuce, waciak i spodnie ofiary. O kalesony wynikła bójka.

Ledwo zdarto z więźnia całe ubranie, ten poruszył głową, uniósł dłoń i stwierdził słabym, lecz wyraźnym głosem:

- Ależ zimno.

Lecz wtedy głowa opadła mu w tył, na śnieg, a oczy zasły mgłą.

Wianuszek hien z niezmaconym spokojem odwrócił się na pięcie, zabierając, co komu się trafiło, wszelkie strzępy. Nieszczęśnik prawdopodobnie zmarł z wyziębienia kilka minut po ograbieniu”.

Więźniowie umierali jednak nie tylko z głodu. Wielu ginęło w wypadkach przy pracy; inni - wycieńczeni niedożywieniem - łatwo padali ofiarą chorób. Wspominałam już o epidemiach duru brzuszego; głód i przepracowanie zmniejszały jednak odporność zeków także na inne schorzenia i dolegliwości. W samym tylko Sibłagu w pierwszym kwartale 1941 roku hospitalizowano 8029 więźniów; z 746 u których stwierdzono gruźlicę, zmarło 109; z 72 chorych na zapalenie płuc 27, z 36 mających dyzenterię - 9. Śmiercią zakończyło się 7 ze 177 przypadków ciężkich odmrożeń; z 302 zeków cierpiących na choroby układu pokarmowego zmarło 7, a z 912 chorych na chorobę wieńcową - 123. Więźniowie odbierali sobie również życie - choć z trudnych do wyjaśnienia przyczyn jest to temat zakazany. Trudno dziś określić, ilu ich było, nie istnieją bowiem żadne statystyki samobójstw, a opinie byłych zeków są w tej mierze zdecydowanie rozbieżne. Żona Osipa Mandelsztama, Nadieżda, pisze, że więźniowie łagrów nie popełniali samobójstw - zbyt ciężko walczyli o to, by przeżyć. Podobny

pogląd wyrażają i inni. Jewgienij Gniedin wspomina, że choć zastanawiał

się nad

samobójstwem w więzieniu, przez następne osiem lat łagrów "ani razu nie przyszła mi do głowy myśl o samobójstwie, każdy dzień był walką o życie. Jakże prowadząc taką walkę, można myśleć o rezygnacji z życia? I był cel - wydobyć się z tarapatów, i żyła nadzieja - spotkać w pełni sił

najbliższych ludzi".

Inaczej widzi ten problem historyk, Catherine Merridale, która prowadząc kwerendę archiwalną w Rosji, zetknęła się dwoma moskiewskimi psychologami,

również pracującymi nad problemem Gułagu. Obaj - podobnie jak Nadieżda Mandelsztam i Gniedin -

byli zdania, że przypadki samobójstw i chorób umysłowych

zdarzały się w łagrach rzadko, a gdy Merridale przedstawiła im dowody świadczące

o czymś wręcz przeciwnym, "wyglądali na zaskoczonych i nieco urażonych".

Merridale uważa ich stanowisko za przejaw niezrozumiałego przywiązania do "mitu stoicyzmu rosyjskiego", nie da się jednak wykluczyć również innych jego źródeł. Krytyk literacki Tzvetan Todorov przypuszcza, że pisząc o sporadycznych

przypadkach samobójstw, byli więźniowie łagrów mistyfikują przeszłość, aby udowodnić, że obóz był czymś tak niewyobrażalnie potwornym, iż nikt nie zdecydował się na "normalne", zdawałoby się w takiej sytuacji, wyjście. Starają się tym samym podkreślić niepowtarzalność własnych przeżyć i "dać w ten sposób do zrozumienia, że łagry to zjawisko z niczym nieporównywalne, jedyne w swoim rodzaju". W istocie relacji o samobójstwach wcale nie jest aż tak mało. Rotfort wspomina o przypadku odebrania sobie życia przez młodego chłopaka, którego – jako obiekt usług seksualnych - wygrał w karty jeden z "urków". Eizenberger pisze o młodej samobójczyni, obywatelce sowieckiej pochodzenia niemieckiego, która zostawiła "pożegnalny" list do Stalina: "Moja śmierć jest świadomym aktem protestu przeciwko przemocy i bezprawiu wymierzonemu przeciwko nam, Niemcom

sowieckim, przez organa NKWD". Więzień Kołymy - Mindlin - mówi, że w latach trzydziestych dość często zdarzało się, że więźniowie świadomie wkraczali

do "strefy niczyjej" i czekali tam, aż wartownik ich zastrzeli". Ginzburg własnoręcznie odcięła sznur, na którym powiesiła się jej przyjaciółka, Polina Miernikowa; pisze o niej z nieukrywanym podziwem:

"Potwierdziła swoje ludzkie prawo, po gospodarsku rozporządzając sobą".

Według Todorova samobójstwo było dla wielu więźniów Gułagu i nazistowskich obozów koncentracyjnych jedyną możliwością udowodnienia, że nie do końca stracili możliwość samodzielnego wyboru, wolnej woli: "Odbierając sobie życie, wpływa się na bieg wydarzeń - nawet jeśli tylko po raz ostatni - zamiast się im wyłącznie poddawać.

Samobójstwo jest więc formą obrony, a nie aktem rozpacz". Władz obozu nie interesowało, w jaki sposób umiera zek; zależało im wyłącznie na tym, by utrzymać w całkowitej lub przynajmniej częściowej tajemnicy prawdziwe dane na temat śmiertelności więźniów. Komendanci łagpunktów, w których wskaźnik śmiertelności był zbyt wysoki, narażali się na ryzyko kary. Nie groziła ona wprawdzie nieuchronnie, niekiedy pojawiały się nawet głosy, że więźniów powinno umierać więcej, mimo to komendanci kilku najbardziej "śmiercionośnych" obozów rzeczywiście utracili swoje stanowiska. Z tej też przyczyny - jak wspomina jeden z byłych więźniów - lekarze obozowi ukrywali zwłoki więźniów przed inspektorami. W niektórych łagrach dogorywających zeków przedterminowo zwalniano; umierali więc już jako ludzie wolni i nie zawyżali obozowych wskaźników śmiertelności. Nawet wówczas, gdy przypadki zgonów rejestrowano, nie zawsze robiono to rzetelnie.

Komendanci obozów w taki czy inny sposób zmuszali lekarzy, aby

"wygłodzenie" nie pojawiało się w aktach jako bezpośrednia przyczyna śmierci. Chirurg Izaak Vogelfanger otrzymał wyraźnie polecenie, aby bez względu na rzeczywistą przyczynę zgonu więźnia w odpowiedniej rubryce kwestionariusza wpisywać "niewydolność mięśnia sercowego". Zdarzało się jednak, że miało to skutki odwrotne od zamierzonych; nadmierna liczba zarejestrowanych przez lekarza przypadków "zawału serca" mogła wydać się podejrzana. Pociągało to za sobą ekshumację zwłok, a w jej efekcie ustalano, że prawdziwą przyczyną zgonu była, dajmy na to, pelagra. Czasami przekłamania w dokumentacji wynikały nie ze świadomego jej zafałszowania, lecz zwykłego bałaganu. Inspekcja przeprowadzona w jednym z łagrów wykazała, że "zmarli figurują w aktach jako żywi i na odwrót". Zdarzało się, że przypadki śmierci zeków starano się zataić przed współwięźniami. Wprawdzie całkowicie ich ukryć się nie dawało - wedle jednej z relacji "ułożone w stos zwłoki leżały pod ogrodzeniem aż do wiosennej odwilży" - jednak w niektórych łagrach ciała zmarłych wywożono pod osłoną nocy i potajemnie grzebano.

Edward Buca stał się mimowolnym świadkiem tej praktyki tylko dlatego, że pewnego razu musiał zostać po godzinach na stanowisku pracy, żeby wykonać dzienną normę: „Zwłoki leżały jak kłody pod odkrytą wiatą, dopóki nie zgromadziła się wystarczająca liczba ciał, by pogrzebać je w zbiorowej mogile na obozowym cmentarzu. Układano je na saniach, nagie, głowami na zewnątrz. Każdy trup miał przywiązaną do dużego palca

prawej stopy drewnianą tabliczkę - birkę - z nazwiskiem i numerem więźnia. Zanim

sanie wyjechały za bramę obozu, nadziriatiel - oficer NKWD, rozbijał

kilofem głowy zmarłych, co gwarantowało, że na saniach nie wymknie się z łagru nikt żywy. Poza zoną [trupy] zwalano do tranzei jednego z kilku szerokich rowów wykopanych jeszcze latem. Kiedy więźniowie zaczęli umierać masowo, zmieniono praktykę "sprawdzania" przy wyjeździe z łagru. Zamiast rozwalać głowy kilofem, strażnik przebijał ciała szompołem - grubym prętem o zaostrozonym końcu. Najwyraźniej wymagało to mniej wysiłku niż branie zamachu kilofem". W tajemnicy utrzymywano również pochówki masowe jako - teoretycznie przynajmniej

- zakazane, choć w praktyce, jak się wydaje, powszechne. W

bezpośrednim sąsiedztwie rozsianych po całej Rosji terenów należących do byłych obozów sowieckich znaleźć można ślady masowych mogił.

Groby te zresztą otwierają się niekiedy same - doskonale konserwująca zwłoki warstwa wiecznej zmarzliny jest ruchoma i zdarza się, że podczas wiosennych roztopów ciała zmarłych samoistnie wynurzają się spod ziemi. "Kamień i Północ - pisze Szałamow - przeciwstawiały się ze wszystkich sił [...], nie dopuszczając martwych do swego wnętrza. Kamień

[...] obiecywał, że o niczym nie zapomni, że będzie czekać i przechowywać tajemnicę. Surowe zimy, gorące lata, wiatry, deszcze, w ciągu sześciu lat odebrały mu nieboszczyków. Ziemia się otworzyła, ukazując swoje podziemne składy, w podziemiach Kołymy bowiem znajduje się nie tylko złoto, nie tylko cyna, nie tylko wolfram i uran, ale i nie dające się zniszczyć ludzkie ciała". Aby uniknąć tego

rodzaju - bardzo niepożądanych - przypadków, w 1946 roku centrala Gułagu rozesała do wszystkich komendantów obozów rozporządzenie, nakazujące chować zmarłych osobno. Zwłoki miały być owinięte w całun, a głębokość mogiły nie mniejsza niż półtora metra. Miejsce pochówku powinno zostać oznaczone - tyle że nie imieniem i nazwiskiem, a obozowym numerem zmarłego i tylko archiwista obozu miał wiedzieć, kogo i gdzie pogrzebano. Wszystko to brzmiałoby jeszcze w miarę cywilizowanie, gdyby nie pewien szczegół - instrukcja nakazująca wyrywanie zmarłym złotych zębów. Czynność ta miała odbywać się w obecności komisji złożonej z przedstawicieli personelu medycznego, administracji i wydziału finansowego łagru, a uzyskane w ten sposób złoto należało deponować w banku. Trudno jednak wyobrazić sobie, by tego rodzaju komisje powoływano nadmiernie często. W świecie, w którym zwłok było aż nadto, ordynarna kradzież złotych zębów nie przedstawiała większych trudności, tym bardziej że łup był łatwy do ukrycia. Herling-Grudziński wspomina: „Śmierć w obozie była straszna także i przez swoją anonimowość. Nie wiedzieliśmy, gdzie się grzebie umarłych i czy po śmierci więźnia spisuje się najlapidarniejszy choćby akt zejścia [...]”.

Świadomość, że nikt nigdy nie dowie się o ich śmierci i o tym, gdzie ich pochowano, była dla więźniów jedną z największych tortur psychicznych

[...], na ścianach baraków pojawiały się wydrapane w tynku nazwiska więźniów, które pozostali przy życiu towarzysze mieli uzupełnić we właściwym czasie krzyżykami i datami, każdy więzień przestrzegał

dokładnie regularnych odstępów w korespondencji z rodziną, aby nagła przerwa mogła dać przybliżone pojęcie o dniu jego śmierci”. Mimo starań więźniów miejsca pochówku wielu zmarłych nie udało się oznakować, ich śmierć nigdzie nie została odnotowana i w końcu zatarła się w pamięci. W

pobliżu dawnych obozów sowieckich dostrzec można czasem ślady masowych grobów - połacie nierównej ziemi o wyraźnie odmiennym odcieniu, kępy młodych sosen i wysokiej trawy porastającej wykopane przed półwieczem mogiły. Niekiedy pamięci zmarłych strzeże postawiony przez okolicznych mieszkańców pomnik. Najczęściej jednak nie ma nic.

Nazwiska i imiona tych, którzy tam spoczywają, ich losy i genealogie raz na zawsze pogrzyły się w mroku niepamięci.

ROZDZIAŁ 17

Strategie przetrwania

„Jestem biedny, samotny i nagi,

Nie mam ognia. Zewsząd

otacza mnie Liliowy poranny

smutek.

Recytuję swe wiersze,

Wykrzykuję je.

Zaniepokoiły się

Nagie i głuche drzewa

Tylko w uszach dźwięczy Echo

odległych gór. I westchnąwszy

głęboko, Znowu oddycham

swobodnie”.

Warłam Szalamow Nieskolko moich iyznief

MIMO WSZYSTKO wielu więźniom udało się przeżyć łagry. Nawet te cieszące się

najgorszą sławą, nawet w najtrudniejszych warunkach. Przeżyli lata wojny, głodu

i masowych egzekucji. Co więcej, udawało im się nawet przetrwać psychicznie -

na tyle przynajmniej, aby odzyskać siły i powrócić do względnie normalnego życia. Janusz Bardach został chirurgiem plastycznym, Filsztinski znów zaczął wydawać literaturę arabską, Lew Razgon pisać książki dla dzieci, a Anatolij Żygulim - wiersze. Jewgienia Ginzburg przeprowadziła się do Moskwy i przez całe lata była duszą grupy łagiernych przyjaciół, którzy spotykali się regularnie, jedli, pili i toczyli spory za jej kuchennym stołem. Aresztowana jako nastolatka Ada Puriżyńska wyszła za mąż i urodziła kilkoro utalentowanych muzycznie dzieci. Z dwójką z nich spotkałam się przy wystawnym obiedzie rodzinnym; humory dopisywały wszystkim, a Puriżyńska raz po raz wносиła na stół kolejne półmiski znakomitych zimnych zakąsek i wydawała się oczarowana, że nie jestem już w stanie przełknąć ani kęsa więcej. Dom Ireny Arginskiej rozbrzmiewa śmiechem - w niemałej mierze jej własnym. Po czterdziestu latach Irena potrafi robić sobie żarty ze stroju, jaki nosiła w obozie: "Myślę że mogłabyś to nazwać rodzajem żakietu" - powiedziała, opisując mi bezkształtny łagierny waciak. Razem z Arginską zaśmiewały się jej dorosłe córki. Niektórzy wiedli później życie niezwykle, zdobyli światowe uznanie i sławę. Aleksander Sołżenicyn został najśłynniejszym i najlepiej sprzedającym się pisarzem rosyjskim; Gorbатов w stopniu generała pułkownika współdowodził szturmem na Berlin. Siergiej Korolow, odsiedziawszy swój wyrok w "szarasce" na Kołymie, został po wojnie jednym z ojców sowieckiego programu badania przestrzeni kosmicznej. Herling-Grudziński po wyjściu z obozu walczył w polskich siłach zbrojnych, a później - mimo iż żył i tworzył na emigracji, w Neapolu - stał się jednym z najwybitniejszych i cieszących się największym szacunkiem polskich intelektualistów. Wiadomość o jego śmierci - w lipcu 2000 roku - ukazała się na pierwszych stronach gazet wydawanych w postkomunistycznej Polsce. Na jego twórczości -

zwłaszcza obozowych wspomnieniach pod tytułem „Inny świat” -

wychowała się cała generacja inteligentów polskich. Nie były to bynajmniej wypadki odosobnione. "Rany się zablizniają i znowu możesz poskładać się w jedną całość - trochę silniejszą i bardziej ludzką niż przedtem" - napisał Izaak Vogelfanger, który sam objął później katedrę chirurgii uniwersytetu w Ottawie. Nie wszystkim jednak, którzy ocalili z Gułagu, życie ułożyło się tak pomyślnie - co skądinąd z lektury obozowych wspomnień nie zawsze wynika w sposób oczywisty. Musimy pamiętać, że niczego nie napisali ci, którzy łagrów nie przeżyli. Ale nie tylko. Wspomnień nie pozostawili po sobie również ci, których obóz zdegradował umysłowo lub na trwałe okaleczył psychicznie. Niektórzy przetrwali Gułag, dopuszczając się czynów haniebnych, których dziś się wstydzą - ci albo również niczego nie piszą, albo - jeśli to robią - pomijają część prawdy. Na palcach jednej ręki nieledwie można policzyć wspomnienia ludzi, którzy otwarcie mówią, że donosili. Jeszcze rzadziej trafiają się byli więźniowie potrafiący przyznać, że skrzywdzili innych lub pozbawili ich życia, byle tylko ocaleć samemu. Jest to powód, dla którego część byłych więźniów w ogóle stawia pod znakiem zapytania wartość wszelkich wydanych drukiem wspomnień. Zapytany o filozofię przetrwania Jurij Zorin - starszy i niezbyt przyjaźnie usposobiony były więzień, z którym rozmawiałam w jego rodzinnym Archangielsku -

machnął tylko ręką. Niczego takiego nie było - odparł. Rzeczywiście, czytając pamiętniki i wspomnienia, można odnieść wrażenie, że więźniowie "dyskutowali o wszystkim i wszystko starannie analizowali", ale - jak usłyszałam - było zgoła inaczej. "Jedynym celem było przetrwać następny dzień, pozostać przy życiu, nie zachorować, pracować mniej, a jeść więcej. I dlatego nie było na ogół żadnych dysput filozoficznych [...].

Przeżyliśmy, ponieważ byliśmy młodzi, zdrowi, silni psychicznie i dlatego, że obowiązywało nas Darwinowskie prawo o przetrwaniu najlepiej przystosowanych". Do całego problemu - kto i dlaczego przeżył -

trzeba więc podchodzić z jak najdalej posuniętą ostrożnością. Nie mamy w tej mierze żadnych dokumentów archiwalnych ani innych

"niepodważalnych" dowodów i świadectw. Mamy tylko wspomnienia tych, którzy zdecydowali się opisać swoje przeżycia albo o nich opowiedzieć, ale

każdy z nich mógł mieć jakieś powody, by przemilczeć część własnej biografii.

Mimo wszelkich zastrzeżeń - na podstawie opublikowanych i zgłoszonych w

archiwach setek tomów wspomnień - można odtworzyć pewne wzorce zachowań, "strategii przetrwania", dobrze w owym czasie znanej.

Tworzyły się one w wielu wariantach uwarunkowane cechami osobowości zeka, specyfiką warunków w jakich się znalazł. Przeżycie sowieckiej koloni karnej w zachodniej Rosji w połowie lat trzydziestych czy u schyłku czterdziestych, gdy większość więźniów pracowała w zakładach przemysłowych, było względnie łatwe. Natomiast próba przetrwania jednego z łagrów na Dalekiej Północy, Kołymy, Workuty, Norylska -

zwłaszcza w głodnych latach wojny, pociągała za sobą konieczność uruchomienia wszystkich rezerw

talentu i siły, albo niezwykłej zdolności czynienia zła - cechy, której w normalnych warunkach ludzie ci najczęściej nigdy by w sobie nie odkryli. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wielu z nich ocalało tylko dlatego, że potrafili

"wydoić" do cna wyższy szczebel hierarchii niż reszta więźniów.

Rozmiary spustoszeń moralnych spowodowanych upokarzającymi warunkami bytu, znajdują wyraźne odbicie w dziesiątkach obozowych porzekadeł i maksym, w rodzaju "ty możesz umrzeć dziś - ale ja umrę jutro" czy prastarego "człowiek człowiekowi wilkiem" - tak brzmi zresztą motto wspomnień Janusza Bardacha. Wielu byłych zeków przyznaje, że walka o przeżycie była "okrutna"; wielu - tak jak Zorin - nazywa ją

"darwinowską". "Łagier był wielką próbą siły charakteru, zwykłej ludzkiej moralności. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi nie wytrzymało tej próby" - pisze Szalamow. "Już po trzech tygodniach większość więźniów to ludzie złamani, których nie interesuje nic poza jedzeniem.

Zachowują się jak zwierzęta, nienawidzą i podejrzewają wszystkich, we wczorajszym przyjacielu widzą rywala w walce o przeżycie" - wtóruje mu Edward Buca. Jekatierina Olicka, wywodząca się ze środowiska o przedrewolucyjnych tradycjach demokratycznych, była wstrząśnięta

"amoralnością" reguł życia w obozach; „o ile w więzieniach panowała solidarność, silniejsi pomagali słabszym, o tyle w sowieckim łagrze każdy

"żył dla siebie", wspinając się po karkach innych na odrobinę wyższy szczebel obozowej hierarchii". Galina Usakowa mówi o zmianach, jakie obóz spowodował w jej osobowości: "Byłam grzeczną, dobrze wychowaną dziewczynką z inteligenckiej rodziny. Ale z takimi cechami obozu nie przeżyjesz - musisz stwardnieć, nauczyć się kłamstwa i hipokryzji". Jeszcze dalej posuwa się Herling-Grudziński, opisując, jak nowo przybyły do obozu więzień stopniowo uczył się żyć "bez litości":

„Będzie z początku dzielił się ostatnią kromką chleba z więźniami bliskimi obłędu głodowego, będzie prowadził z pracy pod rękę chorych na

"kurzą ślepotę", będzie wzywał pomocy, gdy jego towarzysz odrąbie sobie na "lesopowale" dwa palce u ręki, będzie ukradkiem zanosił do "trupiarni"

zlewki z zupy i główki od śledzi; po paru tygodniach spostrzeże się jednak, że robi to wszystko nie z bezinteresownego odruchu serca, lecz z egoistycznego nakazu rozumu - próbuje ratować przede wszystkim siebie, a dopiero potem innych. Obóz, ze swoimi wewnętrznymi obyczajami, systemem utrzymywania więźniów tuż poniżej dolnej granicy człowieczeństwa, dopomoże mu w tej metamorfozie. Czy mógł

przypuszczać, że można poniżyć człowieka do tego stopnia, aby budzić do niego nie litość, a wstręt nawet wśród współwięźniów? Jakże litować się nad "kurzymi ślepcami", gdy się ich widzi codziennie potrącanych kolbami karabinów i opóźniających powrót do zony, a potem spychanych niecierpliwie z wąskiej ścieżki obozowej przez więźniów spieszących się do kuchni; jak odwiedzać "trupiarnię", pogrążoną w wiecznym mroku i zgniłym fetorze ekskrementów; jak dzielić się chlebem z

głodnym, który już nazajutrz przywita cię w baraku obłąkanym i natarczywym spojrzeniem? [...] Miał więc rację sędzia śledczy, gdy mówił, że żelazna miotła sprawiedliwości sowieckiej zmiata do obozów jedynie śmiecie”.

Nie była to zresztą cecha właściwa wyłącznie systemowi łagrów sowieckich.

"Jeśli ktoś oferuje uprzywilejowaną pozycję kilku zniewolonym jednostkom - pisze były więzień Auschwitz, Primo Levi - żądając w zamian zerwania naturalnych

więzów solidarności ze współtowarzyszami, to zawsze znajdzie się ktoś, kto przyjmie tę ofertę". Inny znawca problematyki obozów nazistowskich, Bruno Bettelheim, twierdzi, że starsi więźniowie często "przyjmowali wartości i zachowania strażników za własne" - zwłaszcza nienawiść i pogardę dla słabszych i zajmujących niższą pozycję w obozowej hierarchii, szczególnie Żydów.

W obozach sowieckich (to kolejna analogia do sytuacji panującej w kacetach

niemieckich) zawodowi kryminaliści byli najbardziej podatni na język i ton propagandy NKWD, odmawiającej prawa do godności ludzkiej, a nawet samego miana

człowieka, więźniom politycznym i "dochodiagom". Karol Colonna-Czosnowski -

jedyny więzień nie kryminalny w łagrze zaludnionym wyłącznie przez przestępców pospolitych - miał rzadką okazję poznania opinii, jaką w oczach "urków" cieszyli się "polityczni": "Problem polega na tym, że jest ich tu za dużo. Są słabi,

brudni i tylko chcą jeść. Niczego nie produkują. Bóg jedyny wie, dlaczego władze

zawracają sobie nimi głowę". "Jeden z "błatnych" mówił mi - pisze dalej Czosnowski - że w obozie etapowym spotkał pewnego Europejczyka, profesora uniwersytetu: "Przyłapałem go, jak zżerał, tak właśnie, zżerał na wpół zgniły ogon dorsza. Ma się rozumieć, że dałem mu do wiwatu.

Spytałem go, czy wie, co robi. Odpowiedział, że jest głodny [...]. Palnąłem go tak po grzbiecie, że cały się porzygał. Mdli mnie, jak o tym pomyślę.

Doniosłem o tym strażnikom, ale nazajutrz rano ten brudny staruch już nie żył. I dobrze mu tak!". Inni więźniowie obserwowali, uczyli się i naśladowali. Szałamow wspomina:

„Młody wieśniak, który trafił za kratki, widzi, że jedynie "urki" - złodzieje

- żyją względnie dobrze, że się z nimi liczą, a wszechmocne naczalstwo czuje respekt przed nimi. Zawsze są ubrani i syci, wspomagając się wzajemnie [...]. Zaczyna mu się wydawać, że prawda życia w łagrze jest w posiadaniu błatnych, że tylko naśladowując ich, znajdzie realną drogę ratunku dla swego życia [...]. Więzień inteligent zostaje przez łagier zduszony, wszystko, co było mu drogie, rozdeptano w proch; powłoka cywilizacji i kultury pęka w najkrótszym czasie, liczącym się w tygodniach. Argumentem w sporze jest kułak i pałka. Środkiem przymusu

- kolba karabinu i cios w zęby”. Mimo to nieprawdą jest, że w obozach przestawały istnieć wszelkie

normy moralne, a okazywanie normalnych ludzkich uczuć było niemożliwe. Dziwne, ale wypowiadają się w tej materii nawet autorzy o najbardziej pesymistycznych zapatrywaniach na naturę ludzką, często przecząc sami sobie. Sam Szałamow, który kreśli najbardziej drastyczną chyba wizję barbarzyństwa obozowej egzystencji, pisze w pewnym momencie: "nie będę się nawet starał o stanowisko brygadzysty, pozwalające utrzymać się przy życiu, gdyż najgorsze, co może być w łagrze, to narzucanie swojej (lub kogoś innego) woli drugiemu człowiekowi, takiemu samemu więźniowi jak ja". Innymi słowy

- sam był wyjątkiem od własnej reguły. W większości wspomnień z Gułagu podkreśla się, że obóz nie był światem czarno-białym, granica między panami a niewolnikami wyznaczona precyzyjnie, a bezwzględność i okrucieństwo jedynym sposobem na przeżycie. Jak się już przekonaliśmy, nie dość, że więźniowie, pracownicy wolnonajemni i strażnicy tworzyli wspólną i złożoną strukturę społeczną, to na domiar była ona płynna i niestabilna. Więźniowie mogli awansować na wyższe szczeble obozowej hierarchii, mogli też spadać na coraz niższe w niej pozycje. Mogli zmieniać swą sytuację nie tyle poprzez kolaborację z władzami łagru lub otwartą kontestację narzucanych im reguł, lecz również przez ich omijanie dzięki systemowi wzajemnych usług i protekcji. O losach więźnia mógł też przesądzić czysty przypadek - dobry lub zły traf. Bywało też, że po okresie względnej pomyślności - dobrego stanowiska, przyzwoitego jedzenia i lekkiej pracy - więzień staczał się do poziomu wygrzebującego ze stosów śmieci odpadki "dochodiagi" albo kończył swą obozową karierę w kostnicy. W istocie rzeczy strategie przetrwania były wbudowane w sam system, stanowiły jego część integralną. Przez przeważającą część historii Gułagu władze obozowe nie dążyły do eksterminacji więźniów, starały się tylko wykonać absurdalnie wyśrubowane normy produkcji, narzucane im przez moskiewskich planistów.

W rezultacie funkcjonariusze byli bardziej nawet niż skłonni sowicie wynagradzać

zeków, którzy pomagali im w osiągnięciu tego celu, a więźniowie starali się ze

swjej strony maksymalnie to wykorzystać. Obie te grupy miały diametralnie odmienne cele - administracja łagru chciała wydobywać coraz więcej złota i ścinać coraz więcej drzew, a więźniowie przeżyć -

niekiedy okazywało się jednak, że można je było osiągnąć tymi samymi metodami. Kilka z nich - o czym za chwilę się przekonamy - wyjątkowo dobrze służyło obydwu stronom tej rozgrywki.

"Tufta" - pozorowanie pracy

Trudno w kilku słowach wyjaśnić, na czym w gruncie rzeczy polegała

"tufta" -

pojęcie, które bardzo zresztą nieprecyzyjnie przetłumaczyć można jako

"mydlenie;

oczu naczalstwu". Zacznijmy może od tego, że "tufta" była zjawiskiem tak głęboko zakorzenionym w

samej istocie systemu sowieckiego, że wielką nieuczciwością byłoby traktować ją jako specyficzną cechę Gułagu czy nawet tylko Związku Sowieckiego. Powiedzenie "oni udają, że nam płacą, a my, że pracujemy"

można było za komunizmu usłyszeć w każdym języku każdego z krajów byłego

paktu warszawskiego. W systemie sowieckich obozów koncentracyjnych

"tufta" była wszechobecna na każdym etapie procesu pracy - jej planowaniu, organizacji, wykonaniu i ocenie. W "tuftę" uwikłany był w taki czy inny sposób każdy członek społeczności Gułagu - od jego moskiewskich szefów, przez całą hierarchię administratorów, strażników i nadzorców, po najbardziej poniżonego zeka. Taki stan istniał od samego początku do samego końca istnienia systemu. Jedną z najbardziej znanych rymowanek więźniarskich:

„Biez tufty i amonała Nie

postroih by kanała. [Bez

"tufty" i amonału Nie

zbudowano by kanału]"

powstała już w okresie budowy Kanału Białomorskiego. Od chwili kiedy problem "tufty" stał się przedmiotem dyskusji, nie ustają spory w kwestii jak (i czy rzeczywiście) ciężko pracowali więźniowie łagrów oraz jak wiele wysiłku wkładali w to, by uchylać się od pracy. Od 1962 roku, kiedy wydrukowanie opowiadania Sołżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza” otworzyło mniej lub bardziej publiczną debatę na temat sowieckich obozów koncentracyjnych, biorący w niej udział byli więźniowie, publicyści i historycy nie potrafili wypracować jednolitego stanowiska w kwestii moralnych aspektów pracy w łagrach. Istotnie, przeważająca część przełomowej noweli Sołżenicyna mówi o tym, jak główny jej bohater stara się wymigać od pracy. W ciągu jednego tylko dnia Iwan Denisowicz zgłasza się do lekarza w nadziei, że wycygnani zwolnienie chorobowe, rozmyśla, jak dobrze byłoby zachorować na kilka tygodni, spogląda z nadzieją na termometr, bo jest zbyt zimno, by wychodzić do pracy, myśli z podziwem o brygadziście, który "jak coś nie zostało zrobione", potrafi "przekonać, że zrobione"; czuje ulgę na wieść o tym, że "dobrze załatwił z normą", pomimo iż tak naprawdę nic nie zrobili do południa, kradnie z warsztatu drewno na opał i dolewkę zupy w czasie obiadu. "Od roboty i koń zdycha" - myśli Iwan i stara się jej unikać.

W latach następnych byli więźniowie łagrów - z przyczyn tak ideologicznych,

jak osobistych - kwestionowali stworzony przez Sołżenicyna wizerunek typowego

zeka. Ci, którzy zachowali wiarę w system sowiecki, a co za tym idzie również

i przekonanie, że praca w obozach była wartościowa i konieczna, uważają

"lenistwo" Denisowicza za osobistą obrazę. W prasie sowieckiej ukazało się wiele

"alternatywnych", bardziej "prosowieckich" relacji z życia w obozach - we wszystkich bez wyjątku

mówi się wprost o bezgranicznym oddaniu pracy, jakie

przejawiali ci, którzy mimo iż byli aresztowani niesłusznie i niesprawiedliwie, nie stracili wiary. Jednego z bohaterów książek sowieckiego pisarza i konfidenta

NKWD Borisa Dżakowa, inżyniera pracującego na jednym z wielkich placów budowy Gułagu w okolicach Permu, praca pochłania do tego stopnia, że zapomina iż

nie jest człowiekiem wolnym: "Praca chwilami wciągała mnie tak bardzo, że zapomniałem, kim teraz jestem". Inżynier z opowieści Dżakowa to człowiek tak uczciwy, zaangażowany i prawy, że potajemnie wysyła do redakcji miejscowej gazety list, piętnujący wadliwą organizację obozowego systemu zaopatrzenia i transportu. Mimo nagany, jaką komendant udziela mu za tę niedyskrecję - niesłychane to bowiem, by nazwisko więźnia ukazywało się w gazecie - inżynier Dżakowa czuje się szczęśliwy, że "po opublikowaniu artykułu wprowadzono więcej dyscypliny". Dużo bardziej radykalne poglądy wyrażają ci, którzy swego czasu łagrami zarządzali. Jeden z byłych pracowników obozowej administracji, pragnący zachować anonimowość, powiedział mi, że wszystkie opowieści o złych warunkach życia więźniów to wysane z palca brednie. Ci, którzy dobrze pracowali, mieli się wyśmienicie -

powiedział - powodziło się im bez porównania lepiej niż reszcie ludności; mogli sobie nawet kupić niedostępne dla zwykłych ludzi mleko skondensowane. "Źle żyli wyłącznie ci, którzy odmawiali pracy". Żona byłego oficera NKWD, Anna Zacharowa, wysłała do redakcji "Izwestii"

list ostro potępiający Sołżenicyna. „Iwan Denisowicz oburzył mnie do głębi. Zważywszy na stosunek bohatera tego opowiadania do ludzi sowieckich, nietrudno zrozumieć, dlaczego nie marzy o niczym poza izbą chorych, po to tylko by jakoś wymigać się od odkupienia swej winy - zła, jakie wyrządził ojczyźnie - ciężką pracą [...]. A jakim to prawem ktoś może wykręcać się od pracy fizycznej i z niej szydzić? Pomijając wszystko inne, praca jest dla nas fundamentem systemu sowieckiego i tylko w pracy i przez pracę człowiek staje się świadomy własnych możliwości”.

Innego rodzaju, wolne od zabarwienia ideologicznego, zastrzeżenia wysuwali

również zwykli, szeregowi więźniowie łagrów. "Staraliśmy się pracować uczciwie

i to nie z obawy, że stracimy racje żywnościowe albo wylądujemy w izolatorze

[...]. Ciężka praca, a w naszej brygadzie tak właśnie się pracowało, pomaga zapomnieć, pomaga odpędzić złe myśli" - stwierdzał w swoich wspomnieniach Wadim Jasnyj, który w pierwszej połowie lat czterdziestych spędził w obozie pięć lat. Maria Ułanowska pisze, że jej matka harowała jak wół "aby dowieść, że Żydzi

i inteligenci potrafią pracować nie gorzej od innych". O sobie samej dodała (obydwie siedziały w tym samym obozie): "Pracowałam, ponieważ mnie do tego zmuszano [...] i obawiam się, że pod tym względem byłam kiepskim obrońcą honoru

narodu żydowskiego". Niełatwo zmieniają się również ludzie, którzy przez całe życie z entuzjazmem

pracowali dla dobra systemu sowieckiego.

Inżynier lotnictwa, Aleksandr Borin, więzień polityczny, który pracował

w jednym z zakładów metalurgicznych Gułagu, z dumą pisze o usprawnieniach technicznych, jakie wprowadził w fabryce przeważnie w czasie wolnym od pracy. "Zawsze pracowałam jak człowiek wolny. Taką mam naturę; nie umiem pracować źle. Jeśli trzeba było wykopać rów, kopałam go, póki nie był gotów" - powiedziała mi Ała Schuster,

"polityczna", aresztowana pod koniec lat trzydziestych. Po dwóch latach robót ogólnych Schuster została brygadystką, ponieważ "zauważono, że nie pracuję tak jak inni więźniowie, lecz z całych sił" i w nowej roli próbowała nawet wykrzesać zapal do pracy u swoich podwładnych. Swój pierwszy kontakt z nimi opisuje następująco: „Wybrałam się na stanowisko, w którym kopano glinę. Strażnik chciał mi towarzyszyć, ale powiedziałam mu, że to niepotrzebne, i poszłam dalej sama. Była północ.

- Muszę wykonać plan; front potrzebuje cegieł - oznajmiłam brygadzie.

- Ała Borisowna - usłyszałam w odpowiedzi - plan produkcji cegieł nas nie obchodzi! Daj nam chleb.

- Dostaniecie chleb, jak wykonacie normę.

- Wrzucimy cię to tego dołu, zakopimy i nikt cię nie znajdzie.

Nawet się nie ruszyłam.

-

Nie zakopiecie mnie w tym dole. Daję słowo, że jeśli do dwunastej w południe wykonacie normę, przyniosę wam trochę tytoniu.

Tytoń ceniono tam wyżej niż złoto i diamenty..”.

Schuster oszczędzała przydzielony tytoń, a ponieważ sama była niepaląca, bez

zalu oddała swoje zapasy więźniom ze swej brygady. Niektórzy doceniali korzyści materialne, jakie przynosiła praca. Część więźniów starała się po prostu robić to, czego od nich oczekiwano: przekraczać normy i zdobyć status przodownika pracy, zapewniający dodatkowe racje żywności.

Wkrótce po przybyciu do jednego z łagpunktów na Kołymie Władimir Pietrow zorientował się, że pracujący ciężiej od innych mieszkańcy

"namiotu stachanowskiego" nie mają żadnej z cech typowych dla

"dochodiagów": „Byli bez porównania schludniejsi. Nawet w wyjątkowo ciężkich warunkach obozowego życia codzienne myli twarze -jeśli nie mogli zdobyć wody, robili to śniegiem. Byli też lepiej ubrani [...] i bardziej opanowani. Nie tłoczyli się przy piecykach, ale siedzieli spokojnie na

przyczach, robiąc coś albo komentując ostatnie wydarzenia.

Nawet z zewnątrz ich namiot wyglądał inaczej”. Pietrow błagał o przyjęcie go do tej brygady, której członkowie dostawali kilogram chleba dziennie, ale gdy w końcu do niej trafił, okazało się, że nie może wytrzymać tempa narzuconego przez innych. Usunięto go natychmiast; brygada nie tolerowała słabeuszy. Było to zresztą dość powszechne. Tak o tym pisze Gustaw Herling-Grudziński:

„Fascynacją normą była nie tylko przywilejem ludzi wolnych, którzy ją ustalili, ale i najprostszym nakazem instynktu życia niewolników, którzy ją wypełniali. W brygadach pracujących zespołami po trzech lub czterech więźniów najgorliwszymi stróżami normy byli sami więźniowie, gdyż normy obliczało się również zespołowo, dzieląc je przez liczbę pracujących. W ten sposób zniknęło zupełnie poczucie solidarności więziennej, ustępując miejsca nieprzytomnej pogoni za procentami.

Niewykwalifikowany więzień, który znalazł się w zgranym zespole robotników, nie mógł liczyć na żadne względy; po krótkiej walce musiał ustąpić, przenosząc się do zespołu, w którym często jemu z kolei przypadało doglądać słabszych towarzyszy.

Było w tym wszystkim coś nieludzkiego, coś łamiącego bezlitośnie jedyną więź łączącą, zdawałoby się, więźniów w sposób naturalny - ich solidarność w obliczu prześladowców”. Zdarzało się jednak, że ciężka praca miała dla więźnia skutki odwrotne od zamierzonych. Lew Razgon wspomina chłopów, którzy zaharowywali się na śmierć, żeby przekroczyć normę i zarobić sobie na "wielki przydział" - półtora kilograma chleba:

"Może i półsurowy, ale był to najprawdziwszy chleb. Dla wieśniaków żyjących przez lata w stanie ciągłego niedożywienia była to ogromna ilość, nawet bez jakiegokolwiek gotowanej żywności".

Jednak nawet ta

"niezwykła" racja żywnościowa nie pozwalała na regenerację sił, które ludzie ci tracili, pracując przy wyrębie lasu. Drwal był więc skazany na zagładę: "Rzeczywiście, umierał z głodu, jedząc półtora kilograma chleba dziennie" - pisze Razgon. O micie "wielkiej racji" pisze też Wałam Szalamow, a Sołżenicyn ujmuje rzecz wprost: "Słuszne to przysłowie: większa pajka [racja] przyznawana przodownikom gubi ludzi.

Najsilniejszy drwal wykańcza się w ciągu jednego sezonu przy wytaczaniu ściętych pni". Mimo to w większości wspomnień z Gułagu rzeczywiście mowa o nagminnym uchylaniu się od pracy, a słuszność tej opinii znajduje - w jakiejś przynajmniej mierze - potwierdzenie w materiałach archiwalnych. Postawa ta nie wynikała na ogół z lenistwa ani chęci "jawnego zamianifestowania" pogardy dla systemu sowieckiego.

Chodziło przede wszystkim o to, aby przetrwać. W warunkach niedostatku pożywienia, braku stosownej odzieży, maszyn i narzędzi oraz ekstremalnych temperatur wielu zeków nabierało przekonania, że pozostać przy życiu mogą

jedynie pod warunkiem unikania wysiłku. Niepublikowane pamiętniki Zinaidy Usowej, jednej z "żon wrogów ludu" aresztowanych w 1938 roku, doskonale ilustrują, jak i w jakich okolicznościach więźniowie dochodzili do tego wniosku. Z początku Usowa trafiła do Tiemłagu, obozu, w którym większość więźniarek stanowiły kobiety z jej środowiska - żony wyższych dygnitarzy partyjnych i generalicji sowieckiej, których mężów rozstrzelano. Obozem kierował względnie liberalny

komendant, normy pracy ustalano na rozsądnym poziomie, toteż "żony wrogów" pracowały tam z wielkim zapałem. Poza tym były nie tylko "lojalnymi obywatelkami sowieckimi", głęboko przekonanymi, że ich aresztowanie to rezultat tragicznej pomyłki, równie głęboko wierzyły, że ciężka praca otworzy im drogę do przedterminowego zwolnienia. Usowa "zasypiała i budziła się, myśląc o pracy, o swoich nowych projektach. Jeden z nich nawet zrealizowano". Po pewnym czasie jednak przeniesiono ją, wraz z grupą innych więźniarek, do obozu, w którym większość stanowiły kryminalistki. Pracowało się tam w fabryce mebli. W nowym obozie obowiązywały znacznie wyższe - "absurdalne" w ocenie więźniów -

normy. System ten - pisze Usowa - "przekształcał ludzi w niewolników; niewolników o mentalności niewolników". Pełna racja - 700 gramów chleba dziennie - przysługiwała wyłącznie tym, którzy wyrabiali normę.

Reszta - w tym

chorzy i niezdolni do pracy - otrzymywali 300 gramów, co ledwie pozwalało im

utrzymać się przy życiu. Więźniarki, próbując sobie radzić, stawały na głowie, by "oszukać naczalstwo i wymigać się od pracy; pracować najmniej, jak tylko można". Pełna entuzjazmu Usowa i jej koleżanki z miejsca znalazły się na czarnej liście obozowej społeczności, traktowano je jak wyrzutki. "Z punktu widzenia zasiedziały w tym łagrze zeków byliśmy idiotkami i łamistrąjkami. Znienawidzono nas natychmiast".

Wkrótce jednak nowicjuszek z Tiemłagu biegle opanowały wszystkie praktykowane i systematycznie w obozie doskonalone metody uchylania się od pracy. "Tufta" była dzieckiem samego systemu, a nie na odwrót.

Zeki wykazywali wielką pomysłowość w ulepszaniu istniejących już metod "tufty" i wynajdywaniu nowych jej odmian. Polka, Halina Strozuk, pracowała w wytwórni konserw rybnych na Kołymie, gdzie jedyną metodą "wykonania" absurdalnie zawyżonych norm był szwindel.

Miejscowi stachanowcy byli po prostu ludźmi, którzy opanowali tę sztukę do perfekcji; zamiast pakować do puszek wszystkie śledzie, wkładali do nich tylko jeden czy dwa kawałki ryby, "tak zręcznie, że brygadzysta nigdy tego nie zauważył". Walerija Frieda, pomagającego przy budowie łaźni, nauczono podobnej sztuczki - jak utykać szpary w ścianach mchem, a nie zaprawą. Sumienie Frieda gnębił jeden tylko aspekt tej pracooszczędnej techniki budowy: "A jeśli sam przyjdę się kiedyś wykąpać w tej łaźni?

Prędzej czy później mech wyschnie i wykruszy się, a szparami będzie ciągnąć lodowate powietrze".

Jewgienia Ginzburg opisuje sposób, w jaki ona i jej współtowarzyszka Gala

wyrabiały niebotyczne normy wyrębu drzew. Obie spostrzegłszy, że inni więźniowie zawsze wykonują plan, mimo że pracują w pojedynkę zwykłą, jednoosobową

piłą ręczną, zaczęły wypytywać ich, jak to robią: „Przyparta przez nas do muru, oglądając się

pospiesznie, wyjaśniła nam technikę operacji.

- Przecież dookoła pełno sągów. Stare sagi, które napiłowały poprzednie etapy.

A że ich tu pełno i nikt nie liczył ile...

- No i co? Przecież od razu widać, że stare, a nie świeżo napiłowane...

- A co je tak naprawdę odróżnia? Tylko to, że przecięcia mają pociemniałe. Ale jeśli od każdego bierwiona odpiłować mały skrawek, to zrobi się z tego świeżutki. A potem przekłada się sąg na to miejsce, tylko że grubszymi końcami w drugą stronę. I macie normę...

Operacja ta otrzymała u nas w późniejszym czasie nazwę "odświeżanie kanapek". Pozwoliła nam odetchnąć [...]. Dodam, że sumienie absolutnie nas nie gryzło”.

Również Thomas Sgovio był przez jakiś czas w kołymskiej brygadzie drwali,

która najzwyczajniej w świecie nie pracowała w ogóle: „W pierwszej połowie stycznia mój partner Lewin i ja nie ścięliśmy ani jednego drzewa, tak samo jak wszyscy inni w naszej brygadzie drwali. W lesie było pełno sągów ściętych okrągłaków. Wybieraliśmy sobie jeden albo dwa, oczyszczaliśmy i zasiadaliśmy przy ognisku. Zresztą nie trzeba było nawet oczyszczać ich ze śniegu, ponieważ przez cały pierwszy miesiąc ani brygadzysta, ani kierownik robót, ani kontroler nie pojawili się, by ocenić efekty naszej pracy”.

Inni uczyli się, jak obchodzić nierealne normy i zadania produkcyjne dzięki

znajomościom i układom. Jeden z więźniów Kargopolłagu kupił od innego

- opłatę uiszczył w postaci kawałka chleba - bezcenne tajemnice metody sprawnego wyrębu drzew, dzięki czemu nie tylko wyrabiał normę, ale po południu zostawało mu

jeszcze trochę czasu na odpoczynek. Inny łagiernik pracujący na Kołymie przy

płukaniu złotoosnej rudy załatwił sobie za łapówkę przeniesienie do szlamowania - pracy, przy której nie musiał stać cały dzień w lodowatej wodzie. Znacznie częściej "tuftę" organizowano na poziomie całej brygady roboczej, ponieważ tylko brygadzysta mógł bezpiecznie fałszować wskaźniki wykonania normy. Wieniamin Samsonow przypomina sobie brygadzystę, który zaliczał mu 100 procent wykonania dziennej normy, podczas gdy w rzeczywistości nie był wówczas zdolny do żadnej pracy.

Matwiej Maksimowicz pisze o brygadziście, który wymusił na administracji łagru obniżenie norm dla swojej brygady, gdyż ludzie marli z przepracowania. Inni brygadziści brali łapówki: "Obóz rządzi się własnymi prawami, które nie zawsze rozumie ktoś spoza zony" -jak to eufemistycznie ujął Jurij Zorin, który sam był w obozie szefem brygady.

Leonid Truś pisze, że w Norylsku brygadziści po prostu sami

"decydowali, który z więźniów zasłużył na lepszą rację żywnościową i zapłatę", niezależnie od rzeczywistych wyników ich pracy. O tym, czy więzień "wykonał normę", decydowała łapówka i zasady solidarności grupowej". Z punktu widzenia zeków najlepszym brygadzystą był

człowiek umiejący organizować "tuftę" na jak największą skalę. Pracujący pod koniec lat czterdziestych w

kamieniołomach uralskich Leonid Finkelstein trafił do brygady, której szef opracował wyjątkowo wyrafinowany system mistyfikacji. Każdego dnia rano brygada

schodziła do pracy w dół wąwozu. Strażnicy zostawali na górze, na szczycie urwiska, gdzie przez cały dzień grzali się przy ognisku. W

wąwozie natomiast zaczynała się "tufta": „Wiedzieliśmy dokładnie, którą część dna wąwozu widać z góry i na tym zasadzał się cały nasz przekręt

[...], w części widocznej kuliśmy z zapalonym kamykiem, krzaliśmy jak mrówki, najgłośniej przy tym jak się dało - strażnicy mogli więc naszą pracę zarówno widzieć, jak i słyszeć. Następnie Iwan przechodził wzdłuż szeregu [..] i wydawał komendę: Jeden na lewo! - i każdy przesuwiał się o krok na lewo. Strażnicy nigdy tego nie zauważyli. Przesuwaliśmy się więc po "jednym na lewo", dopóki ostatni z nas nie wszedł w strefę niewidoczną - wiedzieliśmy, gdzie się zaczyna, bo oznakowaliśmy to kredą. Każdy, kto się w niej już znalazł, siadał sobie wygodnie i od czasu do czasu walił kilofem w ziemię tuż pod bokiem, bez szczególnego wysiłku, byle tylko narobić hałasu. Po pewnym czasie Iwan wskazywał na więźnia, który wszedł do strefy niewidocznej jako pierwszy: - Ty, na prawo! - człowiek ten zajmował miejsce na "prawym skrzydle" i cały cykl zaczynał się od nowa. Nikt z nas nie przepracował nawet połowy dniówki". Finkelsteinowi opowiadali inni więźniowie o pracy przy kopaniu kanału. "Tufta" wyglądała tu nieco inaczej, była jednak nie mniej wyrafinowana. "Najważniejsze było wykazać, że zespół wykonał normę".

Kopacze musieli "zostawiać wąski słupek nietkniętej ziemi, służący jako miernik głębokości wykonanego wykopu. Normy były wyśrubowane, ale

"byli wśród nas artyści, prawdziwi artyści, którzy potrafili taki słupek podwyższyć. Wydaje się to nieprawdopodobne, słupek był wycięty w ziemi i powinno być od razu widać, że ktoś w nim majstrował, ale majstrowali przy nim mistrzowie najwyższej klasy. Oczywiście cała brygada dostawała później "stachanowski" posiłek". Nie zawsze trzeba było się uciekać do metod aż tak skomplikowanych. "Wpisywaliśmy po prostu większą odległość, na jaką trzeba było przenosić worki; powiedzmy 300 metrów zamiast 10, jak było naprawdę" - wspomina pracujący przez pewien czas przy rozładunku wagonów kolejowych Leonid Tras. Dzięki temu dostawali większe przydziały żywności. ""Tufta" była wszechobecna

- dodaje - bez niej w ogóle byśmy nie jedli". Zdarzało się, że "tuftę"

organizowano na wyższych szczeblach administracji obozów, w drodze żmudnych i drobiazgowych rokowań między brygadystami, normistami i obozowymi kontrolerami pracy. Normiści byli zazwyczaj równie skłonni do kompromisów, jak szefowie brygad - i tak samo jak oni kapryśni. Na

jednym z etapów swej kariery obozowej Adamowa-Sliozberg mianowana została naczelnikiem brygady kobiecej, kopiącej rowy na Kołymie.

Niemal wszystkie jej podwładne były więźniarkami politycznymi, wycieńczonymi długim pobytom w więzieniu. Po trzech dniach pracy okazało się, że udało im się wyrobić 3 procent normy, Sliozberg udała się do kierownika normisty z prośbą o skierowanie brygady do lżejszych robót, a ten, usłyszawszy, że większość pracujących w niej kobiet to były członkinie partii, stwierdził ze złośliwą satysfakcją: „Ach tak, były członkinie partii, no proszę! Posłuchajcie teraz, gdybyście były prostytutkami, z rozkoszą kazałbym wam myć okna i zapisał 300 procent wykonania normy. Kiedy w roku 1929 członkowie partii postanowili ukarać mnie za kułactwo, wyrzucili z domu mnie i sześcioro moich dzieci.

"Co wam zrobiły te dzieci?" - pytałem. Odpowiedzieli mi, że takie jest prawo sowieckie. A skoro tu jesteście, to przestrzegajcie sobie waszego sowieckiego prawa i kopcie po dziewięć metrów błota dziennie”.

Normiści zdawali sobie również sprawę, że w niektórych sytuacjach - na przykład, gdy stopa śmiertelności w łagrze zaczynała być niebezpiecznie wysoka - nie mogą nadmiernie eksploatować więźniów. Wtedy obniżano normy albo przymykano oko na wypadki ich niewykonywania. W

żargonie obozowym nazywano tę praktykę "naciąganiem normy" i była ona w łagrach praktyką - łagodnie rzecz ujmując - bardziej niż powszechną. Jeden z więźniów pracował w kopalni, gdzie każdy musiał

urobić dziennie pięć i pół tony węgla - co było zadaniem niewykonalnym.

Na całe szczęście główny sztygar - pracownik wolnonajemny - okazał się człowiekiem na tyle rozsądnym, że kazał brygadzystom zaliczać wykonanie planu wydobywania co dzień innym robotnikom, wedle ustalonej kolejności. W efekcie, dzięki owemu "systemowi rotacji" per saldo wszyscy dostawali mniej więcej takie same racje żywnościowe. Korupcja sięgała samych szczytów obozowej hierarchii, dokąd łapówki docierały niekiedy za pośrednictwem długiego łańcucha ludzi w ten proceder uwikłanych. Aleksandr Klein siedział w łagrze pod koniec lat czterdziestych, kiedy zekom zaczęto wypłacać wynagrodzenia pieniężne, aby zmobilizować ich do cięższej pracy. „Odebrawszy zarobione pieniądze (nie było tego wiele), robotnik dawał łapówkę brygadziście.

Było to obowiązkowe - brygadzista musiał później dać łapówkę kierownikowi

robót i normiście [...]. Poza tym brygadzista i kierownik robót musieli dać łapówkę nanadczykowi - dyspozytorowi, który przydzielał zadania robocze. Kucharze płacili łapówki szefowi kuchni, a łaziebni starszemu łaziebniemu”.

Klein wydawał średnio na łapówki mniej więcej połowę swojej "pensji".

Tym,

którzy tego nie robili, mogły grozić poważne konsekwencje. Więzień odmawiający płacenia

łapówek, był metodycznie niszczone - wpisywano mu najniższe wskaźniki wykonania normy, dostawał więc najmniejsze racje żywności. Jeszcze gorszy los spotykał nie opłacających się "górze" brygadzystów. Klein pisze, że jednego z nich zamordowano w czasie snu.

Ktoś roztrzaskał mu głowę kamieniem tak fachowo, że inni więźniowie nawet się nie obudzili. "Tufta" królowała również w statystykach i sprawozdawczości wszystkich szczebli świata łagrów. Komendanci i księgowi obozów fałszowali dane liczbowe - świadczą o tym dziesiątki przypadków szalbierstw i malwersacji odnotowanych w raportach inspektorów. Kradł każdy, kto miał jakikolwiek kontakt z obozem: żywność, gotówkę i wszystko, co dało się tylko ukraść. W 1942 roku siostra byłego kierownika wydziału kolejowego zespołu obozów w Dżezkazganie została oskarżona o "bezprawne przywłaszczenie należących do obozu produktów spożywczych" i spekulację. W 1941 roku komendant i główny księgowy jednego z łagpunktów, "wykorzystując piastowane stanowiska służbowe", założyli "lewe" konto bankowe, na które przelewali pieniądze zgromadzone na rachunkach łagru. Komendant przywłaszczył sobie 25 tysięcy rubli, a księgowy 8

tysięcy - kwoty jak na ówczesne stosunki sowieckie astronomiczne. Nie zawsze w grę wchodziło złodziejstwo na tak wielką skalę, nie gardzono również i drobiazgami; gruba teczka raportów urzędu prokuratora Sibłagu z 1942-1944 zawiera kopie ożywionej korespondencji w sprawie jednego z wolnonajemnych pracowników obozu, podejrzanego o kradzież dwóch żelaznych misek, emaliowanego czajnika, koca, materaca, dwóch prześcieradeł i dwóch powłoczek na poduszki.

Fałszowanie wyników produkcyjnych obozów dzielił od kradzieży już tylko

mały krok. "Tufta" zaczynająca się na poziomie brygady i spotęgowana na szczeblu łagpunktu powodowała, że wyliczane później na jej podstawie dane o produkcji większych łagrów i całych kompleksów obozowych miały coraz mniej wspólnego z rzeczywistością i - o czym będziemy mieli jeszcze okazję się przekonać -

stwarzały całkowity obraz rzeczywistej produktywności Gułagu, która była, na co

wszystko zdaje się wskazywać, przerażająco niska. W gruncie rzeczy -

wziąwszy pod uwagę rozmiary królującego w sprawozdawczości "tufty"

fałszu i oszustwa - nie bardzo wiadomo, co począć z wszystkimi liczbowymi wskaźnikami produktywności Gułagu. Dlatego też na zawsze zagadką pozostanie niezwykle szczegółowe podsumowanie rocznej produkcji Gułagu, sporządzone w marcu 1940 roku. Ten kuriozalny dokument, liczący 124 strony, przedstawia wyniki produkcyjne dziesiątków obozów podzielonych na różne kategorie - obozów leśnych, fabrycznych, kołchozowych i wydobywczo-przetwórczych. Na podstawie dołączonych do raportów sążnistych wyliczeń i wszelkiego rodzaju danych liczbowych autor sprawozdania stwierdza z pełnym przekonaniem, że wartość rocznej produkcji całego systemu wytwórczego Gułagu wyniosła w 1940 roku - 2 650 500 000 rubli. W świetle powyższych wywodów liczbę tę uznać trzeba za pozbawioną wszelkiej realnej wartości informacyjnej.

"Pridurki" - współpraca i kolaboracja

"Tufta" nie była jedyną metodą, za której pomocą więźniowie próbowali zasypać

przepaść ziejącą między absurdalnie wysokimi normami wydajności pracy, jakie

ich obowiązywały, a śmiesznie niskimi racjami żywności, jakie im za nią wydzielano. Nie była też jedynym środkiem, do którego uciekała się administracja łagrów w pogoni za wykonaniem narzuconego z góry równie nierealnego planu produkcji. Zeków można było skłonić do współpracy również innymi sposobami, co znakomicie opisuje Isaak Filsztinski w swoich wspomnieniach zatytułowanych

„My szagajem pod konwojem”. Jego opowieść zaczyna się od pierwszych dni pobytu w Kargopolagu, położonym na północ od Archangielska, obozie wyspecjalizowanym w robotach leśnych i budowlanych. Tuż po przybyciu tam Filsztinski spotkał inną obozową nowicjuszkę, młodą kobietę, którą wraz z innymi kobietami z tego samego transportu przydzielono czasowo do jego brygady. W postrzępionych obozowych łachach wyglądała na tak onieśmioną i zastrachaną, że podszedł do niej i spytał, od kiedy jest w obozie. "Przyjechałam wczorajszym transportem, prosto z więzienia" - odpowiedziała. Zaczęli rozmawiać. Jej historia -

pisze Filsztinski - "była, jak na owe czasy, banalna". Była artystką, miała męża i trzyletniego syna. Aresztowano ją, gdyż "powiedziała coś niewłaściwego koleżance, ta doniosła gdzie trzeba", a ponieważ jej ojciec został aresztowany w 1937 roku, skazano ją za szerzenie propagandy anty sowieckiej. Podczas rozmowy nowa znajoma Filsztinskiego cały czas rozglądała się trwożliwie dookoła i mocno trzymała go za rękę. Poufałości tego rodzaju były wprawdzie zakazane, ale strażnik niczego nie zauważył.

Po dojściu na stanowisko pracy kobiety i mężczyzn rozdzielono, ale w drodze powrotnej oboje odnaleźli się ponownie obok siebie. Przez następne półtora tygodnia zawsze szli do pracy i wracali z niej razem; po drodze opowiadała mu, że bardzo tęskni za domem, że rzucił ją mąż i że być może nigdy nie zobaczy już dziecka. Później brygadę kobiecą przeniesiono na dobre i Filsztinski stracił wszelki kontakt ze swą przyjaciółką. Zobaczył ją ponownie po trzech latach - był gorący letni dzień, zdarzający się rzadko na Dalekiej Północy. Tym razem ubrana była w "nowy waciacz, idealnie dopasowany do jej figury. Zamiast wymiętej więźniarskiej czapki nosiła beret; zamiast znoszonych walonek - trzewiki.

Przytyła na twarzy, jej wygląd stał się bardziej wulgarny. Porozumiewała się najbardziej plugawym żargonem - językiem "świadczącym o długich, zażytych kontaktach ze światem obozowych kryminalistów". Kiedy dostrzegła Filsztinskiego, na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie; oddaliła się szybko, "prawie biegiem". Po pewnym czasie, kiedy spotkał ją po raz trzeci i ostatni, odniósł wrażenie, że ubiera się "według ostatniego krzyku mody". Siedziała za biurkiem komendanta i nie była już więźniarką - niedawno poślubiła słynnego z okrucieństwa majora L. Do Filsztinskiego odniosła się szorstko i w ogóle z nim nie rozmawiała.

Przeszła całkowitą metamorfozę - z więźniarki stała się kolaborantką, a z kolaborantki - panią komendantową. Najpierw przejęła język "urków", potem ich modę i sposób zachowania, a w ostatnim etapie swej drogi osiągnęła uprzywilejowany status pracownika administracji obozu.

Filsztinski "nie miał jej wprawdzie nic do powiedzenia", mimo to wychodząc, odwrócił się. Ich oczy spotkały się na moment; wydawało mu się, że dostrzegł w nich błysk "bezgranicznego przygnębienia" i ślady łez.

Czytelnikowi, który wie co nieco o systemach obozów koncentracyjnych, los znajomej Filsztinskiego wydać się może dziwnie znajomy. "Władzę absolutną daje hierarchia, a nie własność" - stwierdził socjolog Wolfgang Sofsky, pisząc o kacetach nazistowskich. Sofsky rozumie przez to, że władza w obozach niemieckich nie sprowadzała się do tego, że ktoś miał

prawo decyzji o życiu innych. "Przekształcając część ofiar we współników, reżim zacierał granicę między więźniem a nadzorcą".

Gułagiem rządził co prawda odmienny rodzaj okrucieństwa niż nazistowskimi obozami koncentracyjnymi, ale wspólne im było wspomniane przed chwilą zjawisko wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami. Reżim sowiecki w podobny sposób wykorzystywał

część więźniów - namawiał ich do współpracy z systemem represji, wynosił jednych nad drugich i przyznawał im przywileje. Filsztinski nieprzypadkowo poświęca tyle uwagi coraz lepszym ubraniom swojej znajomej. W obozach, gdzie chronicznie brakowało wszystkiego, minimalnie nawet lepszy waciak, trochę obfitsza racja żywnościowa i nieco przyzwoitsze warunki bytowe były często wystarczającą zachętą do kolaboracji, do walki o wyższy status. Tych, którzy w rywalizacji tej wygrali, nazywano "pridurkami" - pojęcie które nie ma odpowiednika w języku polskim, a w gwarze łagrów oznaczało więźnia "funkcyjnego", cieszącego się zaufaniem administracji obozu. Z chwilą osiągnięcia tej pozycji sytuacja zeka w łagrze zaczynała poprawiać się pod każdym względem, choć oceniane z perspektywy "nieobozowej" były to często zmiany zaprawdę minimalne. W „Archipelagu Gułag” Sołżenicyn ustawicznie wraca do problemu "pridurków", podkreślając zwłaszcza ich obsesję na punkcie własnego statusu oraz drobnych przywilejów, jakich udzielała im obozowa administracja: „Typowa kastowa krótkowzroczność bardzo prędko skłania prominentów do gardzenia spaniem z prostym ludem roboczym we wspólnym baraku, na tej samej wagonetce zresztą w ogóle na jakiegokolwiek wagonetce, nie zaś w łóżku. Nie chcą już jeść pić przy wspólnym stole, rozbierać się w tej samej łaźni, nosić bielizny, w której harował i którą podziurawił robociarz”. Choć Sołżenicyn przyznaje, że "wszelka klasyfikacja zjawisk zachodzących w żywym życiu jest płynna i granice [...] są w niej zatarte", a odnosi to również do świata Gułagu, stara się jednocześnie zdefiniować wewnętrzną hierarchię świata

"pridurków". Najniższym jej szczeblem - wyjaśnia - byli zatrudnieni w dziale produkcyjnym: więźniowie inżynierowie, projektanci, mechanicy i geolodzy. Nieco wyżej plasowali się kierownicy budowy, brygadziści, planiści, normiści, kontrolerzy i pracownicy techniczni. Obie te kategorie

"pridurków" musiały - tak samo jak "proste" zeki - stawiać się co rano na apel. Maszerowali do pracy w kolumnach pod konwojem. Nie pracowali jednak fizycznie, stąd pod koniec dnia roboczego nie byli skrajnie wyczerpani, co w porównaniu z resztą więźniów skierowanych do "robót ogólnych" stawiało ich w sytuacji zdecydowanie uprzywilejowanej.

Jeszcze większym zakresem przywilejów cieszyła się warstwa

"pridurków",

k którzy przez cały dzień roboczy nie opuszczali zony. „Człowiek zatrudniony przy robotach gospodarczych już ma życie znacznie łatwiejsze niż robot z "ogólnych"; nie musi meldować się przed pójściem do pracy, a więc może później wstać i zjeść ranny posiłek bez pośpiechu; nie musi być eskortowany do miejsca pracy i z powrotem, znosi mniej ponagleń, mróz go tak nie dręczy, sił tyle nie traci; prócz tego jego dzień roboczy jest krótszy; albo pracuje w ciepłym lokalu, albo wolno mu się zawsze pogrzać przy ogniu [...]. "Krawiec" - to brzmi i znaczy w obozie mniej więcej tyle co "docent" w reszcie świata”. W tej grupie najniższą kategorię stanowili wykonujący różne prace fizyczne -

łaziebni, pomywacze, praczki, palacze i sanitariusze oraz więźniowie pracujący w obozowych warsztatach krawieckich, szewskich i mechanicznych. Wyżej od więźniów pracujących "pod dachem" stali

"prawdziwi pridurkowie", którzy nie

wykonywali żadnych prac fizycznych - kucharze, "chleboriezy" [krajacze chleba],

urzędnicy, lekarze, pielęgniarki, felczerzy, fryzjerzy, starsi sanitariusze,

"rozwodcziki" [pracownicy przydzielający więźniom stanowiska pracy i konkretne zadania produkcyjne], rachmistrze i księgowi. W niektórych obozach zdarzali się nawet więźniowie zatrudnieni na specjalnych stanowiskach "degustatorów" potraw.

"Ci wszyscy - pisze Solżenicyn - nie tylko zawsze są syci, nie tylko noszą się czysto i nie skarżą się na łamanie w krzyżu, ale sprawują też władzę nad tym, co potrzebne jest ludziom - mają zatem władzę nad ludźmi”. Byli też więźniowie funkcyjni, mający prawo kierować zwykłych zeków do tej czy innej kategorii robót, ustalać wysokość ich racji żywnościowych i zatwierdzać listę chorych, którzy powinni trafić do szpitala - innymi słowy podejmowali decyzje na wagę życia lub śmierci innych więźniów.

Odmienne niż w niemieckich obozach koncentracyjnych sowieccy

"więźniowie funkcyjni" nie musieli należeć do jakiejś określonej kategorii rasowej. Teoretycznie status ten mógł osiągnąć każdy zek - tak samo, jak każdy mógł zostać strażnikiem - i na granicy między kategorią

"pridurków" a "zwykłych więźniów" zawsze panował ożywiony ruch w obie strony.

Procesem tym rządziły jednak dość skomplikowane i niejednolite zasady, które

nie dość, że w każdym niemal obozie były inne, to w dodatku zmieniały się w miarę upływu czasu i na kolejnych etapach dziejów Gułagu różniły się nieco od siebie. Mimo to pewne reguły w mniejszym lub większym stopniu obowiązywały przez

cały okres istnienia systemu łagrów sowieckich. Przede wszystkim - i to wydaje

się najbardziej istotne - więźniom zaliczonym do kategorii "elementów socjalnie

bliskich", czyli kryminalistom, było znacznie łatwiej osiągnąć status

"priudurka" niż zekom sklasyfikowanym jako "element socjalnie niebezpieczny" - to znaczy z wyrokiem politycznym. W wypaczonej hierarchii moralnej Gułagu więźniowie "socjalnie bliscy" - nie tyle nawet

"błatni", ile pospolici złodzieje, oszuści, mordercy i gwałciciele -

uznawani za rokujących większe nadzieje na resocjalizację i powrót do grona "uczciwych obywateli sowieckich", siłą rzeczy stawali się potencjalnymi kandydatami na "funkcyjnych". Pod wieloma względami przestępca, nie wahający się przed użyciem przemocy fizycznej, był wręcz idealnym kandydatem na "pridurka". "Zawsze i wszędzie - pisze z goryczą jeden z byłych więźniów politycznych, Pietrow - więźniowie ci cieszyli się bezgranicznym niemal zaufaniem władz obozowych i więziennych; kierowano ich do najłżejszych prac w biurach, sklepach i magazynach obozowych, kantynach, zakładach fryzjerskich itd.". Jak już pisałam, działało się tak zwłaszcza pod koniec lat trzydziestych i w czasie wojny, kiedy łagrami sowieckimi rządziły niepodzielnie gangi "urków". Alft i później - Filsztinski mówi o sytuacji z drugiej połowy lat czterdziestych -

ale kultury "pridurków" i "błatnych" niewiele się od siebie różniły.

Praktyka obsadzania stanowisk funkcyjnych "urkami" stawiała jednak obozową administrację w obliczu poważnego problemu. "Błatni" nie byli co prawda "wrogami ludu", byli za to na ogół bardzo słabo wykształceni, często niepiśmienni i - co gorsza - nie mieli najmniejszego zamiaru tego stanu rzeczy zmieniać. Nawet w obozach, gdzie prowadzono specjalne kursy dla analfabetów, "urki" nie zadawali sobie trudu brania w nich udziału. Komendanci obozów - pisze Lew Razgon - nie mieli innego wyjścia, musieli zatrudniać politycznych. "Plan sam przez się wywierał

bezprzykładną presję, która nie dopuszczała żadnych usprawiedliwień.

Pod jego wpływem nawet najgorliwsi komendanci obozów, którzy wyrażali najbardziej zajadłą nienawiść do więźniów skazanych za przestępstwa kontrrewolucyjne musieli dopuścić politycznych do pracy".

W gruncie rzeczy po roku 1939, kiedy miejsce Jeżowa zajął Beria, który starał się przekształcić Gułag w rentowną strukturę gospodarczą, obowiązujące w tej mierze normy nigdy nie były ani jednoznaczne, ani jasne. Już instrukcja Berii z sierpnia 1939 roku, wykluczająca formalnie możliwość zatrudniania więźniów politycznych na stanowiskach administracyjnych, dopuszczała kilka wyjątków. Na stanowiskach pracy odpowiadających zawodowym kwalifikacjom więźnia można było zatrudniać lekarzy, a w szczególnych okolicznościach nawet innych więźniów, skazanych za "łżejsze" przestępstwa z artykułu 58, paragrafów 7, 10, 12 i 14 - dotyczących "agitacji" i "propagandy" antysowieckiej. Z

drugiej strony więźniów z wyrokami za "działalność terrorystyczną" i

"zdradę ojczyzny" wolno było kierować wyłącznie do najcięższych prac fizycznych. Po wybuchu wojny zniesiono jednak i tę restrykcję. Stalin i Mołotow podpisali specjalny okólnik, w którym "zważywszy na wyjątkową sytuację", zezwolono Dalstrojowi "zawierać indywidualne umowy o pracę na czas określony z inżynierami, technikami i pracownikami administracyjnymi, zesłanymi do pracy przymusowej na Kołymę". Mimo to komendanci zatrudniający na wyższych stanowiskach zbyt wielu politycznych nadal mogli narazić się na ostrą krytykę, a stanowisko władz w tej kwestii zawsze było dwuznaczne. Solżenicyn i Szałamow twierdzą, że z tej właśnie przyczyny więźniów politycznych zatrudniano co prawda niekiedy na "dobrych" stanowiskach biurowych -

jako rachmistrzów i księgowych - ale wyłącznie tymczasowo. Zwalniano ich regularnie przed spodziewanym terminem pojawienia się w obozie corocznej inspekcji z Moskwy. Szałamow tak opisuje mechanizm tego procederu: „Dobry naczelnik oczekuje przyjazdu komisji, niech komisja sama popracuje - kogo jej

się uda usunąć, to zrobi to, i zabierze tych ludzi, to niedługa sprawa. A kogo nie usunie, ten pozostanie, i pozostanie na długo - na rok, do przyszłego grudnia. Trochę głupszy naczelnik sam usunie, nie oczekując przyjazdu komisji, ażeby zameldować, że wszystko w porządku. Ten zaś najgorszy i najmniej doświadczony, uczciwie wykonując rozkazy wysokiego naczalstwa, nie dopuszcza pięćdziesiątego ósmego paragrafu do żadnych prac, oprócz kilofa i taczki, piły i topora. U takich naczelników sprawy się mają najgorzej. Zostają szybko zwolnieni z pracy”. W praktyce przepisy normujące tę kwestię graniczyły często z absurdem. Odsiadujący wyrok w Kargopolu Filsztinski nie mógł -jako polityczny - zapisać

się na zorganizowany dla więźniów kurs technologii leśnej. Pozwolono mu jednak uczyć się samodzielnie i dopuszczono do egzaminu w trybie eksternistycznym.

Filsztinski pracował później jako wykwalifikowany specjalista - leśnik.

Tymczasem w drugiej połowie lat czterdziestych w Workucie -jak pisze Jasnyj - fakt zatrudnienia go na stanowisku inżynierskim, mimo że był

więźniem politycznym, nie wzbudził niczyich obiekcji. W latach powojennych, kiedy nieformalne rządy w wielu łagrach przejęły z rąk

"błatnych" silne, lepiej zorganizowane i znacznie liczniejsze niż wcześniej

"klany" narodowe, zwłaszcza Bałtów i Ukraińców, stanowiska

"funkcyjnych" - kierowników budowy, brygadzystów i inne co tłustsze posady w obozie - zdominowane zostały przez przedstawicieli tych właśnie narodowości. Nigdy jednak decyzja o ich obsadzie nie zależała wyłącznie od więźniów; ostateczny głos w sprawach personalnych miała zawsze administracja, a większość komendantów obozów była zdecydowanie skłonna przydzielać stanowiska "funkcyjne" więźniom gotowym do bardziej otwartych form "współpracy" - innymi słowy tym, którzy godzili się na donosicielstwo. Niestety, szalenie trudno określić, ilu informatorów miał na swych usługach cały system Gułagu. Rosyjskie archiwa państwowe udostępniły wszystkie dokumenty

Gułagu, poza materiałami Zarządu Trzeciego, kierującego funkcjonowaniem sieci obozowych konfidentów. W monografii Wiatłagu rosyjski historyk Wiktor Bierdinskich publikuje kilka danych liczbowych, nie podając jednak ich źródła. "W latach dwudziestych OGPU postawiło przed sobą zadanie skłonienia co najmniej 25 procent więźniów do współpracy w roli konfidentów. W latach trzydziestych i czterdziestych wskaźnik ten obniżono do 10 procent". Przyznaje jednak, że bez dostępu do materiałów archiwalnych oszacowanie rzeczywistej ich liczby jest zadaniem

"skomplikowanym". Do wyjątków należą też autorzy wspomnień otwarcie przyznający, że byli kiedyś informatorami, chociaż niektórzy nie przeczą, że ich zwerbowano. Nie ma wątpliwości, że przesyłane do obozów akta personalne zeków, którzy zostali informatorami już w więzieniu albo byli nimi jeszcze przed aresztowaniem, zawierały adnotacje o ich skłonności do współpracy. Pozostałym składano stosowną ofertę, jak się wydaje, zaraz po przybyciu do łagru, zanim zdążyli się otrząsnąć z szoku spowodowanego zderzeniem z realiami życia w obozie. Już na drugi dzień po przyjeździe Leonid Truś został wezwany do pełnomocnika NKWD ds.

operacyjnych - werbownika konfidentów, zwanego w obozowym slangu

"kumem" - który złożył mu ofertę współpracy. Nie bardzo rozumiejąc, o co proszą, Truś odmówił i dlatego - jak uważa - skierowano go z początku do ciężkich robót fizycznych, przy znajdującej się na samym dole obozowej hierarchii przydziałów roboczych. Fragment relacji byłego więźnia przytacza również Bierdinskich: „Zdarzało się, że już pierwszego dnia pobytu w зоне nowo przybyłych więźniów wzywano do "kuma".

Tak było i w moim przypadku. Sypiący komplementami, i otwarty co i rusz wracał do tego, że wypadek samochodowy, za który mnie skazano (dziesięć lat łagru i trzy lata pozbawienia praw obywatelskich), to nic, czego musiałbym się wstydzić (to nie rabunek, morderstwo ani nic w tym rodzaju) i zaproponował żebym donosił - żebym stał się kapusiem.

Grzecznie odmówiłem i nie podpisałem podsuwanego mi przez "kuma"

zobowiązania”.

Mimo pogroźek i wyzwisk "kuma" więźnia nie zamknięto w izolatorze. Po powrocie do baraku zwykle spostrzegali, że wszyscy się od niego odsuwają

- i wiedziano, że dostał propozycję współpracy, a skoro go nie pobito ani nie ukarano karcerem, reszta zeków uznała, że się zgodził.

Najsłynniejszym, jak się wydaje, wyjątkiem od powszechnej na dobrą sprawę reguły, że byli więźniowie nie przyznają się do donosicielstwa, jest tym razem Sołżenicyn, który obszernie opisuje swój flirt z władzami obozu. Twierdzi, że moment słabości zdarzył mu się w pierwszych dniach pobytu w obozie, kiedy wciąż jeszcze nie udało mu się pogodzić z faktem swej raptownej i głębokiej deklasacji. Wezwany na rozmowę z pełnomocnikiem operacyjnym wszedł do „małego, przytulnego pokoiku".

Z radia płynęły dźwięki muzyki klasycznej. "Oper" witał go uprzejmie, wyraził nadzieję, że

Sołżenicyn ma się dobrze, a proces jego adaptacji do warunków życia w obozie przebiega pomyślnie, po czym zapytał: „po tym wszystkim, co się z panem zdarzyło, po tych ciężkich przeżyciach - czy przestał być pan człowiekiem sowieckim? Czy nie?” Sołżenicyn, wydawszy z siebie kilka nieartykułowanych pomruków, stwierdził na koniec, że tak. Wyznanie tego rodzaju uchodziło w zasadzie za równoznaczne z deklaracją woli współpracy, mimo to Sołżenicyn z początku nie zgodził się zostać donosicielem. "Oper" zmienił wówczas taktykę. Wyłączył radio, zaczął opowiadać o obozowych kryminalistach, a na koniec spytał go, jak poczułby się na wieść, że jego żona została napadnięta przez zbiegłego z łagru przestępcę.

Sołżenicyn obiecał wówczas, że jeśli usłyszy o kimś, kto planuje ucieczkę z obozu, natychmiast go o tym poinformuje, i podpisał deklarację, w której zobowiązywał się donosić władzom łagru o wszystkich tego rodzaju przypadkach. Jako konfident, miał się posługiwać pseudonimem

"Wietrow". "Te siedem liter - pisze - żłobią się w mojej pamięci jak hańbiące szramy". Sołżenicyn twierdzi, że nigdy nikomu o niczym nie doniósł. W 1956 roku, kiedy próbowano go zwerbować ponownie, odmówił podpisania czegokolwiek. Z drugiej strony zobowiązanie, jakie podpisał na początku, wystarczyło, by w obozie pracował na stanowisku

"funkcyjnym", mieszkał w baraku dla "pridurków", dostawał większe racje żywnościowe i lepszą odzież niż pozostali więźniowie. W tym doświadczeniu chyba należy widzieć przyczynę zdecydowanej niechęci Sołżenicyna do wszystkich "pridurków". Przedstawiony przez niego wizerunek więźniów "funkcyjnych" od samego początku budził - i nadal wzbudza - kontrowersje. Spór o "pridurków", jaki rozgorzał wśród byłych więźniów, a także historyków Gułagu, trwa do dzisiaj. O "funkcyjnych"

wspominają - w najrozmaitszym zresztą kontekście - w zasadzie wszyscy klasycy literatury obozowej - Jewgienia Ginzburg, Lew Razgon, Warłam Szalamow i wreszcie on sam. Nie da się wykluczyć, że - jak utrzymuje wielu z nich - zdecydowana większość wszystkich ocalałych z łagrów więźniów z długimi wyrokami w jakimś momencie swej kariery obozowej była "pridurkami". Jeden z nich opowiadał mi kiedyś o spotkaniu starych kolegów z łagru. Jak zwykle przy takich okazjach wspomniano dawne dzieje, żartowano i opowiadano obozowe anegdoty. W pewnym momencie jeden z biesiadników wstał, rozejrzał się po pokoju i nagle uświadomił sobie, że tym, co nadal trzyma ich razem, co pozwala im śmiać się i żartować z przeszłości, a nie płakać na samo jej wspomnienie, jest fakt, że "wszyscy byli "pridurkami"".

Z całą pewnością wielu ludzi przeżyło obóz tylko dlatego, że udało im się dostać "dobrą" pracę "funkcyjną" w zonie, co pozwoliło im uniknąć koszmaru "robót ogólnych". Pytanie brzmi: czy ceną za to zawsze musiała być czynna kolaboracja z władzami obozu? Sołżenicyn uważa, że tak.

Nawet ci z "pridurków", którzy

Nie byli konfidentami, zasługują według niego na miano kolaborantów:

"Czy -

w szerszym sensie - nie pomnażaliśmy naszą pracą naukową siły tegoż MWD i całego systemu

przymusu?". Bywało, że kolaboracja miała charakter niejako "pośredni", równie jednak - jak wyjaśnia Sołżenicyn -

szkodliwy. "Pridurki" - normiści, inżynierowie, księgowi - nie krzywdzili co prawda więźniów osobiście, byli jednak częścią systemu wymuszającego na zekach morderczą pracę. To samo da się powiedzieć o

"pridurkach biurowych" - maszynistkach powielających rozkazy komendantury łagru. Każdy "chleboriez", kradnąc dla siebie dodatkową rację chleba, zmniejszał tym samym "pajok" zeka pracującego przy wyrębie lasu. "Bo też kto oszukuje Iwana Denisowicza przy ważeniu chleba? Kto zwilża jego cukier, kradnąc nadwagę? Kto nie pozwala, by tłuszcze, mięso i lepsze gatunki kaszy trafiły do wspólnego kotła" - pyta Sołżenicyn. Inni również mieli podobne odczucia. Walentina Muchina-Pietrinska pisze, że z całym rozmysłem przez dziewięć lat pozostawała na robotach ogólnych, aby nie dać się wciągnąć w sieć powiązań korupcyjnych, co było koniecznym warunkiem utrzymania się na stanowiskach "funkcyjnych". Także Dmitrij Panin (który, jak już pisałam, poznał w obozach Sołżenicyna) przyznaje, że czuł się mocno zażenowany, pracując przez dwa tygodnie w kuchni obozowej: "Jeszcze trudniejsza do zniesienia była świadomość, że kradnę jedzenie innym więźniom.

Próbowałem usprawiedliwiać się, tłumaczyć sobie, że ktoś, kto znalazł się w takich jak ja warunkach, nie powinien zaprzętać sobie głowy takimi subtelnościami, ale nic nie pomagało i nie uwolniło mnie to od ciężaru poczucia winy. Kiedy w końcu wyrzucili mnie z kuchni, przyjąłem to - na dobrą sprawę - z radością". Zdecydowanie natomiast nie zgadza się z Sołżenicynem - i nie jest bynajmniej w swych poglądach odosobniony -

Lew Razgon, który w latach dziewięćdziesiątych stał się niemal równie uznanym w Rosji autorytetem w sprawach Gułagu, jak autor „Jednego dnia Iwana Denisowicza”. Razgon, który pracował w obozie jako normista, co plasowało go niemal na samym szczycie hierarchii

"pridurków" uważa, że zarówno dla niego, jak i wielu innych decyzja o wejściu w szeregi "funkcyjnych" była kwestią wyboru między życiem a śmiercią. Zwłaszcza w latach wojny "niemożliwe było przeżyć, ścinając drzewa". Wytrzymywali to tylko chłopci, ci, którzy wiedzieli, jak ostrzyć i ustawiać narzędzia, i ci, których przydzielono do znajomych im prac rolnych, i którym starczała dieta złożona z kradzionych kartofli, chrzanu lub innego rodzaju warzyw. Razgon odrzuca supozycję, że wybór życia był postępkiem niemoralnym, a ci, którzy go dokonali, "byli nie lepsi od tych, którzy ich aresztowali". Podważa również wiarygodność zjadliwego wizerunku "funkcyjnych", jaki kreśli Sołżenicyn. „Znalazłszy się na uprzywilejowanych stanowiskach, wielu "pridurków" regularnie pomagało innym zekom. To nieprawda, że byli obojętni na los wychodzących ścinać drzewa Iwanów Denisowiczów albo czuli się wśród nich wyobcowani.

Nie mogli po prostu pomóc nikomu, kto nie umiał niczego poza ciężką pracą fizyczną. A nawet wśród nich szukali i znajdowali ludzi o najbardziej niecodziennych umiejętnościach: tych, którzy wiedzieli, jak robić płozy do sań i beczi, wysyłano do wytwórni nart; ci, którzy potrafili wyplatać koszyki zaczęli robić wyplatane fotele, krzesła i kanapy dla naczalstwa”.

Byli i źli, i dobrzy funkcyjni - dowodzi Razgon - tak samo jak byli dobrzy i źli

strażnicy, niektórzy pomagali innym, niektórzy im szkodzili. Co więcej, nie czuł

się wcale bezpieczniej od więźniów zajmujących niższą niż oni pozycję w obozowej hierarchii. Nawet jeśli w danym momencie nie zaharowywano ich na śmierć to

wiedzieli, że może ich to spotkać w każdej chwili. Przeniesienie do innego łagru, skierowanie do innej, nieporównanie gorszej pracy zależało wyłącznie od kaprysu komendanta obozu.

"Sanczast" - szpitale i lekarze

Jednym z największych paradoksów, największych, a zarazem najbardziej powszechnych absurdów świata łagrów sowieckich była obozowa służba zdrowia.

Każdy łagpunkt miał swojego lekarza, a przynajmniej pielęgniarkę lub felczera,

czasami posiadającego jakieś kwalifikacje medyczne, a czasami nie.

Personel medyczny był czymś w rodzaju obozowego anioła stróża - mógł

wyrwać więźnia

z koszmaru pracy w trzaskającym mrozie i przenieść go do czystego szpitala obozowego, gdzie opiekowano się nim, odkarmiano go i przywracano do życia.

Wszyscy inni funkcjonariusze obozów - komendanci, strażnicy, brygadziści - kazali zekom pracować coraz ciężiej, tylko lekarz nie miał

takiego obowiązku. "Jedynie lekarz - pisze Szałamow - nie wysyła więźnia w zimowych ciemnościach do

oblodzonego, kamiennego wykopu - każdego dnia na wiele godzin".

Wielu więźniów zawdzięcza życie wyłącznie kilku słowom medyka - i nie jest to wcale przerośnia. Płonącego z gorączki, wychudłego na kość i cierpiącego niewysłowione męki głodu Lwa Kopielewa lekarz uznał za chorego na pelagrę i zapalenie jelit. "Wysyłam pana do szpitala" -

oznajmił. Dotrzeć z łagpunktu do obozowej "sanczasti" nie było łatwo.

Kopielewowi kazano zdeponować cały dobytek - własność obozu musiała zostać w łagrze - dobrnąć piechotą przez "głębokie, lodowate bajora" na stację, a później tłoczyć się w bydlęcym wagonie z dziesiątkami innych chorych i umierających więźniów. Podróż była piekłem, ale kiedy Kopielew ocknął się wreszcie w zupełnie nowym miejscu, miał wrażenie, że trafił do innego świata:

„W rozkosznych półśnie siedziałem w jasnej, czystej sali szpitalnej, na pryczy przykrytej niewiarygodnie czystym prześcieradłem [...]. Lekarz był

niskim mężczyzną o puciołowatej twarzy, z siwymi wąsami. Nosił okulary o grubych szklach, potęgujące jeszcze wrażenie ciepła i serdeczności, jakie i tak już sprawiał. "Czy znał pan w Moskwie krytyka literackiego, Motylową?" - spytał.

-Tamarę Łazariewnę Motylową? Oczywiście!

-To moja siostrzenica. Wuj Boria, bo to był on, spojrzął na termometr.

- Oho! Umyć go! - polecił asystentowi. - Rzeczy wygotować. Położyć go do łóżka.

Kiedy znów się obudził, zauważył, że przyniesiono mu sześć kromek chleba:

"Trzy kromki razowca i - o cudzie! - trzy kromki białego chleba. Zjadłem je łapczywie, ze łzami w oczach". Nie dość na tym. Przyznano mu specjalną dietę dla

chorych na pelagrę: rzepę, marchew oraz drożdże i musztardę, którą mógł

posmarować chleb. Po raz pierwszy mógł otrzymywać paczki i przesyłki pieniężne z domu, mógł więc kupować w kantynie gotowane kartofle, mleko i machorkę. Skazany leszcze niedawno na egzystencję "dochodiagi"

Kopielew zrozumiał, że los

zesłał mu ratunek. Tak odczuwali to wszyscy. Jewgienia Ginzburg nazywa szpital, w którym pracowała na Kołymie, "rajem". Sgovio pisze, że w łagpunkcie Sriednikan "w barakach dla rekonwalescentów czuliśmy się jak królowie". Na śniadanie wydawano tam "świeży, słodki rogalik". Inni pamiętają zachwyty, w jaki wprawiały

czyste prześcieradła, uprzejmość pielęgniarek i determinacja, z jaką lekarze walczyli o życie pacjentów. Inny zek opowiadał mi o lekarzu, który ryzykując "

stanowisko, wymknął się nielegalnie z obozu, żeby zdobyć niezbędne medykamenty". Okuniewska pisze o lekarzu, który "wracał umarłym życie" . Jeden z

obozowych doktorów, Wadim Aleksandrowski, wspomina, że "lekarze byli w

obozie jeśli nie bogami, to już na pewno półbogami. Od ich wyrokowi zależało

zwolnienie więźnia na kilka dni od zabójczej pracy, a nawet wysłanie do sanatorium". Janos Rozsas, osiemnastoletni Węgier, siedzący po wojnie w tym samym łagrze co Sołżenicyn, napisał książkę zatytułowaną „Siostra Dusia” na cześć pielęgniarki, której -jak twierdzi - zawdzięcza życie.

Siostra Dusia nie tylko czuwała przy nim i rozmawiała z nim, ale poświęciła nawet własną rację chleba by kupić dla niego mleko. Rozsas zachował dla niej wdzięczność przez całe życie.

"Wyobraziłem sobie dwie ukochane twarze - daleką twarz rodzonej matki i siostry Dusi. Były do siebie zaskakująco podobne". Z uczucia do siostry Dusi zrodziła się z czasem jego miłość do języka i kultury rosyjskiej. Kiedy spotkałam się z nim w Budapeszcie, Rozsas, który pół wieku po wyjściu z

łagru nadal władał płynną wykwinną ruszczyzną i utrzymywał kontakty z rosyjskimi przyjaciółmi, z dumą pokazywał mi wzmianki o sobie w „Archipelagu Gułag” i wspomnieniach żony Sołżenicyna. Warto tu zwrócić uwagę na kolejny paradoks sowieckiego systemu. W brygadzie roboczej nikt nie zwracał uwagi na chwiejące się zęby i owrzodzone nogi chorego na szkorbut więźnia, a jego skargi strażnicy kwitowali - w najlepszym razie -

śmiechem. Umierający na pryczy "dochodiaga" był przedmiotem niewybrednych żartów, stawał się czymś w rodzaju obozowego kłowna.

Wystarczyło jednak, że miał odpowiednio wysoką gorączkę albo jego choroba osiągała stadium krytyczne - innymi słowy, kiedy oficjalnie został

"zakwalifikowany" jako chory - natychmiast otrzymywał specjalne

"skorbutowe" albo "pelagrowe" racje żywnościowe i wszelkiego rodzaju pomoc oraz opiekę medyczną, jaką tylko dysponował Gułag. Paradoks ten był integralną częścią samego systemu. Od pierwszych dni istnienia sowieckich obozów koncentracyjnych chorych więźniów traktowano na odrębnych prawach. Specjalne brygady dla "inwalidów" - zeków niezdolnych do ciężkiej pracy fizycznej - istniały już w styczniu 1931

roku. Później zaczęto budować osobne baraki, a nawet zakładać specjalne łagpunkty, gdzie wycieńczeni więźniowie mieli odzyskiwać siły. W 1933

roku Dmitłag zorganizował "łagpunkt rekonwalescencyjny" dla 3600

osób. W oficjalnych dokumentach Gułagu określa się szczegółowo skład dodatkowych racji żywnościowych dla więźniów hospitalizowanych: kilka rodzajów produktów mięsnych, prawdziwa herbata (a nie jej substytut, który dostawali zwykli więźniowie), cebula (dla zapobieżenia skorbutowi) oraz - z trudnych do wyjaśnienia przyczyn - "liście laurowe i pieprz". W porównaniu ze "zwykłymi" racjami był to niewyobrażalny wręcz luksus, nawet jeśli w praktyce owe "nadmierzalne" racje sprowadzały się do "do odrobiny kartofli lub suszonego zielonego groszku (podgotowanego tylko, żeby nie zniszczyć zawartych w nim witamin) lub kapusty kiszanej". Próbując wytłumaczyć zaskakujący kontrast między zabójczymi warunkami

życia w łagrach a rozmiarami wysiłku, jaki obozowi doktorzy wkładali w leczenie

ludzi, którym obóz całkowicie zrujnował zdrowie, Gustaw Herling-Grudziński dochodzi do wniosku, że w Związku Sowieckim musiało istnieć coś w rodzaju "kultu

szpitala". „Było coś nieprawdopodobnego w fakcie, że już za progiem - po wypisaniu ze szpitala - więzień stawał się na powrót więźniem, ale jak długo leżał bez ruchu w łóżku szpitalnym, przysługiwały mu wszystkie prawa człowieczeństwa z wyjątkiem wolności. Dla człowieka nienawykłego do kontrastów życia sowieckiego szpitale urastały do rozmiarów kościołów pośrodku szalejącej inkwizycji”. Nie mógł tego pojąć również György Bien, Węgier, który wylądował w znakomicie wyposażonym szpitalu w Magadan: "Zastanawiałem się, dlaczego próbują mnie uratować, skoro wszystko zdawało się wskazywać, że chcą mnie zamęczyć na śmierć - ale logika

umarła tu już dawno temu". Nie ulega wątpliwości, że moskiewska centrala Gułagu bardzo poważnie traktowała problem więźniów niezdolnych do pracy, zwłaszcza od 1939

roku, kiedy Stalin i Beria zdecydowali ukrócić praktykę "warunkowych zwolnień przedterminowych" więźniów niezdolnych do pracy -

najwygodniejszą dotąd i powszechną metodę pozbywania się niepełnowartościowej siły roboczej. Z braku innego wyjścia komendanci łagrów musieli zająć się na serio sprawą obozowych szpitali. Raport jednej z inspekcji zawiera dokładną kalkulację strat poniesionych przez łagier z powodu chorób w obozie: "Od października 1940 do połowy marca 1941 roku zanotowano 3472 przypadki odmrożeń, co spowodowało stratę 42 334 dniówek roboczych. 2400 więźniów straciło zdolność do pracy". W innym sprawozdaniu z tego samego roku czytamy, że z 2398

więźniów w obozach na Krymie 860 to częściowo, a 273 całkowicie niezdolni do pracy. Część z nich jest hospitalizowana, pozostałych, dla których zabrakło łóżek w szpitalach, ulokowano w karczerach, co zupełnie zdeorganizowało funkcjonowanie całego systemu". Ani w tych, ani w innych raportach z tego okresu nie mówi się wprost o konieczności leczenia chorych. W niektórych kompleksach obozów specjalne łagpunkty dla niezdolnych do pracy i rekonwalescentów zakładano, jak można przypuszczać, wyłącznie po to, by uniknąć spadku wskaźników produkcji i wydajności pracy. Z całą pewnością było tak w Sibłagu, gdzie w latach 1940-1941 z 63 tysięcy więźniów 9 tysięcy zakwalifikowano do kategorii

"niezdolnych do pracy", a 15 tysięcy jako "częściowo niezdolnych do pracy", co łącznie przekraczało jedną trzecią ogólnej liczby uwięzionych.

Wycofanie ich z najważniejszych odcinków robót i zastąpienie brygadami

"świeżych" zeków sprawiło, że wskaźnik wykonania planów produkcyjnych podskoczył jak za dotknięciem różdżki magicznej.

Odgórna presja na wykonanie planowych zadań stawiała komendantów wobec trudnego dylematu. Z jednej strony rzeczywiście zależało im na skutecznym leczeniu chorych - choćby tylko dlatego, że ozdrowieńców można było z powrotem skierować do pracy - z drugiej zaś nie chcieli rozzuchwalać "leniwych". Stąd stosowany w praktyce stosowany swoisty

"kompromis" w postaci narzucanych lekarzom limitów - niekiedy bardzo dokładnie określanych - skierowań do szpitali i punktów rekonwalescencyjnych. Innymi słowy, bez względu na rzeczywistą liczbę chorych lekarz miał prawo zwolnić od pracy tylko pewną, z zasady bardzo niewielką ich część. Aleksandrowski, pracujący wówczas jako lekarz obozowy przypomina sobie, że w jego łagpunkcie do ambulatorium zgłaszało się codziennie "około 10 procent więźniów" od 30 do 40 osób, z których zaledwie 3 do 5 procent mogło uzyskać zwolnienie:

"Przekroczenie tej granicy groziło wszczęcie śledztwa". Im więcej było chorych, tym dłużej musieli czekać na swoją kolejkę do szpitala. Za typowy należy uznać przypadek pewnego więźnia Ustwimłagu, który dwukrotnie zgłaszał się do lekarza jako niezdolny do pracy, lecz -jak możemy czytać w sporządzonym później raporcie z jego sprawy -

"personel medyczny" nie zwracał na to żadnej uwagi i nadal wyprowadzano go na roboty. Jako zbyt wyczerpany odmawiał podjęcia pracy, za co zamknięto go w karczerze. Po czterech dniach został - w stanie krytycznym - przeniesiony do szpitala, gdzie zmarł". W innym obozie zmuszano do pracy gruźlika "w stanie tak zaawansowanej choroby, że nie mógł wracać do żony o

własnych siłach". Limity - zazwyczaj niskie - ograniczające "dozwoloną"

liczbę chorych stawiały lekarzy obozowych w sytuacji na dobrą sprawę bez wyjścia. Z kolei zbyt wielka liczba przypadków śmierci chorych, którym odmówiono przyjęcia do szpitala, groziła naganą, a nawet procesem i wyrokiem. Groziło im też zupełnie realne niebezpieczeństwo ze strony agresywnych i skłonnych do przemocy "urków", domagających się zwolnień od pracy, którym lekarz - jeśli rzeczywiście chciał pomóc prawdziwie chorym - musiał stawiać czoło. Szalamow opisuje historię doktora Surowego, skierowanego do pracy w zaludnionej przeważnie przez kryminalistów kopalni "Spokojna" na Kołymie: „Do ambulatorium

[...], gdzie było wielu błatnych, oddelegowano młodego lekarza, a co najważniejsze młodego stażem aresztanta Surowego [...]. Koledzy odradzali mu to. Można było odmówić i pójść na "roboty ogólne", nie podejmując się jawnie niebezpiecznej pracy. Lecz Surowy trafił do szpitala właśnie z ogólnych robót i obawiając się powrotu, zgodził się pojechać do kopalni, aby pracować w swoim zawodzie. Kierownictwo dało mu instrukcje, ale nie poradziło, jaką ma zająć postawę. Tyle że kategorycznie zabroniło kierować do szpitala zdrowych złodziei. Po upływie miesiąca został

zabity w trakcie przyjmowania chorych - na jego ciele naliczono pięćdziesiąt dwie rany zadane nożem". Karol Colonna-Czosnowski, który pojawił się w jednym z "kryminalnych" łagpunktów, by objąć tam obowiązki felczera, został z miejsca poinformowany, że jego poprzednika pacjenci "zarabali na śmierć". Istotnie, już pierwszej nocy złożył mu wizytę osobnik z siekierą, domagający się zwolnienia z pracy na dzień następny. Czosnowski twierdzi, że udało mu się go podejść z zaskoczenia i wyrzucić z kwatery. Nazajutrz musiał jednak zawrzeć układ z miejscowym hersztem "urków", niejakiem Griszą, i uzupełniać listę zwalnianych codziennie od pracy chorych o dwóch wskazanych przez niego "błatnych".

Podobną sytuację opisuje inny obozowy felczer Alexander Dolgun. Kilka dni

po podjęciu pracy zgłosił się do niego jakiś kryminalista, który oświadczył, że

cierpi na bóle żołądka i zażądał opium: "Potrzebne mi opium. Zawsze traktowano

mnie tu dobrze. Jesteś nowy, ale powinieneś wiedzieć, że jak nie dostanę opium, to wsadzę ci ten nóż pod żebra". Dolgun twierdzi, że ostatecznie spławił go jakąś ciecżą, którą wręczył mu zamiast narkotyku. Inni nie byli tak sprytni i popadali w całkowitą zależność od "urków". Więzień, któremu udało się w końcu dostać do szpitala, nie zawsze mógł jednak liczyć na fachową opiekę medyczną. W większych obozach zdarzały się szpitale z prawdziwego zdarzenia - z niezłym wyposażeniem i kompetentnym personelem lekarskim. Centralny szpital Dałstroju w Magadanie słynął wręcz z nowoczesnego sprzętu i pracujących tam znakomitych lekarzy - zeków, często wybitnych specjalistów z najlepszych klinik moskiewskich. Jego pacjentami byli przeważnie oficerowie NKWD i cywilni pracownicy łagrów. Od czasu do czasu jednak pod opiekę dobrego fachowca trafiali również

więźniowie - na przykład Leonidowi Finkelsteinowi pozwolono nawet na wizytę u dentysty. Dobrze wyposażone były również niektóre łagpunkty dla rekonwalescentów i wszystko wskazuje, że władze rzeczywiście liczyły na przywrócenie zdolności do pracy osadzonym w nich więźniom.

Przebywająca w jednym z nich Tamara Okuniewska nie mogła nadziwić się przyzwoicie utrzymanym przestronnym barakom, otoczonym drzewami. "Nie widziałam ich tyle lat! A w dodatku była wiosna!". W

szpitalach mniejszych łagpunktów było zdecydowanie gorzej; lekarzom nie udawało się utrzymać w nich nawet elementarnych norm higieny i czystości. W wielu wypadkach szpital był niewiele więcej niż zwykłym barakiem; chorzy leżeli nierzadko po dwóch w jednym łóżku; brakowało podstawowych lekarstw. W raporcie z inspekcji jednego z mniejszych łagrów mowa o braku specjalnego budynku szpitalnego, prześcieradeł i bielizny dla pacjentów, lekarstw, wykwalifikowanego personelu medycznego i - w rezultacie - istniejącej tam bardzo wysokiej śmiertelności. Potwierdzają to relacje naocznych świadków. Naczelnym chirurg Siewierłagu Izaak Vogelfanger pamięta, że w szpitaliku jednego z łagpunktów tego kompleksu "poziom opieki lekarskiej i dokumentacja były fatalne, a co gorsza: [...] racje żywnościowe były zdecydowanie niewystarczające, brakowało lekarstw. W przypadkach wymagających interwencji chirurga - złamania, rozległe uszkodzenia tkanki miękkiej -

operowano zazwyczaj niefachowo, a terapia pooperacyjna stała na fatalnym poziomie. Później zorientowałem się, że tacy pacjenci bardzo rzadko wychodzili ze szpitala w stanie umożliwiającym im powrót do pracy. Ci, których przyjęto do szpitala z zaawansowanymi objawami wycieńczenia głodowego, przeważnie w nim umierali". Polak, Jerzy Gliksman, pisze, że w innym łagpunkcie więźniowie "leżeli pokotem" na podłodze: "Korytarze były zatarasowane leżącymi ciałami. Wszędzie panował brud. Wielu pacjentów bredziło i bełkotało jakieś oderwane słowa w malignie, inni leżeli nieruchomi i bladzi". Jeszcze gorzej było w barakach dla chorych w stanie terminalnym. W jednym z nich dla chorych na dyzenterię "pacjenci leżeli w łóżkach całymi tygodniami, jeśli mieli łut szczęścia, wracali do zdrowia. Częściej umierali. Nie leczono ich, i nie było medykamentów [...]. Pacjenci ukrywali zazwyczaj przez kilka dni fakt śmierci sąsiada, starając się jak najdłużej pobierać jego rację żywnościową". W dodatku sytuację pogarszała jeszcze tępa biurokracja Gułagu. W raporcie z przeprowadzonej w 1940 roku wizytacji jednego z obozów stwierdzono, że w szpitalu brak wystarczającej liczby łóżek, a ponieważ regulamin przewiduje wydawanie specjalnych racji żywnościowych tylko pacjentom hospitalizowanym, chorzy przebywający poza barakiem szpitalnym dostają takie same, karne racje jak uchylający się od pracy "bumelanci". Mówiło się wprawdzie o lekarzach, którzy z poświęceniem ratowali pacjentów od śmierci, w żadnym jednak wypadku nie dotyczyło to wszystkich. Bywali również znacznie mniej przychylni i życzliwi, skłonni raczej - zwłaszcza że sami mieli w łagrze uprzywilejowaną pozycję - bardziej utożsamiać się z administracją obozu niż więźniami, o których ponoć mieli się troszczyć. "Zachowywała się jak

"pomieszczica" - wielka właścicielka ziemiska z czasów przedrewolucyjnych - cały personel szpitala traktowała jak służbę.

Winnego jakiegoś błahego zaniedbania wytargała kiedyś tłustą łapą za włosy tak, że zaczął krzyknąć z bólu" - pisze Elinor Lipper o ordynator pewnego szpitala dla 500 pacjentów. W innym raporcie inspektor ostro krytykuje lekarkę - skądinąd żonę komendanta łagru - za to, że "przyjmuje chorych do szpitala stanowczo zbyt późno, nie zwalnia ich od pracy, zachowuje się po chamsku i wyrzuca

chorych więźniów z lazaretu".

Zdarzały się też wypadki, że lekarze z całym rozmysłem zaniedbywali pacjentów. Więziony na początku lat pięćdziesiątych Truś zmiążdżył

sobie w kopalni nogę. Lekarz opatrzył mu co prawda ranę, ale Truś stracił

bardzo dużo krwi i konieczna była transfuzja. W obozie nie było odpowiedniej aparatury, przewieziono go więc, zgodnie z obyczajem na platformie ciężarówki, do szpitala rejonowego. Półprzytomny Truś usłyszał, że doktor każe pielęgniarce rozpocząć przetaczanie krwi. Towarzyszący mu koledzy zaczęli podawać jego dane personalne -

nazwisko, wiek, płeć, a kiedy wymienili miejsce pracy, lekarz kazał

przerwać transfuzję.

Więźniowie nie mieli prawa do zabiegów tego rodzaju. Truś przypomina sobie, że

dano mu trochę glukozy do wypicia - zawdzięcza to łapówce wręczonej przez kolegów - i porcję morfiny. Następnego dnia nogę trzeba było amputować.

„Chirurg - całkowicie przekonany, że nie przeżyję - nie operował mnie sam, tylko oddał mnie w ręce swojej żony - terapeutki, która chciała zdobyć specjalizację z chirurgii. Powiedziano mi później, że operowała dobrze, znała się na rzeczy, tyle tylko że pominęła niektóre drobiazgi i to nawet nie dlatego, że o nich nie pamiętała. Nie wierzyła po prostu, że z tego wyjdę, toteż nie widziała specjalnej potrzeby skrupulatnego trzymania się wszystkich reguł sztuki. A jednak spójrzcie - żyję!”. Nie zawsze też obozowi medycy - i ci życzliwi, i ci obojętni - mieli odpowiednie kwalifikacje; trafiali się wśród nich zarówno wybitni specjaliści moskiewscy, jak i pospolici szarlatani, nie mający zielonego pojęcia o medycynie, którzy podawali się za lekarzy, żeby zdobyć ciesząc się najwyższym prestiżem w łagrze stanowisko. Już w 1932 roku OGPU uskarżało się na niedostatek kwalifikowanego personelu medycznego - w konsekwencji więźniowie z dyplomami szkół lekarskich byli wyjęci spod wszelkich restrykcji normujących zasady przydzielania zekom stanowisk "funkcyjnych". Obowiązki lekarzy obozowych pozwalano na ogół pełnić nawet skazanym za "kontrrewolucyjną działalność terrorystyczną". Braki kadrowe powodowały też, że pielęgniarkami i felczerami zostawali więźniowie, którzy ukończyli zaledwie elementarne kursy szkolenia medycznego. Ginzburg została

"kwalifikowaną" pielęgniarką po kilku dniach praktyki w szpitalu obozowym, w trakcie której opanowała "sztukę" stawiania baniek i robienia zastrzyków. Dołgun, który poznał podstawy fachu felczera w łagrze, musiał - po przeniesieniu do innego obozu - przejść egzamin z umiejętności praktycznych. Mocno powątpiewający w jego kwalifikacje funkcjonariusz kazał mu dokonać obdukcji zwłok. "Zrobiłem dobrą minę do złej gry i starałem się postępować tak, jakbym robił to codziennie" -

pisze Dołgun.

Dzięki kłamstwu posadę felczera zdobył również Janusz Bardach, który podawał się za studenta trzeciego roku medycyny. W rzeczywistości nawet nie wstąpił

na uniwersytet. Rezultaty nietrudno było przewidzieć. Po objęciu stanowiska lekarza w Siewierłagu Izaak Vogelfanger - dyplomowany chirurg - z niemałym zaskoczeniem stwierdził, że miejscowy felczer leczy wrzody skorbutowe jodyną. Później na własne oczy widział pacjentów umierających dlatego, że niedouczony lekarz wstrzyknął im dożylnie roztwór zwykłego cukru, a nie glukozy.

Żaden z tych wypadków nie mógł być zaskoczeniem dla wyższych rangą funkcjonariuszy Gułagu. "W wielu łagpunktach pomocy medycznej udzielają pielęgniarki - samouki, więźniowie bez żadnych kwalifikacji medycznych" - donosił jeden z nich w memoriale wysłanym do Moskwy.

Inny stwierdza wręcz, że obozowy system opieki lekarskiej "urąga elementarnym zasadom sowieckiej służby

zdrowia". Naczalstwo doskonale o tym wiedziało, wiedzieli też o tym więźniowie - mimo to obozowa służba zdrowia dalej działała po staremu.

A jednak, mimo wszystkich tych mankamentów - źle wyposażonych szpitali, szalejącej wśród personelu korupcji, braku lekarstw - pobyt w szpitalu lub izbie chorych był dla więźniów perspektywą tak pociągającą, że gotowi byli nie tylko zastraszać, ranić czy zabijać lekarzy - ale i z całym rozmysłem rujnować własne zdrowie. Tak samo jak żołnierze, pragnący uniknąć wysłania na front, zdecydowani przetrwać za wszelką cenę więźniowie dokonywali samookaleczeń {samorub) albo próbowali symulować różnego rodzaju choroby (mastyрка). Niektórzy mieli nadzieję, że dzięki temu obejmie ich w końcu amnestia dla niepełnosprawnych i wyjdą na wolność. Wiara w rychłą amnestię dla inwalidów była w łagrach tak głęboko

zakorzeniona i powszechna, że przynajmniej raz Gułag wydał oficjalne oświadczenie zaprzeczające tego rodzaju pogłoskom (choć niepełnosprawnych rzeczywiście od czasu do czasu z obozów zwalniano).

Większości więźniów chodziło jednak przede wszystkim o to, by przynajmniej przez jakiś czas nie pracować.

Kara za samookaleczenie była surowa - przedłużenie wyroku. Działo się to z tej zapewne przyczyny, że więzień niezdolny do pracy stawał się ciężarem dla państwa i utrudniał łagrowi wykonanie planu produkcji.

"Samookaleczenie było surowo karane jako sabotaż" - pisze Anatolij Żygulin. Inny więzień, Kudriawcew, opowiedział mi historię towarzysza niedoli, który odrąbał sobie palce

lewej ręki, a mimo to nie trafił do obozu dla inwalidów. Kazano mu siedzieć w

śniegu i przyglądać się innym pracującym zekom, nie wolno mu było ruszyć się na

krok pod groźbą zastrzelenia za próbę ucieczki. Człowiek ten "bardzo szybko

poprosił o łopatę i - płacząc i przeklinając -jedną ręką próbował kopać zamarznąłą na kość ziemię". Mimo to wielu zeków uważało, że potencjalne korzyści, jakie może dać samookaleczenie, uzasadniają podejmowane ryzyko. Niektóre metody były prymitywne, niemniej skuteczne. Kryminaliści mieli zwyczaj odrąbywania sobie siekierą trzech środkowych palców lewej dłoni, co uniemożliwiało im pracę przy wyrębie lasu i taczkach - podstawie transportu w kopalniach. Inni, wychodząc w zimie do pracy, owijali stopę wilgotną onucą - wieczorem wracali do zony z odmrożeniami III stopnia. Mokrą szmatą można było również przewiązać z analogicznym rezultatem. W latach sześćdziesiątych Anatolij Marczenko widział człowieka, który przybił sobie jądra do pryczy gwoździem. Nie on pierwszy wpadł na taki pomysł; o więźniu, który przygwoździł sobie mosznę do pieńka, pisze również Walerij Fried.

Istniały wszakże metody dużo bardziej subtelne i wyrafinowane. Można było na przykład, wprowadzić do cewki moczowej roztwór mydła, co powodowało wyciek z prącia, do złudzenia przypominający objawy rzeżączki. Jeden z więźniów wpadł na przemyślny sposób symulowania objawów krzemowej pylicy płuc. Wypalił porcję tytoniu zmieszanego z opiłkami srebra (uzyskał je, ścierając na pył własną obrączkę, którą jakimś cudem udało mu się ukryć) i zgłosił się do lekarza, kaszląc w sposób, który podpatrzył u osób rzeczywiście chorych na silicosis. Sam nie zauważył u siebie żadnych objawów, ale na rentgenogramie widać było rozległe plamy w płucach. Wystarczyło to, by uzyskać orzeczenie o niezdolności do wykonywania ciężkich prac i skierowanie do obozu dla nieuleczalnie chorych. Więźniowie próbowali również wywołać u siebie różne rodzaje stanów zapalnych i chorób przewlekłych. Wadim Aleksandrowski leczył pacjenta, który zakaził się brudną igłą do szycia.

Herling-Grudziński podpatrzył kiedyś zeka, który ukradkiem przypiekał

sobie ogniem rękę; robił to codziennie, przez co rana w

"niewytłumaczalny" sposób nie chciała mu się zagoić. Żygulin starał się zachorować, pijąc lodowatą wodę i głęboko wdychając mroźne powietrze.

W efekcie dostał wysokiej gorączki i uzyskał zwolnienie z pracy: "Cóż to za wspaniałe, czarowne dwanaście dni spędzone w tym maleńkim szpitaliku!".

Symulowano też choroby umysłowe. Bardach, który w pewnym momencie swej kariery felczerskiej pracował na oddziale psychiatrycznym centralnego szpitala w Magadanie, pisze, że najczęściej stosowana metoda demaskacji fałszywych

schizofreników polegała na zamykaniu ich razem z osobami rzeczywiście chorymi

na schizofrenię: "Po kilku godzinach wielu więźniów, nawet najbardziej wytrwałych, pukało do drzwi, by ich wypuszczono". A jeśli to zawiodło, więźniowi dawano zastrzyk z kamfory, co wywoływało u niego atak drgawek. Ci, którzy to przeżyli, rzadko godzili się na powtórzenie zabiegu. Elinor Lipper opisuje też standardową procedurę postępowania z podejrzanymi o symulowanie paraliżu: pacjenta kładziono na stole i podawano mu łagodny środek usypiający, a kiedy się obudził, półprzytomnego jeszcze, stawiano na nogi. Lekarz wywoływał go z nazwiska i niemal zawsze więzień instynktownie robił kilka kroków naprzód, zanim przypomniał sobie, że powinien upaść.

Dmitrij Bystroletow opisuje przypadek cudownego uleczenia "głuchoniemej".

Władze obozu, podejrzewając, że kobieta symuluje głuchotę, zaprosiły do obozu jej matkę. Nie pozwolono jej jednak wejść do baraku, kazano natomiast stanąć na progu i głośno zawołać córkę po imieniu. A ta, oczywiście, odpowiedziała. Zdarzali się jednak i tacy lekarze, którzy sami uczyli więźniów skutecznych metod symulacji. Wycieńczony biegunką i niedożywieniem Alexander Dołgun nie miał wystarczająco wysokiej gorączki, by uzyskać zwolnienie z pracy; kiedy jednak powiedział

lekarzowi - wykształconemu i kulturalnemu Estończykowi - że jest Amerykaninem, twarz doktora rozjaśnił promienny uśmiech. Nie ma pan pojęcia, jak marzę, żeby porozmawiać z kimś po angielsku - oznajmił

Dołgunowi medyk i pokazał mu, jak fachowo zakaża się skaleczenia.

Wywiązał się z tego stan zapalny ręki tak imponujący, że zrobił nawet wrażenie na strażniku, który pojawił się w szpitalu, by sprawdzić, czy Dołgun rzeczywiście jest poważnie chory. Raz jeszcze postawiony został

na głowie cały system zasad i wartości moralnych. W wolnym świecie żaden lekarz, który z całym rozmysłem wpędza pacjenta w chorobę, nie cieszyłby się opinią człowieka godnego szacunku. W obozie lekarzom takim oddawano cześć jak świętym.

"Cnoty powszednie"

Nie wszystkie strategie przetrwania wynikały jednak z logiki samego systemu, nie

wszystkie również pociągały za sobą nieuchronnie kolaborację, przemoc czy zadawanie sobie gwałtu. Mimo to część więźniów - przeważająca, jak się wydaje -

zdołała przetrwać, umiejętnie wygrywając na swoją korzyść prawa rządzące łagrem, byli również tacy, którzy przeżyli, dochowując wierności systemowi zasad

i wartości moralnych, które znawca problematyki niemieckich obozów koncentracyjnych, Tzvetan Todorov, nazywa "cnotami powszednimi" -

przyjaźni, solidarności, imperatywowi zachowania godności osobistej oraz kultywowaniu życia duchowego. Solidarność mogła przejawiać się różnie; mówiliśmy już o więźniach tworzących własne struktury samopomocy i obrony, takie jak "klany" etniczne - Ukraińców, Polaków i Bałtów - które w drugiej połowie lat czterdziestych przejęły nieformalne rządy w niektórych obozach. Inni budowali podobne wspólnoty, opierając się na sieci znajomości zawartych przez lata pobytu w obozie. Jeszcze inni tworzyli wąskie, dwu- lub trzyosobowe, elitarne kręgi bliskich przyjaciół!

Najbardziej znany z takich gułagowych przyjaźni jest zapewne związek łączący Ariadnę Efron, córkę poetki Mariny Cwietajewej, z Adą Federolf.

Obydwie dokonywały cudów, żeby być ze sobą w łagrach i na zesłaniu, a później wspólnie opublikowały wspomnienia. Ada Federolf opisuje w nich również moment ponownego spotkania z

przyjaciółką po długiej rozłące: „Było lato. Pierwsze pięć dni po przyjeździe pamiętam jako koszmar. Wyprowadzano

nas na spacer raz dziennie; panował niewiarygodny upał. I oto, nieoczekiwanie, przybył nowy etap z Riazania - a z nim Ada. Cała szczęśliwa pomogłam jej wejść na górną pryczę - bliżej świeżego powietrza... Tak wygląda radość więźnia, radość płynąca po prostu ze spotkania kogoś bliskiego”. Podobnie sądzą inni: "To bardzo ważne mieć przyjaciela, kogoś zaufanego, który nie opuści cię w potrzebie" - pisze Zoja Marczenko. "Nie da się przetrwać w pojedynkę. Ludzie tworzą dwu-trzyosobowe grupki" - wtóruje jej Nikołaj Kiekuszew. Dmitrij Panin jest również głęboko przekonany, że udało mu przetrzymać napady kryminalistów jedynie dzięki przymierzu obronnemu, jakie zawarł z innymi więźniami. Solidarność i altruizm miały oczywiście swoje granice.

Janusz Bardach pisze o swoim najbliższym przyjacielu z obozu: "Żaden z nas nie prosił drugiego o jedzenie, nie proponowaliśmy też go sobie nawzajem. Obaj wiedzieliśmy, że nie wolno nam naruszać tej zasady, jeśli mieliśmy pozostać przyjaciółmi”.

Niektórym pomagało okazywanie troski i szacunku innym, byli jednak i tacy,

którzy nie utracili elementarnych cech ludzkich tylko dlatego, że za wszelką cenę starali się zachować szacunek dla samych siebie. Wielu byłych więźniów, zwłaszcza kobiety, potwierdza rolę, jaką w utrzymaniu poczucia godności własnej odgrywała troska o higienę osobistą, staranie o to, by być czystym, tak czystym jak tylko można. Olga Adamowa-Sliozberg wspomina koleżankę z celi, która co wiecznie odpruwała biały kołnierzyk bluzki, prała go, suszyła i rano przyszywała z powrotem.

Japońscy więźniowie w Magadanie skonstruowali "łaźnię japońską". Była to wielka, drewniana beczka, z ławeczkami w środku. Podczas szesnastomiesięcznego pobytu w leningradzkim więzieniu Kriesty Boris Czetwierikow codziennie prał ubranie, dokładnie zmywał podłogę i ściany celi, po czym zaczynał nucić wszystkie arie operowe, jakie zdołał sobie przypomnieć. Inni również konsekwentnie przestrzegali ściśle ustalonego porządku zabiegów higienicznych. O tym pisze Janusz Bardach: „Pomimo znużenia i zimna trzymałem się rutyny codziennych czynności, której przestrzegałem w domu i w Armii Czerwonej, myjąc twarz i ręce przy pompie. Chciałem zachować w sobie jak najwięcej godności osobistej w odróżnieniu od wielu więźniów, których obserwowałem: z każdym dniem poddawali się. Najpierw przestawali dbać

o higienę i wygląd, potem o współwięźniów, a wreszcie o swoje życie.

Nawet jeśli

nie mogłem kontrolować niczego innego, to sprawowałem kontrolę nad tym rytuałem, który -jak sądziłem - uchroni mnie przed degeneracją i niechybną śmiercią”.

Jeszcze inni narzucali sobie żelazną dyscyplinę intelektualną; starali się pracować umysłowo - wielu, bardzo wielu pisało albo układało w myślach wiersze i systematycznie powtarzało je z pamięci sobie lub przyjaciołom.

W

latach sześćdziesiątych Jewgienia Ginzburg spotkała w Moskwie pewnego pisarza, który nie potrafił zrozumieć, jak "w podobnych warunkach więźniowie

mogli sobie w myśli recytować wiersze i znajdować w poezji duchową ulgę [...].

Miał kiepskie wyobrażenie o naszym pokoleniu - pisze Ginzburg. -

Byliśmy

zrodzeni przez nasz czas, epokę wielkich iluzji [...], z niebios poezji rzucaliśmy się w komunizm". Wiersze pisała, a potem śpiewała je sobie samej etnograf Nina Hagen-Thorn: „W obozach rozumiałam wreszcie -

doświadczylam tego sama na sobie - dlaczego ludzie kultur przedsięwziętych przekazywali tekst w formie pieśni - inaczej nie sposób go zapamiętać słowo w słowo. Z książkami mieliśmy kontakt sporadyczny

- dawali je nam i zabierali. Nie wolno było pisać ani organizować kółek edukacyjnych; władze obawiały się, że może to prowadzić do kontrrewolucji. Dlatego każdy -jak umiał - sam przygotowywał sobie pokarm dla własnego umysłu". Szałamow napisał, że wśród "kłamstwa, zła i rozpadu" poezja uratowała go przed całkowitym zubożeniem. Oto jeden z jego wierszy z tego okresu - Do poety:

Żarłem jak dzikie zwierzę, warcząc nad jedzeniem, Zwykła kartka papieru

Wydawała się cudem

Spadającym z nieba na ciemny las.

Pilem jak dzikie zwierzę, chłepcząc wodę językiem, Mocząc sobie długie bokobrody, Mierząc własne życie nie na miesiące czy lata, Lecz godziny.

I każdego wieczoru

zdziwiony, że jeszcze żyję,

Powtarzałem wiersze,

Tak jakbym słyszał twój głos.

I szeptałem je jak modlitwy,

I czciłem je jak wodę życia,

Jak ikonę uratowaną w boju,

Jak gwiazdę przewodnią.

Były moją jedyną więzią z innym życiem

Tam, gdzie świat nas dławił

Codziennym brudem

A śmierć deptała nam po piętach.

Sołżenicyn tworzył w obozie wiersze w myślach, a potem odtwarzał je w pamięci, pomagając sobie "żetonami" z kawałków zapalek. Píše o tym autor jego biografii, Michael Scammell: „Układał dwa rzędy po dziesięć zapalek, jeden rząd - tak jak w liczydłach - dziesiątkom, drugi jednostkom.

Później recytował w myśli wiersz, przesuwając co wers "jednostki", a co dziesięć wersów "dziesiątkę". Osobno zaznaczał co pięćdziesiąty i co setny wers i raz na miesiąc powtarzał cały wiersz od początku do końca.

Jeśli w obliczeniach coś się nie zgadzało, zaczynał od początku”. Innym pomagała modlitwa. We wspomnieniach pewnego baptysty, zesłanego do łagru w latach siedemdziesiątych, mowa niemal wyłącznie o tym, gdzie i kiedy ich autor się modlił oraz jak ukrywał swój egzemplarz Biblii. Wielu byłych więźniów podkreśla wagę i znaczenie świąt religijnych. Wielkanoc obchodzono czasem potajemnie - na przykład w obozowej piekarni w więzieniu etapowym na Sołówkach - a niekiedy zupełnie jawnie i otwarcie podczas transportu: "Choć wagon podskakiwał na szynach, a strażnicy łomotali w ściany na każdym przystanku, ludzie śpiewali bez ładu i składu załamującymi się głosami. Mimo to śpiewali". Wigilię Bożego Narodzenia świętowano również w barakach: Jurij Zorin nie mógł się nadziwić, jak sprawnie potrafili zorganizować sobie święta Litwini, którzy przygotowywali się do nich przez cały rok: "Wyobraź sobie, stół w baraku zastawiony jest wszystkim: wódką, szynką, wszystkim". Wódkę, domyśla się Zorin, przemycali do zony po naparstku, w butach.

W potajemnych obchodach świąt Wielkiejnocy uczestniczył też ateista, Lew

Kopielew: „Przyce ustawiono pod ścianami; powietrze przesycone było aromatycznym zapachem kadzidła. Za ołtarz służył przykryty kocem stolik; pod ikoną jarzyło się kilka domowego wyrobu świeczek. Pop - w szatach liturgicznych uszytych z prześcieradeł - trzymał krzyż. Świece słabo migotały w mroku, nie sposób było rozpoznać twarzy uczestników uroczystości, czułem jednak, że jestem jedynym ateuszem w tym gronie.

Pop zaczął śpiewać służbę Bożą drżącym głosem starca; przyłączyło się do niego kilka kobiet o czystych, wyszkolonych głosach. Chór odpowiadał

w porę - choć bardzo, bardzo cicho, żeby nikt na zewnątrz nie usłyszał”.

W roku 1940 Kazimierz Zaród i inni Polacy z jego obozu pracy celebrowali Wigilię Bożego Narodzenia w obecności księdza, który tego dnia przemykał się ukradkiem po łagrze i odprawiał mszę w każdym baraku po kolei:

„Nie mając Biblii ani mszału, zaczął szeptem odmawiać słowa mszy -

zgrupowani ledwie mogli słyszeć dobrze znane łacińskie słowa i odpowiadali na nie równie cicho. Kyrie elejson, Christe elejson, Panie zmiłuj się nad nami, Chryste, zmiłuj się nad nami, Gloria in excelsis Deo...". Słowa te oczyszczały nas i atmosferę baraku - zazwyczaj tak brutalną i odrażającą - zmieniały nas niepostrzeżenie, twarze zwrócone ku księdzu łagodniały. "Wszystko w porządku" - dobiegł nas głos

"wartownika" czuwającego przy oknie". W gruncie rzeczy dla ludzi wykształconych każdy rodzaj pracy intelektualnej, twórczej był strategią przeżycia, pomagał przetrwać zarówno psychicznie, jak i w sensie jak najbardziej dosłownym, gdyż wszyscy obdarzeni jakimikolwiek uzdolnieniami lub szczególnym talentem mogli zrobić z nich użytek praktyczny. W świecie, w którym wiecznie brakowało wszystkiego, w którym każdy posiadany na własność drobiazg urastał do rangi skarbu, ktoś, kto potrafił zaopatrywać ludzi w rzeczy im potrzebne, nie narzekał

na brak zamówień. Dlatego ksiązę Kiriłł Golicyn nauczył się w więzieniu na Butyrkach robić igły do szycia z rybich ości, a Alexander Dołgun, zanim został obozowym felczerem, znalazł inną możliwość zarobienia

"paru rubli i kawałka chleba ekstra": „Zauważyłem, że kable używane przez spawaczy są znakomitym źródłem aluminium. Przyszło mi do głowy, że gdybym nauczył się topić ten metal, mógłbym odlewać z niego łyżki. Pogadałem trochę z więźniami mającymi jakie takie pojęcie o metalurgii i podchwyciłem kilka ich pomysłów, nie zdradzając jednak ani słowem, o co mi chodzi. Znalazłem też dobrą kryjówkę, gdzie można było spędzić znaczną część dnia, nie narażając się na ryzyko, że ktoś zagna cię z powrotem do pracy, i kilka innych tajnych skrytek, w których mogłem schować narzędzia i skrawki aluminiowego drutu [...]. Zmajstrowałem dwie formy odlewnicze, ukradłem trochę aluminiowego drutu, zrobiłem prymitywny tygiel z cienkiej blachy stalowej wziętej z warsztatu, w którym wyrabiano piecyki, a gdy udało mi się zwędzić trochę węgla drzewnego i oleju napędowego, mogłem już spokojnie wziąć się do dzieła". Wkrótce mógł "wyprodukować dwie łyżki dziennie". Wymieniał

je na olej jadalny, którym omaszczał chleb. Przedmioty, jakie wyrabiali więźniowie, niekoniecznie musiały mieć wartość użytkową. Nieustającym popytem cieszyły się usługi rzeźbiarki Anny Andriejewej - nie tylko zresztą wśród zeków. Administracja łagru zamawiała u niej tablice nagrobkowe, naczynia oraz zabawki dla dzieci: "Robiliśmy dla nich wszystko, co im było potrzeba i o co nas prosili". Inny więzień rzeźbił

"pamiątki" z kłów mamuta - figurynki z motywami "Krajobrazu Północy", obrączki, broszki i guziki. Czasami czuł wyrzuty sumienia, że bierze za to od więźniów pieniądze: "Ale w końcu jeśli każdy ma prawo myśleć o sobie... to nie wstyd brać pieniędzy za własną pracę". W założonym przez byłych zeków muzeum Stowarzyszenia "Memoriał" w Moskwie pełno jest takich drobiazgów: koronkowych haftów, ręcznie wykonanych wisiorków i zapinek, kolorowych kart do gry, a nawet małych dzieł sztuki - obrazów, grafik i rzeźb - przechowywanych troskliwie najpierw w obozie, później w domu, a na koniec ofiarowanych Stowarzyszeniu. Często zresztą w ogóle nie były to dobra materialne. W Gułagu można było śpiewać albo grać czy też tańczyć, by żyć, zwłaszcza w większych obozach, których komendanci mieli "wyższe" aspiracje i lubili popisywać się "prywatnymi" orkiestrami symfonicznymi, zespołami operowymi i trupami teatralnymi, złożonymi często z najwyższej klasy profesjonalistów. Kaprys komendanta Uchtpieczłagu któremu przyszło do głowy założyć operę, był

szansą przeżycia dla dziesiątków śpiewaków, tancerzy i muzyków, którzy w najgorszym nawet razie mogli liczyć na zwolnienie od pracy przy wyrębie lasu na czas spektakli i prób. Równie ważne było, że pozwalało im to zachować poczucie własnej godności. "Na scenie aktorzy zapominali o głodzie, o tym, że pozbawiono ich wszystkich praw, i o czekających za bramą konwojentach z psami" - pisze Aleksandr Klein. Skrzypek Gieorgij Feldgun, grając w orkiestrze Dalstroju, czuł się, "jakby oddychał świeżym powietrzem wolności". Zdarzało się również, że wynagradzano ich znacznie szcudrzej. Jeden z dokumentów Dalstroju zawiera spis

"specjalnej" odzieży - włącznie z oficerkami będącymi w obozie przedmiotem szczególnej admiracji - jaką należy wydać muzykom z obozowej orkiestry; poleca również komendantowi łagpunktu zbudować dla nich osobne baraki. Thomas Sgovio odwiedził kiedyś jeden z baraków

"muzycznych" w Magadanie: „Na prawo od wejścia znajdowało się niewielkie pomieszczenie z piecykiem. Na ciągniętych między ścianami sznurach suszyły się onuce i walonki. Pojedyncze prycze były schludnie przykryte kocami: każda miała siennik i wypchaną słomą poduszkę. Na ścianach wisiały instrumenty - tuba, rożek francuski, trombon, trąbka...

Więcej niż połowę "muzyków" stanowili kryminaliści. Wszyscy wykonywali lepsze, uprzywilejowane prace - kucharza, fryzjera, łaziebego, księgowego itp."

Artystom wiodło się lepiej również w mniejszych obozach, a nawet więzieniach. W jednym z obozów etapowych Feldgun grał na skrzypcach dla grupy "urków", za co słuchacze wynagrodzili go dodatkową racją chleba. Było to dziwne przeżycie - wspominał później: "Siedzimy gdzieś na samym końcu świata, w porcie Wanino [...] i gramy nieśmiertelną, napisaną przed dwustu laty muzykę. Gram Vivaldiego czterdziestu gorylom". Więźniarka Sudakowa trafiła do jednej celi z zespołem pieśniarzy i aktorek których - ze względu na ich umiejętności - nie wysłano do obozów. Widząc że traktuje się ich lepiej, Sudakowa uprosiła artystów, by pozwolili jej występować razem z nimi - podczas spektaklu straszliwie fałszowała i robiła z siebie pośmiewisko. Później, już w obozie

- dzięki uzdolnieniom komicznym, których istnienia wcześniej nie podejrzewała, a które wówczas właśnie odkryła - potrafiła zapewnić sobie dodatkowe racje żywności i pomoc współwięźniów. Dmitrij Pamn pamięta o profesjonalnym kłownie z Odessy. Występował na scenie po to, by przeżyć. Wiedział bowiem, że jeśli uda mu się rozbawić naczalstwo łagru, uniknie przeniesienia do obozu karnego. "Do tych radosnych płasów nie pasowały tylko wielkie czarne oczy kłowna - zdające się błagać o łaskę. Nigdy w życiu nie widziałem, by ktoś grał na scenie z takim uczuciem". Spośród wszystkich "strategii przetrwania", zakładających taką czy inną formę współpracy z władzami, występy w obozowym teatrze lub udział w innych formach życia kulturalnego łagru były metodą "walki o życie", budzącą wśród więźniów najmniej wątpliwości natury etycznej. Być może dlatego, że i oni czerpali z nich jakieś korzyści. Spektakle teatralne podtrzymywały na duchu wszystkich, nawet zeków nieuprzywilejowanych. "Teatr był dla wszystkich więźniów źródłem radości, teatr kochano i otaczano podziwem" - wspomina Czirkow. Herling-Grudziński pamięta, że idąc na koncert, "więźniowie zdejmowali u progu czapki,

otrząsali w sieni walonki ze śniegu i zajmowali kolejno miejsca w ławkach, pełni

uroczystego skupienia i religijnej nieledwie czci". Wydaje się, że z tej właśnie przyczyny artyści,

którym - dzięki ich talentom - wiodło się w obozach lepiej, budzili raczej podziw, a nie zazdrość czy nienawiść.

Sowiecką gwiazdę filmową, Tatianę Okuniewską, rozpoznawano od razu wszędzie i wszędzie mogła liczyć na pomoc. Podczas jednego z występów w łagrze pod stopy Okuniewskiej rzucono coś ciężkiego. Nie był to jednak

- jak w pierwszym odruchu pomyślała - kamień, lecz przechodzący wszelkie wyobrażenia smakołyk - meksykański ananas, który obozowi

"urkowie" ukradli specjalnie dla niej. Również piłkarz Nikołaj Starostin cieszył się wyjątkowym szacunkiem "błatnych", którzy swoimi kanałami przesyłali z obozu do obozu polecenie: "Nie tykać Starostina".

Wieczorami - wspomina futbolista - kiedy zaczynał opowiadać anegdoty piłkarskie, więźniowie "rzucali karty" i zbierali się wokół niego. W

obozach, w których pojawiał się po raz pierwszy, niemal zawsze czekało na niego czyste "łóżko w szpitalu: "Była to pierwsza rzecz, jaką proponowano mi po przyjeździe - jeśli wśród lekarzy znalazł się jakiś kibic". Tylko bardzo nieliczni więźniowie zadawali sobie trud roztrząsania nad wyraz złożonego problemu natury etycznej - kwestii "moralnego prawa" do tańca czy śpiewu w łagrze. Należała do nich Nadieżda Joffe:

"Kiedy patrzę wstecz na te pięć lat, nie czuję wstydu, nie przypominam sobie, bym zrobiła coś, za co powinnam się rumienić. Poza jednym tylko -

teatrem amatorskim [...]. W zasadzie nie było w tym nic złego, ale [...]

nasi przodkowie w podobnej sytuacji zawiesili na drzewach swoje harfy i postanowili nie śpiewać w niewoli".

Część więźniów - zwłaszcza cudzoziemców - traktowała obozowe występy artystyczne równie podejrzliwie, ale z zupełnie odmiennych przyczyn. Jeden z aresztowanych w czasie wojny Polaków twierdzi, że szło o to, aby "godność osobistą jeszcze bardziej zaszargać [...]. Czasem do nas sprowadzano [...] jakiś zespół

artystyczny", jakąś dziką orkiestrę, ale to zgoła nie po to, aby ci przyjemność duchową sprawić, ale po to, aby ci pokazać "własną" kulturę, po to, aby ci jeszcze mocniej grać na nerwach". Więźniowie mający tego rodzaju wątpliwości nie musieli jednak uczestniczyć w oficjalnych spektaklach. Zaskakująco wielu więźniów politycznych, którzy spisali swoje wspomnienia, uważa, że udało im się przetrwać łagry dzięki talentowi narracyjnemu - umiejętności opowiadania fabuły książek i filmów ku uciechu i rozrywce obozowych "urków". W świecie więzień i obozów, gdzie książek było mało, a filmy wyświetlano rzadko, dobry gawędziarz mógł liczyć na hojną nagrodę. "Do końca życia będę wdzięczny "błatnemu", który już pierwszego dnia dostrzegł we mnie ten talent - wspomina Leonid Finkelstein. - "Przeczytałeś pewnie dużo książek - powiedział. - Opowiedz je ludziom, a będziesz tu żył jak u Pana Boga za piecem". I rzeczywiście, żyłem lepiej od innych. Stałem się popularny,

zyskałem sobie nawet pewną sławę. Spotykałem ludzi, którzy mówili: A to ty jesteś "Leonczyk-romanist" [gawędziarz], słyszałem o tobie w Tajszece". Dlatego dwa razy dziennie zapraszano go do szałas brygadzysty, który częstował go kubkiem gorącej wody. W

kamieniołomach był to "dar na wagę życia". Finkelstein twierdzi, że największym zainteresowaniem cieszyła się klasa rosyjska, znacznie mniejsze sukcesy odnosił, streszczając fabułę współczesnych powieści sowieckich. Przypadek Finkelsteina nie był wyjątkiem. Jewgienia Ginzburg wspomina jak w straszliwie zatłoczonym, dusznym i gorącym wagonie pociągu transportującym więźniów do Władywostoku przekonała się, że prawdą jest, co mówiły inne więźniarki, iż "klasyka bardzo uspokaja": "Bardzo chętnie recytuję z pamięci na przykład Gribojedowa Mądremu biada. Po każdym akcie dają mi łyknąć z czyjegoś kubka. Za pracę społeczną". Aleksander Wat opowiadał w więzieniu kryminalistom Czerwone i czarne Stendhala. Alexander Dolgun - Nędzników Victora Hugo, a Janusz Bardach podczas etapowania - Trzech muszkieterów i Hrabiego Monte Christo: "Dało się też odczuć, że moja pozycja rośnie z każdym ciągiem wydarzeń w fabule". Karol Colonna-Czosnowski przetrwał w środowisku "urków" pogardzających z zasady politycznymi i uważających ich za "robactwo", opowiadając im własną, zdecydowanie upiększoną wszelkimi możliwymi dodatkami, do maksimum potęgującymi dramatyzm fabuły, wersję filmu, który widział kiedyś w Polsce. "Był to klasyczny obraz z gatunku "złodzieje i policjanci": akcja toczyła się w Chicago, jednym z bohaterów był Al Capone. Dodałem do tego niezły kawałek historii Malone'a, a bodajże czy nie i Bonnie i Clyde'a. Pakowałem tam wszystko, co tylko zdołałem sobie przypomnieć oraz dodatkowe drobiazgi, które przychodziły mi do głowy na bieżąco".

Słuchacze byli zafascynowani opowieściami Polaka i kazali mu je powtarzać wciąż od nowa. "Słuchali w pełnym napięciu jak dzieci; dostrzegali natychmiast każde, najmniejsze nawet przeinaczenie wersji, każde pominięcie [...], po trzech tygodniach od chwili przyjazdu byłem zupełnie innym człowiekiem". W niektórych wypadkach uzdolnienia artystyczne pozwalały więźniowi przetrwać, nawet jeśli nie przynosiły mu wymiernych korzyści materialnych. Nina Hagen-Thorn pisze o jednej z więźniarek - historyku muzyki - której udało się w łagrze napisać operę.

Kobieta ta dobrowolnie zgłaszała się do czyszczenia toalet ponieważ tylko przy tej - odrażającej skądinąd pracy - nikt nie zawracał jej głowy i mogła w spokoju obmyślać różne warianty kompozycji. Aleksiej Smirni dziś jeden z najbardziej znanych obrońców wolności słowa w Rosji -

wspomina o dwóch historykach literatury, którzy w łagrze stworzyli kompletną biografię nieistniejącego osiemnastowiecznego poety francuskiego, wraz z krytyczną analizą jego utworów poetyckich, które sami napisali. Herling-Grudziński, mówiąc, jak dużo dały mu odczyty z historii literatury wygłaszane w więzieniu przez aresztowanego profesora uniwersytetu, uważa jednocześnie, że jeszcze większe znaczenie miały

one dla samego wykładowcy. Arginskiej pomogła wrażliwość estetyczna; po tylu latach, jakie minęły od czasu gdy wyszła z obozu, wciąż nie przestaje mówić o "niewysłowionej urodzie" Dalekiej Północy, o zapierającym dech w piersiach pięknie zachodów słońca, o bezkresnych otwartych przestrzeniach i niezmiernych połaciach lasów. Wrażliwość na piękno nie była jednak lekarstwem skutecznym dla wszystkich; zresztą kryteria estetyczne są sprawą subiektywną. Otoczona tą samą tajgą, oddychająca tym samym powietrzem i oglądająca te same pejzaże Nadieżda Ułanowska twierdzi, że sceneria Dalekiej Północy nie budziła w niej nic poza odrazą: "Niemał wbrew własnej

woli przypominam sobie wspaniałe zachody i wschody

słońca, sosnowe lasy i kolorowe kwiaty, które z jakiejś przyczyny nie pachniały". Uwaga o pozbawionych zapachu kwiatkach zaintrygowała mnie tak bardzo, że sama wybrałam się w środku lata na Daleką Północ, żeby przyjrzeć się szeroko

rozlanym rzekom i bezkresnym lasom Syberii, a także księżycowemu krajobrazowi arktycznej tundry. Tuz obok kopalni, w miejscu jednego z byłych łagpunktów

workuckich, zerwałam nawet kilka dziko rosnących kwiatów. Pachniały.

Wydaje

się, że Ułanowska nie chciała po prostu przyjąć tego do wiadomości.

Bunt i ucieczka

„Znaleźliśmy się teraz na korytarzu między dwoma palami między którym krążyły patrole. Czuję, że jeśli usłyszę szczekanie psów używanych do sanek - zacznę wymiotować. Przeszliśmy kilka metrów dzielących nas od następnego ogrodzenia [...]

zachowywaliśmy się prawdopodobnie dość cicho, choć zdawało mi się, że nasz hałas jest ogłuszający [...] Jak oszaleli skakaliśmy jeden przez drugiego poprzez ostatnie zasieki u stóp drugiej palisady. Powstawaliśmy prawie bez hałasu i sprawdziliśmy, że wszyscy są po drugiej stronie, zaczęliśmy biec”.

Sławomir Rawicz, Długi marsz

JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH MITÓW Gułagu jest przekonanie o niemożności ucieczki z

obozu. "Nasze ucieczki - pisze Sołżenicyn - były przedsięwzięciami godnymi

gigantów, ale gigantów skazanych na zagładę". "Ucieczka z Kołymy jest niemożliwa" - twierdzi Anatolij Żygulin. Uciekinierzy "są to prawie zawsze nowicjusze pierwszorocznicy, w ich sercach nie została zabita wola, miłość własna" - ze smutkiem konstatuje Szalamow. W szansę udanej ucieczki z obozu mocno powątpiewał również były zastępca komendanta garnizonu w Norylsku, Nikołaj Abakumow: "Niektórzy uciekali z łagrow, ale nikomu nie udało się dotrzeć na "kontynent"" -

przez co Abakun rozumiał Rosję Centralną. Gustaw Herling-Grudziński wspomina o jednym ze swoich towarzyszy niedoli, który podjął nieudaną próbę ucieczki; przygotowywał się do niej kilka miesięcy i udało mu się nawet niepostrzeżenie wymknąć z zony, jednak po tygodniu błąkania się po lasach wycieńczony z głodu sam oddał się w ręce władz. Okazało się, że oddalił się od łagru o czternaście kilometrów. "Nie dla nas wolność -

stwierdził, opowiadając o swojej ucieczce innym więźniom. - My jesteśmy przykuci do obozu na całe życie, chociaż nie nosimy łańcuchów.

Możemy próbować błędzić, ale w końcu wracamy".

Obozy budowano tak, żeby nie dało się z nich uciec; ostatecznie temu właśnie

służyć miały ogrodzenia, druty kolczaste, wieżyczki wartownicze i starannie bronowany pas ziemi niczyjej. W wielu łagrach nie trzeba było nawet drutu kolczastego, aby utrzymać więźniów w zonie. Do ucieczek skutecznie zniechęcał klimat, w którym przez dziesięć miesięcy w roku temperatura spada poniżej zera, i warunki terenowe - nie może tego zrozumieć nikt, kto nigdy na własne oczy nie widział miejsc, w których znajdowały się tzw. najdalsze łagry. Na przykład położona za kręgiem polarnym Workuta - miasto, które wyrosło obok kopalń Workutłagu - to miejsce nie tylko odosobnione, ale w praktyce całkowicie niedostępne. Do Workuty nie dochodzi żadna szosa, dostać się tam można wyłącznie samolotem lub koleją. Zimą każdy, kto wędruje przez płaską bezdrzewną tundrę, stanowi łatwy do odnalezienia cel; latem tundra zamienia się w niemożliwe do przejścia trzęsawisko. W łagrach położonych bardziej na południe podstawowym problemem była przestrzeń. Więzień, któremu udało się przejść przez druty kolczaste albo zbiec z miejsca, gdzie rąbał drzewo - co zważywszy na opieszałość i niedbalstwo strażników nie było wcale takie trudne - znajdował się o setki kilometrów od najbliższej drogi lub linii kolejowej, a niekiedy nawet od czegoś, co z grubsza choćby przypominało miasteczko czy wioskę.

Pozbawiony był jedzenia, dachu nad głową, a często także i wody. Nie dość na tym, na każdym kroku mógł natknąć się na posterunki; w gruncie rzeczy cały obszar Kołymy - tysiące kilometrów kwadratowych tajgi - był

jednym wielkim więzieniem, podobnie zresztą jak cała Autonomiczna Republika Komi, rozległe połacie pustyni Kazachstanu czy północna Syberia. Nie było tam prawie normalnych osiedli ludzkich ani zwykłych mieszkańców. Każdy, kto znalazł się tam bez dokumentów, uznawany był

natychmiast za uciekiniera - rozstrzeliwano go na miejscu albo bito i odsyłano z powrotem do obozu. Był to główny powód, dla którego Pietrow odmówił przyłączenia się do grupy współwięźniów planujących ucieczkę. "Dokąd mogłem dojść bez dokumentów i pieniędzy, w okolicy pełnej obozów koncentracyjnych, a co za tym idzie usianej punktami kontrolnymi". Uciekinier z łagru nie mógł też liczyć na pomoc ze strony miejscowej ludności (oczywiście zakładając, że w okolicy mieszkał

ktokolwiek poza innymi więźniami i ich nadzorcami), nawet jeśli udało mu się na nią natknąć. W carskiej Rosji życzliwość wobec zbiegłych więźniów i chłopów pańszczyźnianych była powszechna, była częścią tradycji - w nocy wystawiano im często na próg miskę mleka i chleb.

Mówiła o tym stara przedrewolucyjna pieśń więzienna: I chłopaki poczciwe dawały mi chleb, A wiejskie chłopaki machorkę.

Zupełnie inne nastroje panowały jednak w stalinowskim Związku Sowieckim;

większość ludzi skłonna była wydać w ręce władz zbiegłych "wrogów", a tym bardziej zbiegłych "recydywistów" - nawet nie tylko dlatego, że dawano wiarę

wszystkiemu, co o więźniach obozów mówiła i pisała oficjalna propaganda. Jeśli

ktoś nie zadenuncjował zbiega, sam ryzykował, że wyląduje w łagrze, i to z długim wyrokiem. Wziąwszy pod uwagę panujące wówczas w kraju nastroje, było to zjawisko powszechne: „Nikt z miejscowych nam nie pomagał ani nas nie ukrywał -jak to było w innych krajach, gdzie notowano uciekinierów z niemieckich obozów koncentracyjnych. Zbyt długo wszyscy żyli w atmosferze strachu i wzajemnej podejrzliwości, w nieustannym oczekiwaniu na kolejne nieszczęście [...]. Tam gdzie wszyscy, od ludzi prostych do i najwyższych dygnitarzy, żyli w panicznym lęku przed szpiegami, nie można było liczyć na udaną ucieczkę”. Jeżeli mieszkańcy nie denuncjowali zbiegów z pobudek ideologicznych i ze

strachu, to robili to za pieniądze. Trudno powiedzieć czy słusznie, ale większość autorów obozowych wspomnień głęboko wierzy, że tropienie zbiegów było jednym ze stałych zajęć ludów autochtonicznych. Wielu z nich zarabiało na życie jako profesjonalni łowcy głów, wymieniający schwytanych uciekinierów na paczkę

herbaty czy worek mąki. Na Kołymie za przyniesioną na posterunek odciętą prawą rękę - a wedle niektórych relacji - głowę - zbiega płacono im 250 rubli; wydaje się, że podobna taksa obowiązywała również w innych częściach kraju ". W jednym z przypadków, o którym informacja zachowała się w dokumentach człowiekowi, który rozpoznał podającego się za robotnika wolnonajemnego uciekiniera i zadenuncjował go milicji, wypłacono 250 rubli, a jego synowi - 150 rubli. W innym wypadku donosicielowi, który wskazał kryjówkę zbiegłego więźnia komendant łagru wypłacił hojną ręką aż 300 rubli. Ujętych czekały surowe kary.

Wielu rozstrzeliwano na miejscu, a ich ciała wystawiano na widok publiczny, na postrach: „Kiedy zbliżyliśmy się do bramy, przez moment pomyślałem, że to zły sen - na belce wisiał

nagi trup ludzki ze związanymi drutem kolczastym rękoma, zwieszoną na bok głową

i półprzymkniętymi oczyma. Nad nim przybito tabliczkę z napisem: "Taki los czeka

każdego, kto spróbuje uciec z Norylska". Żygulin pamięta, że zwłoki zastrzelonych podczas próby ucieczki leżały na środku obozowego placu nieraz i cały miesiąc. Początki tej praktyki sięgały jeszcze Sołówek; w latach czterdziestych stosowano ją powszechnie. Mimo to więźniowie próbowali uciekać. Sądząc po oficjalnych statystykach i innych zachowanych w archiwach Gułagu dokumentach, próby ucieczek – w tym również uwieńczone powodzeniem - były czymś znacznie bardziej powszechnym niż skłonna jest przyznawać większość autorów obozowych wspomnień. W 19.. roku po serii zbiorowych ucieczek z zespołu łagrów Amurskiego Zarządu Budów BAM i Budowy 500 GUŻDS we wschodniej Syberii kilku funkcjonariuszy WOChR-y skazano na pięć do dziesięciu dni aresztu (odsiadywali go po 12 godzin dziennie). Niekiedy, przy bardziej spektakularnych ucieczkach, przed sądem stawiano strażników, a komendantów łagrów zdejmowano dyscyplinarnie ze stanowisk. Mamy też informacje o strażnikach, którym udało się udaremnić ucieczkę.

Jednemu z nich, który znalazł zwłoki uduszonego przez zbiega wartownika i wszczął alarm, wypłacono 300 rubli nagrody. Jego przełożony otrzymał 200 rubli, a inny strażnik i żołnierz, którzy

brali udział w akcji - po 100. Żaden obóz nie miał idealnego systemu zabezpieczeń. Dzięki swemu położeniu opinią całkowicie "szczelnych"

cieszyły się Sołówki. Mimo to w maju 1925 roku z należącego do SŁOŃ

łagru na kontynencie uciekło dwóch białogwardzistów - Malsagow i Jurij Biessonow, którzy zaatakowali strażników i po dwudziestu pięciu dniach wędrówki dotarli szczęśliwie do Finlandii. Swoje przeżycia opisali później w książce -jednej z pierwszych publikacji o Sołówkach, jakie ukazały się na Zachodzie. Do następnej słynnej ucieczki z łagru sołowieckiego doszło w roku 1928 - sześciu więźniów obezwładniło wartowników i przedarło się przez bramę obozu. Większości nie ujęto; przypuszczalnie udało się im przekroczyć granicę fińską. Kolejne dwie ucieczki - jeszcze bardziej spektakularne - miały miejsce w 1934 roku - pierwszą zorganizowała grupa czterech "szpiegów", drugą "szpieg i dwóch bandytów". W obu wypadkach zbiegom udało się ukraść łódź i - jak się wydaje - dotrzeć do Finlandii. W konsekwencji - zwolniono komendanta obozu, a innych funkcjonariuszy ukarano naganą.

W drugiej połowie lat dwudziestych rozbudowa systemu obozów SŁOŃ

na

Przesmyku Karelskim stworzyła więźniom lepsze możliwości ucieczki.

Skorzystał z nich Władimir Czerniawin - technolog przetwórstwa rybnego, który próbował wprowadzić odrobinę zdrowego rozsądku do założeń pięcioletniego planu

produkcji Murmańskiego Trustu Rybackiego, za co postawiono go przed sądem

pod zarzutem "szkodnictwa". Dostał pięć lat i trafił na Sołówki.

Ostatecznie

SŁOŃ zatrudnił go w charakterze eksperta technicznego; pracował przy projekcie nowego przedsiębiorstwa przetwórstwa rybnego w północnej Karelii. Czerniawin czekał na właściwy moment - po kilku miesiącach zaskarbił sobie zaufanie przełożonych, którzy zgodzili się, by latem 1933

roku odwiedziła go żona

i piętnastoletni syn Andriej, a nawet pozwolili mu wybrać się z nimi na wycieczkę na drugą stronę zatoki. Gdy cała trójka dotarła na zachodni brzeg, Czerniawin oznajmił, że wydostaną się ZSRS pieszo. "Bez mapy i kompasu, przez dzikie lasy i bagna szliśmy do Finlandii - do wolności" -

napisał później. Kilkadziesiąt lat później Andriej opowiadał, że ojciec liczył na to, iż książka, w której zamierzał opisać swoje losy, zmieni sposób postrzegania przez świat sowieckiej Rosji. Książkę opublikował.

Wizerunku Sowietów w oczach Zachodu nie

zmienił. Historia Czerniawina z całą pewnością nie była odosobniona -

okres gwałtownej rozbudowy systemu sowieckich obozów koncentracyjnych to zarazem złoty wiek ucieczek z łagrów. Liczba więźniów rosła w zawrotnym tempie, brakowało strażników, a z obozów było stosunkowo blisko do granicy fińskiej. W roku 1930

ujęto 1174 zbiegłych skazańców, w 1932 -już 7202. Wolno więc przypuszczać, że w takiej samej mniej więcej proporcji wzrosła liczba ucieczek udanych.

Wedle

danych statystycznych Gułagu - nie sposób określić, jak bardzo godnych zaufania - w 1933 roku z obozów zbiegło 45 755 więźniów. Ujęto 28 370

- mniej niż

dwie trzecie. W raportach mowa o licznych wypadkach terroryzowania miejscowej ludności przez zbiegłych skazańców; komendanci łagrów, oddziały pograniczne i funkcjonariusze lokalnych jednostek OGPU

ustawicznie domagali się uzupełnień.

W odpowiedzi OGPU znacznie wzmocniło system kontroli, w który wprzęgnięto miejscową ludność cywilną. Jedną z wydanych w tym czasie instrukcji zaleca utworzenie wokół każdego z łagrów 25-30-kilometrowej strefy bezpieczeństwa, której mieszkańcy mieliby "czynnie uczestniczyć w poszukiwaniu uciekinierów". Zmilitaryzowano zarząd kolei i żeglugi przybrzeżnej w strefie przylegającej bezpośrednio do obozów; strażnicy otrzymali zakaz wypuszczania więźniów z cel po zachodzie słońca.

Władze lokalne błagały o uzupełnienia zwłaszcza o zwiększenie stanu WOChR-y. Wprowadzono prawo, na którego mocy obligatoryjnie przedłużano wyroki ujętym uciekinierom, a strażnicy mogli spodziewać nagród za zastrzelenie zbiega. Mimo to liczba ucieczek wolno spadała. W

latach trzydziestych wciąż

zdarzały się na Kołymie przypadki zbiorowych ucieczek z łagrów.

Ukrywający się

po lasach kryminaliści tworzyli zorganizowane bandy, kradli broń i napadali

okolicznych mieszkańców, ekspedycje geologiczne i osady tubylców. Po drugim tego rodzaju

incydencie w 1936 roku władze utworzyły specjalny podobóz dla "elementów szczególnie niebezpiecznych" - więźniów uznanych za potencjalnych uciekinierów. W lutym 1938 roku w kulminacyjnym momencie Wielkiej Czystki zastępca komisarza spraw wewnętrznych rozesłał do wszystkich obozów sowieckich okólnik, w którym stwierdza, że "mimo wielu rozkazów o wydaniu decydującego boju uciekinierom z łagrów [...] nie poczyniono w tej materii żadnych istotnych postępów".

W pierwszych dniach drugiej wojny światowej w warunkach pospiesznej ewakuacji łagrów z zachodniej części Rosji i ogólnego chaosu, jaki ogarnął państwo

ponownie nastąpił drastyczny wzrost liczby ucieczek. W lipcu 1941 roku piętnastu więźniów zbiegło z Peczorłagu - jednego z najbardziej odciętych od świata

obozów w Autonomicznej Republice Komi. W sierpniu tego samego roku byłym marynarzom na czele z byłym starszym lejtnantem Floty Północnej udało się

wymknąć z łagpunktu w samej Workucie. Liczba ucieczek zaczęła spadać dopiero pod koniec wojny, ale nigdy nie zaniechano ich zupełnie. W roku 1947 - rekordowym pod względem liczby w całym okresie powojennym -

próbę ucieczki podjęło 10 440 więźniów z których ujęto zaledwie 2894.

Był to oczywiście minimalny odsetek liczby więźniów - idącej wówczas w miliony - lecz dane te jednoznacznie świadczą że ucieczka z łagru nie była wcale aż tak "niemożliwa", jak utrzymują to niektórzy. Niewykluczone nawet, że problem zbiegostwa stał się jedną z przyczyn zaostrzenia reżimu obozowego i wzmocnienia systemu ochrony łagrów w ostatnich latach istnienia Gułagu. Autorzy obozowych wspomnień stwierdzają zgodnie, że przeważającą i zdecydowaną większość zbiegów stanowili profesjonalni kryminaliści - "urkowie". Znajduje to odzwierciedlenie nawet w żargonie świata przestępczego; w "błatnoej muzyce" wiosnę nazywano "przyjęciem zielonego prokuratora" (np. "Wasia został zwolniony przez zielonego prokuratora"), gdyż wiosna była najczęściej rozważanym terminem planowanej ucieczki. "Podróżowanie po tajdze możliwe jest tylko latem, kiedy można - gdy produkty się skończą -jeść trawę, grzyby, jagody, korzenie roślin, piec placki z rozartego na mąkę mchu reniferowego, łowić myszy polne, burunduki, wiewiórki, orzechówki, zające...". Na Dalekiej Północy porą taką była zima - którą "błatni" nazywali "białym prokuratorem" - tylko wówczas trzęsawiska i bagna tundry zamarzały i można było przez nie przejść. Ucieczki "urków" rzeczywiście częściej kończyły się sukcesem; "błatny", któremu udało się "wyjść spod drutów", miał znacznie większe szanse przetrwania. Jeśli dotarł do jakiegoś większego miasta, mógł bez trudu wtopić się w miejscowy półświatek przestępczy - załatwić sobie fałszywe dokumenty i znaleźć bezpieczną melinę. Profesjonalni kryminaliści nie mieli zresztą zbyt chętności na powrót do społeczności ludzi "wolnych"; uciekali często wyłącznie po to, by przez kilka dni nacieszyć się swobodą. Jeśli ich ujęto i nie rozstrzelano na miejscu, było im wszystko jedno, bo cóż znaczyło dodatkowe 10 lat dopisane do wyroku dla człowieka, który i tak miał przed sobą perspektywę dwudziestopięcioletniej albo i dłuższej odsiadki. Jeden z byłych "zeków" pisze na przykład o pewnej młodej kryminalistce, która wymknęła się z łagru na randkę ze swoim ukochanym. Wróciła „cała szczęśliwa", nie przejmując się wcale tym, że z miejsca zamknięto ją w izolatorze. Polityczni podejmowali ryzyko "pobiegu" zdecydowanie rzadziej - nie tylko z braku doświadczenia i organizacji, ale również i z tej przyczyny,

że ścigano ich o wiele energiczniej i ze znacznie większym zapałem. Czerniawin przemyślał gruntownie ten problem, zanim sam zdecydował się na ucieczkę. „Strażnicy nie przejmowali się specjalnie uciezkami kryminalistów, nie starali się nawet na serio ich ścigać; uciekinierów wyłapywano, kiedy dotarli do jakiejś linii kolejowej albo miasta. Natomiast pościg za politycznymi organizowano natychmiast; bywało, że do poszukiwań zbiega mobilizowano ludność okolicznych wsi i straż graniczną. Więźniowie polityczni zawsze próbowali uciekać za granicę - w ojczyźnie nie mieli co szukać schronienia”. Uciekali przeważnie mężczyźni, choć nie tylko. Margarete Buber-Neumann pamięta na przykład młodą Cyganeczkę, która zbiegła z jej łagru razem z obozowym kucharzem. "Dowiedziała się pewnie, że gdzieś w pobliżu jest tabor - ze zrozumieniem skomentowała to wydarzenie inna Cyganka, już doświadczona. - Jeśli

uda się jej go znaleźć, będzie bezpieczna". Większość ucieczek była starannie zaplanowana; zdarzały się jednak również "pobiegi" spontaniczne.

Sołżenicyn

wspomina o więźniu, który przelał przez ogrodzenie z drutu kolczastego podczas burzy piaskowej w Kazachstanie. Próby ucieczki podejmowano często z zony roboczej strzeżonej niedbale przez wartowników łagru. Nie była to jednak reguła.

Z raportów z września 1945 roku (miesiąc wybrany losowo) wynika, że 51 procent

wszystkich przypadków to ucieczki z zony roboczej; 27 procent - z zony mieszkalnej, a 11 procent - z etapów. Ucieczkę z transportu na Syberię planował Edward Buca i kilku młodych Ukraińców: „Zamierzaliśmy przepiłować cztery czy pięć desek brzeszczotem piły do metalu, pracować mieliśmy wyłącznie nocą, a ślady maskować chlebem zmieszonym z końskim nawozem, którego pełno było na podłodze. Plan zakładał, że po wycięciu otworu poczekamy, aż pociąg zatrzyma się na postój w lesie, a wtedy wyskoczmy z wagonu i rozbiegniemy się we wszystkich kierunkach. Przypuszczaliśmy, że niektórych z nas zastrzelą, ale kilku powinno się udać”. Ich zachowanie wzbudziło jednak podejrzenia konwojentów i cała sprawa spełzła na niczym. Podobne próby podejmowało wielu innych. W czerwcu 1940 roku

dwóm więźniom udało się wydostać przez dziurę w podłodze wagonu kolejowego. Janusz Bardach również wymknął się z wagonu, wyłamując przegniłe deski

ściany; nie pomyślał jednak o tym, by zamaskować otwór; sprawa rychło się wydała i wytropiły go psy gończe. Konwojenci ciężko go pobili, ale wyżył. Niektóre "pobiegi" - jak to ujął Sołżenicyn - miały "za podłoże nie desperacki zryw, lecz techniczną kalkulację i biegłość". Konstruowano fałszywe przepierzenia w wagonach, więźniowie dawali się wywozić z obozu w zaplombowanych skrzyniach. Znana jest historia udanej ucieczki dwudziestu sześciu zeków przez podkop pod ogrodzeniem zony, jak przynajmniej twierdził oficer prowadzący dochodzenie w tej sprawie.

Przed upływem roku wszyscy zostali ujęci. Inni - tak jak Czerniawin -

wykorzystywali w tym celu uprzywilejowany status, jaki udało im się osiągnąć w łagrze. W materiałach archiwalnych znaleźć można informację o zeku, który wykoleiwszy pociąg towarowy, zbiegł, korzystając z zamieszania, jakie z tego powodu wynikło. W innym raporcie mowa, że więźniowie grzebiący na obozowym cmentarzu zwłoki zmarłych zastrzelili wartownika i zakopali go w jednej ze zbiorowych mogił, co zauważono dopiero po pewnym czasie. Stosunkowo łatwo było uciec więźniom "biezkonwojnym", którzy mieli prawo wychodzić z zony bez nadzoru.

Uciekinierzy próbowali także zmienić swoją tożsamość i ze znacznym niekiedy

powodzeniem grali role innych. Szałamow opisuje historię pewnego zbiega,

który przez dwa lata cieszył się wolnością, w tym czasie przemierzył całą Syberię, podając się za geologa. Zdarzyło się nawet, że dumnie z posiadania tak wybitnego specjalisty miejscowe władze z całym szacunkiem prosiły go o wygłoszenie wykładu: "Kriwoszej uśmiechał się, cytował po angielsku Szekspira, coś tam kreślił, wyliczając dziesiątki zagranicznych nazwisk". Ujęto go w końcu, ponieważ wysłał żonie pieniądze przekazem pocztowym. Niewykluczone, że jest to opowieść apokryficzna - chociaż wzmianki o podobnych przypadkach znaleźć można również w archiwach Gułagu. Na przykład na Kołymie pewien więzień, ukradłszy dokumenty osobiste, dostał się jakoś na pokład samolotu lecącego do Jakucka, gdzie zainstalował się wygodnie w hotelu miejskim. Tam też go zatrzymano; miał przy sobie 200 gramów złotego piasku. Nie zawsze jednak zbiegowie okazywali tyle zapobiegliwości, sprytu i fantazji. Znacznie częściej -jak się wydaje w przeważającej liczbie przypadków - "pobiegom" towarzyszyły akty brutalnej przemocy; uciekinierzy atakowali i mordowali strażników, pracowników wolnonajemnych i okolicznych mieszkańców. Nie oszczędzali też własnych

towarzyszy. Kryminaliści uciekali się nawet do ludożerstwa; zdarzyło się podobno, że para uciekających "urków" namawiała do ucieczki trzeciego, niedoświadczonego więźnia spoza grona "błatnych". Człowieka tego, zwanego przez

nich "kanapką", mieli zamiar później zabić i żywić się po drodze jego mięsem. Buca wspomina o procesie pewnego bandyty i mordercy, który wspólnie ze swoim

kolegą zabrał w "pobieg" obozowego kucharza, w charakterze takiego właśnie "żywego mięsa". „Nie oni pierwsi wpadli na ten pomysł. Jeśli masz do czynienia z ogromną zbiorowością ludzi, którzy nie marzą o niczym innym tylko o "pobiegu", siłą rzeczy brane są pod uwagę wszystkie metody i środki. "Kanapka" - to tłusty więzień. Jeśli musisz - zabijasz go i zjadasz. A dopóty, dopóki nie jest to konieczne, "spizarnia" chodzi za tobą sama. Zgodnie z planem zabili go po drodze i zjedli; wędrówka trwała jednak znacznie dłużej, niż planowali i znów zaczął doskwierać im głód. Obydwaj zdawali sobie sprawę, że ten, który zaśnie pierwszy, zostanie zabity przez drugiego. Udawali więc przed sobą świeżych i wypoczętych, a noce trawili na pogawędkach. Ani na chwilę nie spuszczały się z oka. Stara przyjaźń nie pozwalała im ani zaatakować się otwarcie, ani wyznać, o co się podejrzewają. Na koniec jeden z nich zasnął, a wtedy towarzysz poderżnął mu gardło. Ujęto go dwa dni później; w jego tobołku znaleziono kawały surowego mięsa”. Nie sposób ustalić, jak powszechna była to praktyka, motyw ten pojawia się jednak we wspomnieniach więźniów z lat trzydziestych i czterdziestych tak często, że można przyjąć za pewnik, że przypadki takie rzeczywiście zdarzały się, nawet jeśli były sporadyczne.

Thomas Sgovio słyszał na Kołymie o wyroku śmierci orzeczonym wobec dwóch zbiegów, którzy zabrawszy ze sobą "na trzeciego" jakiegoś młodego chłopaka, zabili go i zapeklowali. W połowie lat trzydziestych podobną historię opowiadał Wacławowi Dworzeńskiemu w Karelii. W tradycji Gułagu zachowały się również opowieści o rzeczywiście niezwykłych zbiegach i słynnych, legendarnych niemal ucieczkach. Sołżenicyn opisuje burzliwe dzieje estońskiego więźnia politycznego Giorgija Tenno, który uciekał z łagrów notorycznie.

Podczas jednego z "pobiegów" pokonał prawie pięćset kilometrów - konno, łądzką, na rowerze - i prawie dotarł do Omska. Wydaje się, że przynajmniej część historii

Tenno jest prawdziwa - on sam zaprzyjaźnił się później z Alexandrem Dolgunem, który z kolei poznał go z Sołżenicynem. Inne jednak opowieści o słynnych ucieczkach zweryfikować jest znacznie trudniej. W jednej z opublikowanych w języku angielskim antologii znaleźć można wspomnienia pewnego kaznodziei estońskiego, który zbiegł z obozu, sfalszował dokumenty osobiste i na piechotę dotarł do Afganistanu. W tym samym zbiorze mowa również o pewnym Hiszpanie, którego wywieziono ze zniszczonego podczas trzęsienia ziemi łagru razem ze zwłokami ofiar kataklizmu i któremu jakoby udało się później przedostać do Iranu. Na koniec wreszcie, kilka słów o przypadku Sławomira Rawicza, którego wspomnienia „Długi marsz” to opis najbardziej brawurowej ucieczki w całej literaturze Gułagu. Rawicz, aresztowany po sowieckiej inwazji na Polskę i zesłany na północną Syberię, twierdzi, że za wiedzą, przyzwoleniem i zachętą żony komendanta łagru uciekł z obozu wraz z sześcioma towarzyszami, w tym Amerykaninem. Całej grupie, do której po drodze przyłączyła się, również deportowana na Syberię młoda Polka, udało się wydostać ze Związku Sowieckiego. Podczas tej niesamowitej wędrówki -jeśli rzeczywiście miała ona kiedykolwiek miejsce - zbiegowie obeszli wkoło Bajkał, przekroczyli granicę mongolską i przez pustynię Gobi, Himalaje i Tybet dotarli ostatecznie do Indii. Czterech więźniów zmarło w drodze, pozostali cierpieli wszelkie możliwe wyrzeczenia i niedostatki. Wielokrotnie starano się zweryfikować wiarygodność relacji Rawicza-do złudzenia przypominającej skądinąd fabułę opowiadania Kiplinga „The Man Who Was” - niestety bez rezultatu. „Długi marsz” to historia opowiedziana znakomicie - nawet jeśli jest tylko fikcją literacką; przekonujący realizm narracji Rawicza może służyć jako wzorzec dla wszystkich, którzy mają ambicje opisywania kompletnej historii ucieczek z Gułagu. Skądinąd marzenia o ucieczce same w sobie miały ogromne znaczenie dla więźniów. Setki tysięcy zeków nigdy się na nią nie zdecydowały, niemniej już sama myśl o "pobiegu" była dla nich ważną podporą psychiczną, pomagała żyć w łagrze. "Ucieczka była jedną z najbardziej naturalnych, oczywistych form sprzeciwu wobec reżimu" - powiedział mi były więzień Kołymy. Niekończące się dyskusje i spory o najskuteczniejsze metody wydostania się z łagru toczyli zwłaszcza młodszy więźniowie i, bez względu na ostateczny rezultat tych debat, samo już myślenie o niej i jej planowanie pozwoliło im przewyciężyć poczucie całkowitej bezsilności.

Wspomina o tym Gustaw Herling-Grudziński: „Bardzo często zbieraliśmy się [Polacy] w jednym z baraków w zaufanym gronie dla omówienia szczegółów ucieczki, znosiliśmy znalezione przy pracy kawałki metalu, stare pudełka i odłamki szkła, z których można było rzekomo sporządzić prowizoryczny kompas, dzieliliśmy się zasłyszczanymi wiadomościami o okolicy, o odległościach, o

warunkach klimatycznych i właściwościach geograficznych Północy [...]. W królestwie fikcji, do którego przywiozły nas z zachodu setki pociągów towarowych, każde uczepienie się własnej fikcji miało w sobie coś pokrzepiającego. Ostatecznie jeśli przynależność do nie istniejącej organizacji terrorystycznej może być zbrodnią karaną dziesięcioletnim więzieniem, to czemu spiłowany gwóźdź miałby nie być igłą

kompasu, kawałek deski nartą, a skrawek papieru pokryty kreskami i kropkami mapą”. Herling-Grudziński podejrzewał zresztą, że wszyscy uczestnicy tych narad

byli w głębi duszy przekonani, że nic z tego wszystkiego nie wyjdzie.

Mimo to

spełniały one swój cel: „Pamiętam nawet podoficera zawodowego kawalerii z Białegostoku, który w okresie szalejącego w obozie głodu znalazł w sobie dość siły woli, aby odcinać codziennie z racji chleba cienką kromkę i wysuszywszy ją nad piecem, chować do woreczka ukrytego w nieznanym nikomu miejscu w baraku. Gdyśmy się po latach spotkali w wojsku na pustyni irackiej, wspominając przy butelce w namiocie więzienne czasy, zażartowałem przyjaźnie z jego "planu"

ucieczki. "Nie śmiej się - odpowiedział poważnie - przeżyłem obóz dzięki nadziei ucieczki, przeżyłem "trupiarnię" dzięki zaoszczędzonemu chlebowi. Człowiek nie może żyć, nie wiedząc, po co żyje". O ile - według zdecydowanej większości tych, którzy przetrwali Gułag - ucieczka z łagru była niemożliwością, o tyle bunt w obozie w ogóle wykraczał poza granice wyobraźni więźniów. Z większości obozowych wspomnień wyłania się wizerunek zeka sponiewieranego, złamanego, odczłowieczonego, gotowego do kolaboracji z władzami, niezdolnego nie tylko do stawiania oporu reżimowi sowieckiemu, ale nawet do tego, by źle o nim pomyśleć; utrwalony skądinąd przez dwóch literacko najwybitniejszych przedstawicieli tego gatunku - Sołżenicyna i Szałamowa. Niewykluczone zresztą, że przez większą część dziejów Gułagu tak właśnie było i wizja ta w gruncie rzeczy niewiele odbiega od rzeczywistości. Wszechobecność konfidentów sprawiała, że więźniowie tracili zaufanie do siebie, a przekraczająca ludzkie siły praca i obozowa dyktatura "worów w zakonie" nie pozwalały myśleć o zorganizowanym oporze. Upokorzenia doznane w czasie śledztwa, więzienia i zsyłki pozbawiały zeków nie tylko woli walki - wielu z nich odbierały nawet wolę życia. Gustaw Herling-Gudziński opisuje reakcję więźniów Rosjan na proklamowaną przez Polaków głódówkę:

„Nie mógł nie poruszyć ich i w pewien sposób zafascynować fakt, że ktoś ośmiela się podnieść rękę na niewzruszone prawa niewoli, których nie tknął dotąd żaden odruch buntu; ale jednocześnie działał instynktowny, wyniesiony jeszcze z wolności lęk przed mimowolnym zaplątaniem się w sprawę grożącą trybunałem wojennym. Gdzież pewność, że śledztwo nie ujawni rozmów prowadzonych w baraku przez "buntowszczyka"

natychmiast po dokonaniu przestępstwa?”. Tymczasem archiwa Gułagu mówią coś zupełnie innego; ujawniają liczne przypadki akcji protestacyjnych i strajków, do jakich dochodziło w obozach. Krótkie, pozbawione akcentów politycznych strajki były, jak się wydaje, dość powszechnie stosowaną przez "urków" metodą wymuszania ustępstw na władzach łagru, które skądinąd nie okazywały poważniejszego zaniepokojenia z racji tych incydentów. Dotyczy to zwłaszcza końca lat trzydziestych i pierwszej połowy kolejnej dekady, kiedy uprzywilejowana pozycja "błatnych" w

łagrach stłumiła w nich lęk przed represjami i dała znacznie większe możliwości organizowania zakrojonych na niewielką skalę protestów. Spontaniczne bunty kryminalistów zdarzały się również w trwających całymi tygodniami transportach na wschód; zwłaszcza gdy konwojenci nie dawali więźniom nic do picia, a karmili ich wyłącznie solonymi śledziami. Aby zmusić strażników do przyniesienia wody, "urki"

podnosiły raban, wydając z siebie chórem niewiarygodny wrzask, od którego włosy stawały dęba na głowie. "Dawno temu rzymscy legionieści płakali ze strachu, gdy słyszeli wrzaski Germanów - tak bardzo były przerażające. Tak samo bali się sadyści z Gułagu" - wspomina Pietrus.

Tradycja ta żywa była jeszcze w latach osiemdziesiątych. Poetka dysdientka Ratuszynska wspomina, że transportowani kolejną więźniowie, protestujący przeciwko złemu traktowaniu przez konwojentów, posunęli się nawet jeszcze dalej:

„- Hej, chłopaki, bujamy go! - rozległ się jakiś męski głos. I więźniowie jak

jeden mąż zaczęli kołysać wagonem. Polegało to na tym, że wszyscy przebiegali

równocześnie od jednej ściany do drugiej. Wagon był tak przeładowany, że

momentalnie zaczynał się chwiać, co groziło wypadnięciem z szyn i wykolejeniem

całego eszelonu”. Zdarzało się, że tłok, brak jedzenia i wody do picia prowadziły do reakcji przypominających bardziej atak zbiorowej hysterii niż zorganizowany akt protestu: „Okolo 200 kobiet, jak na komendę, rozebrało się do naga i wybiegło na dziedziniec. Otoczyły strażników i zaczęły piszczeć, wrzeszczeć, miotać pod ich adresem najbardziej plugawe obelgi, poparte sprośnymi, wyzywającymi gestami. Niektóre padały na ziemię i wiły się w konwulsjach, inne wyrywały strażnikom włosy i rozdrapywały im twarze paznokciami, przewracały się, podnosiły z powrotem na nogi i biegły w kierunku

bramy. "Aaaaaaaa" - wył oszalały tłum”. Obok tych spontanicznych odruchów buntu istniała wszakże starsza forma protestu - strajk głodowy.

Łagry odziedziczyły ją po najstarszej generacji więźniów politycznych, osadzonych na Sołówkach na początku lat dwudziestych socjalrewolucjonistach, anarchistach i mienszewikach, którzy z kolei odziedziczyli ją po dziewiętnastowiecznych rewolucjonistach rosyjskich.

Eserowcy dochowali wierności tej tradycji również po roku 1925, kiedy przeniesiono ich z Sołówek do innych specjalnych zakładów karnych (izalotorów). Więziony w Suzdalu Aleksandr Fiedodiejew, jeden z czołowych socjalrewolucjonistów, prowadził strajki głodowe - domagając się przyznania mu prawa korespondencji z rodziną - aż do chwili egzekucji w 1937 roku.

Niektórzy próbowali kontynuować głodówki również później, kiedy z łagrów o

specjalnym reżimie przeniesiono ich z powrotem do obozów. Od połowy lat trzydziestych do proklamowanych przez socjalistów strajków głodowych zaczęli przyłączać się niektórzy trockiści. W październiku 1936 roku kilkuset trockistów, anarchistów i innych więźniów politycznych rozpoczęło

trwający 132 dni strajk głodowy w jednym z łagpunktów kompleksu workuckiego. Ich wystąpienie miało charakter jednoznacznie polityczny; strajkujący domagali się odseparowania od przestępców kryminalnych, ośmiogodzinnego dnia pracy i równych racji żywnościowych dla wszystkich, niezależnie od wykonania normy - oraz anulowania

orzeczonych wobec nich wyroków. Inna głódówka - proklamowana również

w jednym z punktów obozowych Workuty, do której przyłączyło się także kilkunastu kryminalistów - trwała 115 dni. W marcu 1937 roku władze Gułagu zgodziły się spełnić postulaty więźniów, jednak pod koniec kolejnego roku większość

uczestników strajku padła ofiarą trwających wówczas masowych egzekucji.

W tym samym mniej więcej czasie trockiści zorganizowali protest w obozie etapowym we Władywostoku. Zwołali wiec i wyłonili spośród siebie przywódcę strajku, który domagał się prawa inspekcji statku mającego zabrać ich na Kołymę.

Kiedy żądanie to odrzucono, wówczas weszli na pokład, śpiewając rewolucyjne pieśni i - jeśli wierzyć raportom konfidentów NKWD - rozwinęli transparenty

z napisami "Niech żyje geniusz rewolucji, Trocki" i "Precz ze Stalinem".

Po przybyciu na Kołymę wysunęli kolejne żądania: przydziału na stanowiska odpowiadające kwalifikacjom zawodowym więźnia, wynagrodzenia za wykonaną pracę

i całkowitej swobody korespondencji. Później zorganizowali jeszcze kilka strajków głodowych - najdłuższy trwał 100 dni. "Przywódcy więzionych na Kołymie

trockistów stracili poczucie rzeczywistości i przestali brać pod uwagę realny

układ sił" - zauważył jeden ze współczesnych obserwatorów. Ostatecznie wszystkich skazano na śmierć i rozstrzelano. Wypadki te nie pozostały bez echa; zapadły w pamięć nawet byłemu prokuratorowi Kołymy, który kilkadziesiąt lat później przyznał:

„To, co stało się później, wywarło

potworne wrażenie na mnie i moich kolegach; przez kilka dni chodziłem otumaniony, jak we mgle. Wciąż miałem przed oczyma szereg skazanych na śmierć fanatyków trockistowskich, rozstających się z życiem z pieśnią na ustach”. Incydenty te sprawiły, że NKWD zaczęło z większą powagą podchodzić do głódówek i strajków w obozach. Poczynając od końca lat trzydziestych, organizatorów tego rodzaju wystąpień karano dodatkowymi wyrokami, a niekiedy nawet śmiercią. Znacznie bardziej serio niż głódówki traktowano jednak strajki, stanowiły one bowiem zaprzeczenie samej istoty obozów. Więzień, który nie pracował, był nie tylko problemem dyscyplinarnym, lecz również mógł stać się - w razie upowszechniania podobnych postaw - poważną przeszkodą w

realizacji ekonomicznych celów obozu. Toteż po roku 1938 udział w strajkach karano z wyjątkową surowością: „Część więźniów odmówiła wyjścia do pracy [...] chodziło chyba o to, że jedzenie było zepsute. Władze podjęły oczywiście energiczne kroki zaradcze. Rozstrzelano czternaścioro przywódców buntu - dwunastu mężczyzn i dwie kobiety. Stracono ich w obozie; ustawieni w szeregi więźniowie musieli przypatrywać się egzekucji. Z każdego baraku

wyznaczono po kilku więźniów, którym kazano wykopać grób - tuż za ogrodzeniem.

Szansa na wybuch kolejnych zamieszek, zanim wydarzenie to zatrze się w pamięci, była nikła”. Ale nawet perspektywa surowych kar - i świadomość nieuchronnej śmierci - nie była w stanie całkowicie stłumić odruchu buntu u wszystkich więźniów, co z całą siłą wyszło na jaw później, już po śmierci Stalina. Chociaż i za życia dyktatora, nawet w najcięższych latach wojny, duch oporu nie wygasł w łagrach zupełnie, czego dowodem była słynna rebelia zeków w Ust'-Usie, jaka wybuchła w styczniu 1942 roku.

Jak można dziś stwierdzić, rewolta w Ust'-Usie stanowiła wydarzenie wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju w całych dziejach Gułagu; w każdym razie dotychczas nie mamy jakichkolwiek informacji, by za życia Stalina zdarzył się inny wypadek masowej ucieczki z łagru. O wypadkach w Ust'-

Usie wiemy całkiem sporo, zmitologizowane opowieści o insurekcji stały się na długo częścią przekazywanej z ust do ust tradycji Gułagu, a w ostatnich latach incydent ten został przekonująco udokumentowany źródłowo. Dziwne, ale na czele buntu stanął nie więzień, a wolnonajemny pracownik obozu. Mark Rietunin był wówczas komendantem łagpunktu Lesoried - niewielkiego "punktu obozowego" Workutłagu; osadzono w nim około 200 więźniów, z których ponad połowę stanowili polityczni.

Rietunin był doskonale zorientowany z realiach systemu łagrów - tak jak wielu naczelników mniejszych obozów, sam był swego czasu więźniem, skazanym na 10 lat z oskarżenia o napad na bank. Niemniej cieszył się zaufaniem obozowej administracji: "To człowiek gotów poświęcić życie dla realizacji zadań produkcyjnych obozu" - powiedział o nim jeden z funkcjonariuszy. Opinie innych są bardziej zróżnicowane. Pamięta się go jako opoja i nałogowego gracza w karty - upodobania te zdają się potwierdzać kryminalną przeszłość Rietunina - ale zarazem "mocnego człowieka", rozmiłowanego przy tym w poezji i skłonnego do fanfaronady oraz samochwalstwa, co z kolei może odzwierciedlać część legendy, jaka zaczęła go otaczać po śmierci. Trudno określić motyw postępowania Rietunina. Wydaje się, że głęboko wstrząsnął nim wydany przez NKWD

w czerwcu 1941 roku, zaraz po wybuchu wojny, rozkaz zakazujący zwalniania z obozów więźniów politycznych - nawet tych, którzy odsiedzieli już cały wyrok. Afanasij Jaszkin -jedyne ocalały przy życiu organizator tej rebelii - zeznał prowadzącym śledztwo enkawudzistom, jakoby Rietunin był przekonany, że jeśli Niemcom uda się posunąć dalej w głąb terytorium ZSRS, to wszyscy z jego łagpunktu - więźniowie i robotnicy wolnonajemni zostaną rozstrzelani. "Co mamy do stracenia!

Nawet jeśli nas zabiją - przekonywał - co za różnica zginąć jutro czy polec dziś z bronią w rękę [...]. Władze obozu chcą rozstrzelać wszystkich z wyrokami za działalność kontrrewolucyjną, nawet nas, pracowników wolnonajemnych". Nie był to bynajmniej objaw paranoi Rietunina, który w roku 1938 sam był więźniem Workutłagu, wiedział doskonale, że masowy mord mieści się w sposobie działań

NKWD, a poza tym zupełnie niedawno odmówiono mu urlopu, mimo że piastował stosunkowo wysoką funkcję komendanta łagpunktu. Nie znamy innych szczegółów przygotowań do buntu; z późniejszych wypadków wynika jednak, że było to wystąpienie starannie przygotowane. Rebelia wybuchła 24 stycznia 1942 roku. Była to sobota, dzień cotygodniowej kąpieli strażników WOChR-y i większość przykładowie udała się do łaźni. Wtajemniczony w spisek łaźniowy - Chińczyk, Lu Fa - zablokował im wyjście, a wówczas reszta wtajemniczonych rozbroiła pozostałych, trzymających straż na wartowni. Dwóch wartowników stawiało opór - jednego zabito, drugi został ranny - więźniowie zdobyli całe ich uzbrojenie: 12 pistoletów maszynowych i 4 rewolwery. Buntownicy włamali się do obozowych magazynów; w nich Rietuinin zgromadził wiele nowych butów i ubrań które rozdano zekom. Nie wszyscy jednak usłuchali jego wezwań, by przyłączyć się do buntu -jedni ze strachu, ponieważ zdawali sobie sprawę z beznadziejności całego przedsięwzięcia, niektórzy próbowali nawet wyperswadować mu kontynuowanie rebelii! Reszta zasilła szeregi powstańców. Około piątej po południu - mniej więcej po godzinie -

kolumna więźniów dotarła do Ust - Usy. Mieszkańcy tego miasteczka nie zdawali sobie początkowo sprawy z tego co się stało - zwiódł ich przyzwoity wygląd i dobre ubrania więźniów. Rebelianci podzielili się na dwie grupy, po czym uderzyli jednocześnie na urząd pocztowy oraz więzienie miejskie. Obie akcje zakończyły się sukcesem. Powstańcy zniszczyli pocztowe urządzenia telekomunikacyjne, a ich szeregi zasililo dwunastu wypuszczonych na wolność więźniów. Odcięta o reszty świata Ust -Usa znalazła się pod kontrolą

buntowników. Dopiero w tym momencie opór zaczęli stawiać mieszkańcy miasteczka; kilku ostrzeliwało się z wieży kontrolnej - pobrawszy stamtąd karabiny - zorganizowali obronę lotniska na którym stały dwa samoloty.

Jeszcze inni usiłowali ściągnąć pomoc z zewnątrz. Jeden z milicjantów wymknął się z miasta i dotarł konno do sąsiedniego łagpunktu. Jego komendant doszedł do wniosku, że Ust -Usę zaatakowali Niemcy i aby uniemożliwić swoim więźniom ucieczkę, skonfiskował im walonki.

Niemniej w stronę Ust'-Usy ruszyło z Pola-Kuna piętnastu uzbrojonych funkcjonariuszy, w świętym przekonaniu że idą walczyć w obronie ojczyzny. Tymczasem w centrum Ust-Usy trwały regularne walki.

Rebeliantom udało się

rozbroić część milicjantów i zdobyć więcej broni, nie udało im się przełamać zacieklej obrony gmachu komendy. Oblężenie posterunku trwało całą noc, nad

ranem okazało się, że atakujący ponieśli ciężkie straty - dziewięciu zostało zabitych, jeden ranny, a czterdziestu się poddało. Reszta powstańców skierowała się w stronę innego miasteczka, jednak władzom Ust-Usy udało się, z ukrytej w komendzie radiostacji wysłać wezwanie o pomoc.

W rejon miasta ze wszystkich stron zaczęły ściągać posiłki. Więźniowie opuścili główną drogę, weszli w tundrę i ukryli się na pobliżu farmy reniferów gdzie 28 stycznia o świcie dopadła ich pogoń. W starciach obie strony poniosły ciężkie straty, o zmroku pozostałym przy życiu ponad trzydziestu rebeliantom udało się wycofać i ukryć w jaskiniach w pobliskich górach. Część z nich

postanowiła zostać tam i bronić się do ostatka, a że kończyła się im amunicja, nie mieli praktycznie żadnych szans. Reszta rozproszyła się po lasach, ale prawdopodobieństwo, że uda im się wytrwać w środku zimy bez żywności i dachu nad głową, również było nikłe. Ostatni akt

tragedii rozegrał się 31 stycznia w nocy. Kilku otoczonych przez milicję więźniów - w tym Rietiunin - odebrało sobie życie, pozostałych, jednego po drugim wyłapała w lasach milicja. Zwłoki poległych złożono w stos; ogarnięci szalem nienawiści milicjanci okaleczyli je, po czym sfotografowali. Na zachowanych w miejscowych archiwach zdjęciach widać pokryte zmieszonym z krwią śniegiem zniekształcone ciała. Nie wiadomo, gdzie pochowano poległych; miejscowi twierdzą, że milicja spaliła ciała na miejscu. Ujętych buntowników przewieziono do Syktywkaru, stolicy obwodu, i natychmiast rozpoczęło się śledztwo. Po sześciu miesiącach tortur i przesłuchań 10 uczestników rebelii skazano na dodatkowe wyroki łagru, a 49 stracono w sierpniu 1942 roku. Straty w ludziach poniosła i druga strona. Śmierć kilkudziesięciu strażników i cywilów nie była wszakże jedynym powodem zaniepokojenia NKWD. Z

zachowanych dokumentów wynika, że Jaszkin "zeznał" również, jakoby Rietiunin namawiał w ostatecznym rozrachunku do obalenia miejscowych władz sowieckich i zastąpienia ich "reżimem faszystowskim", co oczywiście zamierzał uczynić w ścisłym sojuszu z nazistowskimi Niemcami. Wziąwszy jednak pod uwagę to, co wiadomo o sowieckich metodach prowadzenia śledztwa, można chyba bezpiecznie pominąć te rewelacje. Mimo wszystko wypadki, do jakich doszło w Ust'-Usie, to coś więcej niż zwykła rebelia "urków". Bunt miał wyraźnie anty sowieckie tło polityczne i to nie tylko dlatego, że jego uczestnicy nie bardzo pasują do modelu typowego zbiega kryminalisty - większość była zresztą więźniami politycznymi. Pogłoski o nim - z czego NKWD doskonale zdawało sobie sprawę - natychmiast rozeszły się po sąsiednich obozach, w których podczas wojny również było wielu politycznych. Niektórzy - i wówczas, i później - obawiali się, że wieści te dotarły również do Niemców, którzy będą chcieli wykorzystać łagry workuckie, przypisując im rolę piątej kolumny. Plotki o tym, że w rejonie Workuty rzeczywiście zrzucono spadochroniarzy niemieckich, krążą wśród miejscowej ludności do dzisiaj.

Moskwa obawiała się powtórki z Ust'-Usy, podjęła więc radykalne kroki zapobiegawcze. Dwudziestego sierpnia 1942 roku do komendantów wszystkich łagrów rozesłane zostało memorandum "o nasileniu się działalności kontrrewolucyjnej w obozach pracy poprawczej NKWD" z żądaniem, by w ciągu dwóch tygodni pozbyli się "elementów kontrrewolucyjnych i antysowieckich". W konsekwencji we wszystkich zakątkach Związku Sowieckiego wszczęto dochodzenia które zaowocowały "ujawnieniem" wielkiej liczby rzekomych organizacji spiskowych - od irkuckiego "Komitetu Wyzwolenia Ludu", po "Rosyjskie Stowarzyszenie Odwetu na Bolszewikach", zdemaskowane w Omsku. W

opublikowanym w 1944 roku sprawozdaniu możemy przeczytać, że latach 1941-1944 w obozach wykryto 603 ugrupowania antypaństwowe i terrorystyczno-dywersyjne zrzeszające łącznie 4640 uczestników.

Nie ma cienia wątpliwości, że większość tych "ugrupowań" istniała wyłącznie

na papierze, jako widomy dowód skuteczności działania sieci obozowych konfidentów; niemniej władze rzeczywiście obawiały się, że owe wydarzenia mogą być zaledwie przedsmakiem

przyszłości. Rebelię w Ust'-Usie zdławiono, ale pamięć

o niej przetrwała, tak samo jak przetrwała pamięć o rozstrzelanych socjalistach

i trockistach. Po upływie dziesięciolecia o strajkach politycznych przypomni sobie nowa generacja zeków, która przeanalizuje błędy taktyki poprzedników i dopasuje ją do nowych warunków. Ich dzieje to już jednak część historii innej epoki - nie stalinowskich lat szczytu ekspansji Gułagu, lecz kroniki jego zmierzchu i ostatecznej likwidacji. Wypełni ona następne rozdziały tej książki.

CZEŚĆ TRZECIA

Apogeum i zmierzch obozowego kompleksu przemysłowego 1940-1986

ROZDZIAŁ 19

Początek wojny

„Byłem żołnierzem - jestem skazańcem

Duszę mam zmrożoną, a język milczący,

Jakiż poeta, jakiż malarz Uwieczni moją

straszłą niewolę

A męcząc nas i przewożąc Z

więzienia na zesłanie w łagrze,

Czarne wrony nie wiedzą, Jaką

wymierzają nam karę.

Zdarzają się jednak cuda. Nad kopalnią

Błyszczą wolna gwiazda,

Duszę mam zmrożoną - ale całą, Język

milczący - ale zdolny przemówić”.

Leonid Sitko, 1949

LUDZIOM ZACHODU początek drugiej wojny światowej kojarzy się z reguły z datą

1 września i niemiecką inwazją na Polskę. W świadomości historycznej Rosjan nie

liczy się jednak ani ta data, ani też 17 września 1939 roku, czyli dzień sowieckiej napaści na Polskę.

Tak naprawdę ta wspólna agresja, zaplanowana z wyprzedzeniem w toku negocjacji paktu Ribbentrop -

Mołotow, nie dotknęła w bezpośredni sposób większości sowieckich obywateli. Żaden chyba z nich nie zapomniał za to 22 czerwca 1941 roku.

Tegoż dnia Hitler rozpoczął operację "Barbarossa", niespodziewany atak na swojego dotychczasowego sowieckiego sprzymierzeńca. Karlo Stajner, podówczas więzień obozu w Norylsku, dowiedział się o tym przez radio:

„Nagle przerwano muzykę i usłyszeliśmy głos Mołotowa, mówiącego o nazistach, którzy "zdradziecko napadli" na Związek Sowiecki. Kilka minut później transmisja się urwała. W baraku było około stu ludzi, ale można było usłyszeć dźwięk przelatującej muchy; wszyscy spoglądaliśmy na siebie. No to już po nas - powiedział sąsiad”. Więźniowie polityczni, przyzwyczajeni do tego, że każda zmiana sytuacji odbijała się niekorzystnie na ich losie, z rosnącym przerażeniem wsłuchiwali się w doniesienia o inwazji. Nie mylili się, jako "wrogowie ludu" - teraz postrzegani w roli potencjalnej piątej kolumny - zostali w niektórych przypadkach błyskawicznie odseparowani i umieszczeni pod obostrzonym rygorem. Niektórych zastrzelono (do tej pory nie są znane dokładne liczby). Stajner zauważył, że drugiego dnia wojny zmniejszono racje żywnościowe: "Nie dość, że wyeliminowano cukier, to jeszcze obcięto do połowy przydział mydła". Trzeciego dnia wojny odizolowano wszystkich przebywających w obozach cudzoziemców. Stajner, obywatel austriacki (mimo iż sam uważał się za jugosłowiańskiego komunistę), został

aresztowany i osadzony w więzieniu. Prokuratura obozowa ponownie wszczęła w jego sprawie śledztwo. To samo powtórzyło się we wszystkich innych obozach. W Ustwymłagu już pierwszego dnia wojny komendant zabronił przekazywania więźniom listów, paczek oraz gazet i zarekwirował wszystkie odbiorniki radiowe. Zarządcy Kołymy pozbawili więźniów politycznych prawa czytania listów i gazet oraz odcięli im dostęp do radia. Wszędzie nasiliły się rewizje, znacznie wydłużyły się również poranne zbiórki. Komendanci łagpunktów zorganizowali specjalnie strzeżone baraki dla więźniów pochodzenia niemieckiego. "Hej tam, wszyscy co na bergi, burgi, sztajny, wszyscy - na lewą stronę. I w ogóle wszystkie tam takie Hin-den-bur-gi, Dit-gen-sztajny" - wzywali strażnicy, pokazując na Jewgienię Ginzburg, że ma do nich dołączyć.

Udało się jej wyperswadować inspektorce, żeby sprawdziła jej narodowość i obywatelstwo: "Po raz pierwszy w historii świata okazało się, że wygodnie jest być Żydówką!". Zarząd Karłagu usunął z obozowego tartaku wszystkich więźniów pochodzenia fińskiego i niemieckiego -

wysłano ich do najcięższej pracy przy wyрубie lasu. Jeden z łagierników, Amerykanin pochodzenia fińskiego, wspominał, że "po pięciu dniach produkcja stanęła, gdyż Finowie i Niemcy byli jedynymi znającymi się na rzeczy specjalistami [...]. Nie czekając na zgodę z Moskwy, więźniów odesłano z powrotem do tartaku". Najbardziej drastyczna zmiana (w każdym razie dla tych, których dotknęła), wiązała się z rozkazem wydanym 22 czerwca 1941 roku. Na jego mocy wszyscy więźniowie skazani "za zdradę Ojczyzny, szpiegostwo, terroryzm, dywersję, trockiści, prawicowcy" (innymi słowy wszyscy polityczni) musieli pozostać w obozach. Mimo iż był to okólnik administracyjny, a nie wyrok, łagiernicy nazwali dekret "dodatkową odsiadką". Według oficjalnych danych już w dniu wydania objął on 17 tysięcy osób. Z czasem doszli do nich inni. Z

reguły nikogo o tym nie uprzedzono. W dniu zwolnienia wszyscy podpadający pod ten przepis dostawali po prostu dokument nakazujący im pozostanie za drutem kolczastym "do końca wojny". Wielu uznawało, że oznacza to, iż pozostaną tam na zawsze. "Dopiero wtedy uświadomiłem sobie cały dramatyzm mojego położenia" - wspominał jeden z łagierników. Horror ten najbardziej chyba dotknął kobiety z dziećmi.

Jedna z byłych więźniarek - Polka - przypomina sobie historię kobiety, którą zmuszono do pozostawienia dziecka w żłobku poza obozem.

Każdego dnia myślała tylko i wyłącznie o tym, by wydostać je z powrotem. Kiedy przyszedł długo oczekiwany dzień zwolnienia, powiedziano jej, że nie odzyska wolności ze względu na wojnę. "Porzuciła pracę i padła na stół, nie szlochała, ale zaczęła wyć niczym dzikie zwierzę". Olga Adamowa-Sliozberg wspomina historię Nadii Fiodorowicz, którą miano zwolnić 25 czerwca 1941 roku. Jej syn mieszkał

podówczas u dalekich krewnych, którzy marzyli o tym, by się go pozbyć.

Czekał na matkę. Nadia pisała do niego, prosząc o cierpliwość. Kiedy dowiedziała się, że nie zostanie zwolniona, napisała kolejny list. Nie doczekała się odpowiedzi.

Zimą 1942 roku dostała wreszcie list od jakiegoś nieznajomego, który natknął się na [jej] Bonę na jakiejś zapadłej, syberyjskiej stacyjce kolejowej koło Irkucka; chłopak był chory na zapalenie płuc. Zabrał go i opiekował się nim, dopóki nie wyzdrowiał. „Oburzał się na Nadię, że po wyjściu na wolność zapomniała o synu; jest złą matką; wyjechała pewnie albo wyszła za mąż i nieźle sobie teraz radzi, podczas gdy jej czternastolatek, który przejechał na gapę całą drogę z Riazania do Irkucka, zdycha z głodu”. Nadia próbowała skontaktować się z nieznajomym, nie miała jednak na to szansy, cenzorzy nie przepuszczali bowiem już listów od więźniów politycznych, zwłaszcza z przedłużonym wyrokiem. Później Nadia dowiedziała się, że jej syn przystał do bandy. W 1947 roku, z pięcioletnim wyrokiem, sam skończył na Kołymie. W miarę postępu wojny życie wszystkich, którzy pozostali w łagrach, stawało się coraz cięższe. Wprowadzono nowe przepisy, na których mocy przedłużono dniówki. Odmowa przystąpienia do pracy nie była już zwykłym wykroczeniem, stawała się aktem zdrady. W styczniu 1941 roku ówczesny szef Gułagu Wasilij Czernyszow wysłał do kierowników wszystkich obozów i kolonii karnych list opisujący los, jaki spotkał dwudziestu sześciu więźniów. Zostali postawieni przed sądem obozowym, który uznał

ich za winnych odmowy pracy. Pięciu z nich skazano na dodatkowe dziesięć lat, pozostałych na karę śmierci. Czernyszow przekazał swoim podkomendnym, "aby poinformowali więźniów przebywających we wszystkich obozach i koloniach karnych" o tych wyrokach.

Wieści rozeszły się niezwykle szybko. Herling-Grudziński pisał, że wszyscy

więźniowie znakomicie wiedzieli, iż "do najcięższych przestępstw, jakich można

było dokonać w obozie po 22 czerwca 1941 roku, należały szerzenie defetyzmu

wojennego i odmowa wyjścia do pracy, która w świetle wyjątkowego ustawodawstwa wojennego

kwalifikowała się jako sabotaż wysiłku wojennego". Efekty tej polityki były dramatyczne. Na wszystko nałożył

się jeszcze powszechny niedobór żywności. Mimo iż masowe egzekucje nie zdarzały się już tak często jak w latach 1937 i 1938, wskaźniki śmiertelności w latach 1942-1943 były najwyższe w całej historii Gułagu.

Według oficjalnych statystyk - niemal z pewnością zaniżonych - w 1942

roku zmarło 352 560 więźniów (czyli co czwarty). Rok później śmierć spotkała blisko jedną piątą więźniów, czyli 267 826. Liczba chorych (oficjalnie 22 procent w 1943 roku i 18 procent w 1944) prawdopodobnie była zdecydowanie wyższa, jako że w obozach panowały epidemie tyfusu, dyzenterii i innych chorób. W styczniu 1943 sytuacja była już tak napięta, że rząd sowiecki stworzył specjalny "fundusz" żywnościowy dla Gułagu. Co prawda więźniowie byli "winni", ale przemysł wojenny wciąż potrzebował ich pracy. Sytuacja poprawiła się nieco,

kiedy koleje wojny obróciły się na korzyść Związku Sowieckiego. Jeśli jednak

nawet weźmiemy pod uwagę te dodatkowe przydziały, to pod koniec wojny racje

żywnościowe były o jedną trzecią niższe niż pod koniec lat trzydziestych.

W sumie

przez całą wojnę w samych tylko obozach i koloniach Gułagu zmarły ponad 2

miliony ludzi. Liczba ta nie obejmuje tych, którzy zmarli na zsyłce lub pozbawieni zostali wolności w inny sposób. Na rozkaz prokuratorów obozowych za zdradę lub sabotaż rozstrzelano ponad 10 tysięcy osób. Już w 1940 roku, a więc tuż po inwazji na Polskę i kraje bałtyckie, Rada Najwyższa uchwaliła wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy - przez siedem dni w tygodniu, we wszystkich fabrykach i urzędach. Co więcej, reżim zabronił opuszczania miejsca pracy. Złamanie tego zakazu było ciężkim przestępstwem, za które groziła kara obozu. Wytwarzanie produktów "złej jakości" było także przestępstwem ("sabotaż"). Znacznie zaostrzono również kary za inne wykroczenia. Robotnicy oskarżeni o wynoszenie z pracy części zamiennych, na przykład papieru lub przyborów do pisania mogli zostać skazani na rok łagru lub dłużej. Ludzie głodowali w całym kraju. Podczas niemieckiej blokady Leningradu ograniczono dzienny przydział pieczywa do 120 gramów - było to zdecydowanie za mało, aby przeżyć. Brakowało opału, co czyniło mroźną północną zimę jeszcze dotkliwszą. Leningradczycy łapali ptaki i szczury, wrywali jedzenie umierającym dzieciom, jedli trupy i mordowali się nawzajem, aby przejąć przydziałowe kartki.

"W swoich mieszkaniach ludzie walczyli o życie, niczym stawiający czoło żywiołom polarnicy" - wspominała jedna z tych osób, którym udało się przeżyć.

Leningrad nie był jedynym miastem, w którym panował głód. W raportach opracowanych przez NKWD w kwietniu 1945 roku donoszono o klęsce głodowej

w całej Azji Środkowej, w Mongolii, Uzbekistanie i Republice Tatarskiej.

Najbardziej cierpiały pozbawione żywicieli rodziny żołnierzy z frontu.

Fala głodu dotknęła Ukrainę - jeszcze w 1947 roku odnotowywano tam przypadki kanibalizmu. W sumie szacuje się, że Związek Sowiecki stracił

w czasie wojny około 20 milionów obywateli. Tak więc w latach 1941-1945 Gułag nie był jedyną w kraju umieralnią. Wypowiedzenie wojny, oprócz zaostrzenia przepisów i reglamentacji żywności, pociągnęło za sobą potworny chaos. Niemcy posuwali się w niesamowitym tempie. W

ciągu czterech pierwszych tygodni operacji "Barbarossa" rozbite zostały niemal wszystkie spośród 319 sowieckich związków taktycznych, które przystąpiły do walki. Do jesieni wojska niemieckie okupowały Kijów, okrążyły Leningrad i były niemal o krok od zajęcia Moskwy. Zachodnie przyczółki Gułagu zostały zlikwidowane już na samym początku wojny.

W 1939 roku władze zamknęły funkcjonujące jeszcze baraki na Wyspach Sołowieckich, a wszyscy więźniowie zostali wysłani do obozów na kontynencie. Uznano, że wyspy są zbyt blisko granicy z Finlandią (w czasie ewakuacji i późniejszej okupacji fińskiej zniknęły gdzieś archiwa obozu. Prawdopodobnie zniszczono je zgodnie ze standardową procedurą.

Krążą jednak plotki, w żaden sposób nie potwierdzone, że wszystkie dokumenty zostały wykradzione przez Finów i do dzisiaj spoczywają w ściśle tajnym schronie rządowym w Helsinkach). Szefowie Biełbałtłagu, obozu obsługującego Kanał Białomorski, otrzymali od władz rozkaz ewakuacji więźniów w lipcu 1941 roku. Na miejscu mieli pozostawić jedynie konie i bydło, jako zaopatrzenie dla żołnierzy Armii Czerwonej.

Nie ma jednak żadnych zapisków mówiących o tym, czy czerwonoarmiści zrobili z nich jakikolwiek użytek, zanim dotarli tam Niemcy. W innych miejscach NKWD po prostu spanikowało. Najgorzej było na stosunkowo niedawno zajętych terytoriach Polski i krajów bałtyckich, gdzie areszty przepełnione były więźniami politycznymi. Ponieważ brakowało czasu na ich ewakuację, uznano, że nie można pozwolić, aby "antysowieccy terroryści" dostali się w ręce Niemców. Dwudziestego drugiego czerwca, a więc dokładnie w dniu niemieckiej inwazji, NKWD zaczęło systematycznie rozstrzeliwać więźniów w więzieniach we Lwowie, na bezpośrednim zapleczu linii frontu. W trakcie tej operacji miasto ogarnęło wywołane przez Ukraińców powstanie, które zmusiło NKWD do pozostawienia więzień. Grupa skazańców, ośmielona nieobecnością strażników

i dochodzącym odgłosem ognia artyleryjskiego, wymknęła się z więzienia Brygidki w samym centrum Lwowa. Część ich towarzyszy odmówiła ucieczki, obawiając

się, że na zewnątrz wartownicy czekają tylko na okazję, by ich rozstrzelać.

Ci, którzy pozostali, ciężko zapłacili za swój błąd. Dwudziestego piątego czerwca powróciły oddziały NKWD wspomagane przez jednostki wojsk pogranicznych.

Uwolniono kryminalistów, natomiast wszystkich "politycznych"

rozstrzelano z broni maszynowej w piwnicach. Samochody i ciężarówki jadące ulicą zagłuszyły odgłos strzelaniny. Podobny los spotkał

przetrzymany w innych więzieniach. W

sumie NKWD zabiło we Lwowie około 4 tysięcy więźniów. Pochowano ich w

masowych mogiłach, które ledwie udało się przykryć cienką warstwą piachu.

Podobne zbrodnie miały miejsce w innych regionach przygranicznych. Na samym początku sowieckiej ewakuacji NKWD pozostawiło w więzieniach 21 tysięcy więźniów, kolejne 7 tysięcy wypuszczono na wolność. W ostatnim akcie bestialstwa wycofujące się jednostki NKWD i Armii Czerwonej wymordowały około 110 tysięcy więźniów w dziesiątkach polskich i bałtyckich miasteczek i wsi, między innymi w Drohobyczu, Wilnie i Pińsku. Rozstrzeliwano ich w celach, na dziedzińcach więzień i w lasach. Wycofujący się enkawudziści palili zabudowania i zabijali cywilów, czasami mordowali gospodarzy domów, w których kwaterowano oddziały.

Dalej od granicy było więcej czasu na przygotowania; administracja Gułagu

starła się też staranniej zorganizować ewakuację więźniów. Trzy lata później

w długim i pompatycznym sprawozdaniu poświęconym zmaganiom wojennym

Gułagu jego ówczesny szef, Nasiedkin, określił ewakuację jako

"przebiegającą

zgodnie z planem". Miał on zostać "opracowany przez Gułag z uwzględnieniem

ewakuacji przemysłu", aczkolwiek -jak pisał - "w związku z powszechnie znanymi

problemami transportowymi znaczna część więźniów została ewakuowana na piechotę". Tak naprawdę nie było żadnego planu, a ewakuację przeprowadzono w dzikiej panice, często pod padającymi zewsząd niemieckimi bombami. "Powszechnie znane problemy transportowe"

oznaczały, że ludzie dusili się w zatłoczonych wagonach bydłowych albo że bomby zabijały ich, zanim dotarli do celu. Jeden z polskich więźniów, Janusz Puchiński, aresztowany i deportowany 19 czerwca, zbiegł z matką i rodzeństwem z płonącego, pełnego więźniów pociągu:

„W pewnym momencie nastąpił silny wybuch i pociąg stanął. Ludzie zaczęli uciekać

z wagonu [...]. Zobaczyłem, że pociąg stoi w głębokim wykopie.

Wydawało mi się, że już stamtąd nie wyjdę. Nad głową brzęczą samoloty, nogi mam jak z waty. Jakoś wydostałem się z tego wąwozu i zacząłem uciekać do lasu odległego od torów o 200-250 metrów. Kiedy już dobiegłem, rozejrzałem się i zobaczyłem, że za mną wybiegło mrowie ludzi. W tym momencie nadleciała następna grupa samolotów i zaczęła strzelać w tłum z broni maszynowej”.

Bomby trafiły także w pociąg wiozący więźniów z aresztu w Kołomyi, zabijając część z nich.

Korzystając z zamieszania, niemal 300 osób zbiegło z transportu.

Konwojentom udało się wyłapać połowę uciekinierów, ale po jakimś czasie uwolnili ich. Jak wyjaśnili, i tak nie mieli ich czym karmić i gdzie trzymać. Wszystkie więzienia w okolicy zostały ewakuowane. Niewielu więźniów miało jednak okazję doświadczyć bombardowania w wagonach.

Rzadko kiedy bowiem pozwalano im wsiąść do pociągów ewakuacyjnych.

Z reguły w opuszczających obozy eszelonach rodziny i bagaże administracji i strażników zajmowały tak dużo miejsca, że nie starczało go już dla aresztantów.

Priorytetem były też maszyny fabryczne, zarówno ze względów praktycznych, jak i propagandowych. Po klęsce na Zachodzie przywódcy sowieccy obiecywali sobie że odbudują potęgę przemysłową na wschód od Uralu. W efekcie

"znaczna część

więźniów" - a w istocie przytłaczająca większość - została ewakuowana, jak określił to Nasiedkin, "na piechotę". Opisy długich przymusowych pochodów przywodzą na myśl obraz podobnych marszów, które cztery lata później czekały więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych.

"Nie mamy transportu - powiedział

jeden ze strażników grupie więźniów, kiedy wokół zaczęły padać bomby.

- Ci

kórzy mogą iść, będą szli. Bez względu na to, czy się wam to podoba, czy nie

wszyscy będą szli. Tych, którzy nie mogą iść, zastrzelimy. Nie zostawimy Niemcom nikogo [...], sami zadecydujcie o swoim losie". Szli więc, chociaż podróż niektórych kończyła się dosyć szybko. Tempo, w jakim posuwały się oddziały niemieckie, niepokoiło enkawudzistów. A kiedy byli zdenerwowani, zaczęli strzelać. Drugiego lipca areszt w Czortkowie opuściło 954 więźniów. Wyruszyli na wschód. Po drodze, jak wynika ze złożonego później raportu, dowodzący konwojem oficer zidentyfikował 123 osoby jako ukraińskich nacjonalistów. Rozstrzelano je w trybie doraźnym, przy "próbie buntu i ucieczki". Po ponad dwóch tygodniach pochodu, kiedy oddziały niemieckie były już tylko o kilkanaście kilometrów za kolumną więźniów, rozstrzelano wszystkich, którzy pozostali jeszcze przy życiu.

Ci, których nie rozstrzelano, doznawali nowych cierpień. Jak pisał

Nasiedkin,

"aparatu Gulagu w regionach bliskich linii frontu zobowiązany został do zapewnienia opieki medycznej i sanitarnej oraz wyżywienia transportom i eszelonom ewakuowanych więźniów". Z relacji więźniów wynika zupełnie coś innego. Oto jak Steinberg, więźniarka polityczna powtórnie aresztowana w 1941 roku, opisywała swoją ewakuację z więzienia w Kirowgradzie: „Słońce grzało niemiłosiernie; w południe nie dawało się wytrzymać. To była Ukraina

w sierpniu - dzień w dzień 35 stopni w cieniu. Drogą szedł zbity tłum, nad którym unosiła się gęsta chmura kurzu. Nie było czym oddychać, nie sposób było oddychać [...]. Każdy niósł w rękach jakiś toboł. Ja również.

Wzięłam ze sobą nawet płaszcz; bez płaszcza trudno przetrwać w więzieniu. Płaszcz jest wszystkim, poduszką, materacem, prześcieradłem.

W większości więzień nie ma łóżek, materaców ani pościeli. Ale po trzydziestu kilometrach w tym upale po cichu zostawiłam mój węzełek na skraju drogi. Wiem, że nie dałabym rady nieść go dalej. Większość kobiet zrobiła to samo. Te, które nie pozbyły się tobołka na pięćdziesiątym kilometrze, porzuciły go na dwusetnym. Żadna nie wytrzymała do końca. Po przejściu kolejnych piętnastu kilometrów zdjęłam i wyrzuciłam buty [...].

Za Adżamką przez trzydzieści kilometrów holowałam moją towarzyszkę z celi, Sokołowską, starszą, siwowłosą kobietę. Była dobrze po siedemdziesiątce [...]. Nie bardzo mogła chodzić. Uwiesiła się mnie i cały czas opowiadała o swoim piętnastoletnim wnuku, który mieszkał razem z nią. Sokołowska bała się, że mogą aresztować i jego. Bała się po raz ostatni w życiu. Nie miałam sił wlec jej dalej, sama zaczynałam się już potykać. "Odpocznij chwilę, pójdę sama" - powiedziała. Kilometr dalej upadła. Obie szłyśmy na samym końcu konwoju. Kiedy zorientowałam się, że upadła gdzieś za mną, zawróciłam, żeby ją zabrać - i widziałam, jak ją zabili. Pchnęli ją bagnetem. W plecy. Nawet się nie zorientowała. Byli w tym dobrzy. Nawet się nie ruszyła. Później doszłam do wniosku, że miała lekką śmierć, lżejszą niż inni. Nawet nie zauważyła tego bagnetu. Nie miała czasu, żeby się przeląć". W sumie NKWD

ewakuowało 750 tysięcy więźniów z 27 obozów i 210 kolonii karnych. Z

272 więzień ewakuowano i przeniesiono do zakładów karnych na wschodzie kolejne 140 tysięcy osób. Znaczna część nigdy nie dotarła na miejsce, do tej pory jednak nie znamy prawdziwej liczby ofiar.

ROZDZIAŁ 20

„Obcy”

„Wierzyby są wszędzie wierzbami

Pięknaś w szronie i blasku,

Wierzbo ałmaatynska

Lecz jeśli cię zapomnę, suche niebo z ulicy Rozbrat niech uschnie moja ręka.

Góry są wszędzie górami

Przede mną Tiań Szan żegluję w fioletach pianka

światła, głów barw, blednie i niknie Lecz jeśli cię zapomnę, daleki szczyt tatrzański, potoku Białej,
gdzie z synem barwne roilem żeglugi

niech się w kamień tianszanski obrucę. Jeśli

was zapomnę Jeśli cię zapomnę

miasto rodzinne”

Aleksander Wat „Wierzby w Abna Aae”

OD SAMEGO ZARANIA W obozach Gułagu przetrzymywano sporo cudzoziemców. Byli to głównie
komuniści z Zachodu i członkowie Kominternu, aczkolwiek znalazły

się tam też brytyjskie i francuskie żony obywateli sowieckich oraz dziwaczni, wyrzuceni ze swoich
krajów biznesmeni. Traktowano ich jak pewnego rodzaju kurioza. Komunistyczne korzenie i
doświadczenie życiowe nabyte w Sowietach z reguły dosyć szybko pomagały im dopasować się do
innych więźniów. Jak pisał Lew Razgon „Oni wszyscy byli "nasi", jako że albo urodzili się, albo
wyróśli w tym kraju albo z własnej woli przybyli, by w nim żyć. Nawet jeśli po rosyjsku mówili źle
albo wcale byli nasi. A w tygłu łagrów szybko przestali zachowywać się i wyglądać odmiennie. Ci z
nich, którzy przeżyli pierwszy rok czy dwa obozu, mogli odróżniać się od "nas" wyłącznie kiepską
ruszczyzną”.

Zupełnie inni byli cudzoziemcy, którzy pojawili się po 1939 roku. Po inwazji sowieckiej na
wielonarodowościowe wschodnie kresy Polski, Besarabię i kraje bałtyckie NKWD zaczęło
wrywać Polaków, Bałtów, Ukraińców, Białorusinów i Mołdawian z ich świata i w olbrzymiej
liczbie wrzucać do obozów Gułagu i wsi dla przymusowych przesiedleńców.

Przeciwstawiając ich "własnym" cudzoziemcom, Razgon nadał im miano

"obcych". Zostali "przeniesieni ze swoich rodzinnych stron na Daleką Północ Rosji przez obcą i
wrogą siłę, której nie byli zdolni zrozumieć”.

Było ich bardzo łatwo rozpoznać po jakości dobytku. "O ich przybyciu do Ustwymłagu informowało
nas pojawienie się egzotycznych strojów wśród naszych współwięźniów: widać było włochate
wysokie czapy i kolorowe pasy z Mołdawii oraz zdobione kozuchy i modne obcisłe kurtki z
watowanymi ramionami z Bukowiny”.

Aresztowania zaczęły się zaraz po sowieckiej inwazji na Polskę, we wrześniu

1939 roku; podobnie stało się po zajęciu Mołdawii i Besarabii oraz krajów bałtyckich. Celem
NKWD było z jednej strony bezpieczeństwo -

internowania miały

zapobiec buntom i pojawieniu się piątej kolumny - z drugiej zaś sowietyzacja.

Stąd też głównym obiektem aresztowań stali się ludzie, którzy mogli w jakiś sposób sprzeciwić się nowej władzy. Byli to nie tylko przedstawiciele dawnej polskiej administracji, ale również kupcy, handlowcy, poeci, pisarze, bogaci wieśniacy i ziemianie - słowem wszyscy, których zamknięcie mogło przyczynić się do osłabienia ducha tuziemców. Dotknęło to również uchodźców z zajętej przez Niemców zachodniej części Polski, wśród nich wielu uciekających przed Hitlerem

Żydów. W późniejszym okresie ustalono bardziej precyzyjne, jak na warunki sowieckie, kryteria aresztowań. Dokument z maja 1941 roku odnoszący się do wysiedlenia "obcych społecznie" elementów z krajów bałtyckich, okupowanej części Rumunii i Polski nakazywał między innymi aresztowanie "aktywnych członków

ugrupowań kontrewolucyjnych", czyli osób należących do partii politycznych, i

byłych funkcjonariuszy policji lub służb więziennych, kapitalistów i mieszczan,

byłych oficerów, rodzin wszystkich wymienionych powyżej, wszystkich repatriantów z Niemiec, uchodźców z "byłej Polski", jak również prostytutek i kryminalistów.

Kolejne instrukcje, wydane w listopadzie 1940 roku przez władze świeżo zsowietyzowanej Litwy, głosiły, że deportowania - oprócz wymienionych już kategorii ludności - powinny objąć także osoby wydalone z partii komunistycznej,

i często podróżujące za granicę, wymieniające korespondencję z zagranicą lub

utrzymujące kontakty z przedstawicielami obcych państw, esperantystów, filatelistów, współpracowników Czerwonego Krzyża, uchodźców, przemytników, księży i aktywnych członków grupowań religijnych, arystokratów, ziemian, zamożnych kupców, bankierów, przemysłowców oraz właścicieli hoteli i restauracji. Ktokolwiek łamał prawo sowieckie, w tym przepisy zakazujące "spekulacji" - czyli jakiegokolwiek formy handlu -

mógł zostać aresztowany. Podobnie zresztą jak i wszyscy usiłujący przekroczyć granicę sowiecką, by uciec na Węgry lub do Rumunii. Ze względu na skalę aresztowań władze okupacyjne dosyć szybko porzuciły jakiegokolwiek pozory działania w imię prawa. Spośród aresztowanych przez NKWD na świeżo zajętych terytoriach niewielu postawiono przed sądem i skazano. Z nastaniem wojny powróciły - opracowane jeszcze za czasów carskich - procedury "zesłania w trybie administracyjnym", wykorzystywane dotychczas przeciwko kułakom. "Zesłanie administracyjne" to może nazbyt wyszukana nazwa przedsiębranej praktyki. Oddziały NKWD i grupy konwojentów docierały do domów, po czym nakazywały mieszkańcom, aby je opuścili. Na spakowanie się ludzie czasami mieli dzień, niekiedy zaledwie kilka minut. Kiedy byli gotowi do drogi, podjeżdżały ciężarówki, które zabierały ich na dworzec kolejowy, do pociągów. Nie było żadnych aresztowań, procesów i jakichkolwiek formalności. Tego typu działania objęły olbrzymią liczbę osób. Jeden z historyków, Aleksandr Gurianow, szacuje, że na terenach wschodniej Polski aresztowano i

wysiedlono do obozów Gułagu 108 tysięcy osób.

Dalsze 320 tysięcy deportowano do odległych osad na Dalekiej Północy Rosji i w Kazachstanie. Do tego należałoby dodać około 96 tysięcy aresztowanych i 160 tysięcy deportowanych z krajów bałtyckich oraz 36

tysięcy mieszkańców Mołdawii. Deportacje i działania wojenne odbiły się w drastyczny sposób na demografii krajów bałtyckich. W latach 1939-1945 liczba mieszkańców Estonii spadła o blisko 25 procent. Dzieje tych deportacji, podobnie zresztą jak dzieje przesiedleń kułaków, nie mają związku z historią Gułagu, ale nie sposób o nich szkicowo nie wspomnieć.

Często bardzo trudno zrozumieć, czemu NKWD decydowało, że część osób należało "tylko" deportować, a część zesłać do obozów, i jakie były kryteria takiego wyboru.

Losy przesiedleńców i więźniów się przeplatają. Zdarzało się, że kiedy ktoś

wysyłany był do obozu, jego żona z dziećmi trafiała na zsyłkę, lub gdy aresztowano syna, wysiedlano rodziców. Niektórzy więźniowie, po odbyciu wyroku, trał do wsi przesiedleńców, niekiedy tam, gdzie żyli deportowani wcześniej członkowie ich rodzin. Deportacje miały pełnić funkcję karną. Oprócz tego jednak były częścią wielkiego planu zasiedlenia północnych regionów Rosji. Tak jak obozy Gułagu wsie dla przesiedleńców lokalizowano w odległych rejonach, na ogół na stałe. W

przemówieniach wygłaszanych podczas załadunku pociągów gratulowano

"nowym obywatelom" wyjazdu na stałe w głąb Związku Sowieckiego.

Miejscowi

komendanci często przypominali świeżo przybyłym osadnikom, że podzielona

między Niemcy a Związek Sowiecki Polska już nigdy nie będzie istnieć.

Jeden z

rosyjskich nauczycieli powiedział polskiej dziewczynce, że odrodzenie Polski jest równie prawdopodobne jak to, "że na dłoni wyrośnie mu kaktus". W tym

samym czasie w wysiedlonych wsiach i miastach nowe władze sowieckie zajmowały

się redystrybucją pozostawionego majątku. Domy zamieniano w budynki użyteczności publicznej - szkoły, szpitale i żłobki, a sprzęty domowe (te, których nie

rozkradli sąsiedzi, żołnierze lub NKWD) przekazywano domom dziecka i sierocińcom. Deportowani cierpieli co najmniej tak samo, jeśli nie bardziej niż ich krajanie wysłani do obozów pracy. Ci, którzy znaleźli się w obozach, przynajmniej codziennie dostawali chleb i mieli gdzie spać.

Zesłańcy zwykle nie mieli ani jednego, ani drugiego. Często wyładowywano ich w środku

dziewięcioletnich puszczy lub w małych wioskach rozrzuconych po terenach północnej Rosji, Kazachstanu i Azji Centralnej. Pozostawiano ich samym sobie, bez środków do życia.

Konwojenci pilnujący pierwszych transportów zabraniali zesłańcom zabierania czegokolwiek ze sobą. Ludzie objęci pierwszą falą deportacji trafiali na zesłanie bez ubrań czy najbardziej potrzebnych sprzętów i narzędzi. Jednak już w listopadzie 1940 roku administracja wycofała te zakazy. Władze sowieckie zdały sobie bowiem sprawę, że efektem tego typu polityki jest niezwykle wysoka śmiertelność. Funkcjonariuszom polecono ostrzegać przesiedleńców, by zabrali ze sobą ciepłą odzież, która pozwoli przetrwać im przynajmniej trzy lata.

Mimo to wielu deportowanych nie było ani psychicznie, ani też fizycznie przygotowanych do życia w tajdze i do pracy w kołchozach. Już same krajobrazy wydawały się obce i złowieszcze. Jedna z kobiet zapisała swoje pierwsze wrażenia

w pamiętniku: "Wieziono nas przez bezkresne pustkowia, równiną olbrzymią

krainę, z nielicznymi, rozrzuconymi gdzieś osadami ludzkimi.

Widzieliśmy tylko obskurne lepianki kryte strzechą, z małymi okienkami, brudne i zaniedbane, bez płotów i drzew". Po przybyciu na miejsce okazywało się, że jest jeszcze gorzej. Wielu z przesiedleńców było prawnikami, lekarzami, sklepikarzami i kupcami, przyzwyczajonymi do miarę wygodnego życia w miastach i miasteczkach. Tutaj czekały ich zgoła inne warunki. W archiwalnym raporcie z grudnia 1941 roku czytamy o przesiedleńcach z zachodnich obszarów państwa, żyjących w zatłoczonych barakach. "Panuje w nich brud, przez co wzrasta zachorowalność i śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci [...]. Większość przesiedleńców nie ma ciepłych ubrań i nie jest przyzwyczajona do zimna". Z zapisków wynika, że przez kolejne miesiące i lata cierpienie stawało się coraz bardziej dotkliwe. Po wojnie przedstawiciele polskiego rządu na uchodźstwie zebrali "wspomnienia" deportowanych dzieci.

Ilustrują one, lepiej niż mogłyby pokazać to wspomnienia osób dorosłych, szok kulturowy i warunki, jakich doświadczali przesiedleńcy.

"Aresztowany" w wieku trzynastu lat chłopiec, Polak, pisał o swym pobycie na zesłaniu w następujących słowach: „Nie było co jeść. Ludzie jedli pokrzywę i puchli z tego, i pojechali na tamten świat. Do szkoły rosyjskiej gnali przymusowo, bo nie dawali chleba, gdybyś nie poszedł do szkoły. Uczono nas, żeby do Boga się nie modlić [sic!], że Boga nie ma, a gdy po końcu lekcji wszyscy stanęliśmy i zaczęliśmy mówić pacierz, to komendant posiołka do tjurmy

mnie zamknął”. Historie innych dzieci odzwierciedlają traumatyczne przeżycia ich rodziców: "Mama chciała odebrać sobie i nam życie, żebyśmy nie musieli znosić tej hańby, ale kiedy powiedziałem mamie, że chcę zobaczyć tatę i wrócić do Polski, podniosło ją to trochę na duchu" -

pisał inny chłopiec, aresztowany jako ośmiolatek. Nie wszystkie jednak kobiety potrafiły odzyskać hart ducha. Jeden z deportowanych nastolatków opisał próbę samobójczą swojej matki: „Mama wzięła z baraku sznur, trochę chleba i poszła do lasu. Chciałem ją zatrzymać ale uderzyła mnie sznurem i wyszła. Po kilku godzinach znaleźli mamę na świerku. Na szyi miała sznur. Pod drzewem

stały jakieś dziewczynki.

Mama myślała, że to moje siostry i chciała im coś powiedzieć, ale dziewczyny pobiegły z krzykiem do komendanta który wziął siekiere i ściął świerk [...] Mama oszalała; wyrwała mu siekiere i uderzyła go nią w plecy; komendant upadł na ziemię [...]. Następnego dnia zabrali mamę do więzienia o trzysta kilometrów ode mnie. Wiedziałem, że muszę ciężko pracować i nadal wywoziłem okrągłaki. Miałem konia, pracował ze mną.

Ściągałem pnie przez miesiąc, a potem zachorowałem i nie mogłem pracować. Komendant powiedział sprzedawcy w sklepie, żeby mi nie dawać chleba, a on współczuł dzieciom i dawał mi chleb ukradkiem [...]

Mama wkrótce wróciła z więzienia, odmroziła sobie stopy i miała pomarszczoną twarz”. Jednak nie wszystkie matki przeżyły:

„Przyjechaliśmy na posiołek, to na drugi dzień zaraz popędzili nas do pracy trzeba było pracować od świtu do nocy. Gdy przyszła wypłata, to za 15 najwyżej zapłacili 10 rubli tak że za dwa dni na chleb brakowało [...].

Ludzie z głodu umierali. Jedli zdechłe konie. Tak pracowała moja mamusia i przeziębila się”. Komentując ten zbiór relacji - dosyć niezwykłych zarówno ze względu na swoją naturę, jak i liczbę - Brano Bettelheim zwraca uwagę, że oddają rozpacz, brak w nich nawet cienia nadziei: „Skoro spisane zostały wkrótce potem, gdy dzieci te odzyskały wolność i znalazły się

w bezpiecznym miejscu, można by oczekiwać, że mówić będą o ich nadziei na

wyzwolenie, jeśli takową miały. Brak tego rodzaju wzmianek zdaje się świadczyć, że nie miały żadnej. Dzieci te odarto ze swobody wyrażania normalnych uczuć,

zmuszano do tłumienia ich po to, by mogły przeżyć choćby kolejny dzień.

Dziecko pozbawione jakiegokolwiek nadziei na przyszłość jest dzieckiem, które wtrącono do

piekła”. Nie mniej okrutny los stał się udziałem kolejnej grupy przesiedleńców, którzy mieli dołączyć do Polaków i Bałtów w trakcie wojny. Były to sowieckie mniejszości etniczne. Stalin zwrócił na nie uwagę już na początku wojny, doszukując się wśród nich potencjalnej piątej kolumny. W późniejszych latach uznano ich za "kolaborantów". Do

"piątej kolumny" zaliczali się Niemcy nadwołżańscy - potomkowie Niemców, których zaprosiła do Rosji caryca Katarzyna Wielka (jeszcze jedna władczyni troszcząca się o zasiedlenie bezkresnych pustkowi kraju)

- oraz mniejszość fińskojęzyczna, zamieszkująca Karelię. Nie wszyscy Niemcy nadwołżańscy znali niemiecki, a Karelowie fiński, ale i jedni, i drudzy mieszkali w dość dużych i zwartych skupiskach i różnili się znacznie zwyczajami od swoich rosyjskich sąsiadów. To wystarczyło, aby powziąć wobec nich podejrzenia, zwłaszcza po wybuchu wojny z Finlandią i Niemcami. Niezwykle pokrętnie rozumowanie, nawet jak na sowieckie obyczaje, doprowadziło do tego, że we wrześniu 1941 roku

Niemców nadwołżańskich uznano za "zamaskowanych wrogów".

„Wedle wiarygodnych informacji uzyskanych przez władze wojskowe wśród ludności niemieckiej zamieszkującej Powołże są dziesiątki tysięcy dywersantów i szpiegów, którzy na sygnał dany z Niemiec mają przystąpić do aktów sabotażu w całym tym rejonie [...]. [Ponieważ] żaden z Niemców z Powołża nie doniósł władzom sowieckim o istnieniu tak wielkiej liczby dywersantów i szpiegów, oznacza to, że niemiecka ludność Powołża ukrywa wśród siebie wrogów narodu sowieckiego i władz sowieckich”. NKWD otrzymało "z pewnego źródła informacje" o tysiącach szpiegów. Żadnych szpiegów jednak nie wykryto, toteż uznano wszystkich za winnych ukrywania wrogów. Do "kolaborantów" zaliczono także przedstawicieli wielu narodów kaukaskich - Karaczajów, Bałkarów, Kałmuków, Czeczenów i Inguszów, jak również Tatarów krymskich i kilku innych grup narodowościowych, między innymi Turków i Kurdów, a nawet nielicznych Greków, Ormian i Bułgarów. Za życia Stalina do publicznej wiadomości podano tylko informacje o deportacjach Czeczenów i Tatarów. O ich wysiedleniu, które miało miejsce w 1944 roku, wzmiankowano w dzienniku "Izwestia": „W latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, kiedy narody ZSRS bohatersko broniły honoru i niepodległości Ojczyzny w walce z niemiecko-faszystowskimi najeźdźcami, wielu Czeczenów i Tatarów krymskich, z poduszczenia agentów niemieckich wstąpiło ochotniczo do organizowanych przez Niemców oddziałów wojskowych [...]. W związku z tym Czeczeni i Tatarzy krymscy zostali przesiedleni do innych regionów ZSRS”.

Tak naprawdę nie ma żadnych dowodów na to, że Czeczeni lub Tatarzy kolaborowali na większą skalę z Niemcami. To fakt, że Niemcy prowadzili wśród obydwu grup rekrutację, mimo że nie wcielali do szeregów armii Rosjan. Siły niemieckie zatrzymały się na zachód od Groznego, stolicy Czeczenii, a linię frontu przekroczyło zaledwie kilkuset Czeczenów. Raport NKWD wspomina o zaledwie 335

"bandytach" z republiki. Podobnie było na okupowanym przez Niemców Krymie.

Tatarzy współpracowali z władzami okupacyjnymi i zaciągali się do Wehrmachtu -

tak samo zresztą jak Francuzi i Holendrzy. Nic nie wskazuje jednak na to, żeby Tatarzy kolaborowali bardziej niż ludzie w innych zajętych przez siły niemieckie regionach Związku Sowieckiego lub żeby brali aktywny udział

w rzezi Żydów krymskich. Jeden z historyków zauważył, że zdecydowanie więcej

Tatarów walczyło nie w Wehrmachcie, lecz w szeregach Armii Czerwonej przeciwko

nazistom. Tak naprawdę Stalinowi nie chodziło o zemstę za kolaborację, w

każdym razie na pewno nie przy deportacji mieszkańców Kaukazu i Krymu.

Wydaje się raczej, że wojna stała się dla niego pretekstem do przeprowadzenia

planowanych od dawna czystek etnicznych. O wolnym od Tatarów Krymie carowie

marzyli od momentu, kiedy Katarzyna Wielka włączyła Krym do Imperium Rosyjskiego. Czeczeni także byli solą w oku carów Rosji, jeszcze bardziej dali

się we znaki Związkowi Sowieckiemu. W Czeczenii miała miejsce seria antyrosyjskich i antysowieckich powstań, kilka wybuchło tuż po rewolucji, inne

po przeprowadzonej w 1929 roku kolektywizacji. Do ostatniego z powstań doszło w 1940 roku. Wszystkie dowody wskazują więc, że Stalin chciał

po prostu raz na zawsze pozbyć się tych kłopotliwych ludów o wyjątkowo antysowieckim nastawieniu.

Jak w przypadku Polaków akcje deportacji Niemców nadwołżańskich, narodów kaukaskich i Tatarów krymskich zakrojone były na szeroką skalę. Do końca

wojny wysiedlono 1,2 miliona sowieckich Niemców, 90 tysięcy Kałmuków, 70 tysięcy Karaczajów, 390 tysięcy Czeczenów, 90 tysięcy Inguszków, 40 tysięcy Bałkarów, 180 tysięcy Tatarów krymskich oraz 9

tysięcy Finów. Biorąc pod uwagę te liczby, trzeba przyznać, że tempo owych deportacji było niezwykle; przeprowadzone je dużo szybciej niż wysiedlenia Polaków i Bałtów. Być może stało się tak dlatego, że NKWD

miało już całkiem spore doświadczenie. Tym razem nie zastanawiano się już, kto i co ma ze sobą zabrać, kogo aresztować i jak uporać się z procedurami prawnymi. W maju 1944 roku 31 tysięcy oficerów i żołnierzy NKWD deportowało 200 tysięcy Tatarów krymskich w ciągu zaledwie 3 dni. Potrzebne było do tego 100 dżipów, 250 ciężarówek i 67

pociągów. Przygotowane z wyprzedzeniem specjalne rozporządzenia ograniczały ilość dobytku, który mogła ze sobą zabrać każda z rodzin.

Ludzie mieli piętnaście do dwudziestu minut, by się spakować, toteż z reguły nie mogli zabrać nawet połowy dopuszczalnej liczby tobołków.

Większość Tatarów, bez różnicy płci i wieku, zapakowano do pociągów i wysłano do Uzbekistanu. Zanim dotarli na miejsce, zmarło od 6 do 8

tysięcy osób.

Operacja czeczeńska miała jeszcze bardziej drastyczny przebieg. Wielu naocznych świadków wspomina, że NKWD przy transporcie ludzi wykorzystywało

amerykańskie studebakery świeżo otrzymane dzięki programowi Lend-Lease. Ciężarówki dotarły z Iranu. Ze wspomnień wynika, że Czeczenów ładowano do nich,

a następnie do zaplombowanych pociągów nie tylko bez wody (tak jak

"zwykłych"

więźniów), ale również bez jedzenia. Szacuje się, że w samych tylko pociągach

zmarło około 78 tysięcy osób. Po przybyciu na miejsce zsyłki - do Kazachstanu, republik Azji Centralnej lub do północnej Rosji -

przesiedleńcy, których nie aresztowano i nie wysłano do obozów Gułagu, trafiali do specjalnych wsi, tak jak wcześniej Bałtowie i Polacy.

Ostrzegano ich, że za próbę ucieczki grozi kara dwudziestu lat w obozie.

Wszyscy mieli podobne doświadczenia. Zupełnie zdezorientowani, wyrwani ze społeczności klanowych i wspólnot, nie potrafili się dostosować do nowej rzeczywistości. Miejscowa ludność na ogół odnosiła się do nich z wrogością, mieli kłopoty ze znalezieniem pracy, szybko słabli i zapadali na choroby. Do tego dochodził szok związany ze zmianą klimatu: "Kiedy dotarliśmy do Kazachstanu - wspominał jeden z Czeczenów - ziemia była zamarznięta na kamień, myśleliśmy, że wszyscy umrzemy". Do 1949 roku nie żyły już setki tysięcy przesiedleńców z Kaukazu i od jednej trzeciej do połowy Tatarów. Z punktu widzenia Moskwy aresztowania i deportacje okresu wojennego różniły się zasadniczo od tych, które miały miejsce przed wojną: zupełnie inny był

obiekt represji. Po raz pierwszy Stalin postanowił eliminować nie tylko

"wrogów"

politycznych lub konkretnych przedstawicieli niektórych narodów, ale narody

w całości - mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Po prostu wymazać ich z mapy

na lata. Być może "ludobójstwo" nie jest najlepszym określeniem tych wysiedleń,

zwłaszcza że nie dochodziło w ich trakcie do masowych egzekucji. W

późniejszych latach Stalin szukał wśród tych "wrogich" ludów grup sprzymierzeńców

i współpracowników, nie można więc też powiedzieć, że jego nienawiść miała

podłoże czysto rasowe. Uważam, że dobrym terminem byłoby

"ludobójstwo kulturowe". Nazwy wszystkich deportowanych narodów zostały wymazane z oficjalnych dokumentów - nawet z Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej. Władze usunęły z map ich ojczyzny, likwidując Czeceńsko-Inguską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Sowiecką, ASRS Niemców nadwołżańskich, Kabardyjsko-Bałkarską ASRS i Karaczajski Obwód Autonomiczny. Przestała istnieć także Krymska ASRS, a Krym stał się jedną z prowincji Rosji. Władze lokalne niszczyły cmentarze i zmieniały nazwy miast i wsi oraz usuwały z podręczników historii wzmianki o rdzennych mieszkańcach tych regionów. W nowych ojczyznach wszyscy muzułmanie - Czeceń, Inguszowie, Bałkaiowie, Karaczajowie i Tatarzy musieli wysłać dzieci do rosyjskojęzycznych szkół

elementarnych. Zniechęcano ich do używania własnego języka, praktykowania religii i zachowywania wspomnień. Bez wątplenia dążono do tego, by Czeceń, Tatarzy, Niemcy nadwołżańscy oraz niewielkie narody kaukaskie, tak samo zresztą jak przez długie lata Bałtowie i Polacy, po prostu znikli, zostali wchłonięci przez rosyjskojęzyczny świat sowiecki. Koniec końców, narody te odrodziły się - wprawdzie niezwykle powoli - po śmierci Stalina. Czeceńom pozwolono wrócić do ojczyzny w 1957 roku, Tatarzy musieli na to czekać aż do 1994 roku - otrzymali wtedy "obywatelstwo" krymskie, czyli prawo stałego pobytu. Biorąc pod uwagę ducha czasów i okrucieństwa wojny, niektórzy zastanawiają się czemu Stalin po prostu nie wymordował grup etnicznych, które mu przeszkadzały. Wydaje mi się, że przyświecała mu jednak raczej idea zniszczenia kultur, a nie samych ludzi. Cała operacja pozwoliła Związkowi Sowieckiemu pozbyć się struktur społecznych, uważanych za

"wrogie". Zlikwidowano instytucje wyznaniowe i narodowe, które mogły opierać się Stalinowi, ludzi wykształconych, którzy mogli mu się sprzeciwić. Jednocześnie zachowano całkiem wiele "siły roboczej", która mogła przydać się później. Historia cudzoziemców w obozach nie kończy się jednak na Polakach i Czeceńach, inni trafiali tam przeróżnymi drogami. Najwięcej osób dostało się do nich

jako jeńcy wojenni. Armia Czerwona założyła pierwsze obozy jenieckie już w 1939 roku, po zajęciu wschodniej Polski. Pierwszy wojenny dekret o jeńcach wydano 19 września tego roku, dwa dni po tym, jak sowieckie czołgi przekroczyły jej granicę. Do końca września w niewoli sowieckiej znalazło się 230 tysięcy polskich oficerów i żołnierzy. Wielu zwolniono, zwłaszcza żołnierzy, chociaż niektórzy – postrzegani jako potencjalni wrogowie - w końcu trafili do obozów Gułagu lub jednego z około 100

obozów jenieckich w głębi Związku Sowieckiego. Po inwazji niemieckiej łagry te ewakuowano, równoległe z więzieniami, a przebywające w nich osoby przeniesiono do obozów położonych na wschodzie.

W kwietniu 1940 roku NKWD potajemnie wymordowało ponad 20

tysięcy polskich oficerów, strzelając każdemu, zgodnie z bezpośrednimi rozkazami Stalina,

w potylicę. Cel był ten sam jak przy aresztowaniach księży i nauczycieli -

eliminacja elity intelektualnej. Masakrę skrzętnie ukryto. Mimo olbrzymich wysiłków rząd polski na uchodźstwie nie był zdolny dojść, co stało się z oficerami, dopóki ich grobów nie odnaleźli Niemcy. Wiosną 1943 roku ogłosili o odkryciu w Lesie Katyńskim 4 tysięcy ciał. Rząd sowiecki nie przyznawał się do odpowiedzialności za rzeź i mimo wątpliwości aliantów oskarżał o nią przed trybunałem norymberskim III Rzeszę. Polacy wiedzieli z własnych źródeł, że zbrodni dopuściło się NKWD. Sprawa ta ciążyła na stosunkach polsko-sowieckich nie tylko w okresie wojny, ale przez następne 50 lat. Dopiero w 1991 roku prezydent Jelcyn przyznał, że to Sowieci dokonali masakry. Pierwsze obozy pracy stworzone na naprawę masową skalę powstały, gdy koleje wojny powoli się odwróciły i Armia Czerwona zaczęła nieoczekiwanie brać ogromnie dużo jeńców niemieckich i innych państw osi. Władze były zupełnie na to nieprzygotowane. Kiedy wojska niemieckie kapitulowały pod Stalingradem Armia Czerwona wzięła do

niewoli 91 tysięcy żołnierzy. Nie zapewniono im żadnej infrastruktury ani zaopatrzenia. Jedzenie, które dotarło po trzech czy też czterech dniach, ledwie

starczało na skromny posiłek: "Kromka chleba na dziesięciu ludzi, do tego woda, z kilkoma ziarnami owsa i soloną rybą". Przez pierwsze kilka tygodni nie było

dużo lepiej i to nie tylko tym, którzy przeżyli Stalingrad. Wojska sowieckie

stopniowo posuwały się na zachód, a trafiający do niewoli żołnierze byli spędzani w otwartym polu i odgradzani tam od świata. Pozostawiano ich bez opieki

medycznej, prawie bez jedzenia, czasami po prostu rozstrzeliwano. Z

braku

schronienia jeńcy spali stłoczeni i wtuleni w siebie w śniegu i budzili się trzymając zamarznęte, martwe ciała w objęciach. W pierwszych miesiącach

1943 roku śmiertelność wśród nich dochodziła do 60 procent. Według oficjalnych

danych w niewoli z głodu, chorób i ran zmarło 570 tysięcy ludzi. Tak naprawdę

liczba ta może być zdecydowanie wyższa, wielu jeńców musiało bowiem umrzeć

zanim komukolwiek udało się ich zarejestrować (podobny był los żołnierzy

sowieckich w niewoli niemieckiej). Począwszy od marca 1944 roku NKWD przedsięwzięło pewne kroki, by „polepszyć” sytuację. Specjalnie z myślą o jeńcach wojennych zorganizowano obozy pracy przymusowej pod wspólnym zarządem. Obozy te pozostawały pod jurysdykcją tajnej policji, ale

technicznie nie były częścią Gułagu. Z początku podlegały Zarządowi ds. Jeńców Wojennych i Internowanych (UPWI) NKWD, przekształconemu następnie w Zarząd Główny (GUPWI). Stworzenie nowej maszyneryi biurokratycznej nie oznaczało bynajmniej poprawy warunków. Zima 1945/46, już po zakończeniu wojny, była najcięższą dla jeńców japońskich, zmarł wtedy co dziesiąty z nich. Mimo iż jeńcom trudno byłoby przekazać użyteczne informacje wojskowe, dosyć długo utrzymano obostrzenia zakazujące im pisania do bliskich. Pozwolono na to dopiero po 1946 roku i to tylko na specjalnych blankietach opatrzonych nadrukiem "List jeńca wojennego". Cała korespondencja przechodziła przez specjalne biura cenzury, w których zatrudniano ekspertów władających językami obcymi. Według oficjalnych statystyk w latach 1941-1945 Związek Sowiecki wziął do niewoli 2 388 000 jeńców niemieckich. W ręce Rosjan trafiło także 1 097 000 Włochów, Węgrów, Rumunów, Austriaków, jak również Francuzów, Belgów, Holendrów i innych. Do tego należy doliczyć 600 tysięcy Japończyków. W momencie zawieszenia broni łączna liczba jeńców przekroczyła 4 miliony. Liczba ta nie obejmuje cudzoziemców, którzy trafili do obozów sowieckich w trakcie marszu Armii Czerwonej przez Europę. Podążające tuż za wojskami jednostki NKWD wyszukiwały własnych więźniów.

Aresztowano osoby oskarżone o przestępstwa wojenne, uznane za szpiegów (nawet jeśli działały na zlecenie rządów państw sprzymierzonych), wszystkich, którzy wydawali się z jakichś powodów antysowieccy lub po prostu nie spodobali się oficerom tajnej policji.

Aresztowania objęły bardzo szerokie grupy ludności, zwłaszcza w krajach środkowoeuropejskich, w których Sowietci zamierzali pozostać po wojnie.

W Budapeszcie niemal od razu zamknięto około 75 tysięcy cywilów.

Wysłano ich do tymczasowych obozów na Węgrzech, a następnie do Gułagu, gdzie dołączyli do setek tysięcy węgierskich jeńców wojennych.

Niemal każdy mógł zostać aresztowany. Wśród złapanych w Budapeszcie Węgrów był na przykład szesnastoletni podówczas Bien. Razem z ojcem zamknięto go za posiadanie radia. Jednocześnie oficerowie NKWD

aresztowali Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomatę, który osobiście uratował tysiące węgierskich Żydów przed deportacją do niemieckich obozów koncentracyjnych. Prowadząc swoje negocjacje, Wallenberg często kontaktował się z władzami III Rzeszy i zachodnimi przywódcami.

Pochodził z bogatej i szanowanej szwedzkiej rodziny. Dla NKWD były to wystarczające powody, aby mu nie ufać. Aresztowano go w styczniu 1945

roku razem z szoferem. Obydwaj przypadli bez wieści gdzieś w sowieckich więzieniach. Wallenberga zarejestrowano jako "jeńca wojennego". Przez całe lata dziewięćdziesiąte władze szwedzkie usiłowały wyświecić losy swojego dyplomaty. Bezskutecznie. Wydaje się prawdopodobne, że zmarł w trakcie przesłania lub został zabity wkrótce po aresztowaniu. W Polsce NKWD podążało śladami dowódców Armii Krajowej. Aż do 1944

roku członkowie tej organizacji prowadzili partyzancką wojnę z Niemcami. Kiedy

jednak Armia Czerwona przekroczyła dawną granicę Polski, wojska NKWD przechwyciły i rozbroiły jednostki partyzanckie AK, a następnie aresztowały jej przywódców. Niektóre z oddziałów ukryły się w lasach i kontynuowały walkę do drugiej połowy lat czterdziestych. Pozostałych bądź rozstrzelano, bądź deportowano. W obozach Gułagu i wsiach przesiedleńczych skończyły kolejne dziesiątki tysięcy Polaków, zarówno partyzantów, jak i cywilów. Represje nie ominęły żadnego z okupowanych krajów. Wspominałam już o tym, co działo się w krajach bałtyckich i na Ukrainie, podobnie było w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, a przede wszystkim w Niemczech i Austrii. NKWD wyciągnęło wszystkich odnalezionych w bunkrze Hitlera, kiedy do Berlina wtargnęły oddziały Armii Czerwonej. Trafili do Moskwy na przesłuchania, podobnie zresztą jak dalecy krewni Hitlera w Austrii. Wśród nich była jego kuzynka, Mana Koopensteiner, której Hitler przesłał niegdyś pewną kwotę pieniędzy. Wraz z nią

aresztowano męża, braci i jednego z bratanków. Żadne z nich od 1906

roku nie

widziało Hitlera na oczy. Wszyscy mieli jednak umrzeć w Związku Sowieckim.

W Dreźnie NKWD zamknęło Johna Noble'a, obywatela amerykańskiego, który w czasie wojny przebywał w Niemczech wraz z ojcem, z pochodzenia Niemcem

w areszcie domowym. Noble powrócił do Stanów ponad dziewięć lat później.

Znaczną część tego czasu spędził w obozie w Workucie, gdzie towarzysze więzienni wołali na niego "Amierikaniec". Znaczna część osób zgarniętych w wojennym zamęcie trafiła w końcu do obozów dla jeńców lub wprost do Gułagu. Nigdy nie było w pełni jasne, czym różniły się te dwie instytucje, albowiem mimo iż teoretycznie rządziły nimi zupełnie różne aparaty biurokratyczne, podobieństwa były bardzo duże. Niekiedy Gułag tworzył specjalne łagpunkty dla jeńców wojennych, w których pracowali oni ramię w ramię ze zwykłymi więźniami. Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn NKWD czasami wysyłało jeńców wojennych bezpośrednio do łagrów. Pod koniec wojny racje żywnościowe jeńców i przebywających w więzieniach

kryminalistów były niemal identyczne, podobnie zresztą jak baraki, w których żyli, i prace, jakimi się zajmowali. Jeńcy, niczym zeki, pracowali na budowach, w kopalniach, fabrykach oraz przy budowie dróg i linii kolejowych. I tak jak zeki lepiej wykształceni z nich znaleźli pracę w

"szarazkach", przy projektowaniu nowych samolotów wojskowych. Do dzisiaj mieszkańcy niektórych dzielnic Moskwy z dumą opowiadają o swoich domach, wykończonych w wyższym standardzie przez pedantycznych jeńców niemieckich. Jeńcy poddawani też byli -jak pozostali więźniowie - "edukacji politycznej" w stylu sowieckim. W 1943

roku NKWD zaczęło organizować w obozach dla jeńców

"antyfaszystowskie" szkółki i kursy. Kursy miały na celu przekonanie ich uczestników do podjęcia "bitwy o demokratyczną rekonstrukcję ich kraju i wyrwanie z korzeniami pozostałości faszyzmu" po

powrocie do Niemiec, Austrii, Rumunii i na Węgry. Mieli oni przygotować grunt pod sowiecką dominację. Rzeczywiście wielu byłych niemieckich jeńców wojennych zaciągnęło się do szeregów nowej policji w komunistycznych Niemczech Wschodnich. Ale nawet tych, którzy wykazywali nową lojalność, nie czekał szybki powrót do domu. Wprawdzie Związek Sowiecki już w czerwcu 1945 roku zwolnił 225 tysięcy więźniów, głównie rannych lub chorych, a kolejne transporty od tej pory stopniowo powracały do domu, pełna repatriacja jednak zajęła ponad dekadę. W dniu śmierci Stalina w 1953 roku w obozach pozostawało jeszcze 20 tysięcy jeńców. Sam Stalin, przekonany o efektywności państwa niewolniczego, traktował pracę jeńców jako formę reparacji wojennych i uważał tak długą niewolę za w pełni usprawiedliwioną. Przez lata czterdzieste i pięćdziesiąte - a jak dowodzi tego sprawa Wallenberga nawet dużo dłużej - władze sowieckie ukrywały istnienie cudzoziemskich więźniów. Uwalniano ludzi, kiedy to było wygodne, z reguły jednak wypierano się ich istnienia. W

październiku 1945 roku Beria zwrócił się do Stalina z prośbą o złożenie podpisu pod decyzją zwolnienia jeńców węgierskich przed zbliżającymi się wyborami na Węgrzech. Beria sugerował, że skoro Amerykanie i Brytyjczycy zwolnili jeńców, Związek Sowiecki będzie wyglądał bardzo źle, jeśli również tego nie zrobi. Mgła okrywała całą sprawę przez dekady.

Przez kilka lat tuż po wojnie wysłannicy z całego świata zasypywali Moskwę listami nazwisk swoich obywateli, zaginionych w czasie zajmowania Europy przez Armię Czerwoną, a także przetrzymywanych w obozach jenieckich i łagrach. Nie było łatwo udzielić w tej kwestii odpowiedzi, zwłaszcza że samo NKWD często nie miało pojęcia, jakie były losy tych osób. W końcu władze sowieckie powołały do życia specjalne komisje, które miały sprawdzić, ilu cudzoziemców znajduje się jeszcze w więzieniach i rozpatrzyć ich ewentualne zwolnienia.

Rozwikłanie złożonych spraw zajęło całe lata. Jacques Rossi, francuski komunista urodzony w Lyonie, zesłany do obozu po kilku latach pracy jako nauczyciel w Moskwie, jeszcze w 1958 roku próbował dostać się do domu. Z początku odmówiono mu wizy na wyjazd do Francji, następnie do Polski - w której, jak tłumaczył przedstawicielom władz - mieszkało jego rodzeństwo. Z drugiej

władze, niekiedy zupełnie nieoczekiwanie, pozbywały się wszystkich obiekcji i pozwalały na repatriację. W pewnym momencie, w 1947 roku, u szczytu powojennej klęski głodu, NKWD niespodziewanie zwolniło kilkaset tysięcy jeńców wojennych. Nie było żadnego wyjaśnienia politycznego: rząd sowiecki doszedł najwyraźniej do wniosku, że nie ma wystarczająco dużo żywności, aby utrzymać ich

przy życiu. Repatriacje nie przebiegały tylko w jedną stronę. Pod koniec wojny wielu mieszkańców Europy Zachodniej znalazło się na terenie Rosji, jednak równie wielu Rosjan w Europie. Wiosną 1945 roku poza granicami Związku Sowieckiego było ponad 6,5 miliona jego obywateli.

Byli wśród nich żołnierze wzięci do niewoli

i przetrzymywani w obozach nazistowskich, ale też ludzie pracujący w obozach

pracy niewolniczej w Austrii i Niemczech. Nieliczni kolaborowali z Niemcami

w czasie okupacji i wycofali się wraz z wojskami. Niemal 150 tysięcy stanowili

własowcy - żołnierze sowieccy walczący przeciwko Armii Czerwonej pod dowództwem generała Andrieja Własowa, oficera rosyjskiego, który zwrócił się przeciwko Stalinowi, aby walczyć u boku Hitlera. Byli też inni żołnierze, którzy zaciągnęli się do Wehrmachtu - wielu nie było nawet obywatelami sowieckimi. Byli

także rozrzućeni po całej Europie (zwłaszcza w Jugosławii) imigranci antykomunistyczni, na przykład Białorusini, którzy przegrali walkę z bolszewikami i osiedlili się na Zachodzie. Stalin chciał, aby wrócili - nikt nie mógł uciec władzy sowieckiej. W końcu udało mu się ich dopaść.

Wśród wielu kontrowersyjnych decyzji, jakie Roosevelt, Churchill i Stalin podjęli na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku, była zgoda na repatriowanie wszystkich obywateli sowieckich znajdujących się poza krajem, bez względu na koleje ich losu. Wprawdzie podpisane w Jałcie protokoły nie pozwalały aliantom zmuszać obywateli sowieckich do powrotu wbrew ich woli, ale tak naprawdę właśnie tak było. Niektórzy jednak chcieli wrócić do domu. Leonid Sitko jako czerwononoarmista spędził sporo czasu w obozie nazistowskim, po powrocie czekała go jeszcze długa odsiadka w obozie sowieckim. Miotają nim sprzeczne uczucia, ale w końcu podjął decyzję, że jednak wraca:

„Były cztery drogi - były cztery kraje, W trzech panował pokój i dostatek. Wiedziałem, że w czwartym niszczą liry poetów, A mnie zapewne zabiją.

I cóż się stało?

Tym trzem krajom

Powiedziałem: do licha z wami!

I wybrałem ojczyste strony”.

Inni obawiali się tego, co mogło na nich czekać. Do powrotu bynajmniej nie

przekonywali ich oficerowie NKWD docierający do rozrzuconych po całej Europie obozów jenieckich i przejściowych. Przeczesywali oni obozy w poszukiwaniu

Rosjan, roztaczając przed nimi bajeczne wizje przyszłości. Utrzymywali, że

wszystkie winy zostaną wybaczone: "Teraz uważamy was za prawdziwych obywateli sowieckich, nie zwracamy uwagi na to, że zmuszono was do wstąpienia w szeregi armii niemieckiej". Niektórzy oczywiście nie chcieli wracać, zwłaszcza ci, którzy mieli już okazję poznać mroczną stronę sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. "W

Ojczyźnie dosyć miejsca dla wszystkich" - powiedział w przemówieniu do sowieckich żołnierzy w

obozie Yorkshire attache wojskowy w Wielkiej Brytanii. "Wiemy, gdzie na nas czekają" - odparł jeden z żołnierzy. Mimo to oficerowie alianccy otrzymali rozkazy, aby wysłać wszystkich Rosjan do kraju i wykonali je. W Fort Dix, w New Jersey, 145 jeńców sowieckich pochwycionych w niemieckich mundurach zabarykadowało się w barakach, aby uniknąć odesłania do domu. Kiedy żołnierze amerykańscy wpuścili do budynków gaz łzawiący, ci - którzy jeszcze nie popełnili samobójstwa - ruszyli do ataku z pałkami i nożami kuchennymi, raniąc kilku Amerykanów. Później powiedzieli, że chcieli sprowokować żołnierzy, aby ich zastrzelili. Zdecydowanie bardziej drastyczne były wypadki, w których udział brały kobiety i dzieci. W maju 1945 roku wojska brytyjskie, działając (jak im powiedziano) według rozkazów samego Churchilla, przeprowadziły repatriację 20 tysięcy Kozaków, mieszkających podówczas w Austrii. Byli to dawni partyzanci antybolszewicy; niektórzy z nich przyłączyli się do Hitlera, by walczyć ze Stalinem, wielu opuściło Rosję tuż po rewolucji październikowej i nie miało już sowieckich paszportów. Po wielu dniach i licznych obietnicach Brytyjczykom udało się wyprowadzić Kozaków w pole. Zaprosili ich na

"konferencję", po czym przekazali wojskom sowieckim. Następnego dnia otoczono ich rodziny. Doszło do wyjątkowo dramatycznych incydentów.

W obozie koło Linzu żołnierze brytyjscy bagnetami i kolbami karabinów zapędzili tysiące kobiet i dzieci do wagonów, które miały zabrać ich do Związku Sowieckiego. Kobiety wolały rzucić się z dziećmi z mostów, niż wracać. Jeden z mężczyzn zabił żonę i dzieci, ułożył ich ciała na trawie, po czym popełnił samobójstwo. Kozacy doskonale wiedzieli, że po powrocie czeka na nich pluton egzekucyjny albo Gułag. Podejrzenia mogły paść nawet na tych, którzy wrócili do domu z własnej woli. Bez względu na to, czy ludzie opuszczali Związek Sowiecki przymusowo czy nie, kolaborowali czy też zostali wzięci do niewoli, wrócili dobrowolnie czy też pod przymusem w wagonach bydlęcych, przy przekraczaniu granicy wręczano im do wypełnienia formularz z pytaniem, czy współpracowali z wrogiem. Tych, którzy się do tego przyznali lub wyglądali podejrzanie, zatrzymywano do dalszego dochodzenia w obozach filtracyjnych. Było wśród nich wielu jeńców, którzy wiele odcierpieli już w obozach niemieckich. Założone na początku wojny obozy filtracyjne wyglądały bardzo podobnie do obozów Gułagu, a ich otoczeni drutem kolczastym więźniowie byli takimi samymi robotnikami przymusowymi. W rzeczy samej NKWD celowo utworzyło wiele tego typu obozów w pobliżu ośrodków przemysłowych. Dzięki temu

"podejrzani", oczekując na rozpatrzenie swojej sprawy, mogli przysłużyć się Związkowi Sowieckiemu darmową pracą. W okresie od 27 grudnia 1941 roku do 1 października 1944 roku NKWD prowadziło śledztwa w sprawie 421 199 osób zatrzymanych w obozach filtracyjnych.

W maju 1945 roku pozostawało w nich, pracując pod przymusem, ponad 160 tysięcy zatrzymanych. Ponad połowa zajmowała się wydobywaniem węgla. W styczniu 1946 roku NKWD zlikwidowało te obozy.

Jednocześnie rozpoczęto dochodzenia w sprawie kolejnych 228 tysięcy repatriantów. Wielu z nich skończyło w Gułagu. Nawet wśród jeńców zdarzały się wyjątki. NKWD, szafując wyrokami, skazywało sowieckich robotników przymusowych i byłych jeńców wojennych, czyli osoby, które tak naprawdę nie popełniły żadnego przestępstwa. Być może dlatego władze postanowiły wyznaczyć nowy rodzaj wyroku dla przestępców wojennych - ludzi, którzy naprawdę dopuścili się zbrodni. Już w kwietniu 1943 roku Rada Najwyższa przyznała, że Armia Czerwona, wyzwalała terytorium

sowieckie, natrafiła na "akty niesłychanego bestialstwa i przerażającej przemocy, których dopuszczali się niemieckie, włoskie, rumuńskie, węgierskie i fińskie faszystowskie

bestie, agenci hitlerowscy oraz szpiegowie i zdrajcy w szeregach ludu sowieckiego". W efekcie NKWD podjęło decyzję, że skazani za zbrodnie wojenne przestępcy ukarani zostaną wyrokami 15, 20 lub 25 lat w specjalnych łagpunktach.

Tworzono je naprędce w Norylsku, Workucie i na Kołymie, trzech najokrutniejszych obozach na północy kraju. Z wielką finezją językową i ironicznym wyczuciem historii, wskazującym na osobiste zaangażowanie Stalina, NKWD określiło te łagpunkty terminem katorgi, znanym z historii carskiej Rosji. Nie było to przypadkowe. W tym samym czasie odżyło też wiele innych pojęć używanych za czasów carskich. Odnosiły się do wielu sfer życia sowieckiego (między innymi reaktywowano szkoły kadetów).

W danym wypadku miało to służyć jasnemu rozróżnieniu nowego rodzaju kary, dla nowego rodzaju niereformowalnych, groźnych więźniów. W

przeciwieństwie do zwykłych przestępców skazanych na kary w obozach pracy poprawczej Gułagu katorżnicy nawet teoretycznie, nie mogli liczyć na resocjalizację lub odkupienie win. Sprawa ta wywołała pewną konsternację. Bolszewicy walczyli przeciwko katordze, a teraz po latach sami ją przywracali, niczym Orwellovskie świnie z „Folwarku zwierzęcego”, które najpierw zakazały alkoholu, a później same opijały się whisky. Reaktywacja katorgi zbiegła się w czasie z momentem, kiedy świat zaczął odkrywać prawdę o niemieckich obozach koncentracyjnych.

Może też dlatego generał Nasiedkin, wojenny komendant Gułagu, zabrał

się do opisania dziejów carskiej katorgi i przekazał swoje prace Berii na jego wyraźne żądanie. Usiłował między innymi wyjaśnić różnice między bolszewicką katorgą, carską katorgą a funkcjonującymi na Zachodzie formami kar:

„W warunkach sowieckiego państwa socjalistycznego kara katorgi -

zesłanie połączone z przymusem pracy - oparta jest na innych zasadach niż w przeszłości. W Rosji carskiej i w państwach burżuazyjnych ten ciężki rodzaj kary za przestępstwa kryminalne orzekano wobec najbardziej postępowych elementów społecznych [...], gdy w naszej rzeczywistości katorga pozwala zredukować nadmiernie wysoką liczbę wyroków śmierci a stosuje się ją wobec wrogów szczególnie niebezpiecznych”. Kiedy spojrzymy, jaka była praktyka, możemy się zastanawiać, czy niektórzy katorżnicy nie woleliby dostać kary śmierci. Wszyscy skazani na katorgę byli oddzieleni od pozostałych więźniów wysokim płotem. Przydzielano im inne stroje - pasiaki z przyszytymi do pleców numerami. Na noc zamykano ich w barakach z okratowanymi oknami. Pracowali dłużej niż zwykli więźniowie – przynajmniej przez dwa pierwsze lata odbywania kary przysługiwało im mniej dni wolnych od pracy. Byli bardzo dokładnie pilnowani - do każdego dziesięciu więźniów przypisanych było dwóch strażników, a w każdym obozie trzymano przynajmniej pięć psów.

Katorżników nie wolno było przenosić do innych obozów bez specjalnego zezwolenia wydawanego tylko przez zarząd Gułagu w Moskwie. Mieli oni stać się podporą nowego przemysłu sowieckiego.

W 1944 roku wśród różnych osiągnięć ekonomicznych NKWD szczyliło się produkcją 100

procent

sowieckiego uranu. "Nie było trudno - pisała historyk, Galina Iwanowa -

domyślić się, kto wydobywał i przetwarzał radioaktywną rudę". To właśnie więźniowie i żołnierze zbudowali po wojnie pierwszy sowiecki reaktor jądrowy w Czelabińsku. "W tym czasie cały plac budowy był

czymś na kształt obozu" – wspomina jeden z robotników. Na miejscu postawiono specjalnie "fińskie" domki dla niemieckich specjalistów zmuszonych do pracy nad projektem. Bez wątplenia w szeregach katorżników znalazło się wielu prawdziwych kolaborantów i zbrodniarzy wojennych, wśród nich byli też odpowiedzialni za wymordowanie setek tysięcy Żydów sowieckich. Mając na myśli tego typu ludzi, Simion Wileński, były więzień Kołymy, przestrzegł mnie kiedyś przed zbytnią wiarą w niewinność więźniów Gułagu. „Wiele osób, które siedziały w więzieniach tak czy inaczej powinno w nich siedzieć, bez względu na ustrój panujący w kraju. Więźniowie z reguły trzymali się z dala od przestępców wojennych, niekiedy zdarzało się nawet, że atakowali ich i bili”. Tak czy inaczej, niewiele spośród 60 tysięcy osób skazanych na katorgę w 1947 roku dostało wyroki oparte na oczywistych jednoznacznych oskarżeniach. Wśród nich byli na ogół Bałtowie, Polacy i Ukraińcy walczący w szeregach partyzantki antysowieckiej. Z reguły, zanim zwrócili się przeciwko Armii Czerwonej, walczyli z Niemcami, wierząc, że w ten sposób przyczynią się do wyzwolenia swojego narodu.

Według dokumentu poświęconego nieletnim katorżnikom, który w 1945

roku otrzymał Beria, wśród partyzantów znalazł się między innymi niejaki Lewczuk, oskarżony o przyłączenie się do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, jednej z dwóch głównych grup zbrojnej partyzantki antysowieckiej na Ukrainie. Pod rozkazami OUN "brał udział w mordowaniu niewinnych cywilów, rozbijaniu oddziału Armii Czerwonej i przejmowaniu jego własności". W chwili aresztowania, w 1945 roku, Lewczuk miał piętnaście lat. Kolejną "zbrodniarką wojenną" była szesnastoletnia w momencie aresztowania Jarosława Krutigołowa, która służyła w OUN jako pielęgniarka. NKWD

aresztowało również Niemkę z pochodzenia, która służyła w sowieckim oddziale

partyzanckim jako tłumaczka. Dowiedziawszy się, że została aresztowana za

"wspieranie i pomoc wrogowi", jej dowódca złożył zeznania w jej obronie. Dzięki

temu dostała wyrok 10, a nie 25 lat katorgi. Wśród katorżników znalazł się też Aleksandr Klein, wzięty do niewoli przez Niemców oficer Armii Czerwonej, któremu udało się zbiec i powrócić do swojej dywizji. W

swoich wspomnieniach opisuje przesłuchanie, jakiemu poddano go po powrocie: „Major gwałtownie wstał i zapytał: "Czy możecie udowodnić, że jesteście Żydem?". Uśmiechnąłem się zawstydzony i

powiedziałem, że mogę tego dowiedzieć, tylko zdejmując spodnie.

Major spojrział na Sorokina i znowu odwrócił się w moją stronę. "I chcecie powiedzieć, że Niemcy nie wiedzieli, że jesteście Żydem?".

Jeśli o tym wiedzieli, wiercie, że nie stałbym teraz tutaj".

"O ty, żydowska mordo" - krzyknął dandys i kopnął mnie w dół brzucha tak mocno, że straciłem oddech i upadłem. "Co to za kłamstwa? Przyznaj się, skurwysynu, z jaką misją cię tu przysłano? Kto z tobą współpracuje?"

Kiedy się sprzedałeś? Za ile? Na ile siebie wyceniasz? Jaki jest twój kryptonim?". W wyniku tego przesłuchania Klein został początkowo skazany na śmierć. Wyrok odroczone, a następnie zamieniono na 25 lat katorgi. "Do obozów trafiali ludzie wszelkiego autoramentu, zwłaszcza po wojnie - pisała po latach Hawa Wołowicz. Wszyscy jednak cierpieliśmy tak samo, dobrzy i źli, winni i niewinni". Podczas wojny miliony cudzoziemców znalazły się w Gułagu wbrew swojej woli, był

jednak

przynajmniej jeden obcokrajowiec, który dotarł tam na własne życzenie.

Wojna

wywołała kolejne paroksyzmy antycudzoziemskiej paranoi na najwyższych szczeblach

władzy sowieckiej. Ale to właśnie dzięki wojnie Gułag odwiedził - po raz pierwszy i zarazem ostatni - jeden z czołowych polityków amerykańskich.

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Henry Wallace odbył podróż na Kołymę w maju

1944 roku, nie zdając sobie do końca sprawy z tego, że odwiedza gigantyczne

więzienie. Wallace złożył tę wizytę u szczytu wojennej przyjaźni sowiecko-amerykańskiej, w najlepszym okresie przymierza, kiedy to prasa amerykańska

zwykła była nazywać Stalina "Wujkiem Joe". Być może był to powód, dla którego

Wallace bardzo przychylnie spoglądał na Związek Sowiecki. Jego wszystkie teorie

znalazły potwierdzenie na Kołymie. Po przybyciu Wallace zauważył wiele analogii

między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Obydwa państwa były wielkimi i

"nowymi" krajami, nie obciążonymi arystokratycznym balastem europejskiej przeszłości. Jak

zwierzył się gospodarzom, w myślach porównywał Daleki Wschód Rosji z Dzikim Zachodem.

"Potężne przestrzenie waszego kraju, jego dziewicze lasy, szerokie

rzeki i olbrzymie jeziora, niewyczerpane bogactwa i wszystkie odmiany klimatu, od tropikalnego po polarny, przypominają mi moją ojczyznę". Zachwyciły go nie tylko krajobrazy, ale przede wszystkim potęga przemysłowa narodu.

Przewodnikiem

Wallace'a po Magadan, głównej metropolii Kołymy, był całkowicie skorumpowany, opływający w dostatki szef Dalstroju, Nikiszow. Wallace uznał go, starszego rangą oficera NKWD, za swoisty odpowiednik amerykańskich kapitalistów: "Rządzi

wszystkim dookoła. Mając do dyspozycji zasoby Dalstroju, jest milionerem".

Wallace, zafascynowany "anegdotami" nowego przyjaciela o tajdze, "z całych sił radował się wspaniałą atmosferą". W pamięci utkwiała mu także opowieść o początkach Dalstroju: "Musieliśmy ciężko się napracować, aby to miejsce ożyło.

Dwanaście lat temu przybyli tu pierwsi osadnicy. Zbudowali osiem domów z prefabrykatów. Dzisiaj Magadan liczy 40 tysięcy mieszkańców, wszyscy żyją

w porządnym budynkach". Nikiszow oczywiście zapomniał dodać, że

"pierwsi

osadnicy" byli więźniami, i że większość liczącego 40 tysięcy mieszkańców

miasta to wysiedleńcy, którym zabroniono opuszczać te tereny. Wallace był równie nieświadomy faktu, że niemal wszyscy tamtejsi robotnicy są więźniami.

Pisał z uznaniem o kołymskich kopaczach złota jako "wielkich, krzepkich młodych mężczyznach", wolnych robotnikach, pracujących zdecydowanie ciężiej niż dawni

więźniowie polityczni, którzy w mniemaniu Wallace'a zamieszkiwali za czasów

carskich Daleką Północ. "Ludu Syberii nikt nie zmusza do pracy, to po prostu

dzielna, pełna życia rasa". O taki dokładnie wizerunek chodziło szefom Dalstroju. Z raportu, jaki później złożył Berii Nikiszow, wynika, że Wallace

poprosił o pokazanie mu łagru, czego jemu jednak odmówiono. Nikiszow zapewnił

swoich przełożonych, że jedyni robotnicy, jakich miał okazję zobaczyć Wallace

, nie byli więźniami. Na ogół byli to członkowie Komsomołu, komunistycznej

organizacji młodzieżowej, którym rozdano stroje górnicze i gumki na kilka

minut przed przybyciem gościa. Doskonale wiedzieli, w jaki sposób odpowiadać na jego pytania. "Rozmawiałem z niektórymi" - pisał później Wallace - bardzo chcieli, żeby ich kraj wygrał wojnę". Wallace miał

okazję spotkać też prawdziwych więźniów, mimo iż nie zdawał sobie z tego sprawy. Byli to muzycy i śpiewacy, którzy występowali przed nim na deskach teatru magadańskiego. Wielu z nich przed aresztowaniem występowało w Moskwie i Leningradzie, mimo iż gościowi powiedziano, że są to członkowie „amatorskiego chóru Armii Czerwonej”, który akurat stacjonuje w mieście. Wallace zachwycał się poziomem artystycznym amatorów, których zresztą uprzedzono, że "jeśli pisną choć słowo o tym, że są więźniami, zostaną uznani za zdrajców". Amerykanin miał też okazję podziwiać prace artystyczne więźniów. Nikiszow zabrał go na wystawę rękodzieła, tłumaczył, że prace z ekspozycji wykonała grupa

"miejscowych kobiet, które w czasie srogiej zimy regularnie zbierają się, by ćwiczyć robótki ręczne". Oczywiście wszystkie obrazy wykonały więźniarki w ramach przygotowań do wizyty Wallace'a. Kiedy gość zatrzymał się z zachwytem przed jednym z nich, Nikiszow zdjął go ze ściany i wręczył w prezencie. Ku jego miłemu zaskoczeniu do autorstwa ze skromnością przyznała się żona Nikiszowa, osławiona Gridasowa.

Później jedna z więźniarek, Wiera Ustiewa, dowiedziała się, że to jej praca

- jako jedna z dwóch - została wręczona wiceprezydentowi na pamiątkę podróży: "Nasz szef dostał list z podziękowaniami od żony wiceprezydenta. Napisała, że obrazy wiszą u niej w hallu". Wallace wspominał o prezentach w swoim pamiętniku: "Te dwa cudowne obrazy zachwycają gości mojego waszyngtońskiego domu. Ukazują piękny, sielski krajobraz Rosji". Pobyt Wallace'a zbiegł się w czasie z dotarciem

"amerykańskich podarunków" na Kołymę. Amerykański program Lend-Lease miał służyć zaopatrzeniu sprzymierzeńców Stanów Zjednoczonych w broń i sprzęt wojskowy do walki z Niemcami. Mimo iż było to sprzeczne z założeniami Amerykanów, w ramach pomocy na Kołymę dotarły traktory, ciężarówki, koparki i narzędzia. Wraz z nimi nadszedł

mocno stłumiony powiew świata zewnętrznego. Części do maszyn przysły zawinięte w stare gazety i z nich właśnie Thomas Sgovio dowiedział się o wojnie na

Pacyfiku. Do tej pory, tak jak większość więźniów, sądził, że to armia sowiecka

walczy z wrogiem, a Amerykanie dbają jedynie o jej zaopatrzenie. W

trakcie wizyty Wallace zauważył, że górnicy kołymscy (albo udający ich członkowie Komsomołu) nosili amerykańskie buty, również dostarczone w ramach programu Lend-Lease. Kiedy zwrócił uwagę, że nie były przeznaczone dla górników, gospodarze

stwierdzili, że buty zostały kupione za gotówkę. Znaczna większość wysłanych przez Stany Zjednoczone ubrań trafiła w ręce zarządców obozowych i ich żon, chociaż część wykorzystano jako kostiumy i w obozowych produkcjach teatralnych. Do więźniów dotarła część puszkowanej wieprzowiny; jedli ją z namaszczeniem, wielu nigdy wcześniej nie widziało takiego mięsa. Co więcej z pustych puszek mogli zrobić kubki, lampy oliwne, garnki, palatelnie, rury do piecyków, a nawet guziki. Więźniom trudno byłoby wyobrazić sobie, jakie zdziwienie wywołałaby ich pomysłowość w kraju, z którego pochodziły te puszki.

Nikiszow tuż przed wyjazdem Wallace'a wydał na jego cześć wystawny bankiet. Podano ekstrawaganckie potrawy, zrobione kosztem racji więźniów. Wznoszono toasty na cześć Roosevelta, Churchilla i Stalina.

Wallace wygłosił przemówienie, w którym padły znamienne słowa:

„Zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie na swój sposób szukają drogi życia, która pozwoliłaby zwyczajnym ludziom na całym świecie czerpać to, co najlepsze z dobrodziejstw współczesnej technologii. Nasze cele i dążenia nie są sprzeczne. Ci, którzy tak twierdzą, mniej lub bardziej świadomie dążą do wojny - a to w moim mniemaniu jest zbrodnią”.

ROZDZIAŁ 21

Amnestia i jej konsekwencje

„Dzisiaj żegnam ten obóz z pogodnym uśmiechem,

te druty, które wolność odcięły od roku...

czy nic też nie zostało po mnie echem,

czy nic nie wstrzyma krótko mych pospieszonych kroków?

O, nie! zostały w drutach krwawe chwile Golgoty

ciągnące się swym pasmem na smutku gdzieś krańce, zostały groby bólu i zgliszcza tęsknoty, i cichych łez ukryte przez ludźmi różańce.

Lecz wszystko upadło jak jesienne liście, gdy z

brzękiem wreszcie pękły niewoli obręcze, i dzisiaj już w mym sercu nie ma nienawiści, bo dzisiaj w

chmurze żrenic załśniły mi tęcze”.

Janusz Wedow, „Pożegnanie obozu”

SOWIECKI SYSTEM REPRESJI starano się opisywać za pomocą różnych metafor:

"maszynka do mielenia mięsa", "konwejer" itd. Jakkolwiek byśmy go nazwali, był

bezlitosny, nieubłagany i bezkompromisowy, ale również zmienny i zdolny do stałej transformacji. To prawda, że lata 1941-1943 przyniosły wielu więźniom nowe cierpienia, choroby i śmierć, ale jednocześnie wielu z nich wojna dała wolność. Amnestie, obejmujące zdrowych mężczyzn w wieku poborowym, zaczęły się

wkrótce po wybuchu wojny. Rada Najwyższa już 12 lipca 1941 roku nakazała Gułagowi zwolnienie określonych kategorii więźniów, by bezpośrednio wcielić ich

w szeregi Armii Czerwonej. Byli to "skazani za wymigiwanie się od pracy oraz

pospolite i niegroźne przestępstwa porządkowe i gospodarcze". Podobne rozkazy

wydawano wiele razy. W sumie, przez pierwsze trzy lata wojny, NKWD

zwolniło

975 tysięcy więźniów oraz setki tysięcy skazanych na zesłanie kułaków i eks kułaków. Kolejne amnestie mnożyły się, aż do ostatecznego szturm na Berlin. Na

trzy miesiące przed końcem wojny, 21 lutego 1945 roku, wydano kolejne dekrety

amnestyjne. Administracja Gułagu miała przygotować więźniów do wstąpienia do

armii najpóźniej do 15 marca. Skala amnestii miała olbrzymi wpływ na demografię obozów w okresie wojny, w konsekwencji odbiła się też na życiu tych, którzy w nich pozostali. Do obozów bez przerwy napływali nowi więźniowie, za sprawą masowych amnestii zwalniano innych, miliony kolejnych umierały (przyczyniając się do podwyższenia ponurych statystyk okresu wojny). Dane statystyczne wykazują znaczny spadek (z 1,5 do 1,2 miliona) liczby więźniów na przestrzeni 1943 roku. W tym czasie jednak przez Gułag przewinęło się jeszcze 2421 000 więźniów, część stanowili dopiero co aresztowani, inni zostali właśnie zwolnieni, niektórych przetrzucano z obozu do obozu, wielu po prostu zmarło. Mimo że każdego miesiąca do obozów przybywały setki tysięcy nowych więźniów, ogólna ich liczba od czerwca 1941 do lipca 1944 roku znacznie spadła. Wiele obozów leśnych, powołanych pośpiesznie do życia w 1938

roku - aby pomieścić falę ofiar masowych aresztowań - uległo równie szybkiej likwidacji. Pozostali więźniowie pracowali coraz to dłużej, mimo to niedobór rąk do pracy był stały. W okresie wojennym nawet wolni mieszkańcy cywilni Kołymy musieli w wolnym czasie pomagać w płukaniu złota.

Nie wszyscy więźniowie mieli szansę na opuszczenie Gułagu, rozkazy wyraźnie wykluczały z amnestii "recydywistów" - czyli zawodowych przestępców -

oraz więźniów politycznych. Odstępstw od tej zasady było stosunkowo niewiele.

Gdy uświadomiono sobie skutki strat, jakie poniosła Armia Czerwona w wyniku

aresztowania wielu wysokich stopniem oficerów pod koniec lat trzydziestych, po

sowieckiej inwazji na Polskę - również w ramach amnestii - wypuszczono garstkę

wojskowych. Wśród nich był Aleksandr Gorbatow, wezwany do Moskwy z odległego łagpunktu na Kołymie zimą 1940 roku. Gdy ujrzał Gorbatowa śledczy przypisany do jego sprawy, spojrzął na jego fotografię sprzed aresztowania i zasypał

gradem pytań. Starał się dociec, czy stojący przed nim szkielet może być rzeczywiście jednym z najbardziej utalentowanych młodych dowódców wojskowych.

"O tym, że jestem wojskowym, świadczyła jedynie bluza, którą nosiłem niezmiennie przez cały ten czas; z powodu brudu i łat trudno było określić, jakiego była

dawniej koloru. Watowane spodnie także były w łatach. Nogi, owinięte onucami,

tkwiły w kaloszach górniczych (rodzaj krótkich botów). Miałem na sobie jeszcze

watowaną kurtkę, która lśniła od brudu, i brudną czapkę z nausznikami".

Gorba-

tow został ostatecznie zwolniony w marcu 1941 roku, tuż przed atakiem niemieckim. Wiosną 1945 roku dowodził jedną z armii szturmujących Berlin.

Zwykłym żołnierzom amnestia nie gwarantowała przeżycia. Mimo iż nie znaleziono potwierdzenia tej tezy w archiwach, wielu historyków podejrzewa, że więźniowie zwolnieni z Gułagu, a potem wcielani do wojska, kierowani byli do tzw. karnych batalionów i wysyłani na najbardziej niebezpieczne odcinki frontu. Armia Czerwona była znana z szafowania życiem ludzkim, nietrudno więc sobie wyobrazić, że dowódcy chętnie poświęcali byłych więźniów. Abraham Szyfrin twierdził, że wcielono go do batalionu karnego jako syna "wroga ludu". Z jego relacji wynika, że wraz z towarzyszami został natychmiast wysłany na front, praktycznie bez broni, gdyż na pięciuset ludzi przypadało sto karabinów.

Oficerowie powiedzieli im: "Wasza broń jest w rękach nazistów - idźcie i zdobądźcie ją". Szyfrin został dwukrotnie ranny, ale był jednym z tych, którzy przeżyli. Więźniowie, którzy trafili do Armii Czerwonej, często wyróżniali się męstwem. Może to zaskakujące, ale niewielu miało coś przeciwko walce za Stalina. Ze słów Gorbatowa wynika, że nie zawahał

się ani przez chwilę przed ponownym wstąpieniem do armii. Nie miał też nic przeciwko walce pod sztandarem partii bolszewickiej, która wykluczyła go ze swego grona i przyczyniła się do jego aresztowania.

Gdy dowiedział się o inwazji niemieckiej, pomyślał, że miał dużo szczęścia, iż zwolniono go na czas, aby mógł wykorzystać swój talent ku chwale ojczyzny. Gorbatow pisze także z dumą, że broń, której używali jego żołnierze, była owocem uprzemysłowienia kraju. Nie wspomina jednak, w jaki sposób doszło do tej industrializacji. To fakt, że nie szczędzi okazji, by dać upust niechęci do oficerów politycznych -

ramienia partii w wojsku. Według niego przeszkadzali oni żołnierzom w wykonywaniu obowiązków. Raz czy dwa generał podpadł zwierzchnikom, którzy skomentowali jego zachowanie ponurym stwierdzeniem: "Za mało go tam nauczyli nad Kołymą". Niewątpliwie jednak patriotyzm i oddanie Gorbatowa były całkowicie szczerze. Wydaje się również, że wielu zwolnionych więźniów żywiło podobne uczucia, co wynika z dokumentów archiwalnych NKWD. W maju 1945 roku szef Gułagu, Wiktor Nasiedkin, opublikował wnikliwy, entuzjastyczny raport o patriotyzmie

i ducha walki byłych więźniów wcielonych do Armii Czerwonej.

Zamieścił w nim

liczne cytaty z listów przesłanych przez nich do obozów. "Po pierwsze, wiedz, że

jestem ranny, leżę w szpitalu w Charkowie - pisał jeden z więźniów. -

Broniłem

mojej ukochanej Ojczyzny, nie dbając o własne życie. Skazano mnie za uchylanie

się od pracy, ale nasza ukochana partia dała mi szansę spłacenia długu wobec społeczeństwa na froncie. Wyliczyłem, że moje kule zabiły 53

faszystów".

Inny pisał, by wyrazić swą wdzięczność: "Po pierwsze piszę, aby szczerze podziękować za moją resocjalizację. Kiedyś byłem recydywistą, uznawanym za groźnego dla społeczeństwa. Dlatego też wiele razy wtrącano mnie do więzienia, gdzie nauczyłem się pracować. Teraz Armia Czerwona zaufała mi jeszcze bardziej, nauczyła mnie, jak być dobrym dowódcą, i powierzyła mi los towarzyszy broni. Z nimi idę odważnie do boju, szanują mnie za opiekę, jaką ich otaczam,

i skrupulatność w wywiązywaniu się z postawionych przed nami zadań bojowych".

Niekiedy do komendantów obozów pisywali także oficerowie. "W czasie szturmu na Czernihów jedną z kompanii dowodził towarzysz Kolesniczenko, były więzień - pisał jego zwierzchnik - który stał się dojrzałym, kulturalnym, twardym i walecznym dowódcą". Nie zachowały się żadne statystyki, mówiące, ilu byłych więźniów dostało medale. W

dokumentach wymienionych jest tylko pięciu byłych zeków, którzy otrzymali najwyższe odznaczenie wojskowe, order Bohatera Związku Sowieckiego. Z frontu dotarło do obozów ponad tysiąc listów od byłych zeków, z których wynika, że 34 z nich przyjęto do partii komunistycznej, a 261 nagrodzono medalami. Wprawdzie trudno mówić, że jest to reprezentatywna próbka losowa, nie ma jednak powodów, aby sądzić, że w przypadku pozostałych sytuacja przedstawiała się diametralnie inaczej.

Wojna wskrzesiła ducha patriotyzmu w całym Związku Sowieckim, więźniowie nie byli tutaj wyjątkiem. Bardziej zaskakujące wydaje się to, że uczuciami patriotycznymi unosili się niekiedy także więźniowie odsiadujący wyroki. Surowszy reżim i zmniejszanie racji żywnościowych nie zamieniły wszystkich więźniów Gułagu w zagorzałych przeciwników władzy sowieckiej. Wręcz

przeciwnie, wielu z nich przyznawało w późniejszych latach, że najgorsze w czasie pobytu w obozie koncentracyjnym było to, że w 1941 roku nie mogli wyruszyć na front i walczyć. Toczyła się wojna, ich towarzysze szli do boju, a oni zostawali na tyłach, dosłownie kipiąc patriotyzmem. Z założenia uznawali wszystkich niemieckich więźniów za faszystów, wytykali strażnikom, że nie są na froncie, i bezustannie dzielili się plotkami o przebiegu działań.

Jewgienija Ginzburg tak ocenia ówczesny nastrój łagierniczek: "Gotowe wszystko zapomnieć i wybaczyć w obliczu ogólnonarodowego nieszczęścia", byle

tylko puszczono je na front. Zdarzało się, że więźniowie obozów znajdujących się w pobliżu linii frontu mieli okazję wykazać się swoim patriotyzmem. Pokrowski - były pracownik Sorokłagu, przygranicznego obozu w republice karelskiej - sporządził raport, który uznał za swój wkład w historię Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Opisał w nim wydarzenie, jakie miało miejsce w czasie pospiesznej ewakuacji obozu: „Kolumna czołgów była coraz bliżej, sytuacja stawała się krytyczna, kiedy jeden z więźniów [...] wskoczył do kabiny ciężarówki i ruszył pełnym gazem w kierunku czołgów. Bohaterski więzień zginął, rozbijając się ciężarówką o czołg - ale ten zatrzymał się i stanął w płomieniach. Droga była zablokowana, pozostałe czołgi zawróciły. Uratowało to sytuację i pozwoliło ewakuować resztę obozu”. Pokrowski wspomina także o grupie sześciuset wypuszczonych na wolność więźniów, którzy utknęli w obozie, czekając na pociąg. Z własnej woli ludzie ci rzucili się, by budować umocnienia Biełomorska:

„Zgodzili się jednogłośnie. Od razu podzielili się na brygady robocze, wyznaczając brygadierów i przodowników. Cała grupa z wyjątkowym zapałem zabrała się do pracy przy umocnieniach. Pracowali od rana do wieczora, od trzynastu do czternastu godzin dziennie przez ponad tydzień.

W zamian chcieli jedynie, by ktoś prowadził z nimi pogadanki polityczne i informował ich o sytuacji na froncie. Skrupulatnie wykonałem to zadanie”. Propaganda obozowa zachęcała do tego typu patriotyzmu i w zasadzie spotykała się ze sporym odzewem. Tak jak w całym Związku Sowieckim w obozach prowadzono kampanie plakatowe, puszczano filmy wojenne i prowadzono odczyty.

Więźniom powiedziano: "Musicie teraz pracować ciężiej, każdy wydobyty przez was gram złota, będzie policzkiem dla faszyzmu". Oczywiście trudno stwierdzić, jak duży skutek odnosiła tego typu propaganda. Z pewnością jednak zarząd Gułagu wziął

ją sobie do serca, zwłaszcza że nagle okazało się, iż jego moce produkcyjne są niezwykle istotne dla sowieckiego wysiłku wojennego. W

poświęconej resocjalizacji broszurze "Powrót do życia" oficer KWCz Łoginow napisał, że slogan: "Wszystko dla frontu i dla zwycięstwa" odbił

się "gorącym echem" w sercach ludzi pracujących w obozach Gułagu, za linią frontu. "Więźniowie, tymczasowo odizolowani od społeczeństwa, dwoili się i troili, by sprostać swoim zadaniom. Nie szczczędząc sił, pracowali w fabrykach, na budowach, przy wyrębie lasu, na polach, rzucili cały swój potencjał roboczy, by przyspieszyć zwycięstwo na froncie”. Bez wątplenia przemysł Gułagu miał swój wkład w trud wojenny. W ciągu pierwszych 18 miesięcy trwania wojny 35 "kolonii" Gułagu przekształcono w fabryki amunicji. Wiele obozów zajmujących się wycinką drewna i obróbką tarcicy produkowało skrzynki amunicyjne.

Przynajmniej 20 obozów szyło mundury, kolejne wyprodukowały w tym czasie radiostacje polowe, ponad 1,7 miliona masek przeciwgazowych i 24 tysiące moździerzy. Milion więźniów oddelegowano do budowy linii kolejowych, dróg i lotnisk. Wszędzie, gdzie nagle pojawiło się zapotrzebowanie na robotników budowlanych - nastąpiła awaria rurociągu lub trzeba było zbudować nową linię kolejową - oddawano sprawę w ręce Gułagu. Dalstroj, tak jak w przeszłości, produkował niemal całe sowieckie złoto.

Naprawdę jednak dane te i wynikająca z nich rzekoma wydajność Gułagu są

złudne. "Od pierwszego dnia wojny Gułag przestawił swój przemysł na potrzeby

frontu" - pisał Nasiedkin. Ale czy wolni robotnicy nie sprościliby lepiej tym potrzebom? W innym miejscu Nasiedkin odnotowuje, że czterokrotnie zwiększono

produkcję niektórych rodzajów amunicji. O ile jednak więcej amunicji mogliby

wyprodukować przepełnieni patriotyzmem więźniowie, gdyby pozwolono im pracować w normalnych fabrykach? Tysiące ludzi, którzy mogli walczyć na froncie,

pilnowały siły roboczej w obozach. Tysiące enkawudzistów bezustannie aresztowało i wypuszczało na wolność nieszczęsnych Polaków. Też mogli być bardziej przydatni. Z jednej strony Gułag miał swój udział w trudzie wojennym, z drugiej

jednak przyczyniał się do jego osłabienia. Gorbатов i inni wojskowi nie stanowili jedyne go odstępstwa od zasady, że amnestie nie obejmowały więźniów politycznych. Wbrew temu, co twierdzili oficerowie NKWD w czasie aresztowania, Polacy nie zostali wysiedleni w odległe rejony Związku Sowieckiego na stałe. Miesiąc po rozpoczęciu przez Niemców operacji "Barbarossa", 30 lipca 1941 roku, premier polskiego rządu na uchodźstwie, generał Sikorski, podpisał w Londynie traktat z ambasadorem sowieckim Majskim. Na jego mocy Związek Sowiecki uznawał istnienie państwa polskiego, bez określania jego przyszłych granic, oraz udzielił amnestii "wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium Związku Sowieckiego".

Zwalniano zarówno więźniów Gułagu, jak i przesiedleńców. Pozwolono im wstąpić do mającej powstać na sowieckiej ziemi Armii Polskiej. Jej dowódcą miał zostać generał Władysław Anders przetrzymywany przez dwadzieścia miesięcy w więzieniu na Łubiance. Zakomunikowano mu o tym na zupełnie niespodziewanej audiencji u Berii. Po spotkaniu Anders opuścił więzienie w limuzynie NKWD, ubrany w spodnie i koszulę, ale bez butów. Wielu Polaków sprzeciwiało się użyciu przez Sowietów terminu "amnestia" na określenie przywrócenia wolności zupełnie niewinnym ludziom. Nie był to jednak najlepszy czas na przepychanki słowne, gdyż stosunki między nowymi "sprzymierzeńcami" były dosyć niestabilne. Władze sowieckie nie brały na siebie żadnej odpowiedzialności moralnej za "żołnierzy" nowej armii, znajdujących się w potwornym stanie zdrowia, nie zapewniły też Andersowi wsparcia ani odpowiedniej

aprowizacji. "Jesteście Polakami - niech Polska was wykarmi" - usłyszeli polscy

oficerowie. Komendanci niektórych obozów odmawiali wypuszczenia Polaków

na wolność. Gustaw Herling-Grudziński jeszcze w listopadzie 1941 roku przebywał w obozie. Zdając sobie sprawę, że jeśli nie zostanie zwolniony, nie wytrzyma

do wiosny, podjął głodówkę protestacyjną. Tylko dzięki temu pozwolono mu opuścić łagier. Kilka miesięcy po ogłoszeniu amnestii władze sowieckie dodatkowo skomplikowały sprawę, dowodząc, że nie dotyczy ona obywateli polskich, a jedynie rdzennych Polaków. Ukraińcy, Białorusini i Żydzi mieli pozostać w Związku Sowieckim. W rezultacie doszło do licznych spięć. Wielu przedstawicieli mniejszości etnicznych usiłowało wydostać się na wolność, podając się za Polaków. Prawdziwi Polacy demaskowali ich w obawie, że zostaną ponownie aresztowani, kiedy tylko wyjdzie na jaw fałszywa narodowość ich towarzyszy.

Pasażerowie polskiego pociągu ewakuacyjnego jadącego do Iranu próbowali pozbyć się z niego grupy Żydów w obawie, że pociąg z

"niepolskimi" pasażerami nie uzyska zgody na przejazd przez granicę.

Wielu Polaków zwalniano z obozów i osiedli dla przesiedleńców bez grosza przy duszy i jakichkolwiek informacji dotyczących tego, gdzie mają się udać. Jeden z byłych więźniów wspominał: "Przedstawiciele władz sowieckich w Omsku nie chcieli nam pomóc; wyjaśnili, że nie wiedzą nic o powstającej armii polskiej, zaproponowali nam, abyśmy poszukali pracy w pobliżu Omska". Oficer NKWD wręczył Herlingowi-Grudzińskiemu listę miejsc, w których mógłby ubiegać się o prawo stałego pobytu. "O wojsku polskim nie było mowy". Kierując się przypadkowymi informacjami, uwolnieni Polacy podróżowali wzdłuż i wszerz Związku Sowieckiego, szukając swego wojska.

Wysiedlonej na północ Rosji rodziny Stefana Waydenfelda nie poinformowano

o istnieniu polskiej armii, nie zaoferowano jej również żadnego środka transportu, po prostu powiedziano, że są wolni i mogą wyjechać. Aby wydostać się z odległej osady, zbudowali tratwę, na której spłynęli w dół

rzeki, w kierunku "cywilizacji" - miasta, gdzie była stacja kolejowa. Ich tułaczka skończyła się kilka miesięcy później, na południu Kazachstanu, w Czymkencie. Stefan spotkał tam w kawiarni dawną koleżankę ze szkoły, która w końcu powiedziała mu, gdzie może znaleźć polską armię.

Okrężnymi drogami były zeki i ich deportowane żony oraz dzieci powoli docierali do rozrzuconych po kraju posterunków i Kujbyszewa - siedziby polskiej ambasady. Na miejscu z radością ponownie odnajdowali

"Polskę". Kazimierz Zaród pisał: "Ze wszystkich stron otaczała mnie polska mowa i znajome polskie twarze. Spotkałem wielu starych znajomych. Ludzie wiwatowali i skakali z radości, witając się uściskami i całusami". W dniu przybycia generała Andersa Janusz Wedow ułożył

wiersz zatytułowany Powitanie Wodza:

„Ach, serce! Znowu bijesz tak mocno, radośnie,

Myślałem, żeś zakrzepło, umarło gdzieś przy mnie”.

W ciągu kilku miesięcy optymizm nieco osłabł. Armii brakowało jedzenia,

leków i sprzętu - słowem wszystkiego. Większość żołnierzy była chora, zmęczona i wygłodniała, ludzie ci potrzebowali pomocy i leczenia. Jeden z oficerów

przypominał sobie przerażenie, jakie go ogarnęło: "Widziałem, co się naokoło

dzieje, patrzyłem na tę falę ludzką, rzucającą trudne, ale przecież już

"zasiedziane" miejsca wygnania lub zesłania, widziałem tych ludzi na wygłodniałych terenach uzbeckich, skupiających się koło wojska niedożywionego i zżartego epidemiami, na to tylko, by z tym wojskiem przeżyć razem każdą dobrą czy złą chwilę". Stosunki z władzami sowieckimi również nie układały się najlepiej. Na porządku dziennym były niespodziewane aresztowania rozrzuconych po kraju pracowników ambasady polskiej. W obawie przed pogorszeniem się sytuacji w marcu 1942 roku generał Anders zmienił swoje plany. Zamiast pomaszerować ze swoimi oddziałami na zachód, ku liniom frontu, uzyskał zgodę na ewakuowanie ich ze Związku Sowieckiego. Było to potężne przedsięwzięcie: w pociągach do Iranu

znalazły się w sumie 74 tysiące żołnierzy i 41 tysięcy cywilów, wśród nich wiele

dzieci. Pośpiech Andersa spowodował, że w ZSRS pozostało wielu Polaków. Razem

z nimi zostali ich byli współobywatele: Ukraińcy, Białorusini i Żydzi.

Niektórzy

wstąpili w szeregi tzw. Dywizji Kościuszkowskiej, polskiej jednostki Armii Czerwonej. Inni doczekali się repatriacji po wojnie. Wielu jednak nigdy nie powróciło z Sowietów. Ich potomkowie do dzisiaj żyją w czysto polskich społecznościach w Kazachstanie i na północy Rosji. Ci, którzy ruszyli za Andersem, mogli walczyć. Po odpoczynku w Iranie armia ruszyła przez Palestynę, aby przyłączyć się do sił alianckich w Europie.

Przeformowana w II Korpus wzięła udział w bitwie pod Monte Cassino i w dalszych walkach we Włoszech. W czasie wojny polscy cywile, którzy wydostali się z ZSRS, rozproszyli się po całym Imperium Brytyjskim.

Dzieci trafiły do sierocińców w Indiach, Palestynie i Afryce Południowej.

Większość nigdy nie powróciła do okupowanej przez Sowietów powojennej Polski. Świadectwem tego są liczne, istniejące do dziś kluby, towarzystwa historyczne i restauracje polskie w zachodnim Londynie. Po opuszczeniu Związku Sowieckiego deportowani Polacy oddali niezwykłą przysługę współwięźniom, którzy mieli mniej szczęścia od nich. W Iranie i Palestynie przedstawiciele armii i polskiego rządu na uchodźstwie przeprowadzili wśród żołnierzy i ich rodzin ankiety, na których podstawie ustalono, co działo

się z Polakami deportowanymi do Związku Sowieckiego. Był to jedyny wypadek, kiedy pozwolono tak dużej grupie więźniów opuścić Związek Sowiecki, toteż materiał zebrany w kwestionariuszach i nieco powierzchowne badania historyczne przez pół wieku były niemal jedynymi, namacalnymi dowodami istnienia Gułagu. Mimo iż na ich podstawie nie można było zrozumieć całej historii systemu obozowego, zawierały wiele informacji świadczących pośrednio o wielkości i geografii Gułagu (wystarczało zrobić listę miejsc, w które Polacy byli zsyłani).

Relacje oddawały też przerażające warunki panujące w czasie wojny w obozach. Po wojnie opisy przeżyć Polaków stały się podstawą opracowanych przez Bibliotekę Kongresu i Amerykańską Federację Pracy raportów, dotyczących obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim. Tak bezpośrednie i drastyczne opisy sowieckich łagrów były dla wielu Amerykanów szokujące, zwłaszcza ze bojkoty sowieckiego drewna w latach dwudziestych odeszły już dawno w niepamięć. Raporty krążyły po wielu instytucjach, w 1949 roku Amerykańska Federacja przedstawiła je ONZ, próbując skłonić ją do wszczęcia śledztwa w sprawie zjawiska pracy przymusowej w państwach członkowskich.

Przedstawiono liczne dowody na istnienie tego typu praktyk w Związku Sowieckim. „Niespełna cztery lata wcześniej robotnicy całego wolnego świata odnieśli swoje największe zwycięstwo, zwycięstwo w walce z nazistowskim totalitaryzmem. Była to wymagająca największego poświęcenia, wymierzona w nazistowską politykę zniewalania ludności okupowanych terenów... Jednakże zwycięstwo aliantów nie było ostateczne. Cały świat wstrząśnięty jest do głębi doniesieniami, wskazującymi, że zło, nad którym w walce za zwycięstwo poległo tak wiele osób, wciąż pleni się w wielu krajach... Był to początek zimnej wojny”. Życie w obozach do pewnego stopnia odzwierciedlało życie w całym Związku Sowieckim. Najbardziej wyraźne było to chyba właśnie pod koniec drugiej wojny światowej. Kiedy upadały Niemcy, Stalin zaczął

na poważnie myśleć o nowym układzie sił po wojnie. Skryształizowały się plany wciągnięcia Europy Środkowej w sferę wpływów sowieckich. Nie przez przypadek NKWD również weszło w fazę międzynarodowej ekspansji. Jeden z jugosłowiańskich komunistów, Milovan Djilas, obecny przy rozmowie Stalina z Titem, twierdził, że z ust Stalina padły słowa:

"Ta wojna jest taka jak w przeszłości; kto okupuje terytorium, narzuca także swój własny system społeczny. Każdy narzuca swój własny ustrój, tak daleko, jak może dotrzeć jego armia". Obozy koncentracyjne były podstawowym elementem sowieckiego "systemu społecznego". Kiedy wojna miała się już ku końcowi, tajna policja sowiecka zaczęła eksportować swoje metody i personel do okupowanych przez wojska sowieckie krajów. Uczono zasad funkcjonowania obozów i metod dopracowanych w Sowietach przez lata praktyki. W krajach przyszłego

"bloku sowieckiego" najbardziej brutalne obozy tworzone w Niemczech Wschodnich. Kiedy w 1945 roku przez Niemcy przeszły oddziały Armii Czerwonej, sowiecka administracja wojskowa

błyskawicznie zajęła się tworzeniem "specjalnych" obozów koncentracyjnych. Ostatecznie powstało ich jedenaście. Dwa z nich, Sachsenhausen i Buchenwald, utworzono na terenie byłych obozów niemieckich. Wszystkie

"specłageria" podlegały bezpośrednio NKWD, które organizowało je i zarządzało nimi dokładnie tak, jak obozami Gułagu, łącznie z normami pracy, minimalnymi racjami żywieniowymi i zatłoczonymi barakami. W

głodnych latach powojennych w obozach w Niemczech śmiertelność była jeszcze wyższa niż w sowieckim Gułagu. Przez pięć lat ich funkcjonowania trafiło do nich około 240 tysięcy więźniów (głównie politycznych), z których ponad jedna trzecia - 95 tysięcy - zmarła. Życie więźniów w sowieckich obozach nigdy specjalnie nie zwracało uwagi władz tego kraju. Losy niemieckich "faszystów" nie obchodziły ich wcale.

W większości wypadków więźniowie wschodniemieckich obozów nie byli ani wysoko postawionymi nazistami, ani też zbrodniarzami wojennymi. Z reguły tego typu osoby trafiały bezpośrednio do Moskwy, a po przesłuchaniach - do obozów jenieckich Gułagu. "Specłageria" służyły raczej temu samemu celowi, co deportacje Polaków i Bałtów, miały zniszczyć trzon niemieckiej klasy średniej. Dlatego też zamiast zbrodniarzy wojennych trafiali do nich głównie prawnicy, sędziowie, przedsiębiorcy, kupcy, lekarze i dziennikarze. Wśród nich znajdowała się również garstka przeciwników Hitlera, których - może nieco paradoksalnie - również obawiał się Związek Sowiecki. Ci, którzy ośmielili się walczyć z nazistami, mogli próbować przeciwstawić się również Armii Czerwonej. Podobnego pokroju osoby NKWD internowało w zorganizowanych przez lokalną tajną policję obozach w Czechosłowacji i na Węgrzech w 1948 i 1949 roku, po tym jak partie komunistyczne doszły w tych krajach do władzy. Aresztowań dokonywano zgodnie z przewrotną, "karykaturalną" logiką sowiecką. Węgierski meteorolog trafił

do więzienia za podanie w dniu wkroczenia armii sowieckiej na Węgry wiadomości tej treści: "Z północnego wschodu, z terenów Związku Sowieckiego nadciąga fala zimnego powietrza". Z kolei czeski przedsiębiorca dostał się do obozu, gdyż sąsiad oskarżył go o nazwanie Stalina kretyńcem. Obozy nie miały jednak w sobie nic z karykatury. Ze wspomnień poety Gyorgya Faludyego wynika, że owiany złą sławą węgierski obóz w Reck był niemal dokładną kopią Gułagu. Praktykowano tam "tuftę", a wygłodniali więźniowie odżywiali się zebranych w lesie jagodami i grzybami. W Czechach z kolei potworną sławą owianych było osiemnaście łagpunktów zgrupowanych wokół kopalń uranu w pobliżu Jachymova. Z perspektywy czasu oczywiste jest, że więźniowie polityczni z długimi wyrokami (odpowiednicy sowieckich katorżników) trafiali do kopalń na pewną śmierć. W czeskich kopalniach wydobywano uran potrzebny do realizacji sowieckiego projektu atomowego, a więźniowie pracowali bez jakichkolwiek strojów ochronnych. Wiadomo, że śmiertelność była niezwykle wysoka - dokładnie jednak nie wiemy, ile osób tam zmarło. W Polsce sytuacja przedstawiała się bardziej skomplikowanie. Pod koniec wojny wielu jej mieszkańców przebywało w różnego rodzaju obozach. Były tu obozy dla przesiedleńców (Żydów, Ukraińców i byłych robotników przymusowych),

koncentracyjne (dla Niemców, volksdeustchów i Polaków pochodzenia niemieckiego)

oraz karne. Armia Czerwona utworzyła w Polsce także kilka obozów jenieckich

zapełniając je nie tylko Niemcami, ale również członkami Armii Krajowej oczekującymi na deportację. W 1954 roku w polskich aresztach wciąż przebywało 842 więźniów politycznych. Obozy utworzono także w Rumunii, Bułgarii i Jugosławii (mimo konfliktu Tity ze Stalinem). Tak jak w innych krajach Europy Środkowej, obozy na Bałkanach z początku przypominały Gułag. Większość zorganizowana została przez miejscową policję, kierującą się wskazówkami i radami Sowietów. Rumuńska służba bezpieczeństwa, Securitate, działała pod bezpośrednim nadzorem sowieckich partnerów. Być może dlatego właśnie rumuńskie obozy najbardziej przypominały Gułag. Ich więźniowie pracowali przy realizacji absurdalnych projektów będących efektem przerostu ambicji władz, przypominających realizowane w sowietach pomysły Stalina.

Najsłynniejszy z nich to budowa pozbawionego jakiegokolwiek znaczenia ekonomicznego kanału Dunaj-Morze Czarne. Do dziś jest on równie pusty i bezużyteczny jak Kanał Białomorski, który tak bardzo przypominał.

Hasło propagandowe głosiło: "Kanał Dunaj-Morze Czarne grobem rumuńskiej burżuazji!". W rzeczy samej był to chyba prawdziwy cel budów

zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że w jej trakcie zginęło prawdopodobnie

około 200 tysięcy osób. Etos obozów bułgarskich i jugosłowiańskich był

niewielki. Bułgarzy nie przykładali zbyt wielkiej wagi do realizacji planu, koncentrowali się raczej na karaniu więźniów. Bułgarska aktorka, której udało się przeżyć obóz, opisywała, jak ją pobito niemal na śmierć, kiedy zemdląca z gorąca: „Przykryli mnie starymi szmatami i zostawili.

Następnego dnia wszyscy inni poszli do pracy, mnie zaś zamknięto do wieczora, bez wody, jedzenia i leków. Rany i to, co przeżyłam poprzedniego dnia, sprawiły, że byłam zbyt słaba, aby się podnieść.

Potwornie mnie pobito. Byłam nieprzytomna przez czternaście godzin i tylko cudem przeżyłam”. Była także świadkiem zatłuczenia na śmierć ojca i syna, patrzących nawzajem na swoje męczarnie, ku uciesze sadystycznych oprawców. Inni cierpieli głód, zimno, upały i przemoc fizyczną. Więźniom dawał się także we znaki klimat południa Europy.

Jeden z budzących grozę obozów w Jugosławii mieścił się na spalonej słońcem wysepce San Gregorio na Adriatyku. Ze względu na niedostatek wody więźniowie musieli bez przerwy znosić dokuczliwe pragnienie. W

przeciwieństwie do Gułagu znaczna część tych obozów nie przetrwała zbyt długo, wiele zlikwidowano jeszcze przed śmiercią Stalina.

Wschodniemieckie "spieclageria" zamknięto już w 1950 roku, ale ich istnienie stało się przyczyną głębokiej niechęci do partii komunistycznej.

Aby poprawić oblicze nowego reżimu i zapobiec ucieczkom ludności na Zachód (wtedy było to jeszcze możliwe), wschodniemiecka bezpieka zapewniła więźniom opiekę medyczną i jeszcze przed wypuszczeniem stawiała na nogi. Wręczano im też nowe ubrania. Nie wszystkim jednak

przywrócono wolność, najbardziej zagorzali przeciwnicy ustroju komunistycznego zostali deportowani do Związku Sowieckiego.

Podobny

los spotkał aresztowanych w tym okresie Polaków. Do Rosji wysłano także grabarzy obozowych w obawie, że ujawnią istnienie masowych grobów na terenie

obozów. Mogiły odkryto i dokonano ich ekshumacji dopiero w latach pięćdziesiątych. Obozy w Czechosłowacji również nie istniały długo, po apogeum w roku 1949 były stopniowo zamykane, a w końcu zlikwidowano je zupełnie. Premier Węgier Imre Nagy zlikwidował łagry tuż po śmierci Stalina, w lipcu 1953 roku. Z drugiej jednak strony komuniści bułgarscy utrzymywali kilka obozów ciężkiej pracy aż do lat siedemdziesiątych, a więc długo po rozpadzie sowieckiego Gułagu.

Najcięższy obóz bułgarski, Łowecz, działał w latach 1959-1962. Wzorce Gułagu najbardziej trwale przyjęły się poza Europą. Na początku lat pięćdziesiątych, w okresie ożywionej współpracy chińsko-sowieckiej,

"specjaliści" sowieccy pomagali w zorganizowaniu kilku obozów oraz przymusowych

brygad pracy w kopalni węgla w pobliżu Fushun. Obozy w Chinach istnieją do dzisiaj, chociaż niemal zupełnie nie przypominają swoich sowieckich

pierwowzorów. Wciąż są to obozy pracy, często po odbyciu wyroku ich więźniowie skazywani są na osiedlenie, tak jak w systemie stalinowskim, mimo to komendanci obozów wydają się nie mieć tak daleko posuniętej obsesji co do norm

pracy i centralnego planu produkcji. Główny nacisk kładziony jest na

"reedukację". Upokorzenie więźniów i ich rytualne ośmieszanie przed frontem partii wydają się mieć równie duże, a może nawet większe znaczenie niż ich praca i jej efekty. Życie codzienne w obozach każdego z krajów satelickich i sprzymierzeńców Sowietów wyglądało zupełnie inaczej. Obozy często pełniły odmienne funkcje, działały w różnych okresach, niektóre były dobrze zorganizowane, inne - nie, jedne były zabójcze, inne stosunkowo łagodne. Jak się okazało, wszystkie tzw. kraje demokracji ludowej szybko i dosyć sprawnie potrafiły dostosować wzorzec sowiecki do swoich potrzeb i swojej kultury. Poniższy cytat ze zbioru, wydanego w 1998 roku, oddaje całkiem niedawne doświadczenia więźniów obozów w Korei Północnej, jednego z ostatnich bastionów komunizmu w Eurazji: „Pierwszego dnia - miałem wtedy dziewięć lat -

dostałem do wykonania zadanie. Miałem iść w góry, by zebrać i przynieść do szkoły porządny ładunek drewna na opał. Kazano mi obrócić dziesięć razy. Przyniesienie porcji drewna z gór, wraz z drogą tam i z powrotem, zajmowało dwie, trzy godziny. Dopóki nie wykonałem zadania, nie mogłem iść do domu. Pracowałem cały dzień i wieczór, kiedy wreszcie skończyłem, było już po północy. Padłem ze zmęczenia na ziemię. Inne dzieci, które były tu już dłużej, radziły sobie znacznie szybciej...Inna praca polegała na wybieraniu złota z piasku. Robiliśmy to za pomocą sit w rzece, wytrząsając i płuczac piasek w wodzie. Było to zdecydowanie łatwiejsze, czasami udawało się

wykonać normę przed czasem, mogliśmy się wtedy trochę pobawić. Woleliśmy nie przyznawać się nauczycielowi, że już wykonaliśmy normę...”. Pisarz Chui Hwan Kong uciekł z Korei Północnej w 1992 roku. Przedtem razem z całą swoją rodziną spędził 10

lat w obozie karnym Yodok. Działająca w Seulu organizacja obrony praw człowieka szacuje, że w tego typu obozach przetrzymuje się około 200

tysięcy Koreańczyków z Północy. Odsiadują wyroki za "przestępstwa takie jak czytanie gazet lub słuchanie zagranicznych radiostacji, rozmowy z cudzoziemcami i innego rodzaju "obrazę władz". Uważa się, że w obozach zginęło około 400 tysięcy osób”. Nie wszystkie północnokoreańskie obozy znajdują się w Korei. W 2001 roku gazeta

"Moscow Times" doniosła, że w ramach spłaty długu rząd Korei Północnej wysyłał brygady pracy do pilnie strzeżonych obozów w odległych rejonach Syberii. Więźniowie pracowali w kopalniach i przy wyrębie lasów. Obozy były „państwem w państwie” - miały niezależny system dystrybucji żywności, własne więzienia wewnętrzne i specjalnych strażników. Przebywało w nich około 6 tysięcy robotników. Nie wiadomo, czy otrzymywali wynagrodzenie za pracę, z pewnością jednak nie byli wolni. Jak widać, idea obozów była na tyle uniwersalna, że nie tylko przyjęta była w swoim czasie w innych krajach, ale gdzieś tam przetrwała nawet do dziś.

ROZDZIAŁ 22

Apogeum obozowego kompleksu przemysłowego

„Kiedy mieliśmy lat siedemnaście - lubiliśmy się uczyć, Kiedy mieliśmy ich dwadzieścia - nauczyliśmy się umierać, Wiedzieć, że jeśli wolno nam żyć,

To znaczy, że jeszcze nic się nie stało.

W wieku lat dwudziestu pięciu - nauczyliśmy się wymieniać Życie na suszoną rybę, drewno na opał i kartofle...

Czego mamy się uczyć w wieku lat czterdziestu?

Opuściliśmy tyle stron.

Może tego, że życie jest krótkie,

Ale o tym wiedzieliśmy, mając lat dwadzieścia..”.

Michaił Frołowski „Moje pokolenie”

KONIEC WOJNY przyniósł parady zwycięstwa, łączy radości z powrotów po długiej

rozłące i powszechne przekonanie, że życie odtąd powinno stać się i będzie lżejsze. Miliony obywateli sowieckich znosiły straszliwe wyrzeczenia, żeby tę wojnę wygrać. Teraz ludzie chcieli żyć lepiej. Po całym kraju krążyły plotki o rychłym rozwiązaniu kolchozów; w miastach ludzie

otwarcie krytykowali wysokie ceny skąpo racjonowanej żywności.

Wojna pozwoliła również milionom obywateli sowieckich - żołnierzom i robotnikom przymusowym - zakosztować względnych

luksusów życia na Zachodzie. Władze nie mogły już odtąd przekonywająco twierdzić, że robotnicy w świecie kapitalizmu są nieporównanie ubożsi niż ich sowieccy towarzysze. Nowa elita władzy dochodziła do przekonania, że czas już najwyższy dokonać gruntownej restrukturyzacji przemysłu krajowego, który zamiast armat i czołgów powinien produkować rozpaczliwie przez ludzi poszukiwane dobra konsumpcyjne. W podsłuchanej i nagranej przez tajną policję - dzięki czemu zachowanej dla potomności - rozmowie telefonicznej dwóch generałów sowieckich pada stwierdzenie, że "dosłownie wszyscy otwarcie wyrażają swoje niezadowolenie z warunków, w jakich przyszło im żyć. W

tramwajach, pociągach - w zasadzie wszędzie - nie mówi się o niczym innym". Stalin na pewno musi o tym wiedzieć - powiada jeden z rozmówców - i wkrótce będzie musiał coś z tym zrobić.

Wiosną 1945 roku pełni nadziei byli również więźniowie. W styczniu tego roku władze ogłosiły kolejną amnestię powszechną dla kobiet ciężarnych i wychowujących małe dzieci - do lipca zwolniono rzeczywiście znaczną ich liczbę, dokładnie 734 785. Złagodzone obowiązujące w latach wojny restrykcje, więźniom

znowu wolno było posyłać paczki z żywnością i odzieżą. Kroków tych nie dyktowało jednak współczucie dla zeków. Spod dobrodziejstw amnestii dla kobiet wyjęto

więźniarki polityczne, zresztą sama decyzja o amnestii nie wynikała oczywiście ze szlachetnego odruchu serca, ale była próbą rozwiązania kwestii drastycznego

wzrostu liczby sierot, a co za tym idzie problemu dzieci ulicy, pieniącego się chuligaństwa i przestępczych gangów nieletnich. W obliczu tej sytuacji władze doszły w końcu - acz z wyraźną niechęcią - do wniosku, że częściowym rozwiązaniem może być powrót do domu matek. Złagodzenie ograniczeń dotyczących paczek także nie było przejawem szczególnej życzliwości wobec więźniów, lecz próbą złagodzenia wybuchających po wojnie klęsk głodu. Jedną z dyrektyw moskiewskiej centrali Gułagu nakazuje, że "w sprawach dotyczących wyżywienia i odzieży dla więźniów paczki i przekazy pieniężne należy traktować jako ważne źródło w kwestii zaopatrzenia materialnego i żywnościowego więźniów". Mimo wszystko rozporządzenia te budziły nadzieję, a wielu uważało je za zapowiedź nowej, bardziej liberalnej epoki. Rzeczywistość zadała kłam tym oczekiwaniom. Rok po zakończeniu drugiej wojny światowej rozpoczęła się "zimna wojna". Amerykańskie bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki przekonały sowiecką ekipę rządzącą, że gospodarkę kraju należy w pełni przestawić na produkcję zbrojeniową, a nie wytwarzanie lodówek czy obuwia dla dzieci. Mimo zniszczeń spowodowanych trwającą pięć lat wojną planiści sowieccy postanowili jak najszybciej odbudować potencjał przemysłu ciężkiego. Wykorzystanie do maksimum rezerw przymusowej siły roboczej miało zredukować koszty tego procesu.

Tak się złożyło, że nowe zagrożenie, jakie dla potęgi sowieckiej stanowiła amerykańska broń jądrowa, idealnie wręcz służyło samemu Stalinowi, dostarczając mu wygodnego pretekstu do

ponownego przykręcenia śruby i rozciągnięcia ściślejszej kontroli nad swoim - wystawionym ostatnio na demoralizujące wpływy z zagranicy - ludem. Dyktator konsekwentnie więc polecał podwładnym "zadać potężny

cios" wszelkim pogłoskom o demokratyzacji, zanim zaczną się szerzyć na dobre.

Wzmocnił również poważnie i zreorganizował aparat policyjny, dzieląc w marcu

1946 roku NKWD na: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (MWD) -

któremu powierzył kontrolę nad systemem Gułagu i "osad specjalnych", a które stało się faktycznie ministerstwem przymusowej siły roboczej - oraz Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MGB) przemianowane później na KGB, które przejęło bardziej prestiżowe i wyżej w systemie biurokracji sowieckiej usytuowane pionki:

wywiad, kontrwywiad, ochronę granic, a w ostatecznym rozrachunku także inwigilację antyreżimowej opozycji. W konsekwencji zamiast oczekiwanej liberalizacji przywództwo sowieckie wszczęło nową falę masowych aresztowań, które ponownie dotknęły zwłaszcza siły zbrojne i niektóre mniejszości etniczne, w tym Żydów. Tajna policja niemal w każdym większym mieście znowu zaczęła wykrywać antystalinowskie spiski młodzieży. W 1947 roku wydano prawo zakazujące małżeństw - a w praktyce wszelkich kontaktów natury osobistej - z cudzoziemcami.

Postępowanie karne wszczęto przeciwko uczonym, którzy dzielili się wynikami swoich badań z zagranicznymi kolegami. W 1948 roku aresztowano około 23 tysięcy kołchoźników; wszystkich oskarżono o nie przepracowanie wyznaczonego limitu dniówek w roku poprzednim i w trybie administracyjnym - bez dochodzenia i procesu sądowego - zesłano do najbardziej zapadłych zakątków kraju. Po Rosji do dziś krążą opowieści o niecodziennych aresztowaniach z lat czterdziestych. Z

odtajnionych niedawno protokołów przesłuchań niemieckich jeńców wojennych wynika, że do Gułagu mogło trafić także dwóch amerykańskich pilotów wojskowych. W 1954 roku jeden z byłych niemieckich jeńców wojennych zeznał przesłuchującemu go Amerykaninowi, że w roku 1949 natknął się w obozie jenieckim opodal Uchty na dwóch pilotów USAF zestrzelonych jakoby w okolicach Charkowa, na Ukrainie. Oskarżono ich o szpiegostwo i przydzielono do pracy w brygadzie więźniów odbywających karę w reżimie katorgi - tak przynajmniej wynika z relacji owego Niemca. Jeden z nich miał podobno zginąć, zamordowany przez obozowych kryminalistów. Drugiego zabrano z obozu i, jak się wydaje, przewieziono do Moskwy. W Komi krążyły także głuche pogłoski o grupie jakichś Anglików więzionych w latach czterdziestych w łagpunkcie Siedwoż, również w pobliżu Uchty. Jeden z miejscowych opowiadał mi, że byli to szpiegzy, zrzućeni pod koniec wojny w Niemczech, którzy następnie dostali się w ręce Armii Czerwonej i zostali potajemnie przetransportowani w głąb Związku Sowieckiego -

formalnie przeciw sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii. Dowody potwierdzające ich obecność w Komi są słabe i niejednoznaczne -

okoliczna ludność nazywała jeden z łagpunktów "angielskim", a w archiwach wojskowych znaleźć

można jedną krótką wzmiankę o obecności w jednym z tamtejszych obozów jenieckich jakichś

"Szkotów" - obojętne, cokolwiek termin ów mógł czy też miał oznaczać.

Dzięki tak energicznym zabiegom powojenny Gułag zaczął się dość intensywnie rozrastać. Proces ten trwał do początków lat pięćdziesiątych, kiedy system sowieckich obozów koncentracyjnych osiągnął szczytowy punkt rozwoju. Wedle oficjalnych danych 1 stycznia 1950 roku w łagrach i koloniach karnych przebywało 2561 351 więźniów - blisko milion więcej niż pięć lat wcześniej. Wzrosła również poważnie liczba "zesłańców specjalnych". Był to przede wszystkim skutek masowych deportacji z obszaru byłych państw bałtyckich, Mołdawii i Ukrainy - jednego z elementów świadomej polityki przyspieszonej "sowietyzacji" tych ziem.

W tym samym mniej więcej czasie MWD raz na zawsze rozwiązało kłopotliwy problem przyszłości zesłańców. Na mocy specjalnego dekretu deportowanych i ich dzieci zsyłano "na zawsze". W latach pięćdziesiątych liczba zesłańców zrównała się mniej więcej z liczbą zeków. W drugiej połowie 1948 i pierwszych miesiącach 1949 roku byłych więźniów Gułagu dotknęła kolejna fala aresztowań, a ściślej rzecz biorąc

"ponownych aresztowań" ofiar czystek 1937 i 1938 roku, którzy wyszli na wolność, odsiedziawszy swoje dziesięć lat. "Ponowne aresztowania"

prowadzono metodycznie; aresztowanym z zasady nie wytaczano śledztwa, procedury prawne ograniczały się co najwyżej do podstawowego przesłuchania. Społeczność zesłańców z Magadanu i Kołomy poczuła, że dzieje się coś niedobrego z chwilą aresztowania wszystkich

byłych "politycznych" o nazwiskach zaczynających się na pierwsze trzy litery alfabetu. Wniosek nasuwał się prosty: tajna policja dokonuje ponownych aresztowań wedle klucza alfabetycznego. Trudno było orzec, czy bardziej to śmieszne, czy tragiczne. Jewgienia Ginzburg pisze, że jeśli

"w trzydziestym siódmym łotrostwo miało wymiar monumentalno -

tragiczny [...], w czterdziestym dziewiątym [system], ziewając z przesyty i nudy, nie spiesząc się, układał alfabetyczne spis przeznaczonych na zagładę". Zdecydowana większość ponownie aresztowanych przyjęła ten fakt obojętnie. Pierwsze aresztowanie było szokiem - szokiem, ale zarazem i pouczającym doświadczeniem, dla wielu z nich była to pierwsza w życiu konfrontacja z prawdziwym obliczem systemu. Powtórka nie wносиła nic nowego. "Teraz, w czterdziestym dziewiątym, już wiedziałam, że oczyszcza tylko określona dawka cierpienia. Ale kiedy ono trwa przez dziesięciolecie i wrasta w dni powszednie, już nie oczyszcza. Po prostu zmienia człowieka w drewno - konstatuje Ginzburg - Po drugim aresztowaniu na pewno zdrewnieję". Kiedy policja przyszła po raz drugi po Adamową-Sliozberg, ta podeszła do szafy i zaczęła się pakować, szybko jednak przestała. "Po co zawracać sobie głowę braniem czegokolwiek ze sobą. Dzieciom przydadzą się te rzeczy bardziej niż mnie

- pomyślała. - To jasne, że tym razem nie przeżyję. Jakim cudem mogłabym to wytrzymać". Lew Razgon próbował się dowiedzieć, za co powtórnie aresztowano jego żonę, a kiedy usłyszał, że skazano ją ponownie za to samo, co za pierwszym razem, domagał się dalszych wyjaśnień. "Odbyła

już swój wyrok. Czy prawo rzeczywiście pozwala karać kogoś dwukrotnie za tę samą zbrodnię?". Prokurator spojrział na mnie zdziwiony. "Oczywiście, że nie - odparł - ale co ma z tym wspólnego prawo?". Większości ponownie aresztowanych nie skierowano do obozów, lecz zesłano zazwyczaj w najbardziej odległe i wyludnione regiony kraju - na Kółymę, do Krasnojarska, Nowosybirsk i Kazachstanu. Żyło im się tam wyjątkowo trudno. Ciężące na nich piętno

"wrogów ludu" utrudniało znalezienie pracy i mieszkania, ostracyzm powodowało to, że nikt z miejscowych nie chciał, by kojarzono go ze szpiegami i sabotażystami. Zamiary, jakie żywił wobec nich Stalin, wydają się dziś oczywiste: nikt, kogo kiedykolwiek skazano za szpiegostwo, sabotaż lub jakiegokolwiek formy działalności opozycyjnej, nie miał już nigdy wrócić do swego poprzedniego środowiska. Jeśli ludzi takich zwalniano, dostawali tak zwane wilcze bilety, równoznaczne z zakazem zamieszkania we wszystkich większych miastach i ich bezpośredniej okolicy oraz stałą groźbą kolejnego aresztowania. Gułag wraz z uzupełniającym go systemem "osad specjalnych" przestał być miejscem odbywania kary; dla raz na niego skazanych stawał się nową ojczyzną, a rządzące nim prawa nowym stylem życia. Mimo wszystko jednak wojna wywarła na system sowieckich obozów koncentracyjnych wpływ wyraźny i trwały, choć trudny do jednoznacznego określenia.

Zwycięstwo nie przyniosło co prawda liberalizacji rządzących światem łagrów praw i regulaminów, zmienili się jednak sami więźniowie, zwłaszcza więźniowie polityczni. Zaczniemy od tego, że było ich teraz więcej. Straty demograficzne lat wojny - a także dobrodziejstwa kolejnych amnestii - ominęły obozową populację "politycznych", którzy po wojnie stanowili znacznie wyższy odsetek ogólnej liczby zeków niż kiedykolwiek wcześniej. Pierwszego lipca 1949 roku aż 35 procent więźniów Gułagu miało wyroki orzeczone za przestępstwa

"kontrrewolucyjne". W niektórych łagrach odsetek ten był jeszcze wyższy, a obozy, w których więźniowie polityczni stanowili zdecydowaną większość, nie należały bynajmniej do rzadkości. Na korzyść politycznych zmienił się również w łagrach względny układ sił. Trzeba pamiętać, że była to już inna, nowa generacja więźniów, pokolenie ludzi o zupełnie odmiennych doświadczeniach życiowych. "Polityczni" aresztowani w latach trzydziestych, zwłaszcza w 1937 i 1938 roku, to przeważnie inteligencja,

aparaczkowie partyjni, wojskowi, funkcjonariusze NKWD i zwykli robotnicy. Aresztowanie stanowiło dla nich przeżycie traumatyczne, z zasady byli ludźmi nieprzystosowanymi psychicznie do więziennego życia, a fizycznie do przymusowych robót. Tymczasem "polityczni", którzy zaczęli napływać do łagrów w pierwszych

latach po zakończeniu wojny, byli zazwyczaj żołnierzami Armii Czerwonej, oficerami polskiej Armii Krajowej, partyzantami ukraińskimi, litewskimi, łotewskimi i estońskimi bądź niemieckimi i japońskimi jeńcami wojennymi - starymi frontowcami, ludźmi zaprawionymi w konspiracji i walce, niejednokrotnie oficerami z dużą praktyką dowódczą.

Wielu z nich nawet nie próbowało ukrywać swoich antysowieckich poglądów i swego antykomunizmu. Nie dziwił ich również fakt, że znaleźli się za ogrodzeniem z drutu kolczastego. "Patrzyli śmierci w oczy, przeszli przez piekło wojny, przetrwali głód i inne nieszczęścia - było to zupełnie inne pokolenie niż więźniowie z lat przedwojennych"- pisze o nich Władimir Kuc. Władzom

obozów ten nowy "gatunek" więźniów zaczął przysparzać poważnych problemów niemal od chwili, gdy pod koniec wojny pierwsi jego przedstawiciele zaczęli napływać do łagrów. W

roku 1947 "błatnym" z najwyższym tylko trudem udawało się jeszcze jako tako nad nimi panować. Wśród różnych grup etnicznych i koterii profesjonalnych kryminalistów, jakie zdominowały życie w obozach, pojawił się nowy klan "krasných szapoczek" [czerwonych czapczek] -

byłych żołnierzy i partyzantów sprzymierzonych ze sobą w walce przeciwko

wszechwładzy "błatnych", a co za tym idzie zjednoczonych w oporze wobec stojącej za ich plecami administracji łagrów. "Krasnyje szapoczki"

funkcjonowały

w obozach przez całe następne dziesięciolecie, mimo ponawianych przez władze

rozpaczliwych prób rozbicia tego rodzaju ugrupowań. Zimą z 1954 na 1955 roku

naocznym świadkiem próby "złamania" politycznych był Wiktor Bułgakow - więziony podówczas w Incie, jednym z łagpunktów systemu łagrów workuckich. Zadania tego dokonać miała grupa sprowadzonych do obozu około sześćdziesięciu profesjonalnych kryminalistów. "Błatni"

uzbroili się i zaczęli napadać na "politycznych": „Niespodziewanie zdobyli skądś białą broń [noże], czego zresztą w tej sytuacji można było się spodziewać [...]. Ukradli pieniądze i cały dobytek pewnego starca.

Kazaliśmy im wszystko zwrócić, ale nie nawykli do zwracania czegokolwiek, wobec czego około drugiej nad ranem otoczyliśmy ze wszystkich stron ich barak i przypuściliśmy szturm. Zaczęliśmy ich bić i biliśmy dopóty, dopóki nie mogli się podnieść. Jednemu udało się wyskoczyć oknem... pobiegł na wachtę i padł na progu. Kiedy pojawili się strażnicy nas już nie było [...]. Zabrali wszystkich błatnych z zony”. Do podobnego incydentu doszło również w Norylsku: „W łagpunkcie, w którym dotąd siedzieli wyłącznie polityczni, pojawiła się grupa

"błatnych", którzy próbowali zaprowadzić tu własne porządki.

Więźniowie - co do jednego byli żołnierze Armii Czerwonej - roznieśli ich w strzępy, mimo że "błatni" mieli noże. Niedobitki z płaczem uciekły do strażników i oficerów, błagać ich o pomoc. Inne stały się nawet kobiety; więźniarki polityczne, mające dość życia w ciągłym zastraszaniu, oznajmiły dzielącym z nimi barak "błatnym", że jeśli nie zwrócą skradzionych koleżance pieniędzy, "wyrzucą je i ich łachy na zewnątrz i będą spały pod gołym niebem". Poskutkowało - kryminalistki oddały pieniądze". "Błatni" nie zawsze jednak przegrywali. W potyczce między kryminalistami a politycznymi, do jakiej doszło w Wiatłagu, zginął jeden z więźniów politycznych. "Błatni" narzucili na pozostałych zeków haracz w wysokości 20 rubli od głowy - opornych po prostu mordowano.

Władze wyciągnęły jednak z tego nauczkę - jeśli polityczni potrafią się zjednoczyć przeciwko "błatnym", mogą zrobić to samo w walce z obozową administracją. Pragnąc uprzedzić wybuch otwartego buntu, w 1948 roku moskiewska centrala Gułagu poleciła skupić "najbardziej

niebezpiecznych" więźniów politycznych w "obozach specjalnych"

(osobyje łageria). Przeznaczony

zwłaszcza dla "szpiegów, dywersantów, terrorystów, prawicowców, mienszewików, socjalrewolucjonistów, anarchistów, nacjonalistów, białych emigrantów i

członków innych organizacji antysowieckich" obozy specjalne wyróżniały pasiastymi uniformami więziennymi, numerami na czapkach, plecach i połach waciaków, okratowanymi oknami i zamykaniem baraków na noc.

Kontakt więźniów ze światem zewnętrznym ograniczony został do absolutnego minimum - w wielu wypadkach do dwóch listów rocznie.

Surowo zakazana była korespondencja z kimkolwiek spoza grona ścisłej rodziny. Dzień roboczy w "osobnych łagerach" trwał 10 godzin, a opiekę medyczną sprowadzono do poziomu elementarnego - w zespołach

"obozów specjalnych" nie istniały odrębne łagry inwalidzkie.

Podobnie jak łagpunkty katorżne - z którymi zresztą szybko zaczęto je utożsamiać - "osobyje łageria" zakładano wyłącznie w regionach o najgorszych warunkach klimatycznych - w Incie, Workucie, Norylsku i na Kołymie, wokół wszystkich kopalń leżących za kręgiem polarnym, na pustyniach Kazachstanu i w nieprzystępnych lasach Mordwy. Różniły się od nich tylko jednym: poetyckimi, nawiązującymi do charakterystycznych cech krajobrazu nazwami wymyślanymi przez Moskwę - Minerał, Góra, Dąb, Step, Wybrzeże, Rzeka, Jezioro, Łąka itp. Przyświecała temu - jak się wydaje - wszechobecna w Związku Sowieckim - mania tajności, ponieważ w okolicy obozu "Dąb" nie rosły dęby, a obóz "Wybrzeże" mógł

znajdować się wszędzie, byle nie nad brzegiem morskim. Nazwy te, zgodnie z innym obyczajem sowieckim, bardzo szybko zaczęto skracać -

stąd "Minłag", Gorłag", "Dubrawłag", "Stieplag" itd. Na początku 1953

roku w obozach specjalnych więziono 210 tysięcy ludzi. Jednak izolacja

"najbardziej niebezpiecznych" więźniów politycznych nie uczyniła ich bardziej uległymi. Przeciwnie, w obozach specjalnych, nie musieli toczyć nieustannej walki z kryminalistami, ich reakcji nie mitygowali tu inni więźniowie. Zostawieni sami sobie utwierdzali się jedynie w konsekwentnym oporze wobec systemu - ostatecznie było to w roku 1946

- a nie 1937, a w końcowym rozrachunku zamierzali wszcząć bezprecedensową, długotrwałą i zdeterminowaną walkę z władzami.

Ponowne puszczenie w ruch mechanizmu coraz ostrzejszych represji uderzyło nie tylko w więźniów politycznych. Nowa sytuacja, w której efektywność ekonomiczna zaczęła liczyć się bardziej niż kiedykolwiek, wymusiła zmianę stosunku Gułagu do profesjonalnych kryminalistów. Ich

demoralizacja, lenistwo i arogancki stosunek do strażników wywierał

bardzo negatywny wpływ na produktywność obozów. W dodatku "błatni"

nie trzymali już w ryzach politycznych, a tym samym znikły wszelkie powody uprzywilejowanego ich traktowania. Co prawda zawodowi przestępcy nigdy nie budzili takiej wrogości władz jak polityczni, a strażnicy obozowi nigdy nie traktowali ich aż tak bezwzględnie, mimo to w latach powojennych Gułag zdecydował się położyć kres rządom

"błatnych" w łagrach i raz na zawsze wyeliminować z nich konsekwentnie odmawiających wykonywania jakiegokolwiek pracy "worów w zakonie". W

praktyce wojnę tę prowadzono zarówno otwarcie, jak i metodą zniszczenia przeciwnika od wewnątrz. Na początek najgroźniejszych i najbardziej zakamieniałych kryminalistów odseparowano po prostu od reszty zeków i przedłużono im

wyroki do 15 lub 25 lat. Zimą 1948 roku Gułag wezwał do utworzenia zespołu

specjalnych obozów o obostrzonym rygorze dla recydywistów - tak zwanych

kriminałagpunktów. Zgodnie z instrukcjami nadesłanymi z Moskwy obozy należało

otaczać wyższym, dodatkowo wzmocnionym murem lub ogrodzeniem z drutu kolczastego, a służbę wartowniczą mieli w nich pełnić wyłącznie najbardziej zdyscyplinowani i sprawni fizycznie żołnierze WOChR-y.

Pozostałe szczegóły organizacyjne zawarto w oddzielnych instrukcjach; Gułag zalecał natychmiastowe

utworzenie 27 takich obozów, dla ponad 115 tysięcy więźniów. Niewiele niestety wiemy o warunkach panujących w kriminałagpunktach, w gruncie rzeczy nie mamy nawet pewności, czy wszystkie powstały; przetrzymywani w nich kryminaliści - jeśli w ogóle przeżyli - z całą pewnością nie są bardziej skłonni do pisania wspomnień niż inni "błatni".

Wiadomo jednak, że w większości "zwykłych" obozów tworzone coś w rodzaju odrębnych zon dla najgroźniejszych przestępców kryminalnych.

Przez wyjątkowo niepomyślny zbieg okoliczności do jednego z takich kriminałagpunktów - obozu Izwiestkowa na Kołymie - trafiła na krótko Jewgienia Ginzburg. Była tam jedyną więźniarką polityczną wśród kryminalistek.

W Izwiestkowej Ginzburg skierowano do pracy w kopalni "Wapienna", a ponieważ nie mogła wykonać normy, nie otrzymywała w ogóle nic do jedzenia. Pierwsze kilka nocy spędziła, siedząc w kącie baraku - na pryczach brakowało wolnych miejsc - i przypatrując się półnagim kobietom popijającym jakieś namiastki alkoholu w przegrzanej do granic możliwości celi. Dopiero później jakaś syfilityczka w ostatnim stadium choroby ustąpiła jej nieco miejsca i dała się położyć, co wszakże niewielką dla Ginzburgowej było pociechą, gdyż "gęsty zapach ropy"

bijący od "rozkładającego się nosa" jej towarzyszki omal jej nie udławił.

"W "Wapiennej", jak w najprawdziwszym piekle, nie tylko nie było dnia i nocy,

ale i średniej, nadającej się do istnienia, temperatury. Albo lodowata zmarzlina wapiennego wyrobiska, albo piekielny żar baraku". W obozie tym o mało jej nie zgwałcono. Nocą do baraku wszedł jakiś strażnik i rzucił się na kobiety. Innym razem wartownik dał jej niespodziewanie kawałek chleba - administracja łagru oczekiwała inspekcji i bała się, że Ginzburg może umrzeć z głodu w najmniej odpowiednim momencie.

"Nasze wojaki, ogłupiałe od przebywania w głuszy, od żarcia i spirytusu, od nieustannych awantur z dziewczuchami, zupełnie straciły orientację i nie bardzo wyobrażały sobie, za co mogą oberwać. W każdym razie akt zgonu w razie przyjazdu kierownictwa nie był pożądanym". Udało się jej jednak stamtąd wyrwać, dzięki pomocy przyjaciół, którzy załatwili przeniesienie do innego obozu, wykorzystując w tym celu wpływy... sprzątaczkę komendanta Siewwostłagu. Inni nie mieli tyle szczęścia. Surowsze regulaminy i dłuższe wyroki nie były jedyną bronią administracji łagrów w walce z kryminalistami. Największą siłą Związku Sowieckiego, jako mocarstwa okupacyjnego, była umiejętność korumpowania miejscowej elity; przekształcenia jej w świadomie uciskających własne społeczeństwo kolaborantów. Dokładnie taką samą metodą posłużyły się władze obozów w celu utrzymania kontroli nad więźniami kryminalnymi. Zasada była prosta - przywileje i specjalne traktowanie oferowano tylko "worom w zakonie", gotowym wyrzec się swego przestępczego "prawa" i pójść na współpracę z władzami. W zamian za zgodę uzyskiwali niczym nie ograniczone prawo życia i śmierci nad byłymi kamratami - mogli ich nawet bezkarnie torturować i mordować w biały dzień w obecności strażników. Tych do cna zdeprawowanych kryminalistów kolaborantów reszta "błatnych" nazywała "sukami" i toczyła z nimi zażartą i nieubłaganą wojnę. Gwałtowny konflikt, jaki rozgorzał w łagrach w latach powojennych, przeszedł do dziejów Gułagu pod nazwą "wojny "suk" z

"błatnymi"" i - podobnie jak zorganizowana walka więźniów politycznych o przeżycie - stał się jednym z podstawowych elementów socjologii powojennych łagrów sowieckich. Konflikty między różnymi klanami świata podziemnego zdarzały się wprawdzie już wcześniej, nigdy jednak nie były tak zażarte i tak otwarcie prowokowane przez władze. "Wojna"

wybuchła w 1948 roku - w całym niemal Gułagu i prawie w tym samym momencie. Nie pozostawia to cienia wątpliwości co do roli, jaką odegrały w tym władze. Bardzo wielu autorów wspomnień opisuje przeróżne aspekty tych zmagania; tym razem jednak zdecydowana ich większość nie była stroną rozgorzałego wówczas konfliktu. Odgrywali rolę przerażonych obserwatorów

owej "wojny". Niekiedy padali również jej ofiarą. Wspomina o tym Anatolij Żygulin: „Złodzieje i "suki" śmiertelnie się nienawidzili.

Złodzieje, którzy trafiali do takiego "suczego" łagru, jeśli od razu nie udało im się ukryć w BUR-ze, stawali często przed dylematem umrzeć czy stać się "sukami", zsuczyć się. I odwrotnie, jeśli do łagru przybył wielki złodziejski etap, "suki" kryli się w BUR-ze, władza się zmieniała [...].

Podczas takiej zmiany władzy, jak przy każdym spotkaniu złodziei i

"suk", często dochodziło do krwawych starć”.

Jeden z "błatnych" powiedział Buce, że "w praktyce suki już nie żyją, zostali przez nas skazani i przy pierwszej nadarzającej się okazji zabije ich jakiś

"błatny". Gieorgij Feldgun opisuje przebieg jednej z takich batalii:

„Po półtorej godzinie przynieśli i rzucili na ziemię "urków" z naszej brygady. Trudno ich było poznać. Zdarto z nich i zabrano wszystkie pierwszorzędne ciuchy i ubrano w poszarpane obozowe waciaki; zamiast butów mieli na nogach onuce. Pobici byli bestialsko, wielu straciło wszystkie zęby. Jeden miał bezwładną rękę; połamano mu ją żelazną sztabą”. Naocznym świadkiem szczególnie zacieklego starcia był Leonid Sitko: „Strażnik biegł korytarzem, krzycząc: "Wojna! Wojna!" - na co wszyscy "błatni", których w obozie było mniej niż "suk", rzucili się szukać schronienia w obozowym izolatorze. "Suki" puścili się za nimi w pogoń; kilku dopadli i zamordowali. Pozostałym pomogli ukryć się strażnicy, którym nie w smak była totalna rzeź. Nazajutrz rano wywieziono ich ukradkiem z obozu”.

W walkach tych brali niekiedy udział także więźniowie niekryminalni przeciw „sukom” – stało się tak z czasem w obozach, których władze dawały "sukom" praktycznie wolną rękę. Wróćmy do relacji Żygulina.

„Zostawmy na uboczu całą złodziejską romantykę, o którą sami złodzieje wystarczająco zadbali w swoim życiu i folklorze. Ale "suki" w więzieniach i łagrach byli szczególnie straszni dla zwykłego zeka. Ludzie ci wiernie służyli komendzie łagru jako brygadziści, pomocnicy brygadzystów. W zwierzęcy sposób znęcali się nad innymi, zabierali im ostatnią okruszynę chleba, rozbierali ich niemal do naga. Byli nie tylko donosicielami. Z rozkazu łagrowej zwierzchności zabijali kogo trzeba”.

Ciężkie było życie więźniów w tych łagrach, gdzie władza należała do

"suk". Jednak w epoce powojennej więźniowie polityczni nie byli już grupą tak bezbronną jak niegdyś. W obozie Żygulina grupa byłych żołnierzy Armii Czerwonej najpierw ciężko pobiła "ochroniarza"

najbardziej znenawidzonego "suki" w całym "łagpunkcie", a następnie zamordowała jego samego - przecięto go piłą tartaczną. Kiedy reszta "suk"

zabarykadowała się w baraku, polityczni postawili im ultimatum: mają uciąć głowę pierwszemu zastępcy swego wodza i pokazać ją

przez okno. Wtedy mogą liczyć na łaskę. Warunek ten spełniono.

"Okazało się

wówczas, jak bardzo cenią własne życie. Pokazali przez okno odciętą głowę, która

na miejscu została zidentyfikowana". Otwarta wojna przyjęła formy tak drastyczne, że władze miały jej w końcu dość. W 1954 roku MWD

zaapelowało do komendantów łagrów o wyznaczenie "oddzielnych obozów dla recydywistów szczególnego rodzaju" i "miejsc odosobnienia"

dla więźniów, którzy zagrażają sobie wzajemnie. "Oddzielenie od siebie wrogich ugrupowań" było jedyną metodą uniknięcia przelewu krwi na skalę masową. "Wojna" zaczęła się, ponieważ władze chciały przejąć kontrolę nad "błatnymi", zakończyła się dlatego, że utraciły one kontrolę nad biegiem wypadków. Na początku lat pięćdziesiątych Gułag znalazł się w sytuacji paradoksalnej. Władze chciały przetrącić kark światowi profesjonalnych kryminalistów, zwiększyć efektywność pracy i zapewnić płynne funkcjonowanie obozów jako przedsiębiorstw produkcyjnych.

Chciały odizolować więźniów politycznych, aby pozbawić ich możliwości szerzenia własnych, niebezpiecznych poglądów wśród reszty zeków.

Paradoksalnie jednak przykręcenie śruby utrudniało realizację tych celów.

Nastroje buntu wśród politycznych i wewnętrzna wojna w świecie kryminalistów przyspieszyły proces dojrzewania jeszcze głębszego kryzysu. Na koniec dla rządzących stało się oczywiste, że system obozów pracy przymusowej jest marnotrawny, na wskroś skorumpowany i, co najważniejsze, nierentowny. Ścisłej rzecz biorąc, stało się to oczywiste dla wszystkich, wyjąwszy Stalina. Raz jeszcze jego obsesja na punkcie represji i wiara w możliwości gospodarki opartej na pracy niewolniczej splotły się ze sobą tak ściśle, że ówczesnym obserwatorom trudno było orzec, czy aresztuje się ludzi po to, by zbudować więcej obozów, czy buduje się więcej obozów, by starczyło miejsca dla wszystkich aresztowanych. W latach czterdziestych Stalin nalegał na przyznanie MWD jeszcze szerszych uprawnień w sferze gospodarczej. W

konsekwencji w 1952 roku, na rok przed jego śmiercią, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kontrolowało 9 procent wszystkich inwestycji kapitałowych w kraju - więcej niż jakikolwiek inny ministerialny resort sowiecki. Plan pięcioletni na lata 1951-1955 zakładał podwojenie tego udziału. Stalin ponownie przystąpił do realizacji wielu gigantycznych i spektakularnych przedsięwzięć budowlanych, przywodzących na myśl wielkie inwestycje lat trzydziestych. Z jego inicjatywy MWD zbudowało nową fabrykę azbestu - przedsięwzięcie wymagające specjalistycznej wiedzy i umiejętności technologicznych - czyli dokładnie tego, co zawsze stanowiło piętę achillesową Gułagu. Stalin osobiście przesądził o decyzji budowy nowej magistrali kolejowej, biegnącej przez arktyczną tundrę kolei Salechard-Igarka - inwestycji znanej później jako "droga śmierci".

Koniec lat czterdziestych to również epoka budowy kanałów Wołga-Don, Wołga-Morze Bałtyckie, Wielkiego Kanału Turkmńskiego oraz największej na świecie hydroelektrowni w Kujbyszewie. W 1950 roku MWD rozpoczęło budowę podmorskiego tunelu i linii kolejowej łączącej Sachalin z kontynentem azjatyckim - projektu, którego realizację przypłaciły życiem dziesiątki tysięcy więźniów. W owym czasie nie było już jednak Gorkiego, który opiewałby chwałę nowych pomników stalinowskiego "budownictwa socjalistycznego". Przeciwnie, nowe inwestycje uważano powszechnie za przejaw marnotrawstwa i megalomanii. Co prawda, póki żył Stalin, nikt nie ośmielił się krytykować ich otwarcie, niemniej kilka z nich - z "drogą śmierci" i podmorskim tunelem na

Sachalin na czele - przerwano dosłownie kilka dni po jego zgonie. Przeprowadzona w 1951 roku inspekcja wykazała, że prawie stukilometrowy odcinek linii kolejowej, zbudowanej na Dalekiej Północy wielkim nakładem kosztów i za cenę wielu istnień ludzkich, wykorzystano w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zaledwie trzykrotnie, a po czterystu prawie kilometrach równie kosztownej szosy nie przejechał w ciągu osiemnastu miesięcy ani jeden pojazd. W 1953 roku kontrola przeprowadzona na polecenie Komitetu Centralnego dowiodła, że koszty utrzymania łagrów znacznie przewyższają zyski z pracy więźniów. W

roku 1952 państwowe subsydia dla Gułagu osiągnęły sumę 2,3 miliarda rubli - ponad 16 procent wydatków budżetowych ZSRS. Jeden z historyków rosyjskich zwrócił ostatnio uwagę na fakt, że kierowane przez MWD do Stalina memoriały dotyczące dalszej rozbudowy systemu obozów pracy przymusowej zaczynały się często od słów: "Zgodnie z Waszym życzeniem", tak jakby ich autorzy chcieli przez to delikatnie wyrazić swój dystans. Moskiewska centrala Gułagu doskonale zdawała sobie sprawę z fali niezadowolenia i niepokoju, jaka stopniowo rozlewała się po całym systemie obozów. W 1951 roku przypadki odmowy przystąpienia do pracy (zwłaszcza przez więźniów politycznych i kryminalistów) stały się zjawiskiem masowym o wszelkich symptomach głębokiego kryzysu całego systemu. Według wyliczeń MWD w wyniku strajków i innego rodzaju akcji protestacyjnych Gułag stracił około miliona dniówek roboczych, a rok później - już dwa miliony. Z oficjalnych statystyk Gułagu wynika, że w 1952 roku 32 procent więźniów nie wyrabiało norm. Sporządzona przez władze lista strajków i akcji protestacyjnych, do jakich dochodziło w łagrach w latach 1950-1952, jest zadziwiająco długa; znajdują się na niej między innymi: zbrojne powstanie na Kołymie zimą 1949/1950, zbrojna ucieczka grupowa z Krasłagu w marcu 1951 roku, masowe strajki głodowe w Uchtżentasłagu i Ekibastuzłagu w 1951 roku oraz strajk w Ozierłagu w roku 1952.

W styczniu 1952 roku sytuacja stała się tak groźna, że komendant Norylska wysłał generałowi Iwanowi Dołgichowi, nowemu komendantowi Gułagu, raport wyszczególniający kroki, jakie należało podjąć w celu zapobieżenia wybuchowi otwartego buntu. Proponował

likwidację wielkich zon roboczych, w których trudno nadzorować zachowanie więźniów, podwojenie liczby strażników i konwojentów

(co - jak sam przyznawał - będzie rzeczą niełatwą) oraz odizolowanie od siebie

"członków band obozowych". To również spory problem - pisał - gdyż "z powodu

wielkiej liczby więźniów, należących aktywnie do jednej lub drugiej grupy z

trudnością udaje nam się odizolować przywódców". Proponował też oddzielenie

stanowisk pracy więźniów i pracowników wolnonajemnych, a na koniec dodawał

że - według niego - celowe byłoby natychmiastowe zwolnienie 15 tysięcy zeków

ponieważ ludzie ci byłiby o wiele bardziej produktywni jako robotnicy wolnonajemni. Nie trzeba chyba dodawać, że ta ostatnia propozycja podawała w wątpliwość samą istotę, podstawowe założenia systemu pracy przymusowej.

Podobne opinie pojawiały się również na najwyższych szczeblach sowieckiej

hierarchii władzy. "Potrzebujemy teraz technologii najwyższej jakości" -

przyznawał szef MWD Krugłow. Najwyraźniej trzeciej jakości technologia, jaką posługiwał się Gułag, przestała już wystarczać. Zebranie Komitetu Centralnego dwudziestego piątego sierpnia 1949 roku poświęcone było wyłącznie dyskusji nad listem pewnego wykształconego więźnia, podpisującego się jako Żdanow. "Największym mankamentem systemu obozów - pisał - jest to, że opierają się one na pracy przymusowej.

Rzeczywista wydajność pracy więźniów jest wyjątkowo niska. W innych warunkach pracy o połowę mniej ludzi wykonałoby dwukrotnie wyższe zadania produkcyjne". W odpowiedzi Krugłow obiecał podnieść wydajność pracy więźniów, przywracając system wynagrodzeń pieniężnych dla zeków osiagających najlepsze

wyniki produkcyjne oraz politykę umożliwiającą skrócenie wyroku, jako formę nagrody. Nikt -jak się wydaje - nie pozwolił sobie zwrócić uwagi, że obydwie te

"bodźce" zlikwidował pod koniec lat trzydziestych sam Stalin, jako obniżające

rzekomo rentowność gospodarczą obozów. Zresztą i tak nie miało to większego znaczenia, gdyż do więźniów trafiała zaledwie nieznaczna część należnych im teoretycznie pieniędzy. Wszczęte niedługo po śmierci Stalina śledztwo wykazało, że Gułag i inne instytucje nielegalnie przejęły 126 milionów rubli z osobistych rachunków więźniów. Nawet te niewielkie sumy, które im w końcu wypłacano, przyczyniały się w ostatecznym rozrachunku raczej do pogłębienia chaosu i demoralizacji, niż przynosiły wymierne korzyści. W wielu obozach kryminalna elita otwarcie egzekwowała od więźniów haracz w zamian za tzw. opiekę, co w praktyce oznaczało pewność, że nie zostanie się pobitym lub wręcz zamordowanym. Za pieniądze można było również kupić od rządzących obozem "błatnych" uprzywilejowane funkcje i stanowiska pracy. Wraz z pieniędzmi pojawiła się też w łagrach wódka, a później także narkotyki.

Nieco bardziej skutecznym bodźcem wzmagającym zapał więźniów do pracy była obietnica skrócenia wyroków dla osiagających najlepsze wyniki produkcyjne. Nie ulega żadnej wątpliwości, że MWD było szczerym i gorącym zwolennikiem tej metody. W 1952 roku ministerstwo samo wystąpiło nawet z propozycją zwolnienia znacznej liczby więźniów pracujących w przedsiębiorstwach na Dalekiej Północy - kopalniach węgla w Zagłębiu Workuckim i Incie oraz rafinerii ropy naftowej w Uchtinsku -

i zatrudnieniu ich przy tej samej pracy, ale już jako pracowników wolnonajemnych. Troska o rentowność obozów zdecydowanie wysuwała się na pierwsze miejsce. Jesienią 1950 roku Beria zlecił Krugłowowi dokonanie jej rzetelnej analizy, co wreszcie ujawniłoby całą prawdę o gospodarczej efektywności systemu. W raporcie przedstawionym mu później można wprawdzie przeczytać, że więźniowie "zatrudnieni" przez MWD nie są mniej wydajni niż przeciętny robotnik sowiecki, ale koszty ich utrzymania - żywność, odzież, baraki i przede wszystkim strażnicy powodują, że globalnie cena przymusowej siły roboczej przewyższa porównywalny fundusz płac robotników wolnonajemnych.

Innymi słowy, obozy nie przynosiły dochodu i wielu doskonale zdawało sobie

z tego sprawę. Mimo to - co skądinąd dziwić nie powinno - póki żył

Stalin, nikt - nawet Beria - nie odważył się podjąć jakichkolwiek działań.

Dla każdego z bezpośredniego otoczenia Stalina lata 1950-1952 wydawały się wyjątkowo nieodpowiednim momentem, by informować go o fiasku wielkich projektów inwestycyjnych, które były jego oczkiem w głowie.

Schorowany i coraz bliższy śmierci Stalin bynajmniej nie łagodniał z wiekiem. Przeciwnie, ogarniała go coraz większa paranoja, która kazała mu widzieć wokół siebie samych konspiratorów i spiskowców. W

czerwcu 1951 roku nieoczekiwanie polecił aresztować szefa kontrwywiadu sowieckiego, Abakumowa, a jesienią tego roku osobiście podyktował zaskoczonemu Komitetowi Centralnemu tekst rezolucji w kwestii "spisku megrelskiego". Megrelowie byli spokrewnioną językowo z Gruzinami kaukaską grupą etniczną, z której wywodził się sam Beria -

niemal z całą pewnością ostateczny cel rozpętanej przez Stalina kampanii.

Nie on jeden zresztą miał paść ofiarą przedśmiertnego szaleństwa dyktatora. W 1952 roku Stalin zaczął przejawiać wzmożone zainteresowanie represjami wobec kolejnej grupy narodowościowej. W

listopadzie 1952 roku w Czechosłowacji postawiono przed sądem czternastu czołowych działaczy partii komunistycznej - w tym jedenastu Żydów - pod zarzutem "syjonistycznego awanturnictwa". Miesiąc później Stalin oznajmił, że "każdy Żyd jest nacjonalistą i agentem wywiadu amerykańskiego". Trzynastego stycznia 1953 roku "Prawda" doniosła o odkryciu "spisku lekarzy", "terrorystycznego ugrupowania lekarzy", którego celem było - jak podano - "uśmiercenie czołowych działaczy politycznych Związku Sowieckiego". Sześciu z dziewięciu "lekarzy terrorystów" było Żydami. Wszystkim postawiono zarzut rzekomych powiązań z Żydowskim Komitetem Antyfaszystowskim, którego czołowych przedstawicieli - intelektualistów i pisarzy żydowskich -

skazano kilka miesięcy wcześniej za zbrodnię "kosmopolityzmu". "Spisek lekarzy" był tragiczną ironią losu. Chociaż zaledwie 10 lat wcześniej setki tysięcy Żydów sowieckich z zachodnich ziem kraju wymordowali Niemcy a setki tysięcy innych zbiegło do Związku Sowieckiego z Polski, szukając schronienia przed hitlerowcami, ostatnie dni swego życia Stalin spędził, przygotowując nową serię procesów pokazowych, nową falę masowych represji, skierowanych właśnie przeciwko Żydom. Niewykluczone, że w ostatecznym rozrachunku zamierzał również wysiedlić wszystkich Żydów z większych miast sowieckich do Azji Centralnej i na Syberię.

Cały kraj znów ogarnął strach. Zastraszeni intelektualiści żydowscy podpisali

petycję z żądaniem skazania "morderców w białych kitlach"; aresztowano setki

innych lekarzy żydowskich, Żydów wyrzucano z pracy, przez cały Związek Sowiecki przetoczyła się

fala antysemityzmu. Zesłana do Karagandy Olga Adamowa-Sliozberg słyszała krążącą wśród miejscowych plotkę o paczkach wysyłanych pocztą przez ludzi o żydowskich nazwiskach. W paczkach tych - jak odkryto rzekomo później

- znajdowały się kłębki bawełny rojące się od wszy zarażonych tyfusem.

W tym samym mniej więcej czasie Isaak Filsztinski słyszał w Kargopolu plotkę, że wszyscy Żydzi mają być zesłani do specjalnych obozów na Dalekiej Północy. I oto, w momencie gdy wyglądało na to, że lada dzień "sprawa lekarzy" pociągnie za sobą dziesiątki tysięcy nowych wyroków łagru, kiedy na szyi Berii i jego pretorian coraz wyraźniej zaciska się pętla, a cały system Gułagu staczał się nieuchronnie w odmętę nieodwracalnego kryzysu, zmarł Stalin.

ROZDZIAŁ 23

Śmierć Stalina

W ROKU 1930 wielu zeków jeszcze wierzyło, że Gułag to jakaś wielka pomyłka, potworny błąd, który ktoś ukrywa przed dobrotliwym okiem towarzysza Stalina; w latach pięćdziesiątych złudzenia tego rodzaju żywiła zaledwie ich garstka.

"Przygniatająca większość wiedziała, co wyprawia, zdawała sobie sprawę, że to tyran, który trzyma za pysk cały wielki kraj, i że los każdego więźnia związany

jest tak czy inaczej z losem samego Stalina" - komentuje panujące podówczas nastroje obozowy lekarz Aleksandrowski. W ostatnich latach życia Stalina więźniowie wyczekiwali jego śmierci, modlili się o nią i ciągle o niej - choć w obawie przed konfidentami metaforycznie i dwuznacznie - napomykali. Ach - westchnął czasem ten i ów w sposób nie zagrażający oskarżeniem - Gruzini są długowieczni, wyrażając w ten sposób nadzieję, że może jednak ten właśnie konkretny Gruzin będzie stanowił wyjątek od reguły. Język za zębami trzymano nawet wówczas, gdy zachorował. "Cóż. Każdemu zdarza się zachorować. Ma dobrych lekarzy, wyleczą go" - tak Maria Ulanowska zareagowała na wiadomość o ciężkiej, a jak się wkrótce miało okazać, śmiertelnej chorobie Stalina, którą przekazała jej więźniarka, ciesząca się w łagrze opinią konfidentki.

Niektórzy zachowywali ostrożność nawet po 5 marca 1953 roku, kiedy wydano oficjalny komunikat o śmierci wodza. W obozach w Mordwie większość politycznych starannie ukrywała swoje podniecenie, w obawie, że mogą za nie zapłacić dodatkowym wyrokiem. Na Kołymie kobiety

"gorliwie zawodziły po zmarłym". Paweł Niegrietow wysłuchał

komunikatu o śmierci Stalina w stołówce jednego z łagpunktów workuckich: "Ani komendant, który odczytał komunikat, ani żaden z więźniów nie powiedział ani słowa. Wiadomość przyjęto w grobowym milczeniu. Nikt się nie odezwał". W jednym z łagpunktów Norylska więźniowie zgromadzili się na placu i w skupieniu wysłuchali wiadomości o "śmierci przywódcy narodów Związku Sowieckiego i wszystkich miłujących pokój ludzi na całym świecie". Na dłuższą chwilę

zapadło milczenie, po czym jeden z więźniów uniósł rękę. "Towarzyszu komendancie, żona przysłała mi trochę pieniędzy, nie wykorzystałem ich dotąd, chciałbym je więc wydać na bukiet kwiatów dla naszego Ukochanego Wodza. Mogę?". Inni jednak otwarcie odetchnęli z ulgą. W

Stieplagu powitano komunikat radosną wrzawą. W Wiatłagu więźniowie zdjęli z głów czapki i z okrzykiem hurra zaczęli wyrzucać je w powietrze.

Na ulicach Magadanu więźniowie pozdrawiali się słowami: "Wesołych świąt! Co za radość, że Chrystus zmartwychwstał!". Opisując ów dzień, po retorykę religijną sięga również Aleksandrowski: "Trzymał lekki mrozek; było bardzo, bardzo cicho... Niebo zaczynało błękitnieć. Jurij Nikotajewicz wznosił ręce i głęboko wzruszony obwieścił: "Niech dla Świętej Rosji zapieje kur. Zaczyna dzień w Świętej Rosji". Niemal wszyscy więźniowie i zesłańcy - obojętne, co czuli osobiście (jeśli w ogóle uczucia te manifestowali) - zrozumieli natychmiast, że jest to punkt zwrotny, że wszystko zacznie się zmieniać. "Teraz albo nigdy - taka była pierwsza myśl zesłanej do Karagandy poruszonej do głębi Olgi Adamowej-Sliozbeig - wszystko się zmieni. Teraz albo nigdy". Bernard Roeder usłyszał tę wiadomość w jednym z łagpunktów workuckich; przebierał się właśnie do pracy w kopalni.

„Wymieniano ukradkowe spojrzenia, oczy błyszczały triumfująco i nienawistnie, ludzie ożywili się, szeptali coś po kątach - po chwili cała sala opustoszała. Wszyscy śpieszyli przekazać tę radosną nowinę [...]. Tego dnia w Workucie stanęła praca.

Ludzie zbierali się w grupki i dyskutowali zajadle [...], podnieceni strażnicy z wieżyczek raz po raz telefonowali do siebie, wkrótce potem pojawili się pierwsi pijani”.

Komunikat o śmierci Stalina wywołał szok i głębokie poruszenie w kręgach

obozowej biurokracji. "Płakałam; wszyscy płakali, mężczyźni i kobiety, nie tając

łez" - wspomina Olga Wasiliewa, podówczas urzędniczka moskiewskiej centrali

Gułagu. Ona i jej koledzy z pracy - podobnie zresztą jak i miliony innych obywateli sowieckich - płakali nie tylko z żalu po utracie umiłowanego przywódcy. Nurtowała ich również obawa o własną karierę i przyszłość.

"Nie tylko płakałem za Stalinem. Martwiłem się o przyszłość kraju.

Wyczuwałem, że Beria zacznie rządzić wszystkimi dookoła, że to może być początek końca" - napisał później Chruszczow. Mówiąc o "końcu", miał oczywiście na myśli własny "koniec", nie ulegało bowiem wątpliwości, że śmierć Stalina wywoła nową falę krwawych porachunków. Wydaje się, że te same obawy stały się przyczyną masowej

"epidemii" zawałów serca, przypadków nadciśnienia i innych ciężkich schorzeń, na jakie – wedle oficjalnych doniesień - zaczęli nagle zapadać najwyżsi rangą dostojnicy hierarchii Gułagu. Niewykluczone zresztą, że stres oraz poczucie niepewności i całkowitej dezorientacji sprawiły, że ludzie ci rzeczywiście podupadali na zdrowiu - byli chorzy ze strachu.

Zdezorientowani byli nie tylko obozowi nadzorcy, równie niepewnie czuli się nowi lokatorzy

Kremla. Potwierdziły się obawy Chruszczowa. Beria, który z największym tylko trudem ukrywał satysfakcję, jaką sprawił mu widok zwłok Stalina, wziął się energicznie do reformy całego systemu.

Zmiany następowały w zaskakującym tempie. Szóstego marca, jeszcze przed pogrzebem "Umiłowanego Przywódcy", Beria rozpoczął gruntowną reorganizację systemu tajnej policji. Nakazał jej szefom przekazać administrację Gułagu w ręce Ministerstwa Sprawiedliwości; kompetencjom MWD miały odtąd podlegać wyłącznie specjalne obozy dla więźniów politycznych. Kontrolę nad wielkimi przedsięwzięciami gospodarczymi Gułagu przejęły odpowiednie ministerstwa resortowe - leśnictwa, przemysłu surowcowego, wydobywczego i lekkiego.

Dwudziestego drugiego marca Beria nakazał wstrzymanie realizacji ponad dwudziestu sztandarowych inwestycji Gułagu, jako "rozmiągających się z potrzebami gospodarki narodowej". Stała się budowa Wielkiego Kanału Turkmeńskiego, tamy w dolnym biegu Donu, kanału Wołga-Ural, kanału Wołga-Morze Bałtyckie, portu w Doniecku i podmorskiego tunelu na Sachalin. Przerwano również prace na "szlaku śmierci" - linii kolejowej Salechard-Igarka. Nie ukończono jej nigdy. Dwa tygodnie później Beria przedstawił Komitetowi Centralnemu zadziwiająco klarowny raport o stanie obozów pracy. Stwierdził w nim, że w chwili obecnej w łagrach znajduje się 2 526 402 więźniów, z których jedynie 221 435 to

"niebezpieczni przestępcy polityczni", i przedstawiał argumenty przemawiające za zwolnieniem znacznej części pozostałych. „Wśród odbywających wyrok więźniów 438 788 to kobiety, w tym 6286

ciężarnych i 35 505 kobiet z dziećmi poniżej drugiego roku życia. Wiele kobiet [więźniarek] ma dzieci poniżej dziesiątego roku życia, które wychowują się u krewnych albo w domach dziecka. W miejscach odosobnienia znajduje się 238 tysięcy więźniów w starszym wieku -

kobiet i mężczyzn powyżej pięćdziesiątego roku życia - oraz młodociani, poniżej osiemnastu lat, skazani na ogół za drobne kradzieże i chuligaństwo. Około 198 tysięcy więźniów, odbywających karę w łagrach, cierpi na poważne, nieuleczalne choroby i jest całkowicie niezdolnych do pracy. Powszechnie wiadomo, że [...] sytuacja bliskich i krewnych więźniów obozów jest bardzo trudna; rodziny często rozpadają się wraz z wszystkimi, bardzo poważnymi tego konsekwencjami, na całą resztę ich życia”.

Beria domagał się, by ze względów humanitarnych amnestia objęła wszystkich

więźniów z wyrokami krótszymi niż pięcioletnie, kobiety ciężarne, wychowujące

dzieci, i nieletnich poniżej osiemnastego roku życia - w sumie około miliona ludzi. Amnestię ogłoszono 27 marca. Zwolnienia z łagrów rozpoczęły się dosłownie

natychmiast. Już 4 kwietnia Beria polecił przerwanie śledztwa w sprawie

"spisku lekarzy". Był to pierwszy symptom zmian widoczny dla całego społeczeństwa. "Prawda" poinformowała również, że "osoby oskarżone o niewłaściwe prowadzenie śledztwa zostały

aresztowane i będą pociągnięte do odpowiedzialności karnej"".

Implikacje tego faktu były oczywiste - stalinowski system wymiaru sprawiedliwości oficjalnie uznano za niedoskonały. Nie koniec na tym.

Beria zakazał funkcjonariuszom tajnej policji stosowania wobec aresztowanych przemocy fizycznej kładąc tym samym kres praktyce ich torturowania. Próbował zrewidować politykę sowiecką wobec Ukrainy, byłych państw bałtyckich, a nawet Niemiec Wschodnich, wstrzymać proces ich rusyfikacji i sowietyzacji, co zresztą - w przypadku Ukrainy -

zrobił już wcześniej Chruszczow. W kwestiach dotyczących Gułagu Beria wyłożył 16 czerwca karty na stół, ogłaszając publicznie zamiar

"zlikwidowania systemu pracy przymusowej z racji jego nieefektywności i braku perspektyw rozwoju". Do dzisiaj niejasne są motywy, które skłoniły go do dokonania zmian tak szybkich i gwałtownych. Niektórzy próbują przedstawić go jako ukrytego pod maską stalinisty zdeklarowanego liberała, marzącego o gruntownej reformie systemu. Koledzy z Politbiura podejrzewali go o chęć ugruntowania wpływów aparatu tajnej policji, kosztem Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego - uwolnienie jej od uciążliwego i kosztownego w utrzymaniu garbu obozów było najprostsza metodą umocnienia tej instytucji. Nie da się też wykluczyć, że Beria starał

się w ten sposób zaskarbić sobie popularność, tak w oczach całego społeczeństwa sowieckiego, jak i dość licznej grupy aresztowanych i skazanych w latach poprzednich byłych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, zwalnianych teraz z łagrów - politykę ponownego zatrudniania w organach wypuszczanych na wolność enkawudzistów prowadził zresztą już w drugiej połowie lat czterdziestych, zyskując sobie bezwarunkową ich lojalność. Najbardziej jednak prawdopodobnym wytłumaczeniem jego zachowania - jak się wydaje - jest fakt, że Beria, jak chyba nikt inny w całym Związku Sowieckim, wiedział, jak skrajnie niewydolny ekonomicznie jest cały system sowieckich obozów pracy przymusowej i zdawał sobie sprawę, że zdecydowana większość zeków to ludzie całkowicie niewinni. Ostatecznie to on przez całą poprzednią dekadę nadzorował ten system i aresztował tych ludzi. Bez względu na to, jakie kierowały nim pobudki, Beria działał jednak zbyt szybko. Jego reformy wywołały konsternację i niepokój kolegów partyjnych.

Największe powody do obaw miał Chruszczow - skądinąd Beria stanowczo go nie doceniał - który po pierwsze, jako jeden z przypuszczalnych reżyserów śledztwa w "sprawie lekarzy", a po drugie ze względu na swą pozycję na Ukrainie miał wszelkie podstawy, by przypuszczać, że prędzej czy później znajdzie się na czołowym miejscu nowej listy "wrogów ludu". Nic więc dziwnego, że przystąpił do zakulisowej gry, mającej na celu zdyskredytowanie Berii w oczach reszty Politbiura. W atmosferze niepewności i braku zaufania szeptana propaganda pierwszego sekretarza partii ukraińskiej zrobiła swoje; pod koniec czerwca Chruszczow miał już w zasadzie wszystkich po swojej stronie. Posłuszne mu oddziały wojska otoczyły Kreml, w którym odbywało się posiedzenie rządu. Zaskoczenie było kompletne. Trzęsącego się i bełkoczącego ze strachu Berię - najpotężniejszą osobą w całym ZSRS

- aresztowano i wtrącono do więzienia. Siedział w nim pół roku, pisząc -

wzorem swoich poprzedników, Jagody i Jeżowa - listy z błaganiem o łaskę. Proces Berii odbył się w grudniu. Nie wiadomo, czy rozstrzelano go wcześniej, czy dopiero po formalnym ogłoszeniu wyroku, tak czy inaczej pod koniec 1953 roku już nie żył. Nowi przywódcy odeszli od niektórych reform Berii równie pośpiesznie, jak wcześniej je wprowadzono. Ani jednak Chruszczow, ani żaden z jego następców nigdy nie miał zamiaru kończyć porzuconych inwestycji budowlanych Gułagu. Nikt nie wstrzymał Beriowskiej amnestii. Zwolnienia z łagrów wciąż trwały - co zdaje się zresztą wskazywać, że w efektywność ekonomiczną obozów pracy przymusowej wątpił nie tylko Beria. Nowe przywództwo sowieckie doskonale także zdawało sobie sprawę, że łagry są kamieniem u nogi gospodarki państwa, a miliony zamkniętych w nich więźniów to ludzie zupełnie niewinni. Zaczęło się odliczanie - era Gułagu zbliżała się ku końcowi. Bacznie wsłuchujący się w dochodzące z Moskwy pogłoski personel łagrów

również starał się dostosować do nowej sytuacji. Wielu wyższych funkcjonariuszy,

skoro tylko wyzbyło się lęku, z dnia na dzień zmieniło swój stosunek do więźniów, liberalizując regulaminy, zanim jeszcze kazała im to zrobić Moskwa. Jeden z komendantów kołymskiego łagpunktu, w którym siedział Alexander Dolgun, na samą wiadomość o chorobie Stalina, jeszcze przed komunikatem o jego śmierci,

nabrał zwyczaju podawania zekom ręki i zwracania się do nich per

"towarzyszu" .

"Rezim obozowy złagodniał, stał się bardziej ludzki" - wspomina Aleksandrowski. Trochę inaczej ujmuje to Zorin: "Strażnicy nie obnosili się już z tego rodzaju

patriotyzmem, jaki okazywali za życia Stalina". Zaprzestano karania więźniów

odmawiających wykonania szczególnie nieprzyjemnych i uciążliwych obowiązków albo pracy w niedzielę. Dochodziło do spontanicznych wybuchów protestu, a ich uczestnicy, o dziwo, pozostawali bezkarni albo -

jak przypomina sobie Barbara Armonas - osiągnęli to, co chcieli.

„Amnestia ta w jakiś sposób zachwiała elementarnymi normami obozowej dyscypliny [...]. Pewnego razu wracaliśmy z pola podczas burzy; byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Posłano nas wprost do łaźni, nie pozwalając przedtem wejść do baraków. Nie spodobało się to nikomu - marzyliśmy o suchych ubraniach. Długa kolejka więźniów zaczęła protestować, zeki klęli, krzyczeli i wyzywali administrację łagru od "czekistów" i

"faszystów". A potem więźniowie po prostu odmówili ruszenia się z miejsca. Nie pomogły ani prośby, ani groźby. Po godzinie administracja poddała się; pozwolono

rozejść się do baraków i przebrać w suche rzeczy”. Zmiany te nie pozostawały bez wpływu na więźniów. Pieczuro - która bezpośrednio po śmierci Stalina kilka miesięcy spędziła w pojedynczej celi więzienia w Moskwie, dokąd przeniesiono ją z łagru w związku z toczącym się śledztwem w "sprawie lekarzy" - pamięta, że w pewnym momencie przesłuchanie nagle przerwano. "Rozumie pani, nie jestem temu winien, nigdy nie wyrządziłem pani krzywdy, nigdy pani nie uderzyłem" -

oznajmił jej śledczy, kazać jednocześnie przenieść ją do innej celi. Tam Pieczuro po raz pierwszy usłyszała o śmierci Stalina. Zaczęła dopytywać się, o co chodzi, ale pozostałe więźniarki nabrały wody w usta. O śmierci Stalina wiedzieli wszyscy, uznały więc, że ktoś, kto zadaje tego rodzaju pytania, musi być konfidentem, starającym się wy badać panujące w więzieniu nastroje. Minął cały dzień, zanim Pieczuro zdołała je przekonać, że naprawdę nic nie było jej o tym wiadomo. Odtąd sytuacja zmieniała się diametralnie: „Strażnicy bali się nas, robiliśmy, co nam się podobało, krzyczałyśmy i rozmawiałyśmy na spacerunku, wyglądałyśmy przez okna, nie wstawaliśmy, kiedy wchodzili do celi i kazali nam kłaść się spać. Pół roku wcześniej rozstrzelano by nas za coś takiego”. Nie wszystko jednak uległo zmianie. W marcu 1953 roku przesłuchiowano również Leonida Trusa. Nie da się co prawda wykluczyć, że śmierć Stalina ocaliła go od egzekucji, ale i tak dostał 25 lat; innego więźnia z jego celi skazano na 10 lat za to, że niezbyt taktownie skomentował fakt zgonu przywódcy. Nie wszystkich też zwalniano. W gruncie rzeczy amnestia objęła tylko niepełnoletnich, starców, kobiety z dziećmi i skazanych z wyrokami krótszymi niż pięcioletnie - orzekanymi w przeważającej większości wypadków za przestępstwa natury kryminalnej albo zupełnie już błahe wykroczenia polityczne. W Gułagu pozostało dobrze ponad milion zeków, w tym kilkaset tysięcy więźniów politycznych. W niektórych obozach więźniowie nie odstępowali zwalnianych na krok, obsypywali ich upominkami i prosili o przekazanie listów rodzinie i przyjaciołom. Równie często dochodziło do ostrych podziałów i animozji między wypuszczanymi z łagru a resztą, która miała w nim pozostać. Nawet po czterdziestu latach jeden z więźniów, którego nie objęła Beriowska amnestia, nazwał ją z goryczą "amnestią dla kieszonkowców", wolnością dla drobnych złodziejasków: "Kryminaliści nie posiadali się ze szczęścia - wszystkich zwalniano". W jednym z obozów kryminalistki skazane na długoletnie wyroki z czystej zazdrości pobiły koleżankę, która opuszczała obóz. Amnestionowani, trzymający się z dala od innych "kryminalistów" i spoglądający na nich z góry, budzili niechęć ogółu. Amnestia spowodowała też inne, nieznane dotąd w łagrach zjawisko. Skazani na długie wyroki próbowali wymuszać na obozowych lekarzach świadectwa o złym stanie zdrowia - również stanowiące podstawę do natychmiastowego zwolnienia. Opornych zastraszano i bito.

W Peczorłagu doszło do sześciu takich incydentów: lekarzy

"systematycznie szantażowano", kilku pobito, a jednego zraniono nożem.

W Jużkuzbasłagu czterech więźniów groziło lekarzowi śmiercią; w niektórych łagrach liczba zwolnionych "inwalidów" znacznie przekraczała ogólną liczbę niezdolnych do pracy uwzględnionych w obozowych statystykach. Zupełnie innego rodzaju emocje przeżywali więźniowie tak zwanych obozów specjalnych. Ta kategoria zeków rzeczywiście różniła się od pozostałych ludzi wysokimi wyrokami 10, 15 czy 25 lat i nie miała żadnych szans skorzystania z dobrodziejstw Beriowskiej amnestii. W

pierwszych miesiącach po śmierci Stalina ich sytuacja uległa minimalnej poprawie - złagodzone nieco reżim odbywania kary: mogli już teraz otrzymywać paczki, ściślej jedną paczkę na rok, a władze obozów -

niechętnie co prawda - wydały zgodę na rozgrywki piłkarskie między zespołami poszczególnych łagrów. Nadal jednak musieli nosić oznakowane numerami uniformy więzienne, nadal spali w zamykanych na noc barakach z okratowanymi oknami, a ich kontakty ze światem zewnętrznym ograniczono do absolutnego minimum. Była to najprostsza recepta na wybuch buntu. W roku 1953 ścisła separacja więźniów obozów specjalnych od kryminalistów i "zwykłych" politycznych trwała już piąty rok (wprowadzono ją w 1948). Zostawieni sami sobie stworzyli system organizacji wewnętrznej oraz struktury zbiorowego oporu nieporównywalne z czymkolwiek, co znał do tej pory Gułag. Od lat sytuacja w łagrach specjalnych balansowała na krawędzi rebelii, kwitła konspiracja, zawiązywano spiski, przygotowywano plany powstania. Od otwartego wybuchu powstrzymywała więźniów jedynie nadzieja na generalną amnestię po śmierci Stalina. A kiedy Stalin umarł i wszystko pozostało po starym, nadzieja przerodziła się w gniew.

ROZDZIAŁ 24

Rewolucja zeków

„Nie mogę zasnąć. Wyje zamieć Z

zamierzchłych, zapomnianych czasów W

stepie stoją barwne namioty Tamerlana

Migocą ogniska, migocą ogniska

Zostanę mongolską księżniczką

Galopującą głęboko w przeszłość Do

pieśni o moim koniu Wtłoczę moich

bliskich i moich wrogów

A potem, w bitwie, W

niewyobrażalnej, krwawej orgii W

chwili miażdżącej klęski Przebije

się mieczem”

Anna Barkowa „W obozowym baraku”

PO ŚMIERCI STALINA obozy specjalne - tak samo zresztą jak cały kraj -

zatrzęsły

się od plotek. Beria został obalony. Beria nie żyje. Marszałek Żukow i admirał Kuzniecowa wkroczyli do Moskwy. Czołgi szturmują Kreml, Chruszczow i Mołotow

zginęli zamordowani. Będą zwalniać wszystkich więźniów, wszyscy więźniowie

będą rozstrzelani, obozy zostały otoczone przez wojska MWD gotowe do stłumienia

wszelkich oznak buntu. Więźniowie już nie dzielili się tymi informacjami szeptem, ale wykrzykiwali je na głos i snuli najbardziej fantastyczne plany i spekulacje. Jednocześnie wyraźnie umocniły się istniejące w łagrach struktury "etniczne" struktury klanowe i wzajemne między nimi kontakty.

Typową, jak się wydaje dla tego okresu sytuację przedstawia relacja Wiktora Bułgakowa, aresztowanego wiosną 1953 roku (a ściślej, dokładnie tej nocy, której rozstał się z życiem Stalin) pod zarzutem przynależności do antystalinowskiego, studenckiego kółka politycznego.

Wkrótce potem trafił do Minłagu, obozu specjalnego w zagłębiu węglowym Inta, na północ od koła podbiegunowego.

Przedstawiony przez niego opis atmosfery panującej w Minłagu jest diametralnie odmienny od tego, co można znaleźć we wspomnieniach więźniów poprzedniej epoki. Kilkunastoletni podówczas Bułgakow z dnia na dzień znalazł się w społeczności dobrze zorganizowanej, o poglądach zdecydowanie anty stalinowskich

i anty sowieckich. Do strajków i protestów dochodziło "regularnie".

Więźniowie

tworzyli kilka odrębnych grup narodowych o wyraźnie odmiennych cechach indywidualnych. Białtowie mieli "zwartą organizację o słabo zarysowanej hierarchii wewnętrznej". Ukraińcy, w większości dawni żołnierze UPA, "byli zorganizowani wyjątkowo dobrze; ich przywódcy przed aresztowaniem działali w zbrojnym podziemiu i dobrze znali się nawzajem, toteż cała struktura powstała niemal automatycznie". W obozie znajdowali się również przekonani komuniści, rozbici wszakże na dwie kategorie - tych, którzy po prostu trzymali się ślepo aktualnej linii partii, oraz komuniści z przekonania i światopoglądu, którzy wierzyli w możliwość zreformowania ustroju sowieckiego. Sam Bułgakow należał do Narodowego Związku Pracy (Narodno-Trudowyj Sojuz - NTS) -

antystalinowskiego ugrupowania politycznego, o którym głośniej stało się dopiero kilkanaście lat później, kiedy ogarnięte manią prześladowczą władze sowieckie wszędzie zaczęły doszukiwać się jego wpływów.

Poprzednia generacja więźniów byłaby z całą pewnością równie zaskoczona rodzajem działalności, jaką Bułgakow uprawiał w obozie. W

Minłagu więźniowie wydawali gazetkę podziemną, przepisywaną ręcznie i krążącą po wszystkich łagpunktach; udało im się sterroryzować

"pridurków", którzy "zaczęli się ich bać", i - podobnie jak więźniowie innych obozów specjalnych - toczyli bezpardonową wojnę z konfidentami.

O zwalczaniu donosicieli wspomina również Dmitrij Panin:

„Sprawiedliwość wymierzaliśmy im systematycznie. W ciągu ośmiu miesięcy wykończono czterdziestu pięciu więźniów. Operacją przeciwko nim kierowało podziemne centrum [...], kilku więźniów kapusiów, nie mogąc wytrzymać wiszącej nad nimi groźby likwidacji, próbowało uniknąć swego losu, chroniąc się w izolatorze. Trzymano ich tam w jednej celi nazywanej "norą tchórzów". Ilija Gole pisze, że zabójstwa konfidentów stały się "zjawiskiem tak powszechnym, że przestano się im dziwić i zwracać na nie uwagę", a informatorzy "szybko wymierali". Po raz kolejny okazuje się, że stosunki panujące w łagrach były odzwierciedleniem i amplifikacją tego, co działo się poza światem obozów. Antysowiecka partyzantka na zachodniej Ukrainie starała się zdeorganizować i zniszczyć sieć informatorów NKWD, a jej przywódcy kontynuowali tego rodzaju działania w obozach. Najwyraźniej świadoma stanu rzeczy komendantura łagru opisywanego przez Panina odseparowała Ukraińców - uważanych za sprawców gwałtownej śmierci kilku konfidentów - od reszty więźniów. Rozdrażniło ich to tylko i umocniło łączące tę grupę więzy solidarności.

W 1953 roku towarzysze Bułgakowa z Minłagu gromadzili również dane dotyczące warunków życia w obozie oraz liczby więźniów przewijających się przez łagier. Dokumenty te starano się później przemycić na Zachód za pośrednictwem

skłonnych do współpracy strażników i za pomocą innych metod -

rozwinętych

później i udoskonalonych w "dysydenckich" obozach specjalnych epoki lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Do obowiązków Bułgakowa należała troska o

bezpieczeństwo nielegalnego "archiwum", w którym przechowywano również

utwory poetyckie zeków. Podobną funkcję pełnił Leonid Sitko w Stieplągu. Dokumenty - "krótkie życiorysy więźniów, listy zmarłych, sprawozdania o warunkach panujących w łagrze włącznie z danymi o śmiertelności więźniów (potwierdzone przez lekarkę Galinę Miskinę), informacje o strukturze i dynamice podziemnych organizacji więźniarskich w obozach na terytorium Kazachstanu, materiały dziejów Stieplągu i utwory poetyckie" - ukrywał w piwnicy budowanego przez więźniów

gmachu mieszkalnego. Sitko i Bułgakow byli po prostu przekonani, że pewnego dnia łagry zostaną zlikwidowane, baraki spalone, a ukryte dokumenty można będzie odzyskać. Dwadzieścia lat wcześniej nikt nie odważyłby się nawet o czymś takim pomyśleć, nie mówiąc już o tym, aby podjąć w tej mierze jakiegokolwiek działania. Strategia i taktyka działalności konspiracyjnej upowszechniała się w łagrach w błyskawicznym tempie, co skądinąd było w niemałej mierze mimowolną zasługą samej administracji Gułagu. W przeszłości więźniów podejrzewanych o udział w nielegalnych ugrupowaniach podziemnych po prostu rozdzielano i wysyłano do różnych obozów, co skutecznie dezorganizowało wszelkie związki konspiracyjne,

zanim jeszcze zdążyły na dobre rozpocząć swoją działalność. W

odniesieniu jednak do specyficznej kategorii łagrów, jaką były obozy specjalne, metoda ta przynosiła skutki dokładnie odwrotne od zamierzonych. Częsta rotacja więźniów, zamiast służyć likwidacji ugrupowań podziemnych, zakażała bakcylem buntu coraz to nowe komórki systemu. „Na północ od koła podbiegunowego lata są krótkie i bardzo gorące. Pod koniec maja ruszają lody na rzekach, noce stają się coraz krótsze, na koniec wreszcie nastaje długi dzień polarny. W czerwcu, a w niektórych latach dopiero w lipcu, słońce zaczyna nagle niemiłosiernie przypiekać i wtedy, niemal z godziny na godzinę rozkwita cała roślinność subarktyczna - przez kilka tygodni tundra mieni się wszystkim barwami tęczy. W ludziach żyjących w zamknięciu przez dziewięć długich, zimowych miesięcy budzi to nieodpartą tęsknotę za otwartą przestrzenią, przemożne pragnienie wolności. W ciągu kilku letnich dni mojego pobytu w Workucie spostrzegłam, że mieszkańcy tego miasta prawie w ogóle nie kładą się spać, o każdej porze spacerują po ulicach, przesiadują w parkach albo gawędzą na gankach domów”.

Nieprzypadkowo większość ucieczek z najdalej na północ wysuniętych łagrów podejmowano wiosną i nieprzypadkowo właśnie wiosną dochodziło w nich do wybuchu najstraszniejszych - najbardziej masowych i groźnych - buntów. Wiosną 1953 roku nastroje panujące w Gorłagu, obozie specjalnym kompleksu łagrów norylskich, bliskie były punktu krytycznego. Jesienią poprzedniego roku przeniesiono tu tysiącdwuosobową grupę więźniów z Karagandy - w większości uczestników zbrojnej próby ucieczki i akcji protestacyjnych, do jakich doszło tam kilka miesięcy wcześniej. Aresztowano ich za "działalność kontrrewolucyjną na zachodniej Ukrainie i w państwach bałtyckich". W

raporcie można przeczytać, że komitet organizacyjny założyli już w transporcie do Norylska. Z relacji samych więźniów wynika, że kilka dni po przybyciu na miejsce "Karagandczycy" zabili kilofami czterech obozowych konfidentów. Wiosną 1953 roku w obozie powstała, jak to określało MWD, "organizacja anty sowiecka"; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa opierała się na istniejących już wcześniej klanach narodowych. Do pierwszych niepokojów doszło pod koniec maja.

Dwudziestego piątego maja konwojenci zastrzelili więźnia w drodze powrotnej z pracy. Nazajutrz rano dwie sekcje obozu rozpoczęły strajk protestacyjny. Kilka dni później straż otworzyła ogień do grupy zeków przerzucających listy przez ogrodzenie dzielące męską i kobiecą część łagru; było kilku rannych. Czwartego czerwca grupa więźniów przedarła się przez zasieki oddzielające barak karny od reszty zony i uwolniła dwudziestu czterech przetrzymywanych w nim więźniów, wprowadzając przy okazji jednego z funkcjonariuszy obozowej administracji jako zakładnika. Ochrona użyła broni; pięciu zeków zabito; czternastu odniosło rany. Do strajku przyłączyły się kolejne cztery sekcje obozu.

Piątego czerwca strajkowało już 16 379 więźniów. Obóz otoczyło wojsko, wszystkie drogi wyjścia zostały odcięte. W tym samym mniej więcej czasie akcje protestacyjne rozpoczęły się w Rieczłagu - obozie specjalnym w Workuckim Zagłębiu Węglowym. Próbę zorganizowania strajku powszechnego podjęto tam już w 1951 roku; miejscowe władze utrzymywały później, że w latach 1951-1952 wykryto nie mniej niż pięć

"organizacji kontrrewolucyjnych". W chwili śmierci Stalina osadzeni w Rieczłagu mieli dobrze zorganizowany system odbioru i powielania napływających ze świata zewnętrznego informacji. Więźniowie, wyznaczeni przez działające w obozie "klany", prowadzili regularny nasłuch rozgłośni zachodnich (posługując się skradzionymi lub wypożyczonymi odbiornikami radiowymi), na którego podstawie wydawali, kolportowane później w obozie, biuletyny informacyjne.

Wiedzieli więc nie tylko o śmierci Stalina

i aresztowaniu Berii, ale również o masowych strajkach, do jakich doszło siedemnastego czerwca 1953 roku we wschodnim Berlinie, i o ich stłumieniu przez wojska sowieckie. Doniesienia te spowodowały gwałtowną radykalizację nastrojów - skoro mogli zastrajkować berlińczycy, możemy i my. "Ich woła walki była dla nas natchnieniem, przez kilka następnych dni nie mówiliśmy o niczym innym. Letnie słońce stopiło śnieg, a jego ciepło budziło w nas nowe siły i odwagę.

Rozważaliśmy szansę "wystrajkowania" sobie wolności; nikt jednak nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać" - wspomina John Noble, Amerykanin aresztowany w Dreźnie tuż po zakończeniu działań wojennych.

Trzydziestego czerwca w kopalni "Kapitalna" zaczęto rozdawać ulotki wzywające więźniów do "wstrzymania dostaw węgla". Tego samego dnia na murze otaczającym kopalnię nr 40 ktoś napisał hasło: "Żadnego węgla przed amnestią". Ciężarówki odjeżdżały sprzed kopalni puste - górnicy przerwali wydobywanie. Siedemnastego lipca doszło do incydentu, który wzbudzał jeszcze większe zaniepokojenie administracji kopalń -

więźniowie pobili sztygara (rzekomo dlatego, że wezwał ich do

"przerwania sabotażu"). Sztygar następnej zmiany odmówił zjazdu na dół.

Dokładnie w tym właśnie momencie, kiedy Rieczłag z zapartym tchem wsłuchiwał się w wiadomości napływające z kopalni, do obozu przybył

kolejny, duży kontyngent więźniów, również z Karagandy. Ludziom tym obiecano poprawę warunków bytu i rewizję wyroków, a tymczasem trafili do workuckiej kopalni nr7 cieszącej się najgorszą sławą w całym systemie Gułagu. Dzień później, dziewiętnastego lipca, trzystu pięćdziesięciu z nich zastrajkowało. Pociągnęło to za sobą kolejne strajki, co w części było zasługą topografii workuckiego basenu węglowego i struktury jego systemu komunikacyjnego. Workutłag znajdował się bowiem w samym centrum terenu skrywającego jedno z największych złóż węgla kamiennego na świecie. Kopalnie, eksploatujące pokaźne złoża tego surowca, zbudowano wzdłuż obwodu zagłębia, w niewielkich odstępach i między nimi znajdowały się inne przedsiębiorstwa - zakłady energetyczne, cegielnie i cementownie - połączone ze sobą, jak również z Workutą i mniejszym osiedlem miejskim

Jur-Szor, linią kolejową - obsługiwaną, jak zresztą wszystko w regionie Workuty - przez zeków. Dzięki temu wszelkie informacje rozchodziły się po Workutłagu błyskawicznie i w takim samym tempie rozszerzał się też zasięg rebelii. Załoga pociągu przekazywała po drodze wiadomości o wybuchu strajku w kopalni nr7, a tysiące więźniów widziało hasło: "Do diabła z węglem. Chcemy wolności", wymalowane wielkimi literami na ścianach wagonów. Do strajku przyłączał się obóz za obozem; dwudziestego dziewiątego czerwca zastrajkowało sześć z siedemnastu łagpunktów Rieczłagu - 15 604 ludzi.

W większości zbuntowanych ośrodków kontrolę nad sytuacją, którą z pełnym uzasadnieniem określić można jako wyjątkowo zapalną, przejęły komitety strajkowe, usiłujące zorganizować system dystrybucji żywności i powstrzymać więźniów przed masowym odwetem na zupełnie już teraz bezbronnych konfidentach. Z relacji byłych więźniów i z dokumentów archiwalnych wynika, że zarówno w Rieczłagu, jak i Gorłagu niemal zawsze komitetami kierowali (jeśli w ogóle można mówić o jakimkolwiek kierownictwie) Ukraińcy z zachodniej Ukrainy, Polacy lub Bałtowie.

MWD twierdziło później, że przywódcą ruchu oporu w Norylsku był

Ukrainiec, Gierman Stiepaniuk, a jednym z organizatorów oporu w Workucie "były kapitan Wojska Polskiego" - Kędziński. Rolę jednego z przywódców strajku w workuckiej kopalni nr 29 przypisuje sobie również inny Polak, Edward Buca. Mimo że Buca rzeczywiście przebywał

wówczas we wspomnianym łagrze, istnieją poważne podstawy, by powątpiewać w wiarygodność jego wspomnień, już choćby z tej przyczyny, że po stłumieniu zamieszek przywódców akcji protestacyjnej przeważnie rozstrzelano. Nacjonaliści ukraińscy twierdzili później, że wszystkie ważniejsze strajki w Gułagu były dziełem i zasługą ich organizacji konspiracyjnych, których przedstawiciele odgrywali w wielonarodowych komitetach strajkowych rolę szarych eminencji. "Przeciętny więzień - dotyczy to głównie cudzoziemców i Rosjan - ani

nie uczestniczył w podejmowaniu decyzji, ani też nie rozumiał struktury i zasad

działania całego ruchu". Dowodem na to mają być dwa "etapy karagandzkie", które przybyły do łagrow niemal w przededniu wybuchu strajków. Inni przytaczają

ten sam argument na poparcie tezy, że strajki w Workucie i Norylsku były prowokacją MWD - w obawie przed ewentualną likwidacją obozów pracy przez Chruszczowa funkcjonariusze tajnych służb postanowili sprowokować wybuch tylko po to, aby go następnie stłumić, dowodząc tym samym, że nadal są nieodzowni. "Kto rządził obozami? Tysiące ludzi nie mających żadnego zawodu przydatnego w cywilu, nawykłych do rozpasanego bezprawia, traktujących więźniów jak swoją własność prywatną, z którą mogą robić, co im się żywnie podoba. A przy tym,

w porównaniu ze zwykłymi, ciężko pracującymi obywatelami, wysoko opłacani" - stwierdza Siemion Wileński, niegdyś zek, a obecnie wydawca, a także organizator dwóch konferencji naukowych poświęconych historii ruchu oporu w łagrach. Jest on przekonany, że w 1953 roku sam był

naocznym świadkiem podobnej prowokacji w swoim obozie na Kołymie.

Pojawiła się tam niespodziewanie grupa nowych więźniów, którzy zaczęli otwarcie mówić o strajku, redagować ulotki i wciągać w tę działalność innych zeków. Zaczęli nawet wytwarzać noże w obozowym warsztacie ślusarskim. Zachowywali się wręcz prowokacyjnie, co Wileński uznał za w najwyższej mierze podejrzane - jego zdaniem komendantura łagru nieprzypadkowo tolerowała tego rodzaju zachowanie. W gruncie rzeczy obie te możliwości wcale nie muszą się wykluczać. MWD rzeczywiście mogło skierować świadomie do obozów zrebelizowanych Ukraińców po to, by wywołać z ich pomocą zamieszki. Przywódcy konspiracyjnych organizacji ukraińskich byli z kolei zapewne przekonani, że działają z własnej i nieprzymuszonej woli. Wydaje się jednak - wynika to zarówno z relacji byłych więźniów, jak i materiałów archiwalnych - że strajki w Workucie i Norylsku nabrały rozpędu, ponieważ obozowe "klany"

narodowe współpracowały zgodnie ze sobą. Tam gdzie trwała między nimi rywalizacja albo wzajemne stosunki pozostawały napięte - jak na przykład w Minłagu - akcje protestacyjne organizować było nieporównanie trudniej. Poza obozami strajki nie zyskały godnego wzmianki poparcia. Strajkujący w Gorłagu, obozie położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Norylska, wywiesili transparent: "Towarzysze, mieszkańcy Norylska! Wspomóżcie nas w walce!", a choć większość obywateli miasta stanowili dawni więźniowie, byli - jak się wydaje - zbyt zastraszeni, aby odpowiedzieć na ten apel. Raporty MWD, sporządzone kilka tygodni po stłumieniu strajków, choć pisane w specyficznym, resortowym języku, dość dobrze odzwierciedlają nastroje, jakie zapanowały zarówno wśród więźniów, jak i robotników wolnonajemnych.

"Jeśli strajkujący wyjdą poza zonę, będziemy z nimi walczyć, jak z wrogami" - przyrzekał solennie MWD księgowy jednego z łagrów. Inny robotnik wolnonajemny opisał śledczym traumatyczne spotkanie ze strajkującymi w kopalni. "Zostałem po szychcie, żeby dokończyć odwiertu. Podeszło do mnie kilku więźniów; zabrali mi świder pneumatyczny i kazali przerwać pracę, grożąc pobiciem. Przestraszyłem się i przestałem pracować". Na szczęście dla relacjonującego, więźniowie poświęcili mu latarkę w oczy i stwierdziwszy, że jest wolnonajemnym robotnikiem, puścili wolno. Bali się też komendanci okolicznych obozów, a strajkujący z Gorłagu i Rieczłagu zdawali sobie z tego sprawę. Toteż zaczęli domagać się spotkania z przedstawicielami władz i partii komunistycznej szczebla centralnego, argumentując, że administracja lokalna tak czy inaczej nie jest zdolna podjąć żadnej decyzji bez zgody centrali, co rzeczywiście odpowiadało prawdzie.

I rzeczywiście "Moskwa" przyjechała; w kilku przypadkach emisariusze ze stolicy spotkali się z komitetami więźniarskimi Gorłagu i Rieczłagu, aby ich

wysłuchać i przedyskutować ich postulaty. Spotkania te mogłabym nazwać bezprecedensowymi, ale i to określenie nie w pełni pozwala pojąć, jak niezwykłym były one novum. Nigdy dotąd na żądanie więźniów nie odpowiadano inaczej jak brutalną przemocą, teraz jednak w nowej, post stalinowskiej epoce Chraszczow - jak się wydaje - przynajmniej próbował

taktyki negocjacji. Zakończyły się one jednak fiaskiem. Czwartego dnia strajku w Workucie misja moskiewska z generałem Iwanem Maslennikowem na czele przedstawiła więźniom listę proponowanych koncesji: ośmiogodzinny dzień pracy, usunięcie numerów z obozowych uniformów, zgoda na widzenia i odwiedziny, prawo do korespondencji i otrzymywania przekazów pieniężnych od rodziny. W oficjalnym raporcie z przebiegu rozmów możemy przeczytać, że wielu więźniów

przyjęło ofertę "wrogo" i nie przerwało strajku. Z podobną reakcją spotkały się niemal identyczne propozycje w Gorłagu. Wszystko wskazuje, że więźniom chodziło o amnestię, a nie wyłącznie poprawę warunków odbywania kary. Nie był to wprawdzie rok 1938, ale również i nie 1989.

Stalin nie żył, ale żywa była jego spuścizna. W Norylsku władze obiecały co prawda z początku "rozpatrzyć postulaty więźniów", ale raport MWD

wyjaśnia, że "komisja MWD postanowiła zlikwidować strajki siłą".

Decyzja ta, którą niemal z całą pewnością podjął osobiście Chruszczow, miała natychmiastowe, dramatyczne konsekwencje. Oddziały wojska otoczyły strajkujące łagpunkty i kolejno, jeden po drugim "opróżniały" je z więźniów. Przywódców aresztowano, pozostałych wysyłano etapami do innych łagrów. W kilku przypadkach strajk złamano dość sprawnie.

Pierwszy punkt obozowy żołnierze opanowali przez zaskoczenie.

Prokurator Norylska Babiłow wezwał więźniów do opuszczenia zony, zapewniając, że ci, którzy wyjdą z obozu dobrowolnie, nie poniosą kary za udział w "sabotażu".

Oficjalny protokół MWD mówi, że zdecydowana większość usłuchała tego wezwania natychmiast, a po chwili w ich ślady poszli odosobnieni "prowodyrzy".

Wyprowadzono ich poza obóz, gdzie funkcjonariusze obozu pod eskortą żołnierzy dzielili więźniów na grupy. Na podejrzanych o zorganizowanie strajku czekały ciężarówki - pozostałym pozwolono wrócić do zony. W innych obozach nie poszło już tak gładko. W kolejnym łagpunkcie przywódcy strajku nie pozwolili więźniom opuścić obozu. Zabarykadowali się w barakach, skąd trzeba było usuwać ich siłą. W obozie kobiecym więźniarki zbiły się w krąg, wywiesiły czarną flagę na cześć

zamordowanych towarzyszek i zaczęły krzyczeć i skandować hasła. Po pięciu godzinach straż rozpedziła je wodą z hydrantów. Dopiero wówczas kobiety dały się

wyprowadzić z obozu. W łagpunkcie nr5 aż 1400 zeków odmówiło opuszczenia zony -

przeważnie Ukraińców i Bałtów. Wywiesili w oknach baraków czarne flagi i zachowywali się - wedle opinii pewnego wyższego rangą funkcjonariusza MWD -

"wyjątkowo agresywnie". Później, kiedy strażnicy posiłkowani przez 40

żołnierzy

próbowali otoczyć baraki kordonem i zarazem ochronić obozowe zapasy żywności,

zaatakował ich pięćsetosobowy tłum więźniów, którzy zaczęli obrzucać ich kamieniami, bić pałkami i wyrywać broń. "W najbardziej krytycznym momencie

utarczek ze strażnikami wojsko otworzyło do więźniów ogień - czytamy w oficjalnym raporcie z tych wydarzeń. Kiedy strzelanina ucichła, zekom kazano

położyć się na ziemi. Od tego momentu więźniowie zaczęli wykonywać rozkazy

strażników i personelu administracyjnego". Raport podaje, że tego dnia zginęło 24 więźniów; w relacjach naocznych świadków mówi się o setkach zabitych podczas

trwającej kilka dni pacyfikacji łagrów norylskich. W podobny sposób władze stłumiły strajk w Workucie. Żołnierze zmuszali więźniów do opuszczenia zony,

dzielili ich na stuosobowe grupy, które poddawano następnie "filtracji" -

oddzielania rzekomych przywódców strajku od pozostałych. Aby skłonić zeków

do pokojowego wyjścia z obozów, przedstawiciele komisji moskiewskiej obiecywali

wszystkim wszczęcie procesów rewizyjnych i przyrzekali solennie, że przywódcy

akcji strajkowej nie zostaną rozstrzelani. Fortel okazał się skuteczny; więźniów

zwiódł zwłaszcza dobroduszny, "ojcowski" sposób bycia generała Maslennikowa.

"Wierzyliśmy mu" - przyznał później jeden z uczestników strajku. Nie wszyscy

jednak; generał Maslennikow nie wzbudził zaufania więźniów łagpunktu przy kopalni nr29 - nie usłuchali jego wezwań i odmówili podjęcia pracy.

Wówczas

pod bramę obozu podeszli żołnierze z motopompą strażacką, za której pomocą

zamierzano rozproszyć zgromadzony w zonie tłum: „zanim jednak rozwinięto i

wymierzono w nas gumowe węże, Ripiecki skinął na więźniów, którzy hurmem

rzucili się naprzód i wypchnęli wóz strażacki z bramy jak zabawkę [...].

Strażnicy oddali salwę prosto w [ciżbę] więźniów, ci jednak stali twardo trzymając się za ramiona, tak że nikt nawet nie upadł, choć było wielu zabitych i rannych. Tylko Ihnatowicz, wysunięty nieco przed szereg, stał

sam. Wyglądało, jakby zatrzymał się na chwilę zdziwiony, po czym obrócił się twarzą do nas. Poruszał wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wydał z siebie ani słowa – rozkrzyżował ramiona i padł. Wtedy oddali drugą salwę, a potem trzecią i czwartą. Na koniec odezwał się ciężki karabin maszynowy”. I tym razem liczbę śmiertelnych ofiar pacyfikacji kopalni nr29 szacuje się bardzo różnie. W oficjalnych dokumentach mowa o 42 zabitych i 135 rannych Według naocznych świadków były ich "setki". Strajki zdławiono, ale w rzeczywistości żadnego obozu nie udało się spacyfikować do końca. Sporadyczne protesty wybuchały w łagrach workuckich i norylskich, innych obozach specjalnych oraz "zwykłych" obozach pracy do końca 1954 roku.

"Spuścizną tego strajku był duch zwycięstwa, jaki wzbudziła podwyżka płac - pisze Noble -jaką wywalczyliśmy". W łagpunkcie przy kopalni nr29, do którego został później przeniesiony, z dumą pokazywano mu blizny po ranach odniesionych w dniu masakry. Więźniowie stawali się coraz śmielsi, co dawało się odczuć w każdym niemal obozie. W

listopadzie 1953 roku podjęcia pracy odmówiło 530 zeków Wiatłagu, którzy domagali się podwyżki plac, położenia kresu

"nieprawidłowościom" przy rozdiale odzieży, żądali też poprawy warunków bytu. Władze obozu zgodziły się spełnić ich postulaty, mimo to następnego dnia strajk wybuchł od nowa. Tym razem więźniowie zażądali rozciągnięcia na nich dobrodziejstw Beriowskiej amnestii. Strajk wygasł

po aresztowaniu i osadzeniu w więzieniach przywódców. W marcu 1954

roku grupa "bandytów" opanowała jeden z łagpunktów Kargopolłagu -

domagano się poprawy wyżywienia i przydziałów wódki, pod groźbą wszczęcia otwartego buntu. W lipcu tego samego roku do tygodniowego strajku głodowego przystąpiło 900 więźniów Minłagu - tym razem był to protest wywołany śmiercią kolegi, który spłonął żywcem podczas pożaru izolatora. Po całym obozie i okolicznych wsiach rozrzucono ulotki wyjaśniające przyczyny strajku, który przerwano dopiero wówczas, gdy specjalna komisja, która przybyła z Moskwy, zgodziła się spełnić postulaty dotyczące lepszego traktowania więźniów. Również w innych obozach Minłagu strajki - poszczególnych brygad, a nawet całych kopalń -

stały się zjawiskiem powszednim. Przygotowywano nowe akcje protestacyjne, z czego władze zdawały sobie dobrze sprawę. W czerwcu 1954 roku w raporcie zbiorczym skierowanym bezpośrednio na ręce ministra spraw wewnętrznych Krugłowa znalazło się doniesienie jednego z informatorów, zawierające zapis rozmowy grupy Ukraińców -

uczestników strajku w Gorłagu - których wspomniany konfident spotkał w obozie etapowym w Swierdłowsku. Omawiano plany powtórki wydarzeń z Gorłagu w obozach,

do których więźniowie ci mieli zostać przeniesieni: „Każdy z celi musiał

wyjaśnić Pawliszynowi i Stepaniukowi, co robił podczas strajku; ja również [...]. W mojej obecności Moruszko złożył Stepaniukowi raport z zajścia na barce płynącej z Norylska do Krasnojarska. Moruszko dokonywał tam "filtracji" więźniów - tych, których uznał za nieużytecznych, likwidował.

"Zlecenie ci zadanie zostało wykonane -

oznajmił Stepaniuk Pawliszynowi - to, co zrobiłeś, jest teraz częścią historii Ukrainy". Poklepał Moruszkę po plecach i powiedział: "Moruszko, oddałeś wielką przysługę naszej organizacji [...], dostaniesz za to medal, a po upadku władzy sowieckiej zajmiesz odpowiedzialne stanowisko".

Nie da się co prawda wykluczyć, że informator MWD istotnie mógł słyszeć

podobne przechwałki i opowiadania, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że raport swój dość bezceremonialnie ubarwił - w dalszej jego części wysuwa bowiem pod

adresem rozmówców absurdalne oskarżenia o knucie spisku na życie Chruszczowa. Jednak już sam fakt, że tego rodzaju wątpliwe doniesienie uznano za stosowne

wysłać do samego Krugłowa, dobitnie wskazuje, z jaką powagą władze traktowały groźbę dalszych rebelii. Także w sprawozdaniach specjalnych komisji badających

sytuację w Rieczłagu i Gorłagu podkreśla się wyraźnie konieczność zwiększenia

stanu osobowego straży obozowej, zaostrożenia regulaminu i - nade wszystko -

rozbudowy sieci konfidentów. Nie były to obawy bezpodstawne.

Najgroźniejsze powstanie zeków miało dopiero wybuchnąć. Podobnie jak wypadki w Workucie i Norylsku, bunt - który Solżenicyn ochrzcił mianem

"czterdziestu dni Kengiru" - nie wybuchł ani nagle, ani niespodziewanie.

Dojrzewał powoli przez całą wiosnę 1954 roku, na gruncie wielu incydentów, do jakich doszło w Stieplagu, obozie specjalnym opodal wsi Kengir, w Kazachstanie. Komendanci Stieplagu, podobnie jak ich koledzy z Workuty i Norylska, po śmierci Stalina nie mogli utrzymać "swoich"

więźniów w karchach. Po gruntownym przestudiowaniu archiwaliów Stieplagu z roku 1953 jeden z historyków rebelii kengirskiej stwierdził

wprost, że "zupełnie stracili kontrolę nad sytuacją". Przez kilka miesięcy poprzedzających strajk komenda systematycznie słała do Moskwy raporty, w których informowała o działających w obozie organizacjach konspiracyjnych, o wybuchających okresowo zamieszkach i "kryzysie"

funkcjonowania obozowej sieci konfidentów, której działalność została w gruncie rzeczy kompletnie sparaliżowana. Moskwa odpowiedziała sugestią odseparowania Ukraińców i Bałtów od reszty więźniów, czego władze Stieplagu zrobić po prostu nie mogły. Z 20 tysięcy przebywających tam zeków połowę stanowili Ukraińcy, a jedną czwartą Polacy i Bałtowie - nie istniała żadna możliwość

skutecznego ich rozdzielenia, gdyż łagier nie miał na to odpowiedniej infrastruktury. W

rezultacie więźniowie wciąż ignorowali obowiązujący teoretycznie regulamin; mnożyły się strajki i protesty.

Nie mogąc zastraszyć zeków, usiłowano zmusić ich do posłuchu siłą.

Niektórzy -

w tym Solżenicyn - uważają, że incydenty te były prowokacją obliczoną na wywołanie otwartej rewolty w obozie, do której w istocie rzeczy doszło.

Tak czy

inaczej - a brak jakichkolwiek podstaw źródłowych, by opowiedzieć się za tą

hipotezą bądź przeciw niej - zimą 1953 i wiosną 1954 roku straż obozowa kilkakrotnie użyła wobec więźniów broni palnej, co pociągnęło za sobą ofiary śmiertelne. Późną wiosną 1954 roku władze Stieplągu podjęły kolejną, rozpaczliwą próbę odzyskania kontroli nad sytuacją. Do cieszącego się opinią wyjątkowo skłonnego do buntu łagpunktu nr 3

przeniesiono grupę kryminalistów; "urkowie" dostali jednoznaczne polecenie wszczęcia starć z dominującymi tam liczebnie więźniami politycznymi. Prowokacja nie tylko zawiodła na całej linii, ale przyniosła efekty diametralnie odmienne od planowanych. "Ale ludzkie emocje i ruchy społeczne - pisze Solżenicyn - rozwijają się w sposób nieprzewidziany - i tu jeszcze raz to się potwierdziło! Po zastrzyknięciu końskiej dozy tego wypróbowanego trupiego jadu w organizm trzeciego kengirskiego podobozu - gospodarze doczekali się nie uspokojenia, lecz największego powstania w historii Archipelagu"! Zamiast walczyć ze sobą, obie grupy zawarły przymierze.

Tak samo jak w innych obozach więźniowie Stieplągu tworzyli "klany"

narodowościowe. Wszystko jednak wskazuje, że jedynie Ukraińcy zbudowali organizację funkcjonującą wedle zasad właściwych głęboko zakonspirowanym ugrupowaniom podziemnym. W przeciwieństwie do innych grup narodowych, których

hierarchia była na dobrą sprawę jawna, Ukraińcy wyłonili ściśle tajne

"centrum".

Tożsamości jego członków nigdy nie podano do wiadomości publicznej.

W

momencie gdy władze skierowały do Stieplągu wspomnianą grupę

"urków", "centrum" prowadziło energiczne przygotowania do buntu: w obozowych warsztatach

produkowano broń - noże, pałki, piki - utrzymywano regularne kontakty z dwoma

sąsiednimi łagpunktami: nr 1 - zoną kobiecą - i nr 2. Niewykluczone, że

"błatnym" zaimponowała właśnie sprawność organizacyjna i nieugięta postawa politycznych. Możliwe również, że zostali przez nich po prostu sterroryzowani. Tak czy inaczej, na koniec całonocnej narady obie te grupy - "urkowie" i polityczni - uścisnęły sobie dłonie i postanowiły działać wspólnie.

Ich współpraca przyniosła pierwsze owoce szesnastego maja. Pod wieczór tego dnia więźniowie łagpunktu nr 3 zaczęli burzyć kamienny mur oddzielający od sąsiednich "punktów obozowych" i dziedzińca gospodarczego, na którym mieściły się warsztaty i magazyny łagru. W

poprzedniej epoce ich celem byłby zbiorowy gwałt. Teraz, kiedy po obu stronach muru znajdowali się członkowie UPA płci obojga, mężczyźni głęboko wierzyli, że idą na pomoc swoim krewnym, przyjaciołom, a nawet małżonkom. Burzenie muru przeciągnęło się do późnej nocy, w końcu strażnicy otworzyli ogień, zabijając trzynastu więźniów.

Czterdziestu trzech odniosło rany, wielu innych - w tym kobiety - pobito.

Następnego dnia w łagpunkcie nr 3 rozpoczął się masowy protest; na ścianach stołówki wypisano antysowieckie hasła. Wieczorem więźniowie zdobyli i zniszczyli izolator (budynek rozebrano gołymi rękami) i uwolnili przetrzymywanych tam 235 kolegów. Opanowali również obozowe magazyny, kuchnię, piekarnię i warsztaty, w których z miejsca rozpoczęto produkcję noży i pałek. Rankiem dziewiętnastego maja większość więźniów strajkowała. Ani Moskwa, ani władze lokalne nie miały pojęcia, co z tym dalej robić. O zaistniałej sytuacji komendant obozu natychmiast poinformował Krugłowa, który z równym pośpiechem polecił wszcząć śledztwo szefowi kazachskiego MWD,

gen. mjr. Władimirowi Gubinowi, który zrećcznie odbił piłeczkę, apelując do moskiewskiej centrali Gułagu o przysłanie komisji śledczej, która istotnie przybyła na miejsce. Rozpoczęły się negocjacje. Komisja, starając się wygrać na czasie, obiecała więźniom wszcząć dochodzenie w sprawie nieuzasadnionego użycia broni palnej przez strażników i przyspieszenie procedury rewizji wyroków. Komisja zgodziła się też, by nie odbudowywać muru oddzielającego łagpunkt nr 3 od obydwu sąsiednich.

Więźniowie przyjęli to za dobrą monetę i dwudziestego drugiego maja wyszli do pracy. Już wieczorem mogli się przekonać, że władze pogwałciły przynajmniej jeden z warunków porozumienia - mur stał z powrotem. Dwudziestego piątego maja zastępca komendanta Gułagu gen.

łjt Wiktor Boczkow słał do Krugłowa gorączkowe depesze, domagając się w nich zgody na wprowadzenie "ścisłego reżimu" - żadnej korespondencji, żadnych widzeń, żadnych przekazów pieniężnych, żadnych rewizji wyroków. Boczkow przeniósł również z Kengiru do innego łagpunktu 420 więźniów kryminalnych, którzy natychmiast rozpoczęli tam strajk. Rezultat: w ciągu następnych 48 godzin więźniowie usunęli z strefy wszystkich przedstawicieli administracji łagru, grożąc im -

w razie oporu - użyciem siły, ci zaś, mimo że uzbrojeni w broń palną, ugięli się wobec zdecydowanej

przewagi liczebnej zeków. W buncie wzięła udział zdecydowana większość 5 tysięcy więźniów osadzonych w trzech kengirskich łagpunktach. Przeciwnicy rebelii byli zbyt zastraszeni, by protestować, a wahających się z początku szybko ogarnął powszechny zapał. Tak rozpoczęło się, mające trwać czterdzieści dni, powstanie.

Pierwszego dnia - wspomina swoje zaskoczenie jeden z uczestników tych wydarzeń - "nie obudzili nas strażnicy, nie powitały nas krzyki i wrzaski".

Wydaje się, że władze obozu liczyły początkowo, że ruch załamie się sam z siebie. Wcześniej czy później - spekulowano - dojdzie do zatargów między "urkami" a politycznymi, zacznie się anarchia, pijaństwo i gwałty, a zeki rozkradną żywność. Można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że stało się niemal zupełnie na odwrót; choć oczywiście zachowania więźniów nie należy idealizować. Pozostawiony własnemu losowi obóz rządził się zaskakująco sprawnie. Zekowie niemal od razu wybrali komitet strajkowy, odpowiedzialny za negocjacje z władzami oraz organizację życia i utrzymanie porządku w łagrze. Opinie w kwestii, jak doszło do jego powstania, są mocno rozbieżne. W oficjalnym sprawozdaniu z wypadków kengirskich mowa o tym, że w trakcie ogólnych negocjacji władz z więźniami pojawiła się nagle grupa podająca się za komitet strajkowy i odmawiająca prawa głosu pozostałym. Z relacji kilku naocznych świadków wynika

natomiast, że same władze zasugerowały więźniom wyłonienie komitetu, wybrano później w demokratycznym głosowaniu. Niejasny był również - i nadal taki pozostaje - układ stosunków wzajemnych między komitetem strajkowym a rzeczywistym przywództwem powstania. Wiele wskazuje, że zdominowane przez Ukraińców "centrum" było główną siłą motoryczną wypadków (nawet jeśli nie zaplanowało ich w każdym szczególe) i miało decydujący wpływ na wyniki "demokratycznych"

wyborów do komitetu strajkowego. Wydaje się, że Ukraińcy nie chcieli, aby wystąpienie sprawiało wrażenie "antyrosyjskiego" czy

"antysowieckiego", toteż nalegali na włączenie do komitetu więźniów różnych narodowości i chcieli, by na czele protestu stanął Rosjanin.

Rosjanin ów - pułkownik Kapiton Kuzniecowa - to postać nawet w bardzo niejasnej historii wydarzeń kengirskich wyjątkowo dwuznaczna. W czasie wojny dostał się do niewoli niemieckiej; aresztowano go w 1948 roku pod zarzutem współpracy z komendą nazistowskiego obozu jenieckiego, w którym go osadzono i czynnego udziału w zwalczaniu partyzantki sowieckiej. Jeśli oskarżenia były prawdziwe, łatwiej zrozumieć zachowanie Kuzniecowa w czasie strajku - kto raz już pracował na dwie strony, mógł to równie dobrze zrobić ponownie. Nie ulega wątpliwości, że Ukraińcy wybrali go jako człowieka, który miał nadać powstaniu

"sowieckie oblicze", co pozbawiłoby władze wygodnego pretekstu do zdławienia go siłą. Nie ulega też wątpliwości, że Kuzniecowa wywiązał się z tego zadania - być może nawet aż nazbyt gorliwie. Z jego inicjatywy cały obóz obwieszono hasłami: "Niech żyje Sowiecka Konstytucja!",

"Niech żyje władza sowiecka!" i "Precz z mordercami - beriovcami!".

Kuzniecowa wzywał więźniów do zaprzestania kolportażu ulotek, tłumacząc, że "agitacja kontrrewolucyjna" może tylko zaszkodzić ich sprawie. Faworyzował więźniów "sowieckich", którzy dochowali wierności partii, i przekonał ich do pomocy w utrzymywaniu porządku.

Choć Ukraińcy pomogli w jego wyborze, Kuzniecowa z całą pewnością nie dochował im lojalności. W obszernych i szczegółowych zeznaniach złożonych po krwawym stłumieniu strajku podkreślał, że zawsze uważał

"centrum" za nielegalne i przeciwstawiał się jego tajnym rozporządzeniom. Ukraińcy nie dowierzali mu również. Przez cały okres strajku towarzyszyło mu zawsze dwóch uzbrojonych ukraińskich adiutantów, rzekomo dla ochrony osobistej, w rzeczywistości – jak się wydaje - po to, aby nie wymknął się ukradkiem z obozu i nie zdradził

sprawy. Mieli zresztą wszelkie powody, by obawiać się ucieczki Kuzniecowa - z obozu zbiegł inny członek komitetu strajkowego, Aleksiej Makiejew. Wygłaszał on później odezwy przez obozowy radiowęzeł, w których wzywał więźniów do powrotu do pracy. Mimo to nie cały komitet strajkowy składał się z ludzi o wątpliwej i dwuznacznej lojalności.

Kuzniecowa twierdził później, że co najmniej trzech jego członków; Gleb Słuczenkow, Michaił Keller i Jurij Knopmus - było w istocie rzeczy przedstawicielami tajnego "centrum". Również władze łagru opisywały jednego z nich, Michaiła vel Herscha Kellera, jako ukraińskiego konspiratora, a to, co wiemy jego życiu, zdaje się tę opinię potwierdzać.

Keller, figurujący w obozowych aktach jako Żyd, był w rzeczywistości Ukraińcem o nazwisku Pendrak, któremu podczas aresztowania udało się ukryć swoje pochodzenie. Keller stanął na czele "wojskowej" sekcji strajku; przygotowywał więźniów do obrony na wypadek, gdyby strażnicy przypuścili na nich atak. To właśnie on uruchomił masową produkcję broni w obozowych warsztatach i założył "laboratorium" wytwarzające koktajle Mołotowa i prowizoryczne granaty. Nadzorował też budowę barykad i zarządził, by w każdym baraku stała beczka tłuczonego szkła, którym miano sypać w oczy wdzierającym się do środka żołnierzom. O ile Keller reprezentował Ukraińców, o tyle Gleb Słuczenkow miał raczej powiązania z obozowymi "urkami"; Kuzniecowa nazywał go

"przedstawicielem świata przestępczego". Jako przywódcę "błatnych"

opisują go również źródła ukraińskie. Podczas powstania Słuczenkow kierował działaniami "kontrwywiadowczymi" komitetu strajkowego; zorganizował własną policję, utrzymywał porządek w obozie, aresztował i więził potencjalnych zdrajców i konfidentów. Słuczenkow podzielił cały łagier na kierowane przez "komendantów" "plutony". Kuzniecowa uskarżał

się później, że ich nazwiska utrzymywano w tajemnicy - znali je wyłącznie Słuczenkow i Keller.

Mniej zjadliwie wyrażał się Kuzniecowa o Knopmusie - urodzonym w St.

Petersburgu Niemcu, który kierował "sekcją propagandy" powstania, mimo że z perspektywy czasu to właśnie jego działalność uznać wypada za najbardziej rewolucyjną. W działalności propagandowej

Knopmusa mieściła się, między innymi, produkcja ulotek rozdawanych później wśród miejscowej ludności poza terenem obozu, druk przeznaczonych dla więźniów obozowej "gazetki ściennej" oraz - co stanowi już zupełny wyjątek - uruchomienie własnej radiostacji. Ponieważ w pierwszych dniach buntu władze odcięły obóz od dostaw elektryczności, zbudowanie radiostacji było godnym uwagi osiągnięciem technicznym. Więźniowie skonstruowali z pomocą napędzanego śrubą wodną silnika elektrycznego przerobionego na generator coś w rodzaju hydroelektrowni. Urządzenie to dostarczało dość energii, by zapewnić działanie obozowej sieci telefonicznej oraz radiostacji, którą skonstruowano z części aparatury do projekcji filmów. Po kilku dniach obóz miał stały zestaw spikerów i emitował regularne programy informacyjne przeznaczone zarówno dla więźniów, jak i ludności zamieszkującej poza łagrem - nie wykluczając strażników i żołnierzy. Obozowy stenograf zapisał kompletny tekst jednego z komunikatów nadanego miesiąc po rozpoczęciu strajku, kiedy kończyły się już zapasy żywności. Odezwa skierowana była do żołnierzy otaczających obóz - tekst ów trafił później do archiwów MWD:

„Towarzysze żołnierze! Nie obawiamy się was i prosimy, byście nie wkraczali do naszej zony. Nie strzelajcie do nas, nie ulegajcie bandzie beriowców. Nie obawiamy się ich, tak samo jak nie boimy się śmierci.

Umrzemy raczej z głodu w tym obozie, niż oddamy się w ręce beriowskiej bandy. Nie kalajcie rąk krwią, jaką mają na swych dłoniach oficerowie”.

Tymczasem Kuzniecowa zajmował się dystrybucją żywności, którą przygotowywały kobiety. Każdy więzień dostawał identyczną rację - nie było żadnych dodatkowych porcji dla "pridurków" - rację coraz mniejszą, w miarę jak z upływem kolejnych tygodni pustoszały obozowe magazyny.

Utrzymywaniem porządku w barach, praniem i służbą wartowniczą zajmowały się drużyny złożone z ochotników. Jeden z więźniów pamięta, że w brudnej zazwyczaj i zabałaganionej jadalni panował "ład i porządek".

Normalnie pracowały łaźnia i szpital - choć władze wstrzymały wszelkie dostawy lekarstw i środków opatrunkowych. Więźniowie zorganizowali nawet wypoczynek i rozrywkę. Jeden z pamiętnikarzy pisze, że pewien szlachcic polski, hrabia Bobrzyński (vel Bobrinski), otworzył w obozie

"kawiarnię", w której podawano "kawę". "Dodawał coś do wody, zagotowywał, a więźniowie, śmiejąc się, popijali tę ciecz w gorące dni z dużą satysfakcją". Sam hrabia przesiadywał w kącie swojej kawiarni, grał

na gitarze i śpiewał sentymentalnie piosenki. Inni wygłaszali odczyty albo organizowali koncerty; jakaś grupa samozwańczych aktorów dramatycznych organizowała próby i dawała przedstawienia. Pewna sekta religijna, której członkowie płci obojga połączyli się po zburzeniu muru, głosiła, że wedle ich proroka wszyscy wstąpią do nieba żywcem - tu i teraz. W daremnym oczekiwaniu wysiadali przez kilka dni na głównym placu zony, na materacach.

Pojawiła się też znaczna liczba nowożeńców, których łączyli w pary duchowni

aresztowani razem ze swymi ukraińskimi i bałtyjskimi trzódkami. Część z nich zawarła związki małżeńskie już wcześniej, "w ciemno", przez mur i teraz po raz

pierwszy mieli okazję się zobaczyć. Mężczyźni i kobiety mieszały się ze sobą i poruszali po całym obozie swobodnie; mimo to we wszystkich opisach strajku podkreślano, że nie dochodziło do seksualnego napastowania kobiet ani - tym bardziej - napadów na nie i gwałtów tak częstych i powszechnych w innych łagrach. Pisano wiersze i pieśni; ktoś stworzył hymn ukraiński śpiewany niekiedy przez 13 500 strajkujących więźniów jednocześnie - tak brzmiał jego refren:

„Nie będziemy, nie będziemy niewolnikami,

Nie będziemy dłużej znosić tego jarzma...”

Inny wiersz mówił o "braciach krwi z Workuty i Norylska, Kołymy i Kengiru".

"To były wspaniałe dni - wspominała czterdzieści pięć lat później Argińska -

Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie miałam takiego poczucia wolności jak wówczas". Inni byli bardziej przewidujący. "Wszystko robiliśmy bezrefleksyjnie, nikt z nas nie wiedział, co nas czeka, ani nawet o tym nie myślał" - mówi Lubow Bierszadska. Tymczasem rokowania z władzami wciąż trwały. Dwudziestego siódmego maja delegowana na rozmowy ze strajkującymi komisja MWD spotkała się z więźniami po raz pierwszy.

Wśród jej członków znajdował się wiceminister MWD gen. mjr Siergiej Jegorow, komendant Gułagu - gen. Ijt Iwan Dołgich oraz zastępca prokuratora generalnego ZSRS, odpowiedzialny za sprawy obozowe Wawilow. Członkowie delegacji spotkali się z grupą 2 tysięcy więźniów, w których imieniu listę żądań i postulatów przedstawił Kuzniecowa. Bunt trwał już wówczas na dobre. Żądania zeków obejmowały zarówno postulat wszczęcia postępowania karnego wobec strażników - za użycie broni wobec więźniów i ich śmierć, czego strajkujący domagali się od samego początku - jak i wiele żądań natury bardziej politycznej, w tym redukcji wszystkich wyroków 25 lat pozbawienia wolności i rewizji wszystkich spraw za przestępstwa polityczne, likwidacji kary karceru, zwiększenia swobody korespondencji z krewnymi, zniesienia dożywotniego zesłania przymusowego dla tych, którzy odbyli wyrok, polepszenia warunków bytowych więźniarek oraz trwałego połączenia obozów męskiego i kobiecego. Więźniowie domagali się również spotkania z członkami Prezydium KC KPZS. Przy tym obstawali konsekwentnie do samego końca protestu, twierdząc, że nie wierzą w dotrzymanie obietnic ani przez władze Stieplagu, ani MWD. "Kto wzbudził w was taką nienawiść do MWD?" - odpowiedzieć miał na to jakoby wiceminister tego resortu, Jegorow.

Gdyby strajk wybuchł kilka lat wcześniej, nie byłoby oczywiście żadnych negocjacji, ale w roku 1954 proces rewizji spraw "politycznych" był już w toku, choć toczył się wyjątkowo ospale. Zdarzało się nawet, że już w czasie trwania protestu niektórych ludzi odwoływano z obozu, żeby mogli wziąć udział w toczących się właśnie ich procesach rehabilitacyjnych.

Dołgich, zdając sobie sprawę, że wielu z nich zdążyło już umrzeć, i mając

- jak się wydaje - nadzieję na szybkie i pokojowe zakończenie niepokojów, niemal natychmiast

przystał na kilka mniej istotnych żądań strajkujących: zdjęcie krat z okien baraków, ustanowienie ośmiogodzinnego dnia pracy, a nawet usunięcie z Kengiru kilku co bardziej brutalnych strażników i funkcjonariuszy administracji obozu.

Działając ściśle wedle instrukcji Moskwy, wzdragał się początkowo przed użyciem siły; starał się wszakże złamać opór więźniów, wzywając ich do opuszczenia zony i wstrzymując wszelkie dostawy żywności i lekarstw do obozu. Jednak w miarę upływu czasu Moskwa zaczynała tracić cierpliwość. W telegramie z piętnastego czerwca Krugłow w ostrych słowach piętnował swojego zastępcę za szpikowanie raportów pozbawionymi najmniejszego znaczenia informacjami i danymi statystycznymi - w rodzaju liczby wypuszczonych z obozu gołębi pocztowych z ulotkami - i poinformował go, że w drodze do łagru znajduje się transport kolejowy wojska wspartego pięcioma czołgami T-34. Atmosfera panująca w ostatniej dekadzie buntu była wyjątkowo napięta. Komisja MWD nadawała przez obozowy radiowęzeł coraz ostrzejsze ostrzeżenia, na co więźniowie odpowiadali własnymi komunikatami radiowymi obwieszczającymi światu zewnętrznemu, że umierają z głodu. Kuzniecowa wygłosił przemówienie, w którym opisywał

los własnej rodziny doprowadzonej do ruiny jego aresztowaniem. "Wielu z nas również straciło rodziny, toteż słuchając go, utwierdziliśmy się w determinacji i postanowiliśmy trzymać się do samego końca" - wspomina jeden z więźniów. MWD przypuściło atak dwudziestego szóstego czerwca tuż przed świtem, o wpół do czwartej rano. Poprzedniego dnia wieczorem Krugłow telegrafował do Jegorowa, polecając mu użyć "wszystkich możliwych środków": nie mniej niż 1700 żołnierzy do otaczania obozu, 98

psów oraz 5 czołgów T-34. Z początku żołnierze wystrzelili nad baraki rakiety świetlne, a ogień otworzyli ślepych nabojami. Przez obozowe głośniki nadawano ostrzeżenia: "Do obozu wkracza wojsko. Więźniowie skłonni do współpracy powinni w spokoju opuścić obóz. Stawiający opór zostaną zastrzeleni". W momencie gdy zdezorientowani więźniowie rozbiegli się po całym obozie, do łagru wjechały czołgi, a za nimi weszła piechota w pełnym rynsztunku bojowym. Wedle niektórych relacji czołgiści i postępujący za nimi żołnierze piechoty byli pijani.

Niewykluczone, że jest to legenda powstała już po zakończeniu całej akcji, z drugiej jednak strony zarówno Armia Radziecka, jak i tajna policja poły zazwyczaj wódką swoich ludzi, którym rozkazano wykonanie brudnych zadań,

w masowych grobach niemal zawsze można znaleźć puste butelki.

Trzeźwi czy pijani czołgiści nie zawahali się przejechać po karkach więźniów, którzy wyszli im naprzeciw. "Stałam w samym środku -

wspomina Lubow Bierszadska - a wokół mnie czołgi miażdżyły żywych ludzi". Wjechały w środek grupy kobiet, które wzięły się za ręce i stanęły na ich drodze, nie wierząc, że czołgi mogą je zabić. Miażdżyły baraki, w których przebywali ludzie. Domowej produkcji granaty nie czyniły im żadnej szkody - tym bardziej kamienie, drągi i inne metalowe przedmioty, którymi obrzucali je więźniowie. Pacyfikacja trwała zaskakująco krótko; po półtorej godzinie - jak twierdzi sporządzony później oficjalny raport z tych wydarzeń - żołnierze wyprowadzili z obozu tych, którzy zgodzili się opuścić zonę dobrowolnie. Pozostałych skuto kajdankami. Wedle dokumentów oficjalnych, tego dnia zginęło

trzydziestu siedmiu więźniów; dalszych dziewięciu zmarło później od odniesionych ran. Stu sześciu zostało rannych; rany odniosło również czterdziestu żołnierzy. Liczby te i tym razem są znacznie niższe od podawanych przez więźniów.

Bierszadska, która pomagała obozowemu lekarzowi Julianowi Fusterowi w opiece nad rannymi, pisze o pięciuset zabitych: „Fuster kazał mi założyć czepek i maskę chirurgiczną z gazy (mam ją do dziś), stanąć przy stole operacyjnym i zapisywać nazwiska tych, którzy byli w stanie je podać. Takich było niestety niewielu. Większość rannych zmarła na stole operacyjnym. Patrzyli

na nas odchodzącymi w nicość oczyma i szeptali: "Napisz do matki. . do męża do

dzieci". Zrobiło się niemożliwie duszno i gorąco, zdjęłam czepek i przejrzałam się w lustrze. Włosy miałam białe jak śnieg. Pomyślałam, że w czepku musiał być talk. Nie zdawałam sobie sprawy, że znalazłszy się w samym środku tej rzeźni, patrząc na wszystko, co się tu działo, w ciągu piętnastu minut zupełnie osiwiałam. Fuster był na nogach trzynaście godzin bez przerwy. Robił, co mógł. Na koniec nawet on, energiczny utalentowany chirurg, nie wytrzymał. Zemdlął - siłą rzeczy skończyły się również operacje”. Po zakończeniu walk wszystkich pozostałych przy życiu, którzy nie znaleźli się w szpitalu, wyprowadzono poza obóz.

Uzbrojeni w broń maszynową żołnierze kazali kłaść im się twarzą do ziemi z rozkrzyżowanymi ramionami; w takiej pozycji musieli przeleżeć przez wiele godzin. Na podstawie zdjęć wykonanych podczas wieców i spotkań z komisją oraz informacji konfidentów władze obozu wyselekcjonowały i aresztowały 436 osób, w tym wszystkich członków komitetu strajkowego. Sześciu z nich - włącznie z Kellerem, Słuczenkowem i Knopmusem – stracono. Kuzniecowa, który 48 godzin po aresztowaniu przedstawił władzom obszerne, szczegółowe zeznanie na piśmie, skazany został na śmierć, ale ułaskawiony. Przeniesiono go do Karłagu; w 1960 roku odzyskał wolność. Tysiąc innych więźniów - 500

kobiet i tyluż mężczyzn oskarżonych o czynne poparcie rebelii –

przeniesiono do innych obozów: Ozierłagu i na Kołymę; pod koniec dekady w większości odzyskali wolność. Wydaje się, że w czasie trwania powstania władze nie zdawały sobie sprawy z istnienia organizujących go sił. Dopiero później poszczególne elementy wydarzeń zaczęły składać się w całość - w niemałej zapewne mierze dzięki zeznaniom Kuzniecowa. Ustalono tożsamość pięciu członków "centrum": Litwina Kondratasa, Ukraińców - Kellera, Suniczuka i Wachajewa oraz "urki"

Wiktora, znanego po

przestępczym pseudonimem "Wąs". Władze sporządziły nawet rodzaj diagramu

ilustrującego strukturę dowodzenia w postaci linii biegnącej od "centrum"

poprzez komitet strajkowy do poszczególnych "wydziałów" - propagandy, obrony i kontrwywiadu. Uzyskały też informacje o plutonach zorganizowanych w celu obrony

poszczególnych baraków oraz tajnej radiostacji i generatorze prądotwórczym.

Nigdy jednak nie udało się ustalić tożsamości wszystkich członków

"centrum" - rzeczywistych organizatorów powstania. Wedle niektórych relacji wielu

"prawdziwych aktywistów" pozostało w obozie, spokojnie odsiadując swoje wyroki i oczekując amnestii. Ich nazwisk nie znamy - i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na zawsze pozostaną anonimowe.

ROZDZIAŁ 25

Odwilż i zwolnienia

STRAJKUJĄCY W Kengirze przegrali co prawda bitwę, ale wygrali wojnę. Po rewolcie w Stieplągu przywództwo Związku Sowieckiego rzeczywiście - i to w zaskakującym tempie - straciło ochotę na podtrzymywanie obozów pracy przymusowej. Latem 1954 roku powszechnie zdawano sobie sprawę z ich nierentowności.

Przeprowadzona w czerwcu tego roku ponowna analiza finansów Gułagu raz jeszcze potwierdziła, że pochłania on ogromne subsydia państwowe, idące zwłaszcza na koszty utrzymania strażników. Na zwołanej wkrótce po wydarzeniach w Kengirze konferencji komendantów obozów i najwyższych rangą biurokratów Gułagu wielu jej uczestników otwarcie mówiło o fatalnej organizacji dostaw żywności dla obozów, absurdalnej i wymykającej się wszelkiej kontroli biurokracji (w owym czasie istniało siedemnaście norm racji żywnościowych) i złym systemie organizacji samych łagrów. Niektóre obozy działały wprawdzie, ale niemal nie było w nich

więźniów. Nie ustawały niepokoje i strajki - w 1955 roku więźniowie zorganizowali kolejny strajk powszechny w Workucie. Dążenie do zmian stało się wszechogarniające i zmiany te istotnie nastąpiły. Dwudziestego lipca 1954 roku Komitet Centralny wydał uchwałę przywracającą ośmiogodzinny dzień pracy, upraszczającą regulaminy obozowe i ułatwiającą więźniom uzyskanie przedterminowego zwolnienia pod warunkiem dobrej i wydajnej pracy. Zlikwidowano obozy specjalne; więźniom pozwolono pisać listy i otrzymywać paczki, często bez żadnych ograniczeń. W niektórych łagrach pozwolono im żenić się i wychodzić za mąż, a nawet mieszkać razem ze współmałżonkiem. Do przeszłości odeszły szczekające psy i uzbrojeni konwojenci. Więźniowie mogli teraz kupować rzeczy całkowicie im wcześniej niedostępne - ubrania, a nawet pomarańcze. Zekom z Ozierłagu pozwolono hodować kwiaty. W tym samym czasie szersza debata o stalinowskim wymiarze sprawiedliwości zaczęła się również w najwyższych kręgach elity sowieckiej. Na początku 1954 roku Chruszczow zażądał szczegółowego raportu o liczbie osób skazanych za przestępstwa polityczne od 1921 roku, włącznie z informacją, ile z nich nadal pozbawionych jest wolności. I raport ten otrzymał. Zawarte w nim dane siłą rzeczy uznać wypada za bardzo niekompletne, nie uwzględniają bowiem milionów ludzi skazanych na zesłanie, tych, których bezzasadnie oskarżono o zbrodnie pospolite, skazanych przez sądy powszechne niższej instancji, i tych, których w ogóle nigdy za nic nie skazano. Mimo wszystko, wzięwszy pod uwagę, że dane te dotyczą ludzi osadzonych w więzieniach i łagrach lub zamordowanych za przestępstwa których nigdy nie popełnili, liczby te są szokująco wysokie. Według szacunków samego MWD za winnych przygotowań do kontrrewolucji kolegia OGPU, trójki NKWD, komisje specjalne oraz wszystkie inne kolegia i trybunały wojskowe zajmujące się w minionych trzech dekadach masową produkcją

wyroków skazujących skazały 3 777 380 osób. Spośród nich 2 369 220 osadzono w obozach, 765

180 zesłano, a 642 980 stracono. Kilka dni później Komitet Centralny podjął procesy rewizyjne wszystkich tych więźniów - podobnie jak wszystkich innych "dobawek", administracyjnie przedłużonych wyroków w 1948 roku. W celu nadzoru tej akcji Chruszczow powołał centralną komisję specjalną, na której czele stanął główny prokurator Związku Sowieckiego, oraz analogiczne na szczeblu wszystkich republik i obwodów ZSRS. Równocześnie część "politycznych" zwolniono, chociaż ich wyroki nie zostały anulowane. Na rzeczywiste rehabilitacje - oficjalne uznanie przez władze państwowe, że proces i wyrok były pomyłką - czas miał nadejść dopiero później. Zwolnienia zaczęły się istotnie, ale przez najbliższe półtora roku wlokły się w iście ślimaczym tempie. Tych, którzy odbyli dwie trzecie wyroku, zwalniano czasem, bez żadnych wyjaśnień.

Innych trzymano nadal w obozach bez żadnego widocznego powodu. O

kompletnej nierentowności łagrów wiedział każdy, mimo to Gułag nie miał specjalnej ochoty likwidować obozów; do tego - jak się wydaje -

potrzebny był

rzeczywiście silny impuls, by nie rzec po prostu, "kopniak z góry". Doszło do tego w lutym 1956 roku, a owym "kopniakiem" okazał się "tajny referat Chruszczowa, wygłoszony na zamkniętym plenum XX Zjazdu KC

KPZS. Po raz pierwszy

Chruszczow przypuścił otwarty atak na Stalina i "kult jednostki": „Po śmierci Stalina Komitet Centralny Partii zaczął ściśle i konsekwentnie prowadzić

politykę wyjaśniania, że niedopuszczalne jest i obce duchowi marksizmu-leninizmu

wywyższanie jednej osoby, przekształcanie jej w jakiegoś nadczłowieka posiadającego cechy ponadnaturalne na podobieństwo Boga. Człowiek ten rzekomo wszystko wie, wszystko widzi, za wszystkich myśli, wszystko potrafi zrobić, jest nieomylny w postępowaniu. Takie mniemanie o człowieku, a mówiąc konkretnie o Stalinie, kultywowane było u nas przez wiele lat”. Większość przemówienia była wyraźnie tendencyjna. Mówiąc o zbrodniach Stalina, Chruszczow skupił się niemal wyłącznie na ofiarach z lat 1937 i 1938, wymieniając rozstrzelanych dziewięćdziesięciu ośmiu członków Komitetu Centralnego oraz liczne ofiary wśród tak zwanych starych bolszewików. "Fala masowych represji w 1939 roku zaczęła słabnąć" - stwierdził, co było patentowanym łągarstwem, gdyż w latach czterdziestych liczba więźniów wzrosła. Chruszczow nie wspomniał ani słowem o deportacjach Czeczenów i narodów bałkańskich; nie napomknął

nic o kolektywizacji, głodzie na Ukrainie i masowych represjach w zachodniej Ukrainie i w państwach bałtyckich zapewne dlatego, że sam maczał w tych operacjach palce. Wspomniał natomiast o 7679

rehabilitowanych i sala przyjęła to z aplauzem, choć była to zaledwie minimalna część tych, o

których mówca wiedział, że zostali aresztowani i skazani niewinnie. Bez względu na to, jak przemówienie to było blade i ułomne, przekazało wszystkim organizacjom partyjnym w kraju coś co wstrząsnęło całym Związkiem Sowieckim. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by

przywództwo sowieckie przyznało się do jakiegokolwiek zbrodni, a cóż dopiero do

przestępstw na tak masową skalę. Nawet sam Chruszczow nie był pewien, jaką wywoła to reakcję: "Wychodzili ze stanu szoku - napisał później - nie umieliśmy

wytłumaczyć, co się z nimi stało, i co z nimi zrobić, jak zostaną uwolnieni".

Referat Chruszczowa zelektryzował MWD, KGB i funkcjonariuszy władzy obozów. W ciągu kilku tygodni atmosfera w łagrach zelżała jeszcze bardziej, a proces

zwolnień i rewizji wyroków nabrał wreszcie tempa. O ile przez lata poprzedzające

jego wystąpienie na XX Zjeździe zrehabilitowano zaledwie 7 tysięcy osób, to

w ciągu dziesięciu miesięcy po "tajnym referacie" liczba ta wzrosła do 617

tysięcy. Uruchomione zostały nadzwyczajne procedury, by proces ten przyspieszyć

jeszcze bardziej. Jak na ironię, wiele osób skazanych przez osławione

"trójki"

podobne "trójki" wypuszczały na wolność. Komisje składające się z trzech osób;

prokuratora, członka Komitetu Centralnego i zrehabilitowanego aktywisty partyjnego (często byłego więźnia) - podróżowały od obozu do obozu i miejsc zesłania. W ich kompetencjach leżało prawo natychmiastowego przeprowadzenia śledztwa, przesłuchania więźnia w trybie doraźnym i zwalniania po zakończeniu tak przyspieszonego postępowania. W ciągu kilku miesięcy po referacie Chruszczowa również MWD przygotowało zasady głębokich zmian całej struktury obozów pracy. W kwietniu nowy minister spraw wewnętrznych Nikołaj Dudorow przesłał Komitetowi Centralnemu projekt gruntownej reorganizacji systemu obozowego. Jak pisał, sytuacja w łagrach i koloniach karnych "jest od wielu lat beznadziejna". Powinno się je zamknąć - dowodził - a szczególnie niebezpiecznych przestępców kryminalnych skierować do specjalnych, izolowanych więzień w odległych regionach państwa. Winni drobniejszych przestępstw powinni pozostawać w swoich okolicach rodzinnych i odbywać wyroki w "koloniach karnych" -

pracując w kołchozach lub zakładach przemysłu lekkiego. Nikogo nie powinno się

zmuszać, by pracował jako drwal, górnik, pracownik budowlany albo wykonywał

inne, nie wymagające kwalifikacji ciężkie prace fizyczne. Język, jakim posługuje się Dudorow, jest bodaj ważniejszy niż jego konkretne propozycje. Minister nie proponował wyłącznie stworzenia sieci mniejszych obozów pracy, chciał powrotu do systemu penitencjarnego, jeśli już nie

"normalnego", to w każdym razie choć po części przypominającego zachodnioeuropejski. Jego nowe kolonie karne nie miały mieć ambicji rentowności. Więźniowie mieli w nich pracować po to, by opanować jakiś pożyteczny i przydatny im zawód, a nie wzbogacać państwa. Celem pracy miała być resocjalizacja skazanego, a nie zysk.

Sugestie te wywołały zadziwiająco gniewną reakcję. Mimo przychylnego odzewu resortowych ministerstw gospodarczych szef KGB gen. Iwan Sierow nie zostawił suchej nitki na propozycjach ministra spraw wewnętrznych, nazywając je "błędnymi" i "nie do przyjęcia", a poza tym kosztownymi. Sprzeciwił się tworzeniu nowych kolonii karnych, gdyż mogłoby to - według niego - "stworzyć wrażenie, że na obszarze ZSRS

istnieje wielka liczba miejsc uwięzienia". Wystąpił przeciwko likwidacji obozów i dziwił się, dlaczego zek nie miałby pracować jako drwal czy górnik. Pomijając już wszystko, ciężka praca pomaga "reedukować więźniów w duchu uczciwego, pracowitego życia ludzi sowieckich".

Rezultatem starcia między dwoma resortami była daleko idąca połowiczność dokonanych reform. Z jednej strony Gułag jako taki, czyli Głównoje Uprawienie Łagierej, uległ likwidacji. W 1957 roku zarówno Dalstroj, jak i Norylsk - dwa największe i najpotężniejsze kompleksy obozów pracy - zostały rozwiązane. W ich ślady poszły również inne łagry przejęte przez stosowne ministerstwa resortowe - przemysłu wydobywczego, maszynowego, leśnego i budownictwa drogowego. Praca niewolnicza przestała liczyć się jako istotny komponent systemu gospodarczego ZSRS.

Niezreformowany pozostał jednak system wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie pozostali równie upolitycznieni, równie stronnicy i równie niesprawiedliwi. Praktycznie nietknięty pozostał także cały system więziennictwa. Ci sami strażnicy więzienni narzucali ten sam reżim, w takich samych obskurnych celach. Później, kiedy z czasem znów zaczął się system ekspansji więzień, nawet programy rehabilitacyjne i reedukacyjne - którym poświęcano tyle uwagi i troski - stały się równie fikcyjne i nieskuteczne jak dawniej. Zaskakująco ostry i nie przebierający w słowach spór między ministrem spraw wewnętrznych Dudorowem a przewodniczącym KGB Sierowem był jedynie przedsmakiem debat i kontrowersji, jakie miały rozgorzeć na znacznie szerszą skalę. Liberałowie sowieccy, idąc za tym, co traktowali jako program polityczny Chruszczowa, dążyli do szybkich zmian w każdej niemal sferze życia.

Tymczasem obrońcy starego systemu chcieli owe reformy wstrzymać, gdzie się da osłabić a nawet odwrócić, zwłaszcza tam, gdzie godziły w podstawy egzystencji potężnych i wpływowych elit. Nietrudno było przewidzieć rezultat tego starcia - nie tylko niezmienione cele więzienne, lecz również wprowadzane bez przekonania, połowiczne reformy, nowe -

a ściślej dawne, tyle że przywracane - przywileje i publiczne debaty, które natychmiast starano się tłumić. Epoka nazwana "odwilżą" była istotnie epoką zmian, zmian jednak dość specyficznego rodzaju - reform posuwających się dwa kroki naprzód i jeden - a bywało, że nawet i trzy -

kroki wstecz. Zwolnienie - obojętne, czy był to rok 1926, czy 1956 -

zawsze budziło wśród więźniów mieszane uczucia. Wypuszczony na wolność w latach trzydziestych Giennadij Andriejew-Chomiakow sam był

zdziwiony własną na to reakcją: „Wyobrażałem sobie, że nie będę chodził, a tańczył, że kiedy w końcu odzyskam wolność, upiję się nią. Tymczasem, kiedy mnie wreszcie zwolniono, nie poczułem nic z tych rzeczy.

Wyszedłem z bramy, minąłem ostatniego wartownika i nie doznałem żadnej ulgi [...]. Na skąpanym w promieniach słońca peronie bawiły się dwie dziewczynki, co chwila wybuchając beztroskim śmiechem.

Spojrzałem na nie zaskoczony. Jak one mogą się śmiać? Jak inni ludzie mogą spacerować sobie, rozmawiać, uśmiechać się, jak gdyby na świecie nic się nie stało - nic koszmarnego, nic, co na zawsze utkwiłoby ci w pamięci”. Po śmierci Stalina i referacie Chruszczowa zwolnienia następowały bardziej niespodziewanie, zaskakiwały, powodując tym samym jeszcze większe zamieszanie. Bywało, że więźniów, którzy spodziewali się spędzić za drutami jeszcze 10 lat, zwalniano z łagru dosłownie z dnia na dzień. Pewną grupę zesłańców wezwano do

dyrekcji kopalni w środku dnia pracy i po prostu kazano im wracać do domu. Jeden z nich przypomina sobie, że "spieckomiendant", lejtnant Isajew, "otworzył

sejf, wyjął z niego nasze dokumenty i oddał je nam". Więźniowie, którzy pisali

petycję za petycją, domagając się rewizji swoich spraw, przekonywali się nagle, że niczego nie muszą już pisać - mogą po prostu odejść. Ludzie, którzy nie myśleli o niczym innym tylko o wolności - o dziwo - tracili nagle ochotę, by jej doświadczyć: "Sama sobie nie wierząc, poczułam, że płaczę, wychodząc na wolność [...], a miałam takie uczucie, jakbym oddzierała od siebie coś, co mi było najbardziej drogie i miłe, jakbym oddzierała się od towarzyszy niedoli. Wrota zatrzęsnęły się - i wszystko się skończyło". Wielu po prostu nie było do tego przygotowanych. W

1954 roku Jurij Zorn przejechał zatłoczonym pociągiem jadącym z Kotłasu na południe zaledwie dwa przystanki. "Po co mam jechać do Moskwy?" - zapytał sam siebie, po czym wrócił do starego obozu, gdzie jego były komendant pomógł mu znaleźć pracę jako robotnikowi wolnonajemnemu. Zorin został tam następne 16 lat. Jewgienia Ginzburg знаła kobietę, która po prostu nie chciała opuścić swojego baraku.

"Chodzi o to, że ja... Ja nie potrafię żyć na wolności. Ja... ja chciałabym pozostać w obozie" - mówiła przyjaciółkom. "Naprawdę nie pragnąłem wolności. Co miało mnie w niej pociągać? Wydawało mi się, że króluje tam [...] kłamstwo, hipokryzja i bezmyślność. Tam wszystko jest tak fantastycznie nierealne - a tu, wszystko rzeczywiste" - napisał w swych wspomnieniach Korol. Wielu nie dowierzało Chruszczowowi; uważali, że sytuacja ponownie obróci się na gorsze, i woleli znaleźć sobie pracę w Workucie czy Norylsku jako robotnicy wolnonajemni. Bali się ponownie przeżywać kolejne aresztowanie i wszystkie jego konsekwencje. Jednak nawet dla tych, którzy chcieli wracać, nie zawsze okazywało się to możliwe - nie mieli w ogóle pieniędzy i prawie nic jedzenia.

Zwalnianym z obozów dawano 500 gramów chleba na każdy przewidywany dzień podróży do domu - racja bliska głodowej. Nie starczało jednak nawet i tego, ponieważ często droga trwała znacznie dłużej, niż planowano; dostać bilet na jeden z nielicznych samolotów lub pociągów na południe graniczyło z cudem. Dotarłszy na stację kolejową w Krasnojarsku, Ariadna Efron ujrzała gęsty tłum: "Nie sposób się stąd wydostać, to po prostu niemożliwe. Byli tu ludzie ze wszystkich obozów, z

całego Norylska". W końcu - zupełnie niespodziewanie - dostała bilet od

"anioła", kobiety, która przypadkiem miała ich dwa. W przeciwnym razie mogłaby tam czekać całymi miesiącami.

Galina Usakowa, trafiwszy na podobnie zatłoczony pociąg, poradziła sobie tak

jak wielu innych, których spotkał podobny los - dojechała do domu na półce bagażowej. Nie wszystkim się udawało; wielu więźniów umierało w drodze albo niedługo po powrocie do domu. Wycieńczeni latami ciężkiej pracy i koszmarem podróży nie wytrzymywali emocji związanych ze swym powrotem - zabijał ich

ostatecznie udar albo zawał serca. "Iluż ludzi zmarło od tej wolności!" -

stwierdził z zadumą jeden z byłych więźniów. Niektórzy ponownie lądowali w więzieniu. W raporcie MWD czytamy, że więźniowie zwolnieni z obozów w Workucie, Peczorze i Incie nie mogą kupić ubrań, obuwia i pościeli, ponieważ "w miastach na północ od koła polarnego brak sklepów". Część z nich, w desperacji, popełniała różne drobne wykroczenia po to, by z powrotem ich aresztowano. W więzieniu dostawali przynajmniej dzienną rację chleba. Część komendantów obozów była zresztą z tego zadowolona; wobec niedostatku siły roboczej administracja Workuty świadomie ignorowała płynące z góry polecenia i starała się zatrzymać w kopalniach pewne kategorie więźniów. Jeśli nawet wypuszczonemu na wolność zekowi udało się jakoś dotrzeć do Moskwy, Leningradu czy innej miejscowości, z której pochodził, jego los niekoniecznie musiał zmieniać się na lepsze. Okazywało się, że samo zwolnienie to za mało, by powrócić do "normalnego" życia. Bez zaświadczenia o rehabilitacji - dokumentu oficjalnie anulującego oryginalny wyrok - były "polityczny" w dalszym ciągu pozostawał osobą podejrzaną.

To prawda, że jeszcze przed paru laty człowiekowi takiemu wręczono by

"wilczy bilet" - specjalny rodzaj dokumentu tożsamości zakazującego zamieszkania

w większych miastach sowieckich i ich bezpośredniej bliskości. Innych czekała

administracyjna zsyłka w wybrane przez władze miejsce. Teraz "wilcze bilety"

wprawdzie zniesiono, ale wciąż trudno było znaleźć mieszkanie, pracę, a w Moskwie uzyskać nawet prawo stałego pobytu. Czasami więźniowie wracali tylko po

to, aby przekonać się, że już przed laty ich domy i mieszkania zarekwirowano,

a mienie ruchome rozgrabiono. Wielu ich krewnych, uznanych za

"wrogów" przez

sam fakt pokrewieństwa - zmarło albo popadło w nędzę. Czasami jeszcze długo

po zwolnieniu zeków ich rodziny nosiły na sobie piętno, padały ofiarą najrozmaitszych form

dyskryminacji, podlegały zakazowi wykonywania pewnych zawodów i piastowania niektórych stanowisk. Lokalne władze nadal podejrzliwie traktowały byłych więźniów. Sgovio strawił rok "na wyklócaniu się i prośbach", zanim pozwolono mu oficjalnie zameldować się w domu własnej matki. Starsi więźniowie nie mogli uzyskać należnej emerytury. Problemy osobiste oraz poczucie rażącej niesprawiedliwości kazało części z nich domagać się pełnej rehabilitacji - ale i to nie było sprawą ani prostą, ani oczywistą, a dla wielu wręcz niemożliwą. MWD

kategorycznie odmawiało na przykład rewizji spraw sprzed 1935 roku.

Tym, którzy dostali dodatkowy wyrok w obozie - czy za niesubordynację, czy to za jakieś formy oporu lub kradzież - również nigdy nie przyznano upragnionego certyfikatu rehabilitacji. Losy najwyższej rangi działaczy bolszewickich - Bucharina, Zinowiewa, Kamieniewa - nadal pozostawały ścisłym tabu i ludzie zamieszani w ich sprawy zostali zrehabilitowani dopiero w latach osiemdziesiątych. Dla tych, którzy zdecydowali się próbować, rehabilitacja była procesem długim; wnioski o nią musiał

pochodzić od skazanego lub jego rodziny i niejednokrotnie sprawę uruchamiano dopiero po drugim lub trzecim takim liście, choć zdarzały się wypadki, że trzeba było ich napisać znacznie więcej. Nawet jeśli się powiodło, z trudem osiągnięty sukces niekoniecznie okazywał się trwały.

Anton Antonow-Owsiejenko uzyskał zaświadczenie o pośmiertnej rehabilitacji ojca, którą później, w 1963 roku, cofnięto. Wielu byłych więźniów również nieufnie podchodziło do rewizji spraw. Wezwani na posiedzenia komisji apelacyjnych - które odbywały się zazwyczaj w biurach MWD lub Ministerstwa Sprawiedliwości - stawiali się z ciepłą odzieżą i zapasem żywności, odprowadzani przez pogrążoną we łzach rodzinę, przekonani, że czeka ich ponowna wywózka.

Z kolei na najwyższych szczeblach elity sowieckiej obawiano się, że proces rehabilitacji przebiega zbyt szybko i posuwa się nadmiernie daleko.

"Byliśmy przerażeni, rzeczywiście przerażeni... Baliśmy się, że odwilż może wywołać powódź, której nie będziemy umieli opanować i która nas zatopi" - napisał później Chruszczow. Jeden z byłych wyższych oficerów KGB, Anatolij Spragowski, wspomina, że w latach 1955-1960

podróżował po obwodzie tomskim, przesłuchując świadków i wizytując miejsca rzekomych zbrodni. Przekonał się wówczas - między innymi - że eks-więźniów oskarżano o znowę, której celem miało być wysadzenie w powietrze nieistniejących fabryk i mostów. Mimo to, gdy napisał do Chruszczowa raport z propozycją usprawnienia i przyspieszenia procesu rehabilitacji, spotkał się z wyjątkowo ostrą odmową. W Moskwie nikt -jak widać - nie chciał, aby

zdemaskować wszystkie zbrodnie lat stalinowskich, nikomu nie zależało też, by

rewizja dawnych procesów przebiegała szybko i sprawnie. Anastas Mikojan, jeden

z członków stalinowskiego Politbiura, któremu udało się przeżyć erę Chruszczowa, wyjaśnił przy pewnej okazji, dlaczego ludzi nie powinno się rehabilitować

zbyt szybko. Jeśli wszyscy naraz uznani zostaną oficjalnie za niewinnych, to "stałoby się oczywiste, że tym państwem nie kierują praworządne władze, a szajka

bandytów". Partia komunistyczna również nie była specjalnie chętna przyznawać się do zbyt wielu błędów. Rozpatrzono wprawdzie 70 tysięcy wniosków o przywrócenie utraconego członkostwa partii, ale jedynie w niespełną połowę pozytywnie. W rezultacie pełna rehabilitacja - z przywróceniem dawnej pozycji, mieszkania i prawem do renty - pozostała zjawiskiem bardzo rzadkim.

Znacznie częstsze od pełnej rehabilitacji były tak wieloznaczne doświadczenia, jakich doznała Olga Adamowa-Sliozberg, która w 1954

roku wystąpiła z wnioskiem o rehabilitację siebie i męża. Czekwała dwa lata, aż wreszcie, po tajnym referacie Chruszczowa w 1956 roku, otrzymała upragnione zaświadczenie. Stwierdzono w nim, że jej sprawa została rozpatrzona ponownie i z braku dowodów zamknięta.

"Aresztowano mnie 27 kwietnia 1936 roku; tak więc za pomyłkę tę zapłaciłam dwudziestoma latami i czterdziestu jeden dniami życia". Jako rekompensatę - czytamy w certyfikacie - Adamowa-Sliozberg ma prawo do dwumiesięcznej pensji własnej i jej nieżyjącego męża oraz dodatkowo do 11 rubli i 50 kopiejek jako rekompensaty za kwotę znajdującą się w posiadaniu jej małżonka w chwili jego śmierci. I to wszystko. Stojąc w poczekalni biura Sądu Najwyższego i czytając tę wiadomość, usłyszała czyjś krzyk. „Była to jakaś stara Ukrainka, której właśnie wręczono informację podobnej treści: "Nie potrzeba mi waszych pieniędzy za krew syna; weźcie je sobie z powrotem". Podarła wszystkie zaświadczenia i cisnęła je na podłogę. "Uspokójcie się, obywatelko" -

próbował coś powiedzieć funkcjonariusz, który załatwiał jej sprawę. Ale rozwścieczona staruszka znów zaczęła krzyczeć. Ludzie umilkli zażenowani; tu i ówdzie ktoś zaczął

plakać. Wróciłam do domu, z którego teraz nie mógł mnie już eksmitować żaden milicjant. Był to dom niczyj i tu wreszcie mogłam się spokojnie wypłakać. Opłakiwałam męża, który zginął w lochach Łubianki w wieku trzydziestu dziewięciu lat, u szczytu sił twórczych, opłakiwałam dzieci, które wychowywały się jak sieroty, piętnowane przez rówieśników jako dzieci "wrogów ludu"; opłakiwałam rodziców, którzy umarli z żalu, Nikołaja, którego torturowano w łagrze, zmarłych przyjaciół, którzy nie doczekali się rehabilitacji i leżą w skutej lodem ziemi Kołymy". Chociaż w standardowych opracowaniach historii ZSRS fakt ten najczęściej się przemilcza, powrót milionów ludzi z łagrów i zsyłki musiał być trudnym do wyobrażenia wstrząsem dla pozostałych obywateli sowieckich. Tajny referat Chruszczowa na pewno wywołał szok, było to jednak wydarzenie odległe, mające rezonans na szczytach hierarchii partyjnej. Natomiast ponowne pojawienie się ludzi od dawna uznanych za umarłych uwiarygodniło i upowszechniło na swój sposób jego treść milionom zwykłych ludzi. Epoka stalinowska była okresem tajnego i utrzymanego w sekrecie gwałtu; tymczasem nagle pojawił się cały legion więźniów łagiernych i żywych świadków tego, co działo się naprawdę.

Ludzie ci przynieśli ze sobą również wiadomości - te złe i te dobre - o tych którzy "zniknęli". Składanie wizyt w domach żywych i zmarłych współtowarzyszy stało się niejako zwyczajem zwolnionych więźniów, którzy przekazywali rodzinom wiadomości od nich lub ich ostatnie słowa.

Michaił Rotfort wracał Charkowa przez Czytę i Irkuck po to tylko, by spotkać się z rodzinami i przyjaciółmi współtowarzyszy z obozu. Gustaw Herling-Grudziński złożył bardzo krępującą wizytę rodzinie obozowego kolegi Krugłowa, którego żona błagała go, by nie mówił córce o drugim wyroku, jaki mąż otrzymał w łagrze, co rusz spoglądała na zegarek i prosiła, żeby jak najprędzej sobie poszedł. Powracający więźniowie budzili też strach. Bali się ich dawni przełożeni i koledzy - ludzie, którzy wsadzili ich do więzienia. Anna Andriejewa pamięta, jak latem 1956 roku wszystkie pociągi z Karagandy i Potny do Moskwy pełne były zwolnionych więźniów: "Radość mieszała się ze smutkiem - ludzie spotykali ludzi, którzy skazali ich i skazywali innych. Ten dziwny nastrój panował w całej Moskwie". W „Oddziale chorych na raka” Sołżenicyn opisuje reakcję chorego dygnitarza partyjnego na przyniesioną mu przez żonę wieść, że jego były przyjaciel, którego w swoim czasie zadenuncjował, by zająć jego mieszkanie, został zrehabilitowany: „Paweł

Nikołajewicz czuł obezwładniającą słabość - w pasie, w ramionach, i siedział ze zwieszoną bezsilnie głową.

- Po co mi to powiedziałaś? - jęknął słabym i żalonym głosem. - Mało mi jeszcze

nieszczęścia? - Jego piersią targnął suchy, nerwowy szloch [...]. - Po co sprowadzają ich wszystkich z powrotem, komplikować ludziom życie?”.

Czasami poczucie winy było nie do zniesienia. Po tajnym referacie Chruszczowa Aleksandr Fadiejew - zagorzały stalinista i budzący postrach działacz Związku

Pisarzy wpadł w ciąg alkoholowy i po pijanemu wyznał przyjacielowi, że jako sekretarz generalny nie sprzeciwiał się aresztowaniu wielu pisarzy, o których

wiedział, iż są najzupełniej niewinni. Następnego dnia popełnił

samobójstwo,

zostawił po sobie podobno jednozdaniowy list pożegnalny do Komitetu Centralnego: "Kula, którą wystrzeliłem, przeznaczona była dla polityki stalinowskiej

etyki Żdanowa i genetyki Łysenki". Inni tracili zmysły. Olga Miszakowa, funkcjonariuszka KC Komsomołu, zadenuncjowała jego młodego przywódcę Aleksandra Kosariewa. W 1956 roku Kosariew został

zrehabilitowany, a Miszakową zwolniono z pracy. Mimo to przez następny rok co dzień przychodziła do budynku Komsomołu i przesiadywała w swoim - pustym teraz - gabinecie, nie opuszczając go nawet na przerwę obiadową. Gdy odebrano jej przepustkę, wciąż pojawiała się o zwykłej godzinie i przez cały czas urzędowania biura stała przed wejściem do gmachu. W końcu ją przeniesiono do pracy do Riazania, a mimo to Miszakowa codziennie wsiadała do pociągu wyjeżdżającego o czwartej rano do Moskwy, gdzie odbywała swoją rutynową "wartę" przed wejściem do budynku. Do Riazania wracała wieczorem. Na koniec zamknięto ją w klinice dla umysłowo chorych.

Spotkania ofiar z denuncjatorami stały się po roku 1956 bolesną i trudną rzeczywistością, nawet jeśli

nie kończyły się samobójczą śmiercią albo domem wariatów. "Dwóch Rosjan twarzą w twarz - pisze Anna Achmatowa - jeden, który siedział, drugi, który go wsadził". Wielu członków sowieckiej elity partyjnej - Chruszczowa nie wykluczając -

osobiście znało "tych, co wrócili". Według Antonowa-Owsiejki w 1956

roku jeden z takich "starych przyjaciół" pojawił się u Chruszczowa w domu i wymógł na nim przyspieszenie procedury rehabilitacyjnej. Jeszcze gorzej wyglądały spotkania między byłymi więźniami a ich strażnikami lub śledczymi. W anonimowych wspomnieniach opublikowanych w samizdatowym piśmie wydawanym przez Roja Miedwiediewa opisane zostało spotkanie takiego człowieka ze swoim byłym śledczym, który błagał go o pieniądze na wódkę: "Dałem mu wszystko, co zostało mi z podróży; było tego sporo. Dałem mu je, żeby sobie jak najszybciej poszedł. Bałem się, że nie wytrzymam. Czułem niepohamowaną chęć, aby dać upust tak długo tłumionej nienawiści do niego i jemu podobnych".

Wyjątkowo przykro było również spotkać byłych przyjaciół, obecnie cieszących się sławą i poważaniem obywateli sowieckich. Lew Razgon natknął się na takiego człowieka w 1968 roku, ponad 10 lat po swoim zwolnieniu: "Przywitał mnie..., jakbyśmy rozstali się wczoraj wieczorem.

Wyraził swoje ubolewanie - a jakże - z powodu śmierci Oksany i dopytywał się o Jelenę. A wszystko to w pośpiechu, jak człowiek interesu

[...] i tak to się odbyło". Jurij Dombrowski wyraził swoje uczucia wobec przyjaciela, który mocno spóźnił się z kondolencjami, w wierszu „Do sławnego poety”:

„Nie współczuły nam nawet własne dzieci,

Nie chciały nas nawet nasze żony, Tylko

strażnik strzelał do nas, bezbłędnie celując w

nasze numery, jak w tarczę...

A ty tylko szlajałeś się po knajpach I

przerzucając się żartami nad kieliszkiem

Rozumiałeś wszystko i witałeś się z każdym,

Ale tego, że umarliśmy, nie zauważyłeś.

Wytłumacz mi więc, proszę

Dlaczego teraz, kiedy zmienili rozkazy

I wynurzyłem się z powrotem z grobowca Północy,

Traktujesz mnie jakbym był lokatorem?

Kobiety lizały cię po rękach -

Za odwagę? Za tortury, które przecierpiałeś?”

Lew Kopielew napisał, że po swoim powrocie nie mógł znieść towarzystwa

ludzi, którym się powiodło - zdecydowanie wolał nieudaczników. Byłych więźniów gnębił jeden jeszcze ciężki problem: jak i ile mówić z rodziną i przyjaciółmi. Niektórzy próbowali chronić dzieci przed poznaniem prawdy. Córka jednego z twórców sowieckiego programu raketowego Korolowa dowiedziała się o pobycie ojca w więzieniu dopiero jako nastolatka, kiedy przyszło jej wypełnić odpowiednią rubrykę w ankiecie personalnej, w której pytano wprost, czy kiedykolwiek aresztowano kogoś z jej bliskich. Wielu wychodzącym na wolność więźniom kazano podpisywać dokumenty zakazujące przekazywania komukolwiek informacji o pobycie w obozie. Niektórych udawało się w ten sposób zastraszyć i zmusić do milczenia – innych nie. Susanna Pieczuro wprost odmówiła podpisania takiego oświadczenia i jak sama twierdzi -

opowiadała o tym wszystkim. Inni przekonywali się, że ich rodziny i przyjaciele, nawet jeśli chcą cokolwiek wiedzieć, to w każdym razie nie chcą poznać żadnych szczegółów - ani o miejscu pobytu swych bliskich, ani o ich przeżyciach. Zbyt się bali - niekoniecznie wszechobecnej tajnej policji - lecz tego, co mogli dowiedzieć się o ludziach, których kochali. W

powieści „Pokolenie zimy”, pierwszej części trylogii "Moskiewska saga", pisarz Wasilij Aksionow - syn Jewgienii Ginzburg - opisał tragicznie przerażająco prawdopodobną scenę spotkania męża i żony po latach, które oboje spędzili w obozach koncentracyjnych. Mężczyzna natychmiast zauważył, że wygląda za dobrze: "Po pierwsze powiedz mi, jak udało ci się nie zbrzydnąć, nawet nie straciłaś na wadze!" - stwierdza, znając aż za dobrze wszystkie metody, które pozwalały kobietom przetrwać w dobrym stanie Gułag. Tej nocy oboje leżeli w łóżku, trzymając się jak najdalej od siebie; niezdolni wypowiedzieć słowa. "Smutek i melancholia zżerały ich do cna". Pisarz i poeta, Bułat Okudźawa, również napisał nowelę o spotkaniu z matką, która spędziła w łagrze 10 lat. Człowiek ten marzył o jej przyjeździe, wyobrażał sobie, że odbierze ją ze stacji, weźmie do domu na obiad, oboje popłaczą trochę z radości, opowie jej o swoim życiu, a potem może nawet zabierze do kina. Tymczasem ujrzał kobietę z suchymi oczyma i nieobecny wyrazem twarzy. „Patrzyła na mnie, jakby nie widząc, jej twarz stwardniała, jak ścięta przez masę”. Spodziewał się, że może być wycieńczona fizycznie, był jednak całkowicie nieprzygotowany na pustkę emocjonalną - coś, czego musiały doświadczyć tysiące ludzi.

Równie puste i bezbarwne bywały często spotkania prawdziwe. "Nie ma już naszego pokrewieństwa - byłyśmy matką i córką. Mimo to zachowałyśmy się jak osoby sobie obce, rozmawiałyśmy o błahostkach, częściej zresztą milcząc lub płacząc" - napisała Nadieżda Kaprałowa o spotkaniu po trzynastu latach z matką z którą rozdzielono ją, gdy była ośmioletnią dziewczynką. Jewgienij Hagen, gdy zobaczył się ponownie z żoną po czternastu latach rozłąki, stwierdził, że nie mają ze sobą już nic wspólnego. On dojrzał, ona pozostała taka sama jak dawniej. Po połączeniu się z synem w 1948 roku Olga Adamowa-Sliozberg musiała postępować z najdalej posuniętą ostrożnością: "Obawiałam się mówić mu o wszystkim, czego nauczyłam się po tamtej stronie. Na pewno przekonałam go, że wiele

złego zdarzyło się w naszym kraju, że jego idolowi - Stalinowi - daleko do ideału, ale syn miał dopiero siedemnaście lat. Bałam się być z nim do końca szczerą". Nie każdy jednak musiał czuć się w sowieckim społeczeństwie obco i nie na miejscu. Dziwne, ale wielu byłych zeków wracało z zamiarem przywrócenia swego członkostwa w partii. Powodowała nimi nie tylko chęć odzyskania przywilejów i utraconego statusu. Chcieli znów poczuć się pełnoprawnymi członkami społeczności zaangażowanej w budowę komunizmu. "Wierność pewnemu systemowi przekonań ma głębokie korzenie irracjonalne" - w ten

sposób Nanci Adler usiłuje wytłumaczyć uczucia byłego więźnia, któremu oddano

legitymację partyjną: „Przetrwać te ciężkie warunki pozwoliła mi przede wszystkim niezłomna i niezachwiana wiara w naszą leninowską partię i jej humanistyczne zasady. Partia dała mi siłę fizyczną, dzięki której wytrzymałem tę próbę... Ponowne przyjęcie w szeregi partii komunistycznej było dla mnie najszczęśliwszą chwilą w życiu”. Jeszcze dalej idzie w swych ocenach Catherine Merridale, twierdząc, że partia i ideologia kolektywizmu pomagała ludziom dojść do siebie i otrząsnąć się z balastu traumatycznych przeżyć: "Wydaje się, że praca, śpiew i wymachiwanie czerwoną flagą rzeczywiście pomagały Rosjanom pogodzić się z tym, co przeżyli. Niektórzy dziś się z tego śmieją, ale niemal wszyscy odczuwają nostalgię za kolektywizmem i utraconym poczuciem, że łączy ich wspólny cel. Pod tym względem totalitaryzm wypełnił swoje zadanie bez zarzutu".

Nawet jeśli na jakimś poziomie świadomości zdawali sobie sprawę, że walka

ta jest podszyta fałszem, nawet jeśli wiedzieli, że ich kraj nie jest tak wielki i godzien podziwu, jak utrzymywali to jego przywódcy, nawet jeśli mieli świadomość, że całe miasta sowieckie zbudowano na szczątkach ludzi niesłusznie skazanych na niewolniczą pracę, to i tak niektóre z ofiar łagrów czuły się lepiej w przywróconej im roli współuczestnika zbiorowego wysiłku społecznego, a nie kogoś zeń wykluczonego. Tak czy inaczej konflikt między ludźmi, którzy byli "tam", a tymi, którzy "tam"

nie trafili, nie mógł trwać tylko za zamkniętymi drzwiami mieszkań i domowych sypialni. Odpowiedzialni za to, co się stało, wciąż żyli. Na koniec wreszcie Chruszczow, toczący tym razem walkę o swoją własną karierę i wpływy partyjne, zaczął nazywać ich po imieniu. W referacie wygłoszonym podczas zwołanego na październik 1961 roku XXII Zjazdu KPZS stwierdził, że Mołotow, Kaganowicz, Woroszyłow i Malenkow winni są bezprawnych, masowych represji, których ofiarą padło wielu funkcjonariuszy partyjnych, państwowych, wojskowych i komsomolskich, i ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za ich fizyczną likwidację.

Dodał też, co brzmiało złowieszczo, że posiada dokumenty jednoznacznie dowodzące tej winy. Ostatecznie jednak w trakcie walki frakcyjnej ze stalinowskimi przeciwnikami reform Chruszczow nie zdecydował się na opublikowanie ani jednego z owych "dokumentów". Być może nie był na to dość silny, niewykluczone jest, że podając je do wiadomości publicznej, obnażyłby własną rolę, jaką odegrał w systemie represji stalinowskich. W

zamian obrał inną strategię działania - rozszerzył zasięg debaty o stalinizmie poza wewnętrzny krąg partii, przeniósł ją do świata literatury.

Chruszczowa, jak się wydaje, nie interesowali pisarze i poeci jako tacy, niemniej u progu dekady lat

sześćdziesiątych zrozumiał rolę, jaką środowisko to może odegrać w toczonej przez niego walce o władzę. W

oficjalnych publikacjach zaczęły powoli ukazywać się od dawna nieobecne w nich nazwiska - co prawda bez żadnych wyjaśnień, dlaczego w swoim czasie znikły i z jakich przyczyn ponownie wolno ich używać.

W literaturze sowieckiej znów pojawiły się długo nie widziane w niej postacie - nieuczciwi, przekupni biurokraci i powracający z łagrów więźniowie. Chruszczow dostrzegł, że literatura tego rodzaju może mieć dla niego znaczną wartość propagandową, dyskredytuje bowiem jego przeciwników, obarczając ich winą i odpowiedzialnością za zbrodnie przeszłości. To - jak wolno przypuszczać -

w jakiejś przynajmniej mierze było przyczyną, która skłoniła go do wydania zgody na publikację najśłynniejszej noweli "gułagowej", „Jeden dzień Iwana Denisowicza” Aleksandra Sołżenicyna. Znaczenie twórczości literackiej Sołżenicyna i rola, jaką odegrał on w uświadomieniu Zachodowi samego faktu istnienia Gułagu, sprawia, że pisarz ten zasługuje na osobną wzmiankę w każdej historii sowieckich obozów koncentracyjnych. Równie godna uwagi jest jego krótka kariera jako słynnego, publikowanego w masowych nakładach, oficjalnego autora, widoczna jako symbol niezwykle istotnej w dziejach ZSRS "epoki przejściowej". W 1962 roku, gdy pierwszy nakład „Iwana Denisowicza” ukazał się drukiem, proces "odwilży" osiągnął swe apogeum, więźniów politycznych była w ZSRS zaledwie garstka, a sam Gułag zdawał się już pieśnią przeszłości. Latem 1965 roku, kiedy oficjalny periodyk partyjny nazwał Iwana Denisowicza "dziełem bez żadnej wątpliwości kontrowersyjnym - tak ideologicznie, jak artystycznie" - Chruszczow był

już wysadzony z siodła, zaczynała się epoka reakcji, a liczba więźniów politycznych rosła w niepokojąco szybkim tempie. W roku 1974, kiedy opublikowano anglojęzyczną wersję „Archipelagu Gułag” - wielkiej, trzutomowej historii systemu obozów sowieckich - Sołżenicyn został

wydalony z kraju, a jego książki można było drukować wyłącznie za granicą. Instytucja sowieckich obozów karnych została przywrócona i miała się całkiem nieźle, a ruch dysydencki działał już na dobre.

Więzienna kariera Sołżenicyna zaczęła się w sposób typowy dla zeków jego

generacji. W 1941 roku autor „Iwana Denisowicza” wstąpił do szkoły oficerskiej, jesienią i zimą 1943 roku walczył na froncie, w roku 1945

wysłał do przyjaciela list z kilkoma źle zamaskowanymi uwagami krytycznymi wobec Stalina. Wkrótce potem został aresztowany. Młodego oficera - dotychczas mniej lub bardziej szczerze wyznającego ideologię komunistyczną - zaskoczyła brutalność i okrucieństwo, z jaką go potraktowano; nieco później przeżył wstrząs na widok losu, jaki spotyka wracających z niewoli wojennej żołnierzy i oficerów, których - według niego - winno czcić się jako bohaterów narodowych. Już nieco mniej typowa jest jego późniejsza kariera obozowa; dzięki znajomości matematyki i fizyki skierowany został najpierw do pracy w "szaraszce", co opisał w swojej powieści „Krąg pierwszy”. Wyrok odsiadywał w kilku mniej znanych łagpunktach w różnych częściach Rosji,

w tym w Moskwie oraz w jednym ze specjalnych kompleksów obozowym w Karagandzie.

Sam również nie był jakimś szczególnie wyróżniającym się zekiem; prowadził flirt z władzami obozowymi i służył im jako konfident, przynajmniej dopóty, dopóki nie zrozumiał istoty tego, co czyni. Wtedy zaczął pracę murarza. Tę właśnie pracę przydzielił później Iwanowi Denisowiczowi - "archetypowi zeka" i bohaterowi pierwszej jego noweli.

Po wyjściu na wolność rozpoczął pracę nauczyciela szkolnego w Riazaniu. Wtedy też zaczął eksperymentować z piórem, opisując swoje obozowe przeżycia. Również i to nie było niczym nadzwyczajnym - setki wspomnień z Gułagu, publikowanych od lat osiemdziesiątych, przynoszą aż nadto dowodów daru obserwacyjnego i talentów literackich byłych więźniów, z których wielu zresztą pisało do szuflady od bardzo wielu lat.

To, co czyni Solżenicyna postacią rzeczywiście niezwykłą, jest fakt, że jego utwór ukazał się drukiem w Związku Sowieckim w czasie, gdy krajem tym rządził jeszcze Chruszczow. Wokół okoliczności opublikowania „Iwana Denisowicza” narosło z czasem tyle mitów i legend, że biograf pisarza, Michael Scammell, napisał swego czasu, iż w historii tej "trudno niejednokrotnie z całą pewnością ustalić, co jest fikcją, a co prawdą". Droga noweli do sławy trwała długo; zanim „Iwan Denisowicz” stał się wydarzeniem literackim, jego manuskrypt musiał

przejść przez ręce Lwa Kopielewa, w swoim czasie obozowego kolegi Solżenicyna, wówczas znanego w literackich kręgach Moskwy redaktora literackiego miesięcznika "Nowyj Mir". Zafascynowany tym, co przeczytał, przekazał rękopis naczelnemu tego pisma, Aleksandrowi Twardowskiemu. Twardowski -jak chce legenda - zabrał się do lektury

„Iwana Denisowicza” w łóżku. Już jednak pierwsze kilka stron opowiadania wywarło na nim wrażenie tak wstrząsające, że poczuł, że musi wstać i ubrać się. Opowiadanie czytał przez całą noc, siedząc wyprostowany przy biurku. Nazajutrz skoro świt pojawił się w redakcji i polecił sekretarkom przepisać tekst w kilku egzemplarzach, by móc rozdać je do przeczytania przyjaciołom, głosząc zarazem wszem wobec narodziny nowego literackiego geniusza. Nie wiadomo, czy to wszystko zdarzyło się istotnie, wiadomo tylko, że tak właśnie opowiadał o tym każdemu sam Twardowski. Solżenicyn napisał mu zresztą o wielkiej radości, jakiej doznał, dowiedziawszy się, że uznał jego Iwana za dzieło

"warte zarwanej nocy". Konstrukcja samej noweli jest dość prosta -

opisuje ona powszedni dzień zwykłego zeka. Dzisiejszy czytelnik - nawet czytelnik rosyjski - może mieć spore trudności ze zrozumieniem, dlaczego

„Iwan Denisowicz” narobił tak wiele hałasu i zamieszania w sowieckim światku literackim. Dla tych jednak, którzy opowiadanie przeczytali w 1962 roku, było ono rewelacją. Zamiast - wzorem kilku innych opublikowanych wówczas książek - niejasno i wieloznacznie mówić o

"tych, co wrócili", i o nieokreślonych "represjach", Iwan Denisowicz wprost i bez ogródek opisuje życie w obozie, poruszając otwarcie problem, o którym do tej pory nikt nie dyskutował publicznie.

Równocześnie jednak styl Sołżenicyna - zwłaszcza język noweli często gęsto sięgający wprost do obozowego slangu - oraz przedstawiony przez niego opis nudy, apatii i obrzydliwości życia więziennego stał w jaskrawym kontraście ze zwyczajową pustotą zafałszowanych powieści, jakie wówczas wydawano. Oficjalnym

wyznaniem wiary ówczesnych pisarzy sowieckich był tak zwany realizm socjalistyczny - literacka wersja oficjalnej doktryny stalinowskiej, z realizmem wspólnego mająca bardzo niewiele lub zgoła nic. Książki o tematyce "więziennej" - takie jakie w tych latach publikowano - nie zmieniły się ani na jotę od czasów Gorkiego. Jeśli w opowiadaniu sowieckim pojawiał się złodziej, to na koniec musiały obowiązkowo spaść mu z oczu łuski, odsłaniając świetlaną przyszłość zawartą w oficjalnej ideologii, na którą człowiek ten skwapliwie się nawracał. Bohater literacki mógł co prawda cierpieć, ale tylko dopóty, dopóki na koniec partia nie wskazała mu właściwej drogi. Bohaterka mogła ronić łzy, ale skoro tylko nauczono ją prawdziwej wartości, jaką niesie ze sobą praca, natychmiast odnajdowała dla siebie właściwe miejsce w społeczeństwie. „Iwan Denisowicz” natomiast to opowiadanie rzeczywiście i na wskroś realistyczne, nie ma w nim optymistycznych zakończeń, nie jest to żadna umoralniająca bajeczka. Cierpienia jego bohatera pozbawione są wszelkiego wyższego sensu, wykonywana przez niego praca jest nadludzko ciężka i wyczerpująca, toteż stara się on za wszelką cenę jej uniknąć. Partia nie triumfuje na końcu, a komunizm nie odgrywa roli ostatecznego zwycięzcy. Podziw i szacunek Twardowskiego wzbudziła właśnie owa - niespotykana u innych autorów sowieckich - szczerłość i uczciwość. "Nie ma w tym opowiadaniu ani kropli fałszu" - powiedział

przyjacielowi Sołżenicyna Kopielewowi. A to wyprowadzało z równowagi wielu jego czytelników, zwłaszcza z kręgów establishmentu sowieckiego. Nawet jeden z redaktorów "Nowego Mira" uznał brutalną szczerłość „Iwana Denisowicza” za niepokojącą: "Opowiadanie ukazuje życie zbyt jednostronnie, przez co mimowolnie wypacza, wręcz odwraca proporcje". Ludziom przywykłym do symplizmu schematycznych konstrukcji nowela Sołżenicyna zdawała się przerażająco amoralna, otwarta i niedokończona, gdyż pozbawiona była jednoznacznej oceny.

Twardowski chciał opublikować utwór, wiedział jednak, że jeśli po prostu przekaże maszynopis cenzurze, ta natychmiast zakaze jego druku. Zamiast tego zaofiarował „Iwana Denisowicza” Chruszczowowi -jako narzędzie walki z jego wrogami. Michael Scammell twierdzi, że Twardowski dopisał do noweli wstęp

w którym dowodził jej przydatności do tego właśnie celu, po czym zaczął

rozdawać tekst ludziom, co do których żywił nadzieję, że wręczą go samemu Chruszczowowi.

Po wielu przepychankach, kłótniach, dyskusjach i kilku zmianach wprowadzonych do tekstu oryginalnego - Sołżenicyn uległ namowom i zgodził się wprowadzić do opowiadania jednego przynajmniej "bohatera pozytywnego" oraz dołączyć rytualne potępienie ukraińskiego nacjonalizmu - opowiadanie trafiło wreszcie na biurko Chruszczowa. A ten nie tylko wyraził zgodę na druk, ale nawet skomplementował utwór, jako napisany "w duchu XXII Zjazdu Partii" - co w jego ustach miało zapewne oznaczać, że doprowadzi do wściekłości jego partyjnych przeciwników. Ostatecznie w listopadzie 1962 roku ukazał się drukiem numer "Nowego Mira", o którym mowa. "Ptak wyleciał na wolność! Ptak wyleciał na wolność!" - miał jakoby skomentować ten fakt podniecony Twardowski,

trzymając w ręku egzemplarz szczotkowej odbitki miesięcznika. Z początku zachwyty krytyki był powszechny - przyczynił

się do tego zapewne fakt, że opowiadanie niemal idealnie pasuje do obowiązującej podówczas oficjalnej linii partyjnej. Literacki krytyk

"Prawdy" wyrażał nadzieję, że na skutek "walki z kultem jednostki"

będzie odtąd "coraz łatwiej publikować dzieła sztuki wyróżniające się coraz większą wartością artystyczną". Jego kolega z "Izwestii" stwierdzał, że Sołżenicyn "okazał się prawdziwym pomocnikiem partii w świętym i ważkim dziele - walki z kultem jednostki i jego konsekwencjami". Nieco inaczej oceniali nowelę zwykli czytelnicy, którzy przez pierwsze miesiące po opublikowaniu „Iwana Denisowicza” w "Nowym Mirze" dosłownie zalewali Sołżenicyna istnym potopem listów. Fakt, że opowiadanie bliskie jest aktualnej, nowej linii politycznej partii, nie czynił większego wrażenia na byłych więźniach obozów, którzy pisali do niego ze wszystkich zakątków kraju, zachwyceni, że mogą czytać coś, co w pełni oddawało ich osobiste przeżycia i odczucia. Ludzie, którzy bali się dotąd mówić o nich nawet szeptem, nawet najbliższymi przyjaciółmi, poczuli nagle ogromną ulgę. "Twarz miałam mokrą od łez. Nie wycierałam ich, ponieważ to wszystko - pomieszczone na tak niewielu stronach pisma - było moje, moje w najgłębszym i najbardziej intymnym tego słowa znaczeniu; każdym dniem z piętnastu lat, jakie spędziłam w łagrach" - tak opisała swoją reakcję na „Iwana Denisowicza” jedna z czytelniczek. A oto inny z listów adresowanych do Sołżenicyna: "Drogi przyjacielu, towarzyszu i bracie! [...] Czytając twoje opowiadanie, przypominałem sobie Workutę...mrozy i zamiecie śnieżne, wyzwiska i poniżenie... Płakałem, czytając - oni wszyscy to postacie znajome, jakby z mojej własnej brygady... Dzięki raz jeszcze! Proszę, rób tak dalej, w tym samym duchu -

pisz, pisz...". Najbardziej emocjonalnie reagowali ludzie wciąż jeszcze przebywający w więzieniach. Odsiadujący wówczas swój drugi wyrok Leonid Sitko dowiedział się

o publikacji w odległym Dubrawłagu. Przybyły do obozowej biblioteki egzemplarz "Nowego Mira" przez dwa miesiące trzymało dla siebie naczalstwo; kiedy wreszcie pismo trafiło do rąk zeków, czytano je w grupach. „Kiedy przeczytano ostatnie słowo, zapadła martwa cisza.

Dopiero po dwóch czy trzech minutach cały barak jakby eksplodował.

Każdy przeżywał tę opowieść na własny, równie bolesny sposób [...] i w kłębach tytoniowego dymu rozgorzała zdająca się nie mieć końca dyskusja [...]. Często, coraz częściej, padało pytanie: "Dlaczego pozwolili to wydrukować?". W rzeczy samej, dlaczego? Wygląda na to, że zdziwienie ogarnęło nawet samą sowiecką wierchuszkę partyjną.

Najprawdopodobniej przedstawienie przez Sołżenicyna uczciwego i szczerego obrazu obozowego życia było to dla nomenklatury partyjnej nazbyt wiele. Oznaczało zmianę zbyt poważną, zbyt daleko posuniętą, a publikacja opowiadania nastąpiła przedwcześnie, zbyt szybko jak na gusty ludzi, którzy sami obawiali się, że ich głowy mogą spaść z karków w następnej kolejności. A może mieli już dość niepoczytalnego lidera partii, byli nim zmęczeni, bali się, że poszedł za daleko. Istotnie Chruszczowa wkrótce obalono, w październiku 1964 roku. Jego następcą, Leonid Breżniew, był przywódcą

zachowawczej frakcji partii - przeciwników reform, wrogów "odwilży" i neo stalinistów. Tak czy inaczej nie ulega wątpliwości, że publikacja „Iwana Denisowicza” sprawiła, że reakcyjniści zwarli szeregi i to w zadziwiająco szybkim tempie. Nowela ukazała się drukiem w listopadzie, w grudniu zaś - kilka dni po tym, jak Chruszczow osobiście spotkał się z Sołżenicynem i złożył mu gratulacje - Leonid Iłczow, przewodniczący Komisji Ideologicznej KC KPZS, wygłosił

przemówienie do czterystuosobowej grupy pisarzy i artystów zgromadzonych w gmachu Związku Pisarzy. "Nie można dopuścić, aby społeczeństwo sowieckie - stwierdził - zostało wstrząśnięte i osłabione pod pretekstem walki z kultem jednostki". Gwałtowność tej zmiany odzwierciedla ambiwalentny stosunek Związku Sowieckiego do własnej historii - ambiwalencji tej nie udało się skądinąd przezwyciężyć nigdy, nawet dziś. Jeżeli elita sowiecka miałaby zaakceptować autentyzm portretu „Iwana Denisowicza”, byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że niewinni ludzie znosili bezsensowne cierpienia i męki. Jeśli obozy pracy rzeczywiście były tragiczną głupotą i marnotrawstwem, oznaczałoby to, że tragiczną głupotą i marnotrawstwem stał się cały Związek Sowiecki.

Pogodzić się z tym, że życiem każdego obywatela sowieckiego - zarówno nomenklaturszczyka, jak najprostszego kołchoźnego chłopca - rządziło jedno wielkie pasmo kłamstw, nie było nigdy łatwe. Po okresie wahań -

wymianie argumentów "za" i "przeciw" - ataki na Sołżenicyna stały się coraz bardziej brutalne i coraz częstsze. W jednym w poprzednich rozdziałów mówiłam już o gniewnej reakcji, jaką zarówno u byłych więźniów, jak i ich nadzorców wywoływały powtarzane ustawicznie przez Iwana Denisowicza próby wymigania się od ciężkiej pracy. Zdarzały się jednak i bardziej wyrafinowane głosy krytyczne. Pisząca dla "Literaturnoj Gaziety" Lidia Fomienko oskarżyła Sołżenicyna na przykład o to, że nie udało mu się "odkryć całej dialektyki tego czasu". Innymi słowy, Sołżenicyn potępiał wprawdzie "kult jednostki", nie umiał jednak wskazać drogi wiodącej ku bardziej optymistycznej przyszłości i nie włączył do swego opowiadania postaci szlachetnych bohaterów komunistów, którzy odnieśliby ostateczny triumf. Tego rodzaju zarzuty pojawiały się i w innych głosach krytycznych, niektórzy nawet próbowali naprawić błędy Sołżenicyna w formie literackiej. „Powieść o pierieżytom” Borisa Djakowa - "prawomyślna" opowieść obozowa opublikowana w 1964

roku - to właśnie w znacznej mierze opis ciężkiej pracy wiernych ideałom systemu więźniów sowieckich. Z chwilą gdy opowiadanie Sołżenicyna przedstawione zostało do najwyższego sowieckiego odznaczenia literackiego - Nagrody Leninowskiej - ataki się nasiliły. Na koniec wreszcie establishment sowiecki - stosując taktykę, która zdobędzie sobie wielką popularność w latach późniejszych - uciekł się do inwektyw i napaści osobistych. Na posiedzeniu Komitetu Nagrody Leninowskiej przewodniczący Komsomołu, Siergiej Pawłow, wystąpił z oskarżeniem, jakoby w czasie wojny Sołżenicyn poddał się Niemcom, a później został

skazany za przestępstwa natury kryminalnej. Twardowski skłonił

Sołżenicyna do przedstawienia zaświadczenia o rehabilitacji - było już jednak za późno. Nagrodę Leninowską przyznano powieści, o której najślusniej powiedzieć można, że została zapomniana ze szczeniem.

Oficjalna kariera literacka Solżenicyna dobiegła końca. Nie przestał pisać, ale aż do roku 1989 żadne z jego dzieł nie ukazało się w Związku Sowieckim drukiem - przynajmniej w obiegu legalnym. W roku 1974

wydalono go z kraju; osiadł ostatecznie w Vermoncie. Przed epoką Gorbaczowa

„Archipelag Gułag” czytała wyłącznie nieliczna garstka obywateli sowieckich -

tych, którzy mieli dostęp do samizdatu lub literatury szmuglowanej z państw zachodnich. Solżenicyn nie był jedyną ofiarą neostalinowskiej reakcji. Niemal w tym samym czasie, gdy zaostrzał się ton ataków na

„Iwana Denisowicza”, doszło do kolejnej dramatycznej interwencji władz na polu literatury. Osiemnastego lutego

1964 roku przed sądem stanął młody poeta Josip Brodski - oskarżony oficjalnie

o "pasożytnictwo". Rozpocząła się epoka dysydentów.

ROZDZIAŁ 26

Epoka dysydentów

„Nie cieszcie się przedwcześnie

I nie pozwólcie pewnej wyroczni głosić,

Że rany się nie otwierają,

Że siły zła znów nie podnoszą głowy.

A ja ryzykuję, że wezmą mnie za głupka

Niech sobie przemawia. Ja wiem na pewno.

Że Stalin nie umarł.

Tak jakby tylko zmarły się liczył i ci,

którzy bezimiennie przepadli na Północy. Zło,

które wszczepił w nasze serce, czyż to

żadnych nie poczyniło szkód? Dopóki

nędza istnieje koło bogactwa, dopóki nie

przestaniemy łąać i bać się nie oduczmy,

Stalin żyje”.

Boris Cziczibabin, „Stalin nie umarł”

ŚMIERĆ STALINA rzeczywiście stała się sygnałem końca ery masowego wykorzystania pracy niewolniczej w Związku Sowieckim. Mimo że w następnych czterech dekadach represyjna polityka tego kraju przybierała niekiedy wyjątkowo ostre formy, nikt już poważnie nie proponował

odrodzenia systemu obozów koncentracyjnych na wielką skalę. Nikt również nie zamyślał uczynić z nich centralnego sektora gospodarki sowieckiej ani wykorzystać jako miejsca uwięzienia milionów ludzi.

Tajna policja nigdy nie przejęła ponownie kontroli nad tak ogromną częścią potencjału gospodarczego i rezerw siły roboczej państwa, a komendanci łagrów nigdy więcej nie występowali w roli szefów gigantycznych przedsięwzięć przemysłowych. Nawet gmach Łubianki -

powojennej siedziby głównego zarządu KGB - przestał pełnić funkcję więzienia; ostatnim człowiekiem osadzonym w tamtejszych celach był

Gary Powers, pilot amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2

zestrzelonego nad terytorium ZSRS. Mimo to obozy nie znikły całkowicie ani też więzienia sowieckie nie stały się elementem normalnego systemu penitencjarnego przeznaczanego dla winnych przestępstw kryminalnych.

Zmieniły się natomiast, przechodząc proces swoistej ewolucji. Zaczynjmy może od tego, że zmieniła się sama natura więźniów politycznych. W

epoce stalinowskiej system represji przypominał wielką ogólnokrajową ruletkę. Każdy mógł zostać aresztowany, z dowolnej przyczyny, wszędzie i o każdej porze, robotnicy i chłopci na równi z aparatczykami partyjnymi.

W latach następnych tajna policja w dalszym ciągu, choć raczej sporadycznie, aresztowała ludzi przypadkowych. W większości wypadków

breżniewowskie KGB aresztowało ich "za coś" - jeśli nawet nie za rzeczywisty

czyn przestępczy, to przynajmniej za polityczną, literacką czy religijną opozycję systemu sowieckiego. Ta nowa generacja więźniów politycznych, nazywana

zazwyczaj "dysydentami", rzadziej "więźniami sumienia", wiedziała, dlaczego

ich aresztowano, uważała się za więźniów politycznych i jako tacy była również

traktowana. Trzymano ich oddzielonych od kryminalistów, ubierano w inne uniformy

więzienne i stosowano wobec nich odrębny reżim odbywania kary. Piętno dysydentów ciążyło na

nich przez całą resztę życia, podlegali różnym formom dyskryminacji i ostracyzmu. Więźniów politycznych było też zdecydowanie mniej niż za czasów stalinowskich. Wedle szacunków Amnesty International w połowie lat siedemdziesiątych nie więcej niż 10

tysięcy z około miliona więźniów w Związku Sowieckim miało wyroki za przestępstwa polityczne. Zdecydowaną ich większość osadzono w głównych "politycznych" kompleksach obozowych - w Mordwie (na południe od Moskwy) i Permie - na zachodnich stokach Uralu. W każdym roku liczba aresztowanych "politycznych" nie przekraczała, jak się wydaje, kilku tysięcy.

W każdym innym kraju liczbę tę uważałoby się wprawdzie za ogromną, jednak

mierząc standardami Związku Sowieckiego z lat stalinowskich, z całą pewnością

wypada uznać ją za niewielką. Według relacji byłych więźniów ów nowy rodzaj zeków zaczął pojawiać się już w 1957 roku, po rewolucji węgierskiej roku 1956 i aresztowaniach sympatyzujących z powstaniem Węgrów żołnierzy i cywilnych obywateli sowieckich. W tym samym mniej więcej czasie do więzień sowieckich napłynął pierwszy, niewielki jeszcze strumyczek "otkazczików" - Żydów, którym odmówiono prawa emigracji do Izraela. W 1958 roku Bymowi Gindlerowi, polskiemu Żydowi, którego po wojnie pozostawiono po sowieckiej stronie granicy, odmówiono prawa emigracji do Polski, motywując to tym, że powinien skorzystać z możliwości wyjazdu do Izraela. Koniec dekady lat pięćdziesiątych to rozpoczęcie prześladowań sowieckich twórców - którzy rychło stali się najliczniejszą za drutami kolczastymi grupą dysydentów - a także członków sekt religijnych. W roku 1960 dysydent Avrarfrin nawet natknął się w Potmie w karcerze obozowym dla politycznych na grupkę starowierców, zwolenników odłamu cerkwi, odrzucającego siedemnastowieczne reformy doktrynalne patriarchy Nikona. W 1919 roku społeczność starowierców wyniosła się w dziewicze lasy na północy Uralu, gdzie żyła w całkowitym odosobnieniu, póki - niemal pół wieku później - osady ich nie dostrzeżono z helikoptera KGB. W czasie gdy zetknął się z nimi Szyfrin, starowiercy byli jedynymi lokatorami karceru, jako że konsekwentnie odmawiali wszelkiej pracy dla sowieckiego Antychrysta. Szyfrin sam był zresztą przedstawicielem nowej kategorii więźniów - dzieci "wrogów ludu", które pod koniec lat pięćdziesiątych uznały, że nie mogą znaleźć dla siebie miejsca w systemie norm obowiązujących społeczeństwo sowieckie. W latach następnych okazało się, że zaskakująco liczna grupa dysydentów, zwłaszcza obrońców praw człowieka, to dzieci lub krewni ofiar stalinowskich represji. Bracia bliźniacy Jaures i Roj Miedwiediewowie stanowią jeden z najbardziej znanych tego przykładów. Historyk Roj stał się jednym z najbardziej znanych w Związku Sowieckim publicystów samizdatowych. Jaures natomiast należał do kategorii dysydentów uczonych zamkniętych przymusowo w sowieckich zakładach psychiatrycznych. Byli synami

"wroga ludu" - ich ojca aresztowano kiedy byli małymi dziećmi. Byli też inni. W 1967 roku czterdzieścioro troje dzieci represjonowanych przez Stalina komunistów wystosowało do KC list otwarty, ostrzegający przed widmem neostalinizmu. Dokument ten - jeden z pierwszych otwartych listów protestacyjnych kierowanych do władz - podpisało wielu czołowych publicystów partyjnych i aktywistów dysydenckich. Część z nich sama rychło znalazła się w więzieniu: Piotr Jakir, syn komandarma Jakira, Anton Antonow-Owsiejenko, syn "zdobywcy" Pałacu Zimowego, i Łarisa Bogoraz, której ojca aresztowano za działalność trockistowską.

Wydaje się, że obozowe doświadczenia rodziców były wystarczająco silnym bodźcem, by zradyzalizować poglądy następnego pokolenia.

Zmieniali się nie tylko więźniowie, ewoluowały również niektóre aspekty sowieckiego systemu prawnego. W roku 1960 - pamiętanym zazwyczaj jako szczytowy moment chruszczowowskiej odwilży - wprowadzono w życie nowy kodeks karny. Nie ulega żadnej wątpliwości, że był on bardziej liberalny; zabraniał zwłaszcza nocnych przesłuchań i ograniczał

zakres władzy KGB (która prowadziła dochodzenia w sprawach politycznych) i MWD (które zarządzało systemem

penitencjarnym). Zakładał też większą niezależność prokuratury i - nade wszystko

znosił znenawidzony artykuł 58. Znaczenie niektórych z tych zmian podaje się - i słusznie - w wątpliwość jako zwykły kamuflaż; zmiany były czysto werbalne, a nie faktyczne. "Mylisz się - napisał kilka lat później Jurij Daniel w przemyconym z więzienia liście do przyjaciela - Mylisz się, sądząc, że siedziałem w więzieniu. Byłem "zatrzymany w izolatorze śledczym", gdzie nie wrzucono mnie do karceru, lecz "umieszczono w izolatorze karnym". I nie zrobili tego klawisze, lecz "nadzorcy", a list ten nie jest wysłany z obozu koncentracyjnego, lecz z "urzędu"". Daniel miał

rację również i w innym sensie: jeżeli władze państwowe chciały aresztować kogoś "odmiennie myślącego", to nadal mogły to uczynić. W

miejsce artykułu 58 kodeks wprowadził artykuł 70 o "agitacji i propagandzie antysowieckiej" i artykuł 72 o "działalności organizacyjnej mającej na celu szczególnie groźne przestępstwa przeciwko państwu oraz udziale w organizacjach antysowieckich". Władze dorzuciły w dodatku jeszcze artykuł 142 o "pogwałceniu prawa o rozdziale Kościoła od państwa". Tak więc, ujmując rzecz innymi słowami, jeśli KGB chciało aresztować kogoś za samo jego wyznanie, to również mogło to uczynić najzupełniej legalnie. Nie wszystko jednak pozostało po staremu - to również prawda. W erze post-stalinowskiej władze - prokuratorzy, więźniowie, strażnicy obozowi i nadzorcy więzienni - zaczęli znacznie bardziej dbać o zachowanie pozorów i rzeczywiście starali się przestrzegać zewnętrznych form praworządności. Na przykład, kiedy sformułowania artykułu 70 okazały się zbyt niejednoznaczne, by skazać każdego, kogo władze uważały za stosowne i konieczne, kodeks karny uzupełniono o artykuł 190-1, zakazujący "ustnego rozsiewania świadomie sfabrykowanych plotek dyskredytujących sowiecki system polityczny i społeczny". System prawny musiał wyglądać w sposób odpowiadający normom europejskim, nawet jeśli każdy wiedział, że to funkcja szyta grubymi nićmi. W ramach oczywistej reakcji na dawny system "trójek" i

"komisji specjalnych" nowe prawo wprowadzało zasadę, że aresztowany musi stanąć przed sądem; co - jak miało się już niedługo okazać -

przysporzyło władzom nieporównanie więcej problemów, niż kiedykolwiek mogły przypuścić. Josip Brodski nie został skazany na mocy żadnego z antydysydenckich praw, mimo to jego proces pod wieloma względami stał się zapowiedzią nadejścia nowej epoki. Novum był już sam fakt, że w ogóle do niego doszło. W przeszłości ludzi, którzy zatruli państwu życie, nie sądzono publicznie - wyjąwszy starannie zaaranżowane procesy pokazowe - albo nie stawiano ich przed sądem w ogóle.

Ważniejsze jeszcze, że zachowanie Brodskiego podczas rozprawy dowiodło niezbicie, że należy już do innej generacji niż Sołżenicyn i więźniowie polityczni niedawnej stosunkowo przeszłości. Brodski napisał

swego czasu, że jego pokoleniu "oszczędzono" doświadczeń indoktrynacji, którą musieli znosić ludzie o kilka lat odeń starsi.

"Wyłonił się z powojennego rumowiska, kiedy państwo było zbyt zajęte lizaniem własnych ran, by móc nas przykładowo pilnować.

Poszliśmy do szkół i choć wbijano nam tam w głowy różne wzniosłe brednie, nędza i cierpienie rzucały się w oczy na każdym kroku. Nie da się przykryć zgliszcz egzemplarzem "Prawdy".

Ludzie pokolenia Brodskiego, jeśli byli Rosjanami, dochodzili zazwyczaj do krytyki sowieckiego status quo dzięki swym upodobaniom i gustom artystycznym, których nie wolno było wyrażać w Związku Sowieckim doby Breżniewa.

Jeśli byli

Bałtami, Ukraińcami czy przedstawicielami narodów kaukaskich, bardziej prawdopodobną drogą ich ewolucji były odziedziczone po przodkach uczucia narodowe. Brodski był klasycznym typem dysydenta leningradzkiego: propagandę

sowiecką odrzucił już we wczesnej młodości, do szkoły przestał chodzić w wieku

lat piętnastu. Imał się później różnych prac dorywczych i zaczął pisać wiersze. Jako dwudziestolatek był już postacią dobrze znaną w leningradzkim światku literackim i protegowanym starzejącej się Achmatowej. Jego wiersze krążyły w odpisach wśród przyjaciół, czytano je również na tajnych spotkaniach literackich - skądinąd kolejnym symptomie nowej epoki. Jak łatwo się domyślić, nielegalna działalność Brodskiego ściągnęła na niego uwagę tajnej policji. Najpierw zaczęto go nękać i szykanować, a w końcu aresztowano pod zarzutem

"pasożytnictwa" - Brodski nie był twórcą licencjonowanym przez Związek Pisarzy, uznano go więc za pasożyta społecznego. Podczas procesu, który odbył się w lutym 1964 roku, oskarżenie przedstawiło świadków - w większości Brodskiemu nieznanymi - którzy zeznali, że jest człowiekiem

"moralnie zdeprawowanym, uchylającym się od służby wojskowej i autorem antysowieckich wierszy". W jego obronie wygłaszali przemówienia i pisali listy słynni poeci i pisarze, w tym Achmatowa.

Wszyscy spotkali się z gniewną odpowiedzią jednego ze świadków oskarżenia:

„To tylko jego rozkapryszeni przyjaciele uderzyli w wielki dzwon i krzyczą: "Ratować tego człowieka!". Ale zostanie wysłany na przymusowe roboty i nikt mu nie pomoże, żaden z jego wyimaginowanych przyjaciół. Nie znam go osobiście, czytałem o nim jedynie w gazetach. Nie znam

się na świadectwach lekarskich, ale nie mam zaufania do świadectw lekarskich, które zwalniają go od służby wojskowej. Nie jestem lekarzem ale podchodzę do nich podejrzliwie”.

Proces wymierzony był oczywiście nie tylko przeciwko Brodskiemu, lecz wszystkim niedobitkom niezależnie myślącej warstwy intelektualistów - z ich koneksjami, domniemaną opozycją wobec władzy sowieckiej, ich pogardą dla "pracy", rozumianej na modłę sowiecką. I przyznać trzeba, że organizator procesu w pewnym sensie trafili dokładnie w cel. Brodski był

przeciwny władzy sowieckiej; pogardzał bezcelową i bezowocną pracą i należał do wyalienowanej warstwy ludzi głęboko sfrustrowanych zamordyzmem, jaki nastąpił po okresie "odwilży". Doskonale zdając sobie z tego sprawę, Brodski nie był ani zaskoczony ani zdziwiony swoim aresztowaniem, ani też zbity z tropu procesem. Przeciwnie. Z sędzią bawił

się w szermierkę słowną:

„Sędzia: Jaki jest pański zawód?

Brodski: Jestem poetą.

Sędzia: Kto uznał pana za poetę? Kto dał panu prawo nazywać się poetą?

Brodski: Nikt. Kto dał mi prawo należenia do gatunku ludzkiego?

Sędzia: Czy pan studiował w tym celu?

Brodski: W jakim celu?

Sędzia: Żeby zostać poetą. Dlaczego nie kontynuował pan nauki w szkole, gdzie przygotowano by pana, gdzie mógłby się pan uczyć?

Brodski: Nie sądzę, by poezja była kwestią wykształcenia.

Sędzia; Czym więc jest?

Brodski: Myślę, że to... dar Boży”.

Nieco później spytany, czy ma do sądu jakąś prośbę, Brodski odparł:

"Chciałbym dowiedzieć się, dlaczego jestem aresztowany". "To pytanie, a nie prośba" -

zareplikował sędzia. "W takim razie nie mam żadnych próśb" - odparł

Brodski.

Teoretycznie Brodski spór ten przegrał - sędzia wymierzył mu wyrok pięciu

lat ciężkich robót w kolonii karnej w pobliżu Archangielska za to, że

"systematycznie uchylał się od wypełniania obowiązków obywatela sowieckiego, nie wytwarzał niczego, co miałyby wartość materialną, i nie zarabiał na własne utrzymanie, co potwierdzają częste zmiany wykonywanej przez niego pracy". Powołując się na oświadczenie odpowiedniej komisji Związku Pisarzy, sędzia orzekł również, że Brodski

- przyszedł laureat literackiej Nagrody Nobla - "nie jest poetą". Mimo to w pewnym sensie Brodski wygrał, odniósł zwycięstwo w sposób, w jaki nie mogły tego uczynić poprzednie generacje więźniów rosyjskich. Nie tylko publicznie zakwestionował logikę sowieckiego systemu prawnego, ale wyzwanie to zostało zarejestrowane i zapisane dla potomnych. Obecni na sali dziennikarze sekretnie notowali przebieg procesu i natychmiast przesznurowali swoje zapiski na Zachód, dzięki czemu Brodski z dnia na dzień stał się postacią sławną - i w kraju, i za granicą. Jego zachowanie na rozprawie stało się nie tylko wzorem naśladowanym później przez innych; skłoniło również pisarzy sowieckich i zagranicznych do składania kolejnych petycji o jego uwolnienie. Po dwóch latach Brodski wyszedł na wolność; niedługo potem został wydalony z ZSRS.

Nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć za życia Stalina. "Ludzi, jak zawsze,

wsadza się za kraty i jak zawsze wywozi na Wschód - napisał nieco później

ukraiński historyk dysydencki Walentin Moroz. - Ale tym razem nie rozplývają

się tam bez śladu". I na tym w gruncie rzeczy polegała najważniejsza różnica

między więźniami Stalina a więźniami Breżniewa i Andropowa - świat zewnętrzny wiedział o nich, troszczył się o nich i - nade wszystko - miał

pewien

wpływ na ich losy. Niemniej reżim sowiecki nie stawał się bynajmniej bardziej

liberalny, a po procesie Brodskiego wypadki zaczęły rozwijać się w coraz szybszym tempie. Rok 1966 jest rokiem szczególnym dla pokolenia

"odwilży" - tak samo jak rok 1937 był rokiem szczególnych prześladowań inteligencji doby stalinowskiej, w roku 1966 zwycięstwo neostalinistów nie ulegało już żadnej wątpliwości. Sołżenicynowi zakazano publikacji.

Chruszczow poszedł w odstawkę, a jego miejsce zajął Breżniew, który w różnych wypowiedziach otwarcie starał się odbudować nadwątloną reputację Stalina. Rok później mianowany niedawno na stanowisko przewodniczącego KGB Jurij Andropow wygłosił oficjalne przemówienie z okazji pięćdziesiątej rocznicy powstania CzeKi, w którym wynosił pod niebiosa zasługi tajnej policji sowieckiej, w tym "nieugiętą walkę z wrogami państwa".

W lutym 1966 roku przed sądem stanęli Andriej Siniawski i Jurij Daniel.

Obaj

byli znanymi pisarzami, obaj publikowali swoje utwory za granicą i obu uznano za

winnych na mocy artykułu 70 o "agitacji i propagandzie antysowieckiej".

Siniawski otrzymał wyrok siedmiu lat ciężkich robót; Daniel - pięciu. Był

to pierwszy przypadek wytoczenia komuś procesu nie za "włóczęgostwo", lecz treść jego dzieł literackich. Miesiąc później w znacznie większej już tajemnicy odbył się w Kijowie proces dwudziestu kilku intelektualistów ukraińskich. Jednego z nich oskarżono - między innymi - o posiadanie egzemplarza tomiku wierszy dziewiętnastowiecznego poety ukraińskiego, Tarasa Szewczenki - twórcy, którego imię noszą ulice w Moskwie i Kijowie. Poemat Szewczenki wydrukowano bez podania jego nazwiska, toteż "eksperci" sowieccy uznali go za antysowiecki wiersz nieznanego autora. W sposób, który wkrótce stał się powszechnie znany i stosowany, procesy te pociągnęły za sobą kolejne sprawy sądowe, albowiem oburzeni intelektualiści zaczęli otwarcie krytykować sowiecki system sądowniczy i policyjny, posługując się literalnie językiem sowieckiej konstytucji i sowieckiego kodeksu karnego. Sprawa Siniawskiego i Daniela, na przykład, wstrząsnęła znanym już skądinąd w "nieoficjalnym" środowisku intelektualnym Moskwy Aleksandrem Ginzburgiem do tego stopnia, że sporządził kopie protokołów ich procesu - tak zwaną Białą Księgę, którą zaczął rozpowszechniać w kręgu swoich moskiewskich znajomych.

Wkrótce potem aresztowano go wraz z trzema rzekomymi współpracownikami. Pod wpływem wspomnianego przed chwilą procesu kijowskiego młody prawnik ukraiński, Wiaczesław Czornowił, sporządził

fachową analizę ukraińskiego systemu prawnego, wskazał na jego sprzeczności wewnętrzne i dowiódł, że oskarżonych w tej sprawie aresztowano nielegalnie, na podstawie zarzutów graniczących z absurdem.

Aresztowano go niemal natychmiast. W taki sposób ruch intelektualny i literacki zapoczątkowany przez pisarzy i poetów stał się ruchem obrony praw człowieka. Aby umieścić sowiecki ruch obrony praw człowieka we właściwym kontekście, należy wyraźnie podkreślić, że w przeciwieństwie do swoich polskich kolegów dysydenci sowieccy nigdy nie stali się załączkiem organizacji masowej, nikt też nie przypisuje im wyłącznej zasługi w obaleniu systemu sowieckiego: wyścig zbrojeń, wojna w Afganistanie i chaos gospodarczy odegrały w tym procesie rolę co najmniej równorzędną. Nie udało im się nawet zorganizować więcej niż kilku zaledwie demonstracji publicznych. W jednej z najślynniejszych -

zorganizowanej 25 sierpnia 1968 roku w proteście przeciwko sowieckiej inwazji na Czechosłowację - wzięło udział siedem osób. W południe cała ta siódemka zgromadziła się przez Soborem Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym w Moskwie, rozwinęła flagę państwową Czechosłowacji i transparenty z napisami: "Niech żyje wolna i niepodległa Czechosłowacja", "Ręce precz od Czechosłowacji, za wolność waszą i naszą". Po kilku minutach rozległy się milicyjne gwizdki, a w stronę demonstrantów ruszyło kilku - najwyraźniej na nich czekających -

ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy KGB z okrzykami: "To sami Żydzi"; "Bić przeciwników władzy sowieckiej!". Kagebiści porwali sztandary i transparenty, pobili demonstrantów i zabrali

wszystkich - poza jedną kobietą z trzymiesięcznym dzieckiem na ręku - prosto do więzienia.

Działania te - bez względu na ich ograniczoną skalę - były jednak dla władz sowieckich źródłem poważnych problemów, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę ich zaangażowanie w szerzenie rewolucji światowej i w konsekwencji obsesyjną wręcz troskę o wizerunek ZSRS w oczach świata. W epoce stalinowskiej masowe represje można było utrzymać w tajemnicy i ukryć je nawet przed okiem odwiedzającego Związek Sowiecki wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Teraz, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wiadomość o pojedynczym aresztowaniu w ciągu doby obiegała cały świat. Po części była to zasługa niebywałego postępu w sferze i metodach działania środków masowego przekazu - Głosu Ameryki, Radia Swoboda i telewizji - po części tego, że obywatele sowieccy wymyślali coraz to nowe metody przekazu informacji na zewnątrz. Również i pod tym względem rok 1966 to swego rodzaju kamień milowy - rok narodzin samizdatu. Akronim ten był świadomym naśladownictwem terminu "gosizdat" - wydawnictwo państwowe (pojęcie

"samizdat" oznacza dosłownie - wydawnictwo "własne", "samodzielne",

"niezależne", "chałupnicze") i używany był w odniesieniu do bezdebitowych publikacji książkowych i prasowych. Sam pomysł nie był

niczym nowym; w Rosji samizdat ma metrykę niemal równie dawną, jak słowo drukowane. Już w latach dwudziestych XIX wieku rękopisy swoich co mniej prawomyślnych wierszy rozpowszechniał wśród przyjaciół sam Puszkina; prywatny obieg rękopisów dzieł literackich nie ustał nawet w najgorszych latach stalinowskich. Po roku 1966 jednak samizdat stał się rodzajem sportu o zasięgu ogólnonarodowym. "Odwilż"

rozbudziła w licznym gronie obywateli sowieckich upodobanie do literatury bardziej "wolnej" niż oficjalna i w początkowej fazie swego istnienia samizdat był zjawiskiem przede wszystkim z dziedziny kultury literackiej. Bardzo szybko jednak uległ wyraźnemu upolitycznieniu. W

styczniu 1971 roku KGB rozproszdziło wśród członków KC KPZS raport analizujący ewolucję samizdatu na przestrzeni kilku ostatnich lat. Mowa w nim - między innymi - o wykrzyciu: „[...] ponad 400 opracowań i studiów z dziedziny ekonomii, polityki i filozofii, krytykujących z różnych punktów widzenia historyczne doświadczenia budownictwa socjalistycznego w Związku Sowieckim oraz wewnętrzną i zagraniczną politykę partii komunistycznej, a także formułujących różne programy działalności opozycyjnej”. W konkluzji raportu możemy przeczytać, że KGB musi pracować nad "neutralizacją i demaskacją wyrażanych w samizdacie tendencji antysowieckich". Ale skoro dzinna raz wypuszczono z butelki, nie stało czasu, aby zagnać go do niej z powrotem; samizdat rozrastał się i obejmował coraz to nowe rodzaje i formy publikacji - przepisywane na maszynach wiersze krążyły wśród przyjaciół, którzy powielali je w kolejnych egzemplarzach; zaczęły ukazywać się - pisane ręcznie -

biuletyny informacyjne, transkrypcje audycji Głosu Ameryki, a później –

znacznie zresztą później - czasopisma i książki wydawane już całkiem profesjonalnie, drukiem, najczęściej zresztą w sąsiedniej Polsce. Dzięki magnetofonowi kasetowemu,

nowemu podówczas wynalazkowi, szybko rozchodziły się wiersze i poetyckie ballady najśłynniejszych bardów rosyjskich - Aleksandra Galicza, Bułata Okudźawy i Władimira Wysockiego. Historia epoki stalinowskiej - w tym dzieje Gułagu - były jednym z najważniejszych problemów poruszanych w samizdacie w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Drukowano i rozprowadzano zakazane wówczas dzieła Solżenicyna, wiersze i opowiadania Warłama Szalamowa, wspomnienia Jewgienii Ginzburg. Twórczość dwojga ostatnich szybko zdobyła sobie liczne rzesze admiratorów, a sama Ginzburg stała się centralną postacią kręgu byłych więźniów Gułagu i literatów moskiewskich. Kolejnym problemem figurującym na poczesnym miejscu w katalogu tematów samizdatowych były prześladowania dysydentów. W gruncie rzeczy to właśnie dzięki samizdatowi - a zwłaszcza jego rozpowszechnianiu poza Związkiem Sowieckim - sprawa obrońców praw człowieka zyskała w latach siedemdziesiątych szeroki rozgłos na forum międzynarodowym. Dysydenci nauczyli się wykorzystywać samizdat nie tylko po to, by wskazać na jawną rozbieżność między systemem prawa sowieckiego a metodami stosowanymi przez KGB, ale również, aby - często i pełnym głosem -

uświadamiać światu, jak wielka przepaść dzieli rzeczywistość sowiecką od ducha i litery traktatów gwarantujących poszanowanie praw człowieka podpisywanych i ratyfikowanych przez ZSRS. Upodobali sobie zwłaszcza dwa teksty - Deklarację Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych i Akt Końcowy Konferencji Helsińskiej. Pierwszy z tych dokumentów podpisany przez ZSRS w 1948 roku zawierał, między innymi, klauzulę znaną powszechnie jako artykuł 19:

„Każdy człowiek ma prawo do wolności poglądów i swobodnego ich wyrażania; prawo

to obejmuje swobodę posiadania niezależnych poglądów, poszukiwanie, otrzymywanie

i rozpowszechnianie informacji i idei wszelkimi środkami, bez względu na granice". Drugi był końcowym efektem ogólnoeuropejskiego procesu negocjacji, rozwiązującego ostatecznie wiele kwestii politycznych, które pozostawały otwarte od chwili zakończenia drugiej wojny światowej. W

roku 1976, kiedy podpisywano

porozumienie helsińskie, mało kto zwrócił uwagę, że znajduje się w nim wiele postanowień gwarantujących prawa człowieka - stanowiących część tak zwanego

trzeciego koszyka rokowań - podpisanych przez wszystkie państwa uczestniczące

w negocjacjach. Traktat gwarantował między innymi "swobodę myśli, sumienia

i wyznania". „Państwa uczestniczące uznają powszechne znaczenie praw człowieka i podstawowych wolności [...] będą one niezmiennie w swych wzajemnych stosunkach szanować te prawa i wolności i będą podejmować wysiłki, wspólnie i indywidualnie, włączając w to współpracę z Organizacją Narodów Zjednoczonych, w celu popierania ich powszechnego i efektywnego poszanowania”. Zarówno w ZSRS, jak i poza jego granicami źródłem większości informacji o wysiłkach podejmowanych przez dysydentów w celu upowszechnienia treści tych traktatów w kraju była "Kronika Wydarzeń Bieżących" wydawana w sieci sowieckiego samizdatu. Był to rodzaj biuletynu informacyjnego, mającego z założenia publikować (bez komentarzy) nieujawniane skądinąd

informacje o przypadkach łamania praw człowieka, aresztowaniach, procesach sądowych, demonstracjach, nowych pozycjach ukazujących się w samizdacie itp. Założyło go wąskie grono moskiewczyń - w tym Siniawski, Daniel, Ginzburg oraz dwóch dysydentów, którzy sławni stali się dopiero później: Paweł Litwinow i Władimir Bukowski. Dzieje dalszej ewolucji i rozwoju "Kroniki" same w sobie zasługują na osobne studium. W latach siedemdziesiątych tajna policja sowiecka toczyła z

"Kroniką" istną regularną wojnę, organizując skoordynowane w czasie rewizje w domach wszystkich podejrzanych o jakiegokolwiek związek z tym pismem. W jednym z takich - godnych zapamiętania - przypadków, w czasie gdy KGB prowadziło przeszukanie mieszkania redaktora "Kroniki", ten wrzucił cały plik materiałów do garnka z gotującą się zupą. "Kronika"

nie tylko przetrwała aresztowania swoich redaktorów, ale udało jej się wypracować metody przetrwania na Zachód. Ostatecznie Amnesty International wydawała regularnie jej wersję angielską. "Kronika"

odegrała również wyjątkową rolę w dziejach systemu łagrów, stając się bardzo szybko głównym źródłem informacji o warunkach panujących w sowieckich obozach koncentracyjnych doby post-stalinowskiej. Pismo miało stałą rubrykę: "W więzieniach i obozach"; później również drugą -

"W karczerach", na której łamach zamieszczano wszelkie informacje napływające z obozów oraz wywiady z więźniami. Te zadziwiająco dokładne rejestry tego, co dzieje się w łagrach - doniesienia o chorobach wymienionych z nazwiska dysydentów, zmianach w regulaminie więziennym i reżimie odbywania kary, zorganizowanych protestach itd. -

doprowadzały władze do szału, głównie dlatego, że nie mogły one pojąć, w jaki sposób tego rodzaju informacje wydostają się na zewnątrz. Po latach zagadkę tę wyjaśnił jeden z redaktorów "Kroniki": „Część informacji przekazywano za pośrednictwem kolegów, których wypuszczano z obozu - ktoś kontaktował się z nimi. Można też było przekupić strażnika, który przymykał oko na to, że w czasie widzeń więźniowie przekazywali informacje - zarówno ustne, jak i na piśmie -

krewnym, a ci komuś innemu w Moskwie. Strażników można było skorumpować, na przykład w Mordwie. Tamtejsze obozy były stosunkowo nowe, powstały w roku 1972, strażnicy również byli tam nowicjuszami. Przekazywali listy, kiedy zaczęli z nami sympatyzować - a sympatii do nas nabrali po masowym strajku głodowym w 1974 roku.

[Strażnicy] nie zarabiali wiele; pochodzili z prowincji. Można było dać strażnikowi coś,

co dostałeś z Moskwy - na przykład zapalniczkę. Czasami klawisz podawał ci adres, pod który wysyłało się pieniądze lub jakiś atrakcyjny towar, a on w zamian wynosił z obozu informacje”. Istniały również inne metody - w rodzaju tej, którą opisuje Ratuszyńska: „W miniaturowych listach; ostatni swój wiersz napisałam na skrawkach bibułki papierosowej szerokości czterech centymetrów [...], bibułkę zwijało się ciasno w małą rolkę (średnicy około połowy palca) opieczętowywało, impregnowało metodą, którą sami opracowaliśmy, i przekazywało komuś przy najbliższej nadarzającej się okazji”. Informacje, które "Kronice" udało się (obojętne jakimi metodami) wydobyć z obozów, mają do dziś ogromne znaczenie. W czasie gdy pracowałam nad tą książką, większość

dokumentów post-stalinowskiego MWD i KGB była dla badaczy niedostępna. Mimo to, dzięki "Kronice" i innym publikacjom samizdatowym, raportom ruchów obrony praw człowieka oraz wielu wspomnieniom opisującym obozy z okresu lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, można odtworzyć stosunkowo wierny obraz życia w łagrach sowieckich doby post-stalinowskiej.

"Dzisiejsze obozy dla więźniów politycznych są równie przerażające jak za czasów Stalina. Pod pewnymi względami jest lepiej, pod innymi gorzej". Tak zaczynają się więzienne wspomnienia Anatolija Marczenki -

dokument, który pod koniec lat sześćdziesiątych zaczął krążyć w odpisach po Moskwie, wywołując głęboki szok w środowiskach inteligencji stołecznej, przekonanej, że łagry dawno już zamknięto. Pierwszy wyrok więzienia Marczenko - syn rodziców analfabetów - otrzymał za chuligaństwo. Drugi za zdradę główną - próbował uciec ze Związku Sowieckiego przez granicę z Iranem. Wysłano go do Dubrawłagu -

jednego z dwóch osławionych obozów "politycznych" o obostrzonym reżimie. Wiele obozowych przeżyć Marczenki brzmi dziwnie znajomo dla ludzi obeznanych ze wspomnieniami więźniów łagrów stalinowskich. Tak samo jak jego poprzednicy, jechał on do Mordwy w "stołypince"; tak samo jak oni dostał na podróż bochenek chleba, 45 gramów cukru i solonego śledzia. Wodę do picia dostawał (albo nie) w zależności od humoru konwojujących strażników: "Jeśli trafiłeś na dobrego, przynosił ci dwa lub trzy kociołki, ale jeśli nie miał ochoty zawracać sobie głowy ich noszeniem, mogłeś tak siedzieć, póki nie zdechłeś z pragnienia". Po przybyciu do obozu Marczenko zastał w nim taki sam powszechny głód (jeśli nie wręcz chorobę głodową), jaki panował w łagrach w przeszłości.

Jego dzienna norma żywnościowa zawierała 2400 kilokalorii i składała się z: niecałych 800 gramów chleba, pół kilograma warzyw (zazwyczaj zgniłych), 100 gramów dorsza (najczęściej nadpsutego) i 60 gramów mięsa. Dla porównania, obozowe psy strażnicze dostawały prawie pół

kilograma mięsa dziennie. Tak samo jak w przeszłości racje żywnościowe Marczenki nie ograniczały się wyłącznie do opisanego wyżej przydziału; czasami trafiało się coś ekstra: "Przez sześć lat w obozie i więzieniu dwa razy udało mi się zjeść chleb z masłem - w czasie widzeń. Zjadłem również dwa ogórki, jeden w roku 1964, drugi - w 1966. Ani razu nie jadłem pomidora ani jabłka". Praca w dalszym ciągu miała jeszcze jakieś znaczenie, ale była to już jednak praca innego rodzaju. Marczenko pracował jako ładowacz i cieśla. Sitko – również odsiadujący w tym czasie wyrok w Dubrawłagu - pracował w stolarni, przy produkcji mebli.

Więźniarki kobiecych obozów mordwijskich pracowały w fabrykach, najczęściej

w szwalniach. Więźniowie innego zespołu obozów dla politycznych w pobliżu

Permu, u podnóża Uralu, również pracowali przy obróbce drewna.

Skazani na karcer - a tych w latach osiemdziesiątych było sporo - szyli rękawice i mundury. Również Marczenko zauważył, że z upływem czasu warunki z wolna się pogarszały.

W połowie lat sześćdziesiątych istniały trzy kategorie więźniów: uprzywilejowani, zwykli i podlegający ścisłemu reżimowi. Bardzo szybko więźniowie podlegający ścisłemu reżimowi - a do kategorii tej należeli wszyscy

najważniejsi dysydenci - znów musieli nosić czarne, bawełniane uniformy więzienne, a nie własne ubrania. Mogli co prawda dostawać nieograniczoną liczbę

listów i publikacji drukowanych - wyłącznie sowieckich - ale wolno im było

wysyłać tylko dwa listy miesięcznie. Jeżeli podlegali ścisłemu reżimowi, nie mogli otrzymywać jednak ani artykułów spożywczych, ani papierosów.

Marczenko,

który odbywał wyroki zarówno jako zwykły kryminalista, jak i więzień polityczny,

daje równie przygnębiający opis świata profesjonalnych przestępców.

Twierdzi,

że po śmierci Stalina subkultura zawodowych kryminalistów upadła jeszcze niżej

- ulegała postępującej degradacji. W trakcie wojny "błatnych" w końcu lat czterdziestych świat kryminalistów rozpadł się na kolejne frakcje. Żenia Fiedorow, były więzień aresztowany za kradzież w roku 1967, opisuje kilka

takich grup - nie tylko "suk" i "urków", ale "swojaków", których definiuje jako czeladników fachu złodziejskiego, i "czerwonych czapek" - złodziei rządzących się własnymi, odrębnymi od reszty "urków" prawami -

najprawdopodobniej duchowych spadkobierców "czerwonych czapek", którzy pojawili

się w obozach po wojnie. Inni więźniowie również tworzyli klany -

głównie dla

samoobrony, ale również i innych celów: "Kiedy trzeba było kogoś zamordować,

"rodziny" decydowały, kto to ma zrobić" - powiedział mi Fiedorow.

Subkultura

przemocy, homoseksualnego gwałtu i dominacji, której istnienie potwierdzają

niektóre wcześniejsze opisy stosunków panujących w zakładach karnych dla nieletnich, odgrywała teraz dużo ważniejszą rolę w życiu świata profesjonalnych

przestępców. Niepisane prawo dzieliło obecnie więźniów kryminalistów na dwie

kategorie: odgrywających role "kobiece" i tych, którzy odgrywali role

"męskie".

"Pierwsi byli przedmiotem powszechnej pogardy, drudzy nosili się jak bohaterowie, pyszniąc się swą męską tężyzną i swymi "podbojami" nie tylko przed

sobą nawzajem, ale i przed strażnikami" - pisze Marczenko. Fiedorow twierdzi, że

władze współpracowały z nimi, trzymając "nieczystych" więźniów w osobnych celach. Trafić do nich mógł każdy: "Jeśli przegrałeś w karty, mogłeś zostać

zmuszony "robić jak kobieta". W obozach kobiecych miłość lesbijska była równie

powszechna i często równie brutalna. Ratuszyńska pisze o pewnej więźniarce, która odmówiła spotkania z mężem i dzieckiem, z obawy przed odwetem ze strony

swjej obozowej lesbijskiej kochanki. Na lata sześćdziesiąte datuje się również

początek epidemii gruźlicy w więzieniach rosyjskich - plagi trwającej do dziś.

Fiedorow opisuje ówczesną sytuację następująco: "Jeśli w baraku mieszkało osiemdziesięciu ludzi, piętnastu z nich miało gruźlicę. Nikt nie próbował ich nawet leczyć; zresztą w obozie był tylko jeden rodzaj lekarstwa - proszki od bólu głowy. Lekarze przypominali esesmanów.

Nigdy się do ciebie nie odezwali, nigdy na ciebie nie spojrzeli - byłeś nikim". Co gorsza, wielu kryminalistów uzależniło się od "czifiru" -

naparu herbaty o wyjątkowej mocy, powodującego coś w rodzaju narkotycznej euforii. Inni czynili o wiele bardziej wyrafinowane niż dawniej starania o zdobycie alkoholu. Ci którzy pracowali poza zoną - a nie było ich wcale mało - opracowali specjalną metodę przemycania spirytusu, niezwykle trudną do wykrycia przez strażników. Prezerwatywę mocuje się szczelnie do długiego kawałka cienkiej plastikowej rurki. Zek łyka to urządzenie, zachowując w ustach jeden z końców rurki; żeby uniknąć połknięcia go przez przypadek, wciska go w przerwę między dwoma zębami - zek mający wszystkie 32 dwa zęby nie istnieje jako zjawisko w przyrodzie. Następnie, przy użyciu strzykawki, napełnia się przez tę rurkę kondom spirytusem - mieści się w nim do trzech litrów tej cieczy - i zek wraca do zony. Jeśli prezerwatywa została źle przymocowana

do rurki albo kondom pękł, oznaczało to dla nosiciela pewną śmierć w ciężkich męczarniach. Mimo to gra warta była świeczki - trzy litry spirytusu to siedem litrów wódki. „Kiedy "bohater" dotarł szczęśliwie do żony [...], wieszano go głową na dół na belce stropowej sufitu i spuszczano przez trzymany w ustach koniec rurki całą zawartość prezerwatywy do garnka, dopóki nie wyciekła z niej ostatnia kropla spirytusu, po czym opróżnioną do końca prezerwatywę wyciągano z żołądka..”.

Równie powszechne były samookaleczenia, z tym że teraz pojawiły się nowe, bardziej ekstremalne formy tej tradycyjnej praktyki.

Marczenko był świadkiem, jak dwóch złodziei z jego celi zjadło najpierw trzonki od łyżek, a następnie - po uprzednim rozdeptaniu na płask -

pozostałą ich część. Później potłukli na kawałki szybę i zaczęli łykać również szkło, co trwało, dopóki nie zauważyli tego strażnicy, którzy zabrali ich z celi. Eduard Kuzniecowa, skazany za próbę porwania samolotu z leningradzkiego lotniska Smolny, opisuje dziesiątki metod samookaleczenia: „Widziałem więźniów łykających wielkie ilości gwoździ i drutu kolczastego; widziałem ludzi łykających termometry rtęciowe, naczynia cynowe (po uprzednim rozdrobnieniu ich na "jadalne"

kawałki), figury szachowe, kostki domina, igły, mielone szkło, łyżki, noże i wiele innych, podobnych przedmiotów. Widziałem skazańców, którzy zaszywali sobie usta i powieki nićmi albo drutem, przyszywali sobie do ciała guziki albo przybijali jądra do pryczy [...]. Widziałem więźniów, którzy nacinali skórę na ramionach lub nogach i ściągali ją z siebie tak jak skarpetki czy rękawiczki, albo wycinali sobie kawały mięsa (z brzucha lub nóg), piekli je na ogniu i zjadali; albo podcinali sobie żyły, spuszczały krew do garnka, kruszyli do niej chleb i wypijali tę mieszaninę jak kubek zupy, albo owijali się papierem i podpalali, albo odcinali sobie palce, uszy, nosy i penisy”. Kuzniecowa twierdzi, że nie był to przejaw protestu; więźniowie robili to albo bez żadnego konkretnego powodu, albo po prostu, "by dostać się do szpitala, gdzie pielęgniarki wdzięcznie kręcą tyłeczkami, gdzie dostajesz szpitalne racje żywnościowe, nie musisz wychodzić do pracy, dają ci leki, ordynują dietę i możesz dostawać listy".

Poza tym wielu z nich było masochistami, ludźmi "żyjącymi w stanie ustawicznej depresji między jednym upustem własnej krwi a następnym".

Nie ulega też wątpliwości, że w porównaniu z okresem stalinowskim znacznej zmianie uległy stosunki między przestępcami kryminalnymi a więźniami politycznymi. Nadal zdarzały się wypadki psychicznego i fizycznego znęcania się nad politycznymi - na przykład ukraińskiemu dysydentowi Walentinowi Morozowi kryminaliści, z którymi dzielił celę, przez całą noc nie dawali spać, a na koniec zaatakowali go i zranili zaostrzonym trzonkiem łyżki. Z drugiej strony niektórzy "urkowie"

odnosili się do politycznych z szacunkiem, już choćby za to, że ci ostatni konsekwentnie stawiali opór władzom. "Zazwyczaj pytali nas, za co siedzimy w więzieniu i czego chcemy [...], jedyne, w co nie mogli uwierzyć, to to, że nie robimy tego dla pieniędzy" - napisał później Władimir Bukowski. Zdarzali się nawet kryminaliści pragnący uzyskać status politycznych. Będąc przekonani, że więźniom politycznym jest

"łatwiej", niektórzy "błatni" starali się zarobić nowy wyrok za przestępstwo kwalifikowane jako polityczne. Pisali na przykład obraźliwe i pełne obscenów paszkwile na Chruszczowa i partię albo wywieszali z okien baraków zszyte z różnych szmat "amerykańskie" flagi. Pod koniec lat siedemdziesiątych nierzadko spotkać można było zawodowego przestępcę z wytatuowanym na czole napisem: "Komuniści piją krew ludu", "Niewolnik partii komunistycznej" albo "Bolszewicy, dajcie mi chleb". Jeszcze głębsza zmiana nastąpiła w stosunkach między nową generacją politycznych a władzami więziennymi. Polityczni ery post-stalinowskiej wiedzieli, dlaczego są w więzieniu, spodziewali się tam znaleźć, wiedzieli, jak będą się tam zachowywać i co będą tam robić -

mianowicie stawiać władzom zorganizowany opór. Jeszcze w lutym 1968

roku grupa politycznych z Potmy - wśród nich Jurij Daniel -

proklamowała głodówkę, domagając się złagodzenia reżimu więziennego, likwidacji przymusu pracy, zniesienia ograniczeń korespondencji oraz -

wzorem swoich poprzedników z początku lat dwudziestych - przyznania im odrębnego statusu więźniów politycznych. Władze szły na ustępstwa, a później stopniowo się z nich wycofywały. Niemniej żądanie politycznych, by oddzielić ich od kryminalistów, zostało w końcu i to dość skwapliwie spełnione, również i z tej przyczyny, że administracja obozowa wołała trzymać nowe pokolenie politycznych - wraz z jego predylekcją do ustawicznego wysuwania coraz to nowych żądań i upodobaniem do głodówek - tak daleko od zwykłych kryminalistów, jak tylko było to możliwe. Strajki były tak częste i powszechne, że poczynając od roku 1969, "Kronika" zawiera informacje o trwających niemal bez przerwy protestach. Na przykład w tym samym 1969 roku więźniowie ogłaszali strajki, by domagać się przywrócenia ustępstw przyznanych im rok wcześniej. Protestowali przeciwko zakazowi widzeń z krewnymi, przeciwko osadzeniu jednego z kolegów w karczerze, przeciwko temu, że innemu z nich zabroniono odebrać paczkę od krewnych, przeciwko przeniesieniu kolejnego zeka z obozu do więzienia, a nawet dla uczczenia przypadającego na 10 grudnia Dnia Praw Człowieka. A nie był to wcale rok wyjątkowy. W następnej dekadzie głodówki, strajki i inne formy protestu stały się normalnym, codziennym niemal elementem życia zarówno w Mordwie, jak w Permie. Strajki głodowe mogły mieć postać krótkiego, jednodniowego protestu, mogły jednak również być męczącą, długotrwałą próbą sił między więźniami a władzami, rozgrywaną wedle wypracowanego z czasem, łudząco do siebie podobnego schematu, który opisuje Marczenko: „Przez pierwsze kilka dni nikt nie zwracał na ciebie najmniejszej uwagi. Później, po następnych kilku dniach - czasem nawet dziesięciu lub dwunastu - przenosili cię do specjalnej celi, gdzieś na uboczu, przeznaczonej dla takich właśnie ludzi i zaczynali karmić sztucznie, przez rurę. Opór był bezcelowy, bo cokolwiek byś próbował, wykrecali ci ręce do tyłu i skuwali je kajdankami. W obozach procedura ta odbywała się w sposób bardziej brutalny niż w aresztach śledczych - po jednym czy dwóch takich karmieniach miałeś często trochę mniej zębów”.

W połowie lat siedemdziesiątych część "najgorszych" politycznych przeniesiono z Mordwy i Permu do specjalnych więzień o zaostrowym reżimie - w tym najsłynniejszego z nich, zbudowanego jeszcze w czasach carskich więzienia we Włodzimierzu, w Rosji Centralnej. Tam więźniowie ci zajmowali się niemal wyłącznie zorganizowaną walką z władzami. Była to gra niebezpieczna o wypracowanych z czasem, wyjątkowo złożonych regułach. Celem więźniów była poprawa warunków bytowych i wymuszenie różnego rodzaju ustępstw, o których - via samizdat - można by było poinformować opinię publiczną na Zachodzie. Władze dążyły natomiast do złamania więźniów, przekształcenia ich w konfidentów, zmuszenia do współpracy i - nade wszystko - złożenia pisemnego oświadczenia swoich poglądów, które można by opublikować w prasie sowieckiej i zagranicznej. Stosowane przez nie metody zdradzają niejaki podobieństwo do tortur stosowanych przez śledczych w epoce stalinowskiej, tyle

że posługiwano się przede wszystkim presją psychiczną, znacznie rzadziej uciekając się do zadawania więźniom bólu fizycznego. Procedurę tę opisuje Natan

Szczarański, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jeden z najbardziej aktywnych uczestników protestów więziennych, a obecnie polityk

izraelski: „Zaproszą cię na rozmowę. Myślisz, że nic od ciebie nie zależy?

Przeciwnie, wyjaśnią, że wszystko od ciebie zależy. Lubisz herbatę, kawę, mięso. Chciałbyś pójść ze mną do restauracji? Czemu nie? Ubierzemy cię w cywilne ciuchy i pójdziemy. Jeśli spostrzeżemy, że jesteś na drodze do rehabilitacji, że jesteś gotów nam pomóc - co? Nie chcesz donosić na przyjaciół? A kto tu mówi o donoszeniu? Ten Rosjanin (albo Żyd, albo Ukraińiec - w zależności od sytuacji), który siedzi razem z tobą... czy nie zdajesz sobie sprawy, jaki to nacjonalista? Nie wiesz, jak bardzo nienawidzi was, Ukraińców (albo Rosjan, albo Żydów)”.

Tak samo jak kiedyś, władze mogły przyznać więźniowi pewne przywileje,

mogły mu je również odebrać. Mogły też wymierzyć mu doraźnie karę -

najczęściej osadzić go na jakiś czas w karczerze. Mogły manipulować warunkami bytu

więźnia za pomocą drobnych, ale istotnych zmian w jego życiu codziennym - reżim zwykły można było na przykład zastąpić ścisłym, w zależności oczywiście od

zachowania więźnia i zawsze w zgodzie z wymogami regulaminu.

"Różnice między reżimami mogą wydawać się nieistotne tylko komuś, kto nigdy nie doświadczył ich na własnej skórze, dla więźnia mają one znaczenie zasadnicze. W reżimie

normalnym masz radio, w specjalnym - nie; reżim normalny przewiduje godzinę

spaceru dziennie, specjalny - pół godziny w dni powszednie, a w niedziele

-

nic" - pisał Marczenko. Pod koniec lat siedemdziesiątych liczba norm żywnościowych wzrosła z kilku do osiemnastu, oznaczonych symbolami od 1A do 9B; każda z nich miała ściśle określoną wartość (od 2200

kilokalorii do 900) i skład. Więźniów ustawicznie przesuвано z jednej

"kategorii żywieniowej" do innej, w zależności od najdrobniejszych nawet zmian w jego postawie i zachowaniu. Najniższa z racji żywnościowych 9B - przydzielana skazańcom osadzonym w karczerze - składała się z małego kawałka chleba, łyżki kaszy i zupy, która teoretycznie przynajmniej zawierać powinna 200 gramów kartofli i tyleż kapusty. W

praktyce bywało różnie. Więzień mógł również trafić do karczeru, bardzo wygodnej, idealnej wręcz z punktu widzenia administracji więziennej formy kary, z tego przede wszystkim względu, że była całkowicie legalna,

"regulaminowa" i teoretycznie nie można było uznać jej za torturę. Pobyt w karczerze wpływał na więźnia stopniowo i - jeśli można tak powiedzieć -

wywierał na niego "efekt kumulatywny", to znaczy skutki kolejnych pobytów w celi karnej nakładały się na siebie. Karcery z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wyglądały mniej więcej tak samo jak ich odpowiedniki w czasach stalinowskich. Dokument opublikowany w roku 1976 przez moskiewską grupę helsińską podaje dokładny opis karcerów więzienia we Włodzimierzu, gdzie cel takich było wówczas około pięćdziesięciu. Ich ściany pokrywała cienka warstwa cementowego

"tynku", spękanego, odpadającego płatami i pokrytego plamami. Podłogi były brudne i wilgotne. W jednej z cel okno było wybite i zaklejone gazetą, w innych zamurowane cegłami. Jedynym "sprzętem", na którym można było usiąść, był betonowy cylinder średnicy około 25 centymetrów o krawędziach obitych żelazną blachą. Na noc wnoszono do celi pryczę, gołą pryczę - bez pościeli i poduszki; więzień musiał spać na gołych deskach. W karcerach było tak zimno, że więźniowie z trudem mogli zasnąć czy choćby tylko się położyć. Do części cel "wentylacja" tłoczyła powietrze z rur odprowadzających ścieki i nieczystości. Dla ludzi przyzwyczajonych do aktywnego trybu życia największą torturą była przymusowa bezczynność i nuda. Dobrze oddaje to wiersz Jurija Daniela:

„Tydzień po tygodniu

Rozpływa się z papierosowym dymie,

W tym dziwnym świecie

Wszystko jest snem lub majaczeniem w gorączce...

W nocy gaśnie tu światło,

W dzień nigdy nie świeci mocno.

Panuje tu cisza,

Przyjął mnie zarządca.

Możesz tu umrzeć z bezczynności Albo

walić głową o ścianę, Tydzień po

tygodniu Rozpływa się w niebieskim

dymie...”.

Pobyt w karcerze mógł w praktyce ciągnąć się w nieskończoność.

Teoretycznie więźnia wolno było osadzić w celi specjalnej na okres nie dłuższy niż piętnaście dni; regulamin jednak łatwo dawało się obejść i władze więzienne czyniły to

nagminnie. Po upływie regulaminowego terminu skazańca wypuszczano, na przykład na jeden dzień, po czym osadzano go w izolatce na powrót.

Marczenko zdarzyło się spędzić w karcerze czterdzieści osiem dni właściwie bez przerwy - za każdym razem, gdy upływał regulaminowy termin piętnastodniowy, strażnik wyprowadzał go z celi na kilka minut -

dokładnie tyle, ile zajmowało odczytanie orzeczenia nakazującego ponowne zamknięcie go w izolatorze. W obozie Perm-35 pewien więzień spędził w karcerze dwa miesiące, zanim zabrano go stamtąd bezpośrednio do szpitala. Innego więźnia z tego samego obozu trzymano w izolacji czterdzieści pięć dni; zamknięto go w karcerze, ponieważ odmówił

podjęcia pracy niezgodnej z jego kwalifikacjami (był metalowcem). Wielu ludzi trafiło do izolatek za wykroczenia jeszcze mniej poważne; w gruncie rzeczy, jeśli władzom więziennym zależało na złamaniu jakiegoś więźnia, wlepiano mu najsrozsze i najbardziej dotkliwe kary za najdrobniejsze nawet przypadki naruszenia regulaminu. W latach 1973 i 1974 w obozach permskich dwóm więźniom odmówiono prawa widzenia z rodzinami za to, że "w czasie dnia siedzieli na pryczy". Innego skazańca ukarano, ponieważ odkryto, że przesłane mu w paczce konfitury smażono z dodatkiem alkoholu, jako aromatyzatora. Wielu więźniów ukarano za to, że chodzili za wolno albo za brak skarpetek. Zdarzało się, że długotrwałe szykany odnosiły skutek. Aleksiej Dobrowolski, jeden ze współoskarżonych w procesie Aleksandra Ginzburga, załamał się bardzo szybko i złożył pisemną prośbę, by pozwolono mu wystąpić w radiu i opisać całą historię swej "przestępczej" działalności dysydenckiej, ku przestrodze dla młodych ludzi, by ustrzec ich przed wstąpieniem na tę niebezpieczną ścieżkę, którą sam niegdyś obrał. W czasie śledztwa "pękł"

również Piotr Jakir i "zeznał", że wszystko, co wcześniej napisał, było wyssanym z palca łgarstwem. Inni umierali. Jurij Gałanskow - również współoskarżony w procesie Ginzburga - zmarł w 1972 roku. W więzieniu nabawił się wrzodów żołądka, które - nieleczone - zabiły go w końcu. W

roku 1986 zmarł również Marczenko, prawdopodobną przyczyną jego śmierci były środki zaaplikowane mu przymusowo w trakcie kolejnego strajku głodowego. Kilku skazańców zmarło lub odebrało sobie życie podczas trwającej miesiąc głodówki w obozie Perm-35 w 1974 roku. W

roku 1985 w Permie zmarł również ukraiński poeta i obrońca praw człowieka, Wasil Stus. Więźniowie bronili się jednak również i walczyli o swoje prawa. W roku 1977 więźniowie polityczni w obozie Perm-35 pisali o tym w sposób następujący: „Często urządzamy głodówki - w karcerach, w wagonach kolejowych. W zwykłe dni powszednie, w dni śmierci naszych towarzyszy: 1 sierpnia, 8 marca i 10 grudnia, 5 września. Za często urządzamy głodówki. Dyplomaci podpisują nowe porozumienia w kwestii praw człowieka, swobody przepływu informacji, zakazie tortur - a my prowadzimy strajki głodowe, ponieważ w ZSRS tych umów się nie przestrzega”. Dzięki ich staraniom Zachód dowiadywał się coraz więcej o sowieckim ruchu dysydenckim i coraz głośniej protestował przeciwko złemu traktowaniu dysydentów. W rezultacie tych protestów władze sowieckie zaczęły traktować niektórych politycznych w zupełnie inny sposób, dotąd nie praktykowany. Wspominałam już, że dotychczas udostępniono zaledwie kilka dokumentów archiwalnych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Od reguły tej zdarzyło się jednak kilka wyjątków. W 1991 roku do Rosji zaproszony został Władimir Bukowski, od piętnastu lat, to znaczy od momentu, w którym wymieniono go na chilijskiego komunistę Corvalana, mieszkający w Wielkiej Brytanii.

Bukowski mianowany został "biegłym sądowym" w "procesie" rosyjskiej partii komunistycznej, do którego doszło wskutek próby jej delegalizacji przez prezydenta Jelcyna. Bukowski pojawił się w gmachu Trybunału Konstytucyjnego z laptopem i ręcznym skanerem. Zakładając, że w Rosji nikt jeszcze nie widział podobnej maszynerii, zajął swoje miejsce i zaczął

spokojnie kopiować wszystkie dokumenty przedstawione sądowi jako materiał dowodowy. Dopiero wówczas, gdy zbliżał się już do końca, któryś z sąsiadów zrozumiał wreszcie, co Bukowski robi. "On chce to opublikować tam!" - krzyknął. Cała sala zamarła w ciszy. W tym samym momencie, "zupełnie jak na filmie", Bukowski - który sam to opowiadał

później - zamknął wieko laptopa, wyszedł z sali, pojechał wprost na lotnisko i wyleciał z Rosji. Dzięki temu wiemy dziś, jak wyglądało posiedzenie Politbiura zwołane w 1967 roku bezpośrednio przed aresztowaniem Bukowskiego. On sam był zaskoczony tym, jak wielu uczestników tego gremium obawiało się, że postawienie mu zarzutu przestępstwa natury kryminalnej "wywoła określony oddźwięk w kraju i za granicą". Aresztowanie go byłoby błędem, dowodzili, proponując w zamian

umieszczenie Bukowskiego w szpitalu psychiatrycznym. Zaczynała się era

"psychuszek" - specjalnych klinik psychiatrycznych. Obyczaj zamykania dysydentów w szpitalach psychiatrycznych miał w Rosji długą historię. W

roku 1836 po powrocie z Europy Zachodniej do Petersburga rosyjski filozof Piotr Czaadajew napisał esej krytykujący system rządów cara Mikołaja I: "Wbrew wszelkim prawom społeczności ludzkiej - stwierdzał, a mówił to w okresie szczytowej potęgi imperialnej państwa - Rosja zmierza jedynie w stronę zniewolenia samej siebie i wszystkich swoich sąsiadów". Mikołaj zareagował na to osadzeniem go w areszcie domowym. Car był przekonany, że skoro Rosjanie dowiedzą się, że ich rodak "cierpi na zaburzenia psychiczne i chorobę umysłową", zdolni będą mu wybaczyć.

W latach po "odwilży" władze z powrotem zaczęły wykorzystywać kliniki psychiatryczne jako miejsca odosobnienia (a właściwie uwięzienia) dysydentów -

co skądinąd było polityką ze wszech miar dla KGB wygodną. Przede wszystkim

pozwalало zdyskredytować dysydentów - zarówno w samym ZSRS, jak i na Zachodzie - i odwrócić od nich uwagę opinii publicznej. Jeśli bowiem nie są to poważni polityczni przeciwnicy panującego ustroju, a jedynie umysłowo chorzy nieszczęśnicy, to któż może mieć cokolwiek przeciw ich hospitalizacji?

Sowiecki establishment lekarzy psychiatrów z niekłamany entuzjazmem włączył się do tej farsy. Dla "klinicznego" wyjaśnienia zjawiska dysydencji stworzono definicję nowej jednostki chorobowej -

"schizofrenii spowolnionej" albo "schizofrenii pełzającej". Jest to -

wyjaśniali naukowcy - postać schizofrenii nie pozostawiająca żadnych śladów na zdolnościach intelektualnych i zewnętrznych przejawach zachowań chorego, niemniej stymulująca wszystkie niemal

formy zachowań i postaw społecznych. "Koncepcje "walki o prawdę i sprawiedliwość" tworzą najczęściej jednostki, których umysłowość wykazuje cechy struktury paranoidalnej" - napisało dwóch profesorów sowieckich z Instytutu im. Sierbskiego. „Typowym tego symptomem jest przekonanie o własnej czystości moralnej, prawości, obsesja pacjenta na punkcie łamania "praw" oraz znaczenia, jakie uczucia te mają dla osobowości chorych, którzy lubią - na przykład - wykorzystywać procesy sądowe jako okazję do wygłaszania publicznych przemówień, apeli i manifestów”. Zgodnie z tą definicją każdego w zasadzie dysydenta uznawano za szaleńca. U pisarza i naukowca Żoresa Miedwiediewa stwierdzono "schizofrenię pełzającą" połączoną z "paranoidalnymi iluzjami na temat reformy społecznej". Jednym z symptomów tego schorzenia było "rozdwojenie osobowości" - przez co lekarze rozumieli, że Miedwiediew zajmuje się jednocześnie nauką i twórczością literacką. U Natalii Gorbaniewskiej - jednej z założycielek "Kroniki" - orzeczono

"schizofrenię spowolnioną bez wyraźnych symptomów", której skutkiem są niemniej "anormalne zmiany w sferze emocjonalnej, wolicjonalnej oraz sposobie rozumowania". Dysydencki generał Piotr Grigorenko uznany został za osobnika, którego stan psychiczny "charakteryzuje obecność koncepcji reformistycznych, dotyczących zwłaszcza reorganizacji aparatu władzy państwowej w powiązaniu z nadmiernie wygórowaną oceną własnej osobowości, sięgającą momentami wymiarów mesjanistycznych".

W raporcie przesłanym KC KPZS jeden z terenowych hierarchów KGB

donosi, że w jego rękach znalazła się grupa obywateli cierpiących na specyficzny rodzaj schorzenia umysłowego. Ludzie ci "próbują zakładać nowe "partie", organizacje i rady, a nadto przygotowują i rozpowszechniają projekty nowych praw i programów". W zależności od okoliczności, w jakich dokonano aresztowania, więźniów uznanych za chorych psychicznie wysyłano do różnego rodzaju instytucji. Część z nich diagnozowali lekarze więzienni, innych poddawano badaniom w klinikach. Kategorię samą dla siebie stanowił Instytut im. Sierbskiego, którego specjalny wydział diagnostyczny - kierowany w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych

przez doktora Daniila Łunca - zajmował się oceną stanu zdrowia psychicznego

więźniów politycznych. Doktor Łunc, który osobiście badał między innymi Siewskiego, Bukowskiego, Gorbaniewską, Grigorenkę i Wiktora Niekapiełowa,

był bez wątpienia oficerem wysokiej rangi. Niekapiełow twierdzi, że nosił

błękitny mundur z dwoma gwiazdkami na epoletach - "dystynkcjami generała wojsk

MWD". Niektórzy z przebywających na emigracji psychiatrów sowieckich

utrzymywali, że Łunc i inni lekarze tego instytutu byli szczerze przekonani, że ich pacjenci to ludzie chorzy psychicznie. Jednak większość więźniów politycznych, którzy mieli okazję Łunca spotkać, ocenia go jako oportunistę, wykonującego polecenia przełożonych z MWD "nie gorzej niż lekarze prowadzący nieludzkie doświadczenia na więźniach w niemieckich obozach koncentracyjnych".

Uznany za psychicznie chorego pacjent kierowany był na określony czas do

szpitala - niekiedy na kilka miesięcy, niekiedy na wiele lat. Tych, którzy mieli trochę szczęścia, wysyłano do jednej z kilkuset normalnych sowieckich klinik psychiatrycznych. Szpitale te były brudne, zatłoczone, a ich personel składał się niejednokrotnie z nałogowych pijaków i sadystów.

Mimo wszystko ci alkoholicy

sadyści byli jednak cywilami, a zwykłej kliniki zazwyczaj nie otaczała atmosfera

ściśle tajemnicy jak obozu czy więzienia. Pacjenci mieli prawo do korespondencji, mogli ich również odwiedzać nie tylko członkowie najbliższej rodziny. Natomiast "szczególnie niebezpiecznych" wysyłano do "specjalnych szpitali psychiatrycznych". Było ich zaledwie kilka i wszystkie pozostawały w bezpośrednio w gestii MWD. Zatrudnieni w nich lekarze byli - podobnie jak Łunc - oficerami MWD. "Kliniki" te wyglądały jak więzienia i były tak traktowane przez władze. Otaczały je zasieki z drutu kolczastego i wieżyczki strażnicze, pilnowali ich uzbrojeni strażnicy ze specjalnie wytresowanymi psami. Na pochodzącym z lat siedemdziesiątych zdjęciu specjalnego szpitala psychiatrycznego w Orle widać pacjentów terających po wewnętrznym dziedzińcu - bliźniaczo podobnym do więziennego - spacerniaka. W obydwu rodzajach klinik psychiatrycznych - tych "zwykłych" i tych "specjalnych" - lekarzom zależało przede wszystkim na tym, by ich podopieczni wyparli się swych poglądów. Pacjent, który godził się wyrzec swych przekonań, który przyznawał, że choroba psychiczna skłoniła go do krytyki systemu sowieckiego, mógł zostać uznany za ozdrowieńca i wypuszczony na wolność. Tych, którzy odmawiali, nadal traktowano jako chorych i ich

"leczone". Psychiatria sowiecka nie uznawała psychoanalizy, toteż leczenie polegało przede wszystkim na dawkowaniu pacjentowi medykamentów, elektrowstrząsów itd. Pacjentom rutynowo podawano leki, które na Zachodzie wycofano z użytku jeszcze w latach trzydziestych. Niektóre wywoływały temperaturę powyżej 40 stopni, silne bóle i inne cierpienia fizyczne. Lekarze przepisywali również trankwilizatory powodujące - oprócz typowego dla tego rodzaju środków zubożenie i apatii - najrozmaitsze, dotkliwe skutki uboczne -

sztywność kończyn, spowolnienie reakcji, mimowolne konwulsje i skurcze.

Innego rodzaju "zabiegi" miały charakter znęcania się fizycznego.

Zastrzyki

insuliny powodowały u osób nie cierpiących na cukrzycę wstrząs hipoglikemiczny; stosowano też karę nazywaną "zawijaniem" - opisał ją w wywiadzie udzielonym w roku 1979 Bukowski: "Używało się do tego mokrego płótna - długich jego pasów - którymi owijano pacjenta od stóp do głów tak mocno, że ledwie mógł oddychać. Wysychając, płótno systematycznie się kurczyło i zaciskało wokół pacjenta coraz bardziej, sprawiając mu trudne do opisanego cierpienie". Jeszcze inną metodą

"leczenia", z jaką zetknął się w Instytucie Sierbskiego Niekipietow, była punkcja lędźwiowa - niezwykle bolesny zabieg polegający na ściąganiu płynu

rdzeniowego z dolnej części kręgosłupa za pomocą igły. Wracających z punkcji

pacjentów układano na boku; leżeli tak nieruchomo przez kilka dni; plecy smarowano im jodyną. Liczba ludzi poddanych przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu była znaczna. W roku 1977, tym samym, w którym Peter Reddaway i Sidney Blodi opublikowali obszerne studium dotyczące nadużyć w psychiatrii sowieckiej, wiadomo było o 365 przypadkach

"leczenia" ludzi zdiagnozowanych z przyczyn politycznych. W

rzeczywistości musiało ich być o kilkuset więcej.

Zamykanie dysydentów w klinikach psychiatrycznych nie przyniosło władzom

sowieckim wszystkich korzyści, jakich po praktyce tej się spodziewano.

Przede

wszystkim nie odwróciło od kwestii dysydentów uwagi Zachodu.

Przeciwnie

wszystko zdaje się wskazywać, że okrucieństwo nadużyć psychiatrycznych pobudziło wyobraźnię społeczeństw zachodnich w o wiele większej mierze niż spowszedniałe już nieco opowieści o więzieniach i łagrach. Każdy, kto widział „Lot nad kukułczym gniazdem”, mógł aż za dobrze wyobrazić sobie, co dzieje się w sowieckich klinikach psychiatrycznych. Co więcej - i co bardziej istotne - kwestia nadużywania psychiatrii do celów politycznych znalazła silny oddźwięk w konkretnym środowisku, które problem ten interesował z czysto profesjonalnego punktu widzenia - psychiatrów z państw zachodnich. Poczynając od 1971

roku, kiedy Bukowskiemu udało się przeszmuglować na Zachód stu pięćdziesięciostronicowy raport dokumentujący uprawianie podobnych praktyk w ZSRS, problem nadużyć psychiatrycznych stał się tematem numer jeden tak szacownych organizacji jak World Psychiatric Association, brytyjskiej Royal College of Psychiatrists oraz innych krajowych i międzynarodowych stowarzyszeń psychiatrycznych.

Odważniejsze ugrupowania wydawały w tej sprawie oficjalne oświadczenia; inni milczeli, ale ich tchórzostwo potępiano. Wszystko to razem stwarzało coraz gorszą atmosferę wokół ZSRS. Na koniec problem nadużyć psychiatrycznych poruszył naukowców w samym Związku Sowieckim. Po skazaniu Żoresa Miedwiediewa na pobyt w "psychuszcze" wielu z nich wystosowało listy protestacyjne do sowieckiej Akademii Nauk, a podczas międzynarodowego sympozjum naukowego w Instytucie Genetyki Andriej

Sacharow - fizyk jądrowy, który pod koniec lat sześćdziesiątych wyrósł na moralnego przywódcę ruchu dysydenckiego - wygłosił publicznie oświadczenie w obronie Miedwiediewa. List protestujący przeciwko uwięzieniu Miedwiediewa wystosował do władz sowieckich także przebywający już wówczas na emigracji

Sołżenicyn. "Poza wszystkim - czytamy w nim - czas już najwyższy, by stwierdzić jednoznacznie: pozbawianie wolności zdrowych ludzi o wolnomyślicielskich poglądach to MORDERSTWO DUCHOWE".

Uwaga, jaką poświęcała tej sprawie międzynarodowa opinia publiczna, była jedną z przyczyn, które skłoniły władze sowieckie do zwolnienia pewnej liczby więniów, w tym Miedwiediewa, którego równocześnie wydano z kraju. Część sowieckiej wierzuszki partyjnej uważała jednak, że nie była to reakcja prawidłowa. W roku 1976 szef KGB Jurij Andropow sporządził tajny raport całkiem trafnie opisujący międzynarodowe źródła

„kampanii antysowieckiej”. „Najnowsze dane potwierdzają, że kampania ta ma charakter starannie zaplanowanej akcji antysowieckiej [...]. Jej inicjatorzy próbują obecnie skłonić międzynarodowe i krajowe stowarzyszenia psychiatryczne oraz cieszących się uznaniem wybitnych specjalistów do utworzenia "komisji" mającej monitorować postępowanie psychiatrów w różnych państwach, przede wszystkim w ZSRS [...].

Aktywną rolę w rozbudzaniu nastrojów antysowieckich odgrywa pozostające pod wpływem elementów syjonistycznych brytyjskie Royal College of Psychiatrists”. Andropow szczegółowo opisuje próby skłonienia Światowego Stowarzyszenia Psychiatrów do publicznego potępienia ZSRS, wykazując się przy tym doskonałą znajomością przedmiotu; orientuje się na przykład doskonale, które z międzynarodowych sympozjów lekarskich potępiło metody stosowane w psychiatrii sowieckiej. W reakcji na memorandum sowieckie Ministerstwo Zdrowia wystąpiło z propozycją wszczęcia zmasowanej akcji propagandowej przed zbliżającym się kolejnym kongresem Światowego Stowarzyszenia Psychiatrów. Uznało również za celowe przygotowanie naukowych ekspertyz dyskredytujących formułowane pod adresem psychiatrii sowieckiej zarzuty i opracowanie listy "postępowych"

psychiatrów z państw zachodnich, gotowych ekspertyzy owe poprzec.

Wspomnianych "postępowców" zamierzano nagrodzić zaproszeniem do złożenia wizyty w ZSRS, gdzie mieli odwiedzić specjalnie do tego przygotowane sowieckie kliniki psychiatryczne. Ministerstwo sugerowało nawet kilka konkretnych nazwisk. Innymi słowy, zamiast zrezygnować z nadużywania psychiatrii dla celów politycznych, Andropow proponował

uczynić z tej praktyki normę. Skądinąd był to człowiek organicznie niezdolny do uznania jakiegokolwiek aspektu polityki sowieckiej za błędny.

ROZDZIAŁ 27

Lata osiemdziesiąte: burzenie pomników

„Burzą oblany cokół pomnika,

Wyją stalowe świdy.

Specjalny, najtrwalszy beton

Miał przetrwać milenia...

Wszystko, co na tym świecie jest dziełem człowieka, Ręce ludzkie mogą rozbić w proch.

Najważniejsze jednak,

Że kamień jako taki

Nigdy nie jest ani dobry, ani zły”.

Aleksandr Twardowski „Obalony cokół pomnika”

GDY W ROKU 1982 funkcję sekretarza generalnego KPZS objął Jurij Andropow,

wiązana z jego imieniem polityka "dyscyplinowania" elementów społecznych

w Związku Sowieckim trwała na dobre. W przeciwieństwie do swoich poprzedników zawsze był przekonany, że mimo nikłej ich liczby, dysydentów należy traktować jako poważne zagrożenie dla władzy sowieckiej. Jako ambasador ZSRS w Budapeszcie w 1956 roku miał

okazję przekonać się naocznie, jak szybko elitarny ruch inteligencki może przekształcić się w narodową rewolucję. Wierzył również głęboko, że receptą na problemy polityczne, gospodarcze i społeczne, z jakimi borykał się Związek Sowiecki, jest zaprowadzenie żelaznej dyscypliny we wszystkich dziedzinach życia. Służyć temu miało zaostrzenie regulaminów obozowych i więziennych, ściślejsza inwigilacja i bardziej skuteczne nękanie środowisk potencjalnej opozycji. Metody te forsował jako szef KGB i pozostał im wierny przez całą swą krótką kadencję w roli przywódcy Związku Sowieckiego; dzięki Andropowowi, jego poglądom i polityce pierwsza połowa lat osiemdziesiątych zapisała się w historii państwa sowieckiego jako najbardziej represyjny okres w całej epoce post-stalinowskiej. Za jego rządów ciśnienie wewnątrz systemu osiągnęło punkt krytyczny, nim sam system załamał się ostatecznie. Poczynając od końca lat siedemdziesiątych, andropowowskie KGB dokonało wyjątkowo licznych aresztowań; w ramach akcji "nękania"

upowszechnił się również swoisty system "aresztowań ustawicznych", co w praktyce pozwalało więzić każdego niemal dowolnie długo bez formalnego wyroku sądowego, nowe aresztowanie następowało bowiem natychmiast po zwolnieniu z więzienia śledczego. Z jego inicjatywy przywrócono też czcigodną, stalinowską praktykę "dopisywania"

skazanemu kolejnego wyroku w dniu, kiedy kończył odsiadkę poprzedniego.

Udział w tak zwanych grupach helsińskich - organizacjach dysydenckich monitorujących przestrzeganie praw człowieka - stał się za czasów Andropowa najpewniejszą bodaj drogą prowadzącą człowieka prosto za kraty. Między rokiem 1977 a 1979 aresztowano dwudziestu trzech członków moskiewskiej grupy helsińskiej, a siedmiu wydalono z kraju. Jej przywódca, Jurij Orłow, spędził w więzieniu całą pierwszą połowę dekady lat osiemdziesiątych. Aresztowania nie były jedynym środkiem z arsenału Andropowa. Ponieważ celem do którego dążył, było odstraszanie obywateli od wszelkich związków z ruchami dysydenckimi, skala represji musiała być znacznie szersza. Nawet podejrzanym o sympatie dla ruchów obrony praw człowieka, ugrupowań religijnych

czy nacjonalistycznych groziła utrata dosłownie wszystkiego. Mniemanych sympatyków i ich małżonków władze pozbawić mogły nie tylko pracy, ale i statusu zawodowego, a nawet tytułów naukowych. Ich dzieci nie przyjmowano do szkół wyższych. Wyłączano im telefony, odbierano prawo stałego zameldowania, zakazywano zmiany miejsca pobytu.

Pod koniec lat siedemdziesiątych andropowowskie "środki dyscyplinujące"

okazały się skuteczne o tyle, że rzeczywiście doprowadziły do rozbicia krajowych ruchów dysydenckich na małe, zwarte wewnętrznie, aczkolwiek często podejrzliwie

odnoszące się do siebie grupki. Działali więc obrońcy praw człowieka, których losy bacznie śledziły organizacje międzynarodowe, w rodzaju Amnesty International; istnieli dysydenci baptyści, których wspierał

międzynarodowy Kościół baptystów; istniały dysydenckie ugrupowania narodowe - Ukraińców, Litwinów, Łotyszy i Gruzinów - wspomagane przez rodaków z zagranicy. Działały ugrupowania deportowanych w czasach stalinowskich Meschetyjczyków i Tatarów krymskich, domagające się dla swych rodaków prawa powrotu na ziemię ojczyste.

Bodaj najgłośniejszą na Zachodzie grupą dysydencką byli "otkazcziki" -

Żydzi sowieccy, którym odmówiono prawa emigracji do Izraela; problem ten nabrał znaczenia zwłaszcza po roku 1975, kiedy Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił tak zwaną poprawkę Jacksona-Venicka, uzależniającą amerykańsko-sowiecką wymianę handlową od rozwiązania kwestii emigracji. Odtąd, aż do samego końca istnienia Związku Sowieckiego, problem "otkazczików" był jednym z głównych elementów polityki Waszyngtonu wobec Kremla. Jesienią 1986 roku, podczas amerykańsko-sowieckiego spotkania na szczycie w Rejkiawiku prezydent Reagan osobiście wręczył Gorbaczowowi listę 1200 Żydów sowieckich oczekujących na pozwolenie na wyjazd do Izraela. Wszystkie te ugrupowania i grupki - trzymane teraz w ścisłej separacji od przestępców kryminalnych - były dość licznie reprezentowane w więzieniach sowieckich, gdzie, tak jak polityczni w dawniejszych latach, tworzyły odrębne "klany", organizujące się samorzutnie wokół wspólnej sprawy jednoczącej ich członków. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że obozy stały się czymś w rodzaju "fabryki" ugrupowań dysydenckich, ich uczelnią, w której więźniowie mogli kontaktować się ze współtowarzyszami o podobnych zainteresowaniach i poglądach.

Wymieniali je również między sobą członkowie poszczególnych klanów, pojawił się na przykład obyczaj wspólnego obchodzenia świąt narodowych każdej z republik reprezentowanych w łagrze grup etnicznych

- Litwini, Łotysze, Gruzini i Ormianie spotykali się wspólnie i toczyli przyjazne spory o to, czyja ojczyzna pierwsza wyzwoli się spod sowieckiego jarzma. Kontaktowały się ze sobą nie tylko różne narody lecz również różne generacje - Bałtowie i Ukraińcy mogli spotykać się z przedstawicielami starszych pokoleń działaczy narodowych -

antysowieckich partyzantów, którzy dostali po dwadzieścia pięć lat i nigdy z łagrów nie wyszli. Bukowski napisał później o nich, że "ich życie stanęło w miejscu, kiedy mieli po lat dwadzieścia

kilka". Obóz ich w pewnym sensie zakonserwował - "w letnie niedziele przechadzali się na słońcu, grając na harmoniach melodie, o których dawno już zapomniano w ich rodzinnych stronach. Pobyt w obozie był naprawdę czymś w rodzaju podróży do świata pozagrobowego". Starsza generacja często miała poważne kłopoty ze zrozumieniem młodszego pokolenia rodaków.

Ludzie, którzy walczyli z bronią w rękę w lesie, nie potrafili pojąć dysydentów walczących kartkami papieru, zawsze jednak mogli być dla nich wzorem i źródłem inspiracji. Kontakty tego rodzaju pomogły ukształtować osobowość ludzi, którzy pod koniec tej dekady sami zaczęli organizować ruchy narodowe i w znacznej mierze przyłożyli rękę do likwidacji Związku Sowieckiego. Oceniając swoje doświadczenia z perspektywy czasu, gruziński działacz polityczny Dawid Berdzeniszwili powiedział mi, że czuje się szczęśliwy, iż w latach osiemdziesiątych spędził dwa lata w sowieckim obozie pracy, a nie w sowieckiej armii.

Umacniały się nie tylko kontakty osobiste, ale i łączność całego środowiska dysydentów ze światem zewnętrznym. Doskonałą tego ilustracją jest wydanie "Kroniki" z roku 1979, w którym obok wielu innych informacji znaleźć można szczegółowe codzienne niemal doniesienia o warunkach panujących w izolatorze

oboju Perm-36:

„13 września: Żukauskas znalazł białego robaka w zupie.

26 września: Żukauskas znalazł w misce czarnego owada długości około półtora centymetra. O odkryciu tym niezwłocznie zameldowano kapitanowi Nielipowiczowi

27 września: dokonano oficjalnego pomiaru temperatury w celi nr 6-12 stopni Celsjusza

28 września: rano temperatura w celach wynosiła 12 stopni Celsjusza.

Wydano po drugim kocu i parze watowanych spodni. Do pomieszczeń służbowych strażników wstawiono grzejniki. Wieczorem temperatura w celach wynosiła 11 stopni Celsjusza.

1 października: 11,5 stopnia Celsjusza.

2 października: do celi nr 6 (Żukauskas, Gluzman, Marmus) wstawiono pięćsetwatowy grzejnik. Temperatura - zarówno rano, jak wieczorem - wynosiła 12 stopni Celsjusza.

10 października: Bałchanow odmówił udziału w dobrowolnym zebraniu komisji oświatowej. Z rozkazu Nikomarowa zabrano go tam siłą”.

I tak dalej, i tak dalej. Władze wydawały się zupełnie niezdolne do powstrzymania wycieku informacji rozmaitego rodzaju, natychmiast nagłaśnianych przez zachodnie rozgłośnie. W 1983 BBC podało wiadomość o aresztowaniu Berdzeniszwilego dwie godziny po jego dokonaniu. Ratuszyńska i

jej koleżanki z baraku w obozie kobiecym w Mordwie wysłały Reaganowi gratulacje z powodu zwycięstwa w wyborach prezydenckich; prezydent elekt otrzymał je dwa dni później.

KGB "wychodziło z siebie" - pisała uradowana Ratuszyńska. Dla większości obserwatorów dziwnego świata sowieckiego "z drugiej strony lustra" wszystkie te pomysłowe wybiegi wydawały się sztuką dla sztuki, wszystko wskazywało, że ostatecznym zwycięzcą w tej grze został

Andropow.

Dziesięć bez mała lat aresztowań, zesłań i bezustannego nękania środowiska dysydenckiego uczyniło z niego grupę nieliczną i słabą.

Większość liczących się

opozycjonistów zamilkła bądź zmuszona została do milczenia.

Sołżenicyna "zesłano" za granicę, Sacharowa do miasta Gorki; tajniacy z KGB przesiadywali

dosłownie pod drzwiami mieszkania Roja Miedwiediewa, śledząc każdy jego krok.

Wydawało się, że w samym Związku Sowieckim nikt nie zwraca najmniejszej

uwagi na walkę dysydentów i nikogo ona nie obchodzi. "Wpływy, jakie ruch

dysydencki zdobył wśród zwykłych obywateli, są znikome bądź nawet żadne" - w

1983 roku stwierdził jeden z najwybitniejszych sowietologów zachodnich, Peter Odway. Pozycja kagiebowskiich siepaczy i strażników więziennych, serwilistycznych

lekarzy i tajniaków wydawała się ugruntowana raz na zawsze i całkowicie bezpieczna. Tymczasem grunt zaczął niepostrzeżenie usuwać się im spod nóg. Już za chwilę miało się okazać, że adropowska polityka "zera tolerancji" dla dysydentów nie będzie trwać wiecznie - i w rzeczy samej, umarła wraz ze swoim głównym koryfeuszem w roku 1984. Nie wiadomo jak powitać nowego przywódcy państwa sowieckiego, Michaiła Gorbaczowa, który w marcu 1985 roku wybrany został na stanowisko sekretarza generalnego KPZS, a był z początku zagadką, zarówno dla obserwatorów zagranicznych, jak i jego własnych "poddanych".

Gorbaczow wydawał się równie śliski, płytki i bezbarwny jak inni aparatczycy sowieccy - a jednak tkwiły w nim pewne załączki odmiennych postaw. „Latem tego samego 1985 roku spotkałam się z grupą

"refusników" leningradzkich, rozczulonych do łez niepoprawną naiwnością Zachodu, jak zdrowy na umyśle człowiek może uznać fakt, że Gorbaczow preferuje rzekomo whisky nad wódkę, a jego żona żywi nabożną cześć dla paryskiej mody, za nieomylną oznakę iberalizmu, którym góruje jakoby nad swymi poprzednikami?". A jednak nie mieli racji. Gorbaczow rzeczywiście był inny. Mało kto wiedział jeszcze wówczas, że nowy gensek pochodzi z rodziny "wrogów ludu" - w 1933

roku jego dziadek, chłop, został aresztowany i zesłany do obozu pracy.

Drugiego dziadka Gorbaczowa aresztowano w roku 1938; w więzieniu śledczym był torturowany, przesłuchujący bili go i łamali mu ręce. Dla młodego Michaiła było to traumatyczne przeżycie: "Sąsiedzi omijali nasz dom jak zadżumiony; tylko po nocach potajemnie zachodził ktoś z najbliższych krewnych [...]. Było to dla mnie wielkim wstrząsem i wryło mi się w pamięć na zawsze" - napisał później w swoich wspomnieniach.

Mimo wszystko wątpliwości leningradzkich "refusników" nie były zupełnie bezpodstawne - pierwsze miesiące ery Gorbaczowa były wyraźnym rozczarowaniem. Genseka zdawała się bez reszty pochłaniać kampania antyalkoholowa, która nie tylko rozwścieczyła obywateli sowieckich i doprowadziła do zniszczenia pielęgnowane od stuleci winnice gruzińskie i mołdawskie, ale - czego również wykluczyć się nie da - mogła być jedną z przyczyn głębokiego kryzysu gospodarczego lat następnych. Zdaniem niektórych obserwatorów raptowne załamanie się sprzedaży wódki na dobre zniweczyło kruchą równowagę budżetową państwa. Dopiero po katastrofie czamobylskiej, w kwietniu 1986 roku, Gorbaczow okazał się gotów do dokonania rzeczywistych zmian.

Doszedłszy do wniosku, że Związek Sowiecki potrzebuje jawnej i szczerzej dyskusji o mnożących się problemach w każdej na dobrą sprawę dziedzinie życia, proklamował politykę tak zwanej głośności. Z początku głośność - podobnie jak ogłoszona wcześniej wojna z alkoholizmem -

miała być jednym z elementów polityki gospodarczej nowego sekretarza generalnego. Gorbaczow miał najwyraźniej nadzieję, że szczerza i otwarta dyskusja o coraz bardziej dotkliwym kryzysie gospodarczym, społecznym i ekologicznym szybko doprowadzi do konkretnych wniosków i umożliwi głęboką restrukturyzację państwa - jego pieriestrojkę, o której zaczął

również wspominać w swoich wystąpieniach publicznych. W zaskakująco jednak krótkim czasie głośność weszła w sferę historii.

O gwałtowności tego procesu świadczy najlepiej fakt, że niemal wszystkie próby opisu ewolucji kształtu sowieckiej debaty publicznej u schyłku lat osiemdziesiątych sięgają po metaforykę potopu - mówi się o "przerwaniu tamy", "powodzi", "zalewie", "ruszeniu głównego nurtu" itp. W styczniu 1987 roku Gorbaczow napomknął grupie zaintrygowanych dziennikarzy o potrzebie likwidacji "białych plam" w historii Związku Sowieckiego. Do listopada sprawy zaszły już tak daleko, że Gorbaczow stał się drugim gensekiem, który poruszył sprawę owych "białych plam" w wystąpieniu publicznym: „Wyraźnie widać, że właśnie brak należytego poziomu demokratyzacji społeczeństwa radzieckiego uczynił możliwymi i kult jednostki, i naruszenia prawa, samowolę i represje lat trzydziestych.

Mówiąc wprost: rzeczywiste przestępstwa na gruncie nadużycia władzy.

Masowe represje dotknęły wielu tysięcy członków partii i bezpartyjnych.

Taka

jest, towarzysze, gorzka prawda”. Gorbaczow okazał się z całą pewnością mniej elokwentny od

Chruszczowa, mimo to jego wystąpienie wywarło, jak się wydaje, znacznie głębszy wpływ na sowiecką opinię publiczną, zapewne z tej przyczyny, że Chruszczow wygłosił swój referat na zamkniętej naradzie wąskiego grona elity partyjnej, a Gorbaczow wystąpił

przed kamerami pierwszego programu telewizji sowieckiej. Poza tym Gorbaczow wziął się do realizacji tego, co zapowiedział, z nieporównanie większym entuzjazmem niż ten, jaki kiedykolwiek zdołał wykrzesać z siebie Chruszczow. W konsekwencji nowe "rewelacje" ukazywały się w prasie niemal

codziennie. Obywatele sowieccy mogli wreszcie swobodnie czytać wiersze Osipa

Mandelsztama i Josipa Brodskiego, „Requiem” Anny Achmatowej,

„Doktora Żywago”.

„Jeden dzień Iwana Denisowicza” rozszedł się w wielomilionowym nakładzie, jak i znane dotychczas najwyżej w samizdacie wspomnienia innych więźniów Gułagu. Nazwiska części z nich - Jewgienii Ginzburg, Lwa Razgona, Anatolija Żygulina, Warłama Szalamowa, Dmitrija Lichaczowa i Anny Łariny-Buchariny - stały się znane praktycznie w każdym domu sowieckim. Ruszyły też z miejsca procesy rehabilitacyjne; w latach 1964-1987 zrehabilitowano zaledwie 204 osoby.

Teraz - po części za sprawą artykułów ukazujących się w prasie -

przywrócono dobre imię tym, o których świadomie zapomniano wcześniej. Znaleźli się wśród nich Bucharin i dziewiętnastu innych, wybitnych działaczy bolszewickich - ofiar Wielkiej Czystki 1938 roku.

"Fakty fałszowano" – stwierdził ze śmiertelną powagą rzecznik sowieckiego MSZ. Teraz nadeszła pora, by powiedzieć prawdę.

Równoległe z zakazaną dotąd literaturą zaczęto również ujawniać odkrycia archiwów sowieckich. Rewelacje te publikowali zarówno oficjalni historycy, którym jakoby nagle łuski spadły z oczu, jak i Stowarzyszenie "Memoriał", założone przez grono niezależnych, młodych historyków, którzy od lat gromadzili i archiwizowali spisane wspomnienia i ustne relacje byłych łagierników. Działalność tę rozpoczął Arsienij Rogiński, założyciel ukazującego się od lat siedemdziesiątych - najpierw w samizdacie, a później za granicą -

periodyku "Pamięć". Już wówczas

10 ludzi skupionych wokół Rogińskiego zaczęło tworzyć bazę danych ofiar represji. "Memoriał" stanął później na czele walki o identyfikację zwłok pomordowanych z masowych grobów na przedmieściach Leningradu i Moskwy oraz budowy pomników ku czci ofiar represji stalinowskich. Po krótkiej - i nieudanej - próbie przekształcenia się w ruch polityczny "Memoriał" stał się w latach dziewięćdziesiątych najważniejszym niezależnym ośrodkiem badań nad historią Związku sowieckiego i obrony praw człowieka na obszarze Federacji Rosyjskiej.

Rogiński pozostał jego przywódcą i jednym z najwybitniejszych badaczy.

Publikacje historyczne "Memoriału" rychło zdobyły sobie wśród historyków całego

świata dobrą opinię za dokładność, wierność faktom i rzetelną podbudowę źródłową - w niemałej mierze na podstawie własnych zasobów archiwalnych Stowarzyszenia.

Mimo zadziwiająco szybkiego rozpoczęcia dyskusji publicznej faktyczna sytuacja w kraju wcale nie przedstawiała się tak jednoznacznie, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, zwłaszcza obserwatorowi z zewnątrz. Z jednej strony wprowadzano reformy, które już wkrótce miały doprowadzić do upadku Związku

Sowieckiego, a fala "Gorbymanii" przewaliła się przez Niemcy i Stany Zjednoczone, z drugiej jednak Gorbaczow - tak jak Chruszczow - głęboko wierzył w wyższość ustroju sowieckiego; nigdy nie miał zamiaru podważać pryncypiów sowieckiej wersji marksizmu ani kultu dokonań Lenina. Chciał zreformować

i zmodernizować państwo, a nie zniszczyć je. Był głęboko przekonany -

być może

przesądziły o tym doświadczenia rodzinne i względy osobiste - że należy ujawnić

całą prawdę o historii, ale zwłaszcza z początku zdawał się nie dostrzegać związku między przeszłością a dniem dzisiejszym. Z tej też zapewne przyczyny publikacji miażdżąco wręcz krytycznych artykułów o stalinowskich łagrach, więzieniach i zbrodni ludobójstwa na gigantyczną skalę nie towarzyszyły bynajmniej zakrojone na szerszą skalę zwolnienia nadal trzymanych w obozach i zakładach karnych dysydentów. Pod koniec 1986 roku - mimo wezwań Gorbaczowa do likwidacji białych plam w historii, mimo apeli "Memoriału" o budowę pomnika ofiar represji, mimo pogłębiającej się fascynacji całego świata nowym przywództwem ZSRS, Amnesty International знаło z imienia i nazwiska 600 więźniów sumienia nadal przebywających w łagrach sowieckich, a podejrzewało, że to tylko niewielka część rzeczywistej ich liczby. Jednym z nich był Marczenko, który zmarł w trakcie głodówki podjętej w więzieniu w Czystopolu, w grudniu tego roku. Kiedy przybyła tam żona Marczenki, Łarisa Bogoraz, jego pociętych podczas autopsji zwłok pilnowało trzech żołnierzy. Nie pozwolono jej spotkać się ani rozmawiać z nikim - ani z lekarzami, ani innymi więźniami, ani komendanturą więzienia - poza oficerem politycznym, niejakim Czurbanowem, który potraktował ją wyjątkowo grubiańsko. Odmówił wyjaśnienia przyczyn śmierci Marczenki, nie wydał

jego świadectwa zgonu ani karty medycznej, ani nawet listów i notatek prywatnych. Bogoraz wraz z gronem przyjaciół i trzyosobową "eskortą"

więzienną towarzyszyła mężowi w ostatniej drodze na cmentarz miejski, gdzie go pochowano:

„Cmentarz sprawiał wrażenie opustoszałego, wiał silny wiatr, poza nami i eskortą

nie było nikogo. Wszystko, co trzeba, konwój miał pod ręką, ale funkcjonariusze zdawali sobie sprawę, że nie dopuścimy ich do grobu "aż do zakończenia operacji" -jak to ujął jeden z nich.

Przyjaciele Toli powiedzieli kilka słów pożegnania [...], zaczęliśmy zasypywać grób - z początku rękoma, później łopatami...

Na mogile postawiliśmy sosnowy krzyż - mam nadzieję, że zrobili go inni więźniowie. Napisałam na nim długopisem "Anatolij Marczenko 23

11938-8 XII 1986..." Mimo że władze otoczyły okoliczności śmierci Marczenki szczelną zasłoną tajemnicy i tak -jak stwierdziła później Bogoraz - nie udało im się ukryć, że

"Anatolij Marczenko zmarł w walce; w walce trwającej 25 lat, w której nigdy nie

wywiesił białej flagi kapitulacji". Jego tragiczna śmierć nie poszła jednak na marne. Wydaje się, że fatalne wrażenie jakie incydent ten wywarł na zagranicznej opinii publicznej - oświadczenie nadały rozgłośnię radiowe i telewizyjne na całym świecie – spowodowało, iż pod koniec 1986 roku Gorbaczow zdecydował się ostatecznie na ułaskawienie wszystkich sowieckich więźniów politycznych.

Wiele dziwnych okoliczności towarzyszyło tej amnestii, która położyła kres istnieniu sowieckich więzień politycznych. Najbardziej jednak dziwi, jak niewielką ten fakt zwrócił na siebie uwagę. A przecież, pomijając już wszystko inne, był to definitywny koniec istnienia Gułagu - systemu obozów koncentracyjnych, który w swoim czasie zaludniały miliony więźniów. Był to również wielki triumf sowieckiego ruchu obrony praw człowieka, który przez bite dwadzieścia lat pozostawał poza centrum uwagi dyplomacji państw zachodnich; słowem moment rzeczywistego przełomu dziejowego. Owszem, kilku akredytowanych w Moskwie dziennikarzy skleciło naprędce trochę depesz agencyjnych na ten temat, ale prawie żaden z autorów książek o dobie Gorbaczowa i Jelcyna nie zająknął się nawet o ostatnich dniach istnienia łagrów, najlepsi z wielu utalentowanych pisarzy i dziennikarzy, żyjących pod koniec lat osiemdziesiątych w Moskwie, byli zbyt zaabsorbowani rozgrywającymi się wówczas innymi wydarzeniami - nieudolnymi próbami reformy gospodarczej, pierwszymi wolnymi wyborami, zmianą doktryny sowieckiej polityki zagranicznej, rozpadem - najpierw systemu europejskich państw satelickich ZSRS, a ostatecznie i samego Związku Sowieckiego.

Nie zauważyli tego również zaprzątnięci tymi samymi problemami Rosjanie,

prominenci o sławnych w podziemiu nazwiskach wracali do kraju, gdzie -

jak się

okazywało - przestali być już sławni. W większości byli to już ludzie starzy i zupełnie nie pasujący do nowej rzeczywistości. "Stali się sławni -

jak napisał jeden z przebywających wówczas w Rosji dziennikarzy zachodnich -jako ludzie prywatni, wystukując na wiekowych maszynach do pisania protesty i rezolucje; opór władzom stawiali w zaciszu swoich dacz, gdzie ubrani w szlafroki sączyli do absurdu przesłodzoną herbatę.

Nie nadawali się ani do sporów parlamentarnych, ani telewizyjnych debat i wydawali się zupełnie

zbici z tropu skalą zmian, jakie dokonały się w kraju pod ich nieobecność". Los ostatnich obozów koncentracyjnych w Rosji przestał być również głównym przedmiotem zainteresowania znakomitej większości dysydentów, którzy nie zeszli ze sceny politycznej.

Andriej Sacharow, który w grudniu 1986 roku powrócił do Moskwy z zesłania, trzy lata później został wybrany na deputowanego do Rady Delegatów Ludowych, gdzie zajmował się głównie kwestią reformy prawnej, a dotyczącej własności prywatnej. Dwa lata po wyjściu z łagru Ormianin Ter-Petrosjan, został wybrany na prezydenta swej ojczyzny; a całe zastępy Ukraińców i Bałtów bezpośrednio z obozów w Permie i Mordwie rzuciły się do życia politycznego własnych krajów, domagając się głośno ich pełnej suwerenności. KGB zauważyło wprawdzie, że więzienia dla politycznych ulegają sukcesywnie likwidacji, ale i "organa"

zdawały się nie dostrzegać znaczenia tego procesu. Czytając nieliczne dostępne dokumenty oficjalne z drugiej połowy lat osiemdziesiątych, trudno oprzeć się zdziwieniu, jak niewiele zmienił się język tajnej policji sowieckiej. W lutym 1986 roku Wiktor Czebrikow, przewodniczący KGB, oznajmił z dumą delegatom na Zjazd KPZS, że jego służba przeprowadziła wielką operację kontrwywiadowczą. Konieczną - jak stwierdził - albowiem "Zachód rozpowszechnia kłamstwa o rzekomym gwałceniu praw człowieka po to, by pobudzić antysowieckie dążenia wśród tych renegatów". Jesienią tego samego roku Czebrikow przedłożył

Komitetowi Centralnemu raport opisujący kontynuowaną przez KGB

walkę z "działalnością imperialistycznych agencji szpiegowskich i związanych z nimi elementów wrogich władzy sowieckiej". Przechwalał

się również, że KGB skutecznie "sparaliżowało" działalność różnych ugrupowań, w tym komitetów helsińskich, a w latach 1982-1986 zmusiło

"ponad sto osób do rezygnacji z działalności nielegalnej i powrotu na drogę prawa". Niektórzy z nich - Czebrikow wymienił dziewięć nazwisk -

"złożyli w prasie i telewizji publiczne oświadczenia demaskujące agentów państw zachodnich i ich popleczników". Niemniej kilka zdań później Czebrikow przyznaje, że sytuacja może ulec zmianie. "Obecne warunki postępującej demokratyzacji wszystkich dziedzin życia społecznego oraz umacnianie się więzi między partią a społeczeństwem stwarzają możliwość ponownego rozważenia możliwości amnestii". Czebrikow chciał przez to powiedzieć, że ruch dysydencki jest już tak słaby, że można go uznać za nieszkodliwy, poza tym dysydenci będą tak czy inaczej poddani ścisłej inwigilacji po to, by - jak zauważył na poprzednim posiedzeniu Politbiura - "mieć pewność, że nie będą kontynuować wrogiej działalności". W oddzielnym dokumencie Czebrikow niejako mimochodem dodaje, że wedle danych, jakimi dysponuje KGB, w specjalnych szpitalach psychiatrycznych przetrzymuje się bez potrzeby 96

osób i daje do zrozumienia, że ci spośród nich, którzy "nie stwarzają zagrożenia społecznego", również powinni zostać zwolnieni.

Komitet Centralny podzielił tę opinię i w lutym 1987 roku na wolność wyszło

200 więźniów skazanych z artykułów 70 i 190-1. Znacznie większą ich liczbę

zwolniono kilka miesięcy później z okazji tysiąclecia chrztu Rusi. W

ciągu następnych dwóch lat ze szpitali psychiatrycznych wypuszczono ponad 2 tysiące osób (liczba znacznie przekraczająca "dziewięćdziesięciu sześciu", o których mówił Czebrikow). Ale nawet wówczas - po części z przyzwyczajenia zapewne, po części, jak się wydaje, widząc, że pozycja

"organów" maleje proporcjonalnie do spadku liczby więźniów - KGB

zadziwiająco niechętnie wypuszczało na wolność więźniów politycznych.

Formalnie rzecz biorąc, zostali "ułaskawieni", a nie "amnestionowani"

toteż od zwalnianych w latach 1986 i 1987 władze żądały podpisania dokumentu, w którym ułaskawiony "odcinał się" od działalności anty sowieckiej. W większości wypadków więźniom pozwalano wymyślać własne formuły takiej deklaracji, unikające wyrażania żalu, skruchy i przeprosin, na przykład: "Z powodu pogarszającego się stanu zdrowia nie będę więcej angażował się w działalność antysowiecką", „Nigdy nie prowadziłem działalności anty sowieckiej; byłem antykomunistą, a nie ma prawa zabraniającego anty komunizmu". "Proszę o wypuszczenie mnie na wolność. Nie zamierzam szkodzić państwu sowieckiemu i nigdy nie miałem takich zamiarów w przeszłości" - napisał Lew Timofiejew. Od innych jednak, po raz kolejny, domagano się wyparcia własnych poglądów; tych zmuszano do emigracji. Pewnego Ukraińca zwolniono, ale natychmiast zesłano w trybie administracyjnym, z obowiązkiem cotygodniowego meldowania się na miejscowym posterunku milicji .

Berdzeniszwili przesiedział w łagrze jeszcze dodatkowe pół roku tylko dlatego, że odmówił podpisania jakiegokolwiek formuły deklaracji, podsuwanej mu przez KGB. Inny Gruzin odmówił złożenia prośby o ułaskawienie, "ponieważ nie popełnił żadnego przestępstwa".

Symptomatyczne dla tych czasów były koleje losu Bohdana Klimczaka, aresztowanego za próbę ucieczki z ZSRS. W 1978 roku Klimczak, w obawie przed aresztowaniem z oskarżenia o nacjonalizm ukraiński, przekroczył nielegalnie granicę sowiecko - irańską i poprosił w Iranie o azyl polityczny, ale władze tego kraju deportowały go do Związku Sowieckiego. W kwietniu 1990 roku Klimczak ciągle siedział w permskim więzieniu dla politycznych. Grupa kongresmanów amerykańskich, którym udało się go tam odwiedzić, stwierdziła, że warunki panujące w więzieniu w Permie nie uległy praktycznie żadnej zmianie. Więźniowie nadal uskarżali się na dotkliwy chłód, nadal też osadzano ich w karcercze za najbliższe wykroczenia. Mimo wszystko, choć niechętnie i mnożąc na każdym kroku przeszkody, system represji powoli zamierał tak samo jak cały system sowiecki - w lutym 1992 kiedy zlikwidowano ostatecznie system permskich obozów dla politycznych, nie istniał już sam Związek Sowiecki. Wszystkie dawne republiki związkowe stały się suwerennymi państwami. Na czele niektórych - Armenii, Ukrainy, Litwy - stali więźniowie łagrów; innymi zarządzili byli komuniści, których wiara załamała się w latach osiemdziesiątych. KGB i MWD nie tyle zlikwidowano, ile zastąpiono podobnymi organizacjami o innych nazwach; tajni agenci zaczęli rozglądać się za posadami w sektorze prywatnym. W listopadzie 1991 roku nowy parlament rosyjski uchwalił

"Deklarację Praw i Swobód Obywatela", gwarantującą między innymi, swobodę podróżowania, wyznania i wyrażania własnych poglądów.

Niestety, nowej Rosji nie było dane stać się wzorcem tolerancji etnicznej, religijnej i politycznej - ale to już zupełnie inna historia. Zmiany dokonały się w oszałamiającym tempie - czym nikt chyba nie był zaskoczony bardziej od człowieka, który uruchomił mechanizm rozpadu Związku Sowieckiego. W przeciwieństwie do Chruszczowa i Breżniewa, Gorbaczow nigdy, do samego końca, nie był zdolny pojąć, że nieskrępowana i szczerza dyskusja musi w ostatecznym rozrachunku zdelegitymizować cały system władzy sowieckiej. "Teraz widzimy nasz cel wyraźniej - stwierdził Gorbaczow w noworocznym orędziu w 1989

roku -jest nim humanistyczny, demokratyczny socjalizm, państwo wolności i sprawiedliwości społecznej". Najwyraźniej nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że koniec "socjalizmu" w jego sowieckiej wersji jest już nieuchronny. Nawet teraz, po upływie tylu lat, nie dostrzega on związku między rewelacjami prasowymi doby głośności a upadkiem komunizmu.

Gorbaczow nie jest po prostu zdolny zrozumieć, że pierwszą ofiarą ujawnienia prawdy o stalinizmie musiał stać się mit wielkości państwa sowieckiego. Rachunek obciążało zbyt wiele okrucieństwa, kłamstw i przelanej krwi. Okazało się, że Gorbaczow nie rozumiał własnego kraju -

rozumiało go natomiast wielu innych. Już dwadzieścia lat wcześniej pierwszy wydawca Solżenicyna, Aleksandr Twardowski, zdawał sobie sprawę z potężnej siły zatajanej przeszłości i pojmował, jakie konsekwencje dla systemu sowieckiego może przynieść przy wrócenie jej świadomości społecznej. Wyraził to w wierszu:

„Mylą się, sądząc, że wartość

Pamięci nie wzrasta

Lub ze zielskiem czasu zarośnie

Wszystko, co kiedyś się zdarzyło i każdy miniony ból.

Że naprzód wciąż ziemski obraca się glob,

Odmierzając dni i lata... Nie. Obowiązek

nakazuje, by teraz wszystko Przemilczane w pełni powiedzieć do końca...”.

KONIEC